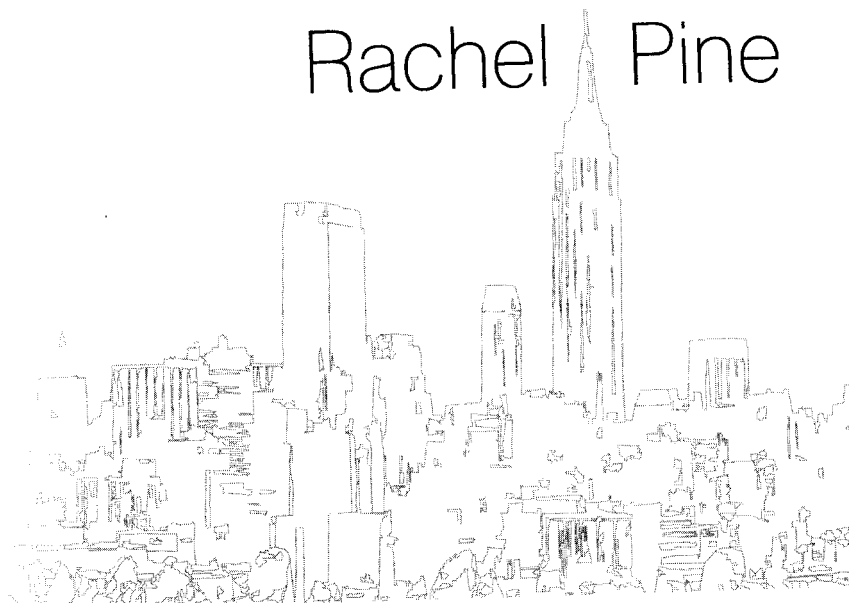


Rachel Pine



Bliźniacy z TriBeKi

Przekład
Marta Jabłońska-Majchrzak

Podziękowania

Otoczona jestem wspaniałymi, życzliwymi ludźmi, którzy codziennie dzielą się ze mną swoim talentem. Każde z nich pozwala mi czuć się osobą niezwykle uprzywilejowaną oraz prawdziwą szczęściarą. Pragnę wymienić chociaż niektórych z nich.

Szczodrość i pasja twórcza Steve'a Krupy były kluczowe dla tej książki... nigdy nie przestanę ci dziękować, ale to i tak będzie za mało, by wyrazić moją wdzięczność. Alice Truax, której nadzwyczajny umysł dorównuje jej szlachetności, jestem ogromnie zobowiązana za pomoc w „pisaniu własnymi słowami”, Ian Spiegelman nauczył mnie cierpliwości i był najwspanialszym przyjacielem, jakiego można sobie wymarzyć. Lynn Harris, ta Lynn Harris... odnalazła właściwy przycisk. Sue Feldman była dla mnie prawdziwą drugą matką. Camille Colon zawsze mi sekundowała. Tom Clavin już to wszystko przećwiczył i wspomagał mnie przy każdej okazji swoją wielką mądrością i doświadczeniem. Moja kuzynka i najlepsza przyjaciółka, doktor Maya Kravitz, była zawsze w pobliżu, nieważne ile mil (dużo!) nas faktycznie dzieliło. Niespożyta Mary Parvin przynosi zaszczyt TriBeCe, emanując ciepłem oraz dzieląc się opiniami, które oczywiście są zawsze słuszne. Kathy Diamant nigdy nie traci energii do

działania. Niezwykle inteligentna i bardzo piękna Carina Wong jest w każdych okolicznościach niezmiennie szczerą. Stephanie Azzarone zawsze wiedziała, co powiedzieć. Rebeca Schiller opowiada wspaniale historie o psach, sprawiające mi wiele radości.

Wszyscy z firmy Psilos/Miles High — myślę tu o Jeffie Kraussie, doktorze Albercie Waxmanie, Valerie Dudley, Leslie Hoeflich, Warrenie van der Waagu, LaTanyi Dial, Davie Eichlerze, Joem Rileyu, Lisie Suennen i Dianie Gentile — może nigdy się nie dowiecie, jak wiele znaczyło to, że podzieliliście się ze mną swoim czasem, pizzą i życiem, ale wasz wkład można odnaleźć na każdej stronie tej książki.

Grupę wybitnych ekspertów — dla których żadne męczące mnie pytanie nie było zbyt trudne, żaden szczegół zbyt mało znaczący — tworzyli Caroline Bitkower, Britt Bensen, Dahlia Smith, doktor Glenn „Wielki Gadoo” Muraca, Sigrun Hill, Hillery Borton, Stephanie z Bubble Lounge, Leonard Parker z firmy Blue Star Jets. I jeszcze Hilary Herskowitz, która wie wszystko!

Udomowione Bizony — czyli Sissy Block, Sabrina Paradis, Rachel (Sklar), Leslie Kaplan, Annemarie Conte, Alix Light i Don Seaman — było dla mnie prawdziwym zaszczytem należeć do waszego znakomitego stada.

W Miramax Books wielkie podziękowania za wszystkie cierpliwie udzielane mi wskazówki należą się postępującemu zawsze ze spokojem i niezwykłym taktem Jonathanowi Burnhamowi, Caroline Upcher za to, że nie tolerowała bzdur z mojej strony, Kristin Powers, bo to ona sprawia, że wszystko w końcu wychodzi jak trzeba; Caroline Clayton, z którą było tak dobrze porozmawiać przez telefon, kiedy byłam przekonana, że wszystko kon—

pietnie spieprzyłam, Kathy Schneider i Claire McKinney, ponieważ umiały mną potrząsnąć, kiedy ogarniała mnie czarna rozpacz, Jill Ellyn Riley i Jen Sanger za nieustanną pomoc i zrozumienie.

A za załatwianie wszystkich niezbędnych spraw jestem bardzo zobowiązana Katherine „Braveheart” Boyle, mojej agentce, która nie zawahała się ani razu.

Bulwar Zachodzącego Słońca

Ten szturchaniec dał mi dużo do myślenia. Nie był bowiem przypadkowym potrąceniem, tylko energicznym i złośliwym pchnięciem mającym na celu odsunięcie mnie na bok. Ciekawszy jednak od samego szturchańca był jego sprawca: gwiazdor kina akcji z włosami zebranymi w kitkę, coś w rodzaju nowego wcielenia lamy. Musiałam widocznie stanąć mu na drodze wiodącej ku oświeceniowi, bo kiedy poinformowałam go uprzejmie, że wprowadza większą liczbę gości, niż możemy pomieścić, jego reakcją były atak i ucieczka. Pozbył się mnie, całych stu pięćdziesięciu dwu centymetrów, jednym błyskawicznym ruchem ręki, zatoczyłam się bowiem do tyłu, a on, razem ze swoją bandą, popędził naprzód po czerwonym dywanie. Dzięki zupełnie nieprzyzwoitej grubości tegoż dywanu, w który miałam wbite obcasy, udało mi się zachować pion; gdyby był cieńszy, jak nic wylądowałabym na siedzeniu. Dochodziłam jeszcze do siebie po tym otarciu się o wielkość, kiedy usłyszałam pisk w słuchawce.

— Na litość boską, Karen, co ty tam wyrabiasz? Wprowadził za dużo osób... dlaczego ich wpuściłaś? — To była Vivian Henry, wiceszefowa działu public relations w Glo—

rious Pictures. Co prawda nie moja bezpośrednia przełożona, ale jedna z grupy jakichś dwudziestu pięciu osób, które osiągnęły w hierarchii Glorious pozycję uprawniającą do wydzierania się na mnie.

— Vivian, starałam się. Ale facet mnie odepchnął i wszyscy po prostu wdarli się szturmem — wyjaśniłam.

— Daruj sobie. Daj spokój. Jesteś bezużyteczna — warknęła. — Ja się tym zajmę, tutaj, przy wejściu.

Odwrociłam się i zerknęłam w tamtą stronę. Vivian „zajmowała się tym”, entuzjastycznie wprowadzając do środka mojego prześladowcę i jego stadko. Facet zdążył jeszcze machnąć lekceważąco w moim kierunku swoją ogromną łapą, zanim zanurkował pod przesłaniającą wejście moskitierę. W rezultacie bliskiego spotkania moje serce nadal tłukło się jak oszalone, próbowałam więc uspokoić przyspieszone tętno i skoncentrować się na witaniu innych, mniej brutalnych znakomitości przybywających na naszą galę. Po żmudnej kampanii na rzecz zdobycia Oscara — zarządzanej przez Phila i Tony'ego Waxmanow, bliźniaków, założycieli wytwórni Glorious Pictures, a prowadzonej przez wszystkich pracowników firmy, osiągnęliśmy cel: *Cudzoziemski pilot* dostał Nagrodę Akademii w kategorii najlepszego filmu.

Ten film miał wszelkie dane po temu, by od początku stać się legendą Glorious Pictures. W wybawionym przed tandetą głównego studia obrazie grali wybitnie utalentowani (choć wcześniej nieznani) aktorzy europejscy; scenariusz powstał na podstawie powieści napisanej przez jakiegoś literackiego geniusza, który uszedł ze swojej ojczyzny przed tamtejszym brutalnym reżimem, z rękopisem schowanym w butach. Rok wcześniej na spotkaniu z całym działem public relations Phil oświadczył: „Jeśli nie

macie ochoty popracować nad taką historią, to równie dobrze możecie strzelić sobie w łeb". W taki oto subtelny sposób Phil dawał do zrozumienia całemu personelowi, że *Cudzoziemski pilot* ma się okazać wielkim filmem. Najlepszym filmem. Bo jak nie, to... Zebranie odbyło się jakieś dziewięć miesięcy przed moim przybyciem do Glorious, jednak koledzy tak często i szczegółowo je wspominali, że miałam uczucie, jakbym brała w nim udział. Stwierdzenie, że w dziale public relations, gdzie w lutym rozpoczęłam pracę, panuje niezwykle napięta atmosfera, zdobyłoby niewątpliwie nagrodę w kategorii niedomówienie roku.

W taki oto sposób, niczym szkrab na chwiejnych jeszcze nóżkach, wkroczyłam w świat, gdzie ludziom w służbie korpusu *Cudzoziemskiego pilota* o północy opadają ze zmęczenia powieki, a o świcie pękają z bólu głowy. Wykonaliśmy tysiące telefonów do członków Akademii, radośnie wypytujac, czy podobał im się *Cudzoziemski pilot*. Wybieraliśmy numery, aż palce odmawiały nam posłuszeństwa. Nie spaliśmy, żeby dodzwonić się do głoszących ze wszystkich stref czasowych. Prowadziliśmy rozmowy z żarliwością telewizyjnych kaznodziejów oferujących zbawienie już po trzech drobnych wpłatach. Jak świetnie zagrana główna rola! Jaka sprawna reżyseria! A ta zapierająca dech w piersiach sceneria! Muzyka! Kostiumy! Wykrzykiwaliśmy nasze pochwały tym członkom Akademii, którzy raczyli z nami rozmawiać, a ponieważ wielu z nich było w podeszłym wieku i miało kłopoty ze słuchem, musieliśmy naprawdę się starać. Skrupulatnie przeprowadziliśmy błyskotliwą kampanię, która naśladowała wiernie taktykę obmyśloną przez najlepszych strategów politycznych naszego kraju. (Wiedzieliśmy, że tak

było, bo kiedy podczas bankietu przyszedł telegram z gratulacjami od prezydenta, on sam nam to w nim przekazał.) Teraz była już godzina dziesiąta, ceremonia się zakończyła, bankiet Glorious się rozkręcał, a my czekaliśmy na przybycie naszych zwycięskich przywódców.

Z pięciu dni, które spędziłam w Los Angeles, przez ostatnie trzy niemal nie zmrużyłam oka, kiedy z eleganckiego wnętrza hotelu Four Seasons pomagałam innym w przeprowadzeniu skutecznej ofensywy, przy czym jak dotąd moje zetknięcie z Hollywood okazało się zarazem olśniewające i upokarzające. Miałam piękny pokój, ale brakowało mi czasu, żeby cieszyć się jego urokami, a już najmniej tym rzucającym się w oczy, wymoszczonym mnogością poduszek, elegancko nakrytym rydwanem do spania, z których hotel sływał. Za odpowiednią cenę takie łóżko, włącznie z poduszkami w ozdobnych poszewkach, mogło być przetransportowane do czyjegoś domu i, jak głosiła plotka, przyczyniło się do spłodzenia potomka niejednej znanej osobistości. Przelykając pospiesznie śniadanie dostarczone mi do pokoju, spoglądałam tęsknie na łożo i na ledwie dostrzegalną wklęsłość, jaką w delikatnej białej kapie zostawiło moje ciało w czasie trzygodzinnej drzemki po całonocnym posiedzeniu poświęconym logistyce bankietu. Lukrowane płatki kukurydziane, w otoczeniu jagód, jogurtu i bananów w srebrnych miseczkach, podano z pompą należną wielkiej uczcie, na obsadzonym kwiatami balkonie, ale ja nie miałam czasu, żeby nacieszyć oczy roztaczającym się stamtąd widokiem, byłam bowiem umówiona na ósmą w apartamencie mieszczącym salony fryzjersko—kosmetyczne Glorious Pictures.

Zlizując ostatnie krople słodzonego mleka i upijając trochę kawy z trzeciej już tego ranka filiżanki, chwyciłam wypożyczoną suknię od znanego projektanta i ruszyłam na pierwsze piętro.

Ledwie weszłam do środka, poczułam na plecach dłoń. Dłoń należała do Marlene MacFarlane, jednej z dwu zastępczyni szefowej działu public relations, którą uczyniono odpowiedzialną za „wygląd” naszego działu podczas wiadomego wydarzenia. Poprowadziła mnie do salonu fryzjerskiego.

— Trzeba będzie popracować nad twoimi włosami — zauważyła po drodze.

Nie da się zaprzeczyć, że moje włosy nie poddawały się na ogół żadnym zabiegom i od czasu do czasu wręcz здаwały się przeczyć prawu grawitacji. Co nie oznacza, że uwaga ta nie zabolęła, szczególnie że wyszła z ust Marlene, która uczesana była jak zawsze na niezbyt twarzowego pazia, a dla uczczenia dzisiejszego wieczoru przystroiła sobie włosy jakąś błyszczącą opaską. Posadzono mnie w fotelu specjalnie zainstalowanym na dzisiejszą okazję i oddano w ręce dwóch pracujących przemiennie stylistów. Obserwowałam, jak z lustra wyłania się stopniowo lśniąca jasnokasztanowa grzywa. Zerkając na boki, bez poruszania głową, zobaczyłam, że wszystkie stajemy się bardziej błyszczącymi, wyrazistymi, udoskonalonymi wersjami samych siebie: przypominało to scenę z *Czarodzieja z Oz*, w której Dorotka i jej współtowarzysze podróżują się przed spotkaniem z Czarodziejem.

Następnie zajęła się mną krawcowa, która upinała i zaznaczała, co trzeba, mydełkiem, a potem dała mi szlafrok i zabrała suknię, żeby dokonać niezbędnych przeróbek. Kiedy czekałam na rezultat jej zabiegów, wizażystka nałożyła mi na twarz kilka warstw kosmetyków.

— A teraz ci dam nowo pielisne — oświadczyła szwaczka z akcentem wskazującym na któreś z państw nadbałtyckich. Wręczyła mi dwa owalne kawałki papieru z podklejkami, które niepokojąco przypominały nalepki pocztowe.

— To piustonosz — dodała, widząc moje zakłopotanie. — Tylko przyklejasz. Majteczki sostafiasz tutaj.

Umieściwszy samoprzylepne miseczki we właściwych miejscach, starając się zostawić głęboki dekolt, włożyłam suknię i z podziwem patrzyłam, jak idealnie leży, pozbawiona jakiegokolwiek zmarszczki. Może będzie mi trochę chłodno wieczorem, ale jest tego warta. Kobieta włożyła mi w rękę maleńką fiolkę z jakimś płynem.

— Na póniej. Rospusa klej — wyjaśniła.

Umieściłam ją w wieczorowej torebce.

Kiedy ponownie spojrzałam w lustro, ledwo się poznałam. Włosy lśniły, skóra miała zdrowy opalony odcień, moja figura była zaokrąglona tam, gdzie należy, i wszystko na mnie się mieniło, świeciło albo wszystko naraz. Czulałam się, jakbym występowała w *Prawdziwej hollywoodzkiej historii* mojego własnego życia, tej jego najlepszej części, pokazywanej w stacji telewizyjnej E!, gdzie głos lektora pobrzmiwa tonem najdelikatniejszego ostrzeżenia, że po przerwie na reklamę wszystko niechybnie prowadzić będzie do zguby. Teraz jednakże obracałam się powoli, by Marlene mogła dokonać inspekcji i stwierdzić, czy nabrałam wystarczającego poloru. Po uzyskaniu jej niechętej aprobaty — „Już lepiej wyglądać nie będziesz” — pognalam do Hotelu Modigliani, żeby rozpocząć próby do roli ogranicznika dla VIP-ów przy wejściu na czerwony dywan.

Moja faktyczna szefowa, Allegra Orecchi, kierująca działem public relations w Glorious Pictures, stała na ka—

wężniku przed hotelem z notatnikiem w rękę i władczo zniecierpliwioną miną — wydaje mi się, że jej twarz zastygła w takim grymasie już wiele lat wcześniej.

— Przepraszam za spóźnienie. Przygotowania zajęły trochę czasu — wyjaśniłam, przesuwając z zakłopotaniem dłonią po bujnej fali włosów.

— Kwestia! — wysyczała Allegra wściekle na powitanie. Poprzedniego dnia niespodziewanie zaczęła żywić poważne wątpliwości, czy potrafię odpowiednio przywitać wieczornych gości.

Stanęłam na baczność.

— Witamy Wielką Gwiazdę. Dziękujemy za przybycie — wyrecytowałam. To była moja kwestia, nie dopuszczano żadnej improwizacji. Recytowałam więc ją w kółko, wypróbując różne rodzaje intonacji, tonu, głośność, ale Allegrze nic nie odpowiadało.

— Nie, Karen, to j e s z c z e nie to — powiedziała, marszcząc brwi. — Musisz mocniej zaakcentować. Dziękujesz za przybycie każdemu z osobna. To są najsławniejsi ludzie świata, a ty reprezentujesz Glorious Pictures — oświadczyła, jakby ćwiczyła mnie w metodzie Stanisławskiego.

Usiłując przybrać minę, która wyrażałaby zarazem uprzejmość i zachwyt, spróbowałam ponownie.

— Witamy Wielką Gwiazdę. Dziękujemy za przybycie. Pochyliła głowę.

— Nie, to ciągle nie tak — westchnęła. Odezwał się jej telefon komórkowy, odsunęła się więc na kilka kroków, zupełnie jakby nie chciała, żebym podsłuchiwała rozmowę. Był to ruch zupełnie symboliczny; Allegrzy na ogół się nie słyszało, nawet kiedy była tuż obok. Stałam więc i czekałam, aż wróci, z przykrością odnotowując fakt, że

zaczynają mnie uwierać paski sandałów. Skończyła rozmawiać, odwróciła się do mnie na pięcie i znowu zmarszczyła brwi.

— Przecież miałaś ćwiczyć, Karen. To, że rozmawiam przez telefon, nie oznacza, że z tobą nie pracuję. Naprawdę, odnoszę wrażenie, że w ogóle się nie starasz.

To dziwne, ale mimo że była odpowiedzialna za bankiet dla dwóch tysięcy osób i nadzorowała czterdziestu pracowników działu zatrudnionych na pełny etat oraz dwudziestu wolnych strzelców, Allegra skoncentrowała się na swoim przekonaniu, że ja nie potrafię powiedzieć sześciu słów. Ta presja była dla mnie nieznośna. A ona jeszcze zapraszała innych, żeby dorzucili swoje komentarze. Kazała mi znowu powtórzyć kilka razy tę moją kwestię, po czym sprowadziła Matta Vincenta, szefa marketingu. W hierarchii Glorious Pictures Matt stał o włos wyżej od Allegry i ona zawsze dosłownie wychodziła ze skóry, żeby zrobić na nim wrażenie. Przeważnie ją ignorował.

— Witamy Matta Vincenta. Dziękujemy za przybycie.

Matt był w firmie jedną z tych osób, które najbardziej lubiałam. Wyglądało na to, że udało mu się przetrwać sześć lat w Glorious, nie tracąc poczucia humoru. Zaledwie kilka dni wcześniej, tuż przed naszym odlotem po Oscary, w biurze w TriBeCe wszedł na skrzynkę po mleku i wygłosił przezabawną parodię mowy, jaką Tony Waxman mógłby dziękować za nagrodę, naśladując przy tym błędnie ten zgrzytliwy głos prosto z Bronksu, którego wszyscy tak się baliśmy. Jednak przez ostatnie czterdzieści osiem godzin był bez reszty pochłonięty organizowaniem kampanii lansującej zwycięskiego *Cudzoziemskiego pilota*, a także planu awaryjnego, gdyby to niewyobrażalne jednak się zdarzyło. Przemęczony i niewyspany zupeł—

nie siebie nie przypominał. Wysłuchał mojej kwestii i popatrzył na mnie nieobecny wzrokiem.

— Cóż, nie mamy kogo tu postawić, więc chyba ona musi nam wystarczyć — oświadczył i poszedł, żeby się przebrać w strój wieczorowy.

Przed odejściem Allegra, niezadowolona, że nie doczekałam się dodatkowej negatywnej recenzji, nie była w stanie powstrzymać się od wymamrotania ostatniej kąśliwej uwagi.

— Karen, jak witasz tych ludzi — wycedziła — to chociaż nie machaj rękoma. Bo gotowi są pomyśleć, że masz ochotę ich dotknąć.

Kiedy zostałam w końcu sama, zastanawiałam się, jak to jest, że Allegra potrafi mi wmówić, że moje powitanie jest jednocześnie nie dość serdeczne i zbyt nachalne. Nie zapomniałam, że Matt i Allegra potrafią wydobyć z siebie nawzajem to, co najgorsze. A od przyznawanych tego wieczoru nagród zależało bardzo wiele, między innymi ich posady. W tej branży pooscarowe sprzątanie nie było rzadkością i Glorious nie stanowiło w tym względzie wyjątku.

Było tuż po pierwszej i choć gości nie należało się spodziewać wcześniej niż za jakieś trzy godziny, ja musiałam tkwić na swoim posterunku, bo a nuż komuś wpadnie do głowy przyjść z wyprzedzeniem. Przyjęcie z podglądem, podczas którego goście będą mogli oglądać wręczanie nagród na wielkim ekranie w sali balowej, zorganizowano dla ludzi, których nie zaproszono na samą ceremonię, takich jak autor *Cudzoziemskiego pilota*. (Oscary dotyczą scenariusza i nie mają nic wspólnego z powieściami.) Na resztę towarzystwa składali się w większości „przyjaciele i rodzina” Glorious Pictures — kadra kierownicza przemysłu—

słu filmowego i gasnące gwiazdy. Tych trzeba kierować do zwykłego, nie przeznaczonego dla VIP—ów wejścia. Przyjęcie z podglądem miało obejmować niewiele osób i określaliśmy je mianem „kameralnego”. We właściwym oscarowym bankiecie miało z kolei wziąć udział mnóstwo osób i Glorious wynajął cały dół hotelu, westybul, trzy sale restauracyjne, basen otoczony trzema barami na świeżym powietrzu, a także luksusowy apartament na piętnastym piętrze, który miał służyć jako miejsce wypoczynku dla najważniejszych VIP—ów.

Za moimi plecami brygada montażowa dokonywała ostatnich poprawek przy wejściu, do którego poprowadzi czerwony dywan. Zaprojektowano je w taki sposób, żeby wyglądało, jakby w budynek wbił się dwupłatowiec i na zewnątrz wystawały jedynie kokpit, ogon i kawałek skrzydła. Ogromne drzwi do westybulu zastąpiono wielkimi płachtami moskitiery, a wzdłuż podejścia ustawiono dwa rzędy wielkich palm w donicach. Ze swojego stanowiska słyszałam, jak Marlene wyrzaskuje polecenia kwiaciarzom, barmanom, pracownikom hotelowym i każdemu, kto według jej mniemania nie dorósł do powierzonego mu zadania, jednym słowem, wszystkim. Kilku mężczyzn wyładowało z ciężarówki stoły i krzesła i jeden z nich podsunął mi krzesło, które z wdzięcznością przyjąłam.

O wpół do trzeciej Dagney Bloom, która stanowiła drugą połowę dwuosobowego zespołu asystentek Allegry, pojawiła się razem z Robertem Kojimą i Clarkiem Garlandem, dwoma naszymi kolegami z nowojorskiego biura. Dagney była w okropnym humorze. W tygodniach poprzedzających przyznanie Oscarów bez chwili wytchnienia domagała się przyznania jej jakiejś wewnętrznej „roboty”.

— W ten sposób będę miała oko na wszystko — oświad—

czyła mi stanowczym głosem przy biurku, które dzieliłyśmy w Nowym Jorku. Marlene, która za nami nie przepadała, z tym że Dagny lubiła jeszcze mniej niż mnie, przychyliła się do jej nieustannych próśb i przydzieliła jej zajęcie windziarki. Miała spędzić cały wieczór w maleńkiej służbowej windzie, wożąc najważniejszych z ważnych z westybulu do apartamentu dla VIP—ów i z powrotem.

— Nie mogę uwierzyć, że spędzę sześć godzin w tym pudełku na buty! — syknęła do mnie.

— Przynajmniej będziesz z bliska oglądać gwiazdy — odparłam chłodno.

Ciągle nie mogłam jej darować, że wczoraj wyrwała się na zakupy do sklepu przy Melrose, a ja musiałam ją kryć i przez osiem długich godzin być na każde skinienie Allegry. Na ogół jednak żyłyśmy zgodnie jak na dwie kobiety, które dzielą niewielkie biurko i mają jedną szefową, bardzo niejasno formułującą swoje wymagania.

Kiedy Robert wręczył mi urządzenie złożone ze słuchawki z mikrofonem i zaczął pokazywać, jak działa, sześciu mężczyzn, którzy przywieźli czerwony dywan, mozolnie odwijają go za nami ze szpuli. Dosłownie kilka sekund po tym, jak zakończyli tę żmudną robotę, u mojego boku zmaterializowała się Marlene i bezceremonialnie przerwała wyjaśnienia Roberta.

— Karen, dlaczego mnie nie powiadomiłaś, że przywieźli dywan?

— Faceci po prostu wysiedli z auta i go rozwinęli.

— Nie widzisz, że leży zupełnie nie tak jak trzeba?

Clark, Robert, Dagny i ja przesuwaliśmy wzrokiem po dywanie. Ciągnął się jak szeroka czerwona wstęga od miejsca, w którym staliśmy, aż do samego wejścia. Żadne z nas się nie odezwało.

Marlene pokręciła głową i zmarszczyła brwi, jakby jej cierpliwość została wystawiona na ciężką próbę. Dotknęła ramienia jednego z mężczyzn i zaczęła wrzeszczeć, a już po chwili cała ekipa uwijała się, żeby przesunąć pięćdziesiąt metrów czerwonego dywanu o cztery centymetry w lewo.

— Jak już ci mówiłem — podjął wyjaśnienia Robert — ten mały element wkładasz do ucha, a potem ustawiasz sobie mikrofon tak, żeby nie mieć go zbyt blisko ust. Wszyscy, którzy pracują „na zewnątrz”, będą dzisiaj na kanale trzecim.

Podłączyli z Clarkiem swoje urządzenia i sprawdziliśmy, czy wszyscy nawzajem się słyszymy.

Dwadzieścia minut później wróciła Marlene, przyjrzała się krytycznym okiem dywanowi i pokiwała z aprobatą głową.

— Tak jest o wiele lepiej. Przynajmniej ludzie będą wiedzieli, dokąd idą — oświadczyła, zanim odmaszerowała, żeby zdręzczać jakiegoś nieszczęsnego dostawcę.

Kiedy upewniliśmy się, że łączność działa, Clark i Robert zajęli swoje pozycje na Bulwarze Zachodzącego Słońca. Zostałam sama przy końcu dywanu; przeszedł mnie dreszcz podniecenia. Była piąta, zbliżało się rozpoczęcie ceremonii i już wkrótce zaczną napływać goście. Tymczasem przyglądałam się, jak kobiety w długich sukniach i wyfrakowani mężczyźni wchodzą przez zwykłe wejście na imprezę „katedralną”.

Clark wyjaśnił mi wcześniej, że chociaż wręczanie nagród skończy się dopiero około dziewiątej, sławy i wszelkie znakomitości zaczną bardzo powoli tu napływać jakieś pół godziny po wręczeniu pierwszego Oscara.

— To znaczy, że nie siedzą murem i nie oglądają całej uroczystości?

— Jeśli odniosą zwycięstwo, ruszają za scenę na spotkanie z mediami, a jeśli nie, zazwyczaj chcą się urwać. A jeśli otwierają koperty, to znikają zaraz po odczytaniu werdyktu.

Wydało mi się to dziwne. Miliard widzów na całym świecie ogląda to przedstawienie w telewizji i marzy, żeby móc tutaj być. Ludzie, którzy się tu znaleźli, nie mogą się doczekać chwili, żeby uciec.

Clark powiedział, że gwiazdy będą się pojawiać grupkami przez cały czas trwania ceremonii, a największy ich natłok nastąpi mniej więcej godzinę po zakończeniu uroczystości.

Zgodnie z tym, co powiedział, pierwsze godziny były spokojne. Przyjechało tylko kilka pomniejszych sław; żadnej nie trzeba było oficjalnie anonsować. Przywitałam ich i wskazałam wejście.

Kiedy jednak w końcu przyszedł czas na wypowiedzenie wiadomej kwestii, włączyłam mikrofon, żeby moi będący na podsłuchu koledzy słyszeli nazwisko każdego kolejnego gościa. Pierwszą osobą, która ruszała do akcji, był Bill, szef naszego miejscowego oddziału public relations. Bill zajął stanowisko pośród przedstawicieli prasy, w gęstej cizbie reporterów i fotografów okupujących główne podejście do hotelu. Dziennikarzy oddzielono od czerwonego dywanu metalową barierką, na tyle niską, żeby nie przeszkadzała w robieniu zdjęć, ale jednocześnie za wysoką, żeby dało się ją przeskoczyć. Za ich plecami też była barierka, tak że przedstawiciele prasy, trochę jak rogacizna, znaleźli się w zagrodzie. Za każdym razem, kiedy wygłaszałam swoją kwestię, Bill podawał im nazwisko kolejnej osobistości, a oni zaczynali wykrzykiwać i trząskać zdjęcia. Wyglądało to tak:

Ja (staranna wymowa, ręce opuszczone wzdłuż tułowia): „Witamy Davida (przerwa) Spade'a. Dziękujemy za przybycie”.

Bill (głośno): „O mój Boże, słuchajcie, ludzie! DAVID SPADE jest tutaj!”

Prasa (chórem): „David! David! Prosimy tutaj! Tutaj!”

W zależności od tego, jak sławna była znakomitość, która właśnie kroczyła po dywanie, i od zainteresowania prasy, Bill i ja decydowaliśmy, kiedy posłać kolejną osobę. Bill pytał mnie, kto jest następny, i mówił: „Zatrzymaj ją chwilkę, ciągle się nim entuzjasmują” albo: „No dobra, puść go, bo facet wywierci dziurę w dywanie”.

Czasami czyjeś imię urywało się w połowie, kiedy prasa widziała, że na dywan wkracza kolejna gwiazda. „Dav... ELIZABETH! ELIZABETH! Prosimy tutaj!”

Kiedy ruch na dywanie na dobre się rozkręcił, byłam zbyt zaafierowana, żeby w pełni zarejestrować tę chmarę gwiazd, jaką witałam, ale nie dotykałam. Przybyła całutka obsada *Cudzoziemskiego pilota*, wybrali przejście całą grupą. Cztery z pięciu nominowanych w kategorii najlepszej aktorki, wszyscy nominowani za najlepszą rolę drugoplanową i przedziwnym zbiegiem okoliczności najlepsze aktorki drugoplanowe z ostatnich czterech lat pojawiły się w takiej kolejności, w jakiej zdobyły nagrody. Suknie były wspaniałe, na widok biżuterii człowiekowi dosłownie oczy wychodziły z orbit. Wiele kobiet miało na sobie pożyczone klejnoty warte więcej niż milion dolarów. Tym klejnotom na ogół towarzyszyli ochroniarze, którzy doprowadzali obwiezione nimi osoby do wejścia, gdzie pieczę nad nimi przejmowała ochrona wewnętrzna hotelu.

Zanim ktoś mógł dostać się na przyjęcie, musiał wcześniej wysiąść z samochodu. Lata doświadczeń nauczyły

personel naszego działu, że najlepszym sposobem na odstraszenie niechcianych gości jest dopilnowanie, żeby nikt, kto nie został zaproszony, nie mógł nawet zbliżyć się do krawężnika. W tym celu Roberta i Clarka oddelegowano „do samochodów”. Ustawieni cztery przecznice od hotelu, jeden na wschód, drugi na zachód, wtykali głowę do każdej limuzyny, oceniali sytuację, po czym ukradkiem przyklejali na przedni zderzak odpowiednią nalepkę. Były ich trzy rodzaje. Pierwsza to niedokończone czerwone kółko, co oznaczało, że można wejść na imprezę z jedną osobą towarzyszącą, zwykłym wejściem. Druga, kółko normalne, przecięte linią na skos. Oznaczała, że nie jest to osoba zaproszona, a my nie zamierzamy marnować energii na dyskusowanie z nią na ten temat. Portierzy, którzy odgrywali tutaj rolę naszej prywatnej piechoty morskiej, nie pozwalali limuzynom z taką nalepką nawet zbliżyć się do krawężnika i wysadzić pasażerów. Niektórzy kierowcy dwadzieścia razy zdążyli okrążyć tereny wokół hotelu, zanim wykombinowali, w czym rzecz. Kilko- ro z tych nie zaproszonych wymyśliło sobie, że jeśli wysiądą z auta ze dwie przecznice wcześniej, to po prostu wejdą na fetę z marszu. W Los Angeles szansa, że osoba idąca pieszo nie rzuci się innym w oczy, jest tak samo niewielka jak możliwość niezauważenia kogoś, kto podpali sobie włosy.

Na trzeciej nalepce figurowała gwiazda, obwieszczająca obecność znakomości. Auta z gwiazdami kierowano na właściwy pas, tak żeby ich pasażerowie mogli wysiąść tuż przy czerwonym dywanie, gdzie ja i Bill od nowa zaczęliśmy naszą pokazówkę. Za każdym razem przed umieszczeniem na limuzynie nalepki nasi oddelegowani spece sprawdzali pasażerów i upewniali się, że zaproszeni

goście nie przemycają więcej niż jedną osobę towarzyszącą. Jak tamtemu brutalowi mogło się udać obejść ten system, zastanawiałam się, myśląc sobie, że muszę potem spytać o to Roberta i Clarka. Robert wymyślił te nalepki kilka lat wcześniej i był bardzo dumny ze skuteczności systemu. Jeśli okazałoby się, że był gdzieś nieszczelny, na pewno chciałby natychmiast zlikwidować usterkę.

„Jedna osoba towarzysząca na gościa” było naszą mantrą w ciągu całego tygodnia poprzedzającego ceremonię. Podzieliwszy między siebie prawie tysiąc zaproszonych, mimo że do każdego wysłano wcześniej zaproszenie z dopiskiem RSVP zadzwoniliśmy do wszystkich, albo do osób ich reprezentujących, i przypomnieliśmy o tym jednoosobowym limicie. Potem umieszczaliśmy gwiazdkę przy nazwisku każdego, kto mógłby nie zastosować się do tej zasady, żeby taką osobę można było szczególnie dokładnie sprawdzić w chwili przyjazdu. Do tej grupy należał Ted Roddy, wydawca czasopism pornograficznych. Normalnie nie zostałby zaproszony, jednak tego roku, kiedy to on sam był tematem nominowanego w wielu kategoriach filmu biograficznego, otrzymał przyzwolenie. Kiedy do niego zadzwoniłam, jego asystent poinformował mnie, że Ted przyjedzie z małżonką i że zawsze podróżuje z ochroniarzem oraz z człowiekiem, który pcha jego wózek inwalidzki. Natychmiast udałam się do Vivian, osoby odpowiedzialnej za podejmowanie decyzji w takich sytuacjach.

— Właśnie rozmawiałam z asystentem Teda Roddy'ego — poinformowałam ją. — Ted musi mieć ochroniarza, faceta, który pcha jego wózek, a towarzyszyć mu będzie żona.

— Ochroniarz? Po co Tedowi Roddy'emu ochrona osobista? — prychnęła pogardliwie.

Prawdę mówiąc, wszyscy wiedzieli, że Ted jest przykuty do wózka w rezultacie zamachu na jego życie; wydawało się wszakże rozsądne nie poruszać teraz tego tematu, wobec czego wzruszyłam jedynie ramionami.

— Pewnie zwykła paranoja — zaryzykowałam stwierdzenie.

— Słuchaj — powiedziała Vivian. — Oddzwon do jego asystenta. Niech żona pcha fotel i pilnuje jego tyłka. Jedna osoba. Koniec rozmowy.

Wzięłam głęboki oddech, zadzwoniłam do asystenta i przekazałam informację.

— Szef jest sparaliżowany — oświadczył mężczyzna. — Nie może pani zrobić wyjątku?

— Nie — odparłam. — Przykro mi, ale nie mogę.

— Z wami wszystkimi jest coś nie tak — rzucił z obrzydzeniem w głosie.

— Proszę posłuchać — powiedziałam, czując, jak zalewa mnie fala wstydu. — Może być Ted plus tylko jedna osoba. Jedna żona albo jeden ochroniarz, albo jeden wózkowy. Nieważne, kogo z nich ze sobą przyprowadzi, byle była to tylko jedna osoba.

Vivian kiwnęła głową z aprobatą, kiedy oszołomiona tym, co padło z moich ust, zakończyłam rozmowę. Z nieprzyjemnym uczuciem w dołku zajęłam się kolejnym telefonem. Facet będący prawą ręką najślawniejszego wydawcy pornografii na świecie nie tylko podał w wątpliwość moje zasady moralne, ale na dodatek miał całkowitą rację.

A teraz, trzy dni później, Ted Roddy jechał po czerwonym dywanie. Wyglądał olśniewająco w białym smokingu i w swoim słynnym złocistym fotelu, pchanym przez samego Freddy'ego Allena, aktora, który grał go w fil—

mie. Freddy swoją „plus jedną osobę” odstąpił ogromnemu i groźnie wyglądającemu goryłowi Teda. Można było założyć, że facet w razie potrzeby własnym ciałem zablokuje serię z pistoletu maszynowego. Żona Teda szła obok, przystrojona brylantowym naszyjnikiem, który zaczynał się pod brodą i nikał gdzieś w głębi imponującego dekoltu. Zauważyłam, że ochroniarz ma rozbieżnego zęza, co niewątpliwie ułatwiało mu trzymanie na oku swojego podopiecznego i klejnoty jego małżonki. Ich widok uspokoił nieco moje sumienie.

— Witamy Teda Roddy'ego — oświadczyłam, obdarzając go najcieplejszym z uśmiechów. — Dziękujemy za przybycie.

Tuż po pojawieniu się Teda usłyszałam w słuchawce, że *Cudzoziemski pilot* dostał nagrodę w kategorii najlepszy film. Obecni na przyjęciu jak jeden mąż zaczęli bić brawo i wykrzykiwać. Mnie przebiegł dreszcz, rozejrzałam się więc wokół, szukając kogoś, z kim mogłabym dzielić radość. Pochwyciłam spojrzenie Billa, który wtłoczony pomiędzy dziennikarzy, dmuchnął w palce wskazujące, jakby były to lufy sześciostrzałowych rewolwerów. Wszyscy wiedzieliśmy, że *Cudzoziemski pilot* to świetny film i innym trudno będzie go pokonać, ale to jednak nie to samo co nagroda w garści.

Nie mogłam się doczekać, żeby to uczcić. Być może zły humor moich szefów i kolegów ulotni się teraz jak kamfora i będziemy mogli cieszyć się zwycięstwem, na które wszyscy zapracowaliśmy, ogrzać w promieniach dumy emanującej z Phila i Tony'ego.

Blizniacy Waxmanowie to dla wtajemniczonych absolutni autsajderzy w tym biznesie. Przez ostatnie dwadzieścia lat ich mieszanka filmów niszowych i bezwzględnych

transakcji handlowych nieźle dała w kość przemysłowi filmowemu, a potem na dokładkę mu dokopała. Dotąd Oscar za najlepszy film jakoś im się wymykał. Phil i Tony nie uważali, że „uzyskanie nominacji to już zaszczyt”. Wierzyli w zasadę, że Zwycięzca Bierze Wszystko. Dziś, za pomocą *Cudzoziemskiego pilota*, właśnie tego dokonali. Nie dość że obraz ten powtórzył ustanowiony kilkadziesiąt lat temu rekord dotyczący liczby Oscarów przyznanych jednemu filmowi, to jeszcze na dodatek *Glorious* ustanowiło nowy rekord, jeśli idzie o ogólną liczbę Oscarów zdobytych przez jedną wytwórnię.

Zamęt panujący na Bulwarze Zachodzącego Słońca wzrósł dość gwałtownie i stało się jasne, że Phil i Tony Waxman szykują się do *entrée*; w słuchawce słyszałam, jak Robert i Clark ustalają z policją Los Angeles zatrzymanie ruchu w obu kierunkach. Wyczekiwana chwila, do której tak długo się przygotowywano, w końcu nadeszła. Przypadkowi pozostawiono jedynie to, który z nich będzie trzymał w ręku statuetkę, gdy będą wysiadać z samochodu.

Kiedy limuzyna zatrzymała się przy krawężniku, zapalono reflektor żarowy, a helikoptery opuściły się tak nisko, że powiew powietrza wzniecony ich rotorami zwał mi włosy do tyłu i oblepił suknią ciało. Szofer wysiadł, stanął nieruchomo z dłonią w rękawiczce na klamce tylnych drzwi, by po chwili otworzyć je zamaszystym gestem. Błysnął milion fleszów, kiedy Phil i Tony wysiadali z limuzyny, razem podnosząc swojego Oscara.

Była to osobliwa para. Zwalisty Phil był potężny, miał ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu, potężne bary i klatkę jak u napastnika w futbolu amerykańskim. Głowa też była wielka, twarz mięsista, a w niej małe, rozsierdzone

oczka, które nie przegapiały niczego. Rozluźnił krawat i rozpiął kołnierzyk koszuli, żeby trochę ulżyć grubej szyi; uszyty na miarę smoking wydawał się trzeszczeć w szwach rozpychany ogromnym ciałem. Tony miał metr osiemdziesiąt i był szczupły, natomiast jego całkiem sympatyczną twarz szpeciły włosy. Jasnokasztanowate, matowe i kędzierzawe robiły wrażenie, jakby coś się w nich gnieździło. Jednak tego wieczoru w smokingu od Valentina, wyglądał zupełnie znośnie, przynajmniej od czoła w dół. Gloria Waxman opuściła limuzynę ostatnia, a potem, promieniejąc matczyną miłością, czekała na synów na końcu czerwonego dywanu. W zdobionej paciorkami sukni od Escady i w etoli z nerek Blackglama była w każdym calu elegancką matką rodu. Z włosami polakierowanymi w taki sposób, żeby pasowały do złotej statuetki, którą, w co ani przez moment nie wątpiła, jej synowie musieli zdobyć, spoglądała dumnie, niczym jakaś żydowska Rose Kennedy prezentująca ekskluzywną modę.

Gloria Waxman, natchnienie synów, osoba, której imię uwieczniono w nazwie wytwórni, uwielbiała opowiadać o trudnym porodzie bliźniaków. Podczas przeprowadzonego z nagłej konieczności cesarskiego cięcia położnik przeraził się, że Phil i Tony są ze sobą zrośnięci. Tymczasem okazało się, że niemowlęta, wcepione w siebie z całych sił, ścisnęły się wzajemnie za szyję. Obecnie, mniej więcej czterdzieści osiem lat później, zaledwie odrobinę rozluźnili ten uścisk. Toczyli ze sobą zażarte walki niczym piłbule i byli nieznośnie o siebie zazdrośni. Mimo że zawsze obaj figurowali jako producenci w czołówkach wszystkich filmów Glorious, to jednak każdy konkretny był przypisany albo do Tony'ego, albo do Phila. Jeśli film jednego z nich odniósł sukces w kinach, ten drugi bezlitośnie wy—

szczyła następny projekt brata. To, co dla Tony'ego było wszelkie kasowe rekordy, było „do bani” w porównaniu z tym, co właśnie „zapiął na ostatni guzik” Phil. Album ze ścieżką dźwiękową do najnowszego filmu Tony'ego był „odjazdowy”, podczas gdy świeżo kupiony przez Phila scenariusz „pod każdym względem nadawał się tylko na kasety wideo”. Kampania promocyjna filmu Tony'ego była „śmiechu warta”, podczas gdy obsadzenie przez Phila hollywoodzkiego symbolu seksu w kręconym właśnie filmie było „wyborem twojego fiuta, nie żebym miał o to pretensję”. I tak bez końca. Raz Phil, raz Tony, Tony i Phil, okładający się nawzajem dla sławy i fortuny, które i tak ostatecznie dzielili po połowie.

Bliźniacy zgrywali się właśnie przed kamerami — najpierw udawali, że szarpią się o swoją nagrodę, a potem tulili statuetkę jak niemowlę. Nawet Tony, który na ogół stronił od światła jupiterów, czuł się znakomicie w tej atmosferze pochlebstw. Szli na tę zwycięską galę po czerwonym dywanie niemalże tanecznym krokiem. W pewnym momencie Tony wskoczył na ramiona Phila i wznosił statuetkę wysoko w górę — przypominali jakiś dziwaczny hollywoodzki słup totemiczny — Gruby Phil, Sprawny Tony i ich błyszczące niemowlę, Oscarek. Ten wizerunek stanie się jednym z najbardziej znanych zdjęć roku. Potem podeszli do matki i wręczyli jej trofeum. Mimo że miała siedemdziesiąt lat i była drobnej budowy, ciężar statuetki ani trochę nie zbił jej z tropu. Wycisnęła ją jedną ręką do góry, podczas gdy drugą, ze zwróconym na zewnątrz grzbietem dłoni, wykonała gest na pół Rocky'ego, na pół królewski, a tak naprawdę stuprocentowo własny, gest Glorii Waxman.

Po dwudziestu minutach takiej błazenady Waxmano—

wie zniknęli w wejściu do hotelu. Przez słuchawkę usłyszałam, że Roberta i Clarka wezwano do środka, gdzie mieli koordynować wznoszone szampanem toasty na cześć obsady aktorskiej i ekipy technicznej *Cudzoziemskiego pilota*, i wtedy poczułam się niepewnie; nie było najmniejszych oznak, że któreś z nas dostanie szansę, żeby przyłączyć się do zabawy. Przez następne kilka godzin na moim kawałku chodnika wszystko pozostało po starym — witanie osobistości i odsyłanie ich po dywanie do wejścia, słuchanie okrzyków z zagrody dla dziennikarzy i znajomych już połajanek Vivian albo Marlene skierowanych przez walkie—talkie do mnie lub do kogoś innego za okropne faux pas, które bez wątpienia zepsuło cały ten uroczysty wieczór. Usłyszałam też, jak Robert mówi Clarkowi, że Tony polecił odciąć już Głorię od jej ulubionych koktajli Mai Tais. Uśmiechnęłam się, wyobrażając sobie, jak chwiejąca się na wysokich obcasach Gloria unosi pustą szklankę, a Robert podaje jej kolejną, tyle że nie zawiera ani odrobiny rumu.

Kiedy popatrzyłam w górę na hotel, w oknach od strony Bulwaru Zachodzącego Słońca dostrzegłam dziesiątki twarzy. Dla ludzi mieszkających w hotelu Modigliani nasze przyjęcie było prawdziwym koszmarem, bo czyniło z nich sfrustrowanych widzów, płacących krocie jedynie za przywilej gapienia się z daleka. Nie mieli bowiem dostępu ani do westybulu, ani do basenu i musieli wchodzić i wychodzić z budynku przez podziemny garaż; nawet windy zaprogramowano w taki sposób, że nie zatrzymywały się na żadnym z „naszych” pięter. Wielu z nich ogłądało więc tęsknym wzrokiem spektakl przyjazdu uczestników bankietu. Jeden z mężczyzn spuścił się nawet po skręconej z prześcieradeł linie, żeby w momencie, w któ—

rym dotknął stopami ziemi, nadzieć się na rozsierdzoną Marlene. Po trzydziestu sekundach jej wrzasku wdrapał się z powrotem do swojego bezpiecznego pokoju.

Była trzecia nad ranem, pora, kiedy zaczynają się pojawiać ludzie z najbardziej dziwnymi opowieściami; byli wśród nich dwaj mężczyźni, każdy utrzymywał, że jest jakimś Williamem Morrisem, który zresztą przyjechał dwie godziny wcześniej, a także wypacykowana kobieta w wytartym futerku z wiewiórek wymachująca podrabianą statuetką Oscara, którą, jak twierdziła, właśnie zdobyła. Niby w jakiej kategorii, najlepszej bajeczki? — pomyślałam sobie niezycliwie.

Potem podszedł do mnie mężczyzna, który kręcił się na końcu dywanu, w ogóle nie próbując wejść do środka. Miał siwe włosy i pobrużdżoną twarz. Trochę trzęsły mu się ręce, miał też na nich brązowe plamy, ale ogólnie zachowywał się, jakby był młodszy, niż można by sądzić po wyglądzie. Garnitur miał znoszony, ale porządnie wyprasowany, a krawat w paski zawiązany był w windsorski węzeł.

— Czy wie pani, ile wewnątrz jest osób? — spytał w końcu.

— Nie wiem dokładnie — odparłam, myśląc, że może jest tajnym pracownikiem straży pożarnej, która groziła, że zakończy nasz bankiet, jeśli będzie na nim więcej ludzi, niż pozwalają na to przepisy.

— A jest tam w środku ktoś ciekawy?

— J a s n e , polowa Hollywood — powiedziałam, dochodząc do wniosku, że to pewnie jakiś dziwak, który wybrał się przed świtem na spacer Bulwarem Zachodzącego Słońca.

— A Waxmanowie?

Skinęłam głową.

— No tak, a Ted Roddy?

— Jest tutaj, z tego, co wiem. — Z miejsca, w którym stałam, mogłam widzieć tylko tych, którzy przyjeżdżali, nie widziałam natomiast odjeżdżających.

— To musi być ciekawe, znaleźć się w towarzystwie takiego człowieka. Jaki on jest?

— Nie miałam okazji go poznać. Widziałam go tylko przez jakieś dwie sekundy, kiedy przyjechał z żoną i resztą.

— Przywiózł ze sobą dużo ludzi?

— To rzeczywiście dość niezwykle, bo wszystkim powiedzieliśmy, że mogą wprowadzić tylko jedną osobę towarzyszącą... nawet Ted, który zazwyczaj ma przy sobie ochroniarza i wózkowego, i naturalnie żonę. — Byłam tak zmęczona, że plotłam, co popadnie, do zupełnie nieznanego człowieka.

— Więc tylko Tedowi pozwolono przyjść z dodatkowymi osobami?

— Nie, to nie tak. Freddy Allen zaprosił ochroniarza Teda jako swoją osobę towarzyszącą, a sam, osobiście, pchał fotel na kółkach.

— Coś podobnego. Jakież to szlachetne ze strony pana Allena.

— Też tak sobie pomyślałam. Cóż, w końcu facet jest przykuty do wózka. Moglibyśmy nie być tacy rygorystyczni w tym przypadku. — Moje myśli wyraźnie omijały tę część mózgu, która podejmuje sensowne decyzje, i trafiły bezpośrednio na język. — Proszę wybaczyć — powiedziałam i oddaliłam się o kilka kroków.

— Marlene — szepnęłam do mikrofonu. — Jest tu jakiś gość, który zachowuje się naprawdę dziwnie. Zadaje mi mnóstwo pytań.

— Dzięki, Karen. Bo mnie samej naturalnie nie przyszło do głowy, że ktoś dziwaczny mógłby łączyć po Holly—

wood w środku nocy. Możesz przestać zawracać mi głowę kompletnymi bzdurami?

Krótkofalówka zamilkła, a ja zerknęłam tam, gdzie przed chwileczką stał ten mężczyzna. Nie było go. Natychmiast pożałowałam, że zawracałam Marlene głowę, dając jej w ten sposób kolejną sposobność do obrażania mnie. Wiedziałam, że tak właśnie rozmawiają ze sobą ludzie w mojej firmie. Tak się odnosili do swoich przyjaciół i współpracowników, i do nianiek swoich dzieci, i do mężów, i do żon, i do narzeczonych, i do rodziców, a chociaż zdawałam sobie z tego sprawę, w tej chwili nie pozwoliło mi to poczuć się ani odrobinę lepiej.

Od pierwszego dnia w Glorious Pictures musiałam sobie ciągle powtarzać, że wszyscy tutaj pracują w ogromnym stresie. Fakt, że mieliśmy wielką szansę na wygraną w kategorii najlepszy film, zmuszał wszystkich do pracy w zabójczym tempie. Łatwo wpadano w złość, oczekiwania były wygórowane, emocje rozhuśtane. Mówiłam sobie, że to zupełnie naturalne tak warczeć na osoby najbliższe i najdroższe, szczególnie kiedy stawka jest naprawdę wysoka. Dlaczego zatem teraz, kiedy osiągnęliśmy cel, nie dawało się odczuć najmniejszej ulgi?

Mniej więcej za kwadrans piąta wszystkim nam, którzy pracowaliśmy na dworze, pozwolono w końcu wejść do hotelu, a ci, którym przydzielono stanowiska wewnątrz budynku, mogli je wreszcie opuścić. Padliśmy na kanapy i miękkie fotele stojące w westybulu. Po kilku minutach przechodził tamtędy Tony. Obrzucił nas spojrzeniem.

— Zawsze się tak objacie? — rzucił przez zaciśnięte zęby. — Myślicie, że jesteście na jakimś cholernym płatnym urlopie?

Natychmiast jak spod ziemi wyrosła Allegra i wtrąciła swoje trzy grosze.

— Jak wam nie wstyd? Przez was wszyscy wyglądamy jak banda nieudaczników — wysyczała.

Rozejrzałam się wokół. Było pusto, jeśli nie liczyć kilku pracowników firmy cateringowej, którzy składali stoły i ustawiali w stosy drewniane krzesła. Wyczułam, jak przez całą grupę przepłynęła fala gniewu, ale nikt się nie odezwał. Byliśmy zbyt zmęczeni.

Nagroda za najlepszy film spoczywała bezpiecznie w rękach Waxmanów dopiero od kilku godzin, a mimo to ten jadowity ton zdążył już powrócić. Podczas tych kilku godzin przed świtem, które nadeszły po przyznaniu nagród, zaczęłam pojmować błąd w moim rozumowaniu: W Glorious Pictures atmosfera ani na chwilę się nie rozluźnia.

Doszedłszy do wniosku, że lepiej będzie wrócić do hotelu, niż zostać tutaj i czekać, kto następny mnie zruga, zabrałam się z Clarkiem jego samochodem do Four Seasons. Kiedy wjeżdżaliśmy windą na górę, próbował mnie pocieszyć.

— J e s t w Glorious taka tradycja. Od południa mamy, przy basenie, wynajęte dwie najlepsze przebieralnie. Podadzą koktajl mimoza, będą masaże, oczyszczanie skóry, różne zabiegi... i zanim się obejrzysz, po tej nocy zostanie ci co najwyżej złe wspomnienie. Prześpij się trochę, a potem się spotkamy. — Poklepał mnie delikatnie po głowie, zupełnie jakbym była dzieckiem.

Z sandałkami w ręku pokuśtykałam do pokoju i nie zdejmując wieczorowej sukni, rzuciłam się na łóżko.

Oczy szeroko zamknięte

Trzeba szczerze powiedzieć, że nie wdepnęłam w to wszystko z zamkniętymi oczyma. Wytwórnia Glorious Pictures była znana z tego, że niełatwo w niej pracować. Słyszałam plotki, że istnieje nawet specjalny program dwunastu kroków dla byłych pracowników, którzy spotykają się gdzieś na przedmieściach New Jersey. GlorAnon był albo rzeczywiście anonimowy, albo fikcyjny, bo kiedy później wypytywałam wokół, nikt nie potrafił potwierdzić jego istnienia. Tak czy owak, krążyło mnóstwo opowieści o młodych zdolnych, którzy poszli pracować do Glorious, a po odejściu stamtąd jedyne pytanie, jakie umieli zadać, brzmiało: „Na miejscu czy na wynos?” Taki był ich stan. Ja jednak zdecydowałam się skupić na opowieściach z lepszym zakończeniem: dwudziestoczteroletni wiceprezesi z personelem i wynagrodzeniem stosownym do ich imponujących tytułów; asystentka, która wysmażyła pochwalną recenzję własnego napisanego pod pseudonimem scenariusza i już po kilku tygodniach dostała zielone światło; recepcjonistka, która swoim spontanicznym komentarzem zrobiła na goszczącym tu reżyserze takie wrażenie, że natychmiast awansowano ją na kierownicze stanowisko w produkcji. Natomiast mój pobyt

w Glorious był efektem nie tyle ślepej ambicji, ile zmywy sztuki i nauki przeciwko mnie.

Przed Glorious pracowałam przez prawie cztery lata w dziale badania reklam w CNN. Ostatnio wykonałam analizę, która pokazywała, jaki odsetek widzów tej stacji, statystycznie rzecz ujmując, ma szansę na „uporczywą lub nawracającą” zgałę teraz i w przyszłości. Zarabiałam nieźle, ludzie byli sympatyczni, półroczne oceny mojej pracy wypadały doskonale, przyszłość wydawała się więc pewna, i to pomimo uporczywych i nawracających wątpliwości, czy kiedykolwiek zrealizuję swoje ambicje, robiąc to, co robię. Jednak nawet jeśli sama praca była nudna, to aż z naddatkiem wynagradzały mi to weekendy... mój kalendarz towarzyski znajdował się w rękach mojej najlepszej przyjaciółki Arabelli, walczącej o uznanie początkującej aktorki, oraz mojego chłopaka Gabe'a, walczącego o uznanie początkującego malarza, i tych dwoje pilnowało, żeby był on nieustannie wypełniony. Arabella wyciągała mnie o najdziwniejszych porach na Forum Filmowe albo do kina Walter Reade w Lincoln Center, Gabe natomiast przyjął za punkt honoru, żebyśmy uczestniczyli w jak największej liczbie wernisaży. Gabe, Arabella i ja (oraz ten, z którym akurat Arabella się spotykała) biegaliśmy naszą czteroosobową grupą po mieście, sprawdzając wszystko, od inspirowanej Jamesem Bondem opery przez pokaz przezroczy „medycyna sądowa jako sztuka” do spektaklu *Equus* wystawionego przez uczniów siódmej klasy w jednej z tych bardziej „postępowych” szkół prywatnych. Wspólnie napawaliśmy się tym, co Nowy Jork miał do zaoferowania, pod warunkiem że było gratis albo względnie tanie.

Arabella Thompson była moją najlepszą przyjaciółką

od pierwszego roku studiów na uniwersytecie Massachusetts w Amhurst. (Naprawdę miała na imię Abby, ale po drugim roku przestała na nie reagować.) Jako przedmiot kierunkowy wybrała dramat, ja zaś wkuwałam nauki polityczne, zatem nasze ścieżki mogły się nigdy nie przeciąć, gdyby przypadkiem nie przyszło nam zasiąść po przeciwnych stronach podczas debaty na temat „prawdy w filmie”, przeprowadzonej po emisji *Wszystkich ludzi prezydenta*. Tamtego wieczoru odkryłyśmy, że dużo zabawniej jest spierać się z kimś niż zgadzać z jego opinią, i bardzo szybko stałyśmy się nierozłączne. Arabella, nienasycona miłośniczka kina, wiedziała wszystko o niemal każdym nakręconym filmie, by już nie wspomnieć filmowych osobistości, reżyserów i producentów, a jeśli chodzi o kadrę menedżerską przemysłu filmowego, to była prawdziwym *Who's Who*. Niestety pochodziła z długiej linii lekarzy — jak dotąd trzy pokolenia — i wyglądało na to, że wszyscy, łącznie z tymi dawno nieżyjącymi, wywierali na nią ogromny nacisk, żeby kontynuowała rodzinną tradycję. Przyjęto ją do Johns Hopkins School of Medicine, Alma Mater Thompsonów, ale zwlekała z rozpoczęciem tam studiów, chcąc dalej uczyć się aktorstwa i brać udział w przesłuchaniach do ról telewizyjnych w Nowym Jorku. Ostatecznie przyznała niechętnie, że prędzej zostanie lekarzem, niż uda jej się zagrać lekarza w telewizji. Przeniosła się więc do Baltimore, gdzie przez kolejne dwadzieścia lat mogła odgrywać rolę studentki medycyny... a przynajmniej ja odniosłam takie wrażenie.

Przyrzekłyśmy sobie spędzać razem weekend przynajmniej raz w miesiącu, albo w Marylandzie, albo w Nowym Jorku, jednak wkrótce uniemożliwił jej to natłok zajęć związanych z poznawaniem anatomii, fizjologii i hi—

stologii. Jesienią było już wiadomo, że mamy szczęście, jeśli udaje nam się porozmawiać raz na tydzień przez telefon, i wtedy ona zarzucała mnie terminologią medyczną i zapoznawała z makabrycznymi szczegółami na temat sekcji wykonywanej na Lloydzie, czyli przydzielonych jej zwłokach. A jeszcze tak niedawno jedynym tematem, którego wręcz obsesyjnie się trzymała, były perły kineematografii. Najsmutniejsze w tym wszystkim było to, że ponownie stała się Abby.

A potem, w pierwszy weekend po Święcie Dziękczynienia, strasznie się pożarłam z Gabe'em. Niewątpliwemu talentowi Gabe'a zdecydowanie dorównywał chyba tylko jego brak umiejętności zareklamowania własnej osoby; mimo że marzył o miejscu w śródmiejskich galeriach i w zaadaptowanych na mieszkania pomieszczeniach fabrycznych w SoHo, należących do ewentualnych mecenasów, utrzymywał się z prac dorywczych. Ostatnią wykonywał w domu aukcyjnym Christie's, pełen nadziei, że tam, w nieformalnej atmosferze, nawiąże jakieś kontakty zawodowe ze środowiskiem artystów; tymczasem wylądował na rampie, gdzie uczestniczył w załadunku i rozładunku antycznych mebli. Po tygodniu odszedł stamtąd zde gustowany, mówiąc, że ma dość sytuacji, kiedy szef zachowuje się tak, jakby komódki Chippendale były cenniejsze od jego, Gabe'a, grzbietu. Zamiast przyznać, że jego podejrzenia są zapewne słuszne, zasugerowałam, że może nadszedł czas, żeby rozważyć inny sposób zarabiania na życie, być może w dziedzinie sztuki użytkowej. Gabe odebrał to jako ostateczny dowód na to, że tak naprawdę nigdy nie wierzyłam w jego malarstwo, i oświadczył, że przeprowadza się do wschodniego Kentucky, gdzie zamieszka u stryjecznego dziadka praktycznie za

darmo i gdzie nic nie będzie „odrywać go od pracy twórczej”. Choć wiadomo, że najlepszym lekarstwem na rozpacz jest nawał zajęć, to ja jednak nie miałam kim być zajęta i w rezultacie czułam się nie tylko porzucona, ale i śmiertelnie znudzona. Stwierdziwszy, że Gabe i Arabella znaleźli się nagle poza moim zasięgiem, postanowiłam przyjrzeć się dokładnie tym wycinkom mojego życia, które mogłyby odnieść korzyść z zaistniałej sytuacji. Pod mikroskopem pojawił się preparat o nazwie „Kariera”.

Przez całe studia rozpierała mnie ambicja; pragnęłam zdobyć dyplom i ruszyć, choć nie było dla mnie całkiem jasne dokąd. Miałam kilka posad przeznaczonych dla nieodświadczonych, a tę obecną w CNN dostałam za pośrednictwem znajomej mojej znajomej i już trzymałam się jej dłużej, niż kiedykolwiek zamierzałam. Zupełnie nie wiem, jak minęły mi tam cztery lata. Abby co prawda zrezygnowała ze swoich marzeń, niemniej jednak jej plan B całkiem dobrze się zapowiadał. Gabe postanowił poświęcić się malowaniu, ostatecznie przedkładając to nad nasz związek. Nie uszło mojej uwagi, że sytuacja jest paradoksalna — oni oboje wiedzieli, czego chcą, gdy tymczasem ja, jedyna, która regularnie co dwa tygodnie otrzymywała czek z wypłatą, była objęta ubezpieczeniem zdrowotnym i pełnowartościowym systemem emerytalnym, nie miałam najmniejszego pojęcia.

Takie oto myśli plątały mi się po głowie, kiedy pewnego styczniowego wieczoru wlokłam się, żeby dołączyć do reszty pracowników działu w Itchy's Taco Heaven, miejscu naszych coczwartkowych spotkań. Wreszcie neon z papryczką chili zamigotał w mroku obietnicą szklanki

mocnej margarity w dającej się przewidzieć przyszłości; jakoś te czwartkowe wieczory stały się dla mnie najważniejszym punktem tygodnia.

Kiedy ze swoim pierwszym drinkiem przepychałam się do naszego stolika przez tłumek dojeżdżających do pracy i sekretarek, pomyślałam, że dzięki tym spotkaniom przynajmniej trochę lepiej poznaję kolegów. Sadowiąc się na krzesło, zauważyłam nieznaną twarz.

— Karen, to jest Clark Garland — powiedział Pete, główny statystyk z naszego działu. — Chodziliśmy razem do szkoły. Rzadko go ostatnio widuję, bo tyra jak głupi dla Glorious.

Nie przestyszałam się? Ten gość pracował dla Glorious Pictures? Abby w życiu by nie uwierzyła. Z tych milionów filmów, jakie obejrzałyśmy, wyprodukowane przez Glorious należały do jej ulubionych. Miała dosłownie bżika na punkcie bliźniaków, którzy zarządzali wytwórnią, szczególnie na punkcie Tony'ego Waxmana, niższego z braci. Media przedstawiały ich albo jako pazernych niechlujów, albo jako błyskotliwych artystów, zależnie od dnia tygodnia, a niektóre historie, jakie mi o ich firmie opowiadała, były równie frapujące jak same filmy.

Aż podskoczyłam z wrażenia, omal nie przewracając szklanki z koktajlem.

— Karen Jacobs, miło mi pana poznać — wydyszałam i wyciągnęłam rękę. — Uwielbiam filmy Glorious. Na *Teatro Incantato* tak szlochałam, że bałam się, że mnie wyproszą z sali.

Zorientowałam się, że nieprzerwanie potrząsam ręką Clarka, zawstydzona, raptownie ją puściłam, przez co on oblał się martini. Udał szlachetnie, że nic się nie stało, podczas gdy Pete obrzucił mnie zaintrygowanym spojrze—

niem. W pracy siedział dwa boksy ode mnie i musiał być zdumiony, że teraz do Clarka wypowiedziałam więcej słów niż do niego przez cały ten czas, kiedy razem pracowaliśmy.

Clark miał jakieś metr osiemdziesiąt wzrostu i jego szlachetne rysy twarzy w połączeniu ze smukłą, wysportowaną sylwetką i długimi nogami sprawiały, że robił wrażenie kogoś, kto dużo gra w squasha. Ciemne, kasztanowe włosy przeredziły się już tu i tam, ale za to u nikogo nie widziałam takiego niefrasobliwego uśmiechu. Podczas kiedy ja i moi koledzy wyglądaliśmy żałobnie, a to z racji obłądnie sztywnych reguł dotyczących ubioru, obowiązujących w naszej firmie, Clark ubrany był modnie i wszystko, co miał na sobie — najwyższej jakości dżinsy, czarny kaszmirowy, z okrągłym wycięciem sweter, rozchodzone mokasyny od Gucciego — wyglądało swobodnie, wygodnie.

— Mnie też się ten film podobał — powiedział. — A w ciągu paru najbliższych miesięcy wejdzie na ekrany kilka świetnych nowych... jeśli tego dożyję — dodał z uśmiechem.

Skinęłam głowę z powagą.

— Słyszałam, że niełatwo tam pracować. A czym ty się zajmujesz? — spytałam.

— Pracuję w public relations, najbardziej zwariowanym dziale w tym szalonym miejscu. Ale uwielbiam tę robotę.

Uwielbiał ją! Nie mogłam się doczekać, żeby zadzwonić do Abby i powiedzieć, że poznałam faceta z działu public relations w Glorious Pictures, który uwielbia swoją pracę, bo jest taka ciekawa i wariacka, jak sobie wyobrażałyśmy. Przez resztę wieczoru włączyłam się za Clarkiem jak wygłodniały spaniel, zamęczając go pytaniami, żądna każdego kęsa informacji na temat Glorious, jaki

ze chciał mi rzucić. Pete'owi, któremu nie pozwalałam dojść do słowa, udało się w końcu wcisnąć pytanie, czy to prawda, że Waxmanowie ciągle się sprzeczą.

— Sprzeczą? To zupełnie nieodpowiednie słowo. Jest to raczej walka wręcz — oświadczył Clark. — Są dni, kiedy nie wierzę własnym oczom, że coś takiego może się dziać.

— Na przykład co? — spytałam, podekscytowana możliwością przekazania Abby jakiejś ciekawostki z pierwszej ręki.

— Tony nieustannie wydziwia na sposób odżywiania się Phila... który, nawiasem mówiąc, jest rzeczywiście okropny. Niedawno Tony wszedł do biura i zobaczył, że Phil wcina półmetrowy stek i przysunął twarz do twarzy brata. „Rób tak dalej... to wykorkujesz, a ja zgramę wszystko!”, wrzasnął. Tony natomiast dużo trenuje w wielu dyscyplinach sportu, szczególnie kiedy jest w stresie, co oznacza, że zawsze. Przychodzi do pracy w stroju sportowym z lat siedemdziesiątych... no wiecie, nylonowe dresy i opaska frotte na głowie. Na przykład w zeszłym tygodniu, podczas spotkania z reżyserem *Gawrona 2: Nigdy, przenigdy* ćwiczył ze skakanką i przypadkowo zahaczył Phila. Wiadomo, że Phil nie był zachwycony. Wyraził się chyba dosłownie tak: „Zabierz to cholerstwo z mojej szyi, Tonto”.

— Powiedział Tonto?

Oboje z Pete'em unieśliśmy brwi. W ubiegłym miesiącu braliśmy udział w opłacanych przez naszą firmę warsztatach na temat różnorodności kulturowej w miejscu pracy i dowiedzieliśmy się, że tego konkretnego słowa należy za wszelką cenę unikać. Było obraźliwe zarówno dla tubylców, jak i wszystkich znających hiszpański, jako że *tonto* znaczy tyle co „głupek”.

— Czy w dzisiejszych czasach nie uważa się tego za skrajnie niepoprawne politycznie? — spytał Pete.

— Zgadza się. Ale to właśnie jest takie miejsce.

Po kilku rundach zaczęłam się ze wszystkimi żegnać.

— Karen, wspaniale było cię poznać — powiedział Clark z niegasnącym uśmiechem na twarzy. — Jak się z tobą skontaktować? Wydaje mi się, że jest coś, o czym mogliśmy pogadać — dodał.

Nie bardzo wiedząc, co ma na myśli, wyciągnęłam wizytówkę. Odniosłam nieodparte wrażenie, że jest gejem — choć ostatnio w Nowym Jorku trudno było się w tym zorientować — ale miałam nadzieję, że się mylę. Pójście do kina z pracownikiem Glorious niewątpliwie podniosłoby mnie na duchu.

Nazajutrz po południu, tuż po tym, jak odkryłam, że 57 procent naszych widzów lubi jeść galaretki, a 85 procent z tych 57 uznało te „niebieskie” za swoje ulubione, zadzwonił Clark.

— Cześć, Karen. Już wczoraj wieczorem mogłem o tym wspomnieć, ale nie chciałem robić tego przy wszystkich — oświadczył. — Szefowa mojego działu potrzebuje nowej asystentki. Wiesz tak dużo o naszych filmach i jesteś pełna entuzjazmu. Może zechciałabyś przyjść na rozmowę? Myślę, że świetnie się nadajesz.

— Je j k u . Bardzo ci dziękuję, że o mnie pomyślałeś.

Adrenalina skoczyła mi jak szalona, a słuchawka w dłoni zwilgotniała od potu. Przełożyłam ją do drugiej ręki i próbowałam choć trochę odzyskać panowanie nad sobą. Słuchałam więc wyjaśnień Clarka, co mam zrobić, by oficjalnie zgłosić swoją kandydaturę. Powiedział, że po otrzymaniu mojego CV zadzwonią z informacją, kiedy mam przyjść na rozmowę. Już w kilka minut po zakończeniu

tej obiecującej konwersacji z Clarkiem, uzupełniłam swoje CV, wysłałam je e—mailem do Glorious i zadzwoniłam do Abby.

— Cześć, Karen. Właśnie wkuwam do egzaminu z położnictwa. Wiesz, że u ciężarnej kobiety wyrostek robaczkowy przemieszcza się na lewą stronę?

— Nie, nie wiem. To niesamowite. A ty wiesz, że staram się o pracę w Glorious Pictures?

— Naprawdę? W tym Glorious? Waxmanów? — Abby aż wrzasnęła w słuchawkę.

— Tak jest, właśnie tam. — Opowiedziałam jej w skrócie, jak poznałam Clarka.

— Karen, muszę pędzić do laboratorium, ale będę trzymała za ciebie kciuki. Zacisnę nawet kciuki Lloydowi.

— Możesz coś takiego zrobić? — spytałam, usiłując nie myśleć o stężonych pośmiertnie dłoniach śliwkowego koloru.

— Jak najbardziej — odparła. — On chętnie współpracuje.

Przez resztę popołudnia starałam się kontynuować badania galaretkowe, ale myślami ciągle wracałam do rozmowy z Clarkiem. W ostatnich latach Abby, Gabe i ja widzieliśmy kilka świetnych filmów, które wyszły z wytwórni Glorious — *Pulapka pozorów*, *Perp Friction*, *Rozdroża szczęścia* i *Szept dziewczyny*, żeby wymienić kilka... które najczęściej doprowadzały do bardzo ożywionych dyskusji w tureckim barze z kebabem, gdzie często chodziliśmy na zakończenie wieczoru. Czasami inni goście dorzucali swoje trzy grosze; któregoś razu dwie radykalne feministki gotowe były rzucić się na Gabe'a ze szpikulcami do szaszłyków po wysłuchaniu jego komentarza na temat sceny okaleczenia w *Oboju*. Wiedziałam, że nie wszystkie filmy Glorious wywołują takie emocje, jednakże rok po roku zyski

wytwórni rosły, a jej sukcesy omawiano nie tylko w prasie kolorowej, ale i w „Wall Street Journal”. Tym samym zyskałszy dowód na to, że można zrobić pieniądze na ryzykownych przedsięwzięciach artystycznych; trzeba tylko wybrać te właściwe. Nawet jako asystentka znalazłabym się w pobliżu niektórych najbardziej utalentowanych, błyskotliwych i pomysłowych twórców kina. I kto wie? Jeśli istniało gdzieś jakieś miejsce, gdzie nie ma żadnych ograniczeń, to może było nim właśnie Glorious Pictures. Już dawno żadna perspektywa tak mnie nie ekscytowała i było to naprawdę wspaniałe uczucie.

— Karen? — To Pete z nieco poirytowaną miną stuknął ołówkiem w monitor mojego komputera. Jak długo tam stał? — Masz dla mnie te zestawienia porównawcze galaretek? — Podałam mu wydruk. — Nie, potrzebna mi jest część z porównaniem tych w proszku z gotowymi. — Na śmierć zapomniałam, że prosił mnie wcześniej o takie dane, i poczułam się nagle upokorzona, że nad czymś podobnym spędzam większość swojego życia. Galaretki w proszku w porównaniu z gotowymi? Koniecznie muszę się stąd wyrwać.

Dwa tygodnie później siedziałam przy biurku, przeprowadzając powtórny analizę danych na temat zgagi; teraz potencjalny reklamodawca chciał wiedzieć, jaki odsetek widzów ma zgagę co najmniej trzy razy na tydzień. To fascynujące zajęcie przerwał mi telefon od kobiety dysponującej mezzosopranem, która przedstawiła się jako Geraldine Waters, kierowniczka działu personalnego w Glorious.

— Chciałabym, żebyś wpadła porozmawiać ze mną — oświadczyła. — Możesz tu być za godzinę?

Godzinkę? Zakładałam, że będę miała co najmniej jeden dzień na skompletowanie jakichś w miarę modnych fatalasek... a teraz muszę lecieć w swoim regulaminowym CNN—owskim stroju, spódniczka nie krótsza niż pięć centymetrów powyżej kolan, obcasy przy czółenkach nie wyższe niż pięć centymetrów; co gorsza przydałoby się je wyczyścić. A na dodatek na zebraniu o czwartej miałam zaprezentować tę nową informację o zgodzie.

— Jasne, że mogę — odparłam i zanim odłożyłam słuchawkę, już opracowywałam strategię natychmiastowego urwania się z biura.

Wsunęłam głowę do gabinetu szefa.

— Bardzo przepraszam, ale kompletnie zapomniałam, że dziś o drugiej mam zamówioną wizytę u gastroenterologa — wyrzuciłam z siebie. Wymówka nasunęła się sama, jako że mój żołądek podrygiwał jak oszalaty. — Wysłałam ci mailem ten dokument z danymi na temat zgagi i postaram się jak najszybciej wrócić — powiedziałam, robiąc wrażenie, że bardzo się spieszę, żeby uniknąć ewentualnych pytań.

Potem pobiegłam korytarzem do damskiej toalety. Tam zamknęłam się w jednej z kabin, ustawiłam ostrożnie puderniczkę na dozowniku z papierem toaletowym i nałożyłam sobie kolejno pomadkę na usta, tusz na rzęsy i róż na policzki. Klamerką wyłowioną z głębi torebki próbowałam chwycić jedno szczególnie niesforne pasmo włosów i ująć je w jakąś porządną małą fałę. Wyszłam z kabiny z nadzieją, że w rzeczywistości wyglądam lepiej niż ta trochę zielona na twarzy, ozdobiona perłami „żona ze Stepford”, która spoglądała na mnie z lustra. Otworzyłam drzwi toalety i rozejrzałam się, żeby sprawdzić, czy korytarz jest pusty. Potem szybkim krokiem ruszyłam do

windy, przemknęłam przez hol na dole, i truchtem dobiegłam do najbliższej przecznicy i tam przywołałam taksówkę, która miała mnie zabrać do Glorious. Dopiero kiedy znalazłam się w środku i zamknęłam drzwi, pozwoliłam sobie na swobodne wypuszczenie powietrza z płuc. Kiedy podałam kierowcy adres, odwrócił się i spojrzął na mnie.

— Dokąd? — spytał.

— Greenwich Street.

— Pewnie chodzi pani o Greenwich Avenue.

— Nie, jestem pewna, że to Greenwich Street. Niech pan już jedzie w stronę śródmieścia, po zachodniej stronie, a ja spróbuję to rozgryźć po drodze — powiedziałam, zła na siebie, że nie poprosiłam o bardziej szczegółowe wskazówki. TriBeCa — która zawdzięcza tę nazwę faktowi, że jest trójkątem leżącym poniżej Canal Street — Triangle Below Canal Street — wciśnięta jest w dolny lewy kąt Manhattanu, nie objęty numeracją ulic, i łatwo się tam zgubić. Pod koniec dziewiętnastego wieku była to przemysłowa dzielnica miasta; obecnie, całe stulecie później, odkryto ją na nowo, bo ma tę jedną rzecz, która była w stanie powalić na kolana zamożnych nowojorczyków — wolny metraż. Porzucone magazyny i fabryki szybko przerobiono na luksusowe apartamenty, na tyle obszerne, że można w nich było urządzać przyjęcia na kilkaset osób, gromadzić imponujące kolekcje dzieł sztuki, a także zapewnić jej otwartą przestrzeń nad głową, za którą tęsknią rozmaite znakomitości, magnaci filmowi i różne odnoszące sukcesy twórcze postaci. Jednak chociaż znajdowały się tutaj banki inwestycyjne i inne instytucje białych kołnierzyków, to przecież tak naprawdę dopiero nowojorskie środowisko niezależnych filmowców zaznaczyło Ti—

BeCę na planie miasta... nawet jeśli większość taksówkarczy nie bardzo się orientowała w tym terenie.

Taksówka skręciła ostro w lewo, rzucając mną przy okazji, bo co prawda kierowca zauważył Greenwich Street jakieś trzy metry za późno, to jednak zdecydował się w nią skręcić. Kiedy zobaczyłam niski budynek z czerwonej cegły, przed którym w trzech rzędach stały zaparkowane egzemplarze flagowego auta marki Lincoln, poprosiłam kierowcę, żeby stanął, na co zareagował, hamując entuzjastycznie. Weszłam do środka, dostałam od ochroniarza przepustkę gościa i windą pojechałam na piętro zajmowane przez Glorious.

Kiedy się przedstawiłam, recepcjonistka poinformowała mnie, że Geraldine jest „ociupinkę opóźniona względem harmonogramu”. Czekałam, rozglądając się wokół, patrząc na afisze filmowe, statuetki nagród i plakietki, które urozmaicały tę część recepcyjną, poza tym wyglądającą nędznie, której głównym meblem była stara, poplamiona kanapa ustawiona na wytartej wykładzinie. Siedziałam tam może pięć minut, kiedy z windy wysiadło czterech mężczyzn, najwyraźniej posłańców z koszernych delikatesów przy Drugiej Alei, bo każdy z nich miał torbę, na której widniało wyraźne logo tego sklepu, oraz ogromną tacę pełną wykwinnych kanapek. Nawet przez plastikowe opakowanie czułam smakowitą woń wędzonego mięsa oraz musztardy. Doszłam do wniosku, że to dobry znak. Mój ojciec wybierał się do delikatesów przy Drugiej Alei za każdym razem, kiedy mnie odwiedzał, a ja z chęcią towarzyszyłam mu przy zakupach tych ogromnych kanapek z żytniego chleba przełożonych pastrami, które dosłownie rozplływały się w ustach, a potem ponownie składały w całość w żołądku i ciążyły jak cegła.

— Przynieśli lunch Phila — recepcjonistka rzuciła w słuchawkę telefonu, zanim skierowała mężczyznę do właściwych drzwi. Zastanawiałam się, ile takich kanapek jest w stanie skonsumować Phil Waxman.

Po dziewięćdziesięciu minutach czekania zaczęłam dręczyć się obsesyjnie, że nie jestem na to spotkanie ani trochę przygotowana. Prawdą było, że Abby przysyłała mi maile z zagadkami dotyczącymi historii Glorious i przez telefon kazała ćwiczyć odpowiedzi na pytania w stylu „Co wartościowego wniesiesz do naszej firmy? i „Jak sobie radzisz w sytuacjach stresowych?” Nie dało się jednak ukryć, że miałam doświadczenie w reklamach telewizyjnych i związanych z nimi badaniach, natomiast nie miałam najmniejszego pojęcia o public relations. Poczułam, jak wilgotnieją mi dłonie i wysycha w ustach. Bo cóż tak naprawdę miałam do zaoferowania poza rekomendacją Clarka? Wyciągnęłam szyję i poruszałam rytmicznie barkami, usiłując się jakoś odprężyć i żałując, że nie chciałam kiedyś skorzystać z lekcji jogi, na które namawiała mnie Abby. Kiedy obracałam głowę w jedną i drugą stronę, najmocniej jak tylko się dało, zwróciłam uwagę na wielkie malowidło, które zajmowało całą ścianę za moimi plecami. Składało się głównie z czerwonych plam wypuszczających z siebie coś, co wyglądało na pęki plastikowych żyłek. Odwróciłam się i odczytałam podpis:

Pragnienie serca
Olej na płótnie z żyłką wędkarską i taśmą klejącą
Trudi Waxman

To ci dopiero, pomyślałam sobie, prawdziwy dowód na to, że bliższa koszula ciału. Jaka szkoda, że Gabe nie jest

spokrewniony z Waxmanami. Pomyślałam teraz o nim, o tym, że przebywa gdzieś na wsi w Kentucky i prawdopodobnie odziany w wygodny kombinezon tworzy cudowne obrazy w oderwaniu od mojego sceptycyzmu, który tak go do tego zniechęcał. Już chyba setny raz tego tygodnia łamałam się, czy zadzwonić do niego czy nie. Nie byłam pewna, czy będzie to dla nas obojga pchnięcie nożem czy też gest pojednawczy. Moje rozmyślenia przerwało pojawienie się wysokiej kobiety z ręką wyciągniętą w moim kierunku. Włosy, brwi, paznokcie, szminka i kostium ze spodniami, wszystko to miała marchewko—wopomarańczowe.

— Ty pewnie jesteś Karen — oświadczyła, ściskając mocno moją dłoń. Tym uściskiem mówiła jasno: „Ja tutaj rządę”. Próbowałam ścisnąć jej rękę równie mocno, na co ona tylko wzmocniła uścisk; w rezultacie w samoobronie musiałam zrezygnować z dalszych popisów.

Poszłam za nią ciągiem korytarzy do jej gabinetu, gdzie posadziła mnie przed swoim biurkiem. Kiedy schyliłam się, żeby wyjąć CV z teczki, zauważyłam w kącie pod biurkiem rozkosznego miniaturowego jamniczka.

— Cześć, mały — odezwałam się i spróbowałam go pogłaskać. Warknął i obnażył kły.

— To Harvey — wyjaśniła Geraldine, spoglądając na psa z uwielbieniem. — Czasami bywa strasznym potworem, ale na ogół nie gryzie. — Nie brzmiało to zbyt przekonująco, więc ukradkiem ustawiłam teczkę pomiędzy sobą a psem. Harvey zareagował ukazaniem całego garnituru zębów w gniewnym grymasie.

— Chyba nigdy nie widziałam psa z takimi białymi zębami — oświadczyłam, kombinując, co miłego mogłabym powiedzieć o tej małej podłej bestii.

— Cieszę się, że to zauważyłaś — powiedziała Geraldine, ponownie obdarzając jamnika pełnym uwielbienia spojrzeniem. Pomachała do niego słodziutko, a on ledwo poruszył ogonem. Patrzyła rozpromieniona, kiedy ten ziewał i oglądał sobie łapę. — Uśmiech Harveya nie był taki jak trzeba, wobec czego zabrałam go do psiego dentysty i wybieliłam mu ząbki. — Geraldine mówiła bardzo szybko, jakby chciała od razu wszystko z siebie wyrzucić.

Zerknęłam ponownie na psa, który ciągle wystawiał na pokaz rezultaty stomatologii estetycznej, chociaż tym razem jego mina robiła wrażenie nachmurzonej. Mógłby zagrać rolę nadąsanego członka grupy Osmond Brothers.

— Mówił mi o tobie Clark Garland — powiedziała Geraldine. — Uważa, że sprawdzisz się jako wsparcie Allegry.

Wsparcie Allegry? Czy to coś takiego jak chwyt Heim—licha czy ćwiczenia Kegla? Najwyraźniej jednak nie... bo Geraldine zaczęła wyjaśniać, że Allegra Orecchi jest w Glorious szefową działu public relations i że ma dwie asystentki, które pomagają jej w codziennym prowadzeniu biura, a także przy bardziej interesujących przedsięwzięciach, takich jak planowanie premier i wspomaganie organizacji imprez wyjazdowych, na przykład Sundance Film Festival czy wręczenie nagród Akademii Filmowej.

— Będziesz jej drugą — oznajmiła Geraldine, mając na myśli drugą asystentkę — z tym, że ta pierwsza rozpoczęła pracę dopiero kilka miesięcy temu, więc jeśli chodzi o starszeństwo, będziecie mniej więcej sobie równe. To całkiem ekspanowane stanowisko... będziesz spędzać dużo czasu z Philem i Tonym Waxmanami, a także z aktorami i filmowcami.

Czekałam na sposobność, żeby wykazać się znajomością firmy — wymienić liczbę zdobytych przez Glorious

Oscarów, wysokość zysków z ostatnich dwóch lat, powie-
dzieć, jakie filmy znajdują się obecnie w produkcji — ale się
nie doczekałam. Geraldine mówiła, a ja kiwałam głową.

— Różnica wieku nie będzie ci przeszkadzać? — zapytała
mnie z całkowitą powagą.

Nie miałam najmniejszego pojęcia, o czym mówi. Pa-
trzyłam na nią w milczeniu, więc wyłuszczyła mi rzecz
szczegółowo.

— Z daty ukończenia studiów wnoszę, że masz dwadzie-
ścia dziewięć lat.

— Dwadzieścia osiem — poprawiłam.

— No tak, w każdym razie spotkasz tu mnóstwo ludzi
na stanowiskach dużo wyższych od twojego, ale jedno-
cześnie młodszych od ciebie. Niektóre ze starszych wie-
kiem asystentek miały z tym niejaki problem.

Czy Geraldine uważała, że jestem już zupełnie wyna-
lona?

— Nie, nie będzie mi to przeszkadzać. Uważam się za
uprzywilejowaną, że będę miała możliwość uczyć się od
tak niezwykle utalentowanych ludzi — oświadczyłam po-
godnie, wykorzystując wreszcie coś z zakresu tych gadek,
jakie sobie przygotowałam na rozmowę kwalifikacyjną.

— No dobrze, to byłoby wszystko. — Wstała, żeby od-
prowadzić mnie do drzwi. Sięgając po teczkę i płaszcz,
obserwowałam bacznie Harveya. Nie chciałam, żeby moje
dłonie znalazły się w pobliżu tych ostrych, błyszczących
ząbków.

Dwa tygodnie później, kiedy nadal nie miałam żadnych
wiadomości z Glorious, straciłam już prawie nadzieję.
Ogłoszono nominacje do Oscarów i usłyszałam, że *Cudzo*—

ziemskiego pilota Glorious nominowano w tuzinie kategorii, za najlepszy film, najlepszego reżysera, najlepsze to, najlepsze tamto, gdy tymczasem ja usiłowałam sprawiać jak najlepsze wrażenie osoby, która stara się pozostać przy zdrowych zmysłach. A potem, trzy dni po ogłoszeniu nominacji, kiedy siedziałam przy biurku, pracując pilnie nad korelacją pomiędzy widzami wiadomości z kablówki i użytkownikami wosku do podłóg, zadzwonił mój telefon.

— Karen? Tu Geraldine. Masz tę posadę.

— Wspaniale! Bardzo dziękuję! — Chciałam jak najszybciej powiedzieć Abby, że może już rozprostować Lloydowi palce, jeżeli w ogóle jeszcze je ma. To niesamowite... nie będę już miała nic wspólnego z galaretkami czy zgagą, przestaną mnie obchodzić sztywne zasady dotyczące stroju. Teraz miałam zająć się czymś większym i lepszym. Miałam...

Ogarnięta euforią ledwo usłyszałam, że Geraldine się powtarza.

— Powiedziałam, że zaczynasz w poniedziałek — dotarło do mnie.

Był piątek, czwarta po południu. Nie mogłam tak po prostu sobie wyjść i już nigdy tu nie wrócić. Byłby to kompletny brak profesjonalizmu. Wzięłam głęboki oddech.

— Chciałabym dokończyć to, co teraz robię, dać dwutygodniowe wypowiedzenie, ale owszem, jestem jak najbardziej zainteresowana tą posadą.

— Karen, zaczynasz tę pracę w poniedziałek. Więc widzimy cię w poniedziałek o dziewiątej?

Taka szansa zdarza się tylko raz w życiu. Czy mogłam sobie pozwolić na to, żeby z niej zrezygnować ze względu na dwutygodniowe wypowiedzenie? W końcu to była wy—

twórnia Glorious Pictures, która chce, czego chce. Akurat teraz chcą mnie, w poniedziałek, o dziewiątej.

— Będę — powiedziałam.

Wieczorem wpadłam zdyszana do mieszkania, które dzieliłam ze swoją kuzynką Ellen. Cztery lata starsza ode mnie Ellen kilka lat wcześniej rozstała się z mężem. Od tamtego czasu mieszkaliśmy razem w jej mieszkaniu. Zupełnie jakbyśmy wróciły do Providence, na Rhode Island, gdzie dorastałyśmy po sąsiedzku. W piątkowe wieczory Ellen na ogół szykowała sobie kolację, której resztki, przed zniknięciem Gabe'a i Abby, zjadałam na sobotni lunch. Jednak w obecnej sytuacji byłam bardzo zadowolona, że w weekendy mam kogoś obok siebie, chociaż martwiło mnie, że możemy się obie w tym mieszkaniu zestarzeć... dwie siwe kuzynki, stare panny. I rzeczywiście, zastałam Ellen w kuchni, płuczącą sałatę, z piekarnika jednoznacznie pachniało lazanią. Na blacie stała otwarta butelka pinot noir.

— Ellen, nigdy nie uwierzysz! — powiedziałam, nie zdejmując nawet płaszcza.

Odwróciła się do mnie.

— Dostałaś pracę w Glorious — powiedziała.

— Zaczynam w poniedziałek. Będę jedną z dwóch asystentek szefowej działu public relations! — oznajmiłam, ciągle podekscytowana. Zdjęłam płaszcz, nalałam dwa kieliszki wina, jeden podałam Ellen.

— Zaczynasz w poniedziałek? Kiedy się o tym dowiedziałas? Musisz dać wypowiedzenie, prawda?

Z ogromnym wyczuciem, bezbłędnie moja kuzynka dotknęła sprawy, która powodowała, że czułam się nie-swojo.

— No tak, cóż, nie było czasu na wypowiedzenie. Za—

dzwonił dzisiaj i powiedzieli, że muszę zacząć w poniedziałek, bo w przeciwnym razie nie dadzą mi tej posady.

Pokręciła głową i westchnęła, nie komentując moich słów. Kuzynka była radcą podatkowym, działała zawsze zgodnie z przepisami i była podejrzliwa wobec osób, które postępowały inaczej.

— Ellen, nie rozumiesz. Ja muszę tam pracować. Taka szansa może się już nigdy nie powtórzyć.

— Zgoda, ale jeśli ci to nie wyjdzie, to może się okazać, że spaliłaś za sobą mosty.

Odejście bez wypowiedzenia było czymś okropnym. Pomyślałam sobie jednak, że kiedy Phil i Tony Waxmanowie czegoś chcieli, to machali ręką na wszystko i dopinali swego. Nagle poczułam się zupełnie inną osobą. Osobą z Glorious. Kimś, kto wykracza poza schematy, łamie zasady, przebudowuje rzeczywistość. Ellen nigdy tego nie zrozumie. Dawno temu, kiedy byłyśmy małe, powędrowała aż pół mili, żeby oddać pięć centów, bo kasjer w supermarkecie pomylił się przy wydawaniu reszty.

— Tu przecież chodzi o coś więcej niż tylko pięć centów — oświadczyła jedenastoletka o zdecydowanych przekonaniach.

— Muszę spróbować, bo inaczej nigdy bym sobie nie wybaczyła — tłumaczyłam się.

— Obiecuj mi tylko, że będziesz ostrożna. Wszyscy wiedzą, że w Glorious Pictures niełatwo się pracuje.

Byłam zaskoczona, że o tym słyszała. Pogłoski muszą wędrować rzeczywiście daleko, żeby dotrzeć do Ellen, która spędza większość czasu z nosem w księgach rachunkowych i w dokumentach dotyczących audytów. Niemniej odczuwałam wdzięczność za jej troskę. Kiedy byłyśmy dziećmi, potrafiłam pędzić wszędzie, nie wyłączając —

chliwej ulicy, na łeb, na szyję, i nieraz jedynie pewna ręka Ellen ratowała mnie przed nieszczęściem. Mimo że nie zawsze pojmowałam, dlaczego przedkłada ona sprawdzony i bezpieczny sposób nad jakiś nowy i ulepszony, to przecież kochałam ją szczerze i nie miałam wątpliwości, że moje dobro zdecydowanie leży jej na sercu.

— A co powiesz na to? — Rzuciłam propozycję, chcąc zaofiarować jakieś rozwiązanie, które jednocześnie uspokoi Ellen i nie pozwoli mi znów utknąć w miejscu: — Dam Glorious jeden rok. Za trzysta sześćdziesiąt pięć dni usiądziemy, żeby porozmawiać o tym, jak się sprawy mają. Jeśli będę niezadowolona, wyniosę się stamtąd.

Ellen przekreśliła dużym czerwonym krzyżykiem poniedziałkowy kwadracik na naszym kuchennym kalendarzu.

— Załatwione — powiedziała.

Stuknęłyśmy się kieliszkami, żeby przypieczętować umowę.

W niedzielne popołudnie, za sprawą jakiegoś niesamowitego przypadku, czy być może przeznaczenia, telewizja Lifetime, w serii „Portrety intymne”, pokazała odcinek zatytułowany „Matki magnatów filmowych”, którego bohaterką był nie kto inny jak niestrudzona Gloria Waxman. Opowiedziano historię o tym, jak w jednopokojowym mieszkaniu w Bronksie wychowywała samotnie dwóch synów. Ojciec chłopców porzucił rodzinę wkrótce po ich drugich urodzinach i nawet jeśli Glorii go brakowało, to nigdy nie dała tego po sobie poznać. Całą swoją niespożytą energię skupiła na chłopcach. Philowi i Tony'emu nie zabraknie niczego, postanowiła, nawet jeżeli będzie musiała sypiać na stojąco, żeby to osiągnąć.

Słyszałam już o tych sprawach wcześniej, kiedy wysłu—

chiwałał jednego z monologów Abby na temat Waxma—
nów. Twierdziła, że istniało u nich niepisane rodzinne pra—
wo, że nigdy nie wymówi się imienia ojca. Wydawało się,
że dowodem na to jest choćby sposób, w jaki Gloria prze—
mknęła przez tę część opowieści, zupełnie jakby tamten
mężczyzna odegrał jedynie epizodyczną rolę w tej wiel—
kiej skomplikowanej fabule.

Głos lektora przeszedł w głos Glorii, opowiadającej
o zabiegach kosmetycznych, jakim poddawała w swojej
kuchni sąsiadki, które przybiegały do jej mieszkania
z prośbami w stylu „Glorio, chcę, żebyś zrobiła mnie na
Lanę Turner”. Albo, „Glorio, możesz mnie zrobić na Ritę
Hayworth? Mąż za nią przepada”. Gloria zmieniała ko—
biety w ich ulubione boginie ekranu, „co, możecie mi wie—
rzyć, nie było wcale takie łatwe”, oznajmiła ze śmiechem.

Pokazano mnóstwo rodzinnych zdjęć Waxmanów,
włącznie z tym, na którym Phil i Tony bawią się w pia—
skownicy, czy ściślej mówiąc, Phil próbuje zakopać To—
ny'ego w piasku. Kolejne pokazywało, jak Tony karmi
Phila cementem prosto z worka.

— Zawsze jeden był dla drugiego najlepszym przyjacie—
lem — oświadczyła Gloria, przyglądając się z lubością fo—
tografiom. Lektor przypomniał, że po kilku latach Gloria
zaoszczędziła dość pieniędzy, żeby otworzyć niewielki
prawdziwy salon. Jej „Czar” nigdy nie był kopalnią złota,
ale zarabiał na opłacenie czynszu, wyżywienie, a co naj—
ważniejsze, zostawało jeszcze dość na bilety do kina. Każ—
dej niedzieli Gloria szykowała kanapki i całą trójką urzą—
dzali sobie piknik w którymś z kin.

— Oglądaliśmy po dwa, trzy seanse... co tam akurat
grali — mówiła Gloria. — Phil uwielbiał opowieści epickie,
no wiecie, *Latarence z Arabii* i *Doktor Zywago*. Tony nato—

miast interesował się bardziej westernami i komediami... myślę, że z pięć razy obejrzał/[^] *zdobywano Dziki Zachód*. Ja? Patrzyłam na fryzury, żeby moje klientki zawsze miały to, co najmodniejsze.

Kiedy lektor mówił o życiu uczuciowym Waxmanów, kamera pokazała chichoczącą Glorię, która stwierdziła, że jej synowie zawsze mieli dobre oko.

— Dla Tony ego istniała tylko Natalie Wood. Wypisywał jej imię i nazwisko na wszystkich zeszytach, zupełnie jakby była koleżanką z sąsiedztwa. — Zamilkła na chwilę. — Phila zawsze fascynowały Europejki. Był do szaleństwa zakochany w Sophii Loren i Audrey Hepburn. „Musisz wybrać jedną z nich”, powtarzałam, a on odpowiadał: „Mamo, kto by potrafił wybrać w takiej sytuacji?” I cała promieniała na wspomnienie tamtej chwili.

Pojawiła się reklama nowego filmu *Glorious, Zabójczy cios*, a po niej wznowiono program przeglądem fotografii ukazujących Phila i Tony'ego od niemowlęctwa aż do okresu, kiedy to wyrastali na niezgrabnych nastolatków i kształtowały się ich obecne rysy. A potem znów pojawiła się Gloria.

— Obiecałam, że na szesnaste urodziny zabiorę obu do Hollywood... nawet gdybym musiała w tym celu zrobić milion trwałych ondulacji — oświadczyła z powagą.

Byłam dosłownie zafascynowana tym programem. Oczywiście słyszałam już wcześniej o matce bliźniaków i jej niezwykłym oddaniu, wiedziałam, że nazwali wytwórnię od jej imienia. Nie miałam jednak pojęcia, w jak skromnych warunkach dorastali ani jak bardzo matka się dla nich poświęcała. Ta całkowicie nowa perspektywa, w jakiej ujrzałam firmę i ludzi w niej pracujących, podkastywała mnie bardziej niż cokolwiek przedtem.

Tamtego wieczoru wzięłam dla odprężenia długą kąpiel i próbowałam się skupić na tym, co przyniesie jutrzejszy dzień. Potem przejrzałam garderobę, żeby wykombinować, co mam na siebie włożyć pierwszego dnia pracy dla Waxmanow. Powinnam wyglądać poważnie, ale nie sztywno; swobodnie, lecz nie niechlujnie. W końcu zdecydowałam się na wystrzałową czarną sukienkę i wysokie buty, które wcześniej służyły jako strój na wszelkie możliwe wyjściowe okazje. Kiedy prasowałam sukienkę i odcinałam pojedyncze luźne nitki, snułam marzenia o mojej przyszłości w Glorious. Właśnie znajdowałam się w samym środku przyjęcia na jachcie w Cannes, kiedy Ellen zapukała do moich drzwi i podała mi „Variety”, które kupiła po drodze z siłowni do domu. Na pierwszej stronie, tuż nad nagłówkiem, widniał napis: 17. TYDZIEŃ Z RZĘDU GLORIOUS BIJE REKORDY W SPRZEDAŻY BILETÓW Nie mogłam się już doczekać, kiedy zacznę tę pracę.

Kiedy w poniedziałek rano weszłam do gabinetu Geraldine, ta wyskoczyła zza biurka i obejrzała mnie pospiesznie od stóp do głów.

— Dzień dobry, Karen, ale mi ulżyło — westchnęła.

— Nie rozumiem. Myślałaś, że nie przyjdę? — Nie bardzo wiedziałam, o co jej chodzi.

Geraldine pokręciła ze zniecierpliwieniem głową.

— Nie miałam najmniejszych wątpliwości, że przyjdiesz. Ulżyło mi w związku z twoim strojem. Kiedy przyszedł na rozmowę, miałś na sobie bliźniak — przypominała mi.

Czułam, jak twarz mnie piecze, kiedy jękając się, wyjaśniałam zasady dotyczące ubioru w moim poprzednim miejscu pracy. Geraldine skinęła z roztargnieniem głową i zaproponowała, żebyśmy zrobiły szybki obchód pomieszczeń biurowych... przy czym okazało się, że „szybki” było tu słowem kluczowym.

Budynek, w którym kiedyś mieściła się fabryka szpułek, miał supermodny wygląd w porównaniu z moim poprzednim biurem. Wysoko sklepione sale, ściany z surowych cegieł utrzymywały prawdziwie przemysłowy styl, jaki widziałam tylko w czasopiśmie poświęconych architekturze. Poruszając się z prędkością czółenka na osno—

wie, Géraldine przegnała mnie przez oszłamiający labirynt stanowisk dla pracowników zatrudnionych okresowo, wskazując po drodze kompleks gabinetowy Phila i Tony'ego, działy produkcji, rozwoju i marketingu i inne warte uwagi miejsca, łącznie z toaletami i windą towarową. Musiałam biec, żeby dotrzymać jej kroku, a kiedy gwałtownie skręciła za róg magazynu do drzwi działu public relations, zatoczyłam zbyt szeroki łuk i przejechałam kostkami palców po ceglanej ścianie. Instynktownie podniosłam rękę do ust i poczułam smak krwi.

Zwalniając odrobinę w płataninie boksów i biur, Géraldine szerokim gestem ogarnęła mój nowy dział.

— Asystenci księgowych, stażyści, tymczasowe pomoce biurowe, każdego dnia pracuje tu jakieś czterdzieści pięć osób — oznajmiła.

Jak to możliwe, że na tak niewielkiej przestrzeni tyle się dzieje? Nie mam pojęcia, jak sobie wcześniej to miejsce wyobrażałam, ale na pewno obraz kurnika nie przyszedł mi do głowy. W każdym boksie stały dwa albo trzy krzesła, wciśnięte jedno obok drugiego; niektóre przepięrzenia nachylone były pod niebezpiecznym kątem, a pod przeciwległą ścianą korytarza stały rzędem gigantyczne szafy na akta, zostawiając jedynie bardzo wąskie przejście. Do wszystkich gniazdek podłączone były listwy zasilające, a przedłużacze zakończone rozgałęźnikami o wielu wejściach wily się po podłodze we wszystkie strony. Pomyślałam o tych zatłoczonych fabrykach w krajach Trzeciego Świata, gdzie dzieci tyrają za kilka centów na godzinę, tyle że tam nie ma telefonów.

Géraldine wyhamowała raptownie przed młodą kobietą, siedzącą za biurkiem w kształcie litery L, wciśniętym między szafę na dokumenty i regał, zapchany kasetami

wideo. Na biurku stały dwa komputery, rzućący faks, telefon z podłączonymi słuchawkami i mikrofonem, drukarka, ładowało się kilka baterii telefonów komórkowych, a niechlujny stos zawierał zapewne wszystkie gazety i czasopisma wydawane w Stanach Zjednoczonych. Papiery, dla których nie znalazł się już skrawek miejsca na biurku, powędrowały na podłogę, gdzie wały się w towarzystwie przeróżnych notatek służbowych i okólników, korespondencji, wycinków prasowych i kolejnych czasopism. Geraldine skinęła głową na widok tego chaosu, jakby ponownie się z nim zapoznawała.

— To tutaj — oznajmiła. — Karen Jacobs, Dagny Bloom, „pierwsza” Allegry. Zostawiam was, żebyście się mogły poznać — dokończyła i popędziła korytarzem.

Dagny wyciągnęła rękę, ale pokazałam jej krwawiące kostki dłoni.

— Miałam małe spotkanko ze ścianą — wyjaśniłam, uśmiechając się słabo.

— Pieprzona cegła — skomentowała, otwierając szufladę i podając mi plastry z opatrunkiem.

Wysoka i szczuplutka jak modelka Dagny ubrana była od stóp do głów — jak zauważyłam — w strój duetu projektantów Dolce & Gabbana, poczynając od koronkowej czarnej bluzki, przez spódniczkę z syntetycznej skóry, aż do sięgających powyżej kolan, ozdobionych metalowymi oczkami butów. Błyszczące, długie do pasa, spięte w koński ogon kasztanowate włosy okalały twarz o nieskazitelnie świeżej cerze i ładnych, delikatnych rysach. Stojąc obok niej, czułam się zdecydowanie hobbitowato: Dagny całą sobą prezentowała bowiem ten dopracowany styl, który każe innym sprawdzać, czy przypadkiem kawałek papieru toaletowego nie przykleił im się do buta.

— To zupełnie wariacki moment na rozpoczynanie pracy — powiedziała — bo oprócz tego, co zawsze, zajmujemy się właśnie przygotowaniem do gali oscarowej. Allegra dba o to, żeby na uroczystości byli obecni wszyscy nominowani, związani z filmami Glorious. Do tego mamy jeszcze te wszystkie gwiazdy z wchodzących wkrótce na ekrany filmów, które będą przedstawiać nominacje i odczytywać werdykty Akademii — i musimy jak najszybciej załatwić dla nich hotele, samoloty i samochody. I jeszcze te nieustające rozmowy telefoniczne z członkami Akademii. Cieszę się, że wreszcie tu dotarłaś. Miałam już kilku pracowników tymczasowych i stażystki do pomocy — dodała sucho — ale ich możliwości są dość ograniczone. To było po prostu... — Zamilkła i bezradnie wskazała bałagan wokół biurka.

— Przede wszystkim trzeba cię tu zainstalować — zdecydowała. Będziesz siedziała na tym krześle, po mojej lewej ręce. Allegra jest tam — dodała, brodą pokazując drzwi za naszymi plecami.

Gabinet Allegry, jak zauważyłam, był w tym dziale jedynym, który miał drzwi i ściany sięgające do sufitu. Dagny wręczyła mi słuchawki z mikrofonem podłączane do telefonu, urządzenie to znałam już z telewizji i filmów i wiedziałam, że stanowi niezbędne wyposażenie wszystkich asystentów zatrudnionych w przemyśle rozrywkowym.

— Systemy Alejandro muszą ci jeszcze tylko podłączyć komputer i przydzielić adres mailowy — oświadczyła Dagny.

— Systemy Alejandro?

— Alejandro Salazar. Zadzwoń przez zero do recepcji i poproś o niego. Mamy tu... gdzieś... spis numerów... —

wzrok Dagney skakał po stosach papierów leżących obok biurka — ...ale ludzie przychodzą tu i odchodzą w takim tempie, że pewnie i tak jest nieaktualny.

Założyłam słuchawki, wybrałam zero i poprosiłam o połączenie.

— Systemy, Alejandro — odezwał się sympatyczny głos, a ja musiałam ugryźć się w język, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

— Cześć, tu Karen Jacobs, nowa asystentka Allegrы Orecchi. Czy mógłbyś mnie podłączyć do serwera?

— Jasne, zjawię się za jakieś pięć minut.

Kiedy rozmawiałam, odezwała się linia Allegrы i Dagney odebrała telefon już po pierwszym dzwonku.

— Biuro Allegrы Orecchi — powiedziała. — Tak, jest tutaj. Mogę wiedzieć, kto dzwoni? — Zawiesiła połączenie i po chwili odezwała się znowu. — Przykro mi, Allegra jest na posiedzeniu. Oddzwoni później.

Dagney pokazała mi rejestr rozmów i wyjaśniła, że jak już zainstalują mi komputer i zabezpieczą hasłem, to też będę miała do niego dostęp. Zobaczyłam, jak wpisuje ostatnią rozmowę — realizator z programu *Extra* chciał się dowiedzieć, czy jego ekipa będzie mogła się dostać do środka na przyjęcie oscarowe Glorious. Podczas pisania Dagney kręciła głową.

— Nigdy w życiu — oznajmiła. — Nie wpuszczamy tam nikogo takiego, chociaż nie zamierzam mu jeszcze tego mówić. Allegra dopiero na dzień przed przyjęciem każe mi oddzwonić do przedstawicieli wszystkich mediów i poinformować, że będą musieli zostać na zewnątrz. Dzięki temu przez najbliższe pięć tygodni mamy spokój, nie będą nas błagać, żebyśmy zmienili zdanie.

— Jedziesz na oscarowe uroczystości? — spytałam.

Dagney skinęła głową, niby obojętnie, ale widziałam, że jest podekscytowana.

— J a s n e , to należy do moich obowiązków.

Omam jej nie spytałam, czy należy też do moich, ale nie chciałam się wydać nadgorliwa.

— Karen? — Dość niespodzianie wyrósł obok mnie oszlamiająco przystojny mężczyzna.

— Tak — odparłam, z trudem przetykając ślinę.

— Alejandro — oświadczył i wyciągnął rękę, żeby uściśnić moją opatrzoną już dłoń. — Daj mi chwilę i zaraz wszystko będzie gotowe. — Oddałam Systemom Alejandro swoje krzesło i stanęłam między nim a Dagney.

Podczas gdy mężczyzna zajmował się moim komputerem, Dagney spytała, czy nie jestem głodna, wyjaśniając, że firma płaci za nasze śniadania i lunchy, jeśli tylkojemy podczas pracy. A jak zostaniemy w biurze po siódmej, możemy nawet zamówić sobie kolację, również na rachunek Glorious. Było to dla mnie miłą niespodzianką.

— Wezmę to samo co ty. A kiedy poznam Allegrę? — dodałam nerwowo, zerkając na zamknięte drzwi za naszymi plecami.

— Pewnie kiedy będziesz jej do czegoś potrzebna. — Dagney wzruszyła ramionami. — Nie przejmowałabym się tym.

Do dziesiątej pojawiła się większość pracowników działu i sala ożyła. Rozdzwoniły się telefony, rozpiszczwały nieustająco pracujące faksy, pobrzękiwały napływające bez chwili przerwy e—maile. Dagney przedstawiała mnie wszystkim, którzy przechodzili obok naszego biurka jako „nową drugą Allegrę”, przez co czułam się trochę jak wyszczerbiony wazon na wyprzedaży rzeczy używanych.

— Oczywiście musisz poznać wszystkich — powiedziała

Dagney. — Problem polega na tym, że nie wolno nam nigdy, ale to nigdy, opuszczać stanowiska ze względu na telefony. Gdybym miała cię teraz po wszystkich oprowadzać, byłby to koniec nas obu. — Wyjaśniła mi, że nawet wizyty w toalecie musimy koordynować. Zastanawiałam się, jak sobie dawała radę przed moim przyjściem.

— To nie ma tu poczty głosowej? — zdziwiłam się.

— J a s n e , że jest. Ale Allegrze odbija, jeśli ktoś się nagra. Masz tylko cztery sygnały, bo potem... — Przejechała wymownie ręką po szyi.

Odebrała jeszcze trzy telefony, za każdym razem każąc dzwoniącemu poczekać, by po chwili poinformować go, że Allegra ma zebranie, a następnie spokojnie zapisać rozmowę w rejestrze.

— Gotowe, Karen — oświadczył Systemy Alejandro. — Musisz teraz wprowadzić hasło.

Abby toby dopiero wysoko oceniła Systemy Alejandro, pomyślałam sobie. Na cześć jej rozkwitającej kariery medycznej wpisałam LLOYD i nacisnęłam „Enter”.

— Musi być co najmniej sześć znaków — stwierdził Alejandro.

Wpisałam więc LLOYDNIEŻYJE.

— No to masz już wszystko — oznajmił Alejandro. — Zadzwoń, gdyby coś nie działało, jak należy. — Odwrócił się i obdarzył mnie krzepiącym uśmiechem, o mało nie zde-rzając się z niewysoką blondynką w wielkim puchowym płaszczu, której prawe ramię ugięło się pod ciężarem ogromnej torby wyładowanej notesami, papierami i segregatorami. Wyglądała, jakby okryta kołdrą przytarga—ła ze sobą nocny stolik. Nie zwalniając ani na moment, żeby choćby powiedzieć „cześć”, wparowała do gabinetu Allegry. Czekałam na jakieś okrzyki protestu, tymczasem

Dagney zerwała się, złapała ostatni wydruk rejestru rozmów i pospieszyła za blondynką.

— Zobaczę, czego jej trzeba — rzuciła przez ramię. — Od-bieraj telefony, dobrze?

To była moja nowa szefowa? Zakładałam, że Allegra już od paru godzin jest w biurze. Nawet nie spojrzała w moją stronę i nie byłam pewna, czy w ogóle zdała sobie sprawę z mojej obecności. Może Dagney przedstawi mnie później. Tymczasem, kiedy była u Allegry, rozejrzałam się po swoim nowym siedlisku. Na biurku nie było centymetra kwadratowego wolnej powierzchni; kiedy przyniosą mi śniadanie, nie będzie go gdzie postawić. Na dodatek w ostatniej godzinie przyszło dwadzieścia pięć faksów i przyniesiono wielki stos poczty. Wkrótce, powiedziałam sobie, będzie tu zupełnie inaczej; szczyliłam się bowiem tym, że jestem osobą porządną i zorganizowaną. Moim pierwszym zadaniem będzie więc pozbycie się tego towaru z podłogi i biurka i umieszczenie go wyżej, gdzie będzie dla nas widoczny. Zadzwoił telefon Allegry, więc odebrałam, według instrukcji Dagney.

— Tu Marlene MacFarlane, wiceszefowa public relations — odezwał się zgrzytliwy nosowy głos. — Chcę rozmawiać z Allegra. — Poprosiłam, żeby poczekała, to sprawdzę, czy Allegra jest wolna. Zadzwoiła inna linia i ktoś pytał o pozwolenie na robienie zdjęć podczas oscarowego przyjęcia Glorious. Jemu też kazałam zaczekać. Odezwała się kolejna linia i poprosiłam dzwoniącego, żeby zaczekał, nawet nie pytając, kim jest. Wtedy odezwała się czwarta linia.

— Biuro Allegry Orecchi, proszę czekać — powiedziałam natychmiast.

— Jasne, w porządku — odpowiedział z westchnieniem mężczyzna. Zadzwoniono na piątej linii.

— Ciągłe czekam — poinformowała mnie Marlene. Jej głos wydawał się rozbrzmiewać w stereo; później zorientowałam się, że to dlatego, że miała boks zaledwie trzy metry od mojego biurka. Byłam tak skołowana, że po kolejnych dwu minutach straciłam wszystkie połączenia, za to miałam Marlenę na trzech różnych liniach. Przyjęłam jej wiadomość — „Niech Allegra do mnie oddzwoni” — i miałam nadzieję, że ludzie, których niechcący rozłączyłam, zadzwonią ponownie. Byłam tak roztrzęsiona tym, co się działo, że aż podskoczyłam, kiedy ktoś postukał mnie w ramię. Posłaniec przyniósł nam śniadanie. Drżącą ręką podpisałam pokwitowanie i zagłębiłam rękę w torbie, żeby wyciągnąć kubek z kawą. W połowie pierwszego łyka znowu zadzwonił telefon.

— Biuro Allegry Orecchi.

— Tony! — rzucił ktoś burkliwie w słuchawkę.

Omam się nie udławiłam, kiedy uświadomiłam sobie, że to Tony Waxman.

— Tak, już łączę. — Zerwałam się, podbiegłam do uchylonych drzwi gabinetu Allegry i zapukałam lekko.

— Allegra? Dzwoni Tony — powiedziałam.

Nie podniosła wzroku, skinęła tylko głową w stronę Dagney i ujęła słuchawkę. Dagney wyszła za mną i rozpakowała resztę przyniesionego nam śniadania.

— Nie rozumiem — wyszeptałam do niej nerwowo. — Dlaczego mówiłaś tym wszystkim ludziom, którzy dzwonili, że Allegra jest na zebraniu?

— Bo zawsze mówimy, że jest tutaj, niezależnie od tego, gdzie akurat się znajduje. Jeśli to coś ważnego, przełączamy rozmowę do jej gabinetu albo łączymy z telefonem komórkowym czy domowym. W pozostałych przypadkach mówimy, że jest na zebraniu albo właśnie z kimś rozmawia. Ale nigdy, przenigdy, nie mówimy, że jej nie ma.

— Skąd wiesz, które rozmowy łączyć? — spytałam, nieco zaniepokojona, że już zdążyłam coś spieprzyć.

— Na ogół to dość proste. Oczywiście Phila i Tony'ego. Sławnego aktora, jeśli dzwoni osobiście... ale żadnych agentów, menedżerów czy przedstawicieli. Reporterów tylko z dziesiątki najważniejszych gazet. — Machnęła ręką w stronę jeszcze jednej listy zajmującej kawałek podłogi. — Także autorów rubryk towarzyskich, ale tylko ich samych, żadnych asystentów. Matta Vincenta, szefa marketingu. Pracowników szczebla kierowniczego naszego wydziału, ale tylko w nagłych sprawach. Chodzi o to, żeby wyglądało tak, jakby cały czas siedziała przy biurku. Kiedyś zadzwonił Tony, a ona brała prysznic, ale i tak odebrała telefon. Zakręciła wodę i zaczęła z nim najzwyczajniej w świecie rozmawiać. Dwa tygodnie temu, kiedy musiałam zadzwonić do niej o szóstej rano, bo w „L.A. Times” ukazał się paskudny artykuł o Philu, słyszałam w tle głos jej faceta, błagający, żeby wróciła do łóżka, ale ona zachowywała się tak, jakby w ogóle go nie słyszała. Ja za to usłyszałam trzasknięcie drzwi... prawdopodobnie facet nie mógł już dłużej tego znieść. Nie sądzę, żeby jeszcze ze sobą byli.

— Musi być chyba w firmie osobą kluczową, inaczej nie wydzwanialiby ciągle do niej.

— Phil i Tony dzwonią do Allegry, żeby spytać, która godzina, bo wiedzą, że zawsze ją złapią. Phil ma sześć asystentek, a Tony dwie, tak że doskonale mogliby sobie bez niej poradzić. Uważam, że po prostu podoba im się, że ona jest na każde zawołanie. Możesz już jeść, teraz jest bezpiecznie — dodała Dagney. — Skoro rozmawia z Tonym, nie przyjmie innej rozmowy, chyba że będzie to Phil. Zerkaj tylko jednym okiem na telefon, żebyśmy wiedziały, czy nadal rozmawiają.

Entuzjastycznie zabrałam się do omleta faszerowanego pomidorami i papryką, zachowując przy tym należyłą ostrożność, jako że spoczywał w dość niepewnej pozycji na klawiaturze komputera. Popiłam go sokiem ze świeżo wyciśniętych pomarańczy. Dagney zamówiła, co trzeba, w CNN bowiem mój poranny posiłek składał się zazwyczaj z kawy i podejrzenie wyglądającego lukrowanego gniazdka, które kupowałam z ulicznego wózka po drodze z metra do biura. Pomiędzy kolejnymi kęsami opowiedziałam jej o swojej telefonicznej potyczce z Marlene. Dagney zareagowała, potrząsając głową i przewracając oczyma, którą to kombinację miałam dobrze poznać w nadchodzących miesiącach.

— Teraz zadzwoni co najmniej dziesięć razy, żeby się upewnić, czy na pewno przekazałyśmy Allegrze wiadomość od niej. Allegra ma już tak dosyć ciągłego skomlenia Marlene, że na ogół zwleka z oddzwaniem. Nie muszę chyba dodawać, że to tylko utrudnia nam życie.

— Ale dlaczego Marlene dzwoniła pięć razy w ciągu półtorej minuty, skoro zostawiła wiadomość, która właściwie nie jest wiadomością?

— Bo nie chciała ci ujawnić prawdziwego powodu swojego telefonu. Marlene przepada za tajemnicami, co jest po prostu śmieszne. — Dagney przełknęła ślinę. — Bo nic się tu nie wydarzy — ciągnęła — o czym by wszyscy nie wiedzieli. — Teatralnym gestem wskazała mały guzik z boku urządzenia z regulacją głośności, umieszczonego pomiędzy słuchawkami a telefonem. — Oto i on. Przycisk wyłączający twój głos... znany lepiej jako klucz do tego szczególnego królestwa. Możesz sobie ich słuchać, kiedy tylko zechcesz, i nie uwierzysz własnym uszom. Ciągłe tylko planują, opracowują strategie, kombinują, co zrobić,

komu i kiedy. W zeszłym tygodniu usłyszałam, jak Phil mówi do Allegra, że ten nowy film Buddy'ego Friedmana... no wiesz, ten o pszczelarzu?... to kompletne dno i przyjdzie zmarnować co najmniej sześć miesięcy, żeby go na nowo zmontować.

To była poważna plotka. Nowy film Buddy'ego Friedmana, którego treść, jak zawsze w przypadku jego filmów, stanowiła pilnie strzeżoną tajemnicę, już wywoływał wiele szumu. Media od dłuższego czasu snuły domysły na jego temat, szczególnie po tym, jak część pszczół uciekła z planu zdjęciowego na terenie Central Parku i zaatakowała budynek przy Piątej Alei, a pożądeni mieszkańcy zagrozili wytwórni procesami sądowymi. Phil Waxman zareagował wysłaniem każdemu lokatorowi zestawu złożonego ze środka działającego uśmierzająco oraz miodu, razem z obietnicą zaproszenia na prywatny pokaz. W ten sposób, zgodnie z artykułem w „New York Timesie”, który Abby mi przysłała pocztą elektroniczną, zakończył wszystkie gadki o procesach.

— Czytałam o tym filmie, ale nie słyszałam, że są z nim jakieś inne problemy, poza tą historią z pszczołami.

— No tak — Dagney uśmiechnęła się — to tylko oznacza, że robimy, co do nas należy, zgadza się? Ci z rubryk towarzyskich i pism branżowych ciągle niuchają wokół Glo—rious, ale Allegra zwykle świetnie sobie z nimi radzi i trzyma w ryzach, kierując ich uwagę we właściwą stronę albo podając tylko częściowe informacje. Jednak od czasu do czasu próbują dotrzeć do ludzi, którym mogłoby się coś wymknąć... takich jak stażystki... czy nowe asystentki — dodała, patrząc na mnie znacząco.

— Ja nic nie powiem — zapewniłam ją.

— Po prostu zachowaj ostrożność. Szczególnie w kon—

taktach z Elliottem Solnickiem, facetem, który pisze dla Page Six, czyli rubryki towarzyskiej w „New York Post”. Bo możesz sobie rozmawiać z nim o niczym, choćby o pogodzie czy o tym, co jadłaś na kolację, a tymczasem jemu w jakiś sposób uda się to przerobić na informację, którą wciśnie do swojego artykułiku o jakiejś ważnej osobistości. Nigdy nie zadaje pytań, żeby stworzyć miłą atmosferę. Zawsze chodzi o coś innego.

To mnie zainteresowało. Abby nieraz czytała mi różne soczyste kawałki z rubryki towarzyskiej i zawsze były one pełne takich właśnie szczegółów, jakie opisywała Dagny: tak drobne, że wyjęte z kontekstu wydawały się zupełnie nieistotne, jednak kiedy je wydrukowano, nabierały wyrazistości i czytelnik był przekonany, że ma do czynienia z samymi faktami. Postanowiłam szczególnie uważać na tego gościa.

— Jest coś jeszcze, o czym musisz wiedzieć — powiedziała Dagny, dopijając swój sok grejpfrutowy. — George Hanratty. To były reporter, który kiedyś pracował dla „Daily News”. Pisze rzekomo biografię Waxmanow... oczywiście bez żadnej autoryzacji.

— Rzekomo?

— Takie są pogłoski, ale z niego jest taki moczymorda, że nikt tutaj nie sądzi, żeby rzeczywiście mógł tego dokonać. Co nie znaczy, że zamierzamy ryzykować. Próbowaliśmy dostać się na kilka premier, dzwonił też parę razy do Clarka, zadawał różne nie powiązane ze sobą pytania na temat Phila i Tony'ego albo chciał koniecznie wiedzieć, czy są w Nowym Jorku. — Ręką wskazała maleńki poślizgnięty wycinek przyklejony taśmą do boku monitora. — To jego zdjęcie z czasów, kiedy prowadził własną rubrykę. Sprzed co najmniej dziesięciu lat.

Nachyliłam się i przyjrzałam fotografii... z trudem różniłam dwoje oczu, nos i usta.

— Więc jeśli się na niego natknę?

— Nie mów nic, tylko odnotuj to w rejestrze telefonów dla Allegry. Bo ona chce wiedzieć, czy jego aktywność się zwiększa. Jak dotąd ja sama ani go nie widziałam, ani z nim nie rozmawiałam, natomiast zawsze odnotowujemy, jeśli ktoś z naszego działu ma z nim kontakt.

Tutaj nawet telefony są niebezpieczne, pomyślałam sobie, zauważając przy okazji, że zaczął mi się odklejać plaster. Ta praca okaże się prawdziwą próbą skrajnej przeorności.

I wtedy właśnie odezwała się moja linia wewnętrzna. Pierwszy telefon do mnie w Glorious Pictures! Skupiłam się na tym, żeby wyrzucić swoim głosem wrażenie kompetencji i profesjonalizmu.

— Dział public relations, Karen Jacobs — rzuciłam w słuchawkę.

— Tu Robert Kojima — odezwał się spokojny, zrównoważony głos. — Nie znamy się — ciągnął, przerywając tym samym moje rozpaczliwe wysiłki, żeby go jakoś umiejscowić. — Pracuję w tym samym dziale. Masz w torbie Pepto—Bismol... widziałem go, a jest mi potrzebny. Przyjdę trochę pożyczyć.

Rozłączył się i już po trzech sekundach zobaczyłam przed sobą drobnego Azjatę, mniej więcej w moim wieku. Bez słowa wyciągnął rękę, a ja wręczyłam mu butelkę. Robert nalał nieco różowego płynu do plastikowego kubka, który przyniósł ze sobą, oddał mi lekarstwo, odwrócił się na pięcie i zniknął w labiryncie. Czy wszyscy moi nowi koledzy muszą wiedzieć, że nerwy mam podłączone bezpośrednio do żołądka?

— A ten co za jeden? — zapytałam Dagney.

— Pracuje tu niecałe trzy lata, jest chorobliwie pedantyczny, do tego wścibski i jeśli cię to interesuje, ma narzeczoną w Korpusie Pokoju na wyspie Bora Bora.

— Pago Pago. — Usłyszałam gdzieś z głębi sali głos Roberta. Przyzwyczajenie się do rozwiązania, jakim jest biuro na planie otwartym, na pewno zajmie mi sporo czasu.

Nagle z któregoś z boksów rozległ się donośny głos.

— Cudownie, wspaniale. *Muy bien. Si, st. Gracias. Adios* — emocjonowała się jakaś kobieta. Chwila przerwy, a potem głos rozległ się ponownie. — Jestemte» *feliz*. Nie wyobrazasz sobie — mówiła bardzo głośno, a hiszpańskie słowa akcentowała szczególnie mocno.

Odrzuciłam się do Dagney, szukając u niej oświecenia.

— To Vivian Henry, druga, a właściwie pierwsza wice—szefowa naszego działu — wyjaśniła. — Podobno zaczęła od pracy tymczasowej w biurze Phila i trzeciego dnia podsłuchiwała, jak ten wywrzaskuje na pewnego dziennikarza, który wyniuchał jakieś trudności podczas kręcenia filmu. W każdym razie podjęła się trudnego zadania oddzwonienia do tego reportera i załagodzenia sytuacji. Powiedziała mu, że jeśli nie opublikuje tej historii, to dopilnuje, żeby on pierwszy, na prawach wyłączności, mógł obejrzeć i opisać film będący debiutem reżyserskim Larry'ego Romana.

— Larry Roman, ten były dziecięcy gwiazdor, któremu rodzice zabrali wszystkie zarobione pieniądze? — spytałam. — Nie wiedziałam, że został reżyserem.

— Bo nie został — odparła Dagney. — Ale w ten sposób udało się gościa spławić. Phil natychmiast zatrudnił Viv i teraz jedyną osobą w naszym dziale stojącą wyżej od niej jest Allegra.

— Aż trudno uwierzyć, że udało jej się to tak rozegrać — oświadczyłam, powątpiewając, bym za dwa dni sama mogła wykazać się podobną inicjatywą.

— To było ryzykowne posunięcie, ale od tamtej pory minęło jedenaście lat. — Pociągnęła łyk kawy. — Jeśli zaś chodzi o hiszpański — mówiła dalej — nie sądzę, żeby choć połowa ludzi, z którymi rozmawia, ją rozumiała. Po prostu to ignorują. Ją zresztą też, kiedy tylko to możliwe.

Zastanawiałam się, dlaczego Dagney w tak zdecydowany sposób podsumowała Vivian. Przecież tamta wydawała się właściwą osobą na właściwym miejscu.

— Więc my z nią w ogóle nie współpracujemy?

— Vivian na ogół robi wszystko sama. Prośba o pomoc byłaby przyznaniem się do słabości.

— Ale jest przecież wiceszefową, musi być bardzo zajęta.

— J e s t zajęta. Na ogół siedzi tu co najmniej do północy.

— Nikt jej nie pomaga?

— Ma asystentkę, Kimberley, ale nie ufa jej od czasu, kiedy ta na zaproszeniu na premierę *Perp Friction* zrobiła błąd w nazwisku Johnny'ego Lucchese. W tej chwili Kim jest w sklepie ze zdrową żywnością i kupuje dla Vivian kiełki pszenicy uprawianej bez nawozów sztucznych. Kiedy wróci, zajmie się listą zup, a potem będzie czekać, aż Vivian da jej coś do roboty.

— Listę Z.U.R? — Założyłam, że to jakiś skrót. — Zespół Utylizacji Projektów? Związek Uhonorowanych Producentów?

— Na lunch Vivian jada wyłącznie zupy. Kimberley obdzwaniania codziennie restauracje, które obsługują TriBeCę, i dowiaduje się, jakie zupy serwują danego dnia. Przedstawia ich listę Viv, a potem e—mailem rozsyła ją nam wszystkim. Zresztą sama zobaczysz.

— GDZIE JEST ALLEGRA? — huknął mi w ucho czyjś głos. To, pomyślałam, musi być Vivian z krwi i kości. Była zachwycająca — wysoka i szczupła, miała falujące ciemne włosy i przenikliwe zielone oczy.

— Rozmawia z Tonym — odparłam. — Dopiszę cię do listy telefonów.

— TYLKO NIE ZAPOMNIJ — zagrzmiała i odeszła.

Ze stosu czasopism leżących na biurku Dagney wyjęła egzemplarz „Rolling Stone'a”.

— W każdej wolnej chwili przeglądamy je i szukamy artykułów, w których jest choćby najmniejsza wzmianka o Glorious. Pokażę ci później, co należy z tym zrobić. Na razie po prostu wydzierasz to, co uważasz za istotne. Jeśli nie jesteś pewna, czy to nasz film, sprawdzasz na tej Uście. — Sięgnęła w dół i spod jednego z kółek swojego fotelika wyciągnęła kartkę. — Byłoby świetnie, gdybyś przejrzała ten plik... bo przez całą tę robotę przy Oscarach jestem z tym do tyłu — oświadczyła, wstając i sięgając po płaszcz. — Wychodzę na papierosa. Allegra ma tam stos materiałów, nad którymi pracuje, a jak poprosi, żebyś do kogoś zadzwoniła, potrzebne informacje znajdziesz w Outlooku.

Większość popołudnia spędziłam, przeglądając czasopi-
sma, segregując fakсы i zapoznając się z przeróżnymi li-
stami, spisami i notatkami służbowymi, które leżały na
biurku i pod nim. Telefon dzwonił kilkakrotnie, ale nie
był to nikt z listy Dagney... głównie przedstawiciele me-
diów z pytaniami i prośbami związanymi z oscarową ba-
langą, a także kilku pracowników agencji public relations,
którzy chcieli wiedzieć, czy ich klienci mogą liczyć na za-
prośnienie. Zapisywałam wszystko i starannie umieszcza—

łam w rejestrze. Nie ulegało wątpliwości, że przyjęcie już wywoływało spore poruszenie, chociaż miało się odbyć dopiero za miesiąc. Sięgnęłam po kilka kolejnych czasopism, starając się nie przewrócić całego stosu, i kontynuowałam przeglądanie. Wyglądało na to, że wszyscy, od „U.S. News and World Report” przez „Utne Reader” do „Guideposts”, przynajmniej raz wspominają Glorious Pictures. Musiałam bardzo uważać, żeby niczego nie przegapić, tym bardziej że nazwa wytwórni pojawiała się wszędzie: w listach do redaktora naczelnego, w krzyżówkach, a nawet w wywiadach z czołowymi postaciami biznesu, którzy często powoływali się na sceny z takich filmów Glorious jak *Perp Friction* czy *Skały na Manhattanie*, bo z nich czerpali inspirację dla własnego postępowania w salach posiedzeń zarządów. Nareszcie poczułam się odrobinę swobodniej. Zanim wróciła Dagney, zdążyłam zebrać spory stosik wycinków prasowych i wypełnić kosz wybebeszonymi czasopismami. Wstałam, żeby rozprostować kości, i z przyjemnością zauważyłam, że przebrany stos czasopism nie przesłania mi już widoku.

Ubrana w płaszcz Allegra przepłynęła obok nas. Po jej wyjściu Dagney wyjaśniła, że wyszła na spotkanie w mieście, chociaż ja nie słyszałam, żeby mówiła cokolwiek na ten temat. Przeprosiłam na chwilę i udałam się na poszukiwanie damskiej toalety; odetchnęłam z ulgą, kiedy udało mi się ją samodzielnie znaleźć. Jak dotąd dzień przebiegał nieźle, pomyślałam sobie, przyglądając się swojemu odbiciu w lustrze nad umywalką. Ludzie tutaj różnią się trochę od tych, do których byłam przyzwyczajona, ale przecież trudno oczekiwać, żeby kadra Glorious Pictures była taka sama jak każda inna, przekonywałam samą siebie. Sądziłam, że za dzień czy dwa Allegra przeprowadzi

ze mną jakąś powitalną pogawędkę, a kiedy już poznam lepiej Vivian i Marlene, na pewno mnóstwo się od nich nauczę. Było jednak jasne, że muszę mieć oczy otwarte i uważać, co mówię. Odkręciłam kran, podstawiłam dłonie pod dozownik mydła i nacisnęłam przycisk. Nic. Sprawdziłam kolejne, przy trzech innych umywalkach, ale też nie działały. Rozejrzałam się po łazience. Radość, jaka towarzyszyła odkryciu schowka na środki czystości, szybko przeszła w rozczarowanie, kiedy zobaczyłam, że od podłogi do sufitu zawalony jest ryzami papieru do ksero i chyba największą na świecie kolekcją gumek recepturek. Pokręciłam się jeszcze chwilę z nadzieją, że może zobaczę, jak ktoś inny sobie z tym radzi, ale nikt się nie pojawił. W końcu po prostu opłukałam ręce i wróciłam do biurka.

— Cześć! — usłyszałam. Odwróciłam się i zobaczyłam Clarka. Nachylił się i cmoknął mnie w policzek. — Świetna sukienka. Prada?

— Nie, żałuję, ale nie. To tylko Banana Republic. — I co mi wcześniej chodziło po głowie? Teraz już nie miałam wątpliwości. Facet bezsprzecznie był gejem.

— J a k ci mijają pierwszy dzień?

— Znakomicie, chociaż ciągle przede wszystkim uczę się odbierać telefony w sposób, który nie zakończy definitywnie mojej kariery.

— Na pewno sobie poradzisz. Poznałaś już wszystkich?

— Tylko Dagney i Vivian, no i Allegrę, w pewnym sensie. Aha, jeszcze Roberta — dodałam pospiesznie, bo akurat zobaczyłam, jak wynurza się zza rogu. W zasadzie żadne z tych spotkań nie przypominało „poznawania się” w normalnym znaczeniu tego słowa. — Rozmawiałam też przez telefon z Marlene — dodałam, nie wdając się w szczegóły.

Clark otworzył usta, żeby coś powiedzieć, zamknął je jednak natychmiast, kiedy do rozmowy włączył się Robert.

— Ludzie Glorious — zaczął wyjaśniać — dzielą się na pewne kategorie i o wiele łatwiej jest tutaj funkcjonować, kiedy się wie, kto do której należy.

— Kategorie? — zdziwiłam się.

— A tak. Podstawowy podział wyróżnia dwie kategorie: Złote Dziecko i Koń Roboczy. Złote Dzieci przychodzą późno, wychodzą wcześniej i wszystkie zasługi zapisywane są na ich rachunek. No i Konie Robocze. Zakopani pod stosami papierów, przesiadują tu większość doby i nikt nie ma najmniejszych oporów, żeby dołożyć im więcej pracy.

— Och, daj spokój, Robercie, bo odstraszysz Karen. To jej pierwszy dzień! — powiedział Clark. — Pozwól jej samej się przekonać, jak to jest.

— Najdziwniejsze w tym wszystkim jest to — dodał nie zniechęcony Robert, patrząc znacząco na Clarka — że na ogół Złote Dzieci wypalają się pierwsze.

— A to dlaczego? — spytałam.

— Bo zdobywanie uznania jest strasznie wyczerpujące. Clarka, na przykład, lata temu namaszczone na Złote Dziecko — mówił Robert — podczas gdy ja drepczę powoli do przodu z nadzieją, że od czasu do czasu ktoś rzuci mi kostkę cukru. — Zarżał.

— Kto decyduje o przypisaniu do danej kategorii? — spytałam.

— Nie wiadomo. — Robert wzruszył ramionami. — Po prostu łąduje się w jednej albo drugiej. A jak już się tam znajdziesz, moja mała, to nic tego nie odmieni.

— A są jeszcze jakieś inne kategorie?

— No cóż, jest podkategoria Złotyeh Dzieci, znana pod nazwą Przymiarki Tony'ego, składająca się z jego byłych dziewczyn. Kiedy już przestaje się z nimi spotykać, mają do końca życia zagwarantowane posady — wyjaśnił Robert.

— Dużo ich jest?

— Trudno powiedzieć. Niektóre temu zaprzeczają, inne utrzymują, że chodziły z Tonym, ale z kolei on temu zaprzecza, i wreszcie jest kilka takich, które figurują w spisie adresów e-mailowych i mają tu własne gabinety, ale nikt nigdy ich nie widział.

— Zupełnie jak w *Peyton Place* — zauważyłam.

— No cóż, jest niejaka Delilah Billings w dziale promocji — wtrąciła Dagny. — I przychodzi do pracy codziennie.

— Nie udało mi się dotąd ustalić, czy rzeczywiście spotykała się z Tonym — powiedział Clark.

— A może to nie twoja sprawa — rzucił Robert.

— I coś takiego mówi mi człowiek, który grzebie wszystkim w rzeczach osobistych — drwił Clark, kręcąc głową. — A jak ci idzie z Allegrą? — zwrócił się do mnie.

— Nie wiem. Jeszcze się do mnie nie odezwała.

— Jesteś tego absolutnie pewna? — Robert spoważniał.

— Nie rozumiem.

— Allegra jest zupełnie i całkowicie niesłyszalna — wtrącił Clark. — Albo mówi tak cicho, że się jej nie słyszy, albo tak mamrocze, że nie można jej zrozumieć.

— To skąd wiadomo, czego chce? — spytałam głosem wyższym o dwie oktawy ze strachu.

— Rzeczywiście, jest to pewna zgadywanka — przyznał Clark, przykładając do nosa palec wskazujący.

— Ja potrafię czytać z ruchu warg — oznajmił Robert z wyższością w głosie.

— Ja po prostu robię to, o co, jak mi się wydaje, prosiła, a jeśli nie o to chodzi, to zwraca mi uwagę... chociaż jest o wiele bardziej zadowolona, kiedy wykombinuję sobie, co trzeba, już za pierwszym razem — oświadczyła Dagney.

— Zdecydowanie obraca to na swoją korzyść — powiedział Clark. — Kiedy Phil wściekle wrzeszczy, ona szepcze mu prosto do ucha i on natychmiast się uspokaja. Dlatego jest znana jako „Szeptaczka Phila”.

— Cóż, pewnie będę musiała użyć mojego bionicznego aparatu słuchowego — stwierdziłam radośnie. Byłam wyprowadzona z równowagi tą sprawą niesłyszalnej szefowej, żeby nie wspomnieć o wścibskich kolegach, biurem, które w razie pożaru stanowiło prawdziwą pułapkę, i systemem kastowym. Naprawdę cudowny początek mojej pracy w Glorious. Co teraz powiem Ellen?

— Wy dwaj nie macie nic do roboty? — Dagney spytała Roberta i Clarka. — Skoro zamierzacie czaić się tu dłużej, to przynajmniej pomóżcie nam to przejrzeć.

Zagrożenie jakąkolwiek dodatkową pracą wystarczyło, żeby obaj natychmiast zniknęli. Clark zatrzymał się tylko na moment, żeby porwać najnowszy egzemplarz „Details”.

Dagney wzięła do ręki „New York”.

— Ciekawe, dali trzy i pół gwiazdki *Sprawom, które poznajesz w Phoenix, będąc naćpanym* — zauważyła. — To powinno zadowolić Phila. A kiedy Phil jest zadowolony, Allegra też jest zadowolona, z czego wynika, że istnieje dla nas jakaś nadzieja. — Zamaszystym gestem wyrwała kartkę z czasopisma.

W *Sprawach* grało trzech aktorów charakterystycznych, którym często niełatwo było *znaleźć* jakąkolwiek rolę, i z tego, co już zdążyłam dzisiaj przeczytać, dobra recenzja w „New York” była zdecydowanie odmienna od wiek—

szości pozostałych. Filmu nie widziałam, ale odniosłam wrażenie, że jest pełen przemocy — „krew i wnętrzności zamiast intrygi i fabuły”, według „Premierę”, które czytałam wczesnym popołudniem.

Przeglądałam metodycznie stos czasopism. „Maxim” pisał z zachwytem nad mającym wejść wkrótce na ekrany filmem zatytułowanym *Ona potrafi na dwie strony*, o którym już słyszałam, bo Gabe był wielkim fanem jego reżysera. „Bazaar” miał na rozkładówce dotyczącej mody kostiumy z *Cudzoziemskiego pilota*, a „Mother Jones” z niewiadomych powodów na swoją listę „pięćdziesięciu filmów, które powinna obejrzeć skrajna prawica”, wpisała *Obój*. Czytałyśmy i wydierałyśmy kartki do późnego popołudnia, kiedy zapragnęłam znów skorzystać z toalety.

— Słuchaj, Dag — zaczęłam z wahaniem. — Chodzi o toaletę. Gdzie tam jest mydło?

— Nie ma. — Wysunęła szufladę i moim oczom ukazała się butelka mydła Ivory w płynie. — Możesz używać mojego, póki sobie nie kupisz — dodała.

— Nie ma mydła? Oczywiście, że jest — oznajmił Robert, ponownie pojawiając się ni stąd, ni zowąd. Czy ten gość kiedyś nie podsłuchuje? — Mydła nie ma tylko dla nas. — Zapewnił mnie, że kiedy w biurze są jakieś znakomitości, w stosownej toalecie pojawia się butelka pachnącego werbeną żelu do rąk L'Occitane, która natychmiast po ich wyjściu znika i ląduje w zamykanej na klucz szufladzie. — Géraldine nosi kluczyk na szyi — dokończył swoją opowieść. — Ja jednak nie zgadzam się na uczestniczenie w takich dyskryminacyjnych praktykach. — Przechylił się przez biurko i sięgnął do szuflady Dagney. — Mydło to prawo, a nie przywilej — oświadczył, unosząc pięść i oddalając się szybkim krokiem w stronę męskiej toalety.

— Nie kupi sobie tego cholernego mydła — wyjaśniła Dagney. — A ja go niedługo uduszę — dodała i przeszła do spraw, które powinnam wiedzieć: jak często dostarczać Allegrze aktualny rejestr telefonów (raz na godzinę albo kiedy sobie zażyczy, w zależności od sytuacji); jak wynająć prywatny odrzutowiec (wybierz 1—800—4—PLANES i powiedz: „Jestem z Glorious i potrzebny mi samolot”); i jak w środę dostać niedzielne wydanie „New York Timesa” (od starszego pana, korektora „Timesa”, który od lat jest na potajemnej liście płac Glorious).

— Jest może jakiś informator? — zaryzykowałam pytanie, mimo że instynktownie domyślałam się odpowiedzi.

— Informator? — zdziwiła się Dagney. — Myślałam, że ci już wyjaśniłam. Tutaj nie aktualizują nawet spisu telefonów. Kiedy w końcu dodadzą do niego twoje nazwisko, ty już pewnie dawno będziesz pracować gdzie indziej. Jeśli czegoś nie wiesz, to po prostu rozpytaj dookoła, aż ktoś da ci taką odpowiedź, jaka ci pasuje, i tę wykorzystaj.

Pomyślałam smętnie o CNN, gdzie każdy dostawał segregator zawierający dane na temat polityki firmy i procedur oraz informacje dotyczące wszystkiego — od sposobu składania kwestionariuszy dotyczących ubezpieczenia zdrowotnego do postępowania w przypadku zatrucia. Dział personalny zarzucał nas uaktualnieniami, z wyciętymi już trzema dziurkami do wpięcia, z których zawsze żartowaliśmy. Teraz marzyłam o odpowiedniku takiego segregatora tu, w Glorious... idealny byłby taki zawierający hiszpańskie rozmówki, plan piętra, z zaznaczonymi miejscami, gdzie są gaśnice, i słowa jakiejś nie związanej z żadną konkretną religią modlitwy.

W ciągu kilku kolejnych dni miałam możliwość zaobserwowania, jak wiele trudu wszyscy wkładają w dogadzanie Waxmanom. Poza codzienną żonglerką poleceniami kierownicy wyższego szczebla prześcigali się w pomysłach, które miały robić na braciach odpowiednie wrażenie. Zdarzało mi się odbierać telefon od Allegrы i usłyszeć: „Phil żąda strony z komentarzami z ubiegłotygodniowego «Washington Post», nie jestem pewna z którego, ale ty powinnaś wiedzieć”, albo: „Tony chce, żeby ta kaseta wideo trafiła do księcia Karola”. Założenie było takie, że nieważne, o co chodzi, dział public relations załatwi wszystko. Allegra dumna była z tego, że jej dział potrafi dokonać rzeczy, które są nie do zrobienia, nie do pomyślenia i właściwie zupełnie niemożliwe, chociaż ona sama nigdy palcem nie kiwnęła. Wykonanie tych zadań decydowało o tym, czy Ziemia nadal będzie się obracała wokół własnej osi; wbrew temu, czego uczyłam się na lekcjach fizyki, jej ruch był całkowicie zależny od łaski Waxmanów, tak jak i wszystko inne w świecie Glorious Pictures.

W czwartek, kończąc przyprawioną imbirem zawieszoną zupę ze skorupiaków, podsumowałam swoje nieudane posunięcia pierwszych dni na nowej posadzie. Próby uporządkowania stanowiska pracy spелżyły na niczym. Przeróżne materiały nadal zaśmiecały podłogę — domagałam

się tablicy ogłoszeniowej, ale w sytuacji, kiedy nasze biurko stało przodem do ściany z cegły, nie dałoby się jej powiesić bez robienia dziur, a to było zakazane, bo wszystkie pomieszczenia były wynajmowane. Ludzie z boksów mogli używać pinezek, szpilek i taśmy na swoich pokrytych tkaniną przepierzeniach, ale cegieł nie imać się nic, co wyjaśniało system Dagney i jej kartotekę na poziomie podłogi. Często używane dokumenty musiałyśmy trzymać w pobliżu, w rezultacie po kostki tkwiłyśmy w papierach bez widoków na poprawę sytuacji. Ludzie rzucali notatki służbowe na nasze foteliki i zostawiali dokumenty na drukarce i faksie, kompletnie ignorując ażurowe druciane pojemniki, które ustawiliśmy na półkach, w daremnym wysiłku oddzielenia tego, co nowe, od tego, co już wcześniej zwalono nam na głowy. Telefon był nienasycony, wrzeszczał jak głodne niemowlę, przez calutki czas domagając się pełnej uwagi, przynajmniej jednej z nas. Harmonogram Allegry zmieniał się jak w kalejdoskopie, co powodowało, że co chwilę nadawałyśmy priorytet innym sprawom albo rozpaczliwie się miotaliśmy, starając się ze wszystkim zdążyć.

Jedyną pewną rzeczą była lista zup Kimberley, która każdego dnia, punktualnie o 11.30, wpływała do naszej skrzynki e-mailowej. Zawierała ofertę dnia około piętnastu restauracji, przy czym obok wielu zup figurowały oznaczenia — „ś”, jeśli zawierały śmietanę, „m”, jeśli mięso, „p” w przypadku puree i „np”, co znaczyło, że kiedyś już ją próbowano i nie uważano za godną polecenia. Za bogatymi mieszkańcami fantastycznych apartamentów dzielnicy TriBeCa ciągnęli najznamienitsi na świecie kucharze, tak że posiłki dostarczane nam do biura były często niezwykle, szczególnie jeśli miało się czas, żeby przed

połknięciem pogryźć te rarytasy. W tej sytuacji najbardziej praktyczną opcją była zupa, bo nie wymagała sztuców i do konsumpcji wystarczała jedna wolna ręka. Miałam nieodparte wrażenie, że już zdążyłam się wpisać do kategorii Koni Roboczych. Od pierwszego omleta wszystkie posiłki jadłam przy biurku i chętnie zapłaciłabym z własnych pieniędzy za najdroższy lunch w zamian za przywilej zjedzenia go gdzieś indziej. Zmęczona i jednocześnie pobudzona, liczyłam godziny dzielące mnie od piątkowego wieczoru.

Ten ranek zaczął się źle, jeszcze zanim dotarłam do biura. Robert wyszedł z metra tuż przede mną.

— Cześć — zawołałam, zauważając, że jest pogrążony w myślach.

— O, cześć — odpowiedział.

— Ty też mieszkasz w Upper West Side? — spytałam.

— Nie, w Lower East. Tyle że musiałem lecieć do Madison Square Garden i odebrać dla Tony'ego bilety na Knicksów. Przy samym boisku. Tuż obok Spike'a Lee. — Uśmiechnął się. — Robert Kojima zdobywa trzy punkty!

— A tłum szaleje — dodałam.

Zatrzymaliśmy się, żeby wziąć kawę.

— Ej, Robert, kiedy ta twoja dziewczyna znów cię odwiedzi? — spytał facet zza lady.

— Dopiero co była na Boże Narodzenie, więc tak prędko się nie pojawi. Ale dzięki, że pytasz — odparł Robert, kiedy odchodziliśmy.

— Musi ci być ciężko — powiedziałam — kiedy ona jest tak daleko. Jestem pełna uznania. — Gabe nie miał najmniejszej ochoty, żeby choćby spróbować podtrzymać znajomość na odległość, co zasugerowałam podczas jednej z ostatnich rozmów.

— Bywa ciężko. Szczególnie teraz, w sezonie zbioru bananów. Przez najbliższy miesiąc będę miał szczęście, jeśli dostanę e—maila czy porozmawiam przez telefon.

Razem weszliśmy do holu. A tam, tuż przed nami, wsiadał właśnie do windy Eddie di Silva. Ten aktor, zdobywca Oscarów, znany z umiejętności niewiarygodnych wręcz przeobrażeń fizycznych dokonywanych dla dobra granych ról i genialnie portretujący najgłębsze, najbardziej niepokojące strony ludzkiej natury, obłowił się całkiem nieźle na rynku nieruchomości TriBeKi. Był nawet właścicielem budynku, w którym się znajdowaliśmy, co niejako czyniło go gospodarzem Glorious. Abby poinformowała mnie o tym zresztą zaraz po mojej rozmowie kwalifikacyjnej, a teraz, za każdym razem, kiedy dzwoniłam do niej do Baltimore, powtarzała: „Do mnie mówisz?” W myślach już z nią rozmawiałam... "Zgadnij, z kim jechałam windą? ...kiedy Robert pociągnął mnie delikatnie za ramię, dając znak, żebym się zatrzymała. Eddie wsiadł do windy, a kiedy drzwi się za nim zamknęły, Robert wyjaśnił, że legenda kina przestrzega ścisłej reguły i sam jeździ windą.

— Zawsze? — oburzyłam się.

— Nie ma ochoty tkwić tam jak w pułapce i wysłuchiwać pomysłów, jakimi raczą go obcy ludzie. — Zobaczył moją markotną minę. — Nie martw się. Tutaj zobaczysz więcej sławnych osób, niż ci się wydaje możliwe. Aż do przesyty. Obiecuję.

Nie uwierzyłam mu, ale trochę mnie pocieszył.

Moja druga i trzecia gafa nastąpiły dość szybko po sobie. Sortując poranną pocztę, zobaczyłam list dla Allegrzy z wypisanym na czerwono słowem „Poufne”. Umieściłam go na stosie oznaczonym „Najważniejsze”.

Potem zadzwonił telefon, a ponieważ Dagney miała już rozmowę na jednej linii i dwie w kolejce, więc ja odebrałam.

— Biuro Allegrę Orecchi.

— J e s t u siebie?

— Tak. Kogo mam zaanonsować?

— Tu Mackie Moran — usłyszałam zniecierpliwiony kobiece głos. Zawiesiłam połączenie i policzyłam do dziesięciu.

— Przykro mi, właśnie jest na zebraniu. Czy mogę zapisać pani numer, żeby mogła oddzwonić?

— Ona ma mój numer. — Odłożyła słuchawkę, a ja, zanim wróciłam do poczty, zapisałam informację w rejestrze, znalazłam też numer telefonu tej kobiety i na wszelki wypadek wciągnęłam na swoją listę.

— Otwórz ją — powiedziała Dagney, rozłączając się i wskazując na kopertę z napisem „Poufne”.

— Myślisz, że powinnyśmy?

— J a k najbardziej. Jakby ktoś chciał jej przekazać jakiś sekret, nie robiłby tego za pośrednictwem zwykłej poczty. Otwórz i tyle. — Odwróciła się, żeby odebrać kolejny telefon.

W kopercie znajdowała się notatka od Marlene z dopiskiem „do wiadomości Phila, Tony'ego i Geraldine”. Notatka była skargą na mnie.

Dot. twojej nowej pracownicy

Karen Jacobs, twoja druga asystentka, kazała mi czekać przy telefonie niewyobrażalnie wręcz długo, podczas gdy ja koniecznie musiałam się z Tobą porozumieć. Kiedy wreszcie pozwoliła mi zostawić wiadomość, sytuacja zaczęła się gwałtownie pogarszać. Mam poważne obawy, czy poradzi sobie z przydzieloną rolą.

Napisane rozstrzelonym drukiem wyrazy tańczyły mi przed oczami, jakby sobie ze mnie drwiły. Nie czekała dłużej niż dwie minuty, byłam tego pewna, nawet jeśli doliczyć czas, kiedy musiała czekać, bo odbierałam jej telefony na innych liniach. I dlaczego jako adresatów swojej notatki umieściła też szefową działu personalnego i obu Waxmanów? Mijała przecież wtedy dopiero druga godzina mojego pierwszego dnia... czy to musiało urosnąć do tak poważnego problemu?

Byłam zakłopotana, a nie chcąc, żeby Dagney zobaczyła notatkę, umieściłam ją szybko w środku stosu korespondencji i całość włożyłam do specjalnej czerwonej teczki Allegry, którą zaniiosłam do jej gabinetu i zgodnie z obowiązującymi zasadami położyłam na wyznaczonym miejscu obok jej biurka. Wymknęłam się chyłkiem, dręczona przekonaniem, że kiedy zadzwoni kolejny telefon, dowiem się, że mam spakować swoje rzeczy.

— No dobra — powiedziałam sobie, starając się zająć bieżącymi sprawami i zepchnąć w zakamarki umysłu notatkę Marlene. Dagney wstała, żeby zanieść Allegrze nowy wydruk rejestru telefonów, a kiedy wróciła z jej gabinetu, usta miała zaciśnięte w cienką kreskę. Byłam przekonana, że wiem, o co chodzi.

— Nie miałaś żadnych wiadomości od Mackie Moran? — zapytała.

— Dzwoniła niedawno do Allegry.

— Chcesz powiedzieć, że nie rozpoznałaś jej nazwiska?

— A powinnam?

— To najmodniejsza obecnie dekoratorka wewnątrz. Myślałam, że wszyscy to wiedzą. — Jej mina wyrażała frustrację. — W każdym razie Mackie jest jedną z tych osób, które trzeba niezależnie od okoliczności łączyć z Allegra.

— Nie możemy do niej oddzwonić?

— Mackie jest w trakcie przeróbki apartamentu Alle—gry i kiedy dzwoni, oznacza to, że ma chwilę natchnienia i musi rozmawiać z Allegra, póki ta chwila trwa. Inaczej zapomina.

Dekoratorka Allegry jest jakimś szczególnym geniuszem, który nie zavraca sobie głowy notesem i ołówkiem, i to niby ma być moja wina?

— Teraz już nic z tym nie zrobimy. Allegra powiedziała, że pogada z tobą później. — Po czym Dagney wyszła na papierosa, zostawiając mnie samą z moimi ponurymi myślami i zimną zupą. Byłam przekonana, że miejsce w kolejce dla bezrobotnych mam już załatwione.

Kiedy umieszczałam ostrożnie pojemnik po zupie na szczycie śmieci przepelniających kosz, u mojego boku wyrosła znienacka Allegra.

— Karen — powiedziała, a raczej wyszeptała po raz pierwszy moje imię. Wpatrzyłam się w jej usta, siłą woli ucisząc szum w biurze, tak żebym mogła usłyszeć, co do mnie mówi. — Kiedy Dagney wróci, zanieś to do gabinetu Phila. — „To” było egzemplarzem następnego wydania „Entertainment Weekly” z okładką udekorowaną fotosami z *Cudzoziemskiego pilota* ułożonymi wokół statuetki Oscara i z podpisem: CZY WAXMANOWIE OSTATECZNIE ZWYCIĘŻĄ? — Tylko na pewno przekaz mu to do rąk własnych — przykazała mi i zniknęła.

— Jasne — odpowiedziałam w powietrze.

Po powrocie Dagney wyruszyłam z powierzoną mi misją dostarczenia czasopisma Philowi. Jeśli oddam mu je do rąk własnych, czy będzie to znaczyło, że go poznałam? Przeszłam na drugą stronę sali i zatrzymałam się na chwilę, żeby złapać oddech przed wejściem do strefy gabinet—

towej prezesów, usytuowanej na samym końcu korytarza. Po prawej stronie wisiała mała tabliczka TONY WAX—MAN. Nie oznaczone drzwi po lewej stronie musiały prowadzić do gabinetu Phila. Otworzyłam je i zobaczyłam długi kontuar z jednej strony, trzy puste boksy z drugiej i ani żywego ducha. Na kontuarze stały ogromne skrzynki z ręcznie wykonanymi napisami: PHIL SCENARIUSZE, PHIL POCZTA PHIL TELEFONY, PHIL DO PODPISU oraz jedna, którą odczytałam jako specyficzne powitanie: PHIL PUBLIC RELATIONS. Na końcu kontuaru znajdowały się kolejne drzwi, lekko uchylone. Dochodził stamtąd szum rozmowy i jakieś bzyczenie. Usłyszałam rzucone męskim głosem „Za cholerę”. Domyślałam się, że to Phil. Potem nastąpiło jakieś niewyraźne mamrotanie, przerwane przez głośnie „Gówno”, a po nim „Niech idzie do wszystkich diabłów”. Czasopismo wilgotniało powoli w moich dłoniach. Przepociłam literę „E” w „Entertainment Weekly”. Bzyczenie się wzmogło i przyszło mi do głowy, czy przypadkiem nie pojawiły się tu pszczoły Buddy'ego Friedmana. Zarówno droga do przodu, jak i wycofywanie wydawały się jednakowo niebezpieczne. A przecież nie mogłam sobie pozwolić dzisiaj na kolejny błąd, wobec czego stałam przez chwilę, zastanawiając się nad najlepszym rozwiązaniem. Wreszcie zapukałam delikatnie do drzwi. Usłyszałam coś, co można było uznać za „Wejść”, więc weszłam, trzymając przed sobą magazyn jak tarczę.

W zadziwiająco małym pomieszczeniu królował Phil. Siedział pochylony nad zarzuconym papierami biurkiem. Jadł rękoma ogromnego omleta, podczas kiedy fryzjer elektryczną maszynką golił mu kark. Kiedy Phil podniósł na mnie wzrok, z ust wypadła mu pieczarka. Chwycił ją

jednak w locie, nim zdążyła dotknąć talerza, i zamasyście wrzucił ją z powrotem. Potem powiedział coś, co mogło znaczyć „Zostaw to”, więc położyłam ostrożnie czasopismo na skraju biurka. Kiedy odwróciłam się do wyjścia, zobaczyłam Vivian i jakichś dwoje ludzi, których nie rozpoznałam, wciśniętych w malutką kanapę pod przeciwległą ścianą. Vivian miała oczy jak spodki, a brwi uniesione tak wysoko, jakby za chwilę miały połączyć się z linią włosów. Wypadłam stamtąd i schroniłam się we względnie bezpiecznej przystani swojego biurka, chwyciłam słuchawkę dzwoniącego telefonu i odebrałam wiadomość od reportera jakiejś gazety, który chciał koniecznie przeprowadzić wywiad z Tonym do artykułu o „obecnej eksplozji filmów z gatunku horroru”. Zważywszy na to, jaki miałam dzień, posiadałam szczególne kwalifikacje, żeby się na ten temat wypowiedzieć.

— Karen, Karen, Karen. — No proszę, więc jednak Vivian wie, jak mam na imię. Zawisła nade mną. — Nigdy więcej tego nie rób — oświadczyła. — Nigdy.

Jest to taka kwestia otwierająca rozmowę, która powoduje, że twoi koledzy prostują się na krzesłach i wyęzają słuch; słyszałam, jak w synkopowanym rytmie wszędzie wokół nas odkładane są słuchawki telefonów. Kimberly podniosła głowę znad krzyżówki w „TV Guide”, a kątem oka dostrzegłam Clarka, stojącego wystarczająco blisko, żeby słyszeć i widzieć, co się u mnie dzieje.

— Wparowałaś do gabinetu Phila, jakbyś miała do tego prawo — ciągnęła Vivian, a ja myślałam tylko o tym, jak strasznie nieśmiało się tam zachowałam i że to wszystko nie trwało nawet dziesięciu sekund. — Co sobie wyobrażałaś? Możesz mi powiedzieć?

Próbowałam odpowiedzieć, ale ubiegła mnie Dagny.

— Zniosła Philowi nowy „Entertainment Weekly”, bo Allegra życzyła sobie, żeby go dostał.

— Dobrze, w porządku, ale czy ona nie wie, jak się zachowywać w biurze? — kontynuowała Viv. Czułam się jak ktoś uwięziony w zgniecionym samochodzie, czekający, aż uwolnią go „szczęki życia” strażaków. — Phil ma asystentki, którym się wszystko przekazuje — oświadczyła, sycząc przy każdym „s” w słowie „asystentki”. — Po to one tam są.

— Ale nikogo nie było i...

Viv nie pozwoliła mi dokończyć.

— Jeśli nikogo nie ma, to przychodzi się później, kiedy ktoś jest. Ale nie wchodzi się do gabinetu prezesa, chyba że w sposób jednoznaczny zostało się zaproszonym.

Skinęłam głową, obawiając się, że jeśli się odezwę, to się rozplaczę.

— Przyrzekasz, że już nigdy tego nie zrobisz?

Ponownie skinęłam głową, tym razem energiczniej. Kiedy wreszcie odważyłam się podnieść oczy, Vivian już nie było, a wszyscy pozostali starannie unikali mojego wzroku. Zadzwoił mój telefon, opanowałam się więc na tyle, żeby móc odebrać.

— Cześć, tu Clark. Chodźmy pogadać na dachu. Czekam przy schodach.

— Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza — wyjąkałam trzęsącym się głosem do Dagny, zapinając guziki płaszcza.

U stóp schodów Clark puścił mnie przodem. Wspięliśmy się cztery piętra wyżej. Na górze otworzył drzwi i znaleźliśmy się na zewnątrz, a przed nami rozpościerał się oszałamiający widok śródmieścia na tle zachodzącego zimowego słońca. Clark usiadł, oparł się plecami o murek, a ja usiadłam obok niego. Zapalił papierosa i wyciągnął paczkę w moją stronę. Odmówiłam machnięciem ręki. Ścisnął

pocieszająco moje ramię, a ja zaczęłam płakać. Nie był to rozpaczliwy, spazmatyczny szloch, jakiego można się było spodziewać, bardziej bezgłośnie wylewanie strumieni wielkich łez, co było znacznie lepsze, bo pozwalało mi jednocześnie płakać i mówić.

— Nie możesz dać się jej pognębić. Bo widzisz, Vivian cierpi na kompleks suki alfa. Teraz, kiedy cię już publicznie zrugęła, zostawi cię w spokoju.

— Naprawdę? — Pociągnęłam nosem.

— Na sto procent. Zrobiła, co musiała. Szkoda, że nie widziałas, jak w zeszłym roku potraktowała Kimberley.

— Dagney coś wspomniała, ale nie znam całej historii.

— Vivian była odpowiedzialna za premierę *Perp Friction*, a Kim za adresowanie kopert. I bardzo szybko biuro Phi—la dostało wiadomość od Johnny'ego Lucchese... „Jeśli Phil chce, żebym przyszedł na jego przyjęcie, to niech nauczy się pisać poprawnie moje nazwisko”. Okazało się, że Kim zrobiła błąd.

Skuliłam się na samą myśl o tym, co bez wątpienia nastąpiło potem.

— Czy Phil bardzo się rozzłościł?

— Nigdy się o tym nie dowiedział... jedna z jego asystentek załatwiła rzecz z Viv. A Vivian kazała Kimberley napisać „Johnny Lucchese” pięćset razy na odwrotnej stronie afisza *Perp Friction*, po czym, dołączywszy notkę z przeprosinami, posłała ten afisz Johnny'emu.

— Ojej, strasznie ją potraktowała. — Nie wiedziałam, co jeszcze mogłabym powiedzieć. Nadal płakałam, ale chciało mi się też śmiać.

— Wiesz, jak Tony nazwał kiedyś Vivian? — spytał Clark.

— J a k ?

— Mussolini z twarzą od Botticellego.

— Naprawdę?

— Aha — potwierdził Clark. — I to miał być komentarz.

— Ojej — powtórzyłam, zauważając nagle, że przestałam płakać. — Skoro już jesteśmy przy przestępstwach i wykroczeniach, to mam ogromny problem z Marlene. — Opowiedziałam mu wszystko o telefonach, o jej notatce, i Clark wydał okrzyk udawanego przerażenia.

— Właśnie cię jęknęto.

— Jęknęto?

— Taa. Te notki nazywamy „jękami Marlene”. Wysyła je raz czy dwa w miesiącu. Nikt nie traktuje ich poważnie, ale wszyscy je dostajemy, bo Sabrina z biura Phila je nam kseruje. Phil i Tony nigdy ich nie oglądają, a Geraldine powiedziała mi, że przestała je czytać dwa lata temu.

— A Allegra?

— Allegra wysłała jej e-maila z informacją, że się tym zajmie. Potem gdzieś to odłożyła i wierz mi, nigdy nie usłyszysz słowa na ten temat.

Poczułam się znacznie lepiej, po czym przypomniał mi się błąd, jaki popełniłam w związku z Mackie Moran.

— Mackie Moran czerpie natchnienie z pęknięć w chodniku albo z żalosego wycia alarmu samochodowego o świątynie. Zadzwoń ponownie; pewnie już to zrobiła. To wszystko? — Clark sapnął z udawaną irytacją. Uśmiechnęłam się. — No to świetnie. — Podał mi ramię i wróciliśmy do środka.

Dagney czekała na mnie. Miała spojrzenie winowajcy.

— Możesz coś dla mnie zrobić?

— Co takiego? — spytałam nieco zaniepokojona, myśląc, że najlepszym miejscem dla mnie jest dom, gdzie nie narobię żadnych dodatkowych szkód.

— W czwartkowe wieczory jedna z asystentek Allegrы

musi jechać do drukarni „New York Timesa” w Queens, żeby wziąć stamtąd piątkową gazetę, bo są w niej recenzje — oświadczyła. — Tymczasem dziś wieczorem mam wizytę u Feliksa, a odwoływałam już trzy razy z rzędu. Skreśli mnie, jeśli nie przyjdę, i już nigdy nie przyjmie.

Felix Acosta był jednym z najlepszych nowojorskich fryzjerów, człowiekiem, na wizytę u którego zwykli śmiertelnicy czekali pół roku. Czytałam o nim w czasopiśmie poświęconych urodzie; zrobione przez niego pasemka zdobiły głowy dziesiątek aktorek i supermodelek.

— Jasne, z przyjemnością, ale czy nie możemy tego ściągnąć przez Internet?

Dagney wyjaśniła, że chociaż gazeta będzie dostępna w sieci około północy, to Allegra obawia się, że wydanie internetowe może nie zawierać jakiegoś istotnego, nadającego się do cytowania zdania z wersji papierowej, tak że jedynie fizyczny egzemplarz gazety ją zadowoli. Dodała, że gazeta jest gotowa około jedenastej i że pojedą tam lincolnem z kierowcą.

— Na ogół wysyłamy ją faksem do Phila — mówiła — ale tam, gdzie będzie dziś wieczorem, nie ma faksu, więc zadzwonisz do jego asystentki, ona cię z nim połączy, a ty przeczytasz mu recenzję. Dzisiaj to będzie pestka; piszą o tym irańskim filmie, który wszystkim się podoba.

Dagney już wydrukowała dla mnie wskazówki, włącznie z informacją, jak zamówić sobie auto, z adresem drukarni i z numerami telefonów komórkowych asystentki, która będzie „ubezpieczać” tego wieczoru Phila.

— Aha, jeszcze to będzie ci potrzebne — oznajmiła, wręczając mi nowiutką komórkę. — Geraldine ją dzisiaj przyniosła. Jest twoja, tak długo jak tu pracujesz. Nigdy jej nie wyłączaj.

Jakiś czas później tego wieczoru, kiedy samochód mknął mostem Brooklińskim w kierunku drukarni „New York Timesa”, zorientowałam się, że moje popołudniowe wyczerpanie zostało zastąpione niezwykłym ożywieniem. Kierowca zaparkował przed drukarnią, a ja podeszłam do pracownika ochrony, który poinformował mnie, że pierwsze gazety zejdą z prasy za około pół godziny. Miałam ogromną ochotę zadzwonić do Abby i wszystko jej opowiedzieć, ale jednocześnie czułam, że jeszcze nie skończyłam przetrwać wydarzeń dnia. Zwycięskie przebrnięcie przez tę ciężką próbę zaowocowało niesłychaną pewnością siebie, którą się teraz rozkoszowałam.

O 23.15 przed budynek wyszedł mężczyzna i umieścił w automacie kilka egzemplarzy gazety. Pobiegłam do niego i kupiłam dwie sztuki. W samochodzie odnalazłam szybko recenzję i wybrałam pierwszy numer telefonu komórkowego z mojej listy. Asystentka odebrała, kazała mi poczekać, aż połączy się z Philem.

— Jest na linii — oświadczyła po chwili.

— Phil, mówi Karen Jacobs z biura Allegry — zaczęłam. Mam dla ciebie recenzję *Wróbla na drzewku oliwnym* z „New York Timesa”.

— Czytaj.

Przeczytałam recenzję powoli i wyraźnie, tak jak kiedyś w szkole podczas streszczania lektur. Była to dobra recenzja, pełna takich określeń jak „wyrafinowany w swojej prostocie”, „subtelny, a przecież robiący ogromne wrażenie” i „mocny, a wyrażony taktownie, apel twórcy filmu o pokój”.

Jednocześnie w mojej głowie niczym zapętlona taśma magnetofonowa nieustannie przewijała się myśl: „Siedzę na tylnej kanapie jadącego przez Queens lincolna i przy

wewnętrznej lampce czytam Philowi Waxmanowi!" Od czasu do czasu Phil prosił, żebym przeczytała ponownie jakieś zdanie, albo mówił: „Tak jest” czy „Rozumiem”, słyszałam też jego nieco świszczący oddech. Była to dziwnie intymna sytuacja, zupełnie jakbyśmy prowadzili rozmowę w łóżku, w ciemności... cóż, przynajmniej ja znajdowałam się w ciemności; on był gdzieś daleko, w jakimś egzotycznym miejscu, dokąd nie dochodziły faksy.

Skończyłam czytać, Phil powiedział „Dziękuję”, po czym wścibska asystentka, która przez cały czas podsłuchiwała, poprosiła, żebym rano położyła kopię recenzji na jego biurku. Powiedziałam dobranoc i zapadłam w głęboki sen, który trwał przez całą drogę do domu.

Tajemnica mojego sukcesu

Cztery tygodnie później, o szóstej trzydzieści w czwartkowy rano, siedziałam w lincolnie prującym West Side Highway w stronę TriBeKi. Po pierwszych kilku tygodniach w Glorious uzyskałam dowody na to, że obłęd firmy nie zawsze jest wrogi człowiekowi. Zdarzało się, że szaleństwo bywało przyjazne.

Umówiliśmy się z Dagney, że wczesnym rankiem będziemy obecne na naszym stanowisku na zmianę i dzięki temu ta, która przyjdzie wcześniej, będzie mogła wyjść z biura, jeszcze zanim zacznie się monolog Jaya Leno. Poprzedniego tygodnia, po kolejnych nocach kampanii na rzecz Oscara, trwającej do drugiej nad ranem, Dagney doszła do wniosku, że potrafię już sobie poradzić sama na zmianie o siódmej rano, i to od zaraz. Kiedy tego pierwszego dnia wynurzyłam się ze stacji metra w pobliżu biura, odkryłam, że mam w swoim telefonie komórkowym dziewięć wiadomości od Allegry, każda kolejna naznaczona była coraz większą paniką i zawierała jedno pytanie: „Gdzie jesteś?”

Natychmiast zadzwoniłam pod jej domowy numer.

— Przepraszam... jechałam metrem — tłumaczyłam się.

— J a k długo?

— Około pół godziny.

— Pół godziny w metrze? To gdzie ty mieszkasz?

Powiedziałam, że mieszkam na rogu Sto Dwunastej i Broadwayu, i usłyszałam jej westchnienie.

— Nikt mi nie powiedział, że dojeżdżasz — oświadczyła z pretensją w głosie.

Kiedy tylko pojawiła się w biurze, kazała natychmiast połączyć się z Philem. Wcisnęłam wiadomy guzik, żeby się zorientować, o co chodzi, i skóra mi ścierpła, kiedy usłyszałam, że mówi o mnie.

— Phil, ona mieszka po północnej stronie Manhattanu... praktycznie rzecz biorąc, w Bronksie. Jeśli wyliczyć prawdopodobieństwo wszelkich opóźnień, to jest całkiem możliwe, że będzie poza zasięgiem do półtorej godziny dziennie. Nie muszę ci mówić, że stanowi to bezpośrednie zagrożenie dla całej mojej operacji. — Serce przestało mi bić, kiedy usłyszałam, co mówi dalej. — Musimy dać jej samochód.

Samochód?

Phil wydawał się czytać w moich myślach.

— Chodzi ci o to, że mamy dać tej twojej cholernej asy-
stentce pieprzony samochód? — zawołał.

— Wszystko może się wydarzyć, kiedy ona jest pod ziemią. Zastępstwo byłoby zbyt ryzykowne. Przypomnij sobie ten ranek, kiedy dowiedzieliśmy się, że Buddy Friedman zamieszkał ze swoją przyszywaną bratanicą. Mogłam się tym zająć dopiero około ósmej. A wtedy już wszyscy wiedzieli, pamiętasz?

Phil zamilkł na chwilę i podczas gdy Allegra i ja trwałyśmy w niepewności, słychać było jedynie odgłosy przeżuwania.

— Zgoda — burknął niechętnie — ale będzie to pokryte z twojego budżetu. — Allegra westchnęła, ale nie zaprotestowała. Pierwszy raz byłam świadkiem, jak stosuje za—

biegi manipulacyjne, i muszę przyznać, że miała talent. W najgorszym przypadku dojazd do pracy metrem zajmował mi czterdzieści pięć minut, na ogół trwało to tylko pół godziny. Zafascynowało mnie, że taka twarda kobieta, która potrafi zetrzeć się z Philem Waxmanem, nie może znieść sytuacji, kiedy jej asystentka tkwi pod ziemią, a ona dzwoni do niej na próżno.

Szczerze mówiąc, wolałabym mieć dodatkowe pół godziny wyłącznie dla siebie, ale postanowiłam przyjąć to auto jako dobry omen. Czy Allegra zadałaby sobie tyle trudu i narażała na wydatki, gdyby nie widziała we mnie dobrej inwestycji? Korzystanie z auta i kierowcy zarezerwowane było dla wyższej kadry kierowniczej, tak że wyjątek od tej reguły u niejednej osoby wywołał kwaśną minę i kręcenie nosem. Wpadłam do biura Geraldine, żeby zostawić tam papiery dotyczące ubezpieczenia zdrowotnego.

— Zachodnia 112? — spytała. — Mam nadzieję, że trzymasz w torebce gaz łzawiący — dorzuciła zgrzyliwie. Mogłam jej powiedzieć, że w mojej okolicy największe niebezpieczeństwo, na jakie jestem narażona, to zaloty w West End Tavern zaaferowanego studenta filozofii z Columbia University, ale się powstrzymałam.

Kiedy Dagney, która mieszkała w Greenwich Village i do pracy chodziła pieszo, usłyszała o sposobie rozwiązania moich problemów komunikacyjnych, wpadła w szal.

— To najbardziej niesprawiedliwe, jak tylko można sobie wyobrazić — oświadczyła, dla podkreślenia swoich słów tupiąc wysokim butem z wężowej skóry na szpilce. Bez większego wysiłku powstrzymałam się od współczucia dla tej dwudziestopięcioletki, której rodzice kupili dwupoziomowe mieszkanie przy Jane Street. Niemniej od tamtej

pory nasza maleńka wspólna przestrzeń — gdzie obie spędzałyśmy do czternastu godzin na dobę — aż kipiała negatywną energią.

Jednak tego konkretnego ranka byłam w świetnym nastroju, kiedy z nożyczkami, kartkami samoprzylepnymi i gotowymi do użycia markerami siedziałam pochyłona do przodu na obszernej tylnej kanapie samochodu, przeszukując ważniejsze gazety w poszukiwaniu jakiegokolwiek informacji na temat Glorious, którą można by później puścić w obieg po biurze. Najmniejsza wzmianka o wytwórni, jej filmach, Philu albo Tonym, firmie matce Glorious, ciekawostki o konkurentach, plotki z rubryk towarzyskich i domysły — cokolwiek mogło okazać się interesujące dla kogoś z personelu Glorious, padało moim łupem. Kierowca, kiedy po mnie przyjechał, miał już w aucie „New York Timesa”, „Post”, „Daily News” i „Wall Street Journal”, tak żebyśmy mogła zająć się nowinami i mieć wszystko przed oczyma w przypadku, bardzo zresztą prawdopodobnym, telefonu od szefowej.

Zaangażowanie Allegry w zbieranie wiadomości medialnych graniczyło z obsesją. Kiedy nie spała, cały czas poświęcała prezentowaniu światu jak najlepszego wizerunku Glorious i z prawdziwym fanatyzmem zbierała i analizowała każde wydrukowane albo wyemitowane słowo na temat naszej firmy. Uważała, że jeśli jej pierwszej uda się zauważyć jakąś informację, na pewno potrafi kontrolować jej wpływ na opinię publiczną. Kiedy podano coś budzącego wątpliwości na temat Glorious, Allegra miała już starannie przygotowane wytłumaczenie... zazwyczaj zanim ktokolwiek inny zdążył o tym usłyszeć.

Dla Dagney i dla mnie oznaczało to nieustanne gromadzenie gazet, czasopism, odpisów i tekstów z taśm i s—

mych taśm z programami radiowymi i telewizyjnymi oraz mnóstwo poszukiwań w sieci, żeby dostarczyć naszej szefowej analizie medialnej dokonywane w czasie rzeczywistym. Połączenie z Associated Press było tak zmyślne, że za każdym razem, kiedy padała nazwa Glorious, rozbrzmiewał alarm. Przypominało to redakcję informacyjną z jakiejś rzeczywistości alternatywnej, która zamiast publikowania informacji, je przechwytuje. Otrzymywałyśmy wiadomości z takim wyprzedzeniem, że któregoś dnia pomyślałam sobie, czy przypadkiem kiedyś nie natrafię na własny nekrolog.

Kiedy przejeżdżaliśmy obok Chelsea Pierś, wiedziałam już, że w gazetach jest to, co zawsze — artykuły przewidujące oscarowych zwycięzców, wywiady z aktorami występującymi w mających wkrótce wejść na ekrany filmach Glorious oraz ciekawostki i plotki o filmach w fazie przedprodukcyjnej. Gdybym znalazła coś kłopotliwego czy niewłaściwego, niezwłocznie zadzwoniłabym do Allegry i przeczytała jej odpowiedni artykuł. Jeśli tekst byłby napastliwy w stosunku do Phila, miałam go odnaleźć i połączyć z nią, żeby mogła zrelacjonować mu, co napisano. Tony natomiast zupełnie nie był zainteresowany manipulacjami Allegry. Życzył sobie za to, żeby ukarać odpowiedzialnego dziennikarza, w czym Allegra była równie wprawna.

Załatwiała sprawę, zaczynając od redaktorów czy realizatorów, i wspinała się coraz wyżej, do wydawców, a nawet szefów sieci, jeśli Tony był w wyjątkowo złym nastroju albo występki był szczególnie naganny.

Zjechawszy z autostrady przy Canal Street, zatrzymaliśmy się przed salonikiem prasowym na Hudson, prowadzonym przez Irlandkę o imieniu Belinda. Każdego ranka wręczała mi stos świeżo wydrukowanych czasopism

i tygodników, włącznie z „L.A. Times”, „Washington Post”, „USA Today”, „Daily Variety” i „The Hollywood Reporter”. Belinda stanowiła moją tajną broń. Często sama zaznaczała dla mnie różne pozycje. Była ogromną entuzjastką Glorious Pictures, posiadała encyklopedyczną wiedzę o filmie i automatycznie wyłapywała rzeczy, które ja bym przegapiła, szczególnie podczas pierwszych miesięcy pracy w firmie. Jako gospodyni „meliny” dla pracujących w pobliżu filmowców, którzy często gromadzili się w jej sklepiku, Belinda miała okazję wysłuchiwać wszelkiego rodzaju nowinek i plotek dotyczących show—biznesu. A ponieważ Dagny, kiedy przypadał jej dyżur, kazała dostarczać sobie gazety na biurko, odmawiając noszenia czeokolwiek, co nie było jakimś modnym dodatkiem do stroju, ja byłam jedyną beneficjentką nieocenionej pomocy Belindy.

Z gazetami w ręku wskoczyłam do auta i przejechaliśmy dwie ostatnie przecznice dzielące nas od Glorious, gdzie, korzystając z kodu zabezpieczenia, weszłam do środka, wyłączyłam system alarmowy i zapaliłam światła. Ledwie zdążyłam odłożyć gazety, zadzwonił telefon, a ja poczułam ucisk w dołku. Podniosłam nieufnie słuchawkę.

— Biuro Allegry Orecchi.

— J e s tu siebie? — spytał mężczyzna.

— Tak. Mogę wiedzieć, kto mówi?

Rozłączył się. Zerknęłam nerwowo przez okno na położone niżej dachy przyległych domów. To powtarzało się każdego ranka już od przeszło dwóch tygodni, kiedy przychodziłam tak wcześnie, i przyprawiało mnie o gęsią skórę. O tej porze byłam jedyną osobą w biurze; możliwe, że jedyną w całym budynku. Kiedy te telefony się zaczęły,

pomyślałam, że być może to Hanratty, ten tajemniczy biograf, ale Clark powiedział mi, że o tej porze gość z całą pewnością odsypia nocne popijawy i na pewno nie jest w stanie do nikogo dzwonić.

Naciskałam na Clarka, żeby powiedział mi wszystko, co wie o Hanrattym, i ciągle było mi mało. Z tego, co mówił Clark, wynikało, że na początku istnienia Glorious Hanratty był prawdziwą podporą Waxmanów, a oni odwiedzali się, dając mu prawo wyłączności i zapraszając na przyjęcia i różne imprezy. Ale kiedy Phil i Tony zaczęli odnosić sukcesy, coraz mniej go potrzebowali, aż w końcu prawie przestali go zauważać. Kiedy jakaś sensacyjna wiadomość na temat Glorious pojawiła się w konkurencyjnej gazecie i spowodowała zwolnienie Hanraty'ego, żaden z braci nie sięgnął po telefon, żeby mu pomóc. I tak oto George Hanratty zaczął wieść ponury żywot skoncentrowanego na zemście człowieka. Jakieś pięć lat temu pojawiły się pogłoski o biografii Waxmanów, ale wiele osób lekceważyło je jako podsycaną alkoholem fantazję.

— Skoro był taki pomocny na początku, to dlaczego potem tak okropnie go potraktowali? — spytałam.

Clark wzruszył ramionami.

— Pewnie dlatego, że mogli sobie na to pozwolić.

— Ale żeby tak całkiem go odrzucić? To nie pasuje nawet do Waxmanów.

— Może było coś jeszcze — przyznał Clark — ale ja nie mam pojęcia co takiego. Wiem tylko, że kariera Hanraty'ego jest skończona, a on za bardzo się rozpił, żeby ją wskrzesić. Szkoda... czytałem jego wcześniejsze artykuły i przyznaję, że były świetne. Gość miał talent.

— Co za strata — powiedziałam.

Po dzisiejszym telefonie wolałabym już, żeby to jednak był Hanratty, bo wszystkie inne rozwiązania, o których starałam się nie myśleć, były dużo gorsze. Czy jakiś snajper mógł obserwować mnie przez ogromne okna dawnej fabryki szpulek? A może to jakiś psychol, który jest już w budynku, uzbrojony nie wiadomo w co, naturalnie oprócz wiedzy, że jestem tu zupełnie sama? I w jakiejś sekwencji dziwnych wydarzeń, o których będą potem krzyczyć nagłówki brukowców, odegra scenariusz któregoś z horrorów Tonyego... których aż za wiele obejrzałam. Kombinacja wyludnionego, rozbrzmiewającego echem budynku, niewystarczającej ilości snu i nieznośnego odkładania słuchawki tworzyła atmosferę, która doprowadziła mnie do paranoi. Chciałam spytać Dagney, czy jej przydarza się to samo, ale sprawy między nami miały się tak, że nie miałam odwagi.

Kolejnym rozmówcą była jak zwykle Allegra. Zawsze dzwoniła dokładnie o siódmej czterdzieści pięć, żebym złożyła jej krótkie sprawozdanie z porannych wiadomości, podczas gdy ona leżała sobie w łóżku, udając, że wcale tak nie jest. Potem, tak jak każdego dnia, kazała mi odczytywać całą Page Six z „New York Post”, a później i tak przefaksować tę plotkarską rubrykę towarzyską do swojego domu. Page Six miała nad nią jakąś dziwną władzę, bo Allegra studiowała ją pilnie, z dokładnością talmudysty. Zachowywała się tak, jakby wierzyła, że gdzieś tam, w drukowanych tłustym drukiem wzmiankach, tkwi jakieś zakamuflowane, a być może nawet zaszyfrowane znaczenie.

Tymczasem dzień wcześniej znalazła się tam wiadomość, z której rozszyfrowaniem nie miała problemu nawet taka nowicjuszka jak ja.

Zwykłe pytanie?

Który to jękający się szef studia filmowego musi wystawić na widok publiczny artystyczne wycpiny byłej żony, żeby spełnić warunki rozwodu? Personel opisuje to dzieło jako „bolesne dla oka”.

To wyjaśniało obecność tego okropnego bohomazu w recepcji. Słyszałam, jak Phil mówi, i wiem, że się nie jąka, ale zauważyłam też, że Tony ogranicza się jedynie do niemal monosylabowych warknięć. Z czego wynika, że Tudi Waxman jest byłą żoną Tony'ego.

Kiedy tylko znalazłam się w biurze, wybrałam domowy numer Allegry i odczytałam jej głośno tę notkę.

— Karen, nie musiałaś mnie budzić dla czegoś takiego — zareagowała obojętnym głosem, ale jednocześnie usłyszałam kłapanie stóp o podłogę. — Jestem pewna, że chodzi o Caleba Daniela z Warner Brothers. — I rozłączyła się.

Pół godziny później zadzwonił telefon.

— Mówi Elliott Solnick z Page Six. Odpowiadam na telefon od Allegry.

— J u ż łączę — powiedziałam, czując, jak potwierdzają się moje podejrzenia.

— Chwileczkę, zanim mnie połączysz... czy to nie ciebie widziałem w zeszlą środę na pokazie *Ona potrafi na dwie strony?*

— Bardzo możliwe. — Owszem byłam tam, ale na pewno nas sobie nie przedstawiono.

— Szatynka, długie włosy, czarne zamszowe buty do połowy łydki, rozmiar sześć i pół? — ciągnął.

— To ja — przyznałam, mile zaskoczona faktem, że zauważył buty, które kosztowały mnie niemal jedną czwartą miesięcznej pensji. Był też pierwszą osobą, jaką w ży-

ciu spotkałam, która potrafiła dokładnie określić rozmiar czyjegoś obuwia.

— Kim jesteś, „ja”? — spytał z rozbawieniem w głosie.

— Karen Jacobs.

— Miło cię poznać, Karen. Wkrótce znów porozmawiamy — oświadczył pewnym siebie głosem, który wydał mi się zdecydowanie atrakcyjny. Potem przypomniałam sobie ostrzeżenie Dagney.

— Pozwól, że cię połączę — powiedziałam, usiłując nadać bardziej oficjalne brzmienie swojemu głosowi.

Zadzwoiłam do Allegry.

— Mam na linii Elliotta Solnicka z Page Six.

— Nie wiem, czego on może chcieć o tak wczesnej porze. Powiedz, że jestem na posiedzeniu.

Kiedy przekazywałam to Elliottowi, w połowie zdania dobiegł mnie dzwonek telefonu w jego biurze. Elliott zawiesił połączenie, ale już po chwili znów się odezwał.

— Nie musisz mi już nic przekazywać, mam Allegrę na drugiej linii — oznajmił.

Uśmiechałam się do siebie, wciągając mimo wszystko informację o telefonie Elliotta do rejestru, i zastanawiałam się, kiedy będę miała okazję ponownie z nim pogawędzić.

Dzisiejszy ranek zapowiadał się spokojnie. Po pierwszej rozmowie z Allegra zabrałam się do stosu faksów, jakie przyszły od „służb monitorujących”, i przeglądając je, zamawiałam sobie w najlepszej w okolicy cukierni trzy kubki kawy i rogała z czekoladą. Glorious korzystała z usług firmy, której pracownicy nieustannie mieli na oku każdy kanał telewizyjny, w każdym mieście, dwadzieścia cztery godziny na dobę. Wyobrażałam ich sobie — ubraną w piżamy, chrupiącą chipsy armię cierpiących na bezsenność,

uzależnionych od telewizji maniaków — oraz zazdroszczących im przyjaciół: „Płacą ci za oglądanie telewizji?” Robili notatki z tego, co pokazywano i omawiano, i w rezultacie codziennie czekał na nas stos faksów ze streszczeniami tego wszystkiego; jeśli potrzebowaliśmy więcej informacji, dostępne były też taśmy i odpisy tekstów. Było to tak, jakbyśmy korzystali z podsłuchu. Jeśli osoba stowarzyszona z jakąś stacją zjechała w Topeka wypuszczony przez nas najnowszy film, natychmiast o tym wiedzieliśmy. Jeszcze przed lunchem komunikowano producentowi programów rozrywkowych danej stacji, bez zbytnich ceregieli, że wstęp na nasze imprezy, z którego ochoczo korzysta, na pewno ucieszyłby konkurencyjną stację. Na ogół następnego dnia pojawiała się świeża, bardziej przychylna recenzja.

Kontynuując gromadzenie „Spektrum” — jak nazywano zbiór wszystkich artykułów i odpisów tekstów programów telewizyjnych, które opublikowano albo pokazano od poprzedniego dnia — łączyłam rozmowy z Allegra, zostawiałam wiadomości ludziom, o których wiedziała, że są nieobecni, ale którzy dzięki temu mogli zostać skreśleni z jej spisu telefonów do wykonania. Dzisiejsze „Spektrum” było przeciętnej objętości, około 150 stron. O dziewiątej przysłała stażystka, żeby je skserować i rozdać kopie przeszło sześćdziesięciu osobom, których nazwiska figurowały na specjalnej liście. Potem, około dziesiątej, zaczął napływać personel Glorious... i widziałam, że wiele egzemplarzy „Spektrum” natychmiast lądowało w koszach na śmieci. Poczułam się trochę głupio, bo przecież włożyłam w to swoją pracę, i po kilku tygodniach rozślałam e—maila z pytaniem, czy być może są osoby, które wolałyby go nie otrzymywać. Marlene bezzwłocznie po-

informowała Allegrę o moim najnowszym uchybieniu, twierdząc, że mój uprzejmy komunikat na pewno obraził wielu, tak jak ją. Allegra kazała mi natychmiast wysłać następnego e—maila, tym razem w jej imieniu, w którym przeproszała wylewnie za ten błąd i tłumaczyła się moim statusem osoby „świeżo zatrudnionej” i „nie obeznanej ze znaczeniem rozprowadzania informacji pojawiających się w mediach”. Najwyraźniej wyrzucanie „Spektrum” było w Glorious uważane za przywilej... taki, z którego wielu za nic nie chciało rezygnować. Clark wyjaśnił mi potem, że na listę otrzymujących „Spektrum” można było zostać wpisany jedynie za pisemnym pozwoleniem Allegry. Zainteresowani musieli szczegółowo opisać, dlaczego uważają, że zasługują na ich otrzymywanie, a Allegra, przed podjęciem decyzji, która była pozytywna tylko w jednym przypadku na trzy, rozważała sprawę przez kilka tygodni.

Dagney przysłała o dziesiątej trzydzieści i bez słowa zasiadła w swoim foteliku. Najwidoczniej zimna wojna pomiędzy nami trwała nadal, choć jej temperatura była zmienna. Kiedy skończyłam ze „Spektrum”, zajęłam się bardziej niewdzięcznym zadaniem: próbą przetransportowania Seana Rainesa, gwiazdora *Cudzoziemskiego pilota*, nominowanego w kategorii „najlepszy aktor”, z Nowej Zelandii do Sydney, następnie do Los Angeles. Kiedy kampania reklamowa dobiegała już końca, to znaczy o północy ostatniego dnia, w którym można było jeszcze wysłać głosy, zaczynały się piętrzyć wszystkie problemy związane z Oscarami. Sean — który nalegał, żeby wymawiać jego imię tak, jakby pisało się je „Sheen” — był znany z trudnego charakteru i cieszył się złą sławą na tle całej masy znanych i trudnych osobistości. Chwilowo przeby—

wał na planie w Nowej Zelandii. W poniedziałek jego agentka zadzwoniła do Allegrы i powiedziała, że Sean żąda prywatnego samolotu na przelot z Nowej Zelandii do Los Angeles. Phil nie miał nic przeciwko temu, pod warunkiem że Sean poleci najpierw do Sydney, by rozreklamować wejście filmu na ekrany w Australii, poświęcając jeden dzień prasie. Do Sydney miał lecieć samolotem rejsowym, pierwszą klasą, a po spotkaniu z mediami prywatny odrzutowiec zabrałby go do Los Angeles. Sean boczył się, ale ostatecznie wyraził zgodę, zastrzegając, że należy mu stworzyć takie warunki, aby podczas długiego lotu mógł porządnie wypocząć.

Allegra zleciła mi wyczarterowanie odrzutowca. Wykorzystując więc instrukcje Dagney, zabrałam się do tego zadania. Przeglądałam faks za faksem z wnętrzami samolotów przerobionymi na sale posiedzeń i sypialnie, a nawet szykowne małe mieszkanie, starając się wybrać takie, które zapewni „porządny wypoczynek”. We wtorek przed lunchem byłam wreszcie zdecydowana na samolot, który urządzono tak, że miał dużą wygodną sypialnię i w pełni wyposażony pokój medialny. Wysłałam tę informację do agentki Seana i natychmiast otrzymałam odpowiedź, że na ten jeden dzień w Sydney Sean będzie potrzebował „dodatkowych usług”. Spędziłam więc resztę dnia, zajmując się wyszukiwaniem kucharza, „pierwszorzędnego i doświadczonego, z tokańską inklinacją”, i rezerwując samochód z kierowcą. Byłam zdumiona, że Allegra godziła się na te zachcianki, ale Robert wyjaśnił mi, że chodzi tu o ochronę inwestycji naszej wytwórni... bez tego wszystkiego Sean byłby drażliwy i nadąsany podczas wywiadów i cała przerwa w podróży okazałaby się bezużyteczna.

Środa przyniosła wyzwanie jeszcze bardziej egzotyczne — agentka Seana poinformowała mnie, że jej mocodawca nie pojawi się na lotnisku w Wellington bez biletu w rękę. Trzy lata temu „przeżył prawdziwy koszmar”, kiedy w Marrakeszu zapodzielano gdzieś jego bilet. Wysłanie pocztą elektroniczną nie wchodzi w grę, bo Sean „nie wierzy” w sieć. Pozostaje jedno wyjście, mianowicie dostarczenie mu biletu do odległej wioski, gdzie właśnie trwają zdjęcia. Znalazłam firmę kurierską skłoną się tego podjąć, tymczasem Allegra zażądała potwierdzenia, że Sean ma nieszczęsny bilet i że pojawi się na czas i w Sydney, i w Los Angeles. Niestety, różnica czasu i brak zasięgu dla telefonów komórkowych w tamtym zabitym deskami zakątku uniemożliwiły mi sprawdzenie, czy wszystko odbyło się zgodnie z planem.

Powiedziałam Dagney, że muszę przynieść sobie szklanekę wody, i zboczyłam do boksu Roberta, a tam wcisnęłam się w kąt, gdzie nikt mnie nie mógł zobaczyć.

— Czy ludzie tak się zachowują? — spytałam. — Powiedz mi, proszę, jaki dorosły człowiek może tak bezsensownie postępować?

— Właśnie taki, który może sobie na to pozwolić — odparł. — Taki, który wie, że będą chodzić wokół niego na paluszkach, zabawiać, rozpieszczać i spełniać jego zachcianki.

— I ta jego agentka. Co za wiedźma! Już trzy razy dzisiaj dzwoniła, żeby sprawdzić, czy dostał bilet.

— Nie przejmuj się. I przypadkiem nie bierz wszystkiego bezpośrednio do siebie.

— J a k mogę nie brać tego bezpośrednio do siebie? Oni wszyscy na mnie wrzeszczą. Bezpośrednio — powiedziałam, rozśmieszając Roberta.

— Nie warto. Kiedy posłaniec w Nowej Zelandii wręczy Seanowi bilet, jego agentka zadzwoni do niego i opisz mu szczegółowo, jak tego dokonała. Zastanów się przez chwilę. Sean przecież zatrudnił ją, więc jeśli nie dostanie tego, co chce, to ona nadstawia karku, nie ty, otworzyć nawias, nieważne, jak bardzo będzie obwiniała ciebie, jeśli coś pójdzie nie tak, zamknąć nawias — oświadczył.

Musiałam się roześmiać, podziwiając go jednocześnie za trzeźwe spojrzenie.

— Dzięki, chyba chwytam.

— Więc dostał w końcu ten bilet? — spytał Robert żartobliwie marudnym tonem, kiedy już wychodziłam.

— Będę musiała zająć się tobą później — odparłam, przybierając nadętą minę i zadzierając nosa.

— Tak trzymać. Jesteś mistrzynią.

Przy naszym biurku Dagny opracowywała plany premiery *Ona potrafi na dwie strony* w Los Angeles, która była planowana w drugim dniu po rozdaniu Oscarów. Film był debiutem Ivan—Mellissy Pell, aktorki, która, zgodnie z oficjalną biografią, przechrzcila się, żeby „uhonorować dziadków ze strony ojca”. „Zawsze kiedy zwracacie się do pani Pell, używajcie imienia «Ivan—Melissa», nigdy samego «Ivan»”, brzmiał punkt dziewiętnasty długiej listy instrukcji, jaką nam dano w związku z podtrzymywaniem jej wizerunku młodej naiwnej. Dla mnie to imię brzmiało tak, jakby nosząca je osoba znajdowała się w okresie przedoperacyjnym, zawisała w stanie przejściowym, zarówno między płciami, jak i filmami. Jeśli jednak uwzględnimy fakt, że w tym czasie bezskutecznie tropiłam maoryskich posłańców na szlaku wiodącym przez busz gdzieś na antypodach, nie bardzo nadawałam się na konsultantkę w sprawach kariery.

Ivan—Melissa okazało się bardzo zmyślnym połączeniem. Najpierw aktorka pozwoliła na przeciek, jakoby spotykała się „cichaczem” z Bobem Metuchenem, reżyserem filmu. Potem, chociaż rzekomo jedynie grała osobę biseksualną, w wywiadach nieśmiało dała do zrozumienia, że obsadzenie jej w tej roli znajdowało niejaki odzwierciedlenie w realnym życiu. I w okamgnieniu Ivan—Melissa Pell zaczęła oficjalnie cieszyć się wielkim wzięciem.

Dagney była odpowiedzialna za zamawianie hoteli, limuzyn i barmanów niezbędnych do obsługi przyjęcia. Jak w przypadku większości premier Glorious, na catering nie wyodrębniono specjalnego osobnego budżetu. Jedzenie bowiem kosztuje, a poza tym... Waxmanowie odkryli, że goście, którzy piją na pusty żołądek, piszą potem znacznie więcej.

Byłam właśnie w recepcji, gdzie odbierałam od posłańca swój lunch, kiedy zauważyłam porcelanowy półmisek przykryty folią aluminiową, spod której unosiła się niezwykle smakowita woń.

— Mmm, co to takiego? — spytałam recepcjonistkę.

— Mostek — wyjaśniła. — W każdy czwartek Gloria robi dla Phila i Tony'ego ten swój specjalny mostek... to ich tradycja rodzinna od czasów, kiedy chłopcom wyróżnęły się pierwsze ząbki.

— Mogę zerknąć? — poprosiłam. — Pachnie tak wspaniale... że muszę to zobaczyć. — Skinęła głową i uniosła folię, ukazując kawał pięknej pieczeni. Półmisek był z eleganckiej porcelany Royal Doulton, z tym samym wzorkiem, jaki zapamiętałam z wizyty w sklepie, kiedy towarzyszyłam Ellen przy sporządzaniu listy prezentów ślubnych.

— Dzięki, a próbowałaś kiedyś?

— Nie. Z tego, co wiem, nigdy się z nikim nie podzieli-
li. Wiem natomiast, że połowa Tony'ego jest lekko niedo-
pieczona, a połowa Phila mocno wypieczona... co, gdyby
zapytać moją babcię, jest fizycznie absolutnie niemożli-
we.

— Zdarza jej się opuścić jakiś tydzień? — spytałam,
umieszczając starannie folię na swoim miejscu. Ten mo-
stek mnie fascynował.

— Jeśli Gloria nie może przyjechać osobiście, pieczeń
przyjeżdża sama, w jej jaguarze... oczywiście z kierowcą.

— Jak miło — stwierdziłam, zabierając swoją kanapkę
i wracając do biurka.

Krótko po lunchu i po siedemnastej rozmowie z dyspozy-
torką nowozelandzkiej firmy kurierskiej zadzwonił telefon.

— Allegra! Natychmiast! — I usłyszałam trzaśnięcie słu-
chawką.

Obie asystentki Tony'ego często przybierały gburowa-
ty ton swojego szefa, kiedy dzwoniły w jego imieniu. Nie
byłam pewna, czy mam do czynienia z naśladownictwem,
będącym najczystszą formą pochlebstwa, czy też po pro-
stu lubiły być zołzowate, bo nic im za to nie groziło. Kie-
dy przekazałam wiadomość, Allegra natychmiast zebrała
stos teczek, wycinków i kaset wideo, chwyciła z mojego
biurka świeżo naładowaną baterię do telefonu komórko-
wego i zniknęła w korytarzu prowadzącym do gabinetów
braci.

— Muszę zapalić — oznajmiła Dagney jakieś dwie minu-
ty po wyjściu Allegrzy, nie kierując zresztą tych słów do
nikogo konkretnego, i odmaszerowała. Dagney oddawa—

ła się nałogowi, Allegra była u Tony'ego, a ja przyjmowałam telefony i załatwiałam e—maile Allegry. Wydawało mi się, że Allegra nie pojmuje znaczenia „e” w „e—mail”, bo zawsze nalegała, żebyśmy z Dagney co godzinę drukowały to, co znajduje się w jej skrzynce odbiorczej. Potem pisała odpowiedzi na osobnych kartkach, a my je przepisywałyśmy i wysyłały, gdzie trzeba. Była to dodatkowa robota, ale ciągle wysłuchiwanie telefonów i czytanie e—maili dawało mi pełen dostęp do wszystkiego, co działo się w Glorious. Allegra tak niechętnie dzieliła się informacjami, jak chętnie okazywała irytację, kiedy nie wiedziałyśmy czegoś, czego nam nie powiedziała, tak więc Dagney i ja musiałyśmy starać się wszelkimi możliwymi sposobami docierać do istotnych wiadomości. Przedyskutowałyśmy ten problem i doszłyśmy do wniosku, że o ile coś nie jest zamknięte na klucz, to znaczy, że wchodzi w zakres naszych kompetencji.

Przeglądając teraz jej pocztę elektroniczną, dowiedziałam się co nieco o opracowywanej przez Dagney strategii dotyczącej premiery w Los Angeles. Reżyserem był Bob Metuchen, cudowne dziecko, kilka lat wcześniej odkryte przez Tony'ego, a film — najwyraźniej ten sam, który tydzień wcześniej oglądałam w ciemnościach z Elliot—tem Solnickiem — był inteligentny i śmiały. Mówiono, że jak dotąd to najlepsze dzieło Boba, i Tony bardzo liczył na ten film. Prześledziwszy całą historię, która zaczęła się na długo przed moim przyjściem do Glorious, uświadomiłam sobie, że umieszczenie przez Allegrę tej premiery tuż po ceremonii wręczania Oscarów stanowiło część strategii firmy, mającej świadczyć o jej nienaruszonej wiarygodności jako wytwórni niezależnej. Bob był sztandarowym pieszczoszkiem firmy — zawsze uśmiechnięty młodzieniec,

który ogłasza wszem i wobec, jak to poszczęściło mu się dzięki Glorious. Jego filmy nie zarabiał dużyh pieniędzy, ale też i niewiele kosztowały. Co najważniejsze, wszystko w nich tak głośno wołało „Niezależność!”, że słychać było jak kraj długi i szeroki. I jak zawsze, dla zachowania delikatnej równowagi między Waxmanami, film *Ona potrafi na dwie strony* był w takim stopniu Tony'ego, w jakim *Cudzoziemski pilot* był Phila.

Wcześniej, na początku tygodnia, podkusiło mnie, żeby pochwalić się trochę przed Ellen swoją nową posadą, więc opowiedziałam jej o wszystkim, do czego mam dostęp, od e—maili, do przycisku przy telefonie wyłączającego głos, dzięki któremu można podsłuchiwać prawie każdą rozmowę w biurze.

— To jak uprawiać seks, kiedy w pokoju jest pies — oświadczyła.

— Co takiego?

— No wiesz, ludzie uprawiają seks i nie przejmują się, że w pokoju jest pies, bo nieważne, co on widzi czy słyszy.

Nie wierzyłam własnym uszom. To było wredne z jej strony.

— Ellen, jak możesz mówić coś takiego? Dzieje się tak dlatego, że oni mi ufają.

— W porządku, więc ci ufają. Przepraszam. Ale proszę cię, miej się na baczności.

Przysięgam, że będę, a teraz, drukując kolejne e—maile Allegry i zapisując poufne wiadomości telefoniczne, zastanawiałam się nad tą analogią.

Wydrukowałam już dwadzieścia dwa nowe e—maile i zapisywałam kolejne telefony w rejestrze rozmów, kiedy pojawił się Robert.

— Mydło? — rzucił pytającym tonem. Wręczyłam mu

swój superantybakteryjny płyn Dial. Przy tym naszym bezmyślnym statusie, liczbie spędzanych tu godzin oraz takiej ciasnocie, że jeśli się kichnęło, to co najmniej piętnaście osób znajdowało się na tyle blisko, żeby powiedzieć „Na zdrowie” (nie żeby komuś się chciało), robiłam, co mogłam, żeby się niczym nie zarazić.

— Karen, Karen, Karen. Muszę się zobaczyć z Allegra. Gdzie ona jest? — rozległo się nad moim uchem.

Nieważne, ile razy już to słyszałam, potrójny okrzyk Vivian, niczym pistolet startera, zawsze wstrzykiwał w moje ciało dodatkową porcję adrenaliny. Ton, jakim wymawiała trzykrotnie moje imię, był identyczny, niezależnie od tego, czy rugała mnie za to, że przegapiłam dwuwierszową wzmiankę o filmie, który nieprędko miał wejść na ekrany, czy też — w obecności innych osób — informowała mnie, że mam szminkę na zębach.

— J e s t u Tony'ego — odparłam.

— Jest u Tony'ego czy siedzi na ławeczce przed jego gabinetem? — spytała. Mania uściślenia była jeszcze jedną z cech charakterystycznych Vivian.

— Z tego, co wiem, jest w gabinecie Tony'ego, rozmawia z nim. Wpiszę cię na listę. — Dodałam jej nazwisko i zapisałam godzinę, a była za kwadrans czwarta. Zauważyłam przy okazji, że Dagney nie ma już prawie godzinę, a ja naprawdę musiałam pójść do toalety.

Vivian wróciła do swojego boksu, wykonała krótki telefon, wyszła i ponownie wykrzyczała trzykrotnie moje imię... głosem, który można by usłyszeć kilka przecznic dalej.

— Siedzi przed gabinetem Tony'ego na ławeczce — oświadczyła triumfalnie, jakby przyłapała mnie na kłamstwie. — On ma teraz trening pilâtes.

— Na pewno przekażę jej wiadomość od ciebie — zapewniłam. — Bo z tego, co wiem, jest u Tony'ego — powiedziałam, starając się uśmiechnąć do niej porozumiewawczo, na co zareagowała piorunującym spojrzeniem.

Vivian była odpowiedzialna za przedoscarową prasę *Cudzoziemskiego pilota*. I chociaż bardzo złożony program dotyczący wybitnego aktora i dziennikarzy z pięciu kontynentów idealnie pasował do jej manii na punkcie logistyki i szczegółów, to ogromny zasięg tych działań doprowadził do tego, że zaczęła tracić resztki cierpliwości, której zresztą nigdy za dużo nie miała. Mimo to nikomu nie powierzyła nawet najmniejszego drobiazgu, choćby liżnięcia koperty przed zaklejeniem. Wróciła teraz do swojej dziupli, wyliczając na głos wszystko, co ma do zrobienia podczas następnych dwóch godzin, zupełnie jakby robiła to na mój użytek. Miałam ochotę zawołać przez przepięrzenie, „Tak, Vivian, jesteś najbardziej zapracowaną osobą!”, ale zamiast tego raz jeszcze zadzwoniłam bezskutecznie do Nowej Zelandii.

Wróciła Dagney, śmierzcząca co prawda okropnie papierosami, ale za to w dużo lepszym nastroju.

— Allegra jest u Tony'ego... czy też, według tego, co twierdzi Viv, siedzi na ławeczce przed jego gabinetem — poinformowałam ją, usiłując dorównać jej beztrioskiej nonszalancji.

Przewróciła oczami.

— Kiedy jeden z braci wzywa Allegrę, na ogół każą jej czekać ze dwie godziny, zanim wpuszczą do środka. A ona zawsze udaje, że przez cały czas konferuje z nimi w gabinecie. Nie życzy sobie nawet, żebyśmy my dwie wiedziały, że siedzi pod drzwiami i sama załatwia swoje telefony.

— Dlaczego miałyby to robić? — spytałam.

— To taka sztuczka — oświadczyła Dagney pobłażliwym tonem, dając mi do zrozumienia, że nie mam najmniejszego pojęcia o świecie biznesu. Wyjaśniła, że Allegra chce sprawić wrażenie, jakoby spotykała się osobiście z bliźniakami częściej niż ktokolwiek inny z kadry kierowniczej. A tak naprawdę rzadko spędzała z którymś z braci więcej niż kwadrans. — Phil i Tony mają na głowie ważniejsze sprawy i nie będą się wysilać, żeby usłyszeć, co Allegra raczy wyszeptać — podsumowała, nie przerywając przeglądania najnowszego „Vibe'a”.

Dla mnie najważniejszą w tej chwili rzeczą było dotarcie bez zwłoki do toalety, co nigdy nie było łatwe. Biuro Allegry zostało celowo usytuowane na przeciwnym końcu korytarza, żeby Allegra mogła uniknąć nieustannego strumienia ludzi przepływającego pod jej zawsze zamkniętymi drzwiami. Za każdym razem kiedy Dagney albo ja musiałyśmy pójść do toalety, dotarcie tam stawało się swego rodzaju biegiem z przeszkodami, ponieważ co chwilę byłyśmy zatrzymywane i nękanie przez różnych pracowników naszego działu, którzy chcieli czegoś od naszej szefowej. Władza Allegry nad działem public relations miała charakter absolutny, a jej jednoznaczna aprobata wymagana była w każdym przypadku — czy chodziło o opłatę lotu dodatkowych członków rodziny osób nominowanych do Oscara, czy wygląd czekoladowych statuetek, które mają się znaleźć w torebkach z prezentami od Glorious. Nieznośnie zwlekała ze swoją decyzją, uniemożliwiając tym samym personelowi kontynuowanie pracy. Na dwa tygodnie przed uroczystością wręczania Oscarów cały dział utknął w martwym punkcie.

Nasze próby dotarcia do toalety skutecznie udaremniały rozpaczliwe apele o przypomnienie Allegrze, że koniecznie musi skomunikować się z innymi pracownikami. Dagney i ja, choć bezsilne, byłyśmy widoczne i słyszalne, dlatego ich zdenerwowanie skrępowało się na nas. W tej chwili nie miałam czasu na takie sprawy. Szłam zdecydowanym krokiem, z opuszczoną głową, i wpadłam na Marlene.

— Uuu, to mój chory łokieć — jęknęła.

Przeprosiłam i próbowałam ją obejść, ale stanęła mi na drodze.

— Marlene, ja naprawdę muszę lecieć — oświadczyłam, dla podkreślenia swoich słów, machając jej przed nosem butelką mydła w płynie. — Wpadnę do ciebie w drodze powrotnej.

— Ale ja m u s z ę porozmawiać z Allegra — powiedziała, masując demonstracyjnie łokieć i ruszając palcami, jakby sprawdzała, jakie to szkody wyrządziłam jej połączeniom nerwowym. — Możesz dopilnować, żebym była pierwszą osobą, którą przyjmie?

— Umieszczę cię na liście rozmów telefonicznych.

— Muszę być pierwsza — zaskamlała. — Chodzi o Buddy'ego Friedmana. Mówi, że nie pojawi się na wręczaniu Oscarów, jeśli nie załatwimy jego rodzicom lotu z Miami i biletów na uroczystość.

Kiedy udało mi się ją ominąć, puściłam się pędem.

— Kiedy wrócę z toalety, rodzice Buddy'ego nadal będą w Miami — rzuciłam przez ramię. Bez wątpienia zarobiłam w ten sposób kolejną notatkę służbową... był to oczywiście przypadek lekkomyślnego i naganego zachowania połączonego z niesubordynacją, ja jednak zdążyłam się już zorientować, że Marlene wystarczy znieść, ale wcale nie trzeba się jej bać.

Marlene była dla Glorious niezastąpiona, ponieważ to ona organizowała niemalże cotygodniowe imprezy weekendowe z udziałem mediów. Było to trudne zadanie, bo należało odpowiednio dopieścić znakomitości oraz ich „ludzi”, a jednocześnie w miarę zadowolić jakichś 250 dziennikarzy. Szefując takiej imprezie, Marlene była w swoim żywiole i wypełniała bezbłędnie swoje obowiązki; za to pozostałe dni tygodnia stanowiły problem. Od poniedziałku do południa w środę narzekała na wszystko, co poszło nie tak w miniony weekend. Potem, po środowym lunchu, zaczynała wieszczyć, co może pójść źle w najbliższy. Jej niezwykle umiejętności organizacyjne, połączone z gotowością do rezygnacji niemal ze wszystkich weekendów dla dobra Glorious, najwyraźniej zwalniały ją z obowiązku przestrzegania choćby najbardziej podstawowych reguł społecznego współżycia.

Kiedy wróciłam do swojego biurka, Allegra była już u siebie, a Vivian i Marlene krążyły przed zamkniętymi drzwiami jej gabinetu niczym tygrysyce w klatce, podczas gdy Dagney bez przekonania usiłowała je stamtąd odgonić.

— Ale ona jest mi potrzebna teraz — upierała się Marlene.

— Muszę natychmiast widzieć się z Allegra — wtórowała jej Vivian.

— Właśnie rozmawia przez telefon i wie, że czekacie — powiedziała Dagney, przypatrując się pilnie swoim paznokciom. — Zawołam was, kiedy skończy rozmowę.

— Ale którą z nas przyjmie najpierw? — spytała Marlene.

Dagney spojrzała na mnie i uniosła leciuteńko brwi. Naprawdę trudno było ciągle się na siebie gniewać... jedynie my dwie potrafiłyśmy w pełni zrozumieć własną sytuację. Ten scenariusz powtarzał się codziennie i żadne

negocjacje nie wchodziły w grę. Jediną rzeczą bowiem, która łączyła Marlene i Vivian, była nienawiść do tego, że podlegają Allegrze, a fakt, że została ona ich szefową zaledwie trzy lata temu, mimo że obie były w Glorious weatherankami, dolał tylko oliwy do ognia. Sytuacja była bliska wybuchu, no, ale tak było tu zawsze; nasz dział trwał w niemal permanentnej hysterii.

Nie mogąc znieść tego dłużej, Marlene wparowała do gabinetu Allegrzy; Vivian deptała jej po piętach. Allegra rozmawiała przez telefon, trzymała słuchawkę między policzkiem i barkiem, mamrocząc coś bezgłośnie. Zaskoczona pojawieniem się intruzów, otworzyła szeroko oczy i uniosła ostrzegawczo jedną rękę, drugą natomiast chwyciła pióro i napisała na kartce: ROZMAWIAM Z OPRAH. Pchnęła karteczkę w ich stronę i zamachała ręką, przeganiając je z pokoju.

Z wielkim rozbawieniem obserwowałyśmy z Dagney rozwój tego małego dramatu. Wiedziałyśmy, że nie rozmawia z Oprah. Bo właśnie tego ranka Mackie Moran popatrzyła „świeżym okiem” na gmach Chryslera, co dla holu w mieszkaniu Allegrzy otwierało „mnóstwo nowych możliwości”.

Vivian i Marlene wycofały się, pokonane. Nie stanowiły konkurencji dla Oprah, nawet wyimaginowanej, i obie to wiedziały.

— Idę na papierosa — oznajmiłam, narzucając na siebie płaszcz.

— Przecież nie palisz — burknęła Dagney, kiedy odchodziłam, zupełnie jakby uważała, że zaczynam rywalizować z nią na jeszcze jednym polu.

Udałam się na róg do sklepu Koreańczyka, żeby skompletować swój arsenał rzekomego palacza, i zaczęłam od

wybrania jaskrawoniebieskiej zapalniczki Bic. Jako że nigdy wcześniej nie kupowałam papierosów, przez dłuższą chwilę przyglądałam się szerokiemu asortymentowi, zanim zdecydowałam się na Marlboro, bo akurat taką markę palił Clark.

— Wezmę miękką paczkę — oświadczyłam, biorąc też puszczkę altoidów, które miały mi dać miętowy oddech po rzekomo wypalonych papierosach.

Na dworze otworzyłam paczkę i zapaliłam papierosa, po czym rozpoczęłam wypełnianie mniej więcej piętnastu minut oglądaniem wystaw sklepowych. Nie przyzwyczajona do mojego nowego nałogu, ciągle zapominałam, że trzymam w ręku zapalonego papierosa. Kiedy poproszono mnie o opuszczenie sklepiku ze zdrową żywnością i wytwornego sklepu z dywanami, postanowiłam usiąść na ławce i z mojego nowego telefonu komórkowego, w który wyposażyła mnie Glorious, zadzwonić do Abby.

— Karen! Właśnie o tobie myślałam — przywitała mnie.

— Naprawdę? — spytałam, nieco nieufna wobec jej entuzjazmu. Ostatnio wszystko, o czym Abby mówiła, miało zawsze coś wspólnego z tajemniczymi chorobami, zazwyczaj zbyt późno zdiagnozowanymi. — Jak sądzisz, ile czasu mi jeszcze zostało? — spytałam.

— Nie o to chodzi. Skończyłam już te zajęcia ze zgubnych w skutkach objawów.

— Tak to nazwali?

— J a s n e , że nie. Oficjalna nazwa brzmiała Najtrudniejsze do Zdiagnozowania Choroby Gruczołów Wydzielania Wewnętrznego i cieszę się, że ma to już za sobą. Choćby gdyby zaszła potrzeba, po ciemku rozpoznałabym takie przypadki. Najgorsze było to, że ostatniego dnia wykładowca, lekarz specjalista, powiedział, że musielibyśmy

mieć dużo szczęścia, żeby choć raz w naszej lekarskiej karierze natknąć się na coś takiego.

— No cóż, mielibyście więcej szczęścia od pacjenta.

— To prawda. Ale co u ciebie? Co tam w Glorious?

— J u ż się trochę połapałam, na czym ma polegać moja praca, ale ludzie tutaj to całkiem inna historia. Oficjalnie pracuję dla swojej szefowej, Allegrzy, w rzeczywistości jednak podlegam też dwom wice, Vivian i Marlene, a one są dość trudne.

— Niby jak?

— Mało, że od początku są do mnie wrogo nastawione, to na dodatek rywalizują ze sobą w niezdrowy sposób. Vivian stoi ociupinę wyżej od Marlene, a Allegra nad nimi obiema, zawsze więc wygląda to tak, jakby za moment miały skoczyć sobie do gardeł.

— Przyjazne środowisko pracy.

— Nie mogę tylko pojąć, że te złośliwe jędze to naprawdę inteligentne kobiety, które mają naprawdę ekscytującą pracę i świetnie ją wykonują. Podziwiałabym je, gdyby tylko mi pozwoliły. — Roześmiałam się, próbując ukryć rozgoryczenie.

— Może w tej sytuacji masz szansę nauczyć się tego, co one robią dobrze, ale bez przejmowania ich złych nawyków.

— Próbuję — powiedziałam, zerkając na wydłużający się wałek popiołu, który po chwili niechcący straciłam na płaszcz. — Obiecujesz, że mi powiesz, jeżeli zacznę być napastliwa?

— Nie ma sprawy. Nie pozwól, żeby tobą poniewierali. Musisz mi to obiecać.

Obiecałam, pożegnałam się i wróciłam do biura. Abby wiedziała, że już nieraz pozwoliłam sprawom wymknąć

się spod kontroli, i przeprowadziłyśmy na ten temat niejedną długą rozmowę. W ostatniej pracy zostałam za długo, bo była łatwa, a kiedy wreszcie zdecydowałam się przycisnąć Gabe'a w sprawie znalezienia stałego źródła dochodów, było już za późno. Unikanie konfliktów zawsze wydawało mi się prostszym rozwiązaniem i to się musi zmienić od zaraz. W przeciwnym razie zjedzą mnie żywcem.

Przed wejściem do budynku przydeptałam lekko papierosa butem i jak przystało na świadomego palącego obywatela, podniosłam niedopałek i wrzuciłam do kosza.

Kiedy zbliżałam się do biurka, już z daleka widziałam ponurą minę Dagney. Podczas mojej nieobecności temperatura emocjonalna przy naszym wspólnym stanowisku pracy zdążyła ulec kolejnemu wahnięciu, jednak będąc świeżo po rozmowie z Abby, założyłam, że nie ma to nic wspólnego ze mną.

— Co się stało?

— Och, wiesz, te telefony — odparła, wpatrując się w ekran komputera. Było jasne, że nie ma ochoty udzielać szczegółowych wyjaśnień.

W biurze, gdzie telefon dzwoni przeszło sto razy dziennie, a wykaz rozmów drukowany co godzinę zajmuje dwadzieścia stron, było rzeczą nieuniknioną, że pewien niewielki procent rozmów i nazwisk dzwoniących zgubi się gdzieś w tym natłoku. Byłam zadowolona, że tym razem to Dagney zawałiła sprawę. Zapowiadało się, że może to być mój pierwszy dzień w Glorious, w którym nie wpadłam w kłopoty, i koniecznie chciałam, żeby pozostał bez skazy do samego wieczora.

W ubiegłą niedzielę ponad godzinę zajęło mi opisywanie Ellen panujących w Glorious obrzędów i rytuałów —

lefonicznych w taki sposób, żeby normalnie myśląca osoba mogła coś z tego pojąć. Powiedziała, że wygląda jej to na proces o wiele bardziej złożony od przepisów regulujących wypłaty dywidend ze spółek zarejestrowanych za granicą. Nie powiedziałam jej, że w tym miejscu konsekwencje błędu mogły być bardziej katastrofalne niż podróż w jedną stronę do więzienia federalnego. Telefon bowiem był najważniejszym spoiwem hierarchicznej struktury firmy, a wewnętrzna walka o władzę za pomocą tego urządzenia przybierała takie formy, że Aleksander Graham Bell na pewno zaczęłyby się zastanawiać, czy jego wynalazek nie jest przypadkiem narzędziem szatana.

Styl Allegry należał do starej szkoły hollywoodzkiej. Jeśli ona odezwała się pierwsza, to do drugiej strony należał obowiązek oddzwonienia. Nie zadzwoniła już więcej, dopóki tamta osoba nie spróbowała się z nią skontaktować. Pożar w biurze, długa nieobecność spowodowana chorobą... żadna z takich rzeczy nie była wystarczającym powodem, żeby zadzwoniła ponownie. Jeśli ktoś zadzwonił do niej pierwszy, decyzja, jeśli chodzi o to, kiedy i czy w ogóle oddzwonić, opierała się na wymyślonym przez nią algorytmie, który uwzględniał rangę osoby dzwoniącej przemnożoną albo podzieloną przez to, czego Allegra od niej akurat chciała, albo czego mogła ewentualnie chcieć w przyszłości, a także przez nierozstrzygnięte spory, a może nawet jakąś starą pretensję, o której dzwoniący sądził, że została już dawno zapomniana. Za każdym razem kiedy Dagney albo ja drukowałyśmy listę rozmów, Allegra opracowywała świeżą strategię i oddawała nam dokument z odpowiednimi adnotacjami. Cyfra „2” oznaczała, że zadzwoni za dwa dni. Gwiazdka wskazywała, że musi mieć pod ręką jakąś notatkę albo wycinek prasowy

jako wsparcie przy rozmowie. ZIP—NIE znaczyło, że jedna z nas ma Zadzwoń i powiedz NIE osobie uprzednio dzwoniącej... ZIP—TAK nie występowało. PTR—V znaczyło Przekazać tę rozmowę Vivian albo Marlene, albo Clarkowi, albo jeszcze komuś innemu, na kogo wskazywał inicjał imienia. PÓŹNIEJ mówiło, że w najbliższym czasie nie mają co liczyć na telefon od niej.

Styl Phila trudno w ogóle nazwać jakimkolwiek stylem, już raczej eskalującym nękaniami. Jeśli ktoś nie zadzwonił do niego w miarę szybko po tym, jak on się odezwał, jego asystentki miały instrukcje, żeby przekazywać takiej osobie od pięciu do dziesięciu wiadomości na godzinę, do czasu, kiedy ostatecznie dojdzie do rozmowy. Telefony Tony'ego—go natomiast były jednorazowe i cechowały się precyzją gangsterskiego ataku. Wewnątrz firmy wystarczało krótkie „Tony!” Na zewnątrz było to „Tony! Wax! Man!” Delikwent miał dwa wyjścia — podnieść słuchawkę i mieć do czynienia z gniewnym Tonym od razu albo oddzwonić i rozmawiać z rozwścieczonym Tonym później.

Marlene, jak zdążyłam się zorientować, dzwoniła często, żeby i tak niczego nie powiedzieć, podczas kiedy telefoniczne przekazy Vivian naszpikowane były jasno określonymi szczegółami, które trzeba było odczytywać jej co najmniej dwukrotnie, żeby mogła mieć pewność, że wszystko zapisałyśmy poprawnie. W dziewięciu przypadkach na dziesięć przysyłała e—maila z identyczną informacją. Krótko mówiąc, obsługa telefonów przypominała taniec na linie, przy czym, co charakterystyczne dla Glorious, nie było siatki zabezpieczającej. Mając to na uwadze, podchodziłam do wszystkich telefonów, zarówno z wewnątrz, jak i z zewnątrz, równie ostrożnie jak saper do podejrzanego pakunku.

Około czwartej spojrzałam na zegarek i uświadomiłam sobie, że muszę się dowiedzieć, gdzie Phil i Allegra będą później, żeby mogła dostarczyć im recenzję „New York Timesa” ze *Spraw, które poznajesz w Phoenix, będąc naćpanym*, który to film nazajutrz wchodził na ekrany.

Gazety publikują recenzje w dzień pojawienia się filmu w kinach — zazwyczaj w piątek — Glorious jednak zrobiła wszystko, co tylko było w jej mocy, żeby przewidzieć reakcje recenzentów i tym samym jak najwcześniej zminimalizować ewentualne szkody. Oznaczało to, że na każdym seansie dla krytyków asystenci i stażyści z naszego działu rozpraszali się po sali i w ciemnościach jak szaleni notowali, uwzględniając każdy napad czkawki, zmianę pozycji, drapanie po nosie czy chrząknięcie obecnych na pokazie recenzentów. Obserwatorzy dostawali się pod ścisłą obserwację.

Manipulowano też nimi, gdzie tylko się dało i jak się dało, za pomocą siły sugestii. Jeśli obraz był komedią albo filmem akcji, Glorious dopełniała widownię nastolatkami, którzy przy najmniejszej okazji ryczeli ze śmiechu albo wstawali i krzyczeli entuzjastycznie, a krytycy, chcąc nie chcąc, zarażali się tymi emocjami. Firma zadzierzgnęła bliskie więzy z kilkoma najbardziej rozwydrzonymi szkołami średnimi w mieście, wiedząc, że ich udręczona dyrekcja z radością wyśle swoich najmniej zdyscyplinowanych uczniów na wycieczkę, jeśli tylko nadarzy się okazja. Wypełniając w ten sposób salę i mając oko na wszystkich graczy, Glorious na ogół udawało się uchwycić, jak recenzenci zareagują na konkretny film.

Jednakże recenzenci „New York Timesa” robili, co mogli, żeby nie można ich było rozszyfrować. Nauczyli się siedzieć w fotelach z nadludzkim wręcz spokojem, a—

pełnie jakby do obejrzenia filmu oddelegowali swoje wojskowe figury. Skoro mieliśmy obserwować, jak oni oglądają film, nie zamierzali się z niczym zdradzić. Nie poruszała ich nawet pełna sala wrzeszczących nastolatków. Jednym słowem, pat. I dlatego na ogół nikt spoza redakcji nie miał pojęcia, co „Times” napisze w swojej recenzji. Kiedy dzwoniли, żeby sprawdzić fakty, Dagney i ja próbowaliśmy wywnioskować coś z ich pytań, ale oni przeważnie sprawdzali jedynie pisownię imion i nazwisk postaci oraz miejsc akcji.

—Ale w jaki sposób prosił was o przeliterowanie „Bob Anderson”? — pytała błagalnym szeptem Allegra.

— Chyba chciał wiedzieć, czy Anderson pisze się z „o” czy z „e” — odparła Dagney.

— Czy odniosłaś wrażenie, że Bob Anderson mu się podobał?

— Odniosłam wrażenie, że chce wiedzieć, jak napisać jego nazwisko. — Dagney czerpała wyraźną przyjemność z tej rzadkiej okazji, kiedy Allegra okazywała niepokój.

Od tamtego pierwszego czwartku sprzed kilku tygodni, kiedy to odczytałam Philowi recenzję *Wróbla na drzewku oliwnym*, Dagney zdecydowała, że wieczory recenzyjne będą moim stałym zajęciem. Na ogół obejmowały one więcej niż tylko czytanie Philowi, a ja stworzyłam sobie cały system, który umożliwiał temu procesowi gładki przebieg. Około jedenastej udawałam się lincolnem do Queens. Drukarnia była pogrążona w ciemnościach i wyglądała na opuszczoną, ale już po paru chwilach jednocześnie otwierały się rzędy bram i wyjeżdżały dziesiątki furgonetek „New York Timesa” wypełnionych jutrzejszymi gazetami. Rzucałam się do holu, kupowałam dwa egzemplarze, wskakiwałam do auta i natych—

miast dzwoniłam do Allegry. Czytałam jej artykuł, podczas gdy kierowca pruł do najbliższego Kinko, skąd mogłam przefaksować tekst do Allegry, Phila i Tony'ego. Pomimo faksów Allegra i tak często kazała mi dzwonić do Phila i czytać mu wszystko osobiście. Czasami Phil chciał, żeby mu przeczytać powtórnie jakieś zdanie czy cały akapit. Interesował się też recenzjami filmów konkurencji, wchodzących na ekrany tego samego dnia. Dwa tygodnie temu przeczytałam mu jeszcze połowę działu weekendowego i niektóre wyniki rozgrywek NBA.

Jeśli film wzbudził zachwyty albo nie zostawiono na nim suchej nitki, wiedziałam, że wkrótce znajdę się w domu, natomiast wypośredkowana recenzja oznaczała, że prawie całą noc spędzę na nogach, łącząc ciągle Phila i Allegrę, którzy będą wyliczać w procentach, jaka część recenzji jest bardzo dobra, i obmyślać sposób na zbagatelizowanie mniej przychylniej reszty. „Times” nie stosuje, tak jak większość gazet, „gwiazdkowego” systemu oceniania, więc tych dwoje usiłowało ustalić, ile gwiazdek dostałby nasz film, gdyby recenzja ukazała się w innej gazecie. Siedziałam potem w aucie przed Kinko, na wypadek gdyby trzeba było wysłać faksy jeszcze do jakichś innych zaangażowanych osób. Nigdy wcześniej nie wiedziałam, kogo zaproszą do tych nocnych telefonicznych spotkań na szczytce czy też jak długo one potrwać, niemniej miałam okazję osobiście się przekonać, ile pracy są skłonni włożyć ludzie ze szczytów Glorious w manipulacje na korzyść firmy oraz jak to wszystko działa.

— Phil powiedział, że dobrze czytasz — rzuciła mimochodem w ubiegły piątek Allegra.

Normalnie nie uznałabym czegoś takiego za szczególny komplement, jako że czytam przecież przez ostatnie

dwadzieścia pięć lat, jednak w skrytości ducha ucieszyłam się, że Phil mnie w ogóle zauważył. Dagney była mniej uradowana.

— Tego wieczoru ja załatwiam recenzje, Karen — ~~za-~~szczebiotała bowiem dzisiaj po moim rutynowym już telefonie do Sabriny, asystentki zajmującej się harmonogramem zajęć Phila. — Ty robiłaś to przez cztery tygodnie z rzędu.

— Nie masz dzisiaj przypadkiem umówionej wizyty u Feliksa? — spytałam.

— Zamieniłam się z moją mamą, chodzi do niego od lat.

— Ja pojadę, Dagney. Bez gadania.

— Przecież mamy to robić na zmianę — oświadczyła, praktycznie wypluwając te słowa.

— Owszem. Tyle że ty tego nie robiłaś. I nie możesz tak po prostu nabierać na to ochoty tylko dlatego, że Phil wyraził się o mnie pochlebnie.

— Świetnie. Rób, jak uważasz — rzuciła gniewnie. — I tak nie masz nic lepszego do roboty. — Wzburzona ~~wy-~~maszerowała z naszego boksu.

Następny dzień zaczął się dobrze: asystent produkcji obecny na planie potwierdził, że bilet dotarł wreszcie do Seana. Z tego, co mówił, posłaniec jechał trzy godziny samochodem terenowym, a ostatnie dwadzieścia kilometrów przebył pieszo. Sean odwzajemnił się tym, że czekał z podpisaniem mu potwierdzenia odbioru, aż masażystka skończy pracę i opuści jego przyczepę kempingową.

Zapisałam tę wiadomość na liście telefonów Allegry i wkrótce potem szefowa poprosiła mnie do swojego ~~ga-~~

binetu. Siedziała za biurkiem, w otoczeniu papierowych teczek, i pisała odpowiedzi na wydrukach e—maili.

— Phil zaproponował, żebyś to ty anonsowała ważne osobistości przybywające na galę oscarową — wyszeptała w stronę pióra, nie zwracając sobie głowy nawiązywaniem jakiegos tam kontaktu wzrokowego. — Lecisz w środę rano. — W tym momencie Allegra uniosła wzrok, przesunęła go z biurka na okno, dając mi do zrozumienia, że rozmowa dobiegła końca, ale ja byłam zbyt zachwycona, żeby się obrazić. Popędziłam do swojego biurka i zadzwoniłam do Roberta i Clarka, żeby im o tym powiedzieć. Dagny mnie podsłuchiwała.

— Lecisz z nami do L.A.? — zdziwiła się. — Przecież dopiero co zaczęłaś pracę.

— Allegra powiedziała, że Phil życzy sobie mojej obecności — odparłam, czerpiąc przyjemność z każdej wypowiedzianej sylaby.

Clark pojawił się natychmiast.

— Trzeba to oblać wieczorem w Bubble Lounge. Spodoba ci się tam — stwierdził.

A ja nic tylko telefonowałam — rodzice, Ellen, Abby — tu i ówdzie zostawiałam wiadomość w poczcie głosowej: nominowano mnie do Oscara, leciałam do Los Angeles, prosto do Hollywood! Czy to ważne, że Marlene i Vivian, i Allegra, i Dagny lecą razem ze mną?

Wieczorem, kiedy zbliżałam się z Robertem i Clarkiem do dyskretnej markizy na West Broadway, byłam tak zaprzątnięta myślami o przygotowaniach do wyjazdu, że minęłam wejście i poszłam dalej. Clark pobiegł za mną.

— Kopciuszku, bal jest dopiero za półtora tygodnia! — śmiał się, potrząsając mną.

Rozważywszy szczegółowo wszystkie możliwości — wy—

ścielane sofy, stylowe dwuosobowe małe kanapki i zdobione frędzlami otomany — wybraliśmy miejsce z tyłu sali, na długiej, pokrytej aksamitem kanapie zarzuconej poduszkami. Podeszła kelnerka i wręczyła Clarkowi kartę szampanów — było ich ponad trzysta. Clark dokonał wyboru bardzo szybko i oddał kartę. Rozsiadłam się pośród poduszek; świadomość, że razem ze wszystkimi lecę do Los Angeles, pokrzepiła mnie. Od czasu, kiedy zaczęłam pracować w Glorious, nabierało mi się mnóstwo pytań... teraz wreszcie ośmieliłam się je zadać.

— O co chodzi z tym gabinetem Phila? — Zawsze wyobrażałam sobie, że musi to być ogromny, ciągnący się w nieskończoność pokój, jak ten Gordona Gekko w *Wall Street*.

— Phil może mieć taki gabinet, jaki tylko zechce. — Clark pokiwał znacząco głową. — Jednak takie małe pomieszczenie daje mu taktyczną przewagę.

— Naprawdę? A ja myślałam, że wolałby taki, który trochę bardziej odzwierciedlałby jego sukces. Tam jest naprawdę ciasno. — Nadal miałam przed oczyma fryzjera wciśniętego w maleńką przestrzeń pomiędzy głową Phila a ścianą.

— J e s t idealnie. Dokładnie tak, jak on chce — wyjaśniał Clark. — Miła, ograniczająca swobodę ciasnota — dodał, mocno składając dłonie.

Nadal nie rozumiałam.

— No dobrze. Wyobraź sobie, że chcesz coś od Phila — zaczął. — I on chce coś od ciebie. Ze pertraktujecie.

— Tak.

— Ledwie przekroczysz próg jego gabinetu, on natychmiast zyskuje przewagę psychologiczną. Pomieszczenie jest małe, on jest duży, ty tkwisz na tej otomance jak w pułapce. Kiedy zaczyna wrzeszczeć, praktycznie oglądasz jego migdałki.

— Hmm... — Zaczynałam pojmować. — Więc Phil może przycisnąć każdego, kto się tam znajdzie.

— No właśnie, moja droga — powiedział Clark. — Klau—strofobia i Strach... zaufani współpracownicy Phila.

W tym momencie kelnerka przyniosła szampana, otworzyła butelkę wytwornie bez żadnego wystrzału, i nalała nam do kieliszków.

— Zdrowie Karen — powiedział Clark.

— Za twój pierwszy miesiąc w Glorious, potem już nie będzie tak ciężko — dodał Robert, stukając się ze mną kieliszkiem.

— Za was dwóch, za to, że pomogliście mi to wszystko ogarnąć — odparłam. Pokiwaliśmy uroczyście głowami i unieśliśmy do ust kieliszki. Szampan nie przypominał smakiem żadnego z tych, jakie wcześniej pijałam. — Cóż to takiego, Clark? — spytałam, starając się nie wysączać kieliszka od razu.

— To Bollinger, rocznik 1973, jeden z moich ulubionych. Ale ty zdecydowanie jesteś go warta. — Uśmiechnęli się z Robertem do siebie.

— Więc ile dokładnie jestem warta?

— Och, około czterystu pięćdziesięciu dolarów — Clark rzucił niedbale. A mnie się wydawało, że podana przez niego kwota spowodowała pęknięcie roztańczonych bąbelków w moim kieliszku. W życiu nie byłoby mnie stać na zapłacenie jednej trzeciej tej ceny. — Oczywiście, to sprawa służbowa — dodał Clark, widząc moją zmartwioną minę. — Wliczy się w koszty.

— Możesz to zrobić? — zdumiałam się.

— Złote Dziecko. — Robert wyszczerzył zęby w uśmiechu i pociągnął kolejny łyk.

Clark nie zwracał na niego uwagi.

— Powiemy po prostu, że jesteś dziennikarką, a Ivan—
—Melissa nalegała, żeby właśnie tu przeprowadzić wywiad —
ciągnął Clark ze śmiechem. — Zatem skąd wzięłaś takie
niezwykłe imię Ivan? — zapytał z akcentem wprost z BBC,
nachyliwszy się ku mnie.

— Ivan—Melissa — poprawiłam go. — Czy ci nieudacznicy
z Glorious niczego ci nie powiedzieli?

Dość szybko skończyliśmy pierwszą butelkę i Clark
zamówił kolejną, równie drogą.

— J a k się mają sprawy z Dagney? — spytał.

— Cóż, jeśli nie liczyć przerw na papierosa, napadów
wściekłego syczenia i długotrwałych dąsów, nie jest taka
straszna.

— Aha, ona jest o wiele bardziej makiaweliczna, niż ci
się wydaje — ostrzegął mnie Robert. — Uważaj. Im większą
wykażesz kompetencję, tym więcej będzie ci dawać
luzu. Bo ona zapisuje sobie nawet co bardziej pokrętne
intrygi Glorious w specjalnym zeszyciku, który trzyma
w tej swojej luksusowej torebce.

— Skąd wiesz?

— Rutynowa misja rozpoznawcza — odparł Robert z mi-
ną niewiniątka. — Potrzebowałem proszku od bólu głowy.

— Robert! Kiedy wreszcie przestaniesz grzebać ludziom
w rzeczach? — zaprotestowałam, chociaż dobrze było wie-
dzieć, że Dagney jest uzbrojona i niebezpieczna.

— Pewnie nigdy — odparł z rozbijającą szczerością. —
Ale ja jestem kimś w rodzaju myśliwego—zbieracza infor-
macji. To użyteczne zajęcie. Zapytaj mnie o cokolwiek —
poprosił. Clark przewrócił oczami.

— No dobrze, dlaczego Allegra zawsze każe mi wszystko
przekazywać Philowi i Tony'emu do rąk własnych? Pierw-
szego tygodnia Vivian o mało mnie za to nie zamordowała.

— To proste. Z tego samego powodu, dla którego mówi, że rozmawia z Oprah albo że jest u Phila, gdy tymczasem siedzi na ławeczce pod drzwiami. To jej sposób przypominania sobie samej, jaka jest ważna. I tobie, że masz uważać się za fizyczne przedłużenie jej osoby.

Pokręciłam głową. Byłam jej asystentką, a nie parą automatycznych ramion.

— Następne pytanie?

— Co się stało z osobą, która pracowała na tej posadzice przede mną?

— Miała chyba na imię Cecelia — odpowiedział Robert. — Nie zagrzała długo miejsca.

— Co się z nią stało? Wybiegła z wrzaskiem z budynku?

— Niezupełnie. — Wymienili z Clarkiem spojrzenia.

— Słyszałeś o Marvinie Fischellu, prawda? — spytał Robert.

— Jasne, żetak.

Marvin występował w wielu wcześniejszych filmach Johnny'ego Lucchese, grał też w tym, po którym Eddie di Silva stał się sławny. Na jakiś czas jego kariera trochę utknęła, ale po przełomowej roli w *Oboju*, wypuszczonym przez Glorious, znowu zyskał popularność.

— Marvin ma biuro w naszym budynku — ciągnął Robert. — Ostatnio sporo zajmuje się produkcją. — Clark rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie, ale Robert mówił dalej. — W każdym razie Cecelia była naprawdę cycata. A Marvin ma fioła na punkcie kobiet z dużymi piersiami. Jest kompletnie nieszkodliwy, żadnego obmacywania; po prostu lubi towarzystwo kobiet, które mogłyby reklamować bieliznę. Zobaczył ją, jak wysiada z windy na naszym piętrze, a godzinę później zadzwonił do Phila i spytał, czy nie mógłby mu jej odstąpić, żeby pracowała dla niego.

— Tak po prostu?

— Taa, właśnie tak. No cóż, to, co zdarzyło się potem, zostało należycie odnotowane w zeszyciku Dagney. Phil wyraził zgodę, ale pod warunkiem że Marvin przeznaczy trzy dodatkowe dni dla prasy w związku ze swoim następnym filmem dla Glorious. Więc teraz Cecelia ocenia dla Marvina nadsyłane scenariusze. — Usiadł wygodniej i pociągnął długi łyk szampana. Po czym wzrok obu powędrował ku moim drobnym piersiom.

Oślupiałam. W jednej chwili mnóstwo rzeczy stało się dla mnie jasnych — zainteresowanie Clarka moją osobą, brak pytań podczas rozmowy z Geraldine, konieczność rozpoczęcia pracy od zaraz. Miałam zastąpić moją hojnie obdarzoną przez naturę poprzedniczkę, która najwyraźniej stworzona była do wyższych rzeczy.

— To dlatego kazałeś mi przesłać CV, prawda, Clark?

Clark opuścił wzrok na swoje buty i milczał. Myślałam o tylu różnych rzeczach, które mogłyby otworzyć przede mną drzwi, ale nigdy bym nie wymyśliła, że zostanę zatrudniona z powodu moich cycków. Przez jakieś pięć sekund byłam wściekła. Potem zaczęłam się serdecznie śmiać, a po chwili Robert i Clark zrobili to samo. Ostatecznie przetrwałam pierwsze pięć tygodni. Rachunek w tym lokalu dorównywał mojemu miesięcznemu czynszowi i to nie ja musiałam go regulować. Jechałam na uroczystość wręczania Oscarów. I nawet nie musiałam zdejmować bluzki.

Włóczęga z Beverly Hills

Rankiem następnego dnia po oscarowych uroczystościach rozzdzwoniło mi się w głowie. Nie, to budzik, który nastawiłam na dwunastą. Czy to możliwe, że jest już południe? Nie, to dzwoni telefon. Patrzyłam na niego ogłupiałym wzrokiem, potem spojrzałam na budzik. Była ósma. A telefon dzwonił i dzwonił. Budził mnie o ósmej rano, chociaż poszłam spać o szóstej.

— Halo? — wykrztusiłam wreszcie.

— Karen, pracujesz dzisiaj przy premierze *Ona potrafi na dwie strony*. Nasze tutejsze biuro potrzebowało dodatkowej siły, więc powiedziałam, że się tam zjawisz — oznajmiła Allegra.

Świetny dobór stów. Trafiła w samo sedno. Będę musiała zbierać siły, żeby być dodatkową siłą.

— Powinnaś się tam zgłosić natychmiast — usłyszałam, kiedy ponownie udało mi się skupić na tym, co mówi. — Ale czy mogłabyś najpierw odnieść moje kolczyki do Sandy'ego Schwartza? — spytała, zupełnie jakby istniała więcej niż tylko jedna odpowiedź na to pytanie. — Wilshire i tak masz po drodze.

— Żaden problem.

— W recepcji mają dla ciebie adres. Kiedy znajdziesz się w naszym biurze, ktoś tam tobą pokieruje. Nie musisz więc już do mnie dzwonić. — Zanim się rozłączyła, zdąży —

łam usłyszeć szelest pościeli. Najwyraźniej obudzenie mnie było jej jedynym zadaniem. Myślałam, że ranek po wręczeniu Oscarów będzie wolny od wszelkich obowiązków, i myliłam się. Myliłam się, odkąd tylko wysiadłam z samolotu na lotnisku w Los Angeles. To już zaczynało stawać się normą.

Ciężkie zasłony były zaciągnięte i w pokoju panowała ciemność. Termostat utrzymywał temperaturę idealną do spania. Zapaliłam nocną lampkę, usiadłam, spuszczać nogi z łóżka, i w tej samej chwili runęłam na podłogę. Podczas snu dół wieczorowej sukni oplótł mnie ciasno, robiąc ze mnie mumię. Odplątałam ją, na ile mogłam, uklękałam, a potem wstałam. Zrobiłam krok i poczułam przeszywający ból w stopie, kiedy nastąpiłam na sterczący obcas przewróconego sandałka.

— J a s n a cholera! — wrzasnęłam, kuśtykając żałośnie. Suknia tak krępowwała mi ruchy, że nie mogłam swobodnie podskakiwać, jak by należało pod wpływem bólu.

Podeszłam do drzwi łazienki i oparłszy się ciężko o framugę, nacisnęłam kontakt. Okropność. Przesadnie wielkie, trzyczęściowe lustro nad umywalką ukazywało potrójny obraz całkowitej ruiny. Z rozmazanym po twarzy makijażem przypominałam złoczyncę z kreskówki, wyglądającego na świat ze swojej kryjówki — wytrzeszczone białka w kręgach czerni. Kiedy zsunęłam werżnięte w skórę ramiączka sukni, czerwone ślady natychmiast zaczęły puchnąć. Fryzura, poprzedniego wieczoru gładka i lśniąca, stwardniała w posklejane lakierem kołtuny. Kiedy zabrałam się do mycia twarzy, zobaczyłam, że chyba jeszcze nigdy, od okresu dojrzewania, mojej skóry nie pokrywała taka ilość pryszczy. Nie miałam pojęcia, od czego zacząć, i zastanawiałam się, czy nie mogłabym po prostu

zadzwoić i usprawiedliwić nieobecności nie tyle chorobą, ile okropnym wyglądem. W końcu byłam w Los Angeles.

Kiedy podniosłam wzrok znad umywalki, stwierdziłam, że moje piersi nadal nienaturalnie sterczą. Przyklejany biustonosz znajdował się dokładnie tam, gdzie go umieściłam dwadzieścia cztery godziny wcześniej... z czego, do diabła, oni zrobili ten klej? Zobaczyłam, że moja wieczorowa torebka wisi na oparciu krzesła, więc przewróciłam ją do góry nogami, żeby znaleźć rozpuszczalnik od krawcowej. Zapasowe baterie do słuchawek, błyszczki do ust, kilka zmiętych banknotów dwudziestodolarowych, kwit za odstawienie samochodu na parking i stary herbatnik, wszystko to wypadło na toaletkę, ale fiolki nie było. Wyciągnęłam podszewkę torebki, mając nadzieję, że buteleczka utknęła w którymś z rogów, ale ona po prostu zniknęła; może się rozpuściła, pozostawiając mnie z przyklejonym na mur biustonoszem. Dokładnie zbadałam lewą pierś, żeby sprawdzić, czy nie istnieje jakiś sposób ściągnięcia go niczym łupiny z owocu, ale bez rezultatu. Nie mogłam próbować ściągnąć go „jednym szybkim ruchem”, bo to najwyraźniej był jakiś niezwykły klej i nie wiadomo, co jeszcze mogłabym sobie oderwać.

Weszłam pod prysznic i pozwoliłam, by gorąca woda smagała moje ramiona i obolałą stopę, by już nie wspomnieć o pęcherzach będących pamiątką po przyjęciu, które spędziłam na ulicy. Wyciągnęłam rękę, żeby wymacać buteleczkę z tabletkami od bólu głowy, którą postawiłam obok umywalki, po czym połknęłam cztery pastylki, popijając je wodą prosto z prysznica. Po dziesięciu minutach wystawiania piersi na działanie wody zobaczyłam, że biustonoszowe krążki zrobiły się przezroczyste. Zauważyłam

też, że brzeg jednego z nich leciutko się podwinął, jak krawędź znaczka, i już wkrótce obydwie dały się łatwo ściągnąć. Wyrzuciłam je natychmiast na podłogę łazienki, z obawy, żeby się przypadkiem nie przykleiły do jakiejś innej części mojego ciała. Następnie zajęłam się włosami, które, po wylaniu na nie sześciu buteleczek szamponu z odżywką, zaczęły wracać do normalnego stanu. Zakręciłam wodę, wyszłam z kabiny natryskowej i ostrożnie włożyłam puszysty hotelowy szlafrok.

Kiedy grzebałam w rzeczach, które ze sobą przywiozłam, w poszukiwaniu czegoś, co nie będzie krępować ruchów, obcierać ani cisnąć, całkiem poważnie brałam pod uwagę wykorzystanie szlafroka, tyle że z innym paskiem. Ostatecznie bardzo ostrożnie włożyłam na siebie dżinsową spódnicę oraz luźną, zapinaną na guziki bluzkę bez rękawów. Pozostał mi jeszcze jeden problem, co włożyć na nogi. Zdecydowałam się w końcu na krótkie skarpetki i tenisówki, które zapakowałam w złudnej nadziei, że podczas pobytu tutaj uda mi się skorzystać z hotelowej siłowni. Strój nie był co prawda modny, ale próbowałam przekonać samą siebie, że w połączeniu z wysypem przyszczy i podkrążonymi oczyma, mogłam uchodzić za reprezentantkę poheroinowego szyku. Wzięłam torebkę, kluczyki od wypożyczonego auta oraz okulary przeciwsłoneczne i wyszłam z pokoju, nie pozwalając sobie nawet na jedno spojrzenie w stronę przepysznego łóża.

W recepcji wręczono mi pamiętą, rozdartą kopertę z wypisanym imieniem „Karen” i z adresem Sandy’ego Schwartza przy Wilshire Boulevard. Firma dopilnowała, żeby wszyscy pracujący w oscarową noc wyglądali jak najlepiej: nasze stroje zostały wybrane u różnych projektantów przez stylistkę, która liczyła na więcej zleceń od

Glorious, a ci sami ludzie, którzy nie chcieli zapłacić za mydło w toaletach nowojorskiego biura, chętnie sypali tysiącami dolarów na najwyższej klasy fryzjerki i kosmetyczki, nawet dla tych spośród nas, którzy naciskali jedynie guziki w windach czy kierowali ruchem limuzyn. Allegra natomiast zażądała, by wypożyczono dla niej biżuterię... a był to przywilej z zasady zarezerwowany dla gwiazd i ich współmałżonków. Razem z Dagney spędziłam ostatnie dwa tygodnie w Nowym Jorku na obdzwanianiu jubilerów z Beverly Hills i wysłuchiwaniu bajan Allegry o tym, jak to w oscarowy wieczór będzie widziana w towarzystwie zarówno gwiazd, jak i rekinów przemysłu filmowego, żeby już nie wspomnieć o czasie spędzonym na czerwonym dywanie przed obiektywami kamer, zważywszy na mnogość nominowanych z Glorious, którym będzie towarzyszyła w drodze do wejścia. Myśl, że Allegra będzie paradować w wypożyczonych klejnotach, wzbudzała niesmak Dagney. „Udaje kogoś, kim nie jest”, utyskiwała. „Wyobraża sobie, że ktoś ją weźmie za gwiazdę kina niemego?” Sandy Schwartz, siódmy z kolei jubiler, który odebrał jej telefon, poddał się dopiero wtedy, kiedy Allegra obiecała, że to on będzie tym, który przyozdobi szyję, uszy, nadgarstki i palce Ivan—Melissy Pell na jej przemarsz po czerwonym dywanie w związku z premierą *Ona potrafi na dwie strony*.

W samochodzie otworzyłam kopertę i obejrzałam kolczyki. Nie widziałam ich poprzedniego wieczoru, bo w ostatniej chwili Allegra zdecydowała, że jednak rozpuści włosy. Nie mogłam uwierzyć, że obudziła mnie po to, żebym osobiście to coś odwiozła. Czy to był dowcip Sandy'ego? Kolczyki wyglądały jak blaszane kartoflane gnocchi, wysadzone drobinami pomarańczowych, różowych

i fioletowych szkiełek. Z drugiej wszakże strony, myślałam sobie, Allegra nie zawracałaby sobie głowy ich wypożyczeniem, gdyby były tak tanie, na jakie wyglądają, więc jednak muszą być coś warte. Niemniej, kiedy na szali położyć dodatkowe pół godziny snu, to kolczyki musiałyby być naprawdę niezwykle, żeby mnie udobruchać. Dość tych rozważań, uznałam, trzeba ruszać w drogę, wrzuciłam kolczyki do otworu przeznaczonego na kubek i skierowałam samochód w stronę Wilshire Boulevard.

Dopiero kiedy się upewniłam, że jadę w kierunku sklepu Sandy'ego, uświadomiłam sobie, że znajduje się on w kierunku przeciwnym niż nasze biuro... te dwa adresy dzieliło ponad pięć tysięcy numerów. A Wilshire było kompletnie zakorkowane. Marzyłam o kadzi kawy i rozglądałam się na wszystkie strony, żeby znaleźć jakieś przyzwoite miejsce, gdzie mogłabym się zatrzymać, ale nie dostrzegłam niczego takiego. Ostatecznie przystanęłam na stacji benzynowej i w Quik Marcie wrzuciłam do koszyka całe niezdrowe jedzenie, na jakie padł mój wzrok, uzupełniłam kubkiem mętnej kawy, która sądząc po zapachu, stała zapewne co najmniej od poprzedniego wieczoru. Nie jadłam nic od tamtych porannych płatków kukurydzianych i mój organizm domagał się wszystkiego — węglowodanów, soli, cukru, czekolady i jak najwięcej kofeiny. Zajrzałam do koszyka i doszłam do wniosku, że nie byłam dla siebie dość szczodra, wobec czego dołożyłam kilka jaskrawych butelek napoju energetyzującego Gatorade oraz opakowanie Hostess Sno Balls — w zielonym kolorze z racji obchodzonego niedawno dnia św. Patryka — i kto wie, co jeszcze. Tym wszystkim obciążylam swoją kartę płatniczą z Glorious. Wreszcie usatysfakcjonowana, ruszyłam w dalszą drogę do sklepu Schwartza.

Kolczyki zajmowały miejsce potrzebne mi na kubek z kawą i Gatorade, więc rzuciłam je na fotel pasażera.

Bawiąc się radiem, kontynuowałam podróż z szybkością czterech mil na godzinę. Podśpiewywałam sobie razem z Donna Summer, z ustami pełnymi chipsów Pringles, kiedy tuż obok zobaczyłam niesamowicie przystojnego gościa w aston martinie. On z kolei jednym spojrzeniem objął wszystko — kasztanowego forda taurusa, pryszczatą kobietę pochłaniającą chipsy i wybijającą rytm na kole kierownicy — i pokręciwszy głową z dezaprobatą, przyspieszył i wjechał przede mnie, dwa samochody dalej, zapewniając sobie takie miejsce, z którego na pewno już mnie nie zobaczy. Wiedziałam, że muszę wyglądać odrażająco.

Kiedy tak się wlokłam, miałam czas, żeby zastanowić się nad swoimi doświadczeniami związanymi z galą oscarową. Najtrudniejsze w tym wszystkim było radzenie sobie z nieustannymi żądaniami ważnych osobistości oraz ich „pomagierów”. Każdy z owych „dostojników” znalazł się tam, bo był osobą nominowaną, prezydentem czy po prostu dlatego, że miał ochotę przejść się tanecznym krokiem po czerwonym dywanie. A wszyscy zachowywali się tak, jakby swoją obecnością wyświadczyli nam ogromną łaskę, i biada tym, którzy choć na moment o tym zapomnieli. Ich wymagania dotyczyły najdrobniejszych nawet spraw i trudno było sobie wyobrazić, by mogli cokolwiek zrobić samodzielnie. To, co w Nowym Jorku zaczęło się jako wzmożona aktywność, przeistoczyło się w istną lawinę wściekłych „daj mi, załatw mi, byle szybko”. „Proszę” i „dziękuję” zostały chwilowo wymazane z angielszczyzny

i miałam wątpliwości, czy kiedykolwiek do niej wrócą. Sprawę Seana Rainesa, jak ją w myślach nazywałam, odczułam boleśnie na dwa dni przed Oscarami, kiedy to przedstawiciel firmy czarterowej zadzwonił do mnie i powiedział, że samolot owszem jest w Sydney, ale Sean się nie pojawił. Z sercem w gardle zadzwoniłam do jego agentki. „Och, zapomniałam ci powiedzieć, taka byłam zajęta”, oświadczyła. „Sean wpadł w Sydney na Toma Cruise'a, który zaprosił go do swojego 727, tak że ostatecznie samolot jest mu już niepotrzebny. Zamierzałam ci przesłać e-maila, jakiego od niego dostałam. Musisz załatwić limuzynę, która będzie czekała, kiedy samolot Toma wyląduje w L.A. Sean nie lubi czekać, dopilnuj więc, żeby samochód znalazł się tam na czas”.

Kiedy przypominałam sobie tamtą sytuację, znów poczułam wściekłość. Wynajęcie tego samolotu kosztowało majątek — przeszło sześć razy tyle co moje roczne pobory w Glorious — i nikt się tym nie przejął, zupełnie jakby wyrzucali zużytą chusteczkę higieniczną. Na dodatek facet, który nie wierzył w Internet, wysyłał e-maile, kiedy stanął w obliczu ewentualnej konieczności przywołania sobie taksówki. Oczywiście Vivian przesłuchała mnie wnikliwie. Najwyraźniej uważała, że mogłam zapobiec podróży Seana na łebka z Tomem Cruise'em... albo przewidzieć ich nieuchronne spotkanie w holu InterContinentalu w Sydney i zasugerować, żeby polecieli razem.

— Ale ja nawet nie wiedziałam, że się znają — powiedziałam wtedy, próbując się bronić.

— Jeszcze się nie zorientowałaś? Oni wszyscy się znają. — Po czym odwróciła się do mnie plecami, żeby dalej omawiać z Dagney harmonogram wizyt u fryzjerek i kosmetyczek.

Gwałtowne trąbienie wdarło się w moje rozmyślenia i skręciłam ostro kierownicę, żeby uniknąć zderzenia, w rezultacie czego kolczyki Allegry wylądowały na podłodze. Zostawiłam je tam, zadowolona, że już nie będą dłużej kłuć mnie w oczy. Samochody posuwały się tak powoli, że odnosiłam wrażenie, jakby utknęły na dnie oceanu — w najgłębszym miejscu, gdzie ryby poruszają płetwami mniej więcej raz dziennie. Czerwone światła dały mi sposobność wytarcia odcisków palców z moich nowych okularów przeciwsłonecznych od znanego projektanta. Włożyłam je ponownie i uśmiechnęłam się do swojego odbicia w lusterku wstecznym. Bez wątpienia stanowiły najlepsze dodatkowe świadczenie, jakie otrzymałam przez cały tydzień.

Kiedy w ubiegły piątek wróciłam do hotelu, zastałam w pokoju wielki kosz z podarkami. Na towarzyszącej mu kartce przeczytałam: „Z życzeniami wspaniałego wieczoru, przyjaciele z «InStyle»”. Z zapalem zabrałam się do przeglądania zawartości kosza i znalazłam mnóstwo drogiej kosmetyki, kilka bestsellerów, belgijskie czekoladki, oscarki, czyli ciasteczka posypane cukrem, specjalne wydanie czasopisma „InStyle” *zatyulowane Oscarowy styl*, figi od znanego projektanta, rozmiar „S” (wiadomo, że wszyscy tylko taki noszą). Było tam również zaproszenie do apartamentu, gdzie odbywały się zamknięte pokazy mody, celem odebrania gratisowej pary okularów przeciwsłonecznych, których wzór na następny sezon przygotował Malcolm Leonard. To ten, którego imieniem nazywane są kreacje, kosmetyki, meble oraz dzinsy. „Pragniemy sprawić Pani przyjemność okularami idealnie dopasowanymi do rysów”, głosił tekst na zaproszeniu.

Zaledwie pięć minut przed rozpoczęciem mojej zmiany

w biurze, zainstalowanym dla nas w hotelu, popędziłam do wskazanego apartamentu, żeby odebrać obiecane okulary. Kiedy stamtąd wychodziłam, doszło nieomal do buntów, bo niektóre ze znakomitości domagały się dodatkowych par okularów, a personel, ze względu na ograniczoną dostawę, nie mógł niestety spełnić ich żądań.

— Do końca życia prześladować mnie będzie zawalenie gwiazd, którym czegoś odmówiono — mówiłam później do Roberta, opisując mu tę scenę.

— Pomyśl tylko — odparł ze śmiertelną powagą — zawsze będziesz mogła opowiadać, że dostałaś te okulary podczas tamtych głośnych oscarowych rozruchów u Malcolma Leonarda.

Od chwili, w której postawiłam swoją stopę w Los Angeles, coraz wyraźniej uświadamiałam sobie istnienie ogromnych ilości łupów podsuwanych podczas oscarowego tygodnia osobom sławnym i tym tylko potencjalnie sławnym. Fetowano nominowanych na bankietach wydawanych przez sponsorów, którzy jedynie pokornie prosili, by przyjmowano ich dary. Wysadzone klejnotami telefony komórkowe. Korzystanie z luksusowych limuzyn. Telewizory z ekranami wielkimi jak kinowe, z całym towarzyszącym osprzętem. Tygodniowe pobyty w najbardziej ekskluzywnych kurortach... albo i dwutygodniowe, jeśli to bardziej odpowiadało obdarowywanemu. Platynowe puderniczki. Zestawy stereo, którymi można było zaimponować zaprzyjaźnionym gwiazdom rocka. Markowe buty sportowe o niskim numerze jakiejś limitowanej serii. Balsamy, kremy i eliksiry gwarantujące, że młodość i uroda pozostaną nienaruszone. Zagwarantowane „konsultacje” u chirurgów plastycznych, jeśli nie pozostaną. Ogromne butle szampana. Masaże, oczyszczanie twarzy

i wszelkie inne zabiegi, jakim ludzie się poddają w centrum odnowy. Słoje kawioru. Wytworne torby i walizy. Faraonów składano do grobowców z mniejszą ilością wszelakich dóbr, a i tak byli przekonani, że z wielką klasą wchodzą w wieczność.

Jedni po prostu przyjmowali łaskawie te dobra, inni zaś nie wstydzili się wymagać więcej, chociaż samo przedstawienie listy swych żądań zlecali nam. W większości przypadków ofiarodawcy godzili się na wszystko, bo ogromnie im zależało, żeby zarówno ich firma, jak i jej produkty cieszyły się w tym hollywoodzkim towarzystwie jak największą popularnością. Clark powiedział mi, że większość tych rzeczy zostanie przekazana dalej, jako podarki dla krewnych i członków personelu, którzy będą oszołomieni szczodrością swych dobrodziejów.

Zapaliło się zielone światło, wcisnęłam więc mocno gaz w taurusie, rozkoszując się otwartą przestrzenią, jaką dawało skrzyżowanie. Obserwując uważnie znaki uliczne, doszłam do wniosku, że już wkrótce będę w sklepie Schwartza, i cieszyła mnie myśl, że wysiądę z samochodu. Budynek, którego numer dała mi Allegra, okazał się eleganckim wysokościowcem... i nie widziałam tam żadnego jubilera. Spytałam parkowacza, który zapewnił mnie, że Sandy i owszem, jak najbardziej, ma tu swoją siedzibę, zajmuje apartament C w penthousie. Wyłączyłam silnik i nachyliłam się, żeby podnieść z podłogi kolczyki. Nie było ich tam. Nie chciało mi się wierzyć, że mogłam zgubić te paskudne bezkształtne bryłki, które wiozłam taki szmat drogi. Musiały przecież gdzieś być. Wysiadłam i przeszłam na drugą stronę auta. Otworzyłam drzwi od strony pasażera, uklękłam na chodniku i ze złością zaczęłam grzebać wśród opakowań po batonikach, plastiko—

wych kubków i innych śmieci, jakie zgromadziły się wokół fotela. Nagle dostrzegłam błysk metalu i zobaczyłam, że kolczyki przykleiły się do spodu nadgryzionego snobalia. Były trochę oblepione wiórkami kokosowymi i galaretką, ale poza tym nic im nie było. Wręczyłam kluczyki do auta parkowaczowi, kolczyki wrzuciłam do kieszeni i wsiadłam do wyłożonej mahoniową boazerią windy.

Drzwi otworzyły się na wszechobecną biel — biała wykładzina, białe ściany, nawet kilka białych płócien malarzskich oprawionych w białe ramy — a pośrodku tego wszystkiego siedział mężczyzna i grał na białym koncertowym fortepianie. Wyczułam delikatną woń wanilii. Mój styl „na ćpunkę” nie pasował do tego nieskazitelnego wnętrza i pomyślałam sobie, że mogę coś pobrudzić, jeśli będę zbyt długo na to patrzeć. Przeniosłam wzrok na mężczyznę przy fortepianie. Ubrany w dżinsy i białą jedwabną koszulę, z zamkniętymi oczyma, grał koncert Mozarta; emanował spokojem, który dzielił z dużym białym ptakiem siedzącym mu na ramieniu. Nie zauważył jeszcze mojej obecności. Potem jednak otworzył oczy, uśmiechnął się do mnie i zaczął grać jakiś jazzowy kawałek.

— Dzień dobry — przywitał mnie radośnie, przechodząc w rytm charakterystyczny dla Raya Charlesa. — Cóż cię sprowadza o tak wczesnej porze?

— Kolczyki. Cześć, hm, mam dla ciebie kolczyki Allegry Orecchi. Z Glorious? — dokończyłam niepewnie.

— Cudownie. Pierwszy zwrot dnia — oświadczył, wstając z taboretu. Był niewysoki, jak na mężczyznę wręcz filigranowy; zauważyłam też, że ma bose stopy. Ukradkiem raz jeszcze przetarłam kolczyki i podałam mu. — Wanda — zawołał. — Przyjdź tu, proszę, z formularzem Allegry.

Pojawiła się mała Latynoska, w dżinsach i białej jedwabnej bluzce, z bosymi stopami, niosąca w ręku pustą, wyłożoną aksamitem tackę i podkładkę z przypiętymi kartkami.

— Gdzie moje maniery? Jestem Sandy Schwartz — oznajmił z uśmiechem. — A to jest Wanda Carillo, moja asystentka — ciągnął, wymawiając w Carillo drżące „r”.

— Karen Jacobs — powiedziałam, wyciągając rękę, którą uścisnęli oboje, najwyraźniej nie zauważając, że się lepi. — A to — powiedział Sandy, gładząc pióra na szyi ptaka — jest Estella.

— Czy to gwarek? — spytałem.

Estella z wielkim zainteresowaniem przyglądała się kolczykom.

— Wezmę je od ciebie, moja droga — rzuciła szybko Wanda.

— Tak — odpowiedział Sandy. — To gwarek albinos z Singapuru. Nasza Estella natychmiast by porwała kolczyki do swojej klatki, gdyby tylko jej pozwolić.

Położyłam kolczyki na tacy Wandy, a ona wręczyła mi pokwitowanie do podpisu. Wzięłam pióro i już miałam naskrobać swoje nazwisko, kiedy mój wzrok padł na coś i zamarłam. Kolczyki, które Allegra zostawiła w naddar—tej kopercie w hotelowej recepcji, kolczyki, które cisnęłam do wgłębienia na kubek w samochodzie stojącym z otwartymi drzwiami na stacji benzynowej, kolczyki, których o mało co nie zapodziałam pośród okruszków i papierków po batonikach, kolczyki, które wyglądały, jakby wykonano je ze złomu... warte były 85 000 dolarów. — Naprawdę? Osiemdziesiąt pięć tysięcy?

— O tak, dokładnie tyle są warte — potwierdził Sandy, podając mi jubilerską lupę i kładąc kolczyki na podświetlonej szybce. — Pozwól, że ci pokażę.

Co by było, gdybym je zgubiła? Drżącą ręką uniosłam lupę do oka i nachyliłam się.

— Widzisz te różowe kamyki? To różowe rubiny z Birmy. Pomarańczowe? Pomarańczowe szafiry z Tanzanii. Lawendowy jadeit z Pula. Lazuryt z Afganistanu — wyjaśniał. Te kolory przywodziły mi na myśl sporo tego, co pochłonęłam w samochodzie, jadąc tutaj, poczułam więc, jak zalewa mnie fala mdłości. — Kamienie z każdej pary są idealnie do siebie dopasowane i opracione w ręcznie wykonane platynowe muszelki.

— Są niesamowite. — Tylko tyle zdołałam z siebie wydusić.

— No pewnie — potwierdził Sandy. — Amerykanki nie przepadają za kolorowymi klejnotami, natomiast moje klientki z Bliskiego Wschodu bardzo je lubią. Prawdę mówiąc, dziś rano dzwoniły już dwie panie i pytały o te kolczyki. Zauważyły je, kiedy Allegra, prowadząc Phila i Tony'ego po czerwonym dywanie, założyła włosy za ucho. Na lotnisku czeka prywatny odrzutowiec, żeby zabrać je do Dubaju.

Poczułam, że muszę usiąść, i jak za sprawą magii, tuż za mną wyrosła biała puszysta otomana.

— Zostań tu tak długo, jak masz ochotę — powiedział Sandy. — Spędzimy resztę dnia na błaganiu ludzi, żeby zwrócili biżuterię, którą od nas wypożyczyli. Nie wyobrazasz sobie, przez co musimy przejść, żeby wszystko odebrać.

— Nie masz pojęcia, ilu ludzi nagle przestaje dostrzegać różnicę między „pożyczaniem” i „dawaniem” — odezwała się Wanda, kręcąc głową.

— Prawdę mówiąc, mam pojęcie — oświadczyłam, śmiejąc się wbrew sobie. — Niestety, muszę już iść. — Pierwszy raz od wielu dni ktoś potraktował mnie tak uprzejmie

i z niechęcią myślałam o opuszczeniu tego miłego azy-
lu. — Było mi bardzo miło — dodałam.

— Przekaż ukłony Allegrze — powiedział Sandy. — I po-
wiedz jej, proszę, że nie chowam urazy w sprawie Ivan—
—Melissy Pell.

— A co się stało?

— Postanowiła pójść na premierę w czymś w rodzaju
naszyjnika z hawajskich muszelek — odparł, uśmiechając
się. — A puka nigdy nie leżały w zakresie moich zaintere-
sowań.

Pożegnałam ich i wsiadłam do windy.

Kiedy znalazłam się w gęstym ruchu na Wilshire, mój
nastój ponownie się pogorszył, a im bardziej oddalałam
się od sklepu Sandy'ego, tym stawał się gorszy. Gnębił
mnie nadmiar cukru w organizmie i brak snu, żeby już
nie wspomnieć o kompletnym braku szacunku ze strony
Allegrzy. Dlaczego pozwoliła mi pałętać się z tymi kolczy-
kami, nie informując mnie o ich wartości? Kiedy czekając
na zmianę świateł, myślałam sobie, jakich słów bym uży-
ła, żeby wygarnąć jej to prosto w oczy, zobaczyłam na
rogu duże stoisko z prasą. Nawet z fotela kierowcy nie-
trudno było dostrzec na stojaku sześć różnych czasopism
Roddy'ego, mimo że trzy czwarte powierzchni okładek
od dołu było zasłonięte. Byłam taka zadowolona, kiedy
się pojawił z żoną przystrojoną własną biżuterią, z tym
ogromnym ochroniarzem i z aktorem pchającym wózek.
Pamiętam, jaką satysfakcję czerpałam z faktu, że udało
mu się przechytryć Vivian i jej żelazną zasadę „jedna oso-
ba towarzysząca na gościa”.

A potem przyszła mi do głowy okropna myśl. Dłaczego,
na Boga, powiedziałam tamtemu nieznanemu fa-
cetowi, że Glorious nie zgodziła się na ochroniarza ani na

żadnego pomocnika. A gdyby był George'em Hanrat— tym i przekazałabym mu informacje o mechanizmach wewnątrz firmy w sam raz do wykorzystania w książce, jaką rzekomo pisze? Moi przełożeni na pewno by wiedzieli, że pochodziły one ode mnie — Vivian nigdy o niczym nie zapominała, a przecież to ja byłam osobą odpowiedzialną za wszystko, co się wiązało z zaproszeniem Teda Roddy'ego. Próbowałam sobie przypomnieć to małe zdjęcie z boku monitora komputera Dag i w moim mózgu piksele przeorganizowały się i ułożyły w wizerunek twarzy nieznanego. Jeśli to był Hanratty, jak nie stracę pracę. Zdążyłam chyba ze sto razy odtworzyć sobie w głowie to spotkanie, zanim wjechałam do garażu pod biurem Glorious na Zachodnim Wybrzeżu i zaparkowałam.

Weszłam po schodach do biura, w którym zastałam Kellie, jedną z pracownic działu public relations na Zachodnim Wybrzeżu. Oprócz nas dwóch nie było tam nikogo. Kellie rozmawiała przez telefon, ale rzuciła słuchawkę, kiedy się zbliżyłam.

— Cholera — powiedziała. — Przepraszam. Cześć. Dzięki za pomoc. Nie udaje mi się zaprosić nikogo ważnego na jutrzejszy wieczór, gonię już resztkami sił. — Kellie spała równie mało jak ja, a mimo to nie było tego po niej widać. Blondynka, niebieskooka, w typie królowej cheerleaderek, robiła wrażenie świeżutkiej jak poranna rosa w workowatych szortach, wiązanej na szyi bluzce bez pleców i w masywnych klapkach. Usiłowałam ukryć swój okropny strój za biurkiem, kurczyłam się, jak tylko mogłam, podczas gdy Kellie wyjaśniała mi plan gry.

Obdzwanialiśmy przeróżne agencje public relations, żeby spytać, która spośród prześwietnych osób znajduje—

cych się na ich listach będzie uczestniczyła w jutrzejszej imprezie. Nie spodziewaliśmy się specjalnych trudności, zważywszy na to, że opromieniała nas chwała zdobywców Oscara w kategorii najlepszego filmu. Bo czy cały młody Hollywood nie będzie chciał być widziany przez Waxmanów? Najwyraźniej niekoniecznie.

— Właśnie rozmawiałam z OMG — powiedziała Kellie, odnosząc się do czołowej w tej branży fabryki gwiazd. OMG „był właścicielem” niemal ich wszystkich i Kellie akurat zakończyła z nimi skomplikowane negocjacje. — Chcieli nas zmusić, żebyśmy wzięli dwóch pisarzy, tylko za to, że przekażą nasze zaproszenie Francesce Davis, bez żadnej gwarancji, że ta w ogóle się pojawi. To się nam nie opłaca.

Przyznałam jej rację. Pisarze nie są ozdobą czerwonego dywanu. Na to przyjęcie musiałyśmy znaleźć jakąś gwiazdę pierwszej wielkości. Glorious wyobrażała sobie, że „wszyscy” się pojawią, a dla nich ta premiera będzie tym, czym dla sportowca jest dodatkowe okrążenie stadionu po zwycięskim biegu.

Wtedy odezwała się moja komórka. Dzwonił Clark.

— Skarbie, kiedy zamierzasz wyjść i dołączyć do naszej zabawy? Jest tutaj Gloria i oszukuje... to znaczy ogrywa mnie... w kanastę. Jak nie przestanie, zaraz będę musiał lecieć do bankomatu — oznajmił radośnie.

— Jestem w biurze.

— Gdzie?

— Rano zadzwoniła Allegra i powiedziała, że muszę pomóc przy organizowaniu premiery.

— Pracujesz w tutejszym biurze? — zdziwił się Clark. — Co za... — usłyszałam w oddali głos Roberta.

— Tak jest. Od ósmej jestem na nogach.

— No cóż. Postaraj się wrócić. My się tu wszyscy wylegujemy. Chłopcy z obsługi przynieśli nam wiaderka z lodem na stopy. Boskie uczucie — ciągnął. Wyobraziłam ich sobie na pasiastych leżakach przy basenie, z nogami do połowy łydek w kostkach lodu, popijających chłodzone tropikalne trunki, podczas gdy niezmordowana Gloria powtarza rozdanie za rozdaniem.

— Chyba nie dam rady.

Rozłączyłam się, zadzwoniłam do kolejnej osoby z listy Kellie i zaczęłam wstawiać całą tę gadkę o *Ona potrafi na dwie strony*, dodając, że Ivan—Melissa i Bob Metuchen „przybędą” razem i że obecna też będzie reszta obsady. W filmie występowali Will Herrick i Ed Bailey, aktorzy, którzy zdobędą w przyszłości Oscara jako autorzy scenariusza. Ich wiarygodność będzie zawsze podważana i staną się ucieleśnieniem oszustwa w branży filmowej, chociaż nagroda nie zostanie im odebrana.

Pierwsza osoba, do której się dodzwoniłam, reprezentująca gwiazdę popularnego telewizyjnego programu, powiedziała mi, że jej klientka nie może wziąć udziału w premierze z racji obowiązków, które ją czekają wczesnym rankiem następnego dnia. Potem przedstawiciel piosenkarki, której najnowszy singiel figurował na szczycie list przebojów, oświadczył, że artystka wyjechała z miasta, mimo że sama widziałam afisz informujący o jej „spotkaniu z publicznością” w Virgin Megastore nazajutrz po południu. Osobisty asystent młodzietkiego gwiazdora, który grał główną rolę we wchodzącym wkrótce na ekrany filmie Tony'ego, oświadczył, że ten nie może przyjść na premierę, ponieważ jest „wykończony po pięciu nocnych balangach”.

— Nie pojmuję — powiedziała do Kellie. — Ni stąd, ni

zowąd nikogo nie ma, są przemęczeni albo ciężko pracują. Odkąd to gwiazdy nie lubią uczestniczyć w tego typu imprezach?

Kellie westchnęła.

— Odkąd Ivan—Melissa zaczęła ich odstraszać — odparła. — Na ogół przychodzą na premiery, tyle że muszą lubić ludzi, których dotyczą... a za Ivan—Melissa nikt obecnie nie przepada.

— Przecież nie jest jeszcze na tyle sławna, żeby zasłużyć na nienawiść — zauważyłam.

— I tu się mylisz. Teoretycznie Ivan—Melissa ma wszystko — przyjaciela reżysera, zwariowane imię, perwersyjny seks — powiedziała Kellie, wstając z miejsca, żeby mnie oświecić. — I choć większość z nich robiłaby to samo, gdyby tylko miała sposobność, u niej widać w tym zimne wyrachowanie. Nikt z tych ludzi nie ma ochoty dodatkowo uświetnić swoją obecnością jej wielkiego wieczoru.

Teraz wreszcie zrozumiałam. Zmuszenie Ivan—Melissy, żeby siedziała samotnie w sali jadalnej, było najsurowszą karą, jaką mogły jej wymierzyć inne znakomitości. Media natomiast ją uwielbiały. Nigdy nie było im dość jej dziwnego, zachrypniętego głosu i skłonności, by mówić, co tylko jej przyjdzie do głowy. A status świeżo upieczonej gwiazdy mógł jedynie pogorszyć sytuację. Spodziewaliśmy się dziesiątków reporterów, a ci bez wątpienia doniosą o widocznej jak na dłoni nieobecności wielu ważnych osób z branży.

Kellie tymczasem miała inne problemy.

— No cóż, jeśli on ma się pojawić, Amy Ortega odwoła swój udział, a ja wolałabym raczej mieć ją niż jego, zatem odpowiedź brzmi „nie” — usłyszałam, jak mówi do kogoś.

Nie byłam pewna, skąd mam wiedzieć, czyja obecność

jest ze wszech miar pożądana, a czyja spowoduje nieobecność kogoś innego.

— Nie przejmuj się — uspokoiła mnie Kellie, kiedy przyznałam się do niepewności w związku z kilkoma osobami, które zaprosiłam. — Zawsze możemy zadzwonić i anulować zaproszenie.

Różniło się to bardzo od naszego nowojorskiego sposobu pracy. Na ubiegłomiesięczną premierę *Proulaka* przygotowaliśmy zaproszenia pisemne. Lista osób została zgłoszona, ułożona, sprawdzona, potwierdzona, przypięczętowana przez Allegrę i w końcu zaproszenia doręczone przez posłańca.

Okolo czwartej straciłyśmy nadzieję, że uda się nam ściągnąć na premierę choć jedną prawdziwą gwiazdę. Jak dotąd mogliśmy się pochwalić zaledwie kilkoma dziewczętami, które grały kiedyś w *Słonecznym patrolu*, jednym kontuzjowanym Lakersem, członkiem chórkę jakiegoś boys bandu i kilkoma innymi niezbyt znakomitymi znakomitościami. Tony'ego chyba szlag trafił. Ta premiera miała się odbyć tuż po niekwestionowanym sukcesie Phila, którego świadkiem, zaledwie czterdzieści osiem godzin temu, było całe miasto, i Tony na pewno będzie się domagał podobnych hołdów.

— Dajmy sobie spokój na dziś — zaproponowała Kellie, wyraźnie dotknięta ostatnią odmową. Byłam zaskoczona jej rezygnacją z dalszych wysiłków, bez zapewnienia udziału choćby jednej z najważniejszych gwiazd, ale już wcześniej słyszałam, że w kalifornijskim biurze nie ma takiego rygoru jak u nas. Oczywiście sytuacja była nieporównywalna — oni nie mieli na karku Phila i Tony'ego.

Umówiłyśmy się na jutro; tymczasem ja miałam spróbować dorwać jakieś osobistości, które jeszcze pozostały

w Four Seasons. Niestety, większość nominowanych do Oscara z Glorious odleciała już tego ranka, łącznie z Sannem, który bez słowa skargi poleciał samolotem rejsowym. Po przegraniu Oscara wydawał się przygaszony i wyglądało na to, że chętnie wraca do Nowej Zelandii, nawet jeśli musi osobiście nieść swój bagaż, bo akurat nie ma pod ręką boya.

Zostało jeszcze kilka godzin popołudnia i liczyłam na to, że Clark z resztą towarzystwa nadal leniuchują przy basenie albo w hotelowym barze. Miałam poczucie, że zarobiłam przynajmniej na kilka koktajli z parasolką. Dagny pewnie już wyjechała; zamierzała spędzić kilkudniowe wakacje w Laguna Beach, żeby dojść do siebie po wyczerpujących obowiązkach związanych z oscarową galą. Chwyciłam więc plik zaproszeń na premierę i pospieszyłam do samochodu.

Kiedy wyjeżdżałam z garażu, zadzwoniła Allegra. Po jej lodowatym szepcie domyśliłam się natychmiast, że zna rezultat naszych usiłowań ściągnięcia choć jednego wartego wzmianki w mediach gościa.

— Kazałam Dagny zabukować ci miejsce na nocny lot. Będziesz bardziej przydatna w głównym biurze, a ja osobiście przygotuję tę premierę, jak trzeba. Poza tym od trzech dni ludzie u nas nie dostają „Spektrum” i nikt nie ma pojęcia, co się dzieje.

Nocny lot. Ledwie starczyło mi czasu na powrót do hotelu, pozbieranie rzeczy i dojazd na lotnisko. Wściekła, cisnęłam zaproszenia przez okno samochodu, z nadzieją, że wszyscy bezdomni i panienki z Sunset Strip poczują się zaproszeni. Mój samolot wylądował w Nowym Jorku akurat o takiej porze, że będę mogła udać się prosto do biura i zebrać do kupy „Spektrum”, żeby jak zawsze pełen uza—

nia dla pracy innych personel Glorious mógł je wyrzucić do kosza na śmieci przeznaczone do recyklingu. Przynajmniej będę mogła pospać w samolocie.

Przyjechałam na lotnisko, oddałam bagaż i ruszyłam do bramki. W połowie drogi uświadomiłam sobie, że w pośpiechu zapomniałam włożyć do podręcznego bagażu kilka drobiazgów przeznaczonych dla pracowników lotniska i stewardes. DVD z gali, T-shirt, jedna czy dwie płyty ze ścieżką dźwiękową z filmu, wystarczyło na ogół, żeby przeskoczyć do pierwszej klasy; Robert nauczył mnie tej sztuczki i wykorzystałam ją, kiedy leciałam w tę stronę. Kiedyś Clark spędził połowę lotu w kokpicie, po tym jak dał kapitanowi i drugiemu pilotowi czapeczki bejsbolowe z logo Glorious. Usadawiłam się w środkowym fotelu, który Dagney niewątpliwie wybrała specjalnie dla mnie, podłożyłam pod głowę poduszkę, owinęłam się kocem i spróbowałam zasnąć jeszcze przed startem.

Mniej więcej po półgodzinie lotu poczułam czyjąś rękę na ramieniu. Drzemałam, ale natychmiast oprzytomniałam.

— Karen Jacobs? — spytała stewardesa. — Proszę za mną.

Zaprowadziła mnie do pierwszej klasy, na wolne miejsce obok uśmiechniętego Roberta.

— Doszły mnie słuchy, że jesteś w tym samolocie.

— Dzięki za ratunek.

— Drobiazg, chociaż stewardesy robią się strasznie zachłanne. Pewnie to dlatego, że tylu ludzi filmu lata ostatnio na tej trasie. Przeniesienie cię tutaj kosztowało siedmiu *Cudzoziemskich pilotów*, dwa czekoladowe Oscary i moje gatki od Malcolma Leonarda.

— Przykro mi z powodu gatek, Robercie, ale mam dla ciebie coś, co ci tę stratę wynagrodzi. — Sięgnęłam do tor-

by i wyciągnęłam jakiś tuzin małych hotelowych buteleczek z mydłem w płynie. — Dla mas.

— Dzięki. To miło z twojej strony. — Włożył je do swojego bagażu podręcznego. Cały czas widziałam po jego minie, że coś go trapi.

Opowiedziałam mu, jak to spodziewamy się marnej frekwencji na premierze *Ona potrafi na dwie strony*.

— To było do przewidzenia — zauważył. — Oni czasami kompletnie nie wiedzą, kiedy powiedzieć dosyć. Zresztą mamy teraz większy problem. Dzisiaj rano zmarł Gretzky.

— Umarł Wayne Gretzky? — prawie że wykrzyknęłam. Głowy dwudziestu pasażerów pierwszej klasy zwróciły się w naszą stronę.

— Cii. Nie Wayne Gretzky. — Odwrócił się do naszych współpasażerów. — Nie Wayne Gretzky — powtórzył teatralnym szeptem i wrócił do rozmowy ze mną. — Gretzky, alaskański husky z *Zablokować psiaka*. Wracam wcześniej, żeby znaleźć identycznego psa na reklamowe spotkanie z mediami. Jesteśmy już umówieni z przedstawicielami *Today*, *Live*, *Letterman* i *The View*. Żaden z nich nie wie, że on nie żyje. Musimy mieć następcę.

— Nie wystarczy któryś z aktorów?

— Nie ma akurat takiego, którego by chcieli widzieć na tych spotkaniach. W tym filmie to Gretzky jest gwiazdą.

Zablokować psiaka było ckliwą historyjką o chłopcu, który przeprowadza się do innego miasta, gdzie zyskuje sławę dzięki swojemu psu, posiadającemu niezwykłą umiejętność gry w hokeja.

— Jak zamierzasz znaleźć psa, który wygląda jak Gretzky? Przecież miał każde oko innego koloru i dużą brązową plamę na grzbiecie?

— Znajdziemy takiego. Będzie to tylko wymagało nieco wysiłku — oświadczył Robert, jakby wyszukiwanie identycznych psów stanowiło jego codzienne zajęcie. — *Zablokować psiaka* to film Tony'ego. — Nie musiał się rozwodzić na ten temat. Stosowny zmiennik zostanie znaleziony. „Bo jak nie!” — zgodnie z ulubionym powiedzonkiem Tony'ego.

Powiedziałam Robertowi, jak zmęczyła mnie ta cała bzdurna otoczka Oscarów, a on na to, że też ma już tego dość.

— W sobotę usiłowałam wytłumaczyć Rebecce Ripley, że nie mogę tak po prostu zadzwonić do Prądy i powiedzieć, że zgubiła torebkę, którą jej dali... przez cały ten czas trzymała ją w garści. Dostała ataku szału, w rezultacie czego Marlene mieszała mnie z błotem przez pełne dziesięć minut.

— I jak to się skończyło? — spytałam. Rebecca Ripley miała niewielką rolę we wchodzącym niedługo na ekranie filmie *Glorious*, wcześniej zrobiła już karierę, następując „osoby towarzyszące” hollywoodzkim VIP—om.

— Zadzwoniłem do Prądy, a tam zrozumieli, że ona koniecznie chce mieć taką torebkę podczas oscarowej gali, więc przysłali jej jeszcze jedną. A ona tymczasem wzięła na uroczystość torebkę od Toda.

— To po prostu wstrętne — oświadczyłam. — A słyszałeś o Nolandzie OTearym, tym operatorze?

— Wiem, że w ubiegłym roku chciał czegoś zupełnie zwariowanego, ale nie pamiętam, co to było.

— Zanim przyjechał, zadzwoniła jego asystentka i powiedziała, że okno pokoju Nolana musi wychodzić na północ, bo wtedy do środka wpada światło, „przy jakim pan O'Leary zwykł się budzić” — powiedziałam, palcami

robiąc znak cudzysłowu i naśladowując dobitny sposób mówienia asystentki.

— J u ż widzę, że to będzie coś smakowitego.

— Kiedy O'Leary się wprowadził, wyciągnął kompas i zaczął narzekać, że do dokładnej północy w pokoju brakuje jakichś dziesięciu stopni. Asystentka wrzeszczała na mnie coś o „precyzyjnych instrukcjach”, wrzucając dla podkreślenia tu i ówdzie śliczny pięcioliterowy wyraz.

— Powiedziałaś jej, że na cztery dni przed rozdaniem Oscarów nie ma pokoju z oknami wychodzącymi na którąkolwiek stronę świata?

— Nie. Wspomniałam, że podobno Best Western na South Sepulveda jest jedynym hotelem w Kalifornii wybudowanym na osi północ/południe. I to była nasza ostatnia rozmowa.

— Best Western, świetne! — Robert usiłował powstrzymać śmiech. — Zaproponowanie tego hotelu ma skuteczność środka uspokajającego.

— A tak poważnie, to nim nadszedł piątek, mówiłam najgorsze rzeczy, jakby to było dla mnie coś całkiem naturalnego — oznajmiłam, kręcąc głową. — Jakbym zmieniła się w miniMarlene czy kogoś takiego.

— Albo zrobisz, co ci każą, albo zostaniesz ochrzczona za niekompetencję — oświadczył Robert z powagą. — Ważne jest, żeby wiedzieć, co się robi, i pamiętać, że tu obowiązują inne zasady niż w normalnym świecie.

Bardzo chciałam powiedzieć Robertowi, że być może spotkałam Hanratty'ego, ale się wstydziłam. Pomyślałby, że jestem kompletną idiotką, skoro plotę o sprawach firmy komuś obcemu.

Zauważył moją zmartwioną minę.

— Słuchaj, chyba wiesz, jak to było z Nikołajem? — spy—

tal. Przewróciłam oczami. Nawet ośmioletni Nikołaj Ti—borescu, *gwiazdaProulaka*, rumuńskiego obrazu zgłoszonego w kategorii najlepszego filmu zagranicznego, nie oparł się epidemii złego zachowania.

Przyleciał z matką w czwartek, żadne nie mówiło po angielsku. Kazaliśmy przetłumaczyć harmonogram ich zajęć na rumuński i ubraliśmy ich za darmo u Valentina, bo menedżer Nikołaja poinformował nas, że nawet w najlepszych sklepach miast Siedmiogrodu nie ma nic godnego oscarowej fety. Z początku Nikołaj był podekscytowany tym, że znalazł się w Kalifornii, i cieszył się, że może pływać w hotelowym basenie... przynajmniej wydawało się, że temu właśnie daje wyraz podczas naszych rozmów, będących kombinacją półsłówek i gestów. Byłam pełna nadziei, że okaże się chłopczykiem, który pokaże nam Prawdziwe Znaczenie Oscara.

— Taa, ja też myślałam, że będzie inny — powiedział Robert. — Tymczasem Nikołaj przystosował się zupełnie jak jeden z tych cholernych darwinowskich żółwi. Powiniennem był nakręcić z tego dokument.

Robert miał rację. Bo mały Nikołaj ledwie się nauczył wciskać właściwy guzik w windzie, żeby trafić na swoje piętro, to już się zorientował, że jeśli nie pozna języka, nie będzie w stanie zdobyć tego wszystkiego, co widzi dookoła. Bardzo szybko opanował garść kluczowych słów, pomocnych w jego dążeniach, i niczym doświadczony uczestnik oscarowego współzawodnictwa zaczął kolekcjonować różne darmowe artykuły i upominki od firm.

Kiedy widziałam go ostatni raz, szło za nim dwóch obładowanych pakunkami boyów hotelowych, którzy najwyraźniej wyglądali na zaskoczonych, kiedy chłopiec

strzelił palcami i zawołał: „Być ostrożnie! To należeć do Nikolaėj!" Opowiedziałam tę historyjkę Robertowi.

— Widać, że mały świetnie opanował hollywoodzką angielszczyznę — stwierdził. — Zadzwońił do mnie potem, tego samego popołudnia, że muszę mu dać innego kierowcę, a jeszcze później, żeby powiedzieć, że chcą z matką większego pokoju.

— I co zrobiłeś?

— Próbowałem mu wyjaśnić, że musi zatrzymać kierowcę i pokój, ale on zaczął na mnie wrzeszczeć. W końcu kazałem mu dać do telefonu matkę, a jej powiedziałem, że jeśli syn dalej będzie się w ten sposób zachowywał, to znajdzie się w najbliższym samolocie do ojczystego kraju.

— Zrozumiała cię?

— „Rumunia" i „zaraz" brzmiały wystarczająco głośno i wyraźnie. Więcej się nie naprzykrzali.

Rozmawialiśmy z Robertem przez większą część lotu, przeżywając na nowo różne niesprawiedliwości oraz małosłowne żądania i wymagania, z którymi się spotykaliśmy przez ostatnie sześć dni. Tyranizowanie. Napraszanie się. Niezdolność zrozumienia najprostszej prośby. Po kilku godzinach zrzuciliśmy wreszcie z siebie cały ciężar. Postanowiłam, że, podobnie jak Robert, wypracuję sobie taką metodę, żeby wszystko po mnie służywało, po czym zasnęłam. Kiedy samolot wylądował na lotnisku JFK, obudziłam się i z zażenowaniem stwierdziłam, że moja głowa spoczywa na ramieniu Roberta.

— Bardzo cię przepraszam — powiedziałam, rumieniąc się.

— Mydło cię rozgrzesza — oświadczył.

Wysiedliśmy z samolotu i każde poszło w swoją stronę: ja do biura, a on do schroniska dla psów w Westchester.

Dwa tygodnie po tym, jak ostatni z nas wrócili z Los Angeles, rozpoczęło się przygotowywanie premiery *Grabarza*, filmu zapowiadanego jako „najczarniejsza z komedii”. Obraz ten wyłonił się z płątaniny wzajemnych zobowiązań łączących Harry'ego Spindlera, aktora telewizyjnego, który zajął się reżyserowaniem, jego kolegę z pokoju z czasów studenckich, który został scenarzystą, oraz całą grupę aktorów drugoplanowych ze stajni Glorious. Niewielką, choć kluczową rolę zagrała Juliet Bartlett, aktorka o jeden tylko blond włos odległa od pełnego gwiazdorstwa. Juliet zakończyła już zdjęcia do kilku filmów produkcji Glorious, które jeszcze nie weszły na ekrany, ale wieści o wyjątkowości jej kreacji poprzedzały premiery. Ten szum wokół jej ról, w połączeniu z oszałamiającą urodą oraz romantycznym związkiem z pewnym aktorem kategorii A, wyniósł ją na szczyty sławy zwykle zarezerwowane dla tych, którzy mieli na swoim koncie co najmniej jedną nominację czy jeden poważny skandal.

Cały nasz dział oglądał wspólnie *Grabarza* w sali projekcyjnej firmy, z wyjątkiem Dagney, która dyżurowała przy telefonach Allegry, bo a nuż zadzwoni Oprah, oraz Roberta, który pojechał do New Jersey, gdzie zawiódł go gorący ślad jakiegoś husky, rzekomego sobowtóra nie—

odżałowanego Gretzky'ego. Właściciel psa przysłał jego zdjęcia wykonane pod różnymi kątami i rzeczywiście wyglądał on jak Ten Jedyny, jeśli nie Ten Wspaniały.

Projekcje odbywały się na ogół w czwartki i Gloria często dołączała do nas, po tym jak już dostarczyła pieczony mostek; wszyscy starali się usiąść blisko niej, bo w swojej ogromnej torbie lekarskiej od Louisa Vuittona zawsze przynosiła pudełka rodzyneków w czekoladzie. Nasza sala projekcyjna była o wiele lepsza od zwykłej sali kinowej — fotele były duże, obite pluszem, i z każdego doskonale było widać cały ekran. Między rzędami było dość miejsca, żeby bez przeszkód wyciągnąć nogi na całą długość. Elegancja otoczenia sprawiała, że dobry film mógł wydać się świetny, a gorszy stać się znośny do oglądania. Jednak po dwudziestu minutach *Grabarza* doszłam do wniosku, że jest to chyba najgorszy film, jaki Glorious, czy jakakolwiek inna wytwórnia, wyprodukowała. Po projekcji odciągnęłam na bok Clarka i spytałam, jak mogliśmy tak szybko przejść od *Cudzoziemskiego pilota* do tego dziadostwa.

— Phil i Tony mają mnóstwo zobowiązań i uprzejmości do odwzajemnienia — wyjaśniał Clark. — Obiecują coś komuś, ktoś obiecuje coś im. Nawet między sobą zawierają jakieś transakcje. Co jakiś czas podliczają, kto komu i co jest winien, i włączają to wszystko do jednego filmu. Film wchodzi na ekrany, potem schodzi i na jakiś czas rachunki są wyrównane.

— To chyba lepsze niż rozkładanie tego na ileś filmów i rujnowanie w ten sposób wszystkich.

— Jestem z ciebie dumny, Pasikoniku.

W tym przypadku zobowiązania cuchnęły na odległość, tak że łatwo je było prześledzić. Harry Spindler był

członkiem obsady *Kumpli*, szlagierowego sitcomu, którego aktorzy byli równie znani ze swoich fryzur jak z umiejętności twardych finansowych negocjacji. Podczas gdy cała pozostała piątka już pokazała się na dużym ekranie, przyciągając do kas swoich rozentuzjasmowanych fanów, Harry był bardziej wybredny od przyjaciół. Pozostał oryginalny w swoich ambicjach — tak naprawdę chciał być reżyserem.

Phil podpisał z Harrym kontrakt na kilka filmów, przy czym jeden z nich miał być przez niego reżyserowany. Zgodził się też, aby Harry wyreżyserował film na podstawie scenariusza swojego kolegi, któremu kiedyś to obiecał. Dla Phila i Tony'ego *Grabarz* był czymś, co należy szybko zrobić i jeszcze szybciej o tym zapomnieć, tak żeby kasowy Harry mógł wziąć udział w innych przedsięwzięciach Glorious... przed, a nie za kamerą.

Natomiast Juliet Bartlett zgodziła się pojawić w *Grabarzu* dlatego, że w zamian obsadzono ją w rolach, na których naprawdę jej zależało — mogła zagrać różne ważne postaci literackie, takie jak Emma Bovary czy Dorothea Brooke. Były to role, które pozwalały jej w znaczący sposób wzbogacić repertuar. Rush & Molloy z „Daily News” napisali, jakoby Juliet zwierzyła się swojej fryzjerce, że Phil „totalnie wmanewrował ją w zrobienie tego kompletnie głównianego filmu”.

— Więc Phil i Tony wiedzą, że film jest do kitu? I mimo to go puszczają?

— Publiczność nie jest częścią łańcucha wzajemnych zobowiązań i uprzejmości — powiedział Clark z uśmiechem.

Tak jak krytycy. Nie będą mieli sposobności obejrzenia go przed piątkową premierą, co dawało nam pewność, że

pierwsze recenzje ukaza się w sobotę, kiedy ludzie czytają najmniej prasy. Zatem najważniejszy pierwszy weekend przyniesie zyski.

Następnego tygodnia, w premierowy wieczór, stałam przed budynkiem, udzielając wsparcia ekipie z telewizji E!, czyli pilnując, żeby przy kręceniu specjalnego programu poświęconego *Grabarzowi* każda obecna znakomitość znalazła się w oku kamery. Program miało wypełnić entuzjastyczne bajdurzenie gwiazd o Harrym i o tym, jak nie mogą się doczekać obejrzenia jego filmu, przeplatane fragmentami wybranymi bardzo starannie przez samego Phila. Każdemu aktorowi wyluszczyłam, w czym rzecz. Każdy miał złożyć Harry'emu życzenia dalszej pomyślności, a potem powiedzieć kilka słów o swoich bieżących przedsięwzięciach. Wszyscy chętnie wyrazili zgodę, dostarczając w ten sposób temu kanałowi nie tylko materiału dźwiękowego, ale również całych mil nagranej taśmy do wykorzystania w przyszłych programach. Nagrana przez E! taśma będzie cięta, sklejana, montowana i przez lata wykorzystywana w takich programach jak *It's Good to Be...* i *Fashion Police*. Tyle osób odpowiedziało na zaproszenie i frekwencja była tak wysoka, że musiałam bardzo się starać, żeby nadążyć za pojawiającymi się stale kolejnymi gwiazdami i gwiazdorami.

— Dobry wieczór pani — powiedziałam, kiedy do wejścia zbliżyła się matka Harry'ego. Była niemal tak samo rozpoznawana jak jej syn, ponieważ często towarzyszyła mu podczas wywiadów.

— Potrzebuję siedmiu dodatkowych miejsc, wszystkich obok siebie — oświadczyła. — Mój syn, reżyser... — prze—

rwała dla odpowiedniego efektu... — powiedział, że mogę przyprować tylu gości, ilu zechcę.

Zapewniając panią Spindler, że to żaden problem, zachęcałam ją, żeby weszła do środka i wzięła udział w przyjęciu poprzedzającym projekcję. Nie widziała jeszcze filmu i myślałam, że należy jej się odrobina przyjemności, zanim zdarzy się to, co nieuniknione. Wykorzystawszy jej polecenie jako pretekst, postanowiłam sprawdzić, co dzieje się wewnątrz.

Allegra zaplanowała imprezę jako premierę postawioną na głowie — przyjęcie bowiem miało się odbyć przed projekcją. Byliśmy w Chelsea, w starym kinie, do którego przylegała sala balowa, w tej chwili bardzo szybko wypełniająca się aktorami grającymi w filmie, ich gośćmi oraz dziesiątkami znanych osobistości, włącznie z koleżkami Harry'ego z obsady telewizyjnego sitcomu. Nie zaproszono absolutnie nikogo z prasy... jej przedstawiciele mogli dopadać gości jedynie przed budynkiem. Była tam Gloria ze swoimi psiapsiółkami od partyjek madżonga. Tony towarzyszył Délica—C, pięknej piosenkarce, solistce nowej rhytmdbluesowej grupy Love Child Bride, która miała na sobie coś, co było niemal wystarczająco długie, żeby zasłużyć na miano sukienki, a także buty powyżej kolan, na piętnastocentymetrowych obcasach, które pozwalały jej nad nim górować. Firma Bacardi wymyśliła na tę okazję specjalny rumowy koktajl i Phil wznosił nim nieustannie toasty... „Wzniescie kieliszki wysoko, za Harry'ego!” ...najwyraźniej w nadziei, że jeśli ludzie się wstawią, to łatwiej im będzie przełknąć film. Trunek o wdzięcznej nazwie „pograbek” nie był niczym innym jak koktajlem Long Island Iced Tea, wzmocnionym podwójną porcją rumu, zmąconym dodatkiem atramentowego barwnika do żywności. Wzięłam szklanę z tacy kelnera, pociągnę—

łam kilka łyków i po chwili zaczęłam się odrobinę kołysać, wobec czego odstawiłam ją na krawędź baru, zachowując sobie jedynie mały plastikowy grobowiec jako pamiątkę dla Abby. W toalecie, do której weszłam, żeby poprawić szminkę, zobaczyłam, że język mam poczerwieniały od koktajlu.

Dwie minuty po tym, jak zaczęłam przestawiać kartoniki z napisem ZAREZERWOWANE, żeby odpowiednio ulokować grupę pani Spindler, u mojego boku wyrosła młodsza siostra Harry'ego i oschle mnie poinformowała, że za pięć minut jej matka przeprowadzi tu oględziny. Do początku projekcji była jeszcze przeszło godzina, ale kiedy o tym wspomniałam, zgromiła mnie, a do sali kinowej wpadła jak burza pani Spindler.

— To jest film mojego syna! Co za kretyńców zatrudnia tu Phil Waxman? — ryczała niczym znana z potężnego głosu Ethel Merman.

Sama chciałam to wiedzieć, pomyślałam sobie.

Sunęła w moją stronę, zrywając w biegu i rzucając na podłogę kartoniki z napisem ZAREZERWOWANE. Obserwowałam ją z rosnącym niepokojem. Była zaledwie dwa rzędy ode mnie, kiedy jak spod ziemi wyrósł Clark i zręcznie ją zatrzymał.

— Proszę pani, na zewnątrz są ludzie z CNN i marzą o tym, żeby porozmawiać o Harrym.

Twarz pani Spindler natychmiast się rozpogodziła. Odwróciła się i przywołała córkę.

— Makijaż — rzuciła z jednoczesnym władczyim gestem.

— Czy ze mną też chcieliby pogadać? — spytała siostra reżysera z nieśmiałym uśmiechem.

— Na pewno — odparł Clark i puścił do mnie oko, wyprowadzając obie panie z sali.

Jakieś pół godziny później, akurat wtedy, kiedy ekipa E! już miała zakończyć kręcenie, przy krawężniku zatrzymała się limuzyna, wywołując ryk radości stojących wzdłuż chodnika paparazzich. Kiedy otworzyły się drzwi, z auta wynurzyła się Juliet Bartlett, ubrana w obcisłą, wyszywaną cekinami sukienkę, która opinała jej mierzące metr osiemdziesiąt centymetrów ciało.

— A oto — oświadczył Robert, który pojawił się niespodziewanie tuż obok mnie na chodniku — kobieta z doskonałym wyczuciem czasu.

Nawet z daleka można było dostrzec, dlaczego Juliet robi takie wrażenie w świecie filmu i mody. Pomachała fotografom, a potem zaczęła dla nich pozować.

— Wspaniały pan Armani — wykrzykiwała w odpowiedzi na pytania, kto ją ubiera, uśmiechała się szelmowsko i nie reagowała, kiedy wrzaskliwie wypytywali ją o Zaca, aktora, z którym, jak wieść głosiła, właśnie się związała.

Kiedy zbliżyła się do miejsca, gdzie zgromadzona była ekipa E!, spytałam, czy zechce wystąpić przed kamerą dla wydania specjalnego. Uśmiechnęła się szeroko, jakby tylko o tym marzyła, potem przez dłuższą chwilę mówiła, jakie to emocjonujące móc wziąć udział w reżyserskim debiucie Harry'ego. Grana przez nią postać kobiety tak urzekającej, że podczas pogrzebu mężczyźni ukradkiem podsuwają jej swoje numery telefonów, była jednym z niewielu jaśniejszych punktów filmu, ale teraz Juliet nie szczędziła pochwał występującym z nią aktorom, każdego wymieniając z imienia i nazwiska. Jeśliby ją przekupiono, czy jeśliby to Phil wmanewrował ją w zagranie w *Grabarzu*, nikt, kto ją dziś oglądał, nie odgadłby tego. Przedstawienie, jakie zgotowała dla E!, zasługiwało na Oscara. Podczas kiedy szła w górę po schodach i po raz

dziesiąty odwracała się, żeby pozować fotografom, którzy zebrali, „Jeszcze jedno, Juliet”, ja w tłumie szukałam wzrokiem kogoś, kto mógłby być George'em Hanrattym. Co prawda nadal nie mogłam się zebrać na odwagę, by opowiedzieć komuś o mojej rozmowie z nieznanym w Los Angeles, natomiast zdecydowanie wzmogłam swoją czujność. Dzisiejszego wieczoru w gęstym tłumie nie miałam jednak możliwości dobrze się rozejrzeć, a poza tym nie byłam nawet pewna, kogo tak naprawdę szukam.

— Niech zgadnę, Karen. — Clark dotknął mojego łokcia, kiedy przestałam na chwilę wyteżać wzrok. — Tropisz Hanratty'ego. — Nie wiedziałam, gdzie się podziać ze wstydu. — Wierz mi, prędzej zobaczysz Dagney w Wal—Marcie.

— Ciągle powtarzasz, żebym się nie martwiła, ale przy moim pechu on pojawi się właśnie wtedy, kiedy to ja będę przy wejściu, i nawet nie będę wiedziała, że to on.

— Karen, naprawdę nie masz się czym przejmować. Nikt z nas by go nie rozpoznał, chyba że podszedłby na tyle blisko, żeby można poczuć jego oddech... a dzisiejszego wieczoru nawet to nie byłoby żadnym dowodem. Wejdzmy do środka i zobaczmy, kto zaśnie podczas projekcji, zgodnie zresztą z życzeniem Phila.

Przyjęcie zdążyło się już na dobre rozkręcić. Musiałam przyznać, że posunięcie Allegry było genialne: nim wieczór dobiegnie końca, zarówno ekipy E!, jak i całej prasy już tu nie będzie, odejdą z obrazem plejady podekscytowanych gwiazd udających się na seans filmowy. Żaden potencjalny, płacący za bilet widz nie dowie się, że podczas oglądania *Grabarza* człowiek zaczyna marzyć, żeby ktoś skrócił jego męki.

Poniedziałkowe gazety pokazały, że amerykańska publiczność współdziałała w intrydze uknutej przez Glorious — *Grabarz* znalazł się na drugim miejscu, jeśli chodzi o rekord oglądalności, zarabiając nawet odrobinę więcej, niż kosztowała jego produkcja. Teraz mógł już odejść w błogosławioną niepamięć, pozwalając wszystkim zaangażowanym zbierać owoce swojego udziału w tym przedsięwzięciu. Dla każdego z nich oznaczało to coś innego.

Harry mógł wrócić do pracy przy sitcomie i spokojnie czekać, aż będzie mógł ściągnąć kolejny haracz od Phila albo Tony'ego podczas następnej przerwy w kręceniu. Kumpel scenarzysty mógł liczyć na to, że Harry już nigdy więcej się z nim nie skontaktuje. Juliet Bartlett natomiast, po miłosiernej śmierci *Grabarza*, wiedziała, że może teraz skoncentrować się na wielu możliwościach, jakie się przed nią otwierają.

— Gdyby ją znali, zauważyliby, że nie jest taka jak tu — natrzęsała się Dagney, przeglądając stos magazynów mody, z których okładek promiennie uśmiechała się Juliet. Dagney chodziła do tej samej szkoły z internatem co Juliet i najwyraźniej nosiła zadrę w sercu z powodu odmienności ich karier. — W drugiej klasie była Norą w *Domu lalki* i sypnęła się niezliczoną ilość razy. Było to najgorsze przedstawienie w historii szkoły. A w tej szkole — dodała — ludzie umieli odróżnić dobrą Norę od złej. Naturalnie, kiedy twoja rodzina daje większość pieniędzy na budowę nowego teatru, musisz dostawać główne role.

Na nieszczęście dla Dagney, gdyby sprawy potoczyły się zgodnie z wielkimi planami Phila, już wkrótce Juliet byłaby najbardziej poszukiwaną aktorką w tym biznesie. Pomyślałam, że chyba na to zasłużyła, bo przecież nie była taka okropna jak większość innych gwiazdek, z którymi

miałam do czynienia podczas mojej pracy w Glorious... tyle że tymi spostrzeżeniami nie mogłam w żaden sposób podzielić się z Dag. Zgoda, międzynarodowa sława nieczęsto spływa na czyjaś partnerkę ze szkolnego laboratorium chemicznego, jednak moja koleżanka zachowywała się tak, jakbyśmy mieli do czynienia z przypadkowym pechem, który wywindował Juliet w sferę gwiazdorstwa, gdy tymczasem ona, kompletnie anonimowa, tyrała katorżniczo w służbie mediom. Żądanie Phila, żeby Allegra traktowała Juliet priorytetowo, podsycało jedynie jej zawzięcie. Obie spędzałyśmy mnóstwo czasu na potwierdzaniu rezerwacji lotów, zamawianiu pokoi w pięciogwiazdkowych hotelach, załatwianiu ekspertów od fryzur i makijażu i na wynajmowaniu samochodów, które zawiozą Juliet do przymiarki, na sesje zdjęciowe i wywiady, które to zajęcia wypełniały jej dni, kiedy nie brała udziału w próbach ani nie spotykała się z producentami.

Następnym filmem z Juliet, na liście tych, które miały się wkrótce ukazać, był *Krąg ośmiu*, w którym grała amerykańską pisarkę z lat dwudziestych. Film został nakręcony z zacięciem artystycznym i miał mocną obsadę, dlatego też Allegra uważała, że właśnie tę rolę należy wykorzystać, żeby przedstawić Juliet uznanym krytykom filmowym. Wraz z pozostałymi członkami obsady miała udzielić serii wywiadów, co pozwoliłoby jej wypowiadać się o filmie w ramach grupy, a nie indywidualnie, jako symbol seksu, którym szybko się stawała. Juliet powiedziała, że zrobi wszystko, co w jej mocy, dla tego filmu w szczególności.

Problem pojawił się w środę, kiedy Juliet zadzwoniła do Allegrzy i upierała się, że nie może polecieć do Los Angeles, jak zaplanowano.

— Zawsze zachowywała się jak rozpuszczony bachor — skomentowała Dagney, pisząc e—maila od Allegrы do Phila, w którym wyjaśniała, że zamiast jednego biletu pierwszej klasy dla Juliet, potrzeba będzie siedmiu, żeby przetransportować resztę obsady stamtąd do Nowego Jorku. — Phil się wścieknie, jak to zobaczy — prorokowała radośnie. Potem zadzwoniła do swoich kumpelek, żeby im opowiedzieć, jak to Juliet zgrywa się na primadonnę. Dlatego poczuła się rozczarowana, kiedy kwadrans później przyszedł e—mail od Phila. „Zgadzam się. Dopilnuj, żeby trzymała się kursu podczas wywiadów”.

Nie minęła godzina, a już odebrałam telefon od Elliotta Solnicka.

— Czy to prawda, że Juliet odgrywa primadonnę? I że Phil jest maksymalnie wkurzony? — dopytywał się.

Byłam pewna, że to robota kogoś z kręgu Dagney i Allegra bez trudu się domyśli, że ta informacja ma swoje źródło przy naszym biurku. Ostatnią rzeczą, jaka była mi potrzebna, to oskarżenie o rozpowszechnianie wrednych plotek o Juliet Bartlett, i to na dodatek za pośrednictwem plotkarskiej rubryki z „New York Post”.

— Przykro mi, ale Allegra jest na spotkaniu, więc od—dzwoni do ciebie później.

— Och, daj spokój, Karen — przymilił się Elliott. — Musisz coś wiedzieć. Juliet to priorytet Phila. Allegra jest szefową działu public relations, a ty jesteś jej asystentką.

— Dzięki za precyzyjne określenie mojego położenia we wszechświecie — odparłam. — A w ogóle skąd bierzesz takie pomysły? — spytałam, ale jak przystało na rasowego dziennikarza, Elliot nie zamierzał ujawniać swojego źródła, oświadczył jedynie, że słyszał o tym tu i ówdzie. Lubiłam z nim rozmawiać, niezależnie od okoliczności, co

jedynie utrudniało mi trzymanie się linii firmy. — Muszę już kończyć — powiedziałam z ociąganiem. — Dopilnuję, żeby Allegra się do ciebie odezwała.

— Taa, świetnie. Jeszcze jedno... pozwoliłabyś kiedyś zaprosić się na drinka? Obiecuję, że nie będę próbował wyciągać od ciebie żadnych informacji o Glorious.

Postanowiłam, że od razu powiem mu tak... a później będę się martwić, jak utrzymać całą rzecz w tajemnicy.

Odłożyłam słuchawkę i zaatakowałam Dagney.

— Page Six już się do tego dorwała. Wiem, że nie cierpisz Juliet, ale proszę, nie doprowadzaj do tego, że nas wyleją. Ona nie jest tego warta — stwierdziłam, wiedząc, że nie jest to dobry moment, żeby wyjaśniać, dlaczego Juliet jest o wiele ważniejsza dla Glorious niż my obie razem wzięte. Dagney odwróciła się do mnie plecami i podniosła słuchawkę, by poinformować swoich przyjaciół, że niezaspokojone pragnienie władzy Juliet zostanie odnotowane w gazetach. Nic jej nie mogło powstrzymać, ale ja byłam zaprzętnięta innymi sprawami: Elliott Sł—nick chciał się ze mną spotkać.

Nazajutrz wróciłam z projekcji *Kręgu* dla mediów i stwierdziłam, że Dagney nie ma, a telefon dzwoni nieustająco. Nasze biurko wyglądało jak po włamaniu, a Allegra była „u Phila”, zupełnie nieświadoma tego chaosu. Ustawiając foteliki, układając w stosy czasopisma i zmuszając faks, żeby znów zaczął działać, na podłodze, pod należąca do Dagney częścią biurka, zauważyłam świeży egzemplarz „People”. Zerknęłam na okładkę i powód tej sytuacji stał się dla mnie natychmiast oczywisty. Juliet i „najseksowniejszy mężczyzna na świecie” patrzyli sobie w oczy —

marzonym wzrokiem, a stosowny nagłówek brzmiał:
ZAC: ZNALAZŁEM SWOJEGO ANIOŁA.

Resztę dnia po powrocie Dagney spędziła na wydzwanianiu do starych szkolnych kumpelek i porównywaniu zapisków dotyczących rzekomo kryminalnych wykroczeń nastoletniej Juliet, które najwyraźniej obejmowały odbicie komuś chłopaka, nieprzestrzeżenie godziny wieczornych powrotów do internatu, żucie gumy na lekcji łaciny i — najbardziej niegodziwe ze wszystkiego — uzyskanie tytułu „Najpiękniejszej”, „Najpopularniejszej” i „Przyszłej Gwiazdy” w szkolnym roczniku. Słuchając Dagney, można było dojść do wniosku, że większość szkolnych lat Juliet spędziła na schlebieniu nauczycielom i zwalnianiu się z lekcji na próby szkolnego teatru. Zaproponowałam, że przejmę pewną część związanej z Juliet pracy, ale stanowczo odmówiła.

Wiedząc, że Allegra zechce, żeby Phil zobaczył swoją nową ulubienicę na okładce „People”, postanowiłam zanieść mu egzemplarz. Przed gabinetami Waxmanów zobaczyłam Matta Vincenta, szefa marketingu, siedzącego na ławeczce i czytającego „Hollywood Reporter”. Ku wielkiemu niezadowoleniu Allegry to właśnie jego fachowcy uznawali za tę siłę, która stała za triumfem *Cudzoziemskiego pilota*. Matta rzadko się ostatnio widywało, jako że zaraz po powrocie z Los Angeles wymusił przeniesienie swojego działu gdzie indziej, z powodu — jak to ujmował — „niszczącej i destrukcyjnej atmosfery” kwatery głównej Glorious. Był prawdopodobnie jedynym pracownikiem szczebla kierowniczego w Glorious, który mógł sobie na to pozwolić bez narażenia się na wściekłą reakcję Phila czy Tony'ego w stylu „weź się odwal”. Teraz Matt i jego ludzie mieli biura w budynku stojącym kilka

przecznic dalej i starali się jak najmniej stamtąd wychylać. Od czasu oscarowej gali widziałam go zaledwie kilkakrotnie, a jego zachowanie w Los Angeles przypisywałam napiętem do ostateczności nerwom... odzyskał bowiem swój miły i uprzejmy sposób bycia.

— Cześć, Matt. Jak tam sprawy?

— Lepiej, niż można by oczekiwać — odparł z uśmiechem. — Przyszedłem na spotkanie z Philem i Tonym, i z pewną nową, znakomitą firmą informatyczną, żeby uruchomić wreszcie stronę internetową Glorious. — Dodał, że będzie gotowa w połowie maja, czyli za niecały miesiąc.

— To nam bardzo ułatwi życie — przyznałam. — Fani nieustannie wydzwanniają, pytają o daty premier i różne pogłoski. Wszystkie takie telefony centrala kieruje do nas.

— No cóż, teraz będzie ich mogła odesłać do www kropka Glorious Pictures kropka com — powiedział, wciskając wymyślony „Enter”.

— Dość długo się ociągali... chyba jesteśmy ostatnią wytwórnią bez swojej strony.

— Rzeczywiście — zgodził się. — Chociaż przez ostatnie dwa lata usilnie starałem się ich do tego namówić. Sama na pewno spędzasz mnóstwo czasu w sieci — dodał. — Jestem przekonany, że twoja szefowa chce dokładnie wiedzieć, co się tam dzieje.

— Allegra myśli, że jestem w stanie prześledzić całutki Internet i odnaleźć w nim najmniejszą nawet wzmiankę o Glorious — odparłam. — Surfuję na tyle dużo, żeby mogła sądzić, że wirtualna przestrzeń znajduje się pod naszą kontrolą.

— I bardzo dobrze — zauważył. — Allegra może się nie orientować, jakie to rozległe medium.

— To prawda — przyznałam. — Mimo to zdumiewa mnie, jak szybko w sieci rozprzestrzeniają się pogłoski. Dowiaduję się z niej więcej o Glorious niż z biura. — Roześmiałam się.

Matt zastanawiał się chwilę.

— Kiedy pojawi się nasza strona, na początek potrzeba będzie jakiejś tony materiałów. Cheryl, Kenny i ja nie mamy dość czasu, żeby je zebrać. — Cheryl i Kenny byli jego zastępcami. We trójkę zawiadywali superskuteczną machiną marketingową Glorious. — Myślisz, że mogłabyś nam pomóc?

— Bardzo chętnie bym się tym zajęła.

Powiedział, że przyśle mi e—maila na temat tego, co może mu być potrzebne.

— Na ogół krótkie opisy filmów i podpisy pod fotkami, ale może też coś więcej, w zależności od tego, jak nam pójdzie — dodał.

Staralam się nie pokazywać po sobie, jak bardzo jestem podekscytowana tą perspektywą. Matt miał jeszcze coś powiedzieć, kiedy w drzwiach gabinetu Phila pokazała się Sabrina i przywołała go gestem. Podałam jej czasopiśmo.

— To powinno trafić bezpośrednio do Phila — powiedziałam, kiedy cisnęła je na stos notatek. Kiedy odchodziłam, podniosła kciuk z uznaniem.

Wróciwszy do swojego biurka, wysłałam Abby e—maila, żeby ją poinformować, że nie tylko jestem umówiona na drinka z autorem rubryki towarzyskiej w „New York Post”, ale że będę też przygotowywać materiały na otwarcie strony internetowej Glorious. Nie mogłam się doczekać, kiedy powiem o tym swojej kuzynce. Nie minęły nawet trzy miesiące z tego jednego roku, jaki sobie wy—

znaczyłam, a sprawy zaczynały przybierać zdecydowanie pozytywny obrót. Przygotowanie tych materiałów na pewno pochłonie mnóstwo czasu i trzeba będzie nie lada żonglerki, by pogodzić to z resztą pracy, ale intuicja podpowiadała mi, że zdobycie doświadczenia na jakimś innym polu działalności Glorious to dobry pomysł.

Dagney nie powinna wiedzieć o żadnej z tych dwóch rzeczy. Gdyby bowiem wiedziała, że planuję spotkanie z Elliottem, każdy kolejny przeciek przypisywałaby mnie, sama mając pełną swobodę rozpuszczania plotek. A gdyby dowiedziała się, że pracuję dla Matta, poczułaby się jedynie bardziej zagrożona. Sukces Juliet Bartlett dosłownie ją zżerał, jej zachowanie stało się kompletnie nieprzewidywalne.

Kiedy nazajutrz, podczas swojej udawanej wyprawy na papierosa, na zewnątrz wpadłam na Roberta, obgadaliśmy tę sprawę.

— Spędza całe godziny przy telefonie, karmiąc swoje przyjaciółki informacjami na temat Juliet — powiedziałam. — Zupełnie jakby ważne było tylko to, żeby każda dostała swoją działkę. Najnormalniej w świecie uzależniła się od plotek.

— Cóż, szczerze mówiąc, zaczyna to być widoczne — zauważył Robert.

Wiedziałam, co ma na myśli. Modna i zadbana w każdym calu, kiedy ją poznałam, od czasu powrotu z Kalifornii Dagney wyglądała jak na zdjęciu z podpisem „przedtem” w jakimś czasopiśmie na temat urody. I to długo przedtem. Twarz miała wymiętą, oczy zmatowiałe, skórę tłustą i pryszczatą. Stroje od znanych projektantów zastąpiła znoszonymi dżinsami, rozciągniętymi swetrami i zdartą parą mokasynów L. L. Beana. Raptownie ~~przy~~—

gnowała z manicure, pedicure, zabiegów kosmetycznych i pielęgnacji włosów, co kiedyś uważała w swoim życiu za sprawy kluczowe; teraz miała poobgryzane, zarosnięte skórkami paznokcie, a włosy, wcześniej tak piękne, były przesuszone i bezbarwne. Zupełnie jakby Juliet, stając się gwiazdą, wysysała z Dagney wszelką ochotę do życia... a przynajmniej do życia w sposób piękny.

— Musimy być dla niej wyrozumiali — oświadczył Robert. — Jak byś ty się czuła, gdyby twoja koleżanka ze szkolnej ławy obrastała sławą, podczas gdy twoim zadaniem byłoby pilnowanie, żeby jej szofer nie spóźnił się po nią na Heathrow?

Zgodziłam się z jego punktem widzenia i kiedy jechaliśmy windą na górę, postanowiłam chronić Dagney przed aktualnymi informacjami dotyczącymi Juliet, takimi jak artykuł w najnowszym „US Weekly”, podający szczegóły opłakanej sytuacji zaistniałej w związku ze zbyt małą szafą. Tylu projektantów zasypało ją swoimi strojami, że musiała przemienić własną sypialnię w garderobę, a sama, szukając większego mieszkania, tymczasem spała na kanapie. Zręcznie wycięłam nożykiem Exacto kartki z czasopisma, w nadziei, że oszczędzę Dagney dodatkowych cierpień.

Jednak pod koniec dnia i tak dowiedziała się o tym z jakiegoś innego źródła i była święcie oburzona.

— Nie uważasz, że kiedy tylu ludzi na świecie cierpi głód, ona mogłaby choć raz pomyśleć o kimś innym, a nie tylko o sobie? — grzmiała. Nie bardzo widziałam związek między jednym a drugim, jednak Dagney, która dysponowała ograniczoną ilością gotówki, a mimo to w czasach, kiedy dbała o swój wygląd, rzadko wkładała dwa razy to samo, najwyraźniej uważała, że przyjmowanie

przez Juliet darmowych strojów hamuje postęp cywilizacyjny. Kiedy więc sięgnęła po słuchawkę, żeby perorować na temat tej ostatniej informacji, postanowiłam nie zwracać na nią uwagi i zająć się moim pierwszym przeznaczonym do sieci szkicem omówienia *Kręgu ośmiu*.

Kiedy pół godziny później zadzwonił Elliott i starał się potwierdzić inną, niepochlebłą plotkę dotyczącą Juliet, bardzo mnie to wzburzyło i zaniepokoiło. Poprzedniego wieczoru kuzynka przywołała mnie do porządku, krytykując moją zgodę na wyjście z nim, i chociaż się broniłam — przysięgając, że za nic w świecie nie przekażę mu żadnej informacji, której przekazać nie powinnam, i utrzymując, że w samym spotkaniu nie ma nic niewłaściwego itp. — to jednak przez cały czas nurtowała mnie myśl, że może ona ma rację. Jeszcze się nie spotkaliśmy, a już może wpakować mnie w poważne kłopoty, jeśli nie da sobie spokoju z Juliet.

Powiedziałam mu zwięźle, żeby poczekał, to połączę go z **Allegra**.

— Nie przejmuj się, Karen — przerwał mi — dam jej wyraźnie do zrozumienia, że nie usłyszałem tego od ciebie, obiecuję.

— Dzięki — odparłam, nie odczuwając zbyt wielkiej ulgi. Nadal nie byłam pewna, czy nasza szefowa wie, w którym miejscu kończy się Dagney, a zaczynam ja.

Jak się okazało, wiedziała. Natychmiast po telefonie Elliotta Allegra bipnięciem przywołała Dagney do swojego gabinetu. Niedawno kazała zainstalować na naszych biurkach elektroniczne komunikatory, połączone z odpowiednim urządzeniem przy jej biurku. Wprowadziłam tam kilka jej ulubionych komend, włącznie z „PÓŹNIEJ”, „CZEKAĆ albo oddzwonić”, „ZNALEŹĆ Phila”,

„POŁĄCZYĆ Z Tonym”, „DOTRZEĆ DO Oprah”, „NIE!!!” oraz tę, która właśnie się wyświetliła: „DO MNIE!” Urządzenie, które dawało się obsłużyć jednym palcem oraz dostosowywać do indywidualnych potrzeb użytkownika, wreszcie trafiło w gust Allegry. Korzystała z niego namiętnie, ale przynajmniej wiedziałyśmy, czego od nas chce.

Dagney weszła do jej gabinetu i zamknęła za sobą drzwi. Podeszłam bliżej i próbowałam podsłuchać, ale oczywiście słyszalny był jedynie głos Dagney.

— Ale ja tylko... Nie wydawało mi się to w ogóle ważne, to znaczy, myślałam, że to zabawne... Naprawdę zależy mi na tej pracy. — I pociągnięcie nosem.

Odsunęłam się od drzwi, żeby Dagney nie mogła mnie podejrzewać o podsłuchiwanie. Wyszła od Allegry z zaczerwienionymi oczyma.

— Co się tak gapisz? — warknęła. Potem złapała moje papierosy, które zgmiotły się trochę, leżąc na samym dnie torebki, i zde gustowana pokręciła głową. — Dlaczego wszystkie są takie powyginane? — rzuciła z pretensją w głosie. Ale i tak je wzięła, a po powrocie uprzejmie wręczyła mi zmięte, puste opakowanie.

Koniec tygodnia wyzwolił nieco Dagney od wewnętrznego przymusu nieustannej inwigilacji Juliet, bo pojawiło się coś zupełnie nowego. W artykule zatytułowanym *Mamuški za plecami synów* w „Ladies' Home Journal” z ubiegłego miesiąca przytoczono słowa Glorii, która powiedziała, że napawa ją smutkiem to, iż Phil i Tony nie współpracowali ze sobą przy żadnym filmie od początków firmy.

Artykułowi towarzyszyło stare ziarniste zdjęcie bliźniaków w kojcu. Wyglądało na to, że jeden z nich ściska

głowę drugiego imadłem zabawką. Wyłuszczonej cytaty na stronie obok głosił: „Moim największym marzeniem jest zobaczyć synów pracujących razem, ramię w ramię, jak Jack i Bobby”.

Bliźniacy zareagowali potulnie, co było nietypowe, godząc się wspólnie zrobić film na nadchodzące siedemdziesiąte urodziny matki, jednak ten synowski gest nie zbliżył ich ani trochę do podjęcia konkretnej decyzji. Przez całe tygodnie zaczynali każdy dzień awanturami, nie mogąc dojść do porozumienia. Kłócili się. Grozili sobie nawzajem. Trzaskali drzwiami gabinetów i rzucali w siebie różnymi przedmiotami.

Phil chciałby zrobić coś w stylu, który uwielbiał — najlepiej adaptację jakiegoś dzieła literackiego, a w każdym razie film z kostiumami, charakterystycznymi szczegółami, wyściełanymi meblami — podczas gdy Tony, który uległ fascynacji kulturą hiphopową, chciał czegoś z bronią palną, ozdobami w rodzaju łańcuchów i wisiorów i z gwarantującą wejście do platynowej kolekcji ścieżką muzyczną. Spędzał mnóstwo czasu w towarzystwie gwiazdorów rapu oraz afroamerykańskimi aktorami komediowymi i był przekonany, że „flava” na ekranie będzie miała pozytywny wpływ na finansową przyszłość Glorious; na dodatek jego rosnące zainteresowanie paniami o ponętnych poślach mogłoby znaleźć odzwierciedlenie w tego rodzaju filmie. Co kilka dni jakiś dziennikarz dzwonił do naszego biura i pytał o „nie zatytułowane jeszcze przedsięwzięcie Phila i Tony'ego”. Odpowiadaliśmy zwyczajowym „bez komentarza” i zapisywałyśmy rozmowę w rejestrze telefonów do Allegry.

Tymczasem w tym tygodniu, po szczególnie owocnej sesji medytacyjnej, Tony doznał olśnienia, którego rezultatem

tat Phil z entuzjazmem zaakceptował. Zamiast wzajemnego wymuszania na sobie kompromisu mogli połączyć to, co każdy z nich lubił najbardziej, i stworzyć coś zupełnie nowego. W rezultacie, mniej więcej za rok, w kinach pojawi się *AirJane*, hiphopowa wersja *Jane Eyre*.

Oczywiście wymagać ona będzie drobnych zmian fabuły — Lowood byłoby teraz zakładem poprawczym, Rochester byłym gwiazdorem koszykówki, a rodzina Reedów mieszkańcami osiedla w Chicago. Przefaksowałyśmy z Dagny tysiące egzemplarzy oficjalnego oświadczenia dla prasy, w którym między innymi można było przeczytać: „Nasz film będzie dla tej dziewiętnastowiecznej powieści tym, czym *West Side Story* było dla Szekspira”.

Wiadomość ta wywołała szalone reakcje mediów: od pochwał przez niedowierzanie do przepowiedni, że *AirJane* oznaczać będzie początek końca Glorious.

Wysłałam też e-maila do Matta, z sugestią, że informacja dotycząca filmu *AirJane* powinna być udostępniona na stronie internetowej natychmiast, gdy ta zacznie działać, a on zgodził się ze mną i poprosił, żebym rozwinęła ten pomysł. Chciał też dostać ode mnie streszczenia wątków pięciu kolejnych filmów naszej wytwórni, jakie zdążyłam już napisać, i powiedział, żebym pisała dalej, tworząc w ten sposób zapas na najbliższe pół roku.

Zadzwoił Elliott i podziękował mi za faks, który wysłałam wprost do niego.

— Masz ochotę na drinka w najbliższy czwartek? — zapytał.

— Byłoby świetnie — odparłam, wypychając z myśli Helen i postanawiając podzielić się z Dagny limuzynowymi wyprawami po „Timesa”.

Fala zainteresowania mediów *Air Jane* spowodowała taki nawał pracy, że Dagney zapomniała o Juliet Bartlett i postanowiła na powrót stać się częścią siły roboczej Glorious. W poniedziałek miała już zrobione pasemka i wzniosła się znowu na wysoki poziom dbałości o każdy szczegół. Świadomie nie wspomniałam ani słowem o jej niedawnym niechlujstwie, pochwaliłam natomiast nową bluzkę od Versacego i szybko wróciłyśmy do dawnego porządku.

Podczas spaceru wokół kwartału najbliższych ulic poinformowałam Roberta o powrocie Dagney do zdrowych zasad etyki pracy. Ścisłe mówiąc, wyprowadzaliśmy Mo, psa rasy husky, którego po długich korowodach wybrano, żeby udawał Gretzky'ego podczas ruszającej wkrótce telewizyjnej kampanii reklamowej filmu *Zablokować psiaka*. Właściciel Mo, Charlie, facet, który wyglądał jak członek gangu motocyklowego, przyjechał tego ranka z Harrisburga w Pensylwanii, gdzie mieszkał, żeby Tony mógł podjąć ostateczną decyzję. Według Roberta, który spędził trzy tygodnie, jakie minęły od oscarowych uroczystości, na poszukiwaniu zastępcy nieżyjącej psiej gwiazdy, Mo był jedynym psem husky na Wschodnim Wybrzeżu, który ucieleśniał „istotę Gretzky'ego”. Kiedy tylko weszli do gabinetu, wspominał Robert, Mo ustawił się pomię—

dzy Tonym i Charliem i już się stamtąd nie ruszył. „Pasuje!” — oświadczył Tony i było po wszystkim. Cały nasz dział odetchnął z ulgą. „Gretzky” miał zacząć swoją serię promocyjnych spotkań z mediami od występu w programie *Today*.

W tej chwili Charlie konsumował hamburgera w knajpce Pig & Whistle, podczas gdy Robert i ja spędzaliśmy miło czas z jego psem. Gretzky publicznie zawsze pojawia się z trenerem, jednak zdecydowaliśmy, że bezpieczniej będzie, jeżeli z Mo popracujemy tylko my dwoje; zawodowy treser mógłby bowiem mieć dylematy dotyczące etyki w *Glorious*. W zasadzie mnie też powinno to gnębić, jednak zważywszy na wszystko, pociągnięcie wydawało się dość niewinne, przynajmniej tak sobie wmawiałam. Zgłosiłam się na ochotnika, żeby pomóc przy organizacji spotkań promocyjnych filmu, bo byłam ciekawa, jak Robert da sobie radę ze swoim zadaniem. Obserwowanie go w działaniu okazało się najbardziej pouczającym doświadczeniem w całej mojej dotychczasowej karierze w *Glorious*.

W końcu byłam już na tyle pewna siebie, że mogłam zwierzyć się Robertowi ze swojego oscarowego potknięcia.

— Problem w tym, że nie mam pojęcia, czy tamten facet to Hanratty czy nie, ale byłam taka zmęczona i rozdrażniona, że zupełnie nie potrafiłam trzeźwo myśleć. Powiedziałam mu nawet, że odmówiliśmy Tedowi Roddy'emu zgody na przybycie z ochroniarzem i facetem pchającym fotel na kółkach, co naprawdę stawia nas w okropnym świetle — wyznałam.

Robert zastanawiał się przez chwilę.

— To prawda, że nie zachowałam się najmądrzejszej, ale w końcu zakaz dotyczący osób towarzyszących Roddy'emu

nie został wydany ani przez Phila, ani przez Tony'ego. Jedyne co Hanratty mógł zrobić z tą informacją, w najgorszym razie, to podać ją jako przykład bezdusznej postawy personelu Glorious... jak to wykonujemy co do joty każde polecenie, nieważne, czy ma ono sens czy nie. — Delikatnym szarpnięciem smyczy nakłonił Mo do odejścia od drzwi atelier artysty dmuchacza szkła. — To zresztą żadna nowina. Gdy tylko któryś z Waxmanów się odezwie, każdy staje na głowie, żeby wcielić jego słowa w czyn, a dopiero potem jakoś to tuszuje, a najgorsi pod tym względem ludzie pracują w naszym dziale.

— J a k sądzisz, co nimi powoduje?

— Kombinują, żeby zarobić na życie, i nie wydaje mi się, że mogliby kiedykolwiek przestać — powiedział Robert, kręcąc głową. Podeszło dwoje nastolatków i pogłaskali Mo, który podniósł głowę i podstawił im miękkie podgardle.

— Więc co według ciebie się wydarzy... to znaczy, z Hanrattym?

— Nie mam pojęcia. Wszyscy tutaj go lekceważą, chociaż w swoim czasie gość był szanowanym dziennikarzem. Nie wiem, po co mówi ludziom, że pisze biografię, jeśli w ogóle nie zamierza tego robić.

— Wydaje się, że łatwiej byłoby postępować odwrotnie... nie wzbudzać niczych podejrzeń i po prostu pisać.

— Zgadzam się. Musi być coś, czego nie dostrzegamy — powiedział Robert. — Mo, zostaw — rzucił stanowczym głosem, kiedy pies wziął do pyska pustą butelkę po piwie.

Roześmiałam się, bo pies popatrzył z niedowierzaniem, po czym ostrożnie położył butelkę na chodniku.

— Wygląda na to, że nauczono go wypełniać bardziej wyrafinowane polecenia w związku z aportowaniem butelek.

Nim doszliśmy do knajpki, w której Charlie jadł lunch, Mo dreptał już przy nodze Roberta niczym czempion z westminsterskiej wystawy psów. Robert wszedł do środka, a ja czekałam z psem na zewnątrz. Kiedy pokazał się Charlie, Mo przywitał go trzema krótkimi szczęknięciami. Robert wziął ode mnie smycz i pies natychmiast stanął przy jego nodze.

— Jak go nauczyłeś tak chodzić? — spytał Charlie po chwili.

— Wszystkie wyszkolone psy chodzą przy nodze — odparł Robert, a Mo na wszelki wypadek przysunął się do niego jeszcze bliżej.

— Człowieku, oczom nie wierzę. Przecie rwie do przodu jak szalony, kiedy ja go prowadzę.

— A uczyłeś go czegokolwiek? Aportuje albo bawi się piłką, czy coś z tych rzeczy? — spytał Robert.

— Nie, nigdy se nie zwracałem tym głowy. Byłem zadowolony, kiedy nauczył się sikać na dworze.

— J a s n e .

— Ale wiesz, jedną rzecz umie robić — przypomniał sobie Charlie. Zatrzymał się i uklęknął przed Mo. — Miło cię poznać, stary — powiedział. Mo natychmiast zareagował, podając mu wielką łapę.

— Świetnie — ucieszył się Robert. — To mi się przyda. — Pożegnaliśmy Charliego i Mo przed wejściem do budynku Glorious.

— Przyrowadź go tutaj w czwartek, a potem pójdziemy do twojego hotelu — oświadczył Robert, ze względu na Charliego mówiąc powoli i wyraźnie. — Przyjdzie tam też pani od psiej kosmetyki. I pamiętaj, nie mów nikomu, co robisz. Niepotrzebne mielenie ozorem, sam wiesz...

— J a s n e , stary. — Charlie zrobił gest, jakby zapinał usta na zamek błyskawiczny.

Weszliśmy z Robertem do środka.

— Robert, co my zrobimy? Przecież Gretzky grał na prawym skrzydle, a ten pies umie najwyżej podać łapę — zaniepokoiłam się.

— Miło cię poznać, stary — powiedział Robert spokojnym głosem. — Nie martw się.

Powoli wszystko wróciło do normy — w rzeczywistości było nawet lepiej niż przedtem, bo Dagny doszła do wniosku, że jedyną rzeczą, jaka nie pozwala jej osiągnąć takiego sukcesu jak Juliet, jest brak pełnego zaangażowania. Żeby to naprawić, zaczęła nagle dosłownie wrywać mi pracę z rąk. A ja postanowiłam się tym cieszyć.

Jej nowe podejście do rzeczywistości zostało wystawione na próbę, kiedy doszły do nas najświeższe pogłoski: Juliet Bartlett marzy o roli Jane. Tony, który już oczyma wyobraźni widział Jane i Rochesterę kręcących biodrami w tańcu na dachu wypalanej w pożarze czynszowej kamienicy, nie bardzo wierzył, że Juliet może być przekonująca w roli twardej bohaterki, układającej mocne rymy, o jaką mu chodziło; poza tym nie wyobrażał sobie *Air Jane* jako blondynki. I dlatego Juliet, kojarzona z rolami grzecznych dziewczynek, zapragnęła czegoś zupełnie innego i zaczęła robić wszystko, żeby udowodnić, że Tony się myli. Zatrudniła konsultanta — tak zwanego „hip-hopera”, niejakiego LeVine'a the Fine'a — żeby pomógł jej przedzierzgnąć się w księżniczkę gangsta rapu i tym samym przekonać Tony'ego, że nie jest jedynie „iber—WASP—em”, jak wszyscy sądzą.

W czwartek po południu staliśmy z Robertem przed naszym biurem, zapewniając Charliego, że może bez

obaw zostawić Mo pod naszą wyłączną opieką, kiedy będziemy zabierać go na zorganizowane dla Gretzky'ego telewizyjne spotkania. Mimo że Charlie miał przebywać w pobliskim Royaltonie i że obiecaliśmy często się z nim kontaktować, to gość wyraźnie przeżywał coś w rodzaju matczynej tremy przed występem dziecka.

— A co jeśli go zgubicie? Albo ktoś go porwie? — niepokoił się. Paplanie Charliego przerwało pojawienie się lincoln navigatora, który podjechał ostro do krawężnika i zakołysał się, kiedy kierowca wcisnął gwałtownie hamulec. Auto miało zatrzęsienie metalowych, prążkowanych, ozdobnych dodatków, wijących się zygzakiem i połyskujących złotym kolorem, a basowy łomot wydobywający się z wnętrza wstrząsał płytami chodnika. Już wcześniej widywałam przyciemniane szyby, ale te były tak ciemne, że nie miałam pojęcia, jak można w ogóle takim navigatorem nawigować.

Otworzyły się drzwi i z fotela pasażera wyskoczyła Juliet Bartlett, gotowa poddać sprawdzianowi swój nowy, niegrzeczny wizerunek. Palce obu rąk trzymała rozczapierzone, kiedy szła w stronę budynku w towarzystwie mężczyzny, którym, jak zgadywałam, był LeVine the Fine, i dwóch innych w pełnym hiphopowym rynsztunku. Zanim jednak przekroczyła próg, nadziała się na Geraldine, która właśnie wyprowadzała na spacer Harveya. Natychmiast przykucnęła, żeby się z nim pobawić, a ten przewrócił się na grzbiet i podstawił brzuch do głaskania. Nawet Harvey, to wredne małe stworzenie, był zauroczony Juliet.

— Jesteś moim psikiem, Harvey, prawda, mój mały? — gruchała. Harvey wiercił się radośnie.

— Julia! — wyskandował LeVine the Fine. — Tam jest pies!

— Taa, moje psisko — odparła, nadal tuląc Harveya.

— Byle pies to nie psisko!

— Nie?

— A toto nawet nie przypomina psa! — Wszystko, co mówił LeVine the Fine, brzmiało niczym rozkaz. — Tam — rzucił, wskazując na Mo i kiwając z aprobatą głową — to jest pies!

Charlie pomachał do niego, ale LeVine go zignorował.

Juliet poklepała Harveya na pożegnanie i wyprostowała się. Harvey zaskomlał w proteście, kiedy Geraldine odciągała go od nas.

Zanim wsiedli do windy, Juliet i jej obstawa wymienili całą serię skomplikowanych uścisków dłoni z ochroniarzem.

— Pierwszy jest kłykieć w kłykieć? — spytała Juliet, zagryzając wargi w pełnej koncentracji.

— Drugi! Pierwsze jest szturchnięcie łokciem!

— J a s n e . Ze szturchnięcia łokciem do kłykcia w kłykieć...

— Tak to wygląda! — LeVine the Fine zademonstrował powoli pięcioczęściowy powitalny uścisk dłoni z jednym z dwóch pozostałych facetów.

— Dzięki, LeVine.

— Dzięki, LeVine THE FINE!

Pojechali na górę i podeszli do recepcjonistki.

— Kogo mam zaanonsować? — spytała dziewczyna.

— To ja, Juliet — oświadczyła panna Bartlett, ściągając czapkę Kangol i ogromne przeciwsłoneczne okulary w złoconych oprawkach.

— Och, przepraszam, nie poznałam cię.

— Nie poznałam cię — przedrzeźniał ją falsetem LeVine the Fine. — Co za gówno tu wisi na ścianie?

— To porządna sztuka.

— To porządne gówno.

— Niech będzie porządne gówno, ale nie ja pierwsza to powiedziałam — odparła recepcjonistka, z trudem powstrzymując śmiech. — Powiem Tony'emu, że tutaj jesteś, Juliet.

— Tak, powiedz mu, że przyprowadziłam LeVine'a the Fine'a i jego paczkę i że wolelibyśmy nie czekać? — Zakończyła to zdanie, jakby było pytaniem.

— Robi się!

Recepcjonistka przekazała wiadomość i wkrótce zjawił się Tony, żeby osobiście ich powitać. Witając się z LeVine'em the Fine'em, Tony wykorzystał nieco inną choreografię niż ta zademonstrowana wcześniej na dole. Tym razem ostatnim akcentem było wzajemne grzmotnięcie w klatkę piersiową. Pozostałych dwóch powtórzyło te same gesty; także Juliet spróbowała je wykonać i dojrnęła do trzeciej części — przesunięcia dłonią po dłoni. Cała czwórka weszła za Tonym do sali konferencyjnej.

— A więc tak to wygląda! — powiedział LeVine the Fine i to były ostatnie słowa, jakie wszyscy usłyszeli, zanim zatrzasnęły się za nimi drzwi.

Kilka godzin później byłam w toalecie i przygotowywałam się na spotkanie z Elliottem. Myłam ręce, czerpiąc przyjemność z kosztownego mydła, które znalazło się tu ze względu na Juliet.

— Hej, dziewczyno, pomożesz siostrze? — usłyszałam ni stąd, ni zowąd za plecami. W lustrze zobaczyłam, jak z jednej z kabin wychodzi Juliet.

— Tak będzie dobrze? — Próbowała udrapować na sobie

o kilka numerów za duże dzinsy w taki sposób, żeby nogawki opierały się na granatowych butach Timberlandu. Ona była smukła, a spodnie ogromne i mimo że zapięte i podtrzymywane wielkim skórzanym pasem, z ułożonym z kryształów napisem JULKA na sprzączce, groziły opadnięciem.

— Chyba musisz jeszcze trochę zacisnąć pas.

— Taa, pewnie masz rację. — Zacisnęła, ale wtedy sprzączka znalazła się na prawym biodrze. — A jak jest teraz?

— Za bardzo na prawo.

Przesunęła i poprawiła.

— Dzięki. Ciężko mi przywyknąć do tego ubrania. Leży zupełnie inaczej niż to, które zazwyczaj noszę.

Miała na sobie koszulkę bejsbolową z wyszytym kolorowymi sztrasami napisem METS, na szyi zaś gruby złoty łańcuch z okrągłym, wysadzonym brylantami medalionem, na którym wygrawerowano coś, co wyglądało na jakieś insygnia. Kolczyki, przeogromne, złote, w kształcie litery J, zwisały jej poniżej linii brody.

— Teraz lepiej? — zapytała.

Skinęłam głową, nie mogąc uwierzyć, że właśnie udzieliłam Juliet Bartlett porady z zakresu mody. Próbowałam dokończyć makijaż, kiedy weszła Dagney.

— Juliet, miło cię widzieć — powiedziała z pełnym spokojem.

— Cześć? — odparła niepewnie Juliet.

— J e s t e m Dagney, Dagney Bloom.

Juliet najwyraźniej nie kojarzyła.

— No wiesz, pamiętasz lekcje chemii z panem Cadwal— laderem? — Twarz Dagney zaczynała nabierać purpurowego odcienia.

— A, tak — odparła Juliet nadal pełnym wahania głosem. — Chodziłaś do Foxfoot Academy?

— Czy to herb naszej szkoły? — Dagney uczepiła się medalionu Juliet.

— Taa, niczego innego nie potrafiłam wymyślić, a mój facet powiedział, że powinnam nosić coś takiego.

— Mówisz o Zacu? — spytała Dagney, a oczy jej rozbłysły.

— Nie, o kimś, kto mi pomaga. — Wyszłam stamtąd w momencie, w którym Juliet, wyjmując medalion z rąk Dagney, wyjaśniała jej, kim jest LeVine the Fine.

Wyłączałam właśnie komputer, kiedy Dagney wróciła. Natychmiast rzuciła się do telefonu, nie chcąc tracić ani sekundy, widocznie zapomniała o swoim najświeższym zobowiązaniu albo je czasowo zawiesiła.

— Nie uwierzysz. Ona właśnie była w naszym biurze. Uściskała mnie jak najlepszą przyjaciółkę. Chce wystąpić w tym rapowym filmie, więc jest ubrana jak prezenterka z MTV!

Nie chciałam dłużej tego słuchać i udałam się na spotkanie z Elliottem.

Umówiliśmy się w barze w Greenwich Village, gdzie mogliśmy być prawie pewni, że nie wpadniemy na nikogo z Glorious. Bo chociaż nie zamierzałam udzielać mu żadnych informacji o naszej firmie, to jednak wolałam, żeby nikt mnie z nim nie widział. Zadzwoił późnym popołudniem, żeby potwierdzić spotkanie i spytać, co będę miała na nogach.

— Wysokie czarne buty, z cholewkami, tuż pod kolana. A po czym ja ciebie rozpoznam?

— Ja cię już znam, zapomniałaś?

— A ja nie mogłabym znać jakiegoś szczegółu? — Nie miałam najmniejszej ochoty sterczeć i czekać, aż mnie rozpoznają.

— Znajdę cię — powiedział i rozłączył się.

Poszłam do baru pieszo, żeby przed spotkaniem z Elliottem mieć trochę czasu na wyrzucenie z głowy spraw związanych z Glorious. Od czasów Gabe'a ani razu nie byłam na randce i dlatego nie miałam pewności, czy pamiętam, jak się to wszystko robi — prowadzi lekką rozmowę, śmieje w odpowiednich momentach, zgaduje, czy on liczy na następne spotkanie. Fakt, że spotykałam się z Elliottem Solnickiem, powodował jeszcze większy mętlik w mojej głowie, a to z racji niejakej bliskości, jaką stwarzała codzienna lektura jego rubryki. Bo chociaż było trochę tak, jakbym nieraz gawędziła z nim przy kawie, w rzeczywistości nie miałam najmniejszego pojęcia, jaki on naprawdę jest.

Dotarłam do baru i zanim weszłam do środka, zatrzymałam się na chwilę, żeby ostatni raz zerknąć na swoje odbicie w witrynie znajdującego się obok sklepu, zła, że nie mogę dojrzeć, jak prezentują się moje buty. Wzburzyłam lekko włosy, a potem pchnęłam drzwi i zdążyłam postąpić zaledwie dwa kroki, kiedy usłyszałam dobrze znany głos.

— Miło cię widzieć, Karen — przywitał mnie Elliott. Nie był wysoki, ale jego wzrost idealnie pasował do mojego, miał lekko falujące, ciemne włosy i porządne bary. Kiedy przyciągnął mnie do siebie i pocałował w policzek, zobaczyłam, że ma ciepłe, piwne oczy.

Kelnerka posadziła nas przy stojącym na uboczu stoliku. Elliott zamówił szkocką.

— Dla mnie to samo — powiedziałam, nie wiem czemu, bo nawet nie pamiętałam, kiedy ostatni raz piłam whisky czy choćby miałam na nią ochotę. Kołatała mi się jedynie po głowie myśl, że jest dobra na odwagę.

— No więc jak cię traktują bracia Sztuka i Handel? — spytał, rozśmieszając mnie.

Poczułam się bardzo swobodnie, zanim skończyłam pierwszy kieliszek. Po drugim byłam pewna, że mogę rozmawiać o Glorious, nie mówiąc niczego, czego nie powinienam. Wkrótce rozmowa zesła na Juliet Bartlett.

— Myślisz, że Phil i Tony pozwolą jej zagrać Air Jane? Jak to wygląda?

Powiedziałam, że nie wiem, ale że Juliet bardzo się stara przekonać braci, że będzie wiarygodną Jane, a ja sama jestem pod wrażeniem rezultatu jej wysiłków. Po trzeciej szkockiej uzupełniłam tę informację kilkoma, a szczerze mówiąc, zdecydowaną większością szczegółów dotyczących jej przeobrażenia: LeVine'em the Fine'em, lincolnem navigatorem, wysadzonym brylantami herbem szkoły i całą resztą wysiłków Juliet mających uczynić z niej przekonującą Jane. Kiedy wspomniałam, że na skutek jej sukcesu jedna z moich koleżanek w pracy ześwirowała, musiałam ugryźć się w język, żeby nie zachichotać.

— Juliet działa tak na wiele kobiet, szczególnie w Nowym Jorku — oświadczył. — Nie ma dnia, żeby ktoś nie opowiedział mi o niej jakiejś paskudnej historyjki, która zresztą nigdy się nie potwierdza, tak jak ta, w sprawie której dzwoniłem w zeszłym tygodniu do Allegry.

— Dlaczego według ciebie tak jest?

— Cóż, dziewczęta tutaj są nastawione na ostrą rywalizację — odparł. — I ciężko im znieść, kiedy ktoś, kogo postrzegają jako równego sobie, nagle wyrasta na wielką gwiazdę.

Jednak przesadna reakcja Dagney nadal była dla mnie niepojęta, podzieliłam się więc swoim odczuciem z Elliot—tem.

— Karen, spróbuję ci to wyjaśnić. — Mój towarzysz zdążył ukradkiem zaczepić swoją nogą o moją i teraz przyciągał ją do siebie. Usiłowałam skupić się na rozmowie. — Pozwól, że zgadnę, Dagney jest z Nowego Jorku, ma zażożnych rodziców, chodziła do ekskluzywnej szkoły. — Moja stopa kontynuowała podróż, a ja bez słowa kiwnęłam głową. — Cóż, takie dziewczęta, a ja to wiem, bo się tu wychowałem, tyle że na Brooklynie, gdzie nie ma takiego szaleństwa... — teraz trzymał mnie ręką za kostkę, opierając moją stopę o krawędź swojego krzesła — ...w każdym razie takie dziewczęta mają mnóstwo forsy, kilka mieszkań... mają wszystkie te rzeczy. Więc jeśli pojawi się coś, czego nie można kupić... — Moja stopa wyładowała na jego kolanach, a on zawzięcie ugniatał jej wierzch. — Kiedy widzą coś takiego, po prostu się załamują. Uwielbiają historyjki o ciężkiej drodze do sukcesu... no wiesz, aktorka, która musiała najpierw wyrwać się z nędzy, rodzice byli robotnikami sezonowymi, pokonała jakąś okropną chorobę... taką zaakceptują. Ale dziewczynę jak one? Mowy nie ma.

Wszystko to było bardzo ciekawe... zarówno wyjaśnienia Elliotta dotyczące reakcji, jakie Juliet wzbudza u kobiet ze swojej klasy, jak i to, co czułam, kiedy jego palce masowały przez but to miejsce, gdzie stopa przechodzi w goleń. Muszę spytać Abby, jak ono się dokładnie nazywa. Tymczasowo nadałam mu nazwę „punkt Elliotta”.

— Juliet szybko nie przeminie, będą się musiały do tego przyzwyczaić — oświadczyłam, zastanawiając się, jak prędko przyzwyczaiałam się do tego, co dzieje się tutaj.

Skinął głową.

— Phil wiąże z nią wielkie plany, tyle że za każdy dobry film *Glorious*, w jakim ją obsadzi, będzie musiała zagrać

co najmniej w jednym dennym, pieskim obrazie. Bo tak wygląda specyficzna matematyka Waxmanów.

Pieskim! Pies! O piątej rano muszę być w Royaltonie, żeby spotkać się z Robertem i zabrać Mo na program *Today*. Tak energicznie wyszarpnęłam nogę, że Elliott się zaniepokoił.

— Muszę zaprowadzić gościa na *Today* — powiedziałam przepraszająco. — Właśnie mi o tym przypomniałeś.

— Bardzo bym chciał znów zobaczyć ciebie i twoje stopki. Odpowiedziałam, że też bym tego chciała.

— Posłuchaj, Karen, podzielę się z tobą pewnym sekretem. — Nachylił się ku mnie. — Juliet jako Air Jane to sprawa załatwiona — wyszeptał mi do ucha. — Phil i Tony pozwalają jej latać po mieście w stroju raperki, żeby zrobić trochę szumu wokół tego filmu. Aha, a jeśli chodzi o powód, dla którego nie mogła polecieć do Los Angeles? Jej babka jest poważnie chora i Juliet chce być blisko niej.

Potem mnie pocałował, szybko, w usta.

— Następnym razem żadnych wysokich butów — wymruczał.

O piątej piętnaście, z kubkami kawy w dłoniach, jechaliśmy z Robertem wyłożoną boazerią windą na jedenaste piętro po Mo. Zapukaliśmy do drzwi.

— Można wejść, jestem ubrany — usłyszeliśmy głos Charliego.

Robert pokręcił głową i pchnął drzwi. Mo, z miękką i jedwabistą sierścią po wczorajszej wizycie u fryzjera, leżał w poprzek wielkiego podwójnego łoża pośród talerzy z jedzeniem dostarczonych przez obsługę. Kiedy wcho—

dziliśmy, obwąchiwał właśnie plasterek boczku, zerkając na talerz z pętem kielbasek.

— Patrzcie, jak se radzi, wcina to wymyślne żarcie i w ogóle — powiedział Charlie. — Mo urodził się na gwiazdora.

Charlie siedział w fotelu z uszami i pochłaniał zapiekankę z peklowanej wołowiny ze smażonym jajkiem na wierzchu.

— Uwielbiam ten hotel... powiedzieli, że mogą mi zrobić na śniadanie, co tylko zechcę — oświadczył z zadowoleniem i umoczył frytkę w miseczce z ketchupem. — To wielki dzień mojego zucha. — Obdarzył promiennym spojrzeniem Mo, który zdążył już połknąć kielbaski, a teraz pożerał stos naleśników z jagodami.

— Nie zaszkodzą mu? — spytałam.

— Sam se zamówił — odparł Charlie.

Wymieniliśmy z Robertem szybkie spojrzenia.

— Nieee, ja tylko chciałem sprawdzić, czy jemu to będzie odpowiadało, skoro już mogłem zamawiać za darmo. Nic mu nie będzie. Prawda, Mo?

Mo miał się pojawić w programie dopiero po ósmej trzydzięci, ale polecono nam stawić się w studiu przy Rockefeller Plaży najpóźniej o szóstej. Ci z *Today* lubili mieć wszystkich pod ręką i na oku, zgromadzonych w pokoju dla artystów, przynajmniej na dwie godziny przed ich występem. Kręciliśmy się po hotelowym pokoju Charliego, czekając, aż Mo skończy jeść. Robert wyciągnął z teczki specjalną rękawicę i wytarł mu pysk.

— Miło cię poznać, stary — powiedział, a pies natychmiast ułożył wielką łapę na jego ręce. Robert wyciągnął z kieszeni smakołyk, który Mo połknął w całości.

Dwie po szóstej zadzwonił telefon komórkowy Roberta.

— Cześć, jesteśmy w drodze. Będziemy za cztery, nie, za trzy minuty — powiedział Robert.

— Przyniosę ci jego rzeczy — odezwał się Charlie.

— Nie trzeba. Przyniosłem mu prezencik — odparł Robert, pokazując piękną, ręcznie uszytą skórzaną obrozę i smycz do kompletu. Do obydwu przymocowano mośiężne plakietki z wygrawerowanym napisem „Gretzky”.

Robert założył psu obrozę i przypiął smycz.

— Noga, Mo — rzucił i pies przysunął się do niego. Charlie klęknął przed pupilem i przemawiał do niego zachęcająco.

— Wystąpi pomiędzy ósmą i ósmą trzydzieści — powiedziałam. — Masz to tutaj na kanale czwartym. No to do zobaczenia.

Wyszliśmy z pokoju i wsiedliśmy do windy. Nacisnęłam literę *P*, a Robert cyfrę 7.

— Co ty wyrabiasz? — spytałam. — Spóźnimy się.

— Mamy czas, Karen, jest dopiero szósta dwadzieścia pięć. — Telefon Roberta odezwał się ponownie, ale nie odebrał. Na siódmym piętrze wyciągnął z kieszeni klucz, otworzył drzwi do pokoju i we trójkę weszliśmy do środka. — Jakie jest prawdopodobieństwo, że Katie Couric przywita go odzywką „Miło cię poznać, stary”? — spytał.

Kazał psu usiąść i Mo natychmiast wykonał polecenie. Robert nagrodził go smakołykiem i zaczął uczyć reagowania podaniem łapy na kilka nowych komend. Po półgodzinie Mo podawał mu łapę na „Cześć”, „Witaj”, „Cześć Gretzky”, „Dziękuję” i „Dzięki”. O siódmej włączyłam telewizor, żeby obejrzeć początek programu. Telefon Roberta dzwonił już bez przerwy, ale on nie reagował. Sam natomiast zadzwonił do jednego z realizatorów.

— Tu Robert Kojima, jestem z Gretzkym. Pies potrzebował trochę dodatkowej zachęty. Niedługo będziemy. —

Rozłączył się, zanim rozmówca zdążył cokolwiek powiedzieć.

— Och, nie — jęknęłam. — Na ekranie widać było, jak kamera okrąża lodowisko w Rockefeller Center, które przystosowano do hokeja na wrotkach, ustawiono bramki i wymalowano kręgi. „Już wkrótce”, oznajmiła Katie Couric, „zobaczymy Matta z Gretzkym, psem gwiazdorem z *Zablokować psiaka*.

Robert rękawicą rozprowadzał jakiś nabłyszczający preparat na sierści Mo.

— Nie przejmuj się. Wszystko jest pod kontrolą.

O siódmej czterdzieści pięć opuściliśmy hotel i przeszliśmy pięć przecznic dzielących nas od studia, po drodze mijając przerobione lodowisko. Rekwizytorzy poprawiali ustawienie bramek, szykowali kije i krążki.

Poczułam nagły ucisk w żołądku.

— Robert, oni myślą, że Mo zagra w hokeja z Mattem Lauerem. Co my zrobimy?

— Wszystko będzie dobrze — odparł.

Minęliśmy ochronę i o ósmej pięć pojechaliśmy windą tam, gdzie mieliśmy być dwie godziny wcześniej. Na zawieszonym wysoko nad głowami monitorze widzieliśmy, jak Matt wykonuje jazdę próbną, wyposażony w ochraniacze na nogi i odziany w bluzę reklamującą film, którą przesłaliśmy mu wczorajszego dnia.

Przywitała nas umęczona realizatorka.

— Nareszcie jesteście. Co się stało? Musimy natychmiast zabrać was na zewnątrz — oświadczyła.

Robert pokręcił głową.

— Dzisiaj Gretzky nie będzie grał w hokeja.

— Oczywiście, że będzie. Właśnie dlatego tu jest. Matt już jeździ i się rozgrzewa — powiedziała, wskazując na monitor.

— A po prognozie pogody — usłyszałam radosny głosik Katie — zobaczymy, czy Matt potrafi „zablokować psia-ka”, kiedy zagra jeden na jednego z Gretzkym.

Była ósma dziesięć.

— Poprosiłabyś Catherine Zeta— Jones, żeby zębami łąpała frisbee? — spytał Robert.

— Ze co? — Realizatorka wyglądała na zdezorientowaną.

— Prosiłabyś? — nalegał Robert.

— J a s n e, że nie. Co to za pytanie? — obruszyła się.

— A dlaczego nie? — ciągnął Robert. Miałam sucho w ustach, zaczynałam wpadać w popłoch, bo zupełnie nie rozumiałam, do czego on właściwie zmierza.

— Bo jest aktorką. Wielką gwiazdą. A co to, do diabła, ma do rzeczy? — spytała kobieta, spoglądając na zegarek i nawijając nerwowo na palec kosmyk włosów.

— A ma. Bo Gretzky też jest gwiazdą. Nie musi pokazywać sztuczek. Będzie siedział na kanapie z gospodarzami programu. — Robert wręczył jej kasetę. — To jest taśma od Tony'ego Waxmana.

Kobieta wzięła kasetę i zaczęła mówić do mikrofonu przy słuchawkach. Na innym monitorze zobaczyłam, jak Matt Lauer rusza do najbliższego wyjścia, rzuca kij i na wrotkach wjeżdża do budynku.

Zaprowadzono nas do pokoju dla aktorów, gdzie na niskim stoliku stały ciasta, owoce i kawa, a obok dwa monitory, jeden pokazujący jakiś program, a drugi to, co obecnie dzieje się na planie. Matt wpadł przez otwarte drzwi, ściągając w biegu bluzę i wkładając marynarkę. Pod spodem przez cały czas miał koszulę i krawat. Widzieliśmy na monitorze, jak synoptyk z *Today* przybija piątkę i ściska ręce ludziom z tłumu zgromadzonego przed budynkiem, a ci wymachują własnoręcznie zrobionym transparentem i wiwatują jak szaleni.

Nagle niewysoki, żyłasty mężczyzna przepchnął się na sam przód. Trzymał w rękach megafon oraz tablicę z napisem TO NIE JEST PRAWDZIWY GRETZKY i ze zdjęciem Gretzky'ego.

— Pies, którego za chwilę zobaczycie — zaczął przemawiać do megafonu — nie jest Gretzkym z *Zablokowaćpsia* — *kal* Gretzky nie żyje! Nie dajcie się nabrać oszustowi! — Powtarzał w kółko „Gretzky nie żyje” i wymachiwał tablicą tak, żeby było ją dobrze widać w obiektywie kamery. Na monitorze pojawiła się obok niego realizatorka programu, wylegitymowała i odciągnęła na bok.

— Nie wygląda to dobrze — oświadczył Robert.

Siedzieliśmy oboje jak skamieniali.

Chwilę później do pokoju weszła realizatorka w towarzystwie wzburzonego demonstranta.

— Zobaczycie, ten pies nawet mnie nie rozpozna — oświadczył mężczyzna.

Mo, który tymczasem drzemał sobie spokojnie, otworzył jedno oko, łypnął w stronę faceta i ponownie zapadł w sen. Gość nadal trzymał w ręku tablicę, a ponieważ stał blisko mnie, zauważyłam, że kurtkę ma pokrytą wielkimi guzikami z podobizną Gretzky'ego.

— Wy z Glorious! — wrzasnął. — Nie uszanujecie godności nawet mojego nieżyjącego psa. Myślicie, że to w porządku wziąć jakieś inne psisko i udawać, że to Gretzky — powiedział, wskazując ręką Mo, którego ten wrzask rozbudził. — Gretzky miał więcej talentu w jednym uchu niż ta kudłata bestia ma w całym ciele.

— To prawda? — spytała realizatorka.

Spuściliśmy z Robertem wzrok i milczeliśmy.

— No więc to prawda?

— Gretzky nie żyje, a my próbowaliśmy zachować wszystkim angażę — odparł cichym głosem Robert.

— Nie wierzę, że w ogóle mogłeś pomyśleć, że jakiś inny pies będzie tak dobry jak Gretzky — powiedział facet, przysuwając twarz odrobinę za blisko do twarzy Roberta.

— Proszę was dwoje, żebyście wyszli — rzuciła realizatorka pospiesznie, po czym zaczęła wyjaśniać komuś z tamtej strony walkie—talkie, że fragment programu mający się zacząć za półtorej minuty został skreślony. Wybiegliśmy ze studia, Mo biegł tuż obok nas. Skorzystaliśmy z wyjścia po drugiej stronie budynku, z dala od hordy fanów *Today*, którzy na pewno chcieliby zlinczować łgarzy, którzy próbowali wystrychnąć na dudka Matta i Katie.

Utrzymywaliśmy szybkie tempo przez całą powrotną drogę do hotelu Royalton, gdzie oddaliśmy dyszącego ciężko Mo w ręce jego prawowitego właściciela.

— Oglądałem program, ale jego w nim nie było — dziwił się Charlie.

— Wysiadał nas właściciel prawdziwego Gretzky'ego — odparł Robert.

— Niestety, Mo nie będzie już nam potrzebny — dodałam — ale czek ci przyślemy.

— Przecież byliśmy do tego przygotowani psychicznie. — Charlie robił wrażenie kompletnie zdezorientowanego.

— Wiem. — Poklepałam ze smutkiem Mo. — Ale po prostu nic z tego nie będzie.

Kiedy Robert przytrzymał mi drzwi, odwrócił się jeszcze do raptownie zdegradowanego psa i jego niepokieszonego właściciela.

— Możecie sobie zamówić więcej naleśników z jagodami... czy na co tam macie ochotę — rzucił do Charliego. — Tylko proszę, nie pozwól Mo jeść śmieci z ulicy. Już prawie go tego oduczyłem.

Wracając taksówką do firmy, próbowaliśmy wymyślić, jak sobie poradzimy z Tonym.

— Powinniśmy mu po prostu powiedzieć, co się stało — stwierdziłam. — Nie było w tym naszej winy.

— To nie ma znaczenia. Tony nie dostał tego, czego chciał, a tylko to się liczy.

— Może wystarczy, że powiemy Allegrze.

— Uzna, że powinniśmy byli staranniej to przemyśleć.

— Przecież zrobiliśmy wszystko, co było można. Ty zrobiłaś. Pomyślałaś o wszystkim. Smycz Gretzky'ego, dodatkowe szkolenie, Catherine Zeta—Jones... — Zamilkłam, wiedząc, że to go nie przekona.

Taksówka zatrzymała się przed Glorious. Weszliśmy do środka. Rozejrzałam się, mając w sercu ogromną nadzieję, że Eddie di Silva nie pozwoli nam przez jakiś czas skorzystać z windy i w ten sposób odroczy to, co nieuchronne. Nie mieliśmy jednak tego szczęścia. Milcząc, pojechaliśmy na górę i rozeszliśmy się do swoich biur.

Wstrzymywałam oddech, czekając na wezwanie.

Po jakimś czasie pojawił się Robert i klepnął mnie w ramię. Zadzwoiła jedna z asystentek Tony'ego i poleciła mu „przyprowadzić ze sobą tę dziewczynę”.

Weszliśmy do gabinetu Tony'ego, ja o pół kroku za Robertem. Było to ogromne pomieszczenie, wyposażone w najnowocześniejszy sprzęt do ćwiczeń, jakiego nie powstydziliby się żadna siłownia, a w powietrzu unosiła się woń kadzidełek.

Tony, bosy, w szortach i w podkoszulku bez rękawów, stał na jednej nodze na leżącej w kącie macie, ręce miał uniesione nad głową i złożone jak do modlitwy. Otaksował nas wzrokiem, w ogóle nie poruszając głową. Jego

instruktor jogi, drobny, ciemnowłosy mężczyzna, poprawiał tu i ówdzie jego pozycję.

— Spieprzyliście! — wrzasnął Tony, nadal balansując na jednej nodze.

— A kiedy już będziesz gotów, przechodź powoli do Pozycji Wrony — powiedział cichym głosem nauczyciel.

Tony wychylił się do przodu i oparł dłonie o podłogę. Potem przykucnął i uniósł kolana do łokci, zbliżając pięty do pośladków.

— Spieprzyliście — powtórzył, tym razem jednak przypominało to warknięcie.

— Przykro mi — odezwał się Robert, ale Tony mu przerwał. — Pies, którego znaleźliście, nie potrafił grać w hokeja. Właściciel Gretzky'ego wszystko wywęszył. Za co ja wam, do kurwy nędzy, płacę? — W Pozycji Wrony nabrał wyglądu zarazem harmonijnego i groźnego.

— Wsłuchaj się w swój oddech — powiedział nauczyciel.

— A ty słyszysz mój pieprzony oddech? — spytał Tony, nadal utrzymując tę samą pozycję.

— Przykro mi — powtórzył Robert. — Domyślam się, że ten facet musiał zobaczyć film reklamowy na początku tygodnia.

— Przykro ci? Domyślasz się? — Tony oparł głowę na splecionych dłoniach i wyprostował prawą, a potem lewą nogę, celując pionowo w górę. Niestety, jego mina, choć odwrócony był do góry nogami, nadal była dobrze widoczna. — Stoję na pieprzonej głowie — oznajmił, zupełnie jakbyśmy tego nie widzieli.

Oboje z Robertem skinęliśmy potakująco głowami.

— Ja stoję na pieprzonej głowie, a wy dajecie się wykopać z programu *Today*.

Czegoś tu nie rozumiałam. Nauczyciel jogi próbował interweniować.

— Gniew nie pomaga — oświadczył.

— Ja wam powiem, co nie pomaga — rzucił Tony z nogami nadal wycelowanymi w sufit.

Instruktor poprosił go, żeby znów zaczął głęboko oddychać. Tony nie zwrócił na niego uwagi.

— J a s n a cholera! — wrzasnął. — To ja zrobiłem ten pieprzony film. Ja stoję na pieprzonej głowie. Potrzebni mi byliście, żeby znaleźć jakiegoś pieprzonego psa, który gra w hokeja i wygląda jak ten z mojego pieprzonego filmu, i nawet tego nie potrafiłście zrobić.

— Mógłbyś to wykorzystać jako sposobność, żeby odpuścić — powiedział nauczyciel. Całym sercem się z nim zgadzałam. — A kiedy uznasz to za stosowne — dodał — przechodź powoli do Pozycji Kompas.

Tony spoglądał piorunującym wzrokiem, po czym opuścił obie nogi, nawet się nie zachwiał, przechodząc do pozycji siedzącej. Wyciągnął prawą nogę w bok, prawą ręką ujął lewą stopę, założył nogę na kark, obracając jednocześnie głowę w prawo. Wyglądał, jakby zamierzał rozedrzeć się na kawałki.

— Pamiętaj o oddychaniu — przypomniał nauczyciel.

— Pamiętać o oddychaniu? Sądysz, że byłbym właścicielem tej pieprzonej wytwórni, gdybym musiał płacić komuś za przypominanie mi o oddychaniu?

— Przykro mi. — Tym razem ja to powiedziałam. Oboje z Robertem wbiliśmy wzrok w czubki butów, a ja miałam okropne przeczucie, że jeśli spojrzymy na siebie, wybuchniemy śmiechem.

— Spieprzajcie z mojego gabinetu — powiedział Tony. — Następnym razem, kiedy trzeba będzie coś zrobić, znajdę kogoś, kto to, do cholery, zrobi.

Wyskoczyliśmy stamtąd z opuszczonymi głowami i po—

gnaliśmy do klatki schodowej, zbiegliśmy dwa piętra niżej, tak że chociaż nie byliśmy jeszcze w holu, to znajdowaliśmy się w bezpiecznej odległości od naszego biura. Kiedy tylko nasze spojrzenia się spotkały, wy buchaliśmy niekontrolowanym śmiechem. Śmialiśmy się tak mocno, że po policzkach Roberta spływały łzy, a ja dostałam czkawki, co jeszcze bardziej mnie rozśmieszyło.

— Staję na pieprzonej głowie — mówił Robert za każdym razem, kiedy udało nam się opanować, wywołując kolejną salwę śmiechu. W końcu złapałam oddech.

— Robert, będziemy mieć duże kłopoty? — spytałam przez czkawkę.

Spoważniał na chwilę.

— Nie za duże. Takie w sam raz — odparł i zabrzmiało to tak beznadziejnie, że znów ryknęliśmy śmiechem.

Wróciłam do biurka akurat na czas, żeby zluzować Dagney, która marzyła o papierosie. Na podłodze zauważyłam „New York Post”, szybko otworzyłam na Page Six, żeby zobaczyć, co tym razem wyszykował Elliott. Pierwszemu artykulikowi towarzyszyło zdjęcie Juliet w tym jej stroju „Julki”. HIPHOPOWY MIESZANY RASOWO REMIKS głosił nagłówek. Poza podaniem sensacyjnej wiadomości o Juliet jako Jane donoszono, że Q. Didley i Nefertiti zostali obsadzeni w rolach Rochesterera i pani Reed. Zacytowano również Phila. „Już czas, żeby klasyk literacki wszedł w intymne stosunki z innym rodzajem kultury”, miał rzekomo powiedzieć.

Byłam pewna, że kiedy to wejdzie na ekrany, mnie tu już nie będzie.

W Nowym Jorku w połowie lipca zawsze jest gorąco i parno, ale w biurach Glorious było o dziesięć stopni cieplej niż na zewnątrz — Geraldine twierdziła, że to z powodu niesprawnego systemu wentylacyjnego budynku. Za każdym razem kiedy ktoś włączał wentylator, i tak już nadmiernie obciążone przewody elektryczne nie wytrzymały i następował czasowy brak prądu, wyłączały się komputery, w rezultacie traciliśmy dokumenty, rejestry rozmów telefonicznych i e—maile. Z początku żał mi było Geraldine, na której skupiała się irytacja wszystkich, ale kiedy mi powiedziała, że odesłała Harveya do domu przyjaciół w East Hampton, moje współczucie natychmiast się ulotniło.

Sytuację w naszym dziale dodatkowo utrudniło pojawienie się letnich stażystów. Bo choć, co prawda, potrzebna nam była pomoc, to nie mieliśmy dla nich miejsca, stąd przytłaczało nas wrażenie jakiejś inwazji czy plagi — stażyści rozciągnięci na podłodze, usadowieni na szafach z aktami, wciskający się w każdą wolną przestrzeń. Dusiliśmy się.

Pomimo warunków typowych dla zakładów bezlitośnie wyzyskujących siłę roboczą staż w Glorious był czymś bardzo pożądanym, szczególnie dla zamożnych nowojorskich rodziców, którzy szukali dla swojego potomka stosownego miejsca na lato. A w przypadku kiedy na doda—

tek Waxmanowie chcieli od kogoś uzyskać wsparcie finansowe dla swoich praktycznych celów, obietnica takiego stażu dla dziecka przekonywała nawet niezdecydowanych. Czek pojawiał się bardzo szybko. Często ci młodzi ludzie już wcześniej odbyli staż w Białym Domu. Rodzice uważali, że ten w Glorious doda mocy ich pączkującemu CV: Waszyngton? Bęc! Hollywood? Łup!

Mieliśmy też stażystów z nowojorskiego uniwersytetu — studentów wydziału filmowego gotowych na wszystko, żeby tylko znaleźć się blisko jednego ze swoich bohaterów. Krążąc po korytarzach w drodze do pomieszczenia z kserokopiarkami i z powrotem, unosili ręce do oczu, kadrując otoczenie. Często próbowali zapewnić sobie staż jakimś twórczym posunięciem, takim jak nakręcenie krótkometrażowego filmu czy napisanie pisma przewodniego w formie scenariusza:

Opowieść stażysty
SCENA WE WNĘTRZU DZIAŁU PUBLIC RELATIONS
GLORIOUS PICTURES — RANEK

Widzimy przez okno Dudleya Fenstera, stażystę nadzwyczajnego. Dudley patrzy w lewo, potem w prawo, wreszcie prosto przed siebie. Słyszymy dźwięk telefonu; Dudley podnosi słuchawkę.

DUDLEY
(emanując profesjonalizmem)
Glorious Pictures, czym mogę służyć?

PHIL
(głos zza kadru)
Kto mówi? Nie rozpoznaję głosu.

DUDLEY

(z dumą)

**Ależ to ja, Dudley Fenster, nowy stażysta
w dziale public relations.**

PHIL

Czy zrobisz wszystko, żeby ta firma odniosła sukces?

DUDLEY

(prostując się)

Oczywiście, sir. Absolutnie wszystko.

PHIL

**Dudley, mówi Phil Waxman. Przyjdź do mojego biura
dzisiaj o trzeciej.**

Chłopcze, wybierzemy się tu i tam!

Krótko mówiąc, program stażystów był lustrzanym odbiciem układu Złote Dziecko/Koń Roboczy, w jakim funkcjonowaliśmy my wszyscy.

Kiedy z e—maila do Allegry dowiedziałam się, że Tony chce, aby ktoś oglądał prawie już ukończony horror wielokrotnie w ciągu jednego dnia, w ramach sprawdzania reakcji publiczności, z entuzjazmem pomyślałam o możliwości przeniesienia się do klimatyzowanej sali kinowej. Film nosił tytuł *Stwór*, choć o wiele stosowniejszy byłby *Ten, który przeżył i wypluł mojego Oscara*, bo dokładnie coś takiego uczynił ten film z grającą w nim gwiazdą. Kilka lat wcześniej triumfowała w kategorii najlepszej aktorki drugoplanowej w filmie Buddy'ego Friedmana, natomiast teraz miała na ekranie za partnera innego, choć nie mniej znanego nowojorczyka o imieniu *Periplaneta americana*,

czyli pospolitego karalucha. Zgoda, ten ze *Stwora* miał około dwóch metrów i nienasycone libido, ale i tak nie robił wrażenia czegoś, czego nie da się załatwić jednym telefonem do renomowanego zakładu dezynekcji.

Reżyser filmu, Kostarykanin z brodą splecioną w długi warkocz, miał obsesję na punkcie pewnej sceny, która następowała dokładnie w dwie minuty i czterdzieści trzy sekundy, licząc od początku filmu. Najwyraźniej udało mu się zarazić Tony'ego przekonaniem, że jeśli publika nie da się przerazić w kluczowym momencie, a mianowicie w owej drugiej minucie i czterdziestej trzeciej sekundzie, film poniesie sromotną finansową klęskę.

O dziesiątej rano, uzbrojona w stoper i w towarzystwie Olivera Burtona, jednego z naszych stażystów, zajęłam strategiczną pozycję z tyłu ciemnej, cudownie chłodnej sali kinowej. Pięćsetka nastolatków, uczestników letniego programu wzbogacającego, zorganizowanego przez Wydział Zieleni, którymi wypełniona była szczelnie sala, zaczęła wrzeszczeć, zanim jeszcze zgasło światło.

Dokładnie w chwili, w której zaczął się film, wcisnęłam guzik stopera. Oliver stał obok z notesem i długopisem w pogotowiu. W pierwszej scenie aktorka, grająca kobietę biologa poszukującą lekarstwa na wirusa Eboli, porusza się swobodnie i pewnie po laboratorium. Nie jest świadoma niczego poza swoimi szkiełkami i opiętym białym kitem, który kilkakrotnie obciąża. Obiektyw kamery przesuwają się z zegara nad jej głową, pokazującego jedenaście trzydzieści, na jedyne w pomieszczeniu niewielkie okno, przez które zagląda księżyc w pełni. W ten sposób reżyser daje nam do zrozumienia, że nie jest to zwykłe laboratorium i że mamy prawo do gęszej skórki. Zerknęłam na stoper i zobaczyłam, że jesteśmy w drugiej minu—

cie i trzydziestej siódmej sekundzie. „Cholera!”, mówi aktorka, kiedy przypadkowo rękawem strąca ze stołu zlewkę. Ta spada w zwolnionym tempie, obraca się wielokrotnie w powietrzu, a potem uderza o podłogę i roztrąska się na tysiące kawałków. Kobieta nachyla się i nagle dostrzega... to! Druga minuta czterdziesta trzecia sekunda. W sali rozległy się przeszywające wrzaski, słychać było wciągane gwałtownie powietrze, okrzyki, tu i ówdzie nerwowy śmiech. Wybiegłam z Oliverem, żeby przygotować nasz raport.

— Ilu według ciebie wrzeszczało? — spytałam.

— Pewnie połowa — odparł.

— Zapisz. A ilu się zachłysnęło z przerażenia?

— Około jednej trzeciej? Może jedna czwarta.

— Zapisz dwadzieścia dziewięć procent. I pewnie około piętnastu procent krzyknęło.

— A tylko kilkoro się roześmiało. Większość robiła wrażenie nieźle przestraszonych.

Dodałam to wszystko w pamięci.

— Niech będzie sześć procent i załatwione — zakończyłam. Oliver poszedł po mrożoną kawę dla nas obojga, a ja tymczasem zadzwoniłam, żeby przekazać raport. Tony zażądał, by bezzwłocznie przekazano mu dane liczbowe, ale przecież nie wystarczyło w tym celu zatelefonować tak po prostu do jego biura. Allegra musiała przekazać mu tę informację osobiście. Zeby rozpocząć całą procedurę, zadzwoniłam do Dagney i ku mojemu zdumieniu usłyszałam, jak włącza się poczta głosowa Allegrzy. Tego jeszcze nie było. Nie mając pojęcia, co takiego opętało Dagney, że odeszła od telefonu, a nie mając czasu, żeby się tym przejmować, wybrałam kilka numerów, żeby znaleźć kogoś, kto przekaże Allegrze istotne dane. Clark nie odpo—

wiadał, więc próbowałam bezskutecznie złapać Roberta, zanim sobie przypomniałam, że obaj pojechali na lotnisko po Jimmy'ego China, azjatyckiego gwiazdora kina akcji. *Smoki zjadam na śniadanie*, pierwszy film Jimmy'ego zdubbingowany na angielski, miał wejść na ekrany za trzy tygodnie, w związku z czym aktor rozpoczynał serię spotkań z prasą. Jimmy był największą gwiazdą Chin. „Miliard ludzi nie może się mylić”, lapidarnie ujął rzecz Phil.

Jako że musiałam jak najszybciej przekazać Allegrze procentowe dane z kategorii wrzask/zachłyśnięcie/okrzyk/śmiech, wybrałam numer Vivian, szykując się na rozmowę z Kimberley, która na pewno poinformuje mnie, że *Stwór* to w ogóle nie jest „film Vivian”, i da mi jasno do zrozumienia, że to, czego chcę, nie mieści się w zakresie jej obowiązków. Byłam mile zaskoczona, kiedy usłyszałam energiczny, profesjonalnie brzmiący głos.

— Gabinet Vivian Henry. Trisha przy telefonie.

— Cześć, Trisha. Tu Karen. Mam dane dotyczące *Stwora* z projekcji, która dopiero co się rozpoczęła. Muszą się natychmiast znaleźć u Allegrzy.

— Jasne, podaj mi je po prostu.

Kiedy odczytałam jej nasze wyliczenia, Trisha dla potwierdzenia szybko powtórzyła.

— Pójdę z tym zaraz do Allegrzy... możesz uważać rzecz za załatwioną — zakończyła.

Trisha Sadowsky była najlepszą stażystką, jaką mieliśmy od czasu, kiedy zaczęłam tam pracować. Ochocza, bystra i bardzo kompetentna, spędzała lato, pracując dla Vivian za darmo. Takiej próbie ognia poddał tę błyskotliwą studentkę drugiego roku Robert, który opiekował się stażystami, a ona jak dotąd wspaniale sobie radziła. Nie

miałam wątpliwości, że wiadomość jest już w rękach Al—legry i znajduje się w drodze do Tony'ego.

Tymczasem wrócił Oliver.

— Kawa dla ciebie, dziecinko — powiedział, podając mi kubek. Rodzice Olivera byli właścicielami domu nad oceanem, na wyspie Nantucket, gdzie często gościła Pierwsza Rodzina. Oliver, który miał dwadzieścia trzy lata, był nieco starszy od innych stażystów, ale dopiero niedawno ukończył jedną z tych zwariowanych, niesamowicie awangardowych szkół na Wschodnim Wybrzeżu, więc świetnie tu pasował. Miał jasnoniebieskie oczy i ciemne włosy, a ubierał się w tym fajnym stylu z lat siedemdziesiątych — koszula rozpięta pod szyją, spodnie obcisłe u góry i rozszerzane u dołu, buty nad kostkę, z podwyższonymi obcasami. Kiedy tylko przechodził obok, zaraz wyobrażałam sobie, jak gdzieś z jego wnętrza, zupełnie jakby dysponował własną ścieżką muzyczną, dobiega piosenka Barry'ego White'a. Oliver do wszystkich mówił „dziecinko”. Połączenie zamożności, urody i faktu, że dzielił trzy-poziomowe mieszkanie w SoHo z głównym wokalistą hippisowskiego jam bandu Ziplock, pozwalało mu demonstrować taki styl bez choćby nutki ironii. Był „bajeczny”, na modłę Davida Cassidy'ego.

Kolejna projekcja *Stwora* zaczynała się dopiero w samo południe, ale my, zamiast wracać do dusznego biura, postanowiliśmy zostać w pobliżu kina, gdzie znajdował się niewielki park z ławkami i dającymi cień drzewami. Oliver wyciągnął się na ławce naprzeciwko mnie i położył telefon komórkowy na swoim nieco zaokrąglonym brzuchu. Zadzwoniłam do Clarka, żeby sprawdzić, czy Jimmy już przyjechał.

— J e s t e m w biurze British Airways — powiedział Clark

niespokojnym głosem, co było u niego rzadkością. — Zgubili walizkę Jimmy'ego i wypełniam formularze, które mają pomóc ją odnaleźć. Oddał na bagaż dwie, a tutaj mamy tylko jedną.

— Zginął mu bagaż w concordzie? — To było zupełnie bez sensu. — Przecież wchodzi tam zaledwie jakieś sto dwadzieścia osób.

— Wiem, wiem. Uważają, że ktoś zabrał jego walizkę przez pomyłkę, więc istnieje możliwość, że jeszcze się znajdzie.

— Ale cyrk. Jak on to znosi?

— Zachowuje całkowity spokój. Gdyby mnie się to przydarzyło, wrzeszczałbym jak opętany, a on tymczasem wykazuje pełną wyrozumiałość. Teraz czeka z Robertem na samochód i kiedy tylko tu skończę, odwieziemy go do hotelu Sherry—Netherland — oświadczył Clark. — Przysięgam, że kiedy mnie przyjdzie lecieć tą maszyną, wezmę ze sobą swoją starą torbę do laptopa firmy Samsonite. Bo wszystkie walizki, jakie pojawiały się na pasie, były od Louisa Vuittona — takie duże w kształcie kufra; Jimmy naturalnie też miał taki. A co ty porabiasz, poza oblewaniem się potem?

— Jestem na projekcji *Stwora*, zbieram reakcje dla Tony'ego.

— No tak, reżyser chce się upewnić, że w drugiej minucie i czterdziestej ósmej sekundzie wszyscy zaczynają wrzeszczeć.

— Czterdziestej trzeciej — poprawiłam go. — Do zobaczenia.

Spojrzałam w stronę Olivera.

— Concorde zgubił część bagażu Jimmy'ego China — powiedziałam. — Uwierzysz?

— Walizka była od Louisa Vuittona... taka, co wygląda jak kuferek? — spytał, otwierając jedno oko.

Skinęłam głową.

— To normalne — oświadczył znużonym tonem. — Kiedy ostatni raz nim leciałem, Juliet Bartlett przez pomyłkę zabrała moją.

— Nie mów.

— Taa, tyle że sami do tego doszliśmy. Wpadła do mnie, żeby ją oddać, i wypiliśmy sobie drinka. Żadnych szkód, żadnych pretensji.

— Naprawdę?

Odezwała się komórka Olivera.

— Taa, jest słodka, ale nie w moim typie — wyjaśnił, podnosząc klapkę telefonu.

Za każdym razem zdumiewała mnie niewiarygodnie rozległa sieć jego znajomości. To, co w wykonaniu kogoś innego brzmiałoby jak prostackie rzucanie znanymi nazwiskami, w jego przypadku było całkowicie naturalne i wiarygodne.

Trochę podrzemałam, trochę posłuchałam sobie rozmów Olivera i za kwadrans dwunasta stwierdziłam, że najwyższy czas wracać do kina.

— Musimy już iść, żeby znów obejrzeć ten początek — powiedziałam.

— Karen, nie przeszkadzałoby ci, gdybym się urwał? Jeden z moich przyjaciół bardzo mnie potrzebuje. Znalazł się w wyjątkowo trudnej sytuacji.

— W porządku, idź. — Ostatecznie nie było to nic, z czym nie mogłabym sobie poradzić sama; poza tym odmowa prośbie Olivera nie byłaby wskazana, zważywszy na sposób, w jaki traktowano go w naszym biurze. Już pierwszego dnia przeżyliśmy prawdziwy szok, kiedy

uśmiechnięty Phil przyprowadził go do naszej sali i przedstawił Allegrze, która z kolei w sposób, o dziwo, słyszalny powitała go w naszym dziale. Siedziałyśmy z Dagny osłupiale, kiedy Allegra skakała wokół Olivera, wypytywała o rodziców i opowiadała mu zabawne anegdoty o jakimś balu kostiumowym, w którym uczestniczyła, a na którym jego ojciec, Phil i prezydent przebrani byli za Trzech Amigos. Można było sądzić, że nasza Allegra została przemieniona w zwyczajną istotę ludzką, posiadającą osobowość... żeby już nie wspomnieć o głosie, który był słyszalny. Kilka minut później Robert, zgodnie z instrukcjami entuzjastycznie wydanymi przez Allegrę, poprowadził Olivera do pustego boksu, będącego obiektem pożądania wielu z nas. Tyle osób czaiło się na to pomieszczenie, że Allegra zrobiła z niego po prostu „gościnny gabinet”, co w jej języku miało oznaczać, że nikt go nie dostanie.

„Gość” było stosownym terminem na określenie roli, w jakiej występował u nas Oliver. On nawet był chętny do pomocy, tylko jego styl życia nie pozwalał mu pokazywać się tu zbyt często. Przynależność do socjety zza czerwonych aksamitnych sznurów, uganianie się za modelkami, a czasami towarzyszenie swojemu współlokatorowi w trasie koncertowej nie pozostawiało zbyt wiele czasu na wysyłanie faksów i ewidencjonowanie dokumentów w Glorious, a już najdziwniejszy w tym wszystkim był fakt, że nikt nie miał o to do niego pretensji. Niegodziwością byłoby zmuszać go do przedkładania Glorious Pictures nad własne wspaniałe życie i wszyscy przyjęli to ze spokojem. Najlepszą rzeczą, jaką Oliver zrobił, było zaproponowanie mi swojego boksu... Kiedy tylko będziesz miała ochotę uciec od tego wszystkiego, dziecinko”. Od tamtej pory, kiedykolwiek odczuwałam potrzebę uciecz—

ki, a nie miałam ochoty udawać, że idę na papierosa, zaszywałam się w „roboczym kojcu” Ołivera, gdzie czytałam książkę albo puszczałam wodze fantazji, wpatrując się w zdjęcia wyglądające jak wycięte z katalogu. Crew, które przyczepił pinezkami do ściany. Fotki ukazywały go pluskającego się pośród spienionych fal z prezydenckim labradorem. Nie było tam natomiast żadnych formalnych fotografii w sztywnych pozach z prezydentem; takie miał każdy.

Podczas południowej projekcji *Stwora* uzyskałam prawie takie same wyniki — procent tych, którzy wciągnęli gwałtownie powietrze, był nieco wyższy, ale został z kolei zrównoważony spadkiem krzyków. Nerwowy śmiech utrzymywał się na sześciu procentach. Przekazałam telefonicznie wszystkie dane Trishy i wróciłam na ławkę, czerpiąc ogromną przyjemność z tego, że do drugiej nie mam nic do roboty. Zadzwoiłam do Abby. Latem na ogół spędzałyśmy mnóstwo czasu razem, przesiadując na plaży, uczestnicząc w imprezach organizowanych na dachach i tarasach domów, czasami zatrzymując się na wydłużony weekend w domu jej dziadków w Watch Hill na Rhode Island. Z niecierpliwością czekałam na jej przyjazd — miała zatrzymać się u mnie i Ellen na lipiec i sierpień — tymczasem pod koniec czerwca wybrano ją do pewnego prestiżowego programu badawczego, w związku z czym spędzała lato w jakimś prozaicznym, na pewno nie przyprawiającym o gęsią skórkę laboratorium na terenie miasteczka uniwersyteckiego. Przesyłałyśmy sobie dziesiątki wiadomości esemesowych, liczne e—maile, ale już od prawie dwóch miesięcy nie rozmawiałyśmy.

— Karen! — Odebrała telefon po pierwszym sygnale.

— To miejsce — zaczęłam.

— Wiem... ja też jestem zawałona pracą — powiedziała.

To było w Abby najlepsze... zawsze mogłyśmy podjąć rozmowę w miejscu, w którym ją skończyłyśmy. Teraz też bez żadnych wstępów zaczęłyśmy zwykle pogaduszki.

— Mój stażysta, Oliver Burton, z tych Burtonów z Nun-tucket skolegowanych z prezydentem, właśnie mnie porzucił, bo miał coś lepszego do roboty — powiedziałam, śmiejąc się. — Dagney się w nim durzy i stale przechodzi obok jego boks w nadziei, że ją dostrzeże, ale on rzadko pojawia się w biurze.

— A tak w ogóle jesteś zadowolona? Bo to mniej więcej połowa tego okresu, na jaki umówiłyście się z Ellen, prawda? Myślisz, że wytrwasz cały rok?

— Minęło mniej więcej pięć miesięcy — powiedziałam i uświadomiłam sobie, że już od pewnego czasu o tym nie pomyślałam. — Trudno przewidzieć. Przerwy pomiędzy upokarzającymi reprimendami stają się coraz dłuższe, co już jest pewną zmianą na lepsze, a poza tym wykonuję coraz więcej prac dla działu marketingu, a to świetna sprawa. Strona internetowa już działa i reakcje na nią są bardzo pozytywne. Oczywiście w moim dziale nikt nie wie, że mam z tym coś wspólnego. To towarzystwo ma silny instynkt terytorialny.

— Ojej, ty naprawdę jesteś w środku tego wszystkiego.

— Szczerze mówiąc, mam poczucie, że zawsze pozostaję na zewnątrz — odparłam, pierwszy raz przyznając się do tego na głos. — Potwierdziło się... jestem Koniem Roboczym.

— Uszy do góry. Mogłabyś przecież spędzać lato w laboratorium.

— Pewnie właśnie to robię. Najwyraźniej biorę udział w jakimś eksperymencie badającym ludzką wytrzymałość.

Zastanawiałam się, czy nie powiedzieć jej o Elliotcie, ale postanowiłam tego nie robić. Zadzwoił kilkakrotnie i mówił, że chce się ze mną spotkać, ale zawsze było to niejednoznaczne, połączone z pytaniem o jakąś plotkę na temat Glorious, którą właśnie usłyszał. Nie wiedziałam, co myśleć, a fakt, że bardzo mnie pociągał, dodatkowo komplikował sytuację. Nie miałam zamiaru doprowadzać się do obłędu, snując domysły.

Zanim się rozłączyłyśmy, przyrzekłyśmy sobie, że niedługo znów pogadamy.

Te dwie projekcje, które dzisiaj obejrzałam, były wersją Tony'ego; popołudniowe natomiast miały być zmontowane przez reżysera. Przed drugą zajęchały dwa lincolny, z jednego wynurzył się Tony, z drugiego Kostarykanin. Weszli do kina, nie patrząc na siebie. Kiedy wyciągnęłam stoper, wyraźnie podekscytowani, zajęli miejsca po moich bokach.

— Teraz zobaczymy, kto ma rację — odezwał się reżyser, niemalże wypluwając te słowa.

— J a s n e, że zobaczymy, kto ma, do kurwy nędzy, rację — odparł Tony. Obie pary oczu wlepione były w stoper, który ścisnęłam w cierpiącej dłoni. Musiałam się powstrzymać, żeby za wcześnie nie przycisnąć guzika.

Zaczęto wyświetlać fdm i w kluczowym momencie siedemdziesiąt pięć procent publiczności się rozwrzeszczało... dosłownie zawyło, podczas gdy reszta albo wciągnęła ze świstem powietrze, albo krzyknęła. Nikt się nie roześmiał. Reżyser obdarzył Tony'ego triumfującym spojrzeniem, zaczepnie machnął w jego stronę zaplecioną w warokcz brodą, co wyraźnie miało być gestem zastępującym pokazanie palca. Ten film rzeczywiście różnił się nieco od poprzedniego, ale zupełnie nie byłam w stanie

stwierdzić, na czym ta różnica polega. Tony wyglądał na zirytowanego.

— To tylko pieprzony fuks. Zobaczymy, co będzie następnym razem.

Ostatni seans zaczynał się o czwartej. Kupiłam sobie koktajl mleczny i ponownie zajęłam moją nieruchomości, jaką była ocieniona ławka. Wystarczyło tylko znaleźć się z dala od biura, żeby móc się odprężyć, i to mimo sceny otwierającej *Stwora*, która na pewno nie pomagała mi w pokonaniu lęków, jakie miewałam rano, kiedy byłam w biurze sama. Częstotliwość głuchych telefonów gwałtownie wzrosła i teraz powtarzały się niemal codziennie, strasząc tę z nas, która akurat była na miejscu. Założyłyśmy z Dagney rejestr, odnotowując każdy przypadek z datą i dokładnym czasem na specjalnej kartce, którą trzymałyśmy na honorowym miejscu, na podłodze. Uparłam się przy tym po to, żeby któregoś dnia FBI mogło przyłapać winowajcę. Dagney przewróciła oczami, kiedy zasugerowałam, żeby prowadzić taki zapis, ale po kilku samotnych porankach sama zaczęła go uzupełniać. Telefon odzywał się zawsze między 7.15 i 7.30 i chociaż dzwoniący za każdym razem mówił innym głosem, sama rozmowa wyglądała tak samo.

— Zastąłem Allegrę Orecchi?

— Tak. Kogo mam zaanonsować?

Trzask.

Geraldine, okazując charakterystyczne dla niej zainteresowanie naszym losem, wykazała całkowitą obojętność, kiedy spytałam ją, czy nie należałoby powiadomić policji, żeby mogła założyć podsłuch czy nawet przyjść i posłuchać tego osobiście... komisariat był tuż za rogiem.

— Naprawdę, Karen, jestem pewna, że to nic takiego.

Jeśli tak cię to niepokoi, po prostu pochylaj się, kiedy przechodzisz blisko okien.

Ciągle wierzyłam, że te telefony mogą mieć związek z Hanrattym, chociaż zupełnie nie byłam w stanie wymyślić, czego mógłby chcieć od Allegry. Od miesięcy nikt z naszego działu go nie widział ani z nim nie rozmawiał i wydawało się prawdopodobne, że zgodnie z przewidywaniami większości ludzi z Glorious on po prostu wreszcie dał sobie spokój. Cała ta historia była intrygująca... zagadka, którą powinnam rozwiązać. Dlaczego miałyby najpierw pomagać Philowi i Tony'emu, którzy potem zaczęli go unikać, a następnie poprzysiąc, że powie wszystkim prawdę, i słowa nie dotrzymać? Z przyjemnością przeczytałabym biografię Waxmanów i mogłam się założyć, że takich jak ja jest znacznie więcej.

Telefon od Roberta przerwał moje rozmyślenia.

— Sie masz, stara? — powiedział, świetnie naśladowując Charliego. Zaczęłam się śmiać.

— Coporabiasz? — zapytałam.

— Organizuję spotkanie z Jimmym Chinem w restauracji Planet Hollywood w przyszłym tygodniu. Będzie niesamowite.

— Myślisz, że ktoś tutaj o nim słyszał?

— Nie, ale to właśnie jest istota tej imprezy. Ma być czymś w rodzaju ceremonii przyjęcia Jimmy'ego do społeczności gwiazdorków kina akcji.

— Niby jak ma to wyglądać? — Nie miałam pojęcia, o co chodzi.

— J a k sama powiedziałaś, niezbyt wielu ludzi w Stanach zna Jimmy'ego China. Ale za to na pewno znają Ronalda Ululatera i „Fly” Faccionego. Więc jeśli Ronald i „Fly” przedstawią Jimmy'ego jako swojego, mamy jak

w banku, że zostanie przyjęty z otwartymi ramionami — oświadczył Robert, wyraźnie z siebie zadowolony.

Zrozumiałam, że ta impreza może rzeczywiście okazać się wyjątkowo chytrym sposobem zapewnienia Jimmy'emu natychmiastowej popularności wśród młodzieży. Frederick „Fly” Faccione zdobył sławę i majątek dzięki roli boksera słabeusza, który podbija serca ludzi jak kraj długi i szeroki, a później za rolę weterana z Wietnamu i samozwańczego obrońcy prawa. Ronald Ululater, były kulturysta, wyemigrował z Europy do Stanów Zjednoczonych, gdzie wydawał się odhaczać kolejne pozycje z długiej listy zajęć, sporządzonej specjalnie po to, żeby uczynić go możliwym, sławnym i potężnym. Zagrał w niezliczonej liczbie filmów, prezentując w nich siłę, z którą inni muszą się liczyć. Dla wielbicieli filmów akcji wprowadzenie Jimmy'ego do tego elitarnego klubu musiało być znaczącym wydarzeniem, porównywalnym z sytuacją, w której Superman i Batman zaprosiliby Flasha, żeby wstąpił do Ligi Sprawiedliwości.

Wykorzystywanie znanych aktorów i reżyserów do wzajemnego namaszczenia było metodą, którą Phil Waxman doprowadził do perfekcji, obchodząc w ten sposób żmudny i często kosztowny proces budowania kariery nowego talentu z filmu na film. Publiczność kinowa mogła uwierzyć na słowo tym, których podziwiała, a Phil mógł włączyć wielkie nazwiska do skromniejszych przedsięwzięć, co w normalnej sytuacji nie miałyby szansy się zdarzyć.

— A co z premierowymi gośćmi? Pojawią się dla Jimmy'ego? — Wydawało się mało prawdopodobne, by to przeświatne towarzystwo, które uczęszczało na nasze nowojorskie premiery, dało jakąś szansę nieznaną gwiazdzie.

Oni zjadali smoki na przekąskę, a potem kazali sobie robić z ich skóry kosztowne torebki.

— Nawet nie będziemy sobie zawracali nimi głowy. Cała rzecz ograniczy się do tych, którzy wygrywają radiowe konkursy didżejów z programu *Morning ZOO* i tym podobnych ludzi, którzy będą uszczęśliwieni, mogąc wziąć udział w podobnej imprezie.

— Robercie, zadziwiasz mnie.

— Gdzie jesteś? — spytał. — Myślałem, że może uciekłaś z Oliverem.

— Nie mogłabym zrobić Dagny czegoś takiego — powiedziałam. — A poza tym Oliver porzucił mnie już kilka godzin temu. Jestem na teście *Stwora*. Właśnie skończyła się projekcja wersji zmontowanej przez reżysera. Jest prawie identyczna z tą pomysłu Tony'ego, ale widzowie wystraszyli się dużo bardziej. Nijak nie potrafię tego pojąć.

— Obserwuj uważnie zlewkę — poradził mi Robert. — Wczoraj w biurze Tony'ego podsłuchałem, jak ktoś o niej mówi.

O czwartej byłam z powrotem w kinie, raz jeszcze z Tonym i reżyserem w fotelach po obu moich bokach. Rękaw zahaczył o zlewkę i zaczęła spadać.

— Cholera! — powiedziała aktorka.

— Kurwa — warknął cicho Tony.

— *Madre de dios* — wyszeptał reżyser.

Wszyscy wstrzymaliśmy oddech, kiedy zlewka rozpoczęła bezgłośny lot w dół. Wykonała sześć obrotów, ukazanych w zwolnionym tempie, zanim roztrzaskała się o podłogę. Aktorka nachyliła się, w tej wersji znacznie szybciej, a potem... w drugiej minucie i czterdziestej trzeciej sekundzie cała sala eksplodowała zgodnym niemal

jednoczesnym wrzaskiem. Reżyser uśmiechnął się tylko, a zanim opuścili salę kinową, pokazał Tony'emu palec. Szłam dwa kroki za nimi, żeby móc ich podsłuchać.

— Fakt, że obraca się sześć razy, wydaje się bardziej przerażający, jak ci zresztą mówiłem — oświadczył reżyser. — Cztery obroty, jak u ciebie, i *nada*.

Tony mruknął coś pod nosem. Potem wyciągnął rękę, delikatnie pociągnął zaplecioną w warkoczyk brodę reżysera, poklepał go po ramieniu i objąwszy się, opuścili kino.

Nazajutrz Allegra kazała Dagney rozesłać e—maila z informacją, że teraz, w związku z większą ilością obowiązków przypadającą Robertowi, my dwie będziemy odpowiedzialne za stażystów w naszym dziale. Wiedziałam, że Robert jakiś czas temu poprosił o awans, i miałam nadzieję, że e—mail tej treści wkrótce się pojawi.

Byłyśmy z Dagney zachwycone; obu nam marzyły się jakieś odpowiedzialne zadania, dlatego też bezzwłocznie zaczęłyśmy obmyślać, jak by podnieść o oczko czy dwa wyżej program stażowy, chociaż wiedziałyśmy, że na pewno niełatwo nam będzie dorównać Robertowi, jeśli chodzi o nabór i szkolenie stażystów. Pod jego przewodnictwem mieliśmy zawsze armię młodych ludzi gotowych, chętnych i na dodatek zdolnych robić wszystko, o co ich poproszono, a do tego wszyscy byli bezzwzględnie wobec niego lojalni. Myślałam, że to jakaś wariacja syndromu sztokholmskiego — że niby najpierw ich złamał i skonstruował na nowo. Robert był dla nas wzorem, nawet jeśli niedoścignionym, to godnym naśladowania i z jego taktyki mogłyśmy czerpać inspirację.

Byłyśmy tak podekscytowane zwiększeniem obszaru

naszych wpływów, że rzuciłyśmy się w wir pracy jak szalone. Sporządzałyśmy listy, rysowałyśmy diagramy i tworzyłyśmy plany wielkiej operacji, która z pewnością była porywaniem się z motyką na słońce. Robert wpadł do nas i przyniósł ogromny segregator, wypełniony notatkami i artykułami, które kiedyś zebrał i do których od czasu do czasu zaglądał. Było tam wszystko, od gazetowych rubryk z poradami do cytatów ze *Sztuki wojennej* Sunziego, a każda kartka w osobnej plastikowej koszulce.

— Powinnyście wiedzieć, że nie będzie to takie łatwe, jak wam się wydaje — oświadczył.

— A co w tym trudnego? — spytała Dagney. Przeważnie niecierpliwił ją sposób bycia Roberta jako „tego, który sobie to wszystko wykoncypował”. Dzisiaj zaś irytował ją szczególnie. Robert, zawsze czujny, natychmiast doszedł do wniosku, że lepiej będzie zostawić nas same z naszymi nowymi obowiązkami.

— Sama zobaczysz — odparł, kiwając głową jak mędrzec, po czym zniknął w głębi korytarza.

Tego lata oprócz Olivera i Trishy w naszym dziale było jeszcze siedmioro innych stażystów. Troje dostało się do nas dzięki znajomościom, troje w wyniku rozmów kwalifikacyjnych, a jedna osoba przyjechała z Londynu w ramach wymiany z tamtejszym partnerem produkcyjnym Glorious. Robert wykonał świetną robotę; byłam zdumiona, jak szybko udawało im się przyzwyczajać do dziwacznych i ekscentrycznych zachowań członków kierownictwa, co w Glorious było sprawą zasadniczą. Skargi na nich zdarzały się bardzo rzadko, a jego program dotyczący stażystów należał do kategorii „brak wiadomości to dobre wiadomości”. Teraz utrzymanie wszystkiego na tym samym poziomie przypadło Dagney i mnie. Byłyśmy w p

ni świadome, że jakiegokolwiek zakłócenia będą postrzegane jako nasza porażka i że to my poniesiemy konsekwencje.

Doszliśmy do wniosku, że najlepiej zacząć wypełnianie naszych nowych obowiązków od indywidualnej rozmowy z każdym ze stażystów, żeby ustalić ich zainteresowania i usłyszeć, co oni sami chcieliby osiągnąć do końca lata. Oczywiście możliwość telefonu od Oprah nie pozwoliła mnie i Dagney opuścić jednocześnie naszego stanowiska, a żadna nie ufała tej drugiej, że potrafi samodzielnie ocenić sytuację. Ustaliśmy więc, że w piątkowe popołudnie przeprowadzimy na zmianę dziesięciminutowe rozmowy z każdym stażystą w wolnym, jak się należało spodziewać, boksie Olivera, a potem porównamy notatki. Nie było w zasadzie potrzeby przeprowadzania takiej rozmowy z Oliverem, ponieważ jego cel — spędzać jak najmniej czasu w biurze — był bardziej niż oczywisty, niemniej Dagney i jego umieściła w harmonogramie. Z przyjemnością podchodziłam do tych spotkań, ale z pewną goryczą myślałam sobie, że był to ten rodzaj rozmowy, której kiedyś sama tak bardzo oczekiwałam, na temat rozwoju mojej kariery w Glorious.

Wszyscy stażyści byli w zasadzie zadowoleni z dotychczasowej pracy, ale jednak każdy z nich chciał mieć poczucie ściślejszej przynależności do naszego działu i uczestnictwa w jego sprawach. A najbardziej wszyscy ci młodzi ludzie chcieli być zauważani przez tych, przed którymi odpowiadali za swoją pracę. Nasza darmowa siła robocza zawsze słyszała o tym, co poszło nie tak... a co z tym wszystkim, co robili dobrze? Najlepiej ujęła to Charlotte, stażystka z Londynu. „Traktuj ją jak powietrze, chyba że coś naprawdę spieprzysz”, powiedziała. „Zrób coś dobre, a nawet nie usłyszysz dziękuję”.

Staraliśmy się z Dagney postępować dyplomatycznie, ale prawdę mówiąc, nie widziałyśmy możliwości zaradzenia istniejącej sytuacji. Jedyne, co mogłyśmy robić, to dziękować im wylewnie za każdym razem, kiedy im się to należało, i liczyć, że część niższego personelu weźmie z nas przykład. Niestety, większość kadry Glorious Pictures pracowała na podstawie Modelu Zarządzania Waxmanow — bracia traktowali brutalnie swoich bezpośrednich podwładnych, a szefowie działów z kolei poniewierali swoim personelem. Kiedy zeszło się na poziom asystentów i stażystów, sprawy przedstawiały się fatalnie. Wyglądało to tak, jakby takie zachowania były obowiązkowe na wszystkich szczeblach jako jedyne mogące przynieść korzyści Glorious. W każdym razie postanowiłyśmy z Dagney przeciwstawić się tej tendencji: rozpoczęłyśmy nasz Program Doceniania Stażystów od wręczenia Trishy gustownego bukietu wraz z notką: „Cześć, Trisha, dzięki za doskonałą pracę! Doceniamy cię! Karen i Dagney”.

Trisha powiedziała nam kiedyś, że podoba jej się praca w naszym dziale, ale że tak naprawdę chciałaby pracować w dziale rozwoju. Jako że marzyła o karierze scenarzystki, bardzo jej zależało na poznaniu tej części filmowego biznesu. Powiedziałam, że wygląda to na doskonały plan, a w skrytości ducha zazdrościłam jej wiary w siebie. Jednak niełatwo było się dostać do działu rozwoju; stanowisk było tam niewiele i pilnie ich strzeżono. Co gorsza, na czele tego działu w Glorious Pictures stała prawdziwa tygrysyca, Yvonne Stapleton. Kobieta ta była owiana w naszej firmie pewną legendą, wspięła się bowiem po drabinie kariery ze zdumiewającą szybkością i teraz, w wieku dwudziestu siedmiu lat, kierowała swoim działem żelazną ręką. Ulubienica zarówno Phila, jak i Tony'ego przy—

szła do firmy zaledwie przed dwoma laty. Obecnie przypisywano jej zasługi za wykreowanie całego szeregu przebojów kinowych, a wśród nich takich filmów, z którymi nie miała nic wspólnego.

Yvonne zawsze była osobą trudną, ostatnio jednak stała się zupełnie nie do zniesienia. Podczas mojej przerwy na papierosa dowiedziałam się od Sabriny, która nadal sprawowała pieczę nad gabinetem Phila, że Yvonne kilka miesięcy temu wzięła udział w zjeździe koleżeńskim na UCLA, podczas którego odkryła, że spośród wszystkich dziewcząt z roku, które należały do stowarzyszenia Tii—Delta, ona jedna nie wyszła za mąż. Phil i Tony przeglądali jak szaleni swoje notesy w poszukiwaniu stosownego kandydata i umawiali ją na całą serię randek w ciemno, jak dotąd bez rezultatu. Co gorsza, sprawy organizacyjne z tym związane pozostawiali swoim asystantkom, które i bez tego miały milion codziennych obowiązków. W ten sposób Yvonne została naznaczona podwójnym piętnem; była jedyną panną z grupy i wszyscy wiedzieli, że szefowie szukają jej męża. Kiedy Trisha nam powiedziała, że interesuje ją dział rozwoju, obie z Dagney od razu wiedziałyśmy, że do niczego jej się w tej sprawie nie przydamy; nawet sam Robert nie byłby w stanie pomóc. Byłyśmy na zbyt niskich stanowiskach, żeby zwrócić się do Yvonne, a ponieważ sama myśl o ewentualnej z nią rozmowie była nieznośna, nawet nie chciałyśmy próbować. Osobiście byłam przekonana, że Trisha sama znajdzie jakiś sposób, i po przedyskutowaniu tej kwestii postanowiłyśmy z Dagney zostawić sprawę własnemu biegowi.

Wtorek od rana straszyl deszczem, a ja, wybierając się do pracy, miałam złe przeczucia, których w żaden sposób nie mogłam się pozbyć. Tego dnia Dagney miała być w biurze wcześniej, więc kręciłam się po domu, nie spiesząc się z wyjściem. Kiedy wreszcie wysiadłam na naszym piętrze z windy, usłyszałam, jak Vivian klaruje przez telefon jakiemuś biedakowi, że trzeba zainstalować płócienny dach nad podium ustawionym na ulicy przed Planet Hollywood i że biada, jeśli choć jedna kropla deszczu spadnie na któregoś z gwiazdorów kina akcji. Byłam zdziwiona, że nie wie, do kogo trzeba zadzwonić, żeby po prostu odwołać opady.

Kiedy osunęłam się na swój fotelik, Dagney wprowadziła mnie we wszystko, co wydarzyło się tego ranka. „Cichy wielbiciel” zadzwonił, było od groma „Spektrum”, a Allegra odbywała konferencję z własną poduszką.

Późnym popołudniem, kiedy z Clarkiem i Trishą jechałam lincolnem do Planet Hollywood, było oczywiste, że plan Roberta zadziałał w stu procentach — skoro zadzwoniło już dziewięćdziesięcioro siedmioro słuchaczy i ten ostatni wygrał bilety na imprezę, oznaczało to, że dziewięćdziesiąt sześć osób pojawiło się na ulicach wokół Planet Hollywood, żeby przynajmniej zobaczyć Fly i Ronalda, a przy okazji po raz pierwszy rzucić okiem na Jimmy'ego. Wokół porządnie zadaszzonego podium kłębił się tłum wrzeszczących fanów, którzy szczelnie wypełnili ulicę do najbliższej przecznicy z jednej i drugiej strony. Mnie wyznaczono rolę „kontrolera tłumu”, idealne wręcz zadanie dla kobiety o wzroście stu pięćdziesięciu dwu centymetrów, wyposażonej w telefon komórkowy i wysokie

obcasy. Może okaże się jakąś nową komiksową bohaterkę, zwaną Obrotową Dziewczyną.

Przy mikrofonie stał Phil, właśnie w niego dmuchał. Kiedy już się przekonał, że będą go słyszeć, zaczął mówić.

— Przyszliśmy tutaj dzisiejszego wieczoru, żeby powitać kogoś, kto jest najlepszym produktem eksportowym Chin od czasów dim sum — powiedział. — Najpierw jednak przekażę mikrofon kilku świetnym dżentelmenom, których już pewno znacie.

Brnęłam przez tłum, próbując znaleźć miejsce, z którego będę widzieć podium. Phil wyciągnął ramię w powitalnym geście. Pierwszy wyszedł Fly i powiedział kilka słów, po czym wprowadził Ronalda, ten powiedział o wiele więcej, z tym swoim akcentem, który uwielbiają parodiować prawie wszyscy, od kabareciarzy do znanych prezenterów wiadomości. Fani powitali swoich bohaterów wrzaskiem, podskakując i wykręcając szyje, żeby lepiej ich widzieć. Potem Fly i Ronald wspólnie przedstawili gościa honorowego, który wykonawszy salto w tył, wskoczył na podium wprost z ulicy. Drobnej budowy Jimmy zajął miejsce pomiędzy Fly, który, co prawda wyższy od niego, był nieszczerólnie wysoki, a olbrzymim Ronaldem. Lekko ugiąwszy kolana, Jimmy wyskoczył w powietrze i wylądował prawą nogą na lewym barku Fly, a lewą na prawym barku Ronalda. Obaj popatrzyli ze zdumieniem na Jimmy'ego, a ten, wykonawszy potrójne salto, zeskończył na podium i znalazł się przed nimi. Potem wszyscy trzej pomachali do zebranego tłumu i weszli do środka.

Dzisiejsza impreza miała swobodniejszy charakter niż zwykle, więc nie przydzielono nam żadnych szczególnych i trudnych zadań. Gośćmi byli zwycięzcy konkursu radiowego, ludzie, którzy mieli zająć się amerykańską karierą

Jimmy'ego, kilkoro nastoletnich dzieci kadry kierowniczej Glorious, wielu przyjaciół oraz krewnych Fly i Ronalda. Była tam też Gloria i Clark cyknął jej pozowane zdjęcie, na którym z ręką założoną kokieteryjnie na kark leży na wyciągniętych ramionach Fly, Jimmy'ego i Ronalda.

— Dziękuję wam, chłopcy — powiedziała, całując każdego w policzek, zanim Clark poprowadził ją rozchichotaną w poszukiwaniu kolejnego koktajlu.

Zauważywszy, że nie mam nic konkretnego do roboty, dopadła mnie Allegra.

— To jest miejsce Fly — wyszeptwała, wskazując krzesło u szczytu jednego z nie zajętych stolików. — Masz dopilnować, żeby nikt inny na nim nie usiadł.

Fly tymczasem, przy stoliku Tony'ego, prowadził ożywioną rozmowę z Philem.

— Przecież go tu nie ma, zresztą stoi tabliczka z napisem ZAREZERWOWANE.

— Masz dopilnować, żeby nikt inny na nim nie usiadł — powtórzyła i poszła.

Znalazłam sobie punkt, z którego mogłam mieć oko i na krzesło, i na gości, i przez chwilę stałam nieruchomo, rozglądając się tylko wokół. Fly nie zamierzał nawet zbliżyć się do swojego krzesła, robiło się późno i wszystko to było kompletnym marnowaniem mojego czasu. Rozejrzawszy się jeszcze raz uważnie i ustaliwszy, że Allegra już wyszła, wymknęłam się i wróciłam do domu.

Nazajutrz ni stąd, ni zowąd pojawił się Oliver, dwie godziny spóźniony, trochę wymięty po nocnej balandze; nadal miał na sobie to samo ubranie co poprzedniego wieczoru w Planet Hollywood. Pomimo zmęczenia wyraźnie

rozpierała go chęć podzielenia się z kimś nowinkami, a ponieważ to Dagney i ja byłyśmy teraz odpowiedzialne za program stażystów, nas wybrał na pierwsze słuchaczki. Kiedy zbliżał się do naszego biurka, zobaczyłam, jak Dagney się prostuje i instynktownie przeczesuje dłonią włosy. Obdarzyła go szczerym przyjacielskim uśmiechem.

— Cześć, dziecińki — przywitał nas. Mogłam się domyślić, dlaczego tak bardzo podoba się Dagney... nawet niewyspany i niezbyt świeżo pachnący nie stracił nic ze swojej charyzmy. — Muszę wam coś powiedzieć. Naprawdę bardzo mi przykro, ale to mój ostatni dzień tutaj.

Wstrząśnięta Dagney wytrzeszczyła oczy.

— Ale przecież jest dopiero połowa lata — powiedziała żałośnie.

— Taa, wiem. Tyle że ja naprawdę muszę mieć trochę wolnego i odsapnąć. Zajęcia na studiach skończyły się niedawno, a tata już coś mówi o jakiejś pracy dla mnie jesienią.

Dagney kiwała głową, niezdolna wymówić słowa.

— Szkoda — powiedziałam. — Będzie nam ciebie brakować.

Podziękowałam mu, po czym umieściłam odpowiednią notkę w rejestrze Allegry. W rezultacie nasza szefowa kazała Dagney zamówić w cukierni Magnolia tort i o piątej po południu w sali konferencyjnej zebrał się cały dział, żeby wznieść toast za pomyślność Olivera. Allegra postanowiła po raz drugi skorzystać ze swojego aparatu mowy.

— Oliverze — oświadczyła — brak nam słów, żeby ci podziękować za twoją pełną poświęcenia i wytężoną pracę tego lata.

Dagney znalazła sobie miejsce tuż obok Olivera i ochocho pomagała mu przy krojeniu tortu kawowego, wspominając mimochodem, że przed końcem lata będzie spędzać weekend na Nantucket.

— Naprawdę? — spytał Oliver. — To wspaniale. Mogę ci polecić kilka świetnych knajpek, które powinnaś zaliczyć.

Po twarzy Dagney przemknął wyraz rozczarowania, ale natychmiast się opanowała.

— Musimy to obgadać — rzuciła lekko, uśmiechając się zalotnie.

Następnego popołudnia ponownie gorączkowo przeglądałam „Entertainment Weekly”, żeby znaleźć notkę o *Stworze*, która, o czym Allegra była przekonana, musiała się tam znajdować. Już trzeci raz czytałam ten sam tygodnik i chociaż nadal nic nie znalazłam, nie miałam szczególnej ochoty donosić jej o tej porażce. Zadzwonił telefon Dagney, ona odebrała i po kilku słowach odłożyła słuchawkę. Odwróciła się do mnie z zaintrygowaną miną.

— To była Marsha — oznajmiła. — Asystentka Yvonne. Powiedziała, że Yvonne tutaj idzie i że jest wściekła. Chciała wiedzieć, czy wiem dlaczego.

Chwilę później usłyszałyśmy, jak ktoś otwiera kopniakiem drzwi, które oddzielały nasz dział od innych... kopniakiem tak energicznym, że gałka walnęła w ścianę, odłupując kawałek tynku. Z tacy Roberta z napisem „Do kartoteki” pofrunął w powietrze stos gazetowych wycinków i zobaczyłyśmy Yvonne. Z rękoma przyciśniętymi do boków przededłowała obok biurka Clarka i tak szybko pomknęła przez nasz labirynt, że prawie było widać, jak spod jej mokasynów z cielejącej skórki sypią się iskry. Wyhamowała przed biurkiem Kimberley i Trishy. Policzki Kimberley pokryła bladość. Trisha, która miała słuchawki na uszach, nie wiedziała, że w ogóle coś się dzieje,

dopóki Yvonne nie wyciągnęła ręki i palcem zakończonym długim paznokciem nie postukała jej w ramię.

— To ty napisałaś do mnie ten list? — spytała, machając kartką kremowego papieru.

Trisha zamrugwała.

— Owszem, ja — odpowiedziała nieswoim głosem.

— Na jakiej podstawie sądzisz, że możesz sobie tak po prostu napisać do mnie list? — spytała Yvonne, podnosząc głos.

Spojrzałam na Dagney i wzruszyłam ramionami. Odpowiedziała mi w ten sam sposób. Oczy miała szeroko otwarte. Mimowolnie przysunęłam się bliżej niej. Druga minuta i czterdziesta trzecia sekunda *Stwora* to nic w porównaniu z tym, co rozgrywało się teraz na moich oczach.

— Więc uważasz, że ty możesz sobie po prostu pisać do mnie listy? — Yvonne darła się coraz głośniejszym głosem. Zaczęła czytać w obrzydliwy, szyderczy sposób. — „Szanowna Pani, jestem stażystką w dziale public relations, ale bardzo bym chciała zapoznać się z działem rozwoju. Czy zechciałaby mi Pani poradzić, w jaki sposób mogłabym tego dokonać? Z góry dziękuję, Trisha Sadowsky”. Ty piszesz do mnie? — Yvonne nachyliła się nad Trisha, twarz zbliżyła do jej twarzy. — Sądzisz, że kim ja jestem, twoją przyjaciółką? Tylko dlatego, że odniosłam niewiarygodny sukces, i to w wieku zbliżonym do twojego, nie oznacza, że możesz po prostu wziąć długopis i do mnie pisać!

Musiałam zaczerpnąć świeżego powietrza. Próbowałam dyskretnie się ulotnić, ale te cholerne telefony nie przestawały dzwonić i trzeba było odbierać. Pragnęłam znaleźć się gdziekolwiek, byle nie tutaj, gdzie Yvonne bu—

talnie rozrywała Trishę, naszą idealną stażystkę, na strzępy. Ni stąd, ni zowąd zaczęłam się modlić. „Proszę Cię, Boże, niech to się już skończy”. Ale do końca było jeszcze daleko. Yvonne miała publiczność i musiała to wykorzystać.

Chciałam pocieszyć Trishę spojrzeniem, ale Yvonne, kipiąca świętym oburzeniem, mi ją zasłaniała. Widziałam jedynie, że Trisha podciągnęła kolana pod brodę, jakby zwinięta w kłębek chroniła się przed atakiem. Może próbowała udawać martwą.

— No cóż, Trisha — ciągnęła Yvonne — oto moja rada, jak możesz dostać się do naszego działu. Nigdy nie pisz do kogoś, kto jest o wiele ważniejszy, niż ty kiedykolwiek będziesz!

Yvonne posłała nieprzyjemny półuśmieszek Vivian, która wynurzyła się ze swojego boksu, żeby obejrzeć widowisko, po czym odeszła korytarzem, zatrzymując się jedynie na chwilę, żeby wymierzyć na dokładkę kopniaka szafce na akta Roberta. Ten już zaczerpnął powietrza, żeby wyrazić swoje oburzenie, ale całkiem rozsądnie zmienił zdanie i odkaszlnął. Ponownie rozległo się trzaśnięcie drzwi, a my siedzieliśmy oniemiały, słuchając zamierających w oddali ciężkich kroków Yvonne.

Spojrzałam na Trishę. Trzymała twarz w dłoniach, a jej plecami wstrząsało niekontrolowane łkanie. Na twarzy Kimberley malowała się ulga, a nawet coś w rodzaju zadowolonia, że tym razem to nie ona ma kłopoty. Korciło mnie, żeby podejść do Trishy i spróbować ją uspokoić, ale całe moje dotychczasowe doświadczenie w Glorious podpowiadało mi, że nie jest to odpowiedni moment, by zrobić cokolwiek. Bo przecież nie zabrzmiał jeszcze sygnał „niebezpieczeństwo minęło”. Wróciłam więc do swoich

obowiązków i poprosiłam Dagney, żeby uzupełniła listę o telefony z ostatnich dziesięciu minut, dzięki czemu będziemy mogły prowadzić już na bieżąco rejestr. Byłam roztrzęsiona i szukałam uspokojenia w powrocie do rutyny.

— Trisha, Trisha, Trisha, chodź tu natychmiast — dobiegł nas głos z sąsiedniego boksu. Nie bardzo wiem, po co Vivian zwracała sobie głowę wzywaniem Trishy do siebie... przecież i tak było słycać każde słowo.

— Nie mam pojęcia, dlaczego zrobiłaś coś takiego, Trisha. Możesz mi to wyjaśnić? — Vivian przemawiała tonem surowej przedszkolanki udzielającej reprimendy dziecku, które pomazało ścianę. Słyszałam, jak Trisha pociąga nosem.

— Czytałam książkę na temat kariery zawodowej, gdzie poradzono, że powinno się napisać uprzejmy list do osoby, której praca szczególnie nas interesuje — wyjaśniła.

O cholera. Glorious nie była miejscem, w którym należy wprowadzać w życie pomysły z poradnika dla poszukujących *pi&cyjakiemu koloru jest twój spadochron? Tu*. miała się szansę dostać przed skokiem najwyżej jakiś stary, podarty spadochron. Jedyłą rzeczą, której nie wyjaśniłam stażystom ani ja, ani Dagney, było to, że ich wyłącznym zadaniem jest świadczenie usług dla danego działu, a jeśli podczas swojego pobytu czegoś się przypadkiem nauczą, to tylko za sprawą szczęśliwego zbiegu okoliczności. Czyżbyśmy wprowadziły ich w błąd, pozwalając nabrać przekonania, że kadrę kierowniczą choć odrobinę interesuje ich przeszłość czy dobro?

— Trisha — mówiła tymczasem Vivian — wiem, że miałaś dobre intencje, ale to było po prostu takie głupie. Yvonne ma rację. Nie możesz tak sobie pisać do niej listu. Jesteś stażystką, nie możesz pisywać listów, kiedy tylko

przyjdzie ci na to ochota. Jak mamy ufać osobie, która zamierza w kółko pisać listy?

Vivian nie tylko powtarzała trzykrotnie imię delikwenta, miała też zwyczaj powtarzania co najmniej siedem razy tego, co uważała za sedno swojej wypowiedzi. Po pięciu minutach takiej nieznośnej przemowy Vivian wypowiedziała wreszcie słowa, których wszyscy się obawialiśmy: „Zabierz swoje rzeczy i idź”. Trisha została wyrzucona za napisanie listu... za „przyniesienie wstydu naszemu działowi”, jak to ujęła Vivian.

Kimberley już wcześniej postanowiła mieć nieprzyjazny stosunek wobec tej bezczelnej osóbkę z zewnątrz, która wyrządziła nam wszystkim tak wielką krzywdę. Obcesowo pomagała Trishy się spakować; wrzucała po prostu jej drobiazgi, włącznie ze zwiędłymi już kwiatami, do pustego kartonu po papierze toaletowym. Wzruszyło mnie, że Trisha zatrzymała nasz bukiet, jednocześnie ogarnął mnie smutek. Byłyśmy z Dagny tak podekscytowane możliwością pracy ze stażystami, a teraz wyglądało na to, że była to kolejna sprawa, którą niewłaściwie oceniłam... tyle że tym razem odbyło się to kosztem kogoś innego.

Trisha, zanosząc się płaczem, pozbierała resztę drobiazgów i szła niepewnym krokiem między chwiejnymi ściankami boksów. Wszyscy siedzieli przy biurkach, udając bardzo zajętych, i nikt nie podniósł głowy, żeby chociaż powiedzieć „do widzenia”.

— Poczekaj — odezwałam się cicho. — Chodź i przynajmniej opłucz sobie twarz wodą.

Trisha poszła za mną do toalety. Wzięłam od niej karton, a ona pochyliła się nad umywalką. Potem zjechałam z nią windą, przywołałam taksówkę, pomogłam wsiąść.

Powiedziałam, żeby się nie martwiła. Ale to ja miałam powody do zmartwienia. Uwierzyłam kiedyś Clarkowi, kiedy oświadczył, że moje starcie z Vivian na samym początku było tylko rutynową ceremonią inicjacji. Teraz, po pięciu miesiącach, zrozumiałam, jak łatwo mogę stracić pracę i jak niepewna jest moja sytuacja.

Wsiadłam do windy, pojechałam na najwyższe piętro, stamtąd weszłam schodami na dach i usiadłam, opierając się plecami o murek. Nie byłam tu od czasu spotkania z Clarkiem, w samym środku zimy; teraz powietrze było duszne i ciężkie. Zza starych fabrycznych budynków i nowych mieszkalnych wieżowców wзираł fragment Statui Wolności. Widziałam część pochodni i kilka zębów korony. Pomyślałam o krajach, gdzie ludzi posyła się do więzienia za pisanie listów, i o tym, czego właśnie byłam świadkiem... dwa różne przypadki niegodziwej, niedopuszczalnej demonstracji siły, mające na celu sparaliżowanie strachem każdego obserwatora. Trishę na naszych oczach zaatakował potwór i absolutnie nikt, nawet jedna osoba nie podniosła krzyku. Przez całe miesiące będę wracała myślami do tego dnia.

O szóstej rano, już ubrana w czarną jedwabną sukienkę i pantofelki z odkrytą piętą, wyniosłam przed dom paczkę makulatury. Ze względu na możliwe ochłodzenie narzuciłam też na ramiona czarny sweterek. Niełatwo było znaleźć stroje wieczorowe, które nadawałyby się do noszenia od świtu, przez cały dzień i wieczór aż do późnych godzin nocnych, tak więc przez ostatnie osiem miesięcy zgromadziłam całą kolekcję szali, błyszczących rozpinanych sweterków, a do tego aksamitną pelerynkę; wszystko to miało mi umożliwić ubieranie się na cebulkę i różne kombinacje zależnie od pory dnia.

Stojąc przez chwilę obok sterty gazet i próbując sobie przypomnieć, jakie kolory mają pojemniki na szkło, a jakie na plastik, zakonotowałam sobie w pamięci, żeby tak na wszelki wypadek włożyć do torebki zapasową parę rajstop. Miałam przed sobą długi dzień — najpierw „Spektrum”, potem przygotowania do premierowej projekcji *Wszyscy mogą śpiewać* i wreszcie impreza charytatywna na East Endzie. Kiedy wracałam do holu, robiłam w myślach przegląd rzeczy, które będą mi potrzebne na ten dzień i późny wieczór, upewniając się, że o niczym nie zapomniałam.

Kiedy czekałam na windę, pojawiła się jedna z lokatorek, kobieta w średnim wieku, wracająca właśnie ze spa—

ceru z psem; rozpoznałam w niej pielęgniarkę, która wprowadziła się tutaj wkrótce po mnie. Schyliłam się, żeby pogłaskać jej słodko wyglądającego cocker—spaniela, a tymczasem ona szarpnęła gwałtownie smycz, przyciągając psa do siebie, tak że go nie dosięgłam.

—Gryzie?— spytałam.

— Nie — odparła krótko i wtedy otworzyły się drzwi windy.

— Poczekamy na następną — oświadczyła, nie kierując tych słów do nikogo konkretnego.

Czyżby sądziła, że właśnie wracam z jakiejś potajemnej schadzki? Marzenie ściętej głowy. Poza tamtym flirtem z Elliottem pod stolikiem już od miesiący nie spotkało mnie nic, co choćby trochę przypominało prawdziwą randkę. Miałam jednak nadzieję, że ta sytuacja się zmieni. Wczoraj zadzwonił Elliott i spytał, czy będę na premierze. I może byśmy poszli potem na drinka.

Chociaż brakowało jeszcze kilku godzin do lunchu, wi- dać było, że pojawiający się w biurze pracownicy Glorious przygotowani są już na uroczysty wieczór. Dagny miała na sobie obcisłą sukienkę z dzianiny, a Robert wyglądał bardzo szykownie w grafitowym garniturze z dwurzędową marynarką. Byłoby rozsądniej ubrać się zwyczajnie, a wystroić później, ale z doświadczenia wiedzieliśmy, że nie mamy co liczyć na chwilę wytchnienia i możliwość przebrania w wytworne stroje. W dni premier zdarzało się zbyt wiele niespodzianek, a nikt nie miał ochoty prze- bierać się w taksówce. Dla postronnego obserwatora z boku ta sceneria musiała wyglądać dziwacznie — grupa ludzi, wystrojonych jak na bankiet, kseruje, wysyła faksy, ze słuchawkami w uszach gada do mikrofonów. Dla nas natomiast było to czymś całkowicie zwyczajnym — Glo—

rious wypuszczała tyle filmów, że podobne sytuacje zdarzały się nam czasem raz, a nawet dwa razy w tygodniu.

Przed dziesiątą trzydzieści telefony się urywały. Wyglądało na to, że zbiorowa podświadomość nie zaproszonych właśnie się obudziła i została przez jakąś nadprzyrodzoną siłę skierowana do biura Allegry Orecchi, żeby w ostatniej chwili mogli zaapelować o umieszczenie ich na liście uczestników imprezy. Przepraszałam, najuprzejmiej jak umiałam, wszystkich urażonych, a tych, których mogłam, kierowałam do Vivian, żeby to ona mogła podjąć ostateczną decyzję. *Wszyscy mogą śpiewać* był „jej” filmem i tego wieczoru to ona odpowiadała za wszystko.

Przełykając haust pierwszej tego dnia kawy, chwyciłam słuchawkę kolejnego dzwoniącego aparatu.

— Biuro Orecchi — rzuciłam energicznie.

— Halo, nazywam się Deirdre Williams — odezwała się jakaś kobieta. — Dzwonię w imieniu Osoby. — Osoba był ekscentrycznym, stroniącym od ludzi muzykiem, który co kilka lat zmieniał nazwisko. Ostatnio zaczął siebie przedstawiać jako uosobienie jakiegoś petroglifu, którego, jak twierdził, w żaden sposób nie da się wymówić. Co bardziej przychylne media zaczęły nazywać go Osobą i to miano się przyjęło, nawet wśród ludzi go otaczających. Wyobrażałam go sobie, jak stoi we wnętrzu płonącego budynku. Wszyscy wołają do niego, używając dawnego nazwiska, a on uparcie kręci głową i odmawia wyjścia.

— Rozumiem — powiedziałam. — W czym mogę pomóc? — Byłam przekonana, że to dowcip.

— Cóż — mówiła dalej kobieta — Osoba jest dzisiaj w Nowym Jorku i właśnie do mnie zadzwonił i powiedział, że oglądał *Live with Regis*...

— W porządku, kto przy telefonie? — przerwałam, prze—

konana, że to Abby, Ellen, a kto wie czy nie Elliott. — Gdybyś wymieniła jakiś inny program, to może bym ci uwierzyła. To całkiem zabawne, ale ja jestem bardzo za—

— Ależ nie, ja naprawdę pracuję z Osobą—kobieta westchnęła— i dzisiaj rano on zobaczył w programie Emily Downes i doszedł do wniosku, że ona akurat jest w Nowym Jorku.

Może ta kobieta rzeczywiście nikogo nie udawała. Wiedziałam, że Emily Downes, oglądana ostatnio w *Cudzoziemskim pilocie*, bawi w naszym mieście, reklamując natarczywie swój film, wypuszczony przez Paramount. Z racji jej bliskich związków z Glorious ciągle nas o nią pytano, nawet wówczas, kiedy pracowała dla innej wytwórni.

— Owszem, Emily jest w Nowym Jorku — powiedziałam ostrożnie. — Promuje swój film.

— No tak, pozwoliłam sobie zadzwonić, bo uznałam, że ktoś z Glorious będzie zapewne wiedział, jak można się z nią skontaktować. A Osoba podczas swojego pobytu bardzo chciałby się z nią spotkać — oznajmiła Deirdre.

Wyobrażałam sobie Osobę, w jego słynnej pomarańczowej piżamie z delikatnego materiału w tureckie wzory, z filiżanką herbaty w ręku, oglądającego program, który każdego ranka fascynuje miliony amerykańskich gospodyń domowych. Świergotliwe przekomarzanie się gospodarzy programu o kanarkowych głosikach przywodziło mi na myśl pewną ciekawostkę ze świata medycznego, zgodnie z którą człowiek narażony na słuchanie dźwięków o określonej wysokości dostaje jakiegoś ataku.

Po chwili jednak coś mi zaświtało. Osoba rzadko brał udział w publicznych imprezach... gdyby to rzeczywiście był on, dodałby naszej premierze splendoru.

— Niestety, nie jestem pewna, czy uda nam się ją dzisiaj odnaleźć, ale wiemy, że Emily na pewno wybiera się na dzisiejszą premierę *Wszyscy mogą śpiewać* — poinformowałam, ośmielona tym przejawem własnego refleksu. — Jeśli Osoba zechciałby przyjść, byłibyśmy zachwyceni.

— A tak, ten nowy musical Buddy'ego Friedmana — powiedziała moja rozmówczyni. — Osoba nie przepada za filmami Buddy'ego, przyjęcia też na ogół go nie interesują. Dowiem się jednak. Proszę pamiętać, że on nie należy do ludzi przewidywalnych — dokończyła z nutką ironii w głosie.

Rozłączyłyśmy się, a ja natychmiast odwróciłam się do Dagney i powiedziałam jej, że właśnie zaprosiłam na premierę Osobę. Dagney, której na ogół trudno cokolwiek zaimponować, przez jakieś piętnaście sekund robiła wrażenie osłupiałej, jednak dość szybko przybrała na powrót swoją typową zblazowaną minę.

— Ale czy rzeczywiście się pojawi? — zapytała obojętnym tonem.

— Ta kobieta jeszcze do mnie zadzwoni — odparłam. — Uwierzysz, że on oglądał *Regis*? — Ciągle bawiłam się obrazem zniecierpliwionego gwiazdora rocka, jak skacze po kanałach, aż jego uwagę przykuwa fragment programu na temat łatwych w przygotowaniu, nie wymagających pieczenia deserów, kiedy ponownie zadzwonił mój telefon.

— Osoba weźmie udział w premierze — oznajmiła Deirdre. — Może przyjść z ochroniarzem?

— Oczywiście, z tym że to musi wystarczyć. Dziś wieczorem mamy komplet. — Serce tłukło mi się w piersi, ale próbowałam zachowywać się jakby nigdy nic. Osoba to wspaniała zdobycz i trafia się właśnie mnie. — Projekcja odbędzie się w Paris Theatre o ósmej, a przyjęcie bezpo—

średnio potem, prawdopodobnie około dziesiątej, w miejskiej rezydencji pani doktor Rich — poinformowałam ją. — Dokąd wysłać bilety?

— Proszę je wysłać do recepcji Four Seasons na nazwisko Michael Mitchell. Odbierze je tam. Proszę dołączyć informację z dokładnymi adresami i okolicznymi skrzyżowaniami. Wykorzysta je przy koordynacji planu ochrony.

Kiedy poprosiłam o numer telefonu komórkowego Michaela, żeby móc później sprawdzić, czy przesyłka została doręczona, kobieta tylko westchnęła.

— Obawiam się, że z łącznością są pewne problemy — powiedziała. — Michael nie podaje nikomu numeru swojego telefonu komórkowego. Więc on zadzwoni do pani, zgoda? — zakończyła.

Wzięłam więc jej numer, na wszelki wypadek, w razie problemów. Modliłam się, żeby nie było żadnych.

Skończywszy rozmowę, zerwałam się i pobiegłam do boksu Vivian. Nie byłam w stanie się opanować.

— Vivian — bełkotałam — Osoba przychodzi wieczorem! Zaprosiłam go i powiedziano mi, że przyjdzie.

Wykazałam się kompletnym brakiem wyczucia. Vivian siedziała przy biurku i porównywała listę zaproszonych z listą tych, którzy potwierdzili chęć przybycia. Zdecydowawszy, że raczej zignoruje to, iż naruszyłam zasadę etykiety, na rzecz dającej jej więcej przyjemności okazji do zignorowania mojej osoby w ogóle, postawiła gwiazdki przy kilku nazwiskach, kilka innych przekreśliła i zanotowała na marginesie uwagę przeznaczoną dla niej samej, a dopiero potem zwróciła się do mnie, nie podnosząc zresztą wzroku.

— On nie pojawia się nigdy. Przerobiliśmy to już wcześniej z dziesięć razy, zawsze z takim samym rezultatem. —

Poprawiła okulary i z zachmurzoną miną przyglądała się listom. — Zmuszali nas do irytujących procedur związanych z dostarczeniem biletów, wymuszali obecność ochroniarza, po czym nie przychodził. — Wreszcie podniosła na mnie oczy, a na jej twarzy malowała się litość. To była jej mina z kategorii „niektórzy niczego się nie nauczą” i wykorzystywała tę pierwszą od dłuższego czasu sposobność, której zresztą sama jej dostarczyłam, żeby mi ją zademonstrować.

Wróciłam do swojego biurka, starając się nie oklapnąć. Bardzo możliwe, że już wcześniej go zapraszano, a on się nie pojawiał, ale przecież tym razem Osoba kazał swojej osobie zadzwonić do nas. Dlaczego Vivian nie potrafi dostrzec, że po ośmiu miesiącach na tej posadzie nie najgorzej się orientuję w tym, czym się tu zajmujemy? Zerknęłam na Kimberley, która była pochłonięta pedantycznym ozdabianiem kart, jakie miały być przyczepione z tyłu foteli znakomitych gości. Miała umiejętność robienia z najprostszych nawet czynności ogromnego przedsięwzięcia artystycznego, ale może tak się dzieje, kiedy twoim najważniejszym obowiązkiem jest sporządzanie listy zup. Byłam zdziwiona, że latem, kiedy wszystkie restauracje mają do wyboru jedynie gazpacho i chłódnik owocowy, nie umiera z nudów. Wzięłam marker Sharpie i wyrysowałam znaczek dla Osoby, bardzo się przy tym starając, żeby wyglądał jak ten jego petroglif. Przypominał niedźwiedzia z dodatkową parą łap. Potem narysowałam inny, trochę bardziej udaną wersję, z napisem GOŚĆ SPECJALNY Na zewnętrznej ścianie boksu Vivian wisiał najświeższy biuletyn, który każdy mógł w razie potrzeby rozesłać faksem do zainteresowanych. Uaktualniano go niemal co dziesięć minut i pełno w nim było znanych nazwisk.

— Hej, Kim, mam dla ciebie jeszcze jednego. — Nie mogłam sobie odmówić tej przyjemności.

Vivian, wyposażona w nadludzki słuch, usłyszała mnie z drugiej strony korytarza, gdzie akurat zamęczała o coś Roberta.

— Nie dodawaj Osoby, Kimberley — zawołała. — Nie przyjdzie.

Popatrzyłam wściekłym wzrokiem w stronę boksu Vivian. Było oczywiste, że woli nie mieć na premierze kogoś tak znaczącego jak Osoba niż zaryzykować, że będzie świadkiem mojego sukcesu. Należała do tego gatunku przedstawicieli kadry kierowniczej, którzy trzymają się status quo niczym alpinista kłamry. Oderwana od swojego zajęcia Kimberley spoglądała na mnie zniecierpliwiona, z rozświetlającym mazakiem wymownie uniesionym parę centymetrów nad biurkiem.

— Karen, to ważne. Bo co będzie, jak wszyscy wyjdziemy na głupców? — Zauważyłam, że przechyliła głowę dokładnie w taki sam sposób jak Vivian, i pomyślałam, że chętnie wepchnęłabym jej ten mazak, a także ukochany srebrny marker w dziurki przypominającego guzik nosa. Kimberley przyjmowała na zmianę dwie różne pozy — znękanego niewolnika albo przepełnionego entuzjazmem oficera armii Vivian. Najwyraźniej przegapiłam dzisiejszą pobudkę.

Zgnębiona, chwyciłam torebkę i ruszyłam w stronę windy. Gdzieś pomiędzy telefonem od Deirdre i lekceważącym potraktowaniem mnie przez Vivian złapałam oczko w rajstopach, a będąc pod wrażeniem bliskiego spotkania przy windzie z siostrą Ratchett, zapomniałam zabrać zapasowej pary. Pomyślałam sobie, że przed udaniem się na premierę załatwię dwie sprawy za jednym zama—

chem, zmienię nie tylko rajstopy, ale także swoje podejście, skoro mam spędzić resztę dnia i większość nocy z tymi ludźmi. Nie wspominając o tym, że chciałam być w dobrym nastroju przed spotkaniem z Elliottem. Kiedy otworzyły się drzwi windy i zobaczyłam Eddiego di Silvę, zaczęłam podejrzewać, że wisi nade mną jakieś fatum. Eddie jak zwykle uniósł rękę w geście, który oznaczał „Stop”, i drzwi się zamknęły.

Ponownie wcisnęłam guzik i czekałam. Tym razem drzwi się otworzyły, ukazując we wnętrzu windy Tony'ego Waxmana, który owszem pozwalał innym dzielić ze sobą windę, ale na ich własną odpowiedzialność. Z obrażoną miną, że opóźniono mu zjazd, przechylił się nad moim ramieniem i zaczął tłuc pięścią w przycisk ZAMYKANIE DRZWI. Kiedy pierwszy raz znalazłam się w windzie z Tonym, niemal mnie stratował, bo tak mu zależało, żeby wyjść stamtąd pierwszym, i to mimo że stał daleko z tyłu. Tym razem profilaktycznie przykleiłam się do bocznej ściany; ledwie drzwi się otworzyły, a on już szarżował jak byk na rodeo rozdrażniony dźgnięciem ostrego szpikulca.

Obeszłam ulice wokół Glorious, szukając sklepu, gdzie mogłabym kupić rajstopy. W końcu dałam za wygraną. To był właśnie problem z TriBeCą... można tu było bez trudu znaleźć pięć różnych rodzajów sera Gruyere, ale jeśli szukało się czegoś, czego potrzebuje przeciętny człowiek... kartki urodzinowej czy rajstop — nie miało się szans. Pomyślałam sobie, że może będę miała więcej szczęścia bliżej kina, i przywołałam taksówkę.

Wysiadłam na rogu Pięćdziesiątej Dziewiątej i Piątej Alei i przez chwilę stałam w miejscu, ciesząc się otoczeniem. Ta część miasta zawsze napawała mnie radością.

Dzień był cudowny, a przy południowym wejściu do Central Parku, gdzie już było widać pierwsze ledwie dostrzegalne oznaki jesieni, stał rząd dorożek. Flagi na hotelu Plaża łopotały na wietrze, a krople wody z fontanny chwytaly promienie słoneczne i nim opadły, mieniły się jak maleńkie klejnoty. W tym właśnie miejscu, na końcu filmu *Tacy byliśmy*, Barbra Streisand mówi Robertowi Redfordowi, że ułożyła sobie życie bez niego, a potem muzyka staje się głośniejsza. Kręciłam się tam jeszcze przez chwilę, aż wreszcie ruszyłam do Bergdorfa, gdzie chwyciłam parę rajstop, skrzywiłam się, zobaczywszy cenę, i stanęłam w kolejce do kasy.

Czekałam na paragon, tymczasem kasjerka zmarszczyła brwi.

— Przykro mi, ale transakcja została odrzucona — powiedziała.

Poczułam, jak się czerwienię, w kolejce za sobą usłyszałam chichoty księżniczek z Park Avenue; całą siłą woli powstrzymałam się, żeby nie palnąć czegoś w rodzaju: „Ależ to niemożliwe! To musi być jakaś pomyłka!” Zamiast tego zapłaciłam potulnie gotówką. Natychmiast po wyjściu ze sklepu zadzwoniłam do American Express, żeby sprawdzić, o co chodzi. W dziale obsługi klienta poinformowano mnie, że „moje ostatnie wydatki przekroczyły dopuszczalną sumę”. To była jakaś bzdura. Nie używałam tej karty od zeszłego miesiąca, kiedy to kupowałam na nią urodzinowy prezent dla Ellen, a mianowicie maszynkę do cappuccino za 150 dolarów z Macy's Cellar.

— Chwileczkę, a czy ta karta przypadkiem nie jest bez limitu? — spytałam.

— Formalnie rzecz biorąc, proszę pani, owszem — odparł

przedstawiciel firmy z wyraźną nutą dezaprobaty w głosie. — Kiedy jednak użytkownik wyda więcej pieniędzy, niż ma łącznie na rachunku bieżącym i oszczędnościowym, nie pozostaje nam nic innego, jak kartę zablokować. A pani nie posiada siedemnastu tysięcy dolarów — zakończył.

Jasne, że nie.

— Naprawdę nie rozumiem. Czy nie mogła zająć jakaś pomyłka?

— Cóż, zdarzają się oszustwa. Czy z jakiegoś powodu udostępniła pani swoją kartę hotelowi Pierre w Nowym Jorku?

Już wiedziałam, co się stało.

— Tak, rzeczywiście zaszła pomyłka, tyle że nie z waszej winy — powiedziałam i odłożyłam słuchawkę.

W ubiegłym tygodniu mieliśmy telefon od udręczonej asystentki Eriki Hall, aktorki i byłej muzy Buddy'ego Friedmana, która przyleciała do Nowego Jorku na spotkanie z Philem. Kiedy o drugiej w nocy pojawiły się w hotelu Pierre, okazało się, że nikt tam nie wie, jakoby Glorious zapłaciła za ich pokoje. Ponieważ wołały nie używać własnych kart kredytowych, zadzwoniły pod mój numer, który miały zapisany na wszelki wypadek. Przez telefon podałam recepcjoniście numer swojej karty do wykorzystania, aż skontaktuje się z nim nasze biuro odpowiedzialne za podróże. Rano zadzwoniłam do odpowiedniej osoby, która zapewniła mnie, że wszystko załatwią.

Nie miałam pojęcia, co dwie kobiety, które przyjechały tu na trzy dni, mogły zamawiać do pokoi, żeby rachunek opiewał na taką kwotę, ale w tej chwili było to nieistotne. Jutro wszystko wyjaśnię.

Kiedy dotarłam do kina Paris, większość ludzi z Glo—rious już tam była. Dagny i Kimberley natychmiast wy—zebrały ode mnie papierosy: obecnie ten udawany nałóg kosztował mnie paczkę dziennie, co zawdzięczałam n—gminnie pasożytującym na mnie współpracownikom. Kiedy dziewczyny zajęły się paleniem, zaczęliśmy z Clariem przyczepiać kartki do foteli. Ledwie przymocowa—łam taśmą pierwszą, kiedy zadzwonił mój telefon.

— Tu Michael Mitchell — przywitał mnie chłodny głos. — Deirdre powiedziała, że wyślecie Osobie bilety na dzisiejszą premierę. Ciągłe ich nie ma.

Zacząłam zapewniać Michaela, jacy to jesteśmy zachwyceni, że Osoba przychodzi i że dowiem się, gdzie są bilety, ale zanim skończyłam, on już się rozłączył. Modląc się, żeby tylko bilety się znalazły, zadzwoniłam do firmy kurierskiej, gdzie mnie zapewniono, że bilety zostały już doręczone przez posłańca do Four Seasons. Zadzwoniłam do hotelu i poprosiłam o połączenie z Michaelem Mitchelllem.

— Przykro mi — oświadczył telefonista, ale pan Mitchell nie życzy sobie, żeby mu przeszkadzano, i wyraźnie zaznaczył, żeby nie przyjmować żadnych przeznaczonych dla niego wiadomości — zakończył.

Cudownie. Poprosiłam o połączenie z pracownikiem recepcji, który powiedział, że ma bilety u siebie, ale że zabroniono mu telefonować do Osoby czy choćby zapukać do drzwi jego pokoju.

Nie wierzyłam własnym uszom. Tym, co uniemożliwi Osobie przyjście na premierę, będzie fakt, że jego personel nie pozwala komukolwiek się z nim kontaktować, a nikomu nie przyjdzie do głowy, żeby zadzwonić do recepcji. Cała ta sytuacja była komiczna i gdybym miała

lepszy nastrój, może umiałabym to docenić. W tych okolicznościach moje urażone ego mogło zostać ukojone wyłącznie obecnością Osoby. Koniecznie chciałam zobaczyć minę Vivian, kiedy słynny muzyk wysiada z samochodu i lekkim krokiem idzie po czerwonym dywanie, żeby ostatecznie zasiąść w fotelu oznaczonym jego prywatnym symbolem.

Wzięłam głęboki oddech i zadzwoniłam do Deirdre, mając nadzieję, że we dwie jakoś rozwiążemy ten problem.

— Deirdre, chcę cię prosić o przysługę. Jeśli Osoba nie zdecyduje się przyjść dziś wieczorem na premierę, to czy możesz do mnie zadzwonić i poinformować mnie o tym? — spytałam.

— To nie takie proste — zaczęła. — Zgodnie z obowiązującą tu procedurą jedynie czterem osobom wolno z nim rozmawiać, a ja nie jestem jedną z nich. Nie wiem nawet dokładnie, kim jest tych czworo, wiem jedynie tyle, że Michael Mitchell kontaktuje się z którąś z nich — powiedziała.

I pomyśleć, że ja uważałam Glorious Pictures za najbardziej dysfunkcyjną strukturę na naszej planecie.

— Błagam cię, poproś kogoś, żeby zadzwonił i potwierdził, że Osoba lub jego ludzie otrzymali bilety. Naprawdę musimy to tutaj wiedzieć. — Mój głos zabrzmiał piskliwie z powodu zdenerwowania.

— Spróbuję — powiedziała Deirdre — ale i tak na pewno będziesz wiedzieć dopiero wtedy, kiedy go zobaczysz... albo nie zobaczysz.

Rozłączyła się.

Patrzyłam, jak Vivian dokonuje przeglądu stosu słuchawek z mikrofonami potrzebnych tego wieczoru i wy—

pytuje Clarka, czy baterie są aby na pewno świeże. Dla niej i Marlene sam pomysł, że to ja mogłabym zaprosić Osobę na premierę, był przekomiczny. Vivian w kółko mnie pytała, czy miałam od niego jakieś wiadomości, chcąc, żebym się czuła jak naiwna drugoklasistka, która wierzy w Świętego Mikołaja.

— Wysłałam bilety i jego ludzie mówią, że przyjdzie — odpowiedziałam, starając się, żeby zabrzmiało to naturalnie. W tej chwili te dwie były mi tak obmierzłe, że zaczęłam im życzyć gwałtownej ulewy, jedynej rzeczy, która oznaczałaby katastrofę dla premiery.

Kilka następnych godzin spędziłam na przyczepianiu taśmą z tyłu oparcie foteli kartek z nazwiskami, zgodnie ze skrupulatnie zaprojektowanym przez Vivian porządkiem. Było sprawą najwyższej wagi, żeby różne ważne osobistości zostały stosownie posadzone — blisko tych, których lubili, i z dala od tych, z którymi prowadzili wojnę czy się rozwiedli. Gwiazdy najwyższej rangi winny siedzieć najbliżej Phila i Tony'ego, co miałyby ich jednoczyć symbiotycznym docenianiem osiągnięć. Równie istotne było to, by aktorzy występujący w filmie siedzieli przy przejściu, tak żeby mogli wyjść z sali, kiedy tylko przygasną światła; z reguły nikt nie oglądał własnego filmu na premierze.

Im bliżej było seansu, tym więcej fotografów kłębiło się w zagrodzie dla prasy, a wzdłuż dywanu koczowało już ze dwadzieścia kolejnych ekip telewizyjnych i radiowych, nie licząc tych „wybranych” przedstawicieli mediów, których wpuszczono do kinowego foyer. Rozdaliśmy im wszystkim nowy, uaktualniony biuletyn informacyjny z listą nazwisk tych, którzy zamierzali się pojawić. Tłustym drukiem zaznaczono osoby, które dopiero co potwierdziły przybycie, nazwiska tych, którzy zawiadomili

nas, że się nie pojawią, ukradkiem usunięto. Dzisiejszą listę media powitały entuzjastycznie. Obsada *Wszyscy mogą śpiewać* mogłaby wypełnić całe wydanie „Star”, tyle w niej było aktorów filmowych i telewizyjnych, z których wielu dopuściło się rozmaitych ekscesów, uczestniczyło w skandalach i aferach. Tego wieczoru wszyscy oni mieli tu być, razem z tymi mieszkańcami miasta, których uznaliśmy za godnych zaproszenia. Vivian nie umieściła Osoby na tej liście.

Najbardziej elektryzująca wiadomość dotyczyła Buddy'ego Friedmana. Znany z neurotycznego charakteru reżyser dzisiejszego filmu miał pojawić się ze swoją nową małżonką, Mindy. O wiele młodsza od Buddy'ego Mindy była na dodatek przybraną bratanicą męża poprzez drugie małżeństwo jego brata. Pierwszy raz mieli się pojawić publicznie jako mąż i żona i przedstawiciele prasy aż się ślinili na tę okoliczność. Nawet dzisiejszy dość ograniczony dostęp nie ostudził ich zapału, w rezultacie akredytacji wydaliśmy dwa razy więcej niż normalnie. Przed poślubieniem Buddy'ego Mindy była bywalczynią nowojorskich przyjęć i balów dla wchodzących w świat panien i odbywała praktykę w domu mody Malcolma Leonarda. Odeszła stamtąd i została pomocnicą projektantki kostiumów do filmu *Wszyscy mogą śpiewać*, a dwa tygodnie po rozpoczęciu przymiarek wprowadziła się do Buddy'ego.

Związek Buddy'ego i Mindy był tematem nie kończących się spekulacji. Mimo że tak naprawdę nie byli krewnymi, w ich związku było coś przewrotnego, co fascynowało publikę. Kanał E! wszedł w posiadanie taśmy wideo z nagraniem przyjęcia wydanego z okazji dziesiątych urodzin Mindy i emitował ją raz za razem przez cały poprzedzający premierę tydzień. Był tam Buddy strojący głupie

miny, żeby rozweselić małą nadąsaną Mindy. Najwyraźniej kucyk, którego dostała w prezencie, nie był właściwej maści. „Kochanie, skarbie”, gruchała czule matka, „wszyscy wiedzą, że najmodniejsza jest maść izabelowata, a nie kara”, jednak Mindy nie dawała się przekonać. Czuło się, że był to ostatni raz, kiedy Mindy dostała niedokładnie to, czego chciała.

Miałam nadzieję, że uda mi się jeszcze urwać na chwilę do toalety, kiedy do krawężnika podjechała limuzyna Friedmanów i wyskoczyła z niej Mindy, rozłożyła szeroko ręce, jakby chciała objąć wszystkich fotografów. Tych ogarnął amok. Ona kręciła się jak fryga, żeby mogli obfotografować jej suknię z ciemnoszmaragdowego jedwabiu z nedorzecznie długim trenem, który musiała trzymać w powietrzu, żeby nie przydepnąć. Nabrała takiego rozpędu, że aż się zachwiała, Clark podskoczył ku niej, chwycił za łokieć i pomógł odzyskać równowagę.

— Jest z domu mody Malcolma Leonarda — oświadczyła, zanim ktokolwiek zdążył ją spytać. Potem obiema rękoma posłała całusy w stronę przedstawicieli prasy. Jej makijaż był współczesną wersją makijażu filmowej kusi—cielki z lat czterdziestych — krwistoczerwone usta, wysoko nakreślone luki brwi, sztuczne rzęsy, a nawet sztuczny pieprzyk strategicznie umiejscowiony tuż nad lewym kącikiem ust. Połyskujące mahoniowe włosy zebrane były w piętrzącą się wysoko fryzurę, przytrzymałą błyszczącymi klamerkami. Fotografowie szaleli.

Buddy zamrugał, oślepiony tymi wszystkimi fleszami, po czym ruszył pospiesznie po dywanie. Zamiast w typowy dla siebie wymięty smoking był ubrany w modny garnitur z zawiniętymi nogawkami spodni, w którym wyglądał jak podstarzały Beatles.

— Buddy! Buddy! Nie odchodź! — rozległy się okrzyki dziennikarzy. Mindy go powstrzymała i razem poszli powoli po dywanie, zatrzymując się i zamieniając kilka słów z każdym reporterem. Jeśli Buddy nie miał ochoty się odzywać, jego żonie to nie przeszkadzało; z radością robiła to za nich oboje.

— Owszem, Buddy czerpał szczególną przyjemność z kręcenia tego filmu, ponieważ zdjęcia robiono w Rzymie, jednym z naszych ulubionych miast — poinformowała przedstawiciela „Extra”. — Cóż, rzeczywiście, Buddy nie jest znany z filmów romantycznych, czy nawet z musicali, ale zaczęliśmy się widywać właśnie w tym czasie, kiedy film wszedł do produkcji, i przypuszczam, że coś z naszego romansu do niego przeniknęło — powiedziała „Access Hollywood”. — Jesteśmy tacy szczęśliwi. — Buddy ponownie przyspieszył, żeby dać nura wprost do wejścia. Udało mu się.

Mindy właśnie zauważyła jego nieobecność, kiedy tłum wydał kolejny okrzyk. Trzy nastolatki, które grały kłótlive siostry we *Wszyscy mogą śpiewać*, robiły efektowne wejście. Wszystkie miały na sobie olśniewająco białe kreacje od Gucciego i efekt był oszałamiający. Każda z nich była piękna, ale Francesca Davis, czternastolatka, która grała środkową siostrę, przyćmiewała urodą dwie pozostałe. Po części zawdzięczała to szczęściu i rysom, a po części uczesaniu i makijażowi, co zafundowała jej Glorious za siedem i pół tysiąca dolarów. Allegra była wściekła z powodu tych dodatkowych kosztów i winiła za nie swoją skromną osobę.

Cała sprawa zaczęła się poprzedniego dnia rano, kiedy przyjąłem telefon na linii Allegry.

— Halo, tu Gladys Mermelstein do Allegry — odezwał

się piskliwy głos. Miałam przykazane, żeby nie zbywać matki Franceski Davis, więc przełączyłam ją na komórkę Allegry. Allegra była w rezydencji doktor Rich, zajęta podejmowaniem decyzji, gdzie urządzić salonik dla VIP—ów na czas po przyjęciu. Wcisnęłam przycisk wyłączający mój głos, żeby posłuchać, o czym mowa.

— Allegra? Tu Gladys Mermelstein. Potrzebujemy pewnej drobnej przysługi w związku z jutrzejszym wieczorem.

— Och, Gladys, oczywiście. O co chodzi? — Słyszałam nutkę niepokoju w głosie Allegry. Francesca była najnowszą ulubienicą Phila i tandem Davis—Mermelstein wyciskał z tej sytuacji maksymalne korzyści. Ich żądania były coraz częstsze i coraz bardziej kosztowne, którą to tendencję Allegra próbowała w miarę możliwości powstrzymać.

— Cóż, wiesz, że Francesca zawsze chce jak najlepiej reprezentować Glorious, a zważywszy na całą tę pracę, jaką wykonuje na rzecz tego filmu... to znaczy dwie godziny spędziła z reporterem „People”. — Gladys mówiła, jakby fakt, że jest się bohaterką pełnego zachwyków artykułu głównego w „People”, był czymś zbliżonym do leczenia kanałowego.

— Gladys, jesteśmy zachwyceni, że Francesca udzieliła tego wywiadu. Czego potrzebujecie? — Teraz w tonie Allegry można już było usłyszeć wyraźną nerwowość.

— Musimy mieć dla Franceski na jutrzejsze popołudnie, przed wyjściem na premierę, fryzjera i wizażystę.

— W porządku, nie ma problemu, zajmiemy się tym. Czy trzecia będzie odpowiednia?

— Mówiąc dokładnie, do uczesania Francesca chce Loo—seya Longa, a do makijażu Randy'ego Bennetta. Sarah Jessica Parker powiedziała nam, że są niesamowici.

Ojej. Ci dwaj kosztują majątek.

— Gladys, nie sądzę, by można było tak od ręki dostać Looseya i Randy'ego, więc pozwól, że wyślę kogoś, o kim wiem, że jest świetny. Załatwimy Looseya i Randy'ego dla Franceski na zaplanowaną na przyszły miesiąc imprezę związaną z *Ladną buzią*. — Allegra reagowała szybko, ale to Gladys dyrygowała.

— Wyśmienicie! Będziemy zachwycone. Ja nawet nie myślałam z takim wyprzedzeniem, więc cudownie... załatw to. Ale — ciągnęła Gladys — mam dobrą wiadomość, obaj są jutro wolni. Już do nich dzwoniłam, żeby ich uprzędzić.

Krótką chwila milczenia.

— W porządku, Gladys, moje biuro zajmie się tą sprawą. Czy trzecia wam odpowiada? — Głos Allegry stał się niemal niesłyszalny.

— Prawdę mówiąc, czwarta wystarczy. Wiesz przecież, że mojej córki nie trzeba specjalnie upiększać — oświadczyła Gladys i rozłączyła się.

Allegra natychmiast do mnie zadzwoniła. Przez całą rozmowę skupiałam się na udawaniu, że nie słyszałam ich konwersacji.

— Karen, jak mogłaś łączyć mnie z Gladys na dzień przed premierą? — wyszeptała z wściekłością. — Teraz muszę zapłacić majątek, żeby Loosey Long i Randy Bennett pojechali jutro do Fort Lee i nadali blasku Francesce Davis. Dlaczego jej nie powiedziałaś, że nie można mnie złapać?

— Allegro, przecież mi przykazałaś, że dla matki Franceski zawsze jesteś „tutaj” — odparłam błagalnym tonem, próbując się jakoś bronić.

— Ludzie wydzwanają do nas na dzień przed premierą, ponieważ — czegoś — chcą — wyskandowała, kładąc nacisk

na każde słowo. — Daj mi Dagney — wyszeptła przez zacisnięte zęby. Zawiesiłam rozmowę, odwróciłam się do Dagney i wskazałam jej telefon. Byłam zbyt wściekła, żeby się odzywać.

Teraz, obserwując, jak Francesca i dwie pozostałe młode aktorki suną po dywanie, doszłam do wniosku, że chociaż Gladys Mermelstein jest cholernie upierdliwa, to jest też genialnym menedżerem. Trzy dziewczęta pozowały przez chwilę fotografom.

— Francesca, mogę zrobić ci jedno osobno? — zawołał któryś, a ona zrobiła minę z gatunku „komu, mnie?” i ruszyła do przodu, zostawiając z tyłu swoje dwie towarzyski, które wyglądały na wstrząśnięte jej zachowaniem.

— Francesco, pozwól obejrzeć swoją suknię — zawołał inny fotograf i wkrótce wszyscy znowu krzyczeli i pstrykali jej zdjęcia. Clark zobaczył, co się dzieje, i poprowadził dwie porzucone młode osóbkę do środka.

Moim zadaniem na resztę wieczoru było stanie przy krawężniku ze słuchawką w uchu i mikrofonem, żeby o pojawianiu się kolejnych gości informować kolegów, którzy mieli z kolei prowadzić VIP—ów do zarezerwowanych dla nich miejsc. W naszej oficjalnej notatce „Wytyczne dot. Premiery” moja funkcja określona była mianem „obserwatora”. Przy różnego rodzaju wydarzeniach to zajęcie przydzielano mi dość często, bo, jak kiedyś oświadczyła Allegra, „pracowałam w mediach”. Była w tym jedynie odrobina prawdy, ale w rezultacie, niezależnie od pory roku, musiałam sterczeć na dworze. Phil i Tony stawali się coraz ważniejszymi postaciami w świecie lobbingu, filantropii i sponsoringu. Politycy i przerwóżni potentaci oraz ich latorośle zapraszani byli na imprezy Glorious i bracia wymagali, żeby ich goście podejmowani

byli z należyтым szacunkiem. Krążyła też wśród nas prze-
rażająca legenda, jak to kiedyś asystentka z działu public
relations wytwórni Fox nie rozpoznała Ruperta Murdo-
cha i nie wpuściła go na przyjęcie, mimo że się jej przed-
stawił. Ja byłam gotowa rozpoznać nawet takie „niezna-
komitości” jak sekretarz obrony, były gubernator Con-
necticut czy prezes Intelu. Tego wieczoru nie było natłoku
osób znanych z wiadomości CNN i właściwie poza wypa-
trzeniem aktorów grających w filmie niewiele miałam do
roboty. Była za dwie ósma, kiedy zajechała kuloodporną
limuzyna i rozległy się głośne okrzyki.

— Hej, Osobo! Tutaj, tutaj, Osobo! Osobo, tylko jedno
zdjęcie!

Zebranych przedstawiciele mediów opanowała nagła
gorączka. Wreszcie pojawił się mój książę.

— Osoba przybył — oświadczyłam triumfalnie prosto
w mikrofon.

Osoba, olśniewająco odziany w obcisłą pomarańczową
skórę, szybkim truchtem przemierzył dywan. Nie zatrzy-
mał się dla fotografów, którzy zaczęli głośno buczeć na
znak dezaprobaty, kiedy zorientowali się, że nie zamierza
nawet zwolnić. Naszej znakomitości towarzyszył mężczy-
zna z najgrubszym karkiem, jaki w życiu widziałam, ubra-
ny na czarno od stóp do głów, w robionym na drutach
kapeluszu na głowie. Wyglądał jak przekarmiony stery-
dami włamywacz. Zrobił przegląd dziennikarzy i fanów
zebranych na chodniku, po czym wyciągnął szyję, żeby
sprawdzić, czy na markizie nie czają się jacyś snajperzy.

— Michael Mitchell? — spytałam podeskscytowana.

— Gdzie są nasze miejsca? — usłyszałam w odpowiedzi
i w tym momencie pojawił się Robert i błyskawicznie za-
brał obu do środka.

Kilka minut po rozpoczęciu seansu prawie cała obsada filmu wywędrowała po cichu, żeby wystroić się na przyjęcie. Planowaliśmy z Clarkiem w tym czasie coś przekąsić, ale film był za krótki, a kiedy wsadziliśmy ostatnich ważnych gości do aut, już trzeba było ruszyć do rezydencji, która mieściła się przy Siedemdziesiątej Którejś Ulicy między alejami Madison i Piątą.

Po przybyciu na miejsce miałam znowu wypatrywać gości, dopóki nie pojawi się Elliott, w którym to momencie Dagny miała przejąć ten obowiązek, żebym mogła być „przy” Elliotcie. To oznaczało, że miałam się trzymać felietonisty podczas przyjęcia i pozwalać mu na kontakt jedynie z tymi osobistościami, które już wcześniej poinformowały nas, że mają ochotę z nim porozmawiać. Gdyby temat rozmowy okazał się zbyt drażliwy albo gdyby nasz podopieczny spędził więcej niż, powiedzmy, trzy minuty z daną znakomitością, miałam subtelnie doprowadzić do zakończenia rozmowy. Wówczas, w ustalonym wcześniej momencie, autor kolumny towarzyskiej zostałby odprowadzony AŻ DO SAMEGO KRAWĘŻNIKA, jak napisano drukowanymi literami w naszej instrukcji. Kiedyś zapytałam Clarka, co to za historia z tym rytuałem określanym jako „aż do samego krawężnika”.

— No cóż — powiedział — kiedyś, kiedy Robert dopiero zaczął tutaj pracować, odprowadził faceta z magazynu „New York” do drzwi i założył, że wyszedł. Tymczasem tamten zrobił w tył zwrot i zaczął napastować Urnę w sprawie jakiegoś tajemniczego tatuażu, jaki rzekomo miała. Następnego dnia prezes OMG, który jest też jej agentem, zadzwonił do Tony'ego i groził, że mu nogi z dupy powyrywa. — Clark obdarzył mnie jednym ze swoich znaczących uśmiezków. — Teraz usatysfakcjonuje ich

tylko oficjalne oświadczenie w stylu „Elvis opuścił budynek”.

To by wyjaśniało, dlaczego na każdej premierze Robert z taką gorliwością przestrzegał zasady „do samego krajeźnika”. „Myślę, że zacznę odprowadzać każdego z tych pismaków do najbliższego rogu”, powiedział do mnie w zeszłym tygodniu. „Nigdy dość ostrożności z tymi facetami”.

Wypatrywanie gości popremierowego przyjęcia zwykle nie trwało długo, ponieważ większość przyjeżdżała w tym samym czasie, a na zewnątrz nie było ani czerwonego dywanu, ani prasy. Jednym z pierwszych gości okazał się Osoba... czy raczej ochroniarz prawdopodobnie znany jako Michael Mitchell. Osoba, moja Osoba, czekał w limuzynie, podczas kiedy odziany na czarno olbrzym wszedł do środka. Podreptałam za nim i z ogromnego foyer rezydencji doktor Rich obserwowałam, w jaki sposób sprawdza stan bezpieczeństwa. Postukał w kilka okien i opukał jedną ze ścian sali balowej na pierwszym piętrze. Otworzył drzwi szafy w ścianie. Podniósł słuchawkę telefonu. Wszedł do kuchni, rozmiarami przypominającej restauracyjną, wyszedł.

— Nie dość bezpiecznie — mruknął do mnie.

— Chwileczkę — powiedziałam. — Michael Mitchell? — zapytałam raz jeszcze.

W odpowiedzi wszedł do limuzyny. Potem z tyłu auta wysiadła Emily Downes, a nim zamknęła drzwi i zaczęła machać, nachyliła się i rzuciła Osobie ostatnie słowa pożegnania. A jednak odniosłam zwycięstwo i ten wieczór nabrał dla mnie szczególnego blasku. Była to jedna z niewielu okazji podczas całej mojej pracy w Glorious, kiedy byłam w stanie się odprężyć.

Kilka chwil później Clark stanął obok mnie. Palił papierosa i czekał na Joannę Molloy, jedną z połówek małżeńskiego zespołu piszącego rubrykę towarzyską w „New York Daily News”.

— Wiem, kto jest dzisiaj bardzo zadowolony — oświadczył.
— Kto?

— Daj spokój, Karen. Masz za zadanie trzymać się Elliotta Solnicka. A wiem, że masz na niego oko.

— Taa, może i tak, tyle że po dzisiejszym wieczorze on mnie znienawidzi. Wiesz, że prawie nikt nie chce z nim rozmawiać.

— Co znaczy, że macie z Elliottem więcej czasu dla siebie. Poza tym Francesca, Mindy i Phil nie powstrzymują się od mówienia. Jedynie grający główne role w filmie milczą.

Skąd Clark wiedział, że jestem zainteresowana Elliottem? Byłam pewna, że mu tego nie powiedziałam, jak zresztą nikomu innemu w biurze. Czyżby Dagny zauważyła moją durną minę, kiedy Elliott dzwonił? Cóż, nie zamierzałam puszczać farby i postanowiłam czekać na rozwój wypadków.

— Hej, Karen. — Elliott nagle wyrósł tuż przede mną. Nachylił się i złożył na moim policzku niewinny pocałunek. — Ładne pantofelki — rzucił, choć nie zabrzmiało to zbyt przekonująco. — Pozwól, że zgadnę... dziś przydzielono cię do mnie i nikt nie chce gadać.

Umiejętność Elliotta błyskawicznego orientowania się w sytuacji zrobiła na mnie duże wrażenie i jednocześnie zrozumiałam, dlaczego kobiety były oczarowane Jamesem Bondem... jest bowiem szczególny seksapil w mężczyźnie, który nie potrzebuje żadnych wyjaśnień, żeby dokładnie wiedzieć, co się dzieje.

— Cóż, masz rację jedynie w połowie — powiedziałam. —

Rzeczywiście, przydzielono mnie do ciebie, ale niektórzy jednak rozmawiają.

— Co ty powiesz? Mindy Friedman rozmawia. Francesca Davis rozmawia. I Tony oraz Phil.

— Tylko Phil — poprawiłam. — Poza tym się zgadza. Przykro mi.

— Twoi szefowie mają fioła na punkcie trzymania wszystkiego pod kontrolą. Co mnie jeszcze czeka, smycz? — Elliott pokręcił z uśmiechem głową.

Nie miałabym nic przeciwko temu, pomyślałam sobie. Nadal czułam się lekko, a nawet odrobinę szaleńczo po moim zwycięstwie w sprawie Osoby. Możliwe, że zniknął wreszcie niepokój, jaki mnie dręczył przez cały czas po wyrzuceniu Trishy.

— Sądzisz, że odpowiada mi rola oficjalnej świętoszkowatej żony?

— Chyba troszkę ją lubisz — odparł, puszczając do mnie oko i zapalając papierosa.

— J a k to wygląda w innych wytwórniach? — spytałam, zdając sobie sprawę, że nie mam na ten temat najmniejszego pojęcia. Moje pojęcie „normalności” bowiem ukształtowane było wyłącznie przez Glorious. — Jak tam wyglądają premiery?

— W zasadzie niby tak samo... film, przyjęcie, gwiazdy. Tyle że inni nie próbują nas aż tak bardzo kontrolować. Chodzę sobie, gdzie chcę, rozmawiam z paroma osobami, a potem wychodzę. Wszystko to robię sam, bez obstawy.

— Ale w takiej sytuacji nie kręciłbyś się tu w moim towarzystwie — powiedziałam.

— Może wtedy mógłbym wybrać twoje towarzystwo. I nie miałbym uczucia, że Wielki Brat spogląda mi przez ramię.

— Bracia — poprawiłam go.

Elliott pokręcił głową i zmienił temat.

— Karen, słyszałam pewną historyjkę o synu Tony'ego.

Nie wiedziałam, że Tony w ogóle ma syna, ale dałam mu znak, że ma mówić dalej.

— Ktoś mi powiedział, że chłopiec miał w zeszłym tygodniu zacząć naukę w college'u i Tony wysłał dwóch drabów do akademika, by przypilnowali dla niego lepszego łóżka i lepszej szafy, żeby przypadkiem współlokatorowi młodego Waxmana nie przyszło do głowy ich zająć.

— Wcałe by mnie to nie zdziwiło — powiedziałam. — Ale prawdę mówiąc, nawet nie wiedziałam, że Tony ma potomstwo.

— Najwyraźniej jest w tej sprawie dyskretny... bezpieczeństwo i w ogóle — powiedział Elliott, gasząc papierosa. — No dobrze, chodźmy.

Byłam bardzo zadowolona, że mogę wreszcie wejść w światło i ciepło przyjęcia u boku Elliotta. Dom doktor Rich znajdował się w posiadaniu jej rodziny od trzech pokoleń i wyposażono go — z fantazją godną europejskiego ziemiaństwa — w szerokie schody, skrzące żyrandole, płótna dawnych mistrzów i oszalamiające perskie dywany; różne sławy, siedzące grupkami w każdym zakątku i stojące w malowniczych pozach przy każdym wejściu, przydawały blasku tej scenerii. Meble w stylu Ludwika XIV odsunięto na boki, żeby dać gościom jak najwięcej swobody i okazji do rozmów, z czego skwapliwie korzystali. Trzy młode aktoreczki, każdemu, kto tylko zechciał słuchać, opowiadały głośno o tym, że nie mają na sobie bielizny i że nigdy już nie zamierzają jej nosić. Aktorka, gwiazda rocka, przyjaciółka Normana Harrisa, grającego jedną z głównych ról męskich, przypierała do muru Phila

w sprawie dotyczącej ewentualnej roli w jakimś przyszłym filmie Glorious. Buddy, który zdecydowanie nie przepadał za tłumem, przyglądał się przyjęciu z podestu na piętrze, niezgrabnie przewieszając swoje chude ciało przez ozdobną metalową balustradę. W głębi kwartet smyczkowy grał z profesjonalną godnością, pomimo że szum rozmów skutecznie zagłuszał wysiłki muzyków.

Padalam z głodu, tymczasem jedzenia jak zwykle było niewiele. Bar natomiast dobrze zaopatrzone i goście wykorzystywali to ochoczo. Mindy perorowała, otoczona przez niewielki krąg felietonistów, wobec czego skierowaliśmy się w stronę Franceski.

— Francesco, oto Elliott Solnick z „New York Post” — przedstawiłam ich sobie.

Pocałowała go w policzek i skromnie wyraziła nadzieję, że film mu się podobał. Widziałam, że Elliott jest oczarowany. Spytał ją o scenę miłosną z Normanem Harrisem. Kiedy zaczęła odpowiadać, zauważyłam, że wzrok Elliotta wędruje w dół, ku podłodze. Podążyłam za jego spojrzeniem. Maleńkie stopki Franceski obute były w lekkie sandaalki na wysokich obcasach, a paznokcie odsłoniętych palców połyskiwały ciemnoczerwonym kolorem.

— Byłam taka zdenerwowana — odparła. — Norman jakby nie wiedział, co ma robić z rękoma, a potem oboje jakby przechylaliśmy się do pocałunku i Norman był cały spocony.

— Spocony? — spytał Elliott, nadal wpatrując się w jej śliczne zakończone czerwonymi paznokietkami paluszki.

Miałam ochotę zrzucić pantofelki i boso stanąć przed nim.

— Zgubiłeś coś, Elliott? — przerwała rozmowę pani Mermelstein.

— Nie, podziwiam tylko ten wspaniały parkiet — odparł gładko. — Mówiłaś, Francesco, o całowaniu się z Normanem — odpowiedział.

— Cóż, chyba oboje byliśmy naprawdę zdenerwowani. Ale przecież kręciłam ten film w zeszłym roku. Gdybym dziś miała pocałować Normana, nie byłabym ani trochę zdenerwowana.

Spojrzała na Elliotta spod lekko uniesionych brwi. Wiedziałam, że za wymierzenie policzka wschodzącej gwiazdzie natychmiast wyleciałabym z pracy, ale w tamtym momencie wydawało mi się to niemal tego warte. Nie zaryzykowałam jednak i zmusiłam się, żeby zareagować śmiechem na jej komentarz dotyczący Normana. Elliott starał się zachowywać jak gdyby nigdy nic, chociaż dobrze wiedział, że właśnie udało mu się zdobyć coś, co idealnie nadaje się do cytowania. Byłam pewna, że artykuł pójdzie pod nagłówkiem w stylu FRANCESCA DAVIS CZEKA NA POCAŁUNEK. Potem Francesca rozgadała się na temat filmu, który właśnie kręci dla Warner Brothers, a w którym występuje obok Sarah Jessiki Parker, tej, co to poleca kosztownych artystów od upiększania.

— Francesco, słyszałam, że podobno ty, Casey i Corinne improwizowałyście wiele kwestii, żeby brzmiały bardziej naturalnie — wtrąciłam się, próbując ponownie skierować rozmowę na *Wszyscy mogą śpiewać*.

— Taa, owszem — rzuciła i natychmiast wróciła do pełnego zachwyty monologu o wspaniałej Sarze. — Wiecie, ona na początku jakby mnie przerażała, ale okazała się super. Byłam naprawdę zdenerwowana, a ona pozwoliła mi uwierzyć w siebie. A potem przekazała mi swojemu stylisście i teraz noszę najlepsze buty — oświadczyła z dumą.

W tym punkcie musiałam się z nią zgodzić. To było beznadziejne. W żaden sposób nie mogłam jej zmusić do mówienia o naszym filmie, a ona paplała w kółko o innym i wyglądała przy tym oszalamiająco. W końcu, a wydawało mi się, że minęły ze trzy godziny, Elliott podziękował kilkunastoletniej gwiazdeczce i obdarzył ją szybkim całusem na dobranoc. A potem poprosił o rozmowę z Philem.

— Jesteś pewien, że nie wolisz najpierw pogadać z Min—
dy? — spytałam.

— Chyba nie boisz się Phila, co? — on z kolei spytał mnie.
— J a s n e , że nie.

Przez kilka ostatnich dni unikałam Phila jeszcze bardziej niż zwykle. W poniedziałek Matt zadzwonił do Allegrzy i powiedział jej, że chciałby zaprosić na premierę *Wszyscy mogą śpiewać* jakichś dyrektorów od reklamy, ale Vivian odmówiła jego prośbie. Podśluchiwałam, jak Matt opowiadał Allegrze o jakiejś niesamowitej sytuacji, której był świadkiem, kiedy leciał odrzutowcem Phila z Los Angeles do Nowego Jorku.

— Wiesz, że on kopci jak komin i że w takim małym samolocie nie ma przed tym ucieczki. I oczywiście nikt nie odważy się go poprosić, żeby przestał. — Matt powiedział, że gdzieś w połowie lotu steward przyniósł Philowi półgalonowy pojemnik z waniliowymi lodami i łyżkę. Phil jadł i palił, a kiedy miał już dość lodów, strząsał do nich popiół, w końcu wtykając w nie pety.

Allegra, zgodnie ze swoim zwyczajem, nie reagowała.

— Allegra? — spytał Matt, nie będąc pewien, czy się nie rozłączyła.

— Mów dalej.

— No więc patrzę, a on zdejmuje buty i skarpetki, wyj—

muje obcinacz i zaczyna obcinać paznokcie, których kawałki wpadają do usianych popiołem lodów. Z trudem się powstrzymywałem, żeby nie zwymiotować.

Wtedy Allegra zareagowała, mówiąc, że jego dyrektorzy mogą przyjść na premierę, ale bez osób towarzyszących.

Byłam tak zdegustowana, że odłożyłam słuchawkę i ruszyłam, żeby opowiedzieć o wszystkim Robertowi, poddać się swoistemu egzorcyzmowi, ale efekt był nieszczególny; obawiałam się, że przez jakieś pięć lat nie będę mogła spojrzeć na lody.

Powiedziałam Elliottowi, że zobaczę, co się da zrobić, i ruszyłam w stronę jaskini Phila. Dwie z jego asystentek trzymały straż jak cerbery pomiędzy wejściem do sali dla VIP—ów a jego prywatnym stolikiem. Podeszłam do Sabrina i spytałam, czy mogę przyprowadzić Elliotta. Odpowiedź, którą mi przyniosła, była pozytywna, z zastrzeżeniem, że rozmowa ma się ograniczyć do trzech minut.

Kiedy zaczęłam ich sobie przedstawiać, Phil mi przerwał.

— Nie musisz mi mówić, kim jest Elliott Solnick — warknął. — Siadaj, Elliott. Dzięki, że przyszedłeś. — Nie spojrzął na mnie, machnął tylko ręką w moją stronę. — Zostaw nas samych — burknął. — I co powiesz o France—sce, Elliott? Niezła dupa, co? — Rechotali sprośnie, kiedy się wycofywałam. — Ale mówiąc serio, dziewczyna ma talent, to taka młoda Audrey Hepburn. Ma w sobie coś tak naturalnego, co aż wali z ekranu — w tym momencie wyciągnął rękę i chwycił ramię Elliota — i łąduje ci wprost na kolanach. — Więcej głośniego rechotu. Stałam z boku sali, skąd mogłam ich widzieć, ale na szczęście nie mogłam słyszeć.

Ze swojego punktu obserwacyjnego obok drzwi do sali balowej zobaczyłam, jak Robert, który miał być „przy” Cindy Adams, pogrążony jest w rozmowie z Mermelstei—nami, podczas gdy Francesca rozmawia z Cindy, która przez swoje małe okulary podziwia jej wspaniałe sandały. Rozświetlone postaci gości przesuwają się przed moimi oczyma. Ich powolny ruch, zbliżanie się, oddalanie, z dyskretną muzyką w tle, przypominało taniec, w którym ludzie gawędzą, zmieniają partnerów, podziwiają wzajemnie swoje stroje, a potem podążają za jakimś skomplikowanym schematem i ustawiają się inaczej. Wszyscy wydawali się doskonale bawić, ale ja wiedziałam, że nie poczują się swobodnie, dopóki z sali nie zniknie ostatni przedstawiciel mediów.

Po kilku minutach głos w słuchawce poinformował mnie, że właśnie ten moment nadszedł. Pomachałam do Sabriny i pokazałam na zegarek, a ona zbliżyła się do Phila i szepnęła mu coś do ucha. Phil wymienił z Elliottem uścisk dłoni, a ja podeszłam, żeby przejąć swojego podopiecznego.

— Przykro mi, Elliott, ale muszę to teraz zrobić.

— Sam wyjdę. — Otworzył usta i podniósł ręce w udawanym przerażeniu. — Żartuję, Karen. Przecież wiem, jak to funkcjonuje. — Wysłałam z nim na ulicę i pamiętając o ostrzeżeniu Roberta, towarzyszyłam mu do najbliższej przecznicy. Był piękny wieczór i niebo usiane było prawdziwymi gwiazdami. Rześkie wrześnieowe powietrze dawało człowiekowi poczucie swobody, a według instrukcji, po wyprowadzeniu stąd Elliotta byłam wolna. Właśnie się zastanawiałam, w jaki sposób mam subtelnie go o tym poinformować, kiedy ścisnął niespodziewanie moje ramię.

— Dzięki, Karen. Muszę pędzić — powiedział. Zalała mnie fala rozczarowania. Miałam nadzieję, że przynajmniej wypijemy razem drinka, teraz, kiedy byłam już oficjalną świętoszkowatą żoną po służbie. A tymczasem on przywołał taksówkę i sadził się w środku. Miałam przez chwilę nadzieję, kiedy wychylił się do mnie, jakby zapomniał o coś zapytać. — Karen! Kazali ci się też upewnić, że zamknąłem drzwi? — Roześmiał się, zatrzasnął drzwi i taksówka odjechała.

Oparłam się o wiatę przystanku autobusowego, wzdając wzrokiem po eleganckich butikach Madison Avenue, i próbowałam zgadnąć, dlaczego Elliott okazał się taki zimny. Wiedziałam, że trudno wyglądać atrakcyjnie w sali wypełnionej pięknosciami, ale przecież Elliott chyba wiedział, na czym polega różnica... od lat już się tym zajmuje. Moje rozmyślania przerwało nagłe pojawienie się Roberta, który poprosił mnie o papierosa. Zapalił, zaciągnął się, rozkołysał na piętach.

— To było świetne, Karen. Odprowadziłaś Solnicka i wsadziłaś do taksówki. Muszę to sobie zapamiętać.

— Nie całkiem taką strategię miałam na myśli — odparłam ponuro.

— Nieudany wieczór? — spytał.

Skinęłam głową, a on zaproponował, żebyśmy wpadli na drinka do pobliskiego baru, ale powiedziałam, że chyba już pójdę do domu. Wsiadł do taksówki, a ja stałam dalej, próbując zgadnąć, czym odstraszyłam Elliotta.

— Witam. — Wzdrygnęłam się, kiedy usłyszałam głos dobiegający z mroku za moimi plecami.

— Witam? — odpowiedziałam niepewnie, usiłując zobaczyć, kto to taki. Północ to północ, nawet w najlepszej dzielnicy, więc byłam trochę zaniepokojona. Kiedy po—

stać wynurzyła się z mroku, w błysku przypomnienia rozpoznałam mężczyznę stojącego na końcu czerwonego dywanu w Los Angeles.

— No proszę, toż to moja przyjaciółeczka z Hollywood — zauważył, a w jego sposobie bycia było coś, co spowodowało, że poczułam się nieswojo. Wyglądał dokładnie tak samo... byłam prawie pewna, że ma na sobie ten sam starannie wyprasowany garnitur, który miał wtedy, tyle miesięcy temu.

— Czy pan jest, czy pan George... Hanratty? — wyjąkałam.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Przeczucie.

— Akurat... pewnie Phil i Tony dali wam wszystkim moje zdjęcie. Wróg publiczny numer jeden — powiedział z goryczą w głosie.

— Niezupełnie — odparłam. — Nie mam żadnego zdjęcia. Naprawdę niewiele o panu mówią.

— Bo uważają, że nie stanowią zagrożenia — stwierdził i zacisnął mocno usta. Ręce trzęsły mu się odrobinę mniej niż wtedy w Los Angeles. — Powiedz mi prawdę... mówią pewnie, że jestem pijakiem, że się skończyłem, że już nie potrafię pisać... i tak dalej.

Stałam jak skamieniała.

— To dla mnie żadna nowina. Więc możesz mi powiedzieć.

Skinęłam tylko nieznacznie głową.

Westchnął i cały gniew z niego wyparował, a jego miejsce zajął bezbrzeżny smutek. Stał ze zwieszoną głową i opuszczonymi ramionami.

— Proszę pana? Wszystko w porządku? — Zaniepokoiłam się. Wyglądał, jakby był chory.

— Nic mi nie jest — odparł i wyprostował się. — Zupełnie nic. A poczuję się jeszcze lepiej, kiedy skończę tę książkę. Masz pojęcie, ilu ludzi chce poznać prawdę o Waxmanach? Dowiedzieć się, że Gloria obcinająca sąsiadkom włosy w swojej kuchni przy zlewozmywaku oraz Phil i Tony o własnych siłach wyrrywający się z Bronksu to nie wszystko. — Nie odzywałam się. — Prawdziwa historia jest mniej urocza — dodał.

Marzyłam, żeby stamtąd zniknąć, przysunęłam się do krawężnika, żeby zatrzymać taksówkę, ale kiedy Hanratty dotknął mojego ramienia, zamarłam.

— Nie zamierzałem cię przestraszyć, moja droga — powiedział łagodnie. — Nigdy bym nikogo nie skrzywdził.

— Wiem. Ale nie mogę panu pomóc.

— Nie musisz. Mam tam wszędzie swoje oczy i uszy.

— To dlaczego rozmawia pan ze mną?

— Wydawałaś mi się od nich inna. Kiedy cię zobaczyłem podczas tamtej oscarowej gali i kiedy mi powiedziałaś o Tedzie Roddym... zauważyłem, że jesteś tym zdenerwowana. A przy tym tak bardzo się starasz, że człowiekowi serce się kraje.

— Co pan ma na myśli?

— Za poważnie to wszystko traktujesz. To wczesne wstawanie, czytanie gazet w lincolnie, wyprawy do „Timesa” w środku nocy.

Hanratty o wiele za dużo o mnie wiedział... może nawet znał mój adres. Byłam przerażona. Zza rogu wyjechała taksówka i zaczęłam szaleńczo na nią machać, przebiegłam dwa pasy, żeby tylko znaleźć się w jej bezpiecznym wnętrzu. Podając kierowcy adres, zerknęłam przez okno na małą, smutną postać, stojącą samotnie w mroku.

Rano przyszedłam odebrać i rozdać to, co prasa napisała o premierze. Większość gazet wydrukowała zdjęcie Osoby — czy raczej pleców Osoby — kiedy wchodził na projekcję. Większość też miała nagłówki będące wariacjami na temat tytułu filmu, na przykład *Nie wszyscy mogą śpiewać*.

Allegra ledwie mnie zobaczyła, kazała mi przyjść do swojego gabinetu i usiąść.

— Wiem, że jesteś podekscytowana tym, że Osoba pojawił się wczoraj wieczorem, a przyznaję, że nie spodziewałam się tego — wyszeptała, przerzucając kartki „Spektrum”. Była ubrana w coś, co nazwałabym jej „strojem dzień później” — luźną, aksamitną, czarną sukienkę, którą często wkładała dzień po premierze, a w której było jej równie do twarzy jak w szpitalnym szlafroku. Przypuszczałam, że jest to jej prywatna wersja spodni od dresu i T—shirtu noszonych przez innych na kacu. — Ale nie potrzebujemy tego rodzaju reklamy dla filmu. Bo teraz we wszystkich gazetach jest jego fotografia, a nie Buddy'ego Friedmana czy Franceski Davis, czy któregokolwiek z talentów występujących w filmie — oświadczyła, podkreślając to słowo, żeby dać mi do zrozumienia, że ja talentem nie jestem, po czym obróciła się razem z fotelem do szafy z aktami, plecami do mnie.

Wyszłam z gabinetu.

Byłam wykończona, głowa mi pękała, nie miałam zielonego pojęcia, co robić czy mówić w związku z Hanrat—tym. Mieliśmy natychmiast zgłaszać, gdybyśmy go zauważyli, ale nikt nigdy go nie widział, przynajmniej odkąd ja się tu pojawiłam. Kiedy powiedział, że ma wszędzie swoje oczy i uszy, zrozumiałam, że gdyby ktokolwiek z Glorious wiedział o moim z nim spotkaniu, z pewnością zostałabym wplątana w to, co się ostatecznie wydarzy

z jego książką. Zaświtało mi nagle w głowie, że być może jestem tylko jedną z wielu osób, które się na niego natknęły, ale wszyscy wolą milczeć. Hanratty znał Glorious... znał na tyle dobrze, by móc wykorzystać charakterystyczny w tej firmie brak zaufania do pracowników jako wygodną osłonę dla swojego dochodzenia.

Kiedy po spotkaniu z Hanrattym wróciłam do domu, Ellen czekała na mnie z informacją, że jeden z sąsiadów spytał ją, czy ja przypadkiem nie pracuję w agencji towarzyskiej. Najwyraźniej więcej osób miało podobne podejrzenia, co wyjaśniało incydent ze spanielem, który wydał mi się bardzo odległy, podczas gdy w rzeczywistości wydarzył się dzień wcześniej. Kiedy Ellen wyjaśniła, że pracuję w Glorious, facet był na tyle bezczelny, żeby spytać, czy nie mogłabym mu załatwić plakatu z *Perp Friction*.

Czy wszyscy wokół mieli mnie albo wykorzystywać, albo obrażać? To już zaczynała być jakaś pieprzona epidemia.

Ostatnio nie sypiałam dobrze, więc kiedy o czwartej trzydzieści zadzwonił telefon, dawno wyrwana ze snu siedziałam przy komputerze, zaliczając test eneagramowy. Liczyłam na to, że znajdę jakiś klucz do zrozumienia zawłości natury moich współpracowników i odpowiedź na pytanie, dlaczego mój zrównoważony przecież charakter nie pomaga mi zyskać ani przyjaciół, ani pozycji w Glorious.

— Musisz pędzić do biura, złociutka — odezwała się Belinda z saloniku prasowego. Dałam jej mój numer w razie jakiejś nagłej konieczności i po raz pierwszy go wykręciła. — Na pierwszej stronie „New York Observera” jest artykuł zatytułowany *Forsa, kłamstwa i gwałty na wideo — jak okpiłem Phila Waxmana na 15 milionów dolarów*.

Podziękowałam jej, ubrałam się we wczorajsze ciuchy zebrane z podłogi, wskoczyłam do taksówki i pojechałam do śródmieścia. Kiedy dotarłam do saloniku, było jeszcze ciemno. Belinda miała dla mnie cztery egzemplarze gazety o różowawym kolorze i podwójną kawę espresso. Zanim skończyłam przebiegać oczyma dwa pierwsze akapity, stało się dla mnie jasne, że ten artykuł wstrząśnie moją najbliższą przyszłością.

Dwa tygodnie wcześniej Phil kupił film pod tytułem *HackSaw*, o przyjaźni pomiędzy opóźnionym umysłowo

byłym skazańcem i małym chłopcem z patologicznej rodziny. Scenariusz napisał i film wyreżyserował mało znany aktor—scenarzysta, niejaki Jimmy—Dale Hawthorne, który dziesięć lat, jakie minęły od chwili, kiedy doznał natchnienia, do zakończenia przedsięwzięcia, bez reszty poświęcił temu filmowi. Sam zresztą bardzo emocjonalnie zagrał w nim wyjątkowo dziwaczną postać. Tyle wiedziałam z kilku informacji, na jakie się natknęłam w Internecie, ale nie zwracałam na nie szczególnej uwagi. Tony uważał, że ten film to straszliwa chała, i niemiłosiernie dokuczał bratu, wyrzaskując, że sporo przepłacił i że jest to „kolejny z twoich pieprzonych kretyńskich pomysłów”.

Część umowy z Garym Mastersem, producentem, od którego Phil odkupił film, stanowiła, że sprawy finansowe nie będą ujawniane. Teraz, kiedy czek już zrealizowano, Masters udzielił wywiadu wyłącznie „Observerowi”. Powiedział w nim, że zorganizował fałszywą licytację po to, żeby Phil zapłacił więcej, stwierdził, że *HackSaw* ma „zasadnicze mankamenty” i przepowiedział mu sromotną finansową klęskę. Wspominając kilka marnych recenzji, jakie film zdążył już zebrać od krytyków festiwalowych, Masters oświadczył: „Na szczęście *HackSaw* to już nie mój problem... dzięki o. wiele mniej wybrednym gustom Phila Waxmana”. Rozmowę zakończył pełnym entuzjazmu opisem swojego nowego jachtu motorowego, „85—stopowego, jak trzeba”.

Zadzwoiłam do Allegrę, wysyłając jednocześnie do jej domu faks. Było, co prawda, dopiero parę minut po piątej, ale wiedziałam, że będzie chciała natychmiast zobaczyć to na własne oczy.

— Allegra, przepraszam, że dzwonię tak wcześnie — powiedziała, zakładając oczywiście, że ją obudziłam. —

Właśnie faksuję ci artykuł z „Observera”, bo jestem pewna, że chcesz go przeczytać.

— Mam nadzieję, że nie jest to kolejna przesadna reakcja z twojej strony. — Ta kobieta potrafiła przedzierzgnąć się z osoby pogrążonej w głębokim śnie w żołątek na służbie w czasie krótszym, niż większości ludzi zabrałoby kichnięcie.

— Zapewne uznasz, że warto się dla czegoś takiego obudzić — odparłam krótko, starając się zapanować nad złością.

Allegra oddzwoniła po niecałych trzech minutach.

— Znajdź Phila — rzuciła.

O tej porze najłatwiej było do niego dotrzeć za pośrednictwem Mahmouda, jego szofera, który zawsze wiedział, gdzie jest Phil. Kiedy się do niego dodzwoniłam, znajdował się właśnie kwadrans jazdy samochodem od domu Phila w Old Westbury, skąd miał go zabrać na lotnisko. Phil z małżonką posiadali kilka rezydencji w okolicach Nowego Jorku, a także przestronny apartament na East Side oraz farmę w Millbrook, na północy stanu.

Przefaksowałam artykuł Mahmoudowi, który obiecał zaraz po przyjeździe dostarczyć go Philowi. Samochód, mercedes S600, wyposażony był w dwa faksy, w opuszczone monitory do oglądania DVD albo kaset i w kilka linii telefonicznych, z których jedna była stuprocentowo bezpieczna. System łączności auta został opracowany przez służby specjalne jako uprzejmość wyświadczona Philowi po szczególnie udanej akcji zbierania funduszy dla należącego do Partii Demokratycznej senatora z New Jersey. Samochód był też wyposażony w małą lodówkę wypakowaną dietetycznym dr. pepperem i wszelkimi możliwymi przyprawami i dodatkami, żeby Phil mógł sobie wedle

uznania doprawić każdą potrawę. Wykraczało to daleko poza musztardę Krafta, chociaż i tej w różnych odmianach na pokładzie limuzyny nie brakowało. Były dziesiątki butelek i słoików z japońskim wasabi, czatni z mango, ćwikłą, tabasco, sosem Heinz 57, sosem do steków A1, keczupem, chińskim sosem hoisin, koszernymi ogórkami konserwowymi, pastą sezamową tahini, dressingiem Miracle Whip, salsą o pięciu stopniach ostrości, słodkimi piklami, papryczkami jalapeño, octem balsamicznym, chińskim sosem do kaczki, dżemem malinowym oraz dwa pojemniki ukochanej przez Phila ostrej musztardy delikatesowej. Być może w przypadku wojny atomowej Phil nie miałby więcej jedzenia niż inni, ale na pewno jadłby smaczniej.

Po wysłaniu faksu do Mahmouda połączyłam Allegrę z apartamentem Phila i wysłuchałam całej rozmowy. Allegra starała się przekazać mu tę informację w sposób delikatny, ale Phil uparł się, że musi zobaczyć artykuł na własne oczy, więc Allegra kazała mi połączyć go z Mahmoudem. Phil polecił mi wcisnąć gaz do dechy. W salce projekcyjnej mieszczącej się w części biurowej rozległej posiadłości stał faks i kiedy Mahmoud chciał tam właśnie—przesłać tekst, Phil powiedział, że jak wciśnie gaz, zajmie mu to akurat tyle samo czasu.

Po kilku minutach Phil zadzwonił i połączyłam go z Allegra. Takiego bogactwa przekleństw w tak różnych kombinacjach nie słyszałam nigdy wcześniej. Allegra usiłowała uciszyć go swoim szeptem, ale bez rezultatu... co, wedle mojej wiedzy, było wydarzeniem bez precedensu. Po jakimś czasie Allegrze udało się wreszcie wcisnąć w przerwę, jaką Phil zrobił dla zaczerpnięcia tchu. Powiedziała mu, że w tej chwili najlepszą reakcją byłoby całkowite

zignorowanie zarzutów z „Observera”. I spokojnie przygotowanie własnej ofensywy.

Naturalnie zgodzili się oboje, że gazetą trzeba się zająć, i już wiedziałam, że minie sporo czasu, nim ktoś z „Observera” dostanie się na pokaz filmu Glorious czy na premierę lub choćby uzyska pozwolenie na wywiad z jakimś wybitnym aktorem. Ich telefony pozostaną bez odpowiedzi, a na wszystkie pytania usłyszą krótkie: „Bez komentarza”. A przecież Allegra i Phil nawet jeszcze nie rozpoczęli prawdziwej walki.

Phil powiedział Allegrze, że poleci do Chicago trochę później, niż zaplanował... teraz musi odbyć serię spotkań z szefami działów public relations, marketingu i przejęć oraz z zespołem prawników. Mahmoud zawiezie go do biura, a wszyscy, których potrzebuje, mają za godzinę być gotowi i czekać w lincolnach. Pojadą za nim na lotnisko Teterboro w New Jersey, gdzie czeka jego zatankowany odrzutowiec, i każda grupa odbędzie z nim naradę po drodze.

Allegra oddzwoniła do mnie z długą listą ludzi, których miałam dopaść telefonicznie w domach. Miałam też zamówić pięć lincolnów i wysłać bez zwłoki do Glorious; kazała mi także zebrać wszystkie egzemplarze „Observera”, do jakich uda mi się dotrzeć.

Belinda z przyjemnością wyniosła wszystkie egzemplarze czasopisma na zaplecze, a ja obiecałam, że w ciągu dnia przyślę stażystę z pieniędzmi.

— Nie dziwota, że Phil nie chce, by wszyscy w TriBeCe o tym gadali — oświadczyła.

Słyszałam już wcześniej o „ruchomych konferencjach” Phila, ale ta była pierwszą, w której miałam uczestniczyć, nawet jeśli tylko w roli organizatorki. Po zamówieniu a—

mochodów zaczęłam wydzwaniać do tych, którzy się w nich znajdują. Każdy z trzech prawników próbował się ze mną spierać, do momentu kiedy zauważyłam, że marnują cenny czas, potrzebny im na prysznic i golenie. Matt Vincent od razu chwycił, w czym rzecz, i nawet zaproponował, że sam zadzwoni do Cheryl i Kenny'ego, których obecności Phil też sobie zażyczył. Skwapliwie skorzystałam z jego propozycji i zajęłam się kontaktowaniem z ludźmi z działu przejęć, z którymi nie było specjalnych problemów. Zawiadomiłam też Clarka, a on podziękował mi za informację. Swoją ulubienicę, Marlene, zostawiłam sobie na sam koniec, a kiedy się do niej dodzwoniłam, była dokładnie tak miła, jak to sobie wyobrażałam.

— Karen, nie jesteś szczególnie bystra w sprawach przekazywania informacji... jesteś pewna, że o to właśnie chodzi Philowi? — drażyła. Poradziłam jej, że może się nie pojawić i przekonać o tym osobiście.

Zaskoczyłam samą siebie tym, że potrafię być taka spokojna i stanowcza. Powoływanie się na Phila wyzwalało jakieś niewiarygodne poczucie siły: „Phil życzy sobie, Phil chce, Phil mówi...”

Skserowałam artykuł i ruszyłam do aut, których silniki przez cały czas pracowały na jałowym biegu, wrzuciłam po kilka kopii do każdego i popędziłam z powrotem do biura. Zadzwoniłam do Allegry z informacją, że u Belin—dy nie ma już ani jednego egzemplarza „Observera”, wezwani są w drodze, a samochody czekają. Kazała mi dopilnować, żeby artykuł nie znalazł się w porannym „Spektrum”, i powiedziała, że mam udawać głupią w przypadku jakichkolwiek telefonów od mediów i zapisywać jedynie, kto i po co dzwonił. Dodała też, że chciałaby, żebym „zawiadywała przepływem informacji” w naszym dziale...

ludzie bezpośrednio zaangażowani w sprawę wiedzieli, co robić, pozostali mieli słyszeć, że wszystko jest pod kontrolą. Jeśli zadzwoni do nich jakiś przedstawiciel mediów, mają go kierować do jej gabinetu.

Nim minęła szósta, dziennikarze z całego świata zdążyli się zgłosić po więcej informacji na temat artykułu w „Observerze”. Zarejestrowałam telefony z „Wall Street Journal”, „New York Timesa”, od Reutersa, ze Sky News, CNN, BBC i dziesiątków innych redakcji i stacji telewizyjnych. Skrzynka e-mailowa Allegry ożyła — ekran dosłownie pulsował napływającymi nieustannie wiadomościami. Niektórzy rozmawiali już z Garym Mastersem, a teraz szukali oficjalnego potwierdzenia u Phila. Dla przedstawicieli prasy branżowej, z których wielu już od dawna wypatrywało jakiejś rysy w murach fortecy Glorious, nic lepszego nie mogło się wydarzyć. Czyżby rzeczywiście Phil Waxman, mistrz transakcji, gość, który nigdy wcześniej nie dał się oszukać, został wystrychnięty na dudka przez producenta filmów trzeciej kategorii, który teraz chichocze po drodze do banku?

O szóstej trzydzieści pasażerowie w samochodach czekali w pełnej gotowości na przyjazd Phila. Zespół prawników, ludzie z działu przejęć i marketingu mieli swoje auta; Marlene i Clark siedzieli w czwartym, a Allegra była jedyną pasażerką piątego. Zadzwonił Mahmoud i kazał mi tak ustawić samochody, żeby Allegra była pierwsza, potem prawnicy, następnie marketing, Marlene i Clark na czwartym miejscu, a na końcu ci z działu przejęć. Powiedział, że będzie za pięć minut i że wszyscy mają być gotowi do ruszenia od razu za nim. Wybiegłam więc znowu na zewnątrz, żeby udzielić wskazówek pasażerom i kierowcom, upewnić się, że ruszą natychmiast, gdy tyl—

ko samochód Phila wyłoni się zza rogu. Zgodnie z poleceniem samochodu miały podążać za Philem na lotnisko cały czas w tej samej kolejności.

Mahmoud poprosił, żebym miała wolną linię telefoniczną, co pozwoli utrzymywać nam łączność. Chwilę przedtem, nim pojawił się przed biurem, przekazał mi, że Phil chce pogadać z prawnikami. Zadzwoiłam do jednego z nich i wszyscy wyskoczyli z auta, kiedy tylko zobaczyli samochód Phila. Mahmoud zatrzymał się na jakieś dwie sekundy, żeby mogli wsiąść, po czym kawalkada pojazdów ruszyła w kierunku Teterboro.

Kiedy przejechali tunel Holland, Mahmoud poinformował mnie, że teraz kolej na dział marketingu. Wszystkie sześć aut zatrzymało się na poboczu, prawnicy opuszczali samochód Phila prawymi drzwiami, podczas gdy Matt, Cheryl i Kenny wsiadali lewymi, po czym zespół prawników wsiadł do swojego lincolna i sześć pojazdów ruszyło w dalszą drogę. Manewr ten został powtórzony w New Jersey, tuż przed wjazdem na drogę krajową numer 1; tym razem wysiedli ludzie od marketingu, a wsiedli ci od przejęć. Dogodne usytuowanie Teterboro oznaczało, że Phil musi przeprowadzać swoje spotkania w szybkim tempie... nawet w gęstym ruchu nie jechało się na lotnisko dłużej niż godzinę. Tuż przed wjazdem na drogę numer 17 wysiedli marketingowcy, a wsiedli Marlenę, Clark i Allegra i pozostali już w aucie Phila. Mahmoud przekazał mi, że reszta może wracać do biura.

Przez cały ten czas utrzymywałam stałą łączność telefoniczną z Mahmoudem i pracownikami różnych działów, przez co czułam się trochę jak kontroler lotów, który sprowadził samolot gładko i bezpiecznie na ziemię. W końcu Mahmoud poinformował mnie, że samolot Phila wystar—

tował. Podziękowaliśmy sobie za współpracę, a ja odechnęłam z ulgą. Była siódma czterdzieści pięć. Lada moment zadzwoni Allegra, a ponieważ byłam sama i nie mogłam odejść od biurka, zajęłam się porannym „Spektrum”, jednocześnie odbierając telefony i starając się nie utonąć w napływającej nieustannie poczcie elektronicznej. Byłam tak zajęta, że nawet nie przejęłam się telefonem „cichego wielbiciela”, który tym razem zadzwonił o siódmej dwadzieścia dwie, ale jak zawsze odnotowałam to w naszym prywatnym rejestrze.

Telefon zadzwonił już chyba milionowy raz.

— Biuro Allegry Orecchi — powiedziałam, wkładając do drukarki więcej papieru na kolejne e—maile.

— Masz urwanie głowy, co, Karen? „Observer” doprowadził wszystkich do białej gorączki, nie? — usłyszałam głos Hanratty'ego.

— Niby dlaczego?

— Miałem to w ręku. Jestem przekonany, że coś takiego nie może się podobać Philowi.

Zastanawiałam się, czy wie też o podróży na lotnisko.

— A mnie się wydaje, że przyjął to ze spokojem.

— Naprawdę? To znaczy, że istnieje jakiś inny powód, dla którego dziś rano nieszczęsne zastępy biurowe musiały odbyć tę paradę?

To było niesamowite. Znajdował się tak blisko, że widział, co robię... obserwował mnie jak snajper.

— Proszę więcej do mnie nie dzwonić. — Rzuciłam słuchawkę. Po paru minutach odzyskałam spokój i, podobnie jak tamtego spotkania w wieczór premiery, tego telefonu też nie odnotowałam w rejestrze dla Allegry. Zatajając to, stawałam się kolejnym członkiem konspiracji i ratowałam własny tyłek.

Około dziewiątej trzydzieści pojawili się Clark i Marlene, którzy w drodze powrotnej zatrzymali się, żeby zjeść ze spokojem śniadanie.

— A gdzie jest Allegra? — spytałam.

— Nie ma jej jeszcze? — zdziwił się Clark.

— Nie i nie odzywała się. Jej komórka nie odpowiada.

— Może jest „tym” — powiedział Clark.

— „Tym”? — powtórzyłam.

— Czasami, kiedy Phil odbywa te „drogowe” konferencje i nie skończy przed startem samolotu, zabiera osobę, która jest mu jeszcze potrzebna. Potem ją beztrąsko zostawia i nie obchodzi go, jak ona sobie poradzi. Kiedyś w ten sposób Marlene znalazła się w środku nocy w Las Vegas bez ubrania na zmianę i bez portfela. Domyślałam się, że dzisiaj przyszła kolej na Allegre.

E—maile nadal płynęły nieprzerwanym strumieniem, telefony się urywały, kiedy o dziesiątej pojawiła się Dagny. Wyglądała ładnie i świeżo — jak zwykle, odkąd wyzbyła się obsesji na punkcie Juliet. Wymieniała regularnie e—maile z Oliverem, a teraz, kiedy lato minęło i wrócił do miasta, gdzie pracował w jednej z firm ojca, spotkała się z nim nawet kilka razy na drinku.

— Czyżbym doświadczała *déjà vu*? — spytała, obrzucając krytycznym spojrzeniem mój wczorajszy strój. — Karen, wyglądasz okropnie. Dobrze się czujesz?

— Jestem tu od piątej i zajmuję się poważnym problemem Phila. — Wiedziałam, że to ją zainteresuje. Jutro pewnie na wszelki wypadek zjawi się o czwartej.

Zaczęła wypytywać mnie o szczegóły.

— W artykule w „Observerze” napisano, że został wrobiony w kupno *HackSaw*. Mieli ruchomą konferencję w drodze na Teterboro. Zaczęła się o szóstą trzydzieści

i teraz już wszyscy wracają, z wyjątkiem Allegrы, która, jak przypuszczamy, poleciała z Philem do Chicago. — Nie powiedziałam nic o Belindzie i jej telefonie z ostrzeżeniem... chciałam ją zachować jako wyłącznie moje źródło informacji.

Dagney wzięła egzemplarz „Spektrum” i szybko przejrzała.

— Nic tu nie ma. — Wzruszyła ramionami.

— Zniszczono wszystkie egzemplarze.

— To znaczy, że go nie zobaczę?

— Proszę. — Podsunęłam jej jedyny egzemplarz, jaki pozostał w TriBeCe.

— Facet ma tupet — oświadczyła Dagney, łączywym wzrokiem przebiegając tekst. — Żeby tak wprost nazywać Phila ofertą. Ciekawe, czy ten film naprawdę jest taki zły. — Podniosła słuchawkę i zaczęła wybierać numer.

Wyciągnęłam rękę i rozłączyłam ją.

— Nie dzwoń do swoich kumpelek i nie rozpowiadaj tego. To coś o wiele poważniejszego niż tamta bzdura z Juliet i zapewniam cię, że jak to wyjdzie na zewnątrz, obie będziemy ugotowane. Tym razem musisz dać sobie spokój.

Zaskoczona moim ostrym tonem, nie odzywała się, mówiłam więc dalej.

— Tysiące przedstawicieli mediów wydzwanają, szukając szczegółów. Udawaj, że nic nie wiesz, i wysonduj, co oni wiedzą. Jeśli chodzi o e—maile... po prostu je drukuj. — Pokazałam palcem plik kartek w drukarce. — Muszę lecieć do toalety. Mogę ci powierzyć to wszystko na chwilę? — spytałam. Skinęła potulnie głową. — Świetnie. Zamów może śniadanie dla nas obu. Dwie kawy i jagodzianka bardzo dobrze mi zrobią.

Podniosła słuchawkę, a ja nadstawiłam uszu, żeby sprawdzić, czy to rzeczywiście niewinna rozmowa z pracownikiem delikatesów.

Kiedy wróciłam, stos wydruków z e—mailami był zdecydowanie wyższy, a w komputerowym rejestrze telefonów do Allegry przybyły dziesiątki kolejnych nazwisk i numerów.

Okolo jedenastej ocknęli się autorzy rubryk towarzyskich i zaczęli do nas wydzwaniać. Udzieliłam Elliottowi standardowej odpowiedzi.

— Karen, możesz się bardziej postarać. Przecież to ja.

— Nie wiem nic więcej ponad to, co przeczytałeś — utrzymywałam, co w pewnym sensie było prawdą: do dzisiejszego ranka znałam zaledwie krótkie streszczenie *HackSaw* z e—maila, jakiego Matt przesłał Allegrze, i słyszałam, co Tony wywrzaskiwał na temat tego filmu. Obiecałam Elliottowi, że później ktoś zadzwoni do niego z informacjami.

— I co o tym sądzisz? Musisz mieć jakieś zdanie — nalegał.

— Moje zdanie jest takie, że zapowiada się wyjątkowo długi dzień i że temu facetowi, Mastersowi, chyba życie jest niemiłe, a przynajmniej nie zdaje sobie sprawy, z kim ma do czynienia.

— No proszę. W końcu jakaś odpowiedź.

Jasna cholera.

— Chyba nie zamierzasz mnie cytować, co? — zaniepokoiłam się.

— Oczywiście, że nie, Karen. Czy chciałbym sprawić kłopot tym małym stopkom? Albo rozgniewać ich właścicielkę?

— Zadzwonię do ciebie, jak tylko będę coś wiedziała. —

Nie mogłam zajmować się jego odchyłkami. Zadanie, jakie miałam przed sobą, wymagało maksymalnej koncentracji.

Była druga i nadal nie mieliśmy żadnej wiadomości od Allegrы. Zadzwońił telefon. Podniosłam słuchawkę.

— Biuro Allegrы Orecchi — rzuciłam.

Odpowiedzią był szum, powtórzyłam więc.

— Podać coś do picia? — usłyszałam niewyraźnie. Chwila ciszy. — Z lodem czy bez?

— Allegra, tu Karen — powiedziałam głośno. — Nie słyszę cię, samolot musi być w jakiejś dziurze. Zadzwoń jeszcze raz. — Widziałam, że Dagney zerka w moją stronę. — Słyszałam stewarda, ale nie usłyszałam naszej czarującej szefowej — wyjaśniłam. Dagney trzy razy przewróciła oczami.

Pół godziny później Allegra zadzwoniła ponownie. Kazała nam wysłać po nią samochód na lotnisko LaGuardia, oczekiwać jej powrotu około czwartej i przygotować się na pozostanie wieczorem w biurze. Zadzwońiła znowu, gdy koła samolotu dotknęły pasa, i nadal mówiła, kiedy nie obdarzywszy nas ani jednym spojrzeniem, minęła nasze biurko, weszła do gabinetu i zatrzasnęła za sobą drzwi. W tej przewlekłej rozmowie telefonicznej przedstawiła nam zarys planu obmyślonego wspólnie z Philem. Kiedy usłyszałam, co szykują, stało się dla mnie jasne, że przeprowadzone za pomocą kapiszonowca działania ofensywne Gary'ego Mastersa wywołają grad pocisków mózdzierzowych. Allegra zdążyła już co prawda wyrobić sobie niezłą reputację w tego rodzaju działaniach, niemniej podejście do problemu Mastersa wymagało rozwagi sapersa rozbrajającego minę. Obserwowanie, w jaki sposób Glorious wywija się z tak trudnej sytuacji, było przyspieszonym kursem radzenia sobie w sytuacjach kryzysowych.

Jak się okazało, cały ich plan opierał się na zupełnie przypadkowym, a jednak kluczowym fakcie — zarówno Jimmy—Dale Hawthorne, jak i prezydent naszego kraju pochodzili z Luizjany.

Jeszcze z pokładu samolotu Phil zadzwonił do prezydenta i poprosił go, żeby obejrzał *HackSaw* i w ten sposób wsparł krajana z Luizjańskich bagien. Prezydent wyraził zgodę i dodał, że część najbliższego wieczoru spędza z matką, która jest żarliwą amatorką wszystkiego, co dotyczy ich rodzinnego stanu.

Phil, Tony, Allegra i Gloria mieli polecieć następnego dnia po południu do Waszyngtonu, żeby zobaczyć, jak w sali projekcyjnej Białego Domu prezydent i jego matka *ogłądają HackSaw*. Jeśli reakcja gospodarza okaże się przychylna, a na to liczymy, film rozbłyśnie w glorii prezydenckiej aprobaty.

Allegra poleciła Dagney i mnie opracowanie szczegółów projekcji dla prezydenta. Już samo przygotowanie rolek z taśmą dla firmy kurierskiej wprowadziło nas w stan gorączkowej ekscytacji — Odbiorca: Operator, 1600 Pennsylvania Avenue!

Ponownie zadzwonił Elliott.

— O co tu chodzi? Masters oskubał Phila czy co? Cemu tak cicho siedzicie? — denerwował się.

Wiedziałam, że nie może być najmniejszego przecieku. Gdyby coś się stało i nie doszło do tej projekcji, byłaby to katastrofa.

— Wkrótce się dowiesz, obiecuję, ale teraz nie mogę ci nic powiedzieć.

— Nie mogłabyś podać mi choćby małej wskazóweczki? Proszę cię, Karen.

Błagalny ton Elliotta robił szczególne wrażenie, ale ja

i tak już za dużo powiedziałam. Że nie wspomnę o moim samopoczuciu po tym, jak pozbył się mnie po tamtej premierze. Owszem, dam mu wcześniejszy cynk, ale dopiero wtedy, kiedy będę miała na to oficjalne przyzwolenie.

Telefony dzwoniły, e—maile pikały. Pod koniec dnia miałyśmy już ponad pięćset telefonów i czterysta e—maili, niektóre przekazano nam z innych działów naszej firmy. Nawet Géraldine nie uciekła przed pytaniami. Kiedy stało się oczywiste, że dział public relations nie jest szczególnie chętny do udzielania informacji, ciekawscy próbowali szczęścia w innych miejscach, ale pracownicy nabrali wody w usta... nikt się nie wygadał. Sprawdzaliśmy z Dagney kolejny już raz, czy wszystko zostało zarejestrowane jak trzeba, kiedy pojawił się Clark i zapytał, czy wiemy, o której jutro odlatuje samolot do Waszyngtonu.

— W tej chwili odlot ustalony jest na drugą — odparłam.

— To rozsądna pora.

— Lecisz? — Nie wierzyłam własnym uszom. — Będziesz oglądał *HackSaw* w towarzystwie prezydenta?

— Allegra poprosiła mnie, żebym poleciał i nadzorował fotografów... robią całą serię wspólnych zdjęć prezydenta i jego matki z Philem, Tonym i Glorią. No wiesz, takie sobie zwyczajne rodzinno—przyjacielskie fotki. — Uśmiechnął się. — Poza tym Gloria chce, żebym tam był. W zeszłym tygodniu ograłem ją w bezika i teraz żąda rewanżu. Podwójna wygrana albo nic.

Typowe. Ja gonię w środku nocy za gazetami, a Clark będzie ustawiał Tony'ego i Phila do wspólnego zdjęcia z Pierwszą Rodziną.

— Dam ci znać, jeśli coś się zmieni — powiedziałam.

Tymczasem Marlene zajmowała się Etapem Drugim:

zamawianiem pokoi hotelowych na związaną z *HackSaw* imprezę, która miała się odbyć w weekend... chociaż nie informowała prasy, jaki film obejrzą ani z kim będą przeprowadzali wywiady. W ten sposób uniknie potwierdzenia czy zaprzeczania pogłoskom... w razie odwołania imprezy, nikt nie będzie wiedział, jakiego filmu nie obejrzał. Marlene uprzedzała każdego dziennikarza osobno, że w jego najlepiej pojętym interesie jest przyjąć zaproszenie; po dwóch dniach miała już dwieście potwierdzeń ze wszystkich mediów z całego kraju.

Około dwudziestej następnego wieczoru czekałyśmy z Dagney na telefon od Allegrы. Oświadczenie dla prasy, które napisałam wcześniej, miałam przed sobą na ekranie; wystarczyło je tylko uzupełnić. Allegra poinstruowała mnie, żebym zostawiła w nim dużo wolnych miejsc, w które później będzie można wstawić odpowiednie informacje. Wyglądało to jak jakaś słowna zabawa. PREZYDENT WYBIERA *HACKSAW* — brzmiał nagłówek. „Po projekcji *HackSaw*, fdmu, który Glorious Pictures wkrótce wypuści, prezydent zauważył [*wstaw entuzjastyczną pochwałę*]. Był pod ogromnym wrażeniem umiejętności Hawthorne'a, który [*wstaw czasownik i przysłówki*], i powiedział, że przypomina mu to dzieło [*wstaw nazwisko pisarza, reżysera czy muzyka rockowego*]”. Szykowałyśmy z Dagney e—maile i strony tytułowe faksów dla prawie tysiąca dwustu dziennikarzy, którzy w ciągu ostatnich dwóch dni skontaktowali się z naszym biurem.

O dwudziestej trzynastej z sali projekcyjnej Białego Domu zadzwoniła Allegra. Słyszałam w tle głos prezydenta mówiącego z charakterystycznym dla południowca

przeciąganiem samogłosek, a potem dziewczęcy chichot Glorii. Serce zaczęło mi walić jak młotem. Allegra szepotała z podnieceniem, że prezydent uznał *HackSaw* za „arcydzieło”, a Jimmy—Dale'a za „narodowy skarb” i mistrza, który potrafi „snuć opowieść w prawdziwie faulknrowskim stylu”. Stwierdził, że każdy Amerykanin powinien obejrzeć *HackSaw*. Po odłożeniu słuchawki przybiłyśmy z Dagney piątkę. Świetnie było mieć prezydenta w swojej drużynie.

Wstawiłyśmy, co trzeba, do oświadczenia i zaczęłyśmy je rozsyłać w e—mailach i faksach. Zanim jednak zadzwoniłam do kogokolwiek, wybrałam numer Elliotta, myśląc sobie, że może uda mu się umieścić tę informację w jutrzejszym numerze, co da mu przewagę nad innymi, którym tej możliwości nie dałam.

— Tu Karen. Mam oficjalne oświadczenie na temat *HackSaw*. Sądzisz, że możesz sprawić, żeby wstrzymali twoją stronę?

— Spróbuję. — Podał mi numer swojego faksu, a ja nie rozłączałam się, dopóki nie odebrał całego tekstu.

— Dzięki, Karen. Naprawdę doceniam to, co zrobiłaś. Możesz mi powiedzieć, kto oglądał ten film wspólnie z prezydentem?

— Phil, Tony, Gloria i matka prezydenta.

— Świetnie, tak to przedstawię... impreza rodzinna.

— Powiem Clarkowi, żeby wysłał ci zdjęcie. Towarzyszy fotografowi Białego Domu.

— Dzięki. I... Karen, przepraszam, że zachowałem się jak palant po tym przyjęciu z okazji *Wszyscy mogą śpiewać*. Nie zamierzałem cię tak zostawiać.

— Elliott, nie mam teraz czasu. Możemy pogadać kiedy indziej?

— J a s n e . Wiedz tylko, że nie jest tak, jak myślisz.

Tymczasem w Waszyngtonie Clark przekazywał agencjom zdjęcia Phila, Tony'ego i prezydenta wprost z biura prasowego Białego Domu, tak żeby w nadchodzących dniach ukazywały się na całym świecie... co stanowiło premię, zważywszy na fakt, że Glorious była również właścicielem praw do międzynarodowej dystrybucji *HackSaw*. Zadzwoiłam i poprosiłam go, żeby jeden z zestawów przesłano natychmiast do „Post”.

— Coś czuję, że chodzi o wyłączność dla Elliotta Sł—nicka — powiedział Clark.

— Staram się tylko mieć przyjazny stosunek do mediów.

Zadzwoiłam do Ellen, bo chciałam jej opowiedzieć o tym, jak to prawie spotkałam się z prezydentem. Słuchała cierpliwie mojej opowieści o jego zachwycie nad *HackSaw*.

— No, nie wiem, Karen — odezwała się, kiedy skończyłam. — Nie uważasz, że prezydent mógłby zająć się czymś bardziej pożytecznym niż organizacja sprzedaży biletów dla Phila i Tony'ego Waxmanów?

— Wiesz co, Ellen, film to jeden z najcenniejszych towarów eksportowych Stanów Zjednoczonych, więc to oczywiste, że prezydent zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby wesprzeć tę branżę — odparłam spokojnie, powtarzając kwestię, którą kiedyś w podobnej sytuacji wygłosiła Allegra.

Krótko po imprezie promującej *HackSaw* zaczęłam sobie mruzczyć. No, może nie tyle mruzczyć, ile raczej powtarzać pewną myśl. Odkryłam mantrę, która wydawała się skutkować: To nie może się dziać naprawdę. Powtarzałam ją w kółko, żeby się uspokoić, zawsze kiedy sytuacja była szczególnie dziwaczna. To nie może się dziać naprawdę. To nie może się dziać naprawdę. Bawiłam się tą frazą, przedstawiałam słowa. Nie może się dziać naprawdę to. Naprawdę to nie może się dziać. To dziać się naprawdę? Nie może! Jakkolwiek ułożyłam słowa, zachowywały sens; niektóre zestawienia brzmiały nawet poetycko. Co było najlepszym dowodem, że to musi być Prawda. Z tą mantrą bezpiecznie ukrytą w głowie radziłam sobie z wydarzeniami kilku następujących tygodni o wiele lepiej, niż dawałabym sobie radę bez niej. Przynajmniej tak mi się wydawało. Nie zamierzałam robić tego wszystkiego jeszcze raz tylko po to, żeby sprawdzić, czy mam rację.

Sama impreza była wyczerpującym, nieznośnym przedsięwzięciem sprowadzającym się do urabiania opinii. Ludzie, którzy prowadzili w lokalnych stacjach programy, takie jak na przykład *Minuta o kinie z Marylou*, byli przyzwyczajeni do oglądania komedii romantycznych i filmów sensacyjnych, będących często jedynie pretekstem dla

pokazania kunsztu jakiejś gwiazdy. Dla nich *HackSaw* bardzo się różniło od tego, co znali. Wielu miało dość obojętny stosunek do tego filmu i musieliśmy w kółko, do znudzenia, podkreślać jego zalety, żeby w końcu widzieli to, co chcieliśmy, żeby zobaczyli.

Ten daleki od entuzjastycznego odbiór *HackSaw* nie powstrzymywał ich od dostarczania nam cytatów, których mogliśmy użyć w naszych reklamach. Kiedy w sobotę nadeszła pora lunchu, byłam dosłownie otoczona przez przedstawicieli prasy, chętnych dorzucić swoje trzy grosze do listy, jaką układałam na polecenie Marlene: „Jeden z najważniejszych filmów roku”; *MackSaw* to ważna lekcja dla naszych czasów”; „Jimmy—Dale Hawthorne posiada dar” — to ostatnie padło z ust kobiety, która siedziała obok mnie i całą drugą połowę filmu przechrapała. Ale cytat to cytat, nagrałam wszystkie i przekazałam Marlene, która mogła z dumą wręczyć je Allegrze, a ta z kolei miała przedstawić je Mattowi, Philowi i Tony'emu jako dowód swojej ciężkiej pracy.

Jakby tego wszystkiego było mało, kiedy w niedzielę wieczorem wróciłam do biura z Clarkiem i Robertem, żeby zostawić kartony z pozostałymi zestawami materiałów dla prasy, odkryliśmy, że boks Roberta został splądrowany, przynajmniej tak nam się w pierwszej chwili zdawało.

Poszłam do swojego biurka po magazyn „Rolling Stone”, który chciałam wziąć dla Ellen.

— Możecie tu przyjść na chwilę? — zawołał Robert z niepokojonym głosem.

Obawiając się spotkania z „cichym wielbicielem”, gryzoniami, a nawet z zalanym Hanrattym, zerkałam niepewnie do jego boks, podczas gdy Clark od razu wszedł do środka.

— Wygląda na to, że cię okradziono — stwierdziłam.

— Nie, narobiono tylko bałaganu. Przyjrzyjcie się. Widzicie? Ktoś zmniejszył mój boks — powiedział.

Miał rację... przestrzeń była znacznie mniejsza niż przedtem. Robert mógłby się oprzeć rękoma o jedną ścianę, a nogami o drugą i zawisnąć nad podłogą.

Clark wbiegł do sąsiedniego boksu. Dzielily je przepieczenia na szynach, a nie stałe ściany.

— Tu masz odpowiedź — oświadczył. — To niewiarygodne, co ta kobieta wyprawia.

Weszłam za nim i zobaczyłam, że ściankę przepchnięto dalej na teren Roberta, powiększając boks Marlene i redukując jego klitkę do rozmiarów dziupli, w której nie można odsunąć krzesła od biurka.

Robert biegał między dwoma boksami, jakby chciał porównać swoje podejrzenie ze stanem faktycznym.

— Kiedy oni to mogli zrobić? — spytał.

— Pewnie w piątek, po tym jak poszliśmy na tę imprezę promocyjną — powiedziałam, przypominając sobie jak przez mgłę wymianę e-maili tamtego ranka pomiędzy Marlene i Allegra. Marlene domagała się więcej miejsca, które byłoby adekwatne do „znaczącego wzrostu jej odpowiedzialności”, a Allegra odpowiedziała, że spróbuje znaleźć rozwiązanie.

Włączyłam swój komputer, wprowadziłam hasło LLOYDNIEŻYJE i otworzyłam e-maile Allegrzy.

— Masz to tutaj — powiedziałam do Roberta, wskazując na ekran. Widniała na nim wymiana obszernej korespondencji pomiędzy dwiema paniami, kończąca się wymuszoną zgodą Allegrzy na przesunięcie ścianki.

— Przecież nikt mi nie wspomniał o tym ani słowem! — zawołał Robert. — Przez cały weekend harowałem jak wół

dla firmy i to ma być moja zapłata? — gorączkował się. Nigdy nie widziałam, żeby się tak rozszłościł. Prawdę mówiąc, nigdy nie widziałam, żeby w ogóle się złościł.

Nie bardzo wiedząc, co zrobić, a rozumiejąc, że należałoby zdecydowanie zareagować, pomaszzerowaliśmy we trójkę do Bubble Lounge, gdzie Clark bez zwłoki zamówił butelkę szampana za tysiąc dolarów.

Był początek grudnia i w biurze panowało zamieszanie — do końca roku miało się odbyć kilka premier i wiele jeszcze należało zdziałać przed świątecznymi dzwoneczkami. Phil właśnie dostał wiadomość, że Wenezuelskie Ministerstwo Sztuki Filmowej podjęło decyzję, iż *El Lechero* (*Mleczarz*), film, który jak sądziliśmy ma już zapewnionego Oscara w kategorii najlepszego filmu zagranicznego, nie został zakwalifikowany do nominacji, bo reżyserem jest Australijczyk. Ministerstwo miało zasadę, że każdy film reprezentujący Wenezuelę w jakiegokolwiek rywalizacji o międzynarodową nagrodę musi być reżyserowany przez ich rodaka. Phil odwołał się od tej decyzji i czekał na odpowiedź, która miała nadejść lada dzień. Na razie nerwowo przemierzał korytarze i uspokajał skołataną nerwy, pozerając ogromne ilości włoskich wyrobów cukierniczych, które Sabrina zamawiała mu u Veniera.

Tony już dawno wykombinował sobie, że chociaż okres świąteczny jest wypełniony wzniosłymi filmami artystycznymi i poważnymi konkurentami do nagrody Akademii, to przecież miliony świętujących amerykańskich nastolatków znajdują się całkowicie poza tą filmową karuzelą; przyjdą natomiast tłumnie do kin, jeśli tylko będzie coś do oglądania dla nich. Dlatego też każdego roku jako

prezent świąteczny dla młodych Tony wypuszczał jakiś film z gatunku komedii grozy, komedii rockowej czy hip-hopowej albo coś w stylu ręka noga mózg na ścianie i każdego roku Boże Narodzenie Tony'ego było weselsze od poprzedniego. Tegoroczny plan zakładał wypuszczenie kontynuacji *Gawrona*, kultowego dreszczowca.

Żeby jeszcze bardziej atmosferę ożywić, Allegra, Marlenę i Geraldine rozpoczęły kampanię zrzucania przed świętami kilku zbędnych funtów; najwyraźniej wybieranie numerów telefonicznych, obrażanie innych i wskazywanie palcem nie wystarczało do spalenia tylu kalorii, ile by się chciało. Bezpieczny i skuteczny preparat „Szczypta szczupłości” zapewniał użytkownikom takie same rezultaty jak racjonalne odżywianie i ćwiczenia fizyczne, a był bez porównania łatwiejszy w stosowaniu. Wszystkie odwiedzały tego samego lekarza w Upper East Side, który z przyjemnością wypisywał im identyczne recepty. Marlenę i Geraldine jeździły do niego razem, jedną taksówką, natomiast Allegra udawała się tam sama i utrzymywała swoje wizyty w tajemnicy. Kiedy dzwoniono z gabinetu doktora z prośbą o potwierdzenie terminu, Dagney i ja zostawiałyśmy informację w jej rejestrze telefonów i udawałyśmy, że o niczym nie mamy pojęcia.

Phil też zadbał o swoje zdrowie i skoncentrował się na odzwyczajaniu od wypalania trzech paczek papierosów dziennie. W walce z nałogiem miał mu pomóc nikotynowy plasterek, a ściślej mówiąc, plasterki, poprzyklejane na obu ramionach. Wkrótce jednak odkrył, że palenie i noszenie plasterków dostarcza dużo ciekawszych wrażeń niż każda z tych rzeczy osobno.

Preparaty odchudzające w połączeniu z nadmiarem nikotyny wpłynęły na i tak już rozgorączkowanych i *zbi*—

kowanych pracowników szczebla kierowniczego w taki sposób, że mogli pracować na okrągło i nie odczuwać zmęczenia. My, zwykli śmiertelnicy, staraliśmy się dzielnie dotrzymać im kroku, wspomagani kawą i przeróżnymi ziołowymi środkami pobudzającymi. Byliśmy już u kresu wytrzymałości i jedynie marzenia o świątecznych wakacjach pozwalały nam jakoś przetrwać.

Nie zaplanowałam sobie nic konkretnego, myślałam tylko o tym, żeby pojechać do domu, do Providence, odwiedzić rodziców, którzy będą się nade mną trząść i pozwolą mi porządnie się wyspać. Dagny miała spotkać się na Ibizie z kilkoma koleżankami z elitarnego stowarzyszenia studentek. Clark, jak co roku, planował wyskok do Canyon Ranch. Dwa lata temu namówiła go na to Gloria i od tamtej pory uzależnił się od tego miejsca. Prowadzili oboje długie dyskusje o zaletach i wadach maseczek z alg i błotnych kąpiel. Gloria, która zaliczyła tam „całe wieki masażu”, służyła mu nazwiskami najlepszych w centrum odnowy specjalistów od twarzy, od leczenia ziołami i aromaterapii. „Wyłącznie creme de la creme de la Canyon”, mawiała. Robert miał ochotę zająć się układaniem mozaiki przedstawiającej układ okresowy pierwiastków na ścianie łazienki w swoim mieszkaniu w Lower East Side, co już od dawna planował zrobić. Ponieważ miałam wyjechać, spytał, czy nie mógłby zamieszkać u mnie na czas, kiedy będą mu schnąć fugi. Wiedząc, że zostawi moje mieszkanie w dużo lepszym stanie, niż je zastał, z przyjemnością się zgodziłam.

Potem, we wtorek, dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem, Wenezuelczycy odrzucili odwołanie Phila. *El Lechero*, historia łagodnego hodowcy bydła, który czytał swojemu stadu wiersze w przekonaniu, że zainspiruje to

krowy do dawania większej ilości mleka, przestał uczestniczyć w gonitwie do Oscara w kategorii najlepszego filmu zagranicznego. Phil wezwał Allegrę na całodniową sesję strategiczną, w trakcie której spędziła w jego biurze trzy i pół godziny. Potem wezwano Vivian i cała trójka gnieździła się tam przez kolejne pięć godzin. Zanim Allegra wróciła do swojego gabinetu, zdążyłyśmy z Dagney skończyć pracę i pójść do domu. Nazajutrz Dagney poinformowała mnie z ponurą miną o podjętych poprzedniego dnia decyzjach.

— Phil odwołuje Boże Narodzenie — oświadczyła, a oczy miała w czerwonych obwódkach. — Nikomu nie wolno brać wolnego, bo musimy doprowadzić do tego, żeby *El Lechero* dostał nominację w kategorii najlepszego filmu — powiedziała i rozpląkała się. — Już od lutego planowałam tę podróż na Ibizę — mówiła, nawet wśród szlochów nie zapominając o sepleniącym kastylijskim „z”.

— To już szczyt wszystkiego — powiedziałam, siadając ciężko na krześle i przeczesując palcami włosy. Nie może się dziać naprawdę, to włączyła się moja mantra.

— No tak, ty wybierałaś się tylko na Rhode Island. Robert zamierzał kłaść płytki w łazience. Tylko ja i Clark mieliśmy coś, co można nazwać planami — skarżyła się.

Takiej Dagney nie widziałam już od jakiegoś czasu, postanowiłam zatem nie zwracać na nią uwagi. Istniało spore prawdopodobieństwo, że przesadza. Dag miała skłonności do przejaskrawiania, szczególnie w sprawach dotyczących własnej osoby.

— Do mnie, NATYCHMIAST — zahuczało po obu stronach naszego biurka.

Dagney wstała i wymierzyła kopniaka fotelikowi. Kiedy weszłyśmy do gabinetu, Allegra siedziała plecami do

nas i nie zamierzała się odwracać. Z tego, co udało mi się usłyszeć, wyczerpując maksymalnie słuch, Glorious rozpoczynała szeroko zakrojoną kampanię na rzecz nominacji *El Lechero*. Miała ona objąć dziesiątki imprez i akcji medialnych, zapoczątkowanych jeszcze tego popołudnia konferencją prasową, podczas której Phil i reżyser zdadzą się na łaskę członków Akademii, wyjaśniając, że obraz ten, jeśli w ogóle ma zyskać uznanie, musi zostać nominowany w kategorii najlepszego filmu.

Ponieważ nasza szefowa ciągle siedziała odwrócona do nas plecami, nie miałyśmy pewności, która z nas co ma robić. Podzielimy się zadaniami później, myślałam sobie, szykując się do nieprzyjemnej konfrontacji z Dagney. Bo przecież nie będzie ona szczególnie pracowicie nastawiona, choć, prawdę mówiąc, ja też nie. Po kwadransie mamrotania Allegra odwróciła się do nas twarzą.

— Najpierw zabierzecie się do napisania wstępnego szkicu oświadczenia dla prasy, wyjaśniającego, co się dzieje, podkreślającego to, że Phil i jego rodzina rezygnują z wakacji na rzecz tego filmu — oznajmiła.

Tym razem to ja przewróciłam oczami. Phil mógł sobie wyjeżdżać na wakacje, kiedy tylko zechciał i dokąd zechciał. To całe reszcie je odbierano.

Wróciłyśmy do swojego biurka i Dagney zajęła się załatwianiem na pojutrze przyjazdu Any Marii Verdades, aktorki grającej główną rolę kobiecą. Ana Maria grała żonę mleczarza, nieśmiałą, miłą młodą kobietę, która nieustannie staje w obronie męża wobec innych farmerów w wiosce. Czytanie poezji krowom spowodowało bowiem, że stał się pośmiewiskiem. Ana Maria była dobrą aktorką i piękną kobietą, ale prawie nie mówiła po angielsku. Dagney zapisała ją na intensywny kurs językowy u Be—

litza, na który miała uczęszczać codziennie, dopóki nie nabierze takiej płynności w mówieniu, żeby móc udzielać wywiadów prasie amerykańskiej. Potem zabukowała jej bilet w jedną stronę z Caracas i zamówiła apartament w Hilton Towers.

Ja natomiast zaczęłam pisać szkic, cytując w nim Phila, który rzekomo miał powiedzieć: „Żeby dać *El Lechero* maksymalną szansę na pozyskanie należynej uwagi Akademii, zarówno ja, jak i moi oddani pracownicy postanowiliśmy zrezygnować z naszych świątecznych wakacji. Mam wyjątkowo zaangażowany zespół ludzi i nie wątpię, że dzięki ich usilnej pracy *El Lechero* zostanie nominowany w kategorii najlepszego filmu”.

Dodawszy wyjaśnienie Wenezuelczyków dotyczące decyzji w sprawie fdmu wraz z ich zapewnieniami, że *El Lechero* jest rzeczywiście godny tej nominacji, wrzuciłam szkic do pojemnika z korespondencją dla Allegry, złapałam paczkę papierosów i ruszyłam ku wyjściu. Nauczyłam się trzymać i zapalać papierosa na tyle przekonująco, że mogłam przyłączyć się do reszty palaczy z Glorious w najczęściej okupowanym miejscu przy tylnym wejściu do budynku. Kiedy tam dotarłam, zobaczyłam Roberta, Sabrinę i Janet, nową asystentkę Yvonne Stapleton... siódmą, odkąd zaczęłam tu pracować. Dziewczyna pracowała od dwóch miesięcy i wyglądało ha to, że utrzyma się dłużej. Pierwszego dnia jej pracy Robert i ja poprosiliśmy ją, żeby miała oczy i uszy otwarte na pozornie niewinne dociekania ze strony ambitniejszych i próbujących piąć się w górę stażystów.

Było cieplej niż zazwyczaj o tej porze roku, więc nikomu się nie spieszyło, żeby wracać do budynku. Stałam obok Roberta i oparłam się o ceglany mur. Przez chwilę

panowało milczenie; wszyscy stali pod ścianą w niedbanych pozach, wyrażających głębokie przygnębienie. Pierwszy odezwał się Robert.

— Mogliśmy rozpocząć tę akcję z *El Lechero* po świętach, a i tak zdążylibyśmy doprowadzić do jego nominacji — oświadczył.

— Taa, tyle że Phil chce zrobić na Akademii wrażenie swoim poświęceniem — zauważyła Sabrina.

— Nie sędzę, by ich to interesowało. Nie sędzę, żeby w ogóle byli w domu, kiedy do nich będziemy dzwonić — mówił zrezygnowanym głosem Robert.

Przypomniałam sobie ubiegłoroczne telefoniczne piekło związane z *Cudzoziemskim pilotem* i nie wyobrażałam sobie, że będę przechodzić przez to jeszcze raz w związku z *El Lechero*. Teraz będziemy musieli za każdym razem dodatkowo wyjaśniać, że owszem można by przypuszczać, że powinien być nominowany w kategorii najlepszego filmu zagranicznego, ale z powodu pewnych problemów formalnych może startować jedynie w kategoriach ogólnych i tylko od pana, szanowny członku Akademii, zależy, czy uzyska nominację dla najlepszego filmu. Nie byłam już taka sama jak w ubiegłym roku, podekscytowana, pełna entuzjazmu i szczęśliwa, że mogę wydzwaniać do członków Akademii o każdej porze dnia i nocy i wykrzykiwać, co trzeba, o Glorious Pictures. Za dużo, a zarazem zbyt mało wydarzyło się od tamtego czasu. Poprzedniego wieczoru zerknęłam na kuchenny kalendarz, żeby potwierdzić, czy rzeczywiście za nieco ponad dwa miesiące będę musiała zdecydować, czy zostaję, czy odchodzę. Niezależnie od tego, jakiego dokonam wyboru, dotrzymałam słowa danego kuzynce i przetrwałam rok w Glorious.

— A w ogóle dokąd Phil się wybierał? — spytałam Sabrinę.

— Phil? Nigdy nie wyjeżdża na Boże Narodzenie... przynajmniej nie wyjeżdżał przez ostatnie trzy lata, kiedy ja tu jestem. Natomiast wszyscy pozostali wyjeżdżają, z wyjątkiem jednej asystentki Phila, jednej Tony'ego i kilku innych osób zaangażowanych w produkcję czy coś w tym sensie. Jeśli już musisz zostać, zazwyczaj starają się dać ci tyle forsy, żeby ci się to opłacało.

— No dobrze, ale w tym roku, skoro wszyscy zostają, będzie chyba dużo łatwiej, co? — spytał Robert.

— J a s n e — potwierdziła Sabrina. — Po prostu kaszka z mleczkiem. — Rozdeptała niedopałek, waląc w niego obcasem z taką siłą, jakby chciała roztrzaskać chodnik.

— Yvonne zostaje? — spytałam Janet.

— Mówi, że na wszelki wypadek — odparła, kiwając głową — ale nie wyjaśnia na jaki.

— Co jeszcze się tu dzieje w święta?

— Cóż, są ludzie, którzy zostają z własnej i nieprzymuszonej woli — oświadczył Robert.

— Nie mów. Marlene?

Skinął głową i wykonał gest, który oznaczał „pytaj dalej”.

— Vivian?

— Aha, ona też.

— I jestem przekonana, że Allegra nie może pozwolić, żeby któraś z nich była w biurze bez jej osobistego nadzoru — powiedziałam, a Robert potwierdził. Naprawdę nie może to dziać się, zamruczało mi pod czaszką.

Pokręciłam głową, a kiedy wróciłam do siebie, stwierdziłam, że Dagny ma starannie poprawiony makijaż i z uśmiechem na twarzy zapamiętała się krząta. Poczulałam ucisk w żołądku. Byłam pewna, że to, co uszczęśliwiało Dagny, musiało odbić się na mnie.

- Nie uwierzysz — rzuciła z błyszczącymi oczyma.
- Kto wie?
- Powiedziałam Allegrze, jak ważny jest dla mnie ten wyjazd na Ibizę i że szykowałam się do niego już rok temu, a ona na to, że mogę jechać!
- Cieszę się.
- J a k o ś nie sły chać tego w twoim głosie.
- J e ś l i ty wyjedziesz, ja będę miała szczęście, jeśli dostanę wolne chociaż w pierwszy dzień świąt. Szkoda, że nic nie powiedziałaś, bo mogłybyśmy tak wszystko zaplanować, żeby każda miała trochę wolnego.
- Przez chwilę patrzyła na mnie z nadąsaną miną.
- Ale przecież ty nie miałaś żadnych konkretnych planów — powiedziała w końcu.
- I dlatego nie należy mi się odpoczynek?
- Nie, tylko że ja jadę na Ibizę. — Odeszła z wysoko podniesioną głową.

Nie byłam zaskoczona, kiedy kilka godzin później otrzymałam e—maila od Clarka, w którym informował mnie, że dostał specjalne pozwolenie na tę swoją wyprawę do Canyon Ranch. Złote Dzieci: 2, Konie Robocze: 0.

Za kulisami Tony miał problemy z *konty nua.c jąGawrona*. Znany jako *Gawron 2: Nigdy, przenigdy*, teoretycznie film miał same atuty — czekała na niego spora grupa zagorzałych fanów, swoją posępną atmosferą przemawiał do nękanymi lękami nastolatków, a do tego Gawrona grał Erich Klosteneimer, niemiecki gwiazdor muzyki pop o zniewalającej urodzie. Erich, zupełnie nie znany w Stanach, był prawdziwą sensacją w Europie, gdzie okrzyknięto go niemieckim odpowiednikiem Backstreet Boys,

choć był jeden. Aktor grający Gawrona w pierwszym filmie zajęty był gdzieś na planie zdjęciowym, a Tony'emu się spieszyło, żeby mógł wypuścić *Gawrona 2* przed świętami.

Niestety, Erich, chociaż bardzo dobrze znał angielski, mówił z ciężkim niemieckim akcentem. Jego agent obiecał Tony'emu, że Erich będzie pracował z nauczycielem i zacznie mówić jak mieszkaniec Środkowego Zachodu, którym był Gawron, zanim stał się upiorem. Jednak podczas kręcenia zdjęć stało się jasne, że Erich, mimo usilnych starań, nie pozbedzie się wyraźnej germańskiej wymowy. Skutek był taki, że anioł zemsty mówił jak stuknięci Niemcy odtwarzani przez Mike'a Myersa — *Saturday Night Live*. Tony obiecywał, że *Gawron 2: Nigdy, przynigdy* będzie ukończony na czas i to poniżej zaplanowanych kosztów. Zaistniały problem, mówił każdemu, kto ośmielił się pytać, zostanie rozwiązany na etapie montażu i udźwiękowienia.

Nazajutrz pojechaliśmy z Clarkiem do studia dźwiękowego, gdzie Erich nagrywał zmiany w ścieżce dźwiękowej filmu. Reporter „People” miał tam przeprowadzić z nim wywiad. Chcieli umieścić Ericha na swojej corocznej liście „Najbardziej intrygujących ludzi”, co było dla nas prawdziwą gratką. Intrygujący to właściwe słowo na określenie Ericha, o którym wiedzieliśmy niewiele więcej ponad to, że nastoletnie dziewczęta w całej Europie mdlały, słuchając jego piosenki *Ich habe Fieber*, i że jego zielone oczy, wyraziste rysy i czarne jak sadza włosy sprawiały, że w każdym języku nazywano go przystojniakiem. Moja obecność nie była tam konieczna, jednak udało mi się przekonać Allegrę argumentem, że będzie to dla mnie dobre ćwiczenie na wypadek, gdybym miała samodzielnie—

nie nadzorować podobny wywiad, być może w czasie tej przerwy świątecznej, której nie będę miała.

Kiedy przyjechaliśmy do studia, poproszono nas, żebyśmy usiedli i zaczęli w przestronnym holu, gdzie ustawiono niskie, rozłożyste, supermodne kanapy i fotele, które okazały się zaskakująco niewygodne. Złote i platynowe płyty pokrywały ściany od podłogi do sufitu — nagrywali tu znani artyści, od Elvisa przez Enyę do Erica Claptona. Tu i ówdzie stały szklane stoliczki, a na nich naczynia ze słodyczami. Clark chwycił z ogromnej misy kilka cukierków Tootsie Rolls, a ja poczęstowałam się arachidowymi M&M—sami, które wysypywały się na rękę za każdym naciśnięciem guzika automatu dozującego.

— O co chodzi z tymi wszystkimi słodyczami? — spytałam, napełniając garść kolejną porcją M&M—sów.

— Myślę, że to pozostałość po czasach, kiedy wszystkie gwiazdy rocka zażywały heroinę — odpowiedział Clark, przysuwając się bliżej do tacki, na której osobno pakowane leżały orzechowo—czekoladowe batoniki Reese'a. — Teraz nawet słodczy nie ćpają.

Sesja nagraniowa Ericha miała się skończyć w południe, żeby mógł odsapnąć przed przybyciem o pierwszej Patricka Braithwaite'a, reportera „People”. Chcieliśmy wcześniej omówić z Erichem kilka punktów rozmowy, celowo tak zaprojektowanych, żeby przyciągnąć jak najwięcej widzów na *Gawrona 2: Nigdy, przenigdy*.

O dwunastej trzydzieści nadal nie było śladu Ericha, wobec czego spytaliśmy recepcjonistkę, czy mogłaby go *znaleźć*. Wykonała kilka telefonów, po czym oświadczyła, że Erich nadal nagrywa z Tonym. O dwunastej czterdzieści pięć Clark postanowił wejść do środka i przypomnieć Tony'emu o naszym zobowiązaniu względem „People”.

Recepcjonistka skierowała nas do studia C. Poszliśmy korytarzem i powoli uchyliliśmy drzwi, nad którymi palił się napis NAGRANIE. Weszliśmy do środka, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Z jednej strony pomieszczenia wisiał ekran, na którym wyświetlano *Gawrona 2*. Po przeciwnej stronie znajdowała się oszklona kabina, a w niej Erich Klosteneimer, kompletnie roztrzęsiony, pochylał swój długi korpus nad statywem mikrofonu, ścisnąc go tak mocno, aż pobiełały mu kostki palców. Po między ekranem i kabiną usytuowany był stół mikserski z co najmniej tysiącem pokręteł, guzików i przesuwanych w górę i w dół dźwigni.

Przed stołem stał Tony Waxman i wygrażał pięścią Erichowi.

— Czy dźwięk tam dochodzi? — warknął do jednego z nagrywających techników.

Mężczyzna zaszygował ręką, że wszystko jest w porządku.

— Posłuchaj, Klosteneimer. Nie obchodzi mnie, ile czasu to zajmie. Masz mówić jak amerykański Gawron, choćbyś miał paść trupem, w kółko powtarzając tekst.

Jedyną reakcją Ericha było nerwowe skinienie głową.

— Przewinąć! — krzyknął Tony do techników, z palcem wskazującym skierowanym w sufit.

Wcisnęli kilka guzików i projekcja filmu zaczęła się od początku. Erich stał w kabinie i mówił jednocześnie ze sobą samym — Gawronem na ekranie. „To ja jestem Gawronem. Nie musicie się martwić. Złe moce już wam nie zagrażą. Nigdy, przenigdy” — brzmiała kwestia, którą miał wstawić. Zsynchronizował ją idealnie z obrazem, ale jego „r” było zbyt gardłowe.

— Co jest, do kurwy nędzy? Gawrrronem? Marrrtwić?

Zagrrożą? — Przy każdym słowie Tony walił pięścią w stół mikserski.

Erich kulił się w kabinie.

— Spróbuję jeszcze raz.

—Przewinać!

Tym razem było nieco lepiej, ale i tak nikt by nie uwierzył, że facet pochodzi z Kansas. Twarz Tony'ego spurpurowiała, a z ust wydobył się dźwięk, jakby go duszono. Złapał krzesło, zakręcił nim dwukrotnie nad głową i rzucał w stronę kabiny. Odbiło się od grubej, dźwiękoszczelnej szyby. Erich z przerażenia wytrzeszczył oczy. Wcałe nie wyglądał teraz intrygująco. Wyglądał, jakby za chwilę miał zmoczyć swoje skórzane spodnie.

Tony przez mikrofon kazał Erichowi wyjść z kabiny. Aktor powoli otworzył drzwi i zszedł po dwóch stopniach dzielących kabinę od podłogi studia. Tony podszedł do niego tak blisko, że jego bulwiasty nos niemal dotykał subtelnie zarysowanego nosa Ericha.

— Czy będę musiał siłą wyrzucić z ciebie tego pieprzonego szkopa? — spytał. — Będę musiał? Bo mam tu pieprzony film do zrobienia i jak trzeba, to użyję siły. Zrobię to, do ciężkiej cholery.

W tym miejscu włączyła się moja mantra, najwyraźniej nagrana na tej samej powtarzanej w kółko taśmie co *Gawron 2*. To nie może się dziać naprawdę. To nie może się dziać naprawdę. To nie może się dziać naprawdę.

— Przepraszam. Będę się starał — powiedział Erich ze wzrokiem wbitym w podłogę.

— Jasne jak twój pieprzonybratwurst, że będziesz się starał. I nie obchodzi mnie, ile czasu ci to zajmie.

Erich, z poszarzałą twarzą, wspiął się z powrotem do

kabiny. Clark postukał mnie w ramię i wymknęliśmy się na korytarz.

— Dzisiaj nie będzie żadnych wywiadów dla „People” — powiedział. — Chociaż dla nich to spotkanie na pewno byłoby intrygujące. Wymyślę coś dla reportera.

Patrick Braithwaite siedział w holu i żuł Hershey's Kisses. Sądząc po stosie zgniecionych w kulki srebrnych papierków, czekał już dość długo. Clark przeprosił go i powiedział, że Erich jest chory i musi w związku z tym przedłożyć wywiad na jutrzejsze popołudnie. Patrick wyraził niezadowolenie i przypomniał Clarkowi, że to Vivian wymusiła na jego naczelnym umieszczenie Ericha w tym wydaniu pisma. Clark powtórnie przeprosił i powtórzył, że to siła wyższa. Patrick wziął garść słodyczy na drogę i w tym momencie wszyscy troje dosłownie zamarliśmy na oczywisty dźwięk tłuczonego szkła.

— Co to było? — spytał Patrick, ogarnięty nagłą pasją dziennikarstwa śledczego.

— Aaa... to chłopcy Foleya wygłupiają się w jednym ze studiów. Od rana usiłują odtworzyć dźwięk wylatującego przez okno fortepianu. Chyba zrobili wreszcie postępy — wyjaśnił Clark, kręcąc głowę z politowaniem nad szaleństwem niemądrych facetów od efektów dźwiękowych.

Patrick skinął głową, ale właśnie w tym momencie dotarła do nas seria przekleństw.

— Utłukę cię na pieprzonego sznycla! — usłyszeliśmy bardzo wyraźnie.

Reporter otworzył szeroko oczy.

— To nie jest żadna ekipa Foleya, chyba że usiłują naśladować wrzeszczącego na cały regulator Tony'ego Waxmana. Co tu się, do diabła, dzieje?

Postanowiłam zagrać dobrego glinę.

— Posłuchaj, Patrick, będziemy z tobą szczerzy. Masz rację, to nie są chłopcy od efektów dźwiękowych. Przez całe przedpołudnie Phil i Tony wykłócali się o coś przez telefon i to przeszkodziło w sesji nagraniowej Ericha. A ona musi być dzisiaj zakończona, żeby można było dodać dialogi do kopii filmu. Do pierwszej projekcji zostały tylko dwa tygodnie.

Patrick skinął głową.

Clark podjął w miejscu, w którym ja skończyłam.

— Jeśli przeniesiemy wywiad na jutro, Erich będzie miał dla ciebie więcej czasu. I dopilnuję, żebyś zobaczył premierę *Gawrona 2*.

Patrick wydawał się usatysfakcjonowany naszymi wyjaśnieniami, wziął teczkę i ruszył ku wyjściu. Był już przy drzwiach, kiedy nagle się odwrócił.

— O co oni się tak kłócą? — spytał.

Spojrzelśmy z Clarkiem na siebie. W głowie miałam kompletną pustkę.

— Dlaczego Waxmanowie wrzeszczą na siebie? — dopytywał się Patrick.

— Chodzi o... — zaczął Clark.

— Oni tylko... — dorzuciłam.

— Phil i Tony nie mogą dojść do porozumienia w sprawie gwiazdkowego prezentu dla matki — oświadczył Clark. — Phil chce, żeby był to rejs luksusowym statkiem, a Tony chce podarować jej domową siłownię z osobistym instruktorem.

— Nie mogą jej dać obu tych rzeczy? — spytał Patrick.

— Owszem, mogą, ale nie o to chodzi. Co roku dają jej wspólny prezent, bo w przeciwnym razie martwiłaby się, że chłopcy nie żyją w zgodzie — odparłam.

Patrick nie wyglądał na przekonanego, szczególnie że

wrzaski zaczęły się na nowo i przybierając na sile, świdrowały w uszach.

— Rzeczywiście. To całkiem logiczne. Czy następnym razem będziecie uprzejmi wymyślić jakieś lepsze łgarstwo? Bo to mi uwłacza — rzucił, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

— Nie było to najbardziej udane ratowanie sytuacji — powiedziałam do Clarka, który był irytująco opanowany. Ja miałam wrażenie, że włosy stoją mi dęba. W ustach czułam nieprzyjemną suchość. Widok Tony'ego terroryzującego Ericha wyprowadził mnie z równowagi do tego stopnia, że wprowadziłam się w swój kłopotliwy stan polegający na snuciu potencjalnych scenariuszy zaczynających się od „a co jeśli”.

— Jestem pewna, że Hanratty byłby zachwycony, gdyby się dowiedział, co się tutaj dzieje. To był Tony w swoim najlepszym wydaniu... na żywo i nie ocenizowany.

— Karen, naprawdę musisz dać sobie wreszcie spokój z tym Hanrattym. Od lat nikt go nie widział, gość jest zresztą w takim stanie, że nie potrafiłby napisać listy zakupów, a co dopiero całą długą książkę. Allegra trzyma go w rejestrze telefonów dla przypomnienia, nic więcej. Naprawdę mogłabyś już przestać.

Nigdy przedtem Clark nie przemawiał do mnie tak ostro. Byłam dotknięta i rozgniewana jego słowami.

— Wiesz, Clark, ty zupełnie nie zauważasz, że niektórych z nas naprawdę obchodzi to, co się dzieje w firmie. Ty sobie wpadasz i wypadasz, pracujesz, kiedy chcesz i jeśli chcesz, ale mnie nie stać na taki luksus. Jasne, że nie martwisz się Hanrattym, bo ty nie martwisz się niczym — zakończyłam, odwracając się od niego.

— Karen, przepraszam, nie chciałem cię zdenerwować. —

Zrobił gest, jakby chciał mnie objąć, ale udałam, że tego nie widzę. — Proszę, nie gniewaj się. Nie chcę widzieć, jak przejmujesz się czymś, co nie jest tego warte. Słowo daję, strasznie mi głupio.

— No dobrze, w porządku. Przesadziłam. To był zwariowany dzień. — Nie miałam ochoty ciągnąć tej rozmowy.

— Naprawdę, słonko, przepraszam.

— Przeprosiny przyjęte. Możemy już iść? Proszę.

Wyszliśmy stamtąd. Później dowiedziałam się, że sesja Ericha trwała pełne trzydzieści godzin, a potem Tony zdecydował, że po prostu przemontuje film i w rezultacie Gawron będzie mówił mniej, niż pierwotnie zaplanowano. Erich może milczeć z zamyśloną miną, a Tony dołoży starań i wzbogaci ten obraz o odpowiednią atmosferę.

Kiedy wróciliśmy do biura, znalazłam na swoim foteliku moje oświadczenie dla prasy. Allegra nadała mu ostateczny kształt i zostawiła instrukcje, żeby wysłać je do wszystkich ważniejszych mediów z listem przewodnim wyjaśniającym, że Phil nie będzie teraz niczego komentował, bo „jest bardzo zajęty kampanią na rzecz *Lechero*”. Przytoczone rzekome słowa Phila zostały ocenzurowane. Zniknęły uwagi o zespole pełnych poświęcenia, oddanych pracowników, których wysiłki pozwolą filmowi zdobyć uznanie. Zostawiono natomiast informację o tym, że Phil rezygnuje ze świątecznego wyjazdu. My byliśmy jak zwykle niczym więcej jak zastępem robotów zaprogramowanych na spełnienie każdego życzenia Phila.

Ostatnio zachowanie Allegry wydawało mi się jeszcze bardziej dziwaczne niż zazwyczaj. W minionym miesiącu straciła więcej na wadze niż ktokolwiek inny w biurze, ale nadal twierdziła, że nie korzysta z żadnego farmakologicznego wsparcia. Kiedy ją pytano, w jaki sposób osią—

gnęła takie efekty, udzielała bzdurnych odpowiedzi, na przykład „koszykówka” i „jazda na wrotkach”. Tego ranka słyszałam, jak przypisywała schudnięcie swojej najnowszej fascynacji bilardem, który, jak utrzymywała, „doskonale wyszczupla talię”.

Istotną rolę w kampanii promującej *El Lechero* odgrywało czytanie poezji Walta Whitmana, co, jak wierzył tytułowy bohater filmu, miało zbawienny wpływ na o—gaciznę. Juliet Bartlett, Jimmy—Dale Hawthorne, Bob Metuchen, Harry Spindler, Francesca Davis i Ivan—Melissa Pell, a także wielu innych aktorów regularnie grających w filmach wytwórni Glorious, już zgodzili się czytać wiersze Whitmana na specjalnych spotkaniach organizowanych w wytwórnych rezydencjach członków Akademii w Nowym Jorku, Beverly Hills i w Londynie; wytwórnia opłacała towarzyszące lekturze wystawne uczyty. Gospodarze mogli zapraszać, kogo chcieli, byle tylko 75 procent gości stanowili członkowie Akademii.

Dagney miotała się między telefonami i e—mailami, ponieważ to ona była odpowiedzialna za koordynację całej serii imprez literackich. Współpracowała też ze stylistami, doradzając im wybór stosownych strojów dla ich klientów. Mężczyźni wyglądali jak żywcem wyjęci z filmu *Stowarzyszenie umarłych poetów* — spodnie khaki, granatowa marynarka, czerwony krawat w paski i biała koszula; do tego mokasyny, im bardziej znoszone, tym lepiej. Kobiety prezentowały skromny, biblioteczny styl, chociaż metki ich strojów wskazywały na to, że większości prawdziwych bibliotekarek nie byłoby na nie stać. Obowiązywały szyte na miarę kostiumy, jedwabne bluzki i czółenka na szpilkach. Włosy miały być upięte w ciasny, gładki kok albo zebrane w koński ogon. Najważniejsze w tym

wszystkim były okulary. Dagny udało się namówić pewnego modnego optyka z SoHo na wypożyczenie czytającym poezję gwiazdom okularów ze zwykłymi szklami. Taki wygląd oznaczał: jestem odczytanym intelektualistą i chcę dzielić z wami radość, jaką daje obcowanie z poezją.

Pasowało to idealnie do planu naszkicowanego przez Phila, Allegre i Vivian, którzy rozumieli doskonale, że *El Lechero* może stać się ważną bronią w toczącej się w Hollywood wojnie przeciwko niepewności. Glorious miała zapoczątkować epidemię intelektualnego niepokoju, a potem zaoferować skuteczne i szybko działające lekarstwo.

— *Si, si, claro*. Aktorzy wiedzą mnóstwo rzeczy — mówiła Vivian do telefonu głosem jeszcze wyższym niż zazwyczaj, tak że trudno byłoby nie podsłuchiwać. — Wiedzą, że są uwielbiani. Wiedzą, że są bogaci. Wiedzą, że są utalentowani, nawet jeśli nie są — ciągnęła. Nie wiedziałam, z kim rozmawia, ale siedziałam jak przymurowana. — Jedna tylko rzecz jest dla nich niejasna, a mianowicie są czy też nie są inteligentni. Więc Phil wymyślił ten zdumiewający plan wykorzystania *El Lechero* jako sposobu, żeby się o tym przekonać, a jednocześnie wszystkich zainteresować samym filmem. — Zaczęła przedstawiać strategię, która, jeśliby okazała się skuteczna, zapewniłaby *El Lechero* Oscara. — *Si, si*, jak śmiemy nazywać siebie *artistas*, skoro nawet nie rozumiemy *poezji*? *Es perfecto* — zakończyła jeszcze głośniej.

Pierwsze spotkanie z poezją odbyło się w Beverly Hills, w rezydencji pewnego ważnego producenta. Juliet Bartlett i Jimmy—Dale Hawthorne czytali gościom wiersze, które pojawiły się w filmie. Nie minął tydzień, a fala poezji przetaczała się przez kraj od Hollywood Hills po Wall Street, od Tower Bridge po TriBeCę, i z powrotem. Za—

kurzone, oprawne w skórę tomiki stały się niezbędnym rekwizytem, a zdjęcia paparazzich w „People”, „Us” i w „The Star” ukazywały przystrojone okularami osobistości w akcji — w księgarniach i bibliotekach, a nawet podczas aukcji pierwszych wydań w Sotheby's, gdzie ceny były wszelkie rekordy. Telefon Allegry się urywał, dzwonili członkowie Akademii, którzy chcieli być gospodarzami spotkań z poezją, oraz przedstawiciele aktorów, którzy mieli ochotę użyć swoich głosów. Dagny i ja z trudem radziłyśmy sobie z prośbami i potwierdzeniami. Przyszło nam nawet do głowy, że w końcu może zabraknąć wierszy.

Nawet Clark był zawałony robotą, bo zrobiono go odpowiedzialnym za catering na każdej z imprez. Phil pojawiał się we wszystkich porannych programach telewizyjnych, perorował na temat zalet poezji i opłakiwał jej brak w naszym pospiesznym życiu. W każdym programie zasiadał na tle scenografii ukazującej wnętrze salonu i podczas rozmowy cała jego niezgrabna postać wyrażała smutek i żal. A potem, ku zachwytowi prowadzących, wstawał, prostował ramiona, składał ręce przed sobą i dramatycznym głosem recytował: „O Kapitanie! Mój Kapitanie!” Niespodziewanie *El Lechero* okazał się lekiem na wszystko, co nam doskwiera, a w kinach całego kraju bilety szły jak świeże bułeczki. Poezja miała wzięcie.

Kiedy jedno z nowojorskich spotkań miało się odbyć u członka Akademii, który mieszkał w apartamentowcu zwanym Dakota, wyprosiłam, żeby pozwolono mi tam pojechać... tylko raz widziałam wnętrze tego budynku, kiedy byłam *naDziecku Rosemary*. Na Zachodniej Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy podałam swoje nazwisko strażnikowi dyżurującemu w małej budce przed budynkiem,

a on zatelefonował, zanim mnie wpuścił. Kiedy znalazłam się w apartamencie z cudownym widokiem na Central Park, w grupie około czterdziestu elegancko ubranych osób, zauważyłam kilkoro aktorów i aktorek, o których wiedziałam, że mieszkają w tym samym apartamentów — cu; dostrzegłam także Mirandę Priestly, redaktorkę najślawniejszego na świecie magazynu mody. Odziana w strój od Prądy, w ogromnych okularach przeciwsłonecznych, stała samotnie pod oknem. Phil i Allegra czaili się w kącie. Phil kiwnął na mnie ręką.

— Zrób coś, żeby zdjęła te okulary, bo wygląda, jakby jej nie obchodziło, co się tu dzieje.

Stałam jak wrośnięta w perski dywan o skomplikowanym wzorze. Poproszenie Mirandy Priestly o zdjęcie okularów przeciwsłonecznych znajdowało się na pierwszym miejscu tych rzeczy, których w Nowym Jorku Po Prostu Się Nie Robi. Postąpiłam w końcu kilka niepewnych kroków w jej stronę, wyobrażając sobie, jak różni felietoniści będą się świetnie bawić moim kosztem. W rozpaczy zerknęłam przez ramię i zobaczyłam, że Allegra szepcze coś do ucha Philowi.

— Karen — usłyszałam. Głos był tak cichy, że nie byłam pewna, czy sobie tego nie wymyśliłam. Odwróciłam się ponownie i zobaczyłam, że moja szefowa kręci energicznie głową. I chociaż wiedziałam, że chroni Phila, nie mnie, poczułam nagły przypływ wdzięczności.

Kiedy zajęliśmy miejsca w przestronnej bibliotece z kominem, nasz gospodarz przedstawił pierwszą z dwóch osób, które miały nam czytać, mianowicie Ivan—Melisse Pell. Miała na sobie granatowy kostiumik z krótką, ale bardzo elegancką spódniczką i odpowiednio wysokie buty. Ani śladu po naszyjniku z muszelek... zamiast tego kom—

piet składający się z bransoletki oraz kolczyków, wszystko z pereł. Odchrząknęła, wkładając duże okulary w rogowej oprawie, i rozpoczęła z pamięci recytację *Manna-hatty*, wykonując kilkakrotnie dramatyczne gesty w stronę parku, który miała za plecami. Modulowała głos, dzięki czemu nie brzmiał tak piskliwie. Jej przemiana w inteligentną czytelnickę poezji była zdumiewająca. Kiedy skończyła, jej miejsce zajęła Ana Maria Verdades, która odczytała *Jasną północ* po hiszpańsku, tak jak to było w fdmie. Potem drżącym głosem przeczytała wiersz ponownie, tym razem po angielsku... lekcje u Berlitz'a dały takie rezultaty, że mogła sobie pozwolić na wydzwanianie codziennie do Allegry z prośbą o wydanie zgody na powrót do Caracas na Boże Narodzenie.

Zebrani, poruszeni jej subtelnością, nagrodzili ją rzęsytymi brawami, po czym przeszli do przyległego pokoju na wino i maleńkie ciasteczka. Zanim wyszłam, w imieniu Glorious podziękowałam Anie Marii i Ivan—Melissie.

Niezaprzeczalny urok Any Marii i bliska doskonałości znajomość języka angielskiego spowodowały, że amerykańskie środowisko filmowe zaczęło ją zauważać. Miała teraz agenta z Los Angeles, gorliwie węszącego za „możliwościami” dla niej, a my zebraliśmy długą listę zamówień na wywiady, których będzie udzielać w ciągu kilku nadchodzących tygodni. Phil miał poczucie, że dzięki zaangażowaniu w kampanię promocyjną Any Marii, reżysera i całego zastępu znakomitości z tomikami poezji w rękach, *El Lechero* jest wystarczająco widoczny, żeby zdobyć nominację.

Na froncie *Gawrona 2* również zanotowano pewne po—

stępy. Erich nagrał angielską wersję *Ich habe Fieber*. Zgodnie z tradycją zespołu ABBA, a ku wyrażanemu głośno wielkiemu rozgoryczeniu Tony'ego, podczas śpiewu jego akcent gdzieś się ulatniał. Wideoklip pokazywano w kółko w MTV, a Erich zaangażował się w romans z pewną litewską supermodelką. Na każdej imprezie pokazywali się niezmiennie przytuleni twarzami. Uwielbiali, kiedy robiono im zdjęcia, więc ich fotografie towarzyszyły wielo sprawozdaniom z głośnych przyjęć.

Tymczasem film ukończono i wszystko wskazywało na to, że podekscytowani fani pierwszej części nie mogą się już doczekać jego premiery. Dzielili się w Internecie różnymi teoriami i przypuszczeniami na temat fabuły i kręcili po foyer nowojorskiego hotelu, w którym zatrzymał się Erich, zginając kolana w jakimś przedziwnym ukłonie za każdym razem, kiedy przechodził obok. Codziennie, kiedy przyjeżdżałam do pracy, widziałam mężczyznę ubranego i ucharakteryzowanego na Gawrona, stojącego jak na warcie na rogu najbliższej ulicy. Poza tym, że wyglądem mógł budzić grozę, był zupełnie nieszkodliwy, a któregoś zimniejszego dnia zauważyłam, że okrył się ~~me~~— chaconą peleryną. Dla tego gościa, którego imienia nigdy nie poznałam, pozostawienie metafizycznego domu Gawrona bez opieki z powodu zimna było nie do pomyślenia. Któregoś dnia nawet Tony zatrzymał się na chwilę i zrobił sobie z nim zdjęcie.

Dział promocji Glorious, którego szefową była kruczowłosa Delilah Billings, koordynował radiową promocję *Gawrona 2* w pięćdziesięciu stanach. Każdego ranka dіджеje wszystkich stacji podgrzewali atmosferę, nadając akordy organowe sygnalizujące zbliżającą się premierę filmu. Każda dwudziesta siódma dzwoniąca do rozgłośni

osoba (liczba dwadzieścia siedem odgrywała w gawronologii ważną rolę) miała wziąć udział w losowaniu darmowej wycieczki do Los Angeles. Słuchacze, którym się poszczęści, oraz goście zaproszeni po jednym z każdej stacji polecą do L.A. na projekcję filmu, zaplanowaną na dzień przed jego oficjalnym wejściem na ekrany. Potem wezmą udział w przyjęciu, co prawda bez znanych osobistości, ale za to w otoczeniu przeróżnych związanych z Gawronem gadżetów i upominków. Jednym z punktów programu miała być loteria fantowa z główną nagrodą w postaci peleryny, którą podczas kręcenia filmu nosił Erich.

Był jednak pewien istotny problem z *Gawronem 2*, który usilnie staraliśmy się utrzymać w tajemnicy. Mówiąc wprost, *Gawron 2: Nigdy, przenigdy* był okropny. Podczas gdy pierwszy film stał się wielkim przebojem i uczynił z wielu osób, nie mających nawet pojęcia o istnieniu pierwowzoru w postaci komiksu, zagorzałych wielbicieli Gawrona, ten obraz mógł ich jedynie rozczarować. I to bardzo. Zanim jednak Tony, Phil i kierownictwo Glorious uświadomili sobie, że mają do czynienia z czymś po prostu katastrofalnym, a nie ze zwykłym marnym dreszczowcem, plany były już zbyt zaawansowane, żeby można było z niego całkiem zrezygnować czy coś w nim zmieniać.

Uczestnicy badań fokusowych, którzy film obejrżeli, byli zgodni w swojej negatywnej ocenie. Po zakończeniu projekcji dla naszego działu wychodziliśmy w milczeniu, nie wiedząc, co myśleć o *Gawronie 2* ani co należy zrobić, żeby go ratować. Dotąd to *Gawron* zajmował się ratowaniem.

Phil, mimo że zaabsorbowany *El Lebrero*, nie zamierzał zostawić Tony'ego z problemem *Gawrona*, więc również szukał jakiegoś wyjścia. Na film czekała armia fanów i istniała możliwość, że pierwszy weekend da się pod

względem finansowym uratować, ale tylko wtedy, kiedy się to właściwie rozegra. Nie można było użyć strategii z *Grabarza* i wypełnić sali na premierze samymi sławami, ponieważ — jeśli nie liczyć Ericha, którego w najlepszym razie można było nazwać wschodzącą gwiazdą — z tym filmem nie wiązały się żadne znane nazwiska. Projekcje dla krytyków można było bez trudu wyeliminować — nasyce- nie pod koniec roku ważnymi dla Akademii filmami było tak duże, że pochłaniało lwią część czasu i uwagi recenzentów. Jediną problemową kwestią w planie wprowadzenia *Gawrona 2* do kin bez rozgłosu był radiowy konkurs.

Tony chciał go odwołać, jednak zamówiono już bilety lotnicze i hotele dla setki osób. Unieważnienie spowodowałyby, że te same stacje, które przez miesiąc reklamowały konkurs, na pewno poświęciłyby mnóstwo czasu antenowego na domysły, dlaczego tak się stało. Od Atlantyku do Pacyfiku rozciągnąłby się wielki znak zapytania i na coś takiego Glorious nie mogła sobie pozwolić.

Allegra i Tony przeprowadzili ze sobą dziesiątki rozmów telefonicznych, szukając jakiegoś rozwiązania. Dzisiaj był poniedziałek, film wchodził na ekrany w najbliższy piątek, a projekcję dla zwycięzców konkursu zaplanowano na czwartek wieczór.

Opracowano nową strategię i postanowiono, że Vivian poleci do Los Angeles, żeby nadzorować jej realizację. Ona sama broniła się przed tym, twierdząc, że więcej robi, jeśli zostanie w Nowym Jorku i będzie pracować nad *Lechero*. Jednak Allegra uważała, że tak delikatna sprawa wymaga obecności osoby, która jest skrupulatna, zdyscyplinowana i potrafi postępować dyplomatycznie. Marlene zaofiarowała się, że poleci, co, w połączeniu z komplementem Allegry, spowodowało, że Vivian rzuciła się ochoczo w wir organi—

zowania całego planu. Co parę minut wykrzykiwała z za przepierzenia polecenia dla Dagney i dla mnie.

— Wynajmijcie dwa luksusowe — l u k s u s o w e — autokary na cały piątek. Powiedzcie, że nie jesteście pewne, dokąd pojedą, ale że będzie to gdzieś na terenie stanu: mają odebrać pasażerów o szóstej rano przed Holiday Inn w Los Angeles, przy South Figueroa, powrót około dwudziestej.

— Zróbcie tabliczkę z napisem: „Proszę włożyć telefony komórkowe do kosza. Odbiór przy wyjściu”.

— Znajdźcie mi kosz wystarczająco duży, żeby pomieścił sto telefonów komórkowych.

— Vivian, czy jest coś, co ja mogłabym zrobić? — spytała w końcu nieśmiało Kimberley.

— Owszem. Zamów mi dużą porcję kremu z zielonego groszku z dodatkową porcją pieprzu i dopilnuj, żeby był wegetariański, a nie z szynką jak tamten, który zamówiłaś w zeszłym tygodniu. — Przydzieliwszy zajęcie Kimberley, Vivian ponownie skupiła uwagę na nas.

— Zadzwońcie do księgowości i powiedzcie, że potrzebuję dwudziestu pięciu tysięcy w studolarowych banknotach. Niech zadzwonią do Tony'ego, jeśli potrzebne im potwierdzenie.

— Przynieście mi pięćdziesiąt kopert.

— Włóżcie po pięćset dolarów do każdej koperty.

— Zaklejcie każdą kopertę, używając kleju oraz taśmy klejącej.

— Macie tu listę zwycięzców konkursu... przygotujcie nalepki z nazwiskami.

— Przyklejcie nalepki na koperty.

Ponieważ Vivian nie lubiła delegować zadań, to kiedy nie miała wyjścia i musiała dzielić je z innymi, rozdrabniała wszystko na etapy rozmiarów ziarnka piasku. Mimo

to nadal często zaglądała nam przez ramię, żeby upewnić się, czy ściśle wypełniamy jej instrukcje. Właśnie zapieczętowałam ostatnią kopertę z gotówką (jedno mażnięcie klejem w sztyfcie, pokrycie całego łączenia taśmą), kiedy przy mnie wyrosła.

— Jesteś pewna, że w każdej kopercie jest pięć studolaryowych banknotów? — spytała.

Skinęłam głową i dodałam, że obie z Dagny przeliczyłyśmy je kilkakrotnie. Zresztą miałyśmy dokładnie pięćdziesiąt kopert i pięćdziesiąt nalepek z nazwiskami i skoro wszystko do siebie pasowało, nie ma mowy o żadnej pomyłce. Prawie już mi się wyrwało: „To nie fizyka jądrowa”, ale wiedziałam, że gdybym to powiedziała, zostałabym zbesztana za niedocenianie wagi całego przedsięwzięcia.

Kiedy już skompletowałyśmy wszystko wedle życzenia Vivian, kazała nam to poukładać w niewielkim, czarnym futerał, podobnym do tych, jakich kapele rockowe używają do transportowania sprzętu podczas tras koncertowych. Vivian sprawdziła każdą rzecz, po czym kazała nam opróżnić futerał i jeszcze raz wszystko sprawdzić. Kiedy już była absolutnie pewna, że ma wszystko, czego jej potrzeba, przeplotłyśmy przez rączki gruby łańcuch z dużą kłódką. Vivian zamierzała zabrać futerał do samolotu jako bagaż podręczny. Jeśli się znało opowieści o odgrywanych przez nią na lotniskach scenach z gatunku „wiecie, kim ja jestem?”, można było mieć pewność, że jej się uda, niezależnie od tego, czy futerał zmieści się na półce bagażowej albo pod fotelem czy też nie. Dałyśmy jej dwa zapasowe kluczyki do kłódky i wreszcie opuściła biuro. Co ona kombinowała? Nawet kiedy obie połączyłyśmy wszystkie nasze domysły, to i tak nie byłyśmy w stanie zgadnąć, o co w tym wszystkim chodzi.

W środę rano, po tym, jak sprawdziłam i przekazałam Allegrze, że samolot Vivian odleciał punktualnie z Nowego Jorku i że przyleci do Los Angeles na czas, wszyscy poza VIP—ami otrzymali następującego e—maila: „Mikołaj ma coś dla ciebie... przyjdź do mojego gabinetu i zobacz, co jest w twojej pończosze!” Wiadomość ta przyszła od Lowella Berglunda pełniącego obowiązki dyrektora ekonomicznego. Lowell już prawie trzy lata zajmował to stanowisko, a Phil i Tony ciągle nie mieli ochoty zatwierdzić go na nim oficjalnie.

Gabinet Lowella mieścił się w małym pokoiku dwa piętra nad resztą pomieszczeń firmy, zupełnie jakby stanowisko dyrektora ekonomicznego było czymś, czego wcześniej w ogóle nie uwzględniano. I rzeczywiście, Lowell aż się prosił, żeby go odróżniać od innych. Każdemu, kto tylko zechciał słuchać, tłumaczył, że powodem, dla którego jego biuro odseparowano od reszty, był „delikatny charakter jego pracy”. No i bardzo dobrze. Lowell był bowiem wyjątkowo niesympatycznym osobnikiem i to, że nie musieliśmy widywać go zbyt często, było dużym plusem. Ten e—mail mnie zadziwił... jego treść zupełnie nie pasowała do obrazu Lowella. Czyżby na parę dni przed Bożym Narodzeniem nawiedził go Duch Przyszłych Świąt? Dagney powiedziała, żebym poszła pierwsza, bo, jak się wyraziła,

„potrzebowałam tego bardziej niż ona”. Ruszyłam do schodów, ciesząc się na myśl o choćby najmniejszej premii.

W kolejce, która zaczynała się pod zamkniętymi drzwiami pokoju Lowella i wiła korytarzem, stało już jakichś siedemdziesięciu pięciu pracowników Glorious. Z windy ciągle wysiadały kolejne osoby, inne nadciągały schodami. Większość gwarzyła z podekscytowaniem o nadchodzących świętach i o tym, jak bardzo się przyda dodatkowa gotówka. Drzwi się otworzyły, stanął w nich Lowell i położył palec na ustach. Zastanawiałam się, czy wygłosi jakąś homilię, a może powie po prostu: „Niech Bóg pobłogosławi was wszystkich i każdego z osobna”. Tłum zamilkł. Lowell odczekał kilka chwil, bo mógł sobie na to pozwolić.

— Wszyscy tutaj budzicie we mnie obrzydzenie — zaczął. — Tłoczycie się na tym korytarzu jak świnie przy korycie. I po co? Po głupich parę dolarów? Współczuję wam. — Po czym wziął pudło z kopertami zawierającymi nasze premie i machnął nim nad głową. Koperty wyfrunęły z furkotem i rozsypały się po podłodze. Lowell odczekał, dopóki ostatnia nie wylądowała, potem pokręcił głową i wrócił do gabinetu, głośno zatrząskując za sobą drzwi.

Robert stał najbliżej miejsca, gdzie spadła większość kopert. Zgarnął je i zaczął rozdawać, życząc każdemu Wesółych Świąt i szczęśliwego Nowego Roku, jednym słowem — w przeciwieństwie do dyrektora ekonomicznego — zachował się jak człowiek. Wzięłam swoją kopertę i zesłam na dół, nie zwracając sobie nawet głowy sprawdzaniem, co jest w środku.

— To nie może się dziać naprawdę — zupełnie niechcący odezwałam się na głos do Dagney, która właśnie starała

się robić wrażenie, że nie *zależy* jej szczególnie na odebraniu swojej premii.

— Co nie może?

— Nic takiego — odparłam, zaskoczona, że wymówiłam głośno swoją mantrę. — Chyba Robert ma twój czek — dodałam i opowiedziałam jej, co się wydarzyło na gorze.

— Co jest, do diabła, z tym miejscem? Jak to dobrze, że już jutro będę na Ibizie... z dala od Lowella i całej reszty tego gówna.

— Wielkie dzięki, Dag — powiedziałam, a do mojego głosu wkradł się sarkazm, jednak nie na tyle wyraźny, by to zauważyła.

— Och, nie ma za co — rzuciła, myślami błędząc gdzieś indziej. — Pójdę teraz do Roberta. Muszę zabrać ten czek i wymienić trochę pieniędzy, zanim zamkną bank.

Jeśli jeszcze raz rzuci mi w twarz tę Ibizę, to na pewno pocuję na ustach smak paelli, pomyślałam sobie, wkładając zamkniętą kopertę do torebki. Jakąkolwiek sumę postanowili mi przyznać, mniej czy bardziej skromną, żadna nie była w stanie zrekompenzować tego świeżo doznanego upokorzenia.

Późnym popołudniem pojawił się kolejny e-mail. Wyśleła go Geraldine, zapraszając wszystkich na przedświąteczne przyjęcie wydawane przez Glorię. Harmonogram udziału ułożono alfabetycznie i każdemu przyznano pół godziny celebrowania. Teraz miały przyjść osoby od A do F, ale Dagney przebywała poza biurem, załatwiając swoje sprawy. Grupa G—M przewidziana była na kolejne pół godziny, co oznaczało, że Robert, Clark i ja idziemy razem.

Dagney akurat wróciła, kiedy Clark zatrzymał się przy naszym biurku, z galanterią służąc mi ramieniem; poin—

formowałam ją więc, dokąd idę. Zabraliśmy po drodze Roberta i udaliśmy się do sali konferencyjnej.

Ledwie tam weszliśmy, kiedy ruszyła na nas Gloria, żeby połaskotać i poszczypać Clarka i wypytać go, na jakie zabiegi zapisał się w centrum odnowy. W eleganckim karmazynowym kostiumie ze spodniami, suto zdobionym błyskotkami, i w nakryciu głowy, które przywodziło na myśl indiański pióropusz, wyglądała jak jakiś wymyślnie zapakowany prezent.

Zostawiliśmy ich i podeszliśmy z Robertem do długiego stołu zastawionego różnymi smakołykami; czego tam nie było, czekoladowe Mikołaje, karmelowe renifery, choinki z pianki żelowej, czekoladowe monety, karmelowe świece chanukowe, menory z pianki żelowej, a do tego duży wybór czekoladek, karmelków i pianek żelowych o zwyczajnych kształtach. Na jednym końcu stołu ustawiono tace z deserami lodowymi. Były tam lody o różnych smakach, gorąca masa karmelowa i inne polewy, bita śmietana i posypka w trzech naczyniach; w jednym ~~cz~~wono—zielona, w drugim niebiesko—biała, a w trzecim wielokolorowa. Spróbowaliśmy z Robertem słodczy i szybko się okazało, że najbardziej smakują nam piankowe menory, więc przeszliśmy dalej i przygotowaliśmy sobie po porcji wymyślnych deserów lodowych. Naszym celem było wykorzystanie wszystkich dostępnych składników. Podeszła Gloria i ucałowała nas oboje.

— Co sądzicie o tym, co jest na stole? — spytała.

Mieliśmy pełne usta, pokiwaliśmy więc z uznaniem głowami, a kiedy już przełknęłam kolejną łyżeczkę ozdobionych menorą lodów, przyznałam, że wszystko jest pyszne.

— Bo widzicie, mam tu coś dla tych, którzy obchodzą Boże Narodzenie, dla świętujących Chanukę, a także coś

dla naszych przyjaciół wyznających inne wiary — wyjaśniła, wskazując na słodczyce nie uformowane w żadne znaczące kształty. — Moja asystentka, Roxanne — wskazała ręką swoją wieloletnią sekretarkę do spraw socjalnych, Afroamerykankę, która właśnie skubała renifera — powiedziała mi, że nie jest politycznie poprawne, kiedy podaje się smakołyki związane jedynie z Bożym Narodzeniem i z Chanuką. „Musi pani uwzględnić wszystkich”, oświadczyła.

Robert skinął głową.

— Czułabym się okropnie, gdybym kogoś uraziła, ale skąd miałam niby wiedzieć? — mówiła dalej. — Dla mnie święto to święto. Kto mógł przewidzieć, że wszystko tak się skomplikuje? — Uśmiechnęła się.

— Zawsze to miło, jeśli się nikogo nie wyklucza — uznał Robert, odgryzając głowę Mikołajowi.

— Nigdy bym sobie nie wybaczyła — powiedziała Gloria. A potem obróciła się w miejscu, prezentując nam swój strój. — Co o nim sądzicie? Pomyślałam sobie, że na zewnątrz jest to połączenie Bożego Narodzenia i Kwanzaa. A w środku, jak wiecie, Chanuka.

W tym momencie pojawiła się Géraldine i oznajmiła, że nasze przyjęcie już się skończyło i salę trzeba zwolnić dla tych od N do R.

— Ależ ta ma kwaśną facjatę — zauważyła Gloria, kręcąc głową. — Może w nowym roku wreszcie znajdzie sobie męża. — Zanim wyszliśmy, objęła każde z nas miążdżącym uściskiem.

Przy biurku siedziała zirytowana Dagney. Géraldine powiedziała jej, że ci, którzy przegapili swoją literę, nie mogą dołączyć do innej grupy.

— Co za jędba — wściekała się Dagney. Miałam ochotę ją pocieszyć, mówiąc, że ta półgodzinna uroczystość przy—

pominą przyjęcie urodzinowe trzeciej kategorii, ale ugryzłam się w język. Ona też by mi nie powiedziała, gdyby podczas jej pobytu w Hiszpanii padało. — Nie mogę się doczekać, żeby się stąd wyrwać i znaleźć na Ibizie — oświadczyła, zupełnie jakby czytała mi w myślach. — Może w ogóle nie wrócę.

Clark zatrzymał się przy nas, żeby pokazać prezent, jaki dostał od Glorii. Był to specjalny spinacz do banknotów, od Tiffany'ego, ze srebra najwyższej próby, z wygrawerowanymi inicjałami CRG. Każda litera była ozdobiona maleńkim brylancikiem.

— Bardzo w stylu *Chłopców z ferajny* — zauważyłam. — A co oznacza to „R”?

Zignorował moje pytanie.

— Gloria powiedziała, że będzie przydatny podczas gry w karty. Łatwiej jej przyjdzie mnie ogrywać, kiedy będę trzymał pieniądze spięte czymś takim.

— Ile w tym roku od ciebie wygrała? — spytałam.

— Jeśli uwzględnić kanastę, bezika, pokera, a do tego jeszcze grę w rybkę, która wymknęła się spod kontroli, co niemal doprowadziło mnie do bankructwa, to około trzech i pół tysiąca dolarów. Ale to nieważne, i tak wszystko idzie na koszt firmy.

— Przegrywasz z Glorią na koszt firmy? — Nie wierzyłam własnym uszom.

— Gloria Waxman jest oszustką karcianą i prowadzi podwójną grę. Ona tylko udaje, że się kumplujemy, tak naprawdę jestem jej ofiarą.

— No więc co oznacza to „R”?

— Moje drugie imię.

— No taa, tak też sobie myślałam. Ale jakie? — spytałam, chwytając go w żartach za nadgarstek.

— Okropieństwo. Rufus. — Podniósł rękę. — Zanim zaczniecie sobie kpić, zważcie na to, że jest to imię ukochanego, nieodżałowanej pamięci teriera mojej matki.

— Dostałeś imię po psie? — Dagny włączyła się do rozmowy.

— Rufus nie był zwyczajnym psem. Był wielokrotnym czempionem na wystawach organizowanych przez Amerykańskie Towarzystwo Kynologiczne, a jego dzieci i wnuki utrzymują moich rodziców na emeryturze.

— J a s n e, że nie był zwyczajny. Nikt nie dałby swojemu pierworodnemu imienia po byle psiaku — zauważyłam.

Robert, który cały czas milczał, dłużej już nie mógł wytrzymać.

— Clark! — rzucił w taki sposób, że zabrzmiało to jak szczeknięcie. — Ruufus — dodał przeciągle, naśladując wycie psa. Po chwili już wszyscy szczekaliśmy i wyliśmy jak szaleni, aż Marlene wypadła z wrzaskiem ze swojego boksu, obwiniając nas o przyprawienie jej o ból głowy.

Zadzwoniła Vivian, powiedziała mi, że jest w Los Angeles i właśnie jedzie obejrzeć miejsca, gdzie jutro wieczorem mają się odbyć projekcje, a po nich przyjęcia.

— Poinformuj Allegrę, że wszystko załatwiłam, jak należy — oświadczyła. Zapisałam jej wiadomość w rejestrze telefonów, nie bardzo rozumiejąc, co mogła mieć na myśli.

Potem przebrałam się na kolejne przyjęcie. Za dziesięć tysięcy dolarów Glorious wykupiła stolik na dorocznej świątecznej Gali Młodych Demokratów, ale nikt z kadry kierowniczej nie miał najmniejszej ochoty zwracać sobie tym głowy, wobec czego Clark, Robert, Dagny i ja, plus kilkoro innych Młodych Pracowników naszej firmy, zostaliśmy zmuszeni do złożenia siedzeń na opłaconych miej—

scach. Wymagany był strój „uroczysty”, a impreza miała się odbyć w sali balowej jednego z dwóch stojących naprzeciwko siebie śródmiejskich Sheratonów... nie wiedziałam którego, ale byłam pewna, że Robert będzie wiedział.

W sali tłoczyło się mnóstwo ludzi, lecz i tak podczas godziny przeznaczonej na koktajl nasza czwórka nawiązywała kontakty wyłącznie ze sobą, pozbywszy się wcześniej wręczonych nam przy wejściu identyfikatorów. Pojawił się Systemy Alejandro i Kimberley z Sabriną, które podeszły do nas. Kimberley przywołała jakiegoś faceta, który przedstawił się jako „Trevor od Staną Coburna”. Jego szef też wykupił stolik i kazał swoim podwładnym go obsiąść. Z tego, co mówił Trevor, wynikało, że była to dla nich rzadka okazja spędzenia wieczoru poza biurem; Stan bowiem miał zwyczaj przetrzymywać swój personel w pracy do późnych godzin nocnych.

Stan był niezależnym producentem, który w przeszłości kilkakrotnie współpracował z Philem, chociaż już nie za moich czasów w Glorious. Dystrybucją większości jego filmów zajmowały się inne wytwórnie, ale należało się spodziewać, że Phil jeszcze nieraz będzie chciał połączyć z nim siły. Stan miał wyjątkowy talent do produkcji filmów, które podobały się krytykom, członkom Akademii i widzom, a ta jego niezwykła zdolność dotyczyła każdego prawie gatunku filmowego. Ludzie z branży, którzy pamiętali, jak zachłannie kupował prawa do sztuk teatralnych, powieści i biografii, do wszystkiego, co w jego mniemaniu posiadało wartość filmową, często cytowali jego powiedzenie, że „najważniejszy jest tekst”. Stan był też znany z tego, że oprócz szczęścia do filmów ma trudny charakter i zmienia asystentki jak rękawiczki.

Trevor zostawił nas na chwilę i wrócił z pięcioma kole—

gami, wszyscy około trzydziestki, nienagannie ubrani i bardzo przystojni. Przedstawiliśmy się sobie.

— Pracujesz dla Allegry Orecchi? — spytał mnie jeden z nich, kiedy już odpowiedziałam na pytanie, czym się w Glorious zajmuję.

— Tak, jesteśmy z Dagney jej asystantkami.

— A to ci dopiero, ja was przecież znam. Ta wasza cholerna szefowa jest zawsze na miejscu.

— O czym ty mówisz? — spytałam. Wiedziałam, że nigdy nie zarejestrowałam żadnego telefonu od Staną Co—burna. Spojrzałam pytającym wzrokiem na Dagney, która w odpowiedzi tylko uniosła brwi.

— Każdego ranka Stan każe nam telefonować do około dziewięciuset osób — wyjaśniał Trevor. — Jest nas sześciu, więc na jednego przypada sto pięćdziesiąt telefonów. Każe nam dzwonić wcześniej, zanim jeszcze ktokolwiek pojawi się w biurze, żeby było wiadomo, że Stan już pracuje... chociaż oczywiście jego jeszcze nie ma.

— A co się dzieje, kiedy dzwonisz i ktoś odbiera telefon? — spytałam, a wszystko nagle stało się dla mnie jasne.

— Musimy się rozłączyć, bo tak naprawdę nie możemy nikogo połączyć z szefem.

— Dagney, poznaj speców od odkładania słuchawki — powiedziałam.

— Co? O jasna cholera! Nie masz pojęcia, jak nas wystraszyliście — powiedziała Dagney.

— Myślałyśmy, że ktoś nas śledzi albo że w budynku czai się jakiś szaleniec — uzupełniłam.

— Przepraszam — kajał się Trevor. — To dlatego, że Allegra przychodzi tak wcześniej i nigdy nie udaje nam się dodzwonić przed jej przyjściem.

— Właśnie o to chodzi — wyjaśniłam z uczuciem ogrom—

nej ulgi. — Jej tam wcale nie ma. Jest w domu, w łóżku. Każdemu, kto dzwoni, kažemy czekać kilka sekund, a potem mówimy, że szefowa jest na spotkaniu. — Więc Clark miał rację... To nie był George Hanratty ani żaden seryjny morderca.

W tym momencie wszystkich sześciu asystentów Sta-
nę sięgnęło do kieszeni i wszyscy jednocześnie odebrali telefon.

— Przykro mi — odezwał się jeden.

— Trevor zaraz jakąś znajdzie — powiedział inny.

— Nie, wcale nie chcieliśmy tak cię zostawić — oświadczy! jedyne wśród nich blondyn.

— Masz całkowitą rację, to nie do przyjęcia — powiedział jeszcze inny.

Potem wszyscy się rozłączyli, z wyjątkiem Trevora, który odsunął się trochę, żeby zadzwonić.

— Stan jest w Londynie i nie może złapać taksówki — wyjaśnił jeden z nich.

— Więc zadzwonił do was, do Nowego Jorku? — spytała Dagny, spoglądając na zegarek. — Przecież tam jest prawie pierwsza w nocy.

Skinął głową.

— Stanowi to nie robi różnicy. Nieważne, co się dzieje, zawsze jest to czyjaś wina. Teraz Trevor zadzwoni do firmy taksówkarskiej, a nim jakaś taksówka tam dojedzie, Stan znajdzie już sobie inną i odjedzie. Ciągłe tak się dzieje.

Trevor wrócił do nas.

— Trevor, następnym razem, kiedy zadzwonicie do naszego biura, zostawcie wiadomość. Zdajecie sobie sprawę, że to trwa już od dziewięciu miesięcy i oni nigdy ze sobą nie rozmawiali? — spytałam. — Allegra nawet nie wie, że Stan chce się z nią skontaktować.

— To zupełnie jak w bajce — stwierdził Trevor. — Opowieść o tym, jak mężczyzna, którego nigdy nie ma, dzwoni do kobiety, która zawsze jest na miejscu.

— I śmiertelnie przeraża jej asystentki — dodałam. — Omal nie zawiadomiłyśmy policji.

Odwróciłam się do Dagney, żeby potwierdziła moje słowa, tymczasem ona się ulotniła. Jak zauważyłam, Systemy Alejandro też zniknął; być może udzielał jej prywatnej lekcji swojego ojczystego języka, żeby ją przygotować na Ibizę. Muszę pamiętać, żeby po jej powrocie z wakacji dokładnie ją o to wypytać.

Rankiem następnego dnia Belinda wręczyła mi świeżutki egzemplarz tygodnika „Us Weekly”. Chciałam go dopaść, zanim trafi do kiosków. Było to podwójne świąteczne wydanie, w którym znajdował się reportaż pod tym samym jak co roku tytułem: *Zagłędamy gwiazdom do północzoch*. Opisywano w nim, co znane osoby dawały i dostawały na Gwiazdkę. Według „Us”, każdy, o kim się kiedykolwiek słyszało, znajdzie w tym roku pod choinką tomik poezji. W artykule pobrzmiwała nutka rozczarowania, zupełnie jakby jego autor marzył o powrocie do minionych lat, kiedy to nieprzyzwoicie drogie błyskotki i superwytworne gadżety były jedynymi liczącymi się prezentami. Był tam też krótki artykulik wyszczególniający poetów, których dzieła mogą być idealnymi podarkami, a także użyteczny przewodnik informujący czytelników „Us”, gdzie powinni się udać po polecane tomiki, jeśli chcą iść w ślady swoich ulubionych gwiazd i gwiazdorów.

Zamówiłam tyle egzemplarzy pisma, żeby móc je rozdawać na jutrzejszej niewielkiej imprezie związanej z *El*

Lechero. Dzisiejszego wieczoru przybędą przedstawiciele prasy, obejrzą film, spotkają się z Aną Marią, która będzie czytała poezję po angielsku i po hiszpańsku. W piątek przeprowadzą wywiad z reżyserem i Aną Marią, której pomoże przy tym tłumacz. Ponieważ impreza nie miała dużego zasięgu, nie musiałam nic przy niej robić... choć powiedziano mi, że cały czas mam być „do dyspozycji”.

Dzisiejszego ranka Liz Smith donosiła w swoim felietonie, że tegorocznym podarkiem naszego prezydenta dla małżonki będzie egzemplarz pierwszego wydania *Źdźbel trawy* Whitmana. Felietonistka uznała, że w naszych materialistycznych czasach tomik poezji będzie najlepszym prezentem dla każdego, kogo zamierzamy obdarować. Poza faktem, że Liz Smith była liczącą się znawczynią mody i elegancji, jej felietony drukowano w wielu pismach jednocześnie, tak że kiedy o trzeciej Allegra pojawiła się w końcu w pracy, natychmiast poleciła mi znaleźć Phila, żeby mogła mu przekazać dobre wieści. Kazała mi też natychmiast zanieść do jego biura jeden egzemplarz „Us”.

— Tylko nie dawaj go żadnej z asystentek. Wręcz mu osobiście — wymamrotała.

Kiedy przyszedłam do Phila, natknęłam się na Sabrinę i oddałam jej magazyn.

— Wręczam go Philowi osobiście — oświadczyłam.

— On zawsze natychmiast otwiera na stronie „Gwiazdy... są takie same jak my” — zachichotała, rzucając czasopismo na stos scenariuszy, nie otwartej korespondencji i tygodniową pewnie porcję „Spektrum”.

— Cudownie pachnie — zauważyłam, wciągając woń delikatesów i uświadamiając sobie, jak jestem wygłodzona po całym dniu bez jedzenia. Zerknęłam na stół, gdzie leżały stopy resztek po biznesowym lunchu Phila.

— Poczęstuj się — zachęciła mnie Sabrina i podała papierowy talerz. Wzięłam z półmiska kanapkę z plasterkami peklowanej wołowiny, posmarowałam górną kromkę żytniego chleba musztardą, dodałam trochę frytek i surówki. Kiedy wychodziłam, Sabrina położyła mi na talerzu ogromnego konserwowego ogórka . . . na drogę".

Ponieważ Dagney była na urlopie, przy telefonie dyżurował zatrudniony tymczasowo pracownik, więc musiałam wracać do siebie jak najszybciej.

— Dzięki! — rzuciłam przez ramię i popędziłam, niosąc przed sobą talerz. Kiedy wróciłam, mój pomocnik nerwowo zapisywał jakąś wiadomość od Vivian. Wzięłam od niego słuchawkę, po czym Vivian natychmiast skrytykowała, że jakaś osoba „postronna" odbiera telefony do Allegry. Przekazała mi też, że w ciągu kilku najbliższych godzin przeprowadzi pewne bardzo delikatne posunięcia dotyczące *Gawrona 2*, w związku z czym muszę zachować szczególną ostrożność, jeśli chodzi o udzielanie informacji na temat tego filmu. Ponieważ nic nie wiedziałam o działaniach Vivian w Los Angeles, i tak nie miałam nic do powiedzenia. W trakcie tej rozmowy wpadł Robert i porwał kilka frytek z mojego talerza. Pogroziłam mu pięścią i zniknął, ale wrócił po kilku chwilach z buteleczką keczupu, którym polał pozostałe frytki.

— Co słyhać u Viv? — spytał, wycierając keczup z kącika ust.

— Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłeś — powiedziałam, przysuwając talerz bliżej siebie.

— Spokojnie, to tylko kilka frytek. Co u Viv?

— Tylko kilka moich frytek. Wspomniała coś o „delikatnych posunięciach" dotyczących *Gawrona 2*.

— Przynajmniej dzisiaj wieczorem nie musisz jechać do „New York Timesa”. Bo nie ma recenzji.

— Co z tego — odparłam. — Po prostu film jest tak kiepski, że nie pokazano go krytykom.

— To dobrze, przynajmniej raz będziesz mogła sobie gdzieś pójść albo wrócić do domu czy zrobić coś innego — powiedział.

— Niezupenie. Mam tu siedzieć i czekać na telefon od Vivian. Nie wydaje ci, że coś tu jest nie tak?

— Nie tak? — spytał, sięgając po mojego ogórka.

Chwycałam go za nadgarstek.

— Jak kiepski film może oznaczać jedynie to, że w czwartek mogę iść wcześniej spać? Nikt. nie jest rozczarowany czy choćby zmartwiony? Zresztą tych dobrych też nie świętujemy.

— Jesteś tu prawie rok i dopiero teraz to zauważyłaś?

— Do tej pory nie wydawało się to takie oczywiste — odparłam, wbijając zęby w kanapkę, choć apetyt zdążył już mnie opuścić.

Zadzwoił telefon.

— Biuro Allegry Orecchi — powiedziałam ponurym głosem.

— Daj mi natychmiast Allegrę! Sytuacja jest kryzysowa! — wrzeszczała Marlene. Pierwszy raz zabrzmiało to autentycznie, więc weszłam do gabinetu Allegry z karteczką, na której napisałam: „Marlene, sytuacja naprawdę kryzysowa”. Słowo „naprawdę” podkreśliłam. Allegra skończyła rozmowę, którą właśnie prowadziła, i zaczęła rozmawiać z Marlene. Po dwóch minutach wezwała mnie brzęczykiem do swojego gabinetu.

— Nastąpiła pomyłka. Poważna. Hotel nie ma rezerwacji dla prasy przyjeżdżającej na weekendową imprezę...

mówią, że wczoraj ją odwołano i teraz nie mają żadnych pokoi. Masz zlecić komuś w dziale podróży znalezienie siedemdziesięciu pięciu pokoi w którymkolwiek z hoteli... czy nawet w kilku hotelach, jeśli nie będzie innej możliwości. — Obróciła się z fotelem plecami do mnie, co było sygnałem, że mam ruszać do akcji.

Najpierw zadzwoniłam do Roberta, który natychmiast do mnie przybiegł.

— Czy coś takiego już się kiedyś zdarzyło? — zapytałam.

— Nigdy, w ogóle — odparł i, co dziwne, wyglądał na rozbawionego. — Dobrze słyszałem, że mamy znaleźć siedemdziesiąt pięć pokoi hotelowych w Nowym Jorku w szczycie sezonu turystycznego?

Połączyłam się z gabinetem szefowej działu podróży i u jej asystentki zostawiłam szczegółową wiadomość.

— Przynajmniej zajmą się tym specjaliści — mruknęłam do Roberta, przypominając sobie tamtą historię z Ericą Hall. Minęły dwa tygodnie, zanim mogłam znów korzystać z karty American Express, a w tym czasie otrzymałam drobiazgową listę wszystkiego, co Erica zamawiała do pokoju podczas zaledwie trzydniowego pobytu w hotelu Pierre. Nie pojmowałam, po co komu dwukrotny manicure tego samego dnia, chociaż koszt tej usługi był śmiesznie niski w porównaniu z kompozycjami kwiatowymi do ozdoby apartamentu i wykonywanymi na miejscu zabiegami z zakresu odnowy biologicznej, a także z tą ilością jedzenia, którą można by wyżywić całą armię... i za to wszystko płaciła Glorious. Ale przynajmniej zachowałam siedemnaście tysięcy punktów w programie lojalnościowym; prawie wystarczy na darmowy bilet. Teraz potrzebne mi tylko pozwolenie na krótki urlop.

Wkrótce zadzwoniła pracownica działu podróży i po—

informowała nas, że nie mamy szansy na nic lepszego od pewnego miejsca w pobliżu lotniska JFK, które, jak powiedziała, „może nie jest noclegownią, ale na pewno nie jest to też Howard Johnson's”.

— Mają tam stawki godzinowe, jeśli ktoś sobie życzy — dorzuciła i zabrzmiało to tak, jakby ten fakt przedstawiał ich w korzystnym świetle. Zdecydowanie mówiła do niewłaściwych ludzi. Przekazałam informację Allegrze, która kazała mi połączyć się z Marlene. Jak należało się spodziewać, Marlene wpadła w furię, ale nie miała wyboru i musiała ten motel wynająć. „Przynajmniej nie ma na tej imprezie prawdziwych gwiazd”, stwierdziła na koniec i odłożyła słuchawkę.

Pierwszy raz od wielu tygodni byłam w doskonałym nastroju. Myśl o Marlene zawiadującej imprezą w Queens była najlepszym, jaki mogłam sobie wymarzyć, świątecznym podarunkiem od firmy. I przynajmniej ten jeden raz nie obarczono mnie winą za coś, co ktoś inny spartaczył. Znając jednak niezwykle zdolności Marlene do organizowania tego rodzaju imprez, nie mogłam się nie zastanawiać... kto nawalił? Czy mogła to być sprawka Hanrat—ty'ego? To bez sensu. Bo teraz, żeby nas szpiegować, musiałyby udać się do jakiejś okropnego lokalu aż w Queens. Gdyby tylko była tu Abby, żebyśmy jak kiedyś mogły zjeść razem kolację... Zamówiłybyśmy pizzę, otworzyły butelkę merlota i szybko zaśmiewałybyśmy się z tego całego szaleństwa.

Skończyłam to, co miałam do zrobienia, i zostawiłam wiadomość dla Vivian, że wychodzę i żeby dzwoniła na komórkę, gdyby mnie potrzebowała. To samo powiedziałam Allegrze. Gdybym pomyślała o tym wcześniej, zadzwoniłabym do Elliotta i sprawdziła, czy jest gdzieś

w pobliżu. Byłoby po prostu uroczo, gdyby ktoś fachowo zajął się moimi stopami, podczas gdy ja rozkoszowałam się drinkiem, a telefon komórkowy milczał, wyłączony.

Kiedy nazajutrz o siódmej rano zjawiłam się w biurze, w poczcie głosowej Allegry było już pięć wiadomości od Delilah z działu promocji. Oddzwoniłam.

— Karen, co się wyprawia z tą projekcją? Miałam telefony od ponad dwudziestu didżejów z tych stacji, które uczestniczyły w konkursie. Dziś rano zwycięzcy mieli wypowiadać się na temat filmu. To miało iść na żywo. Nikt nie może ich znaleźć. Zupełnie jakby się zapadli pod ziemię.

Powiedziałam, że spróbuję się czegoś dowiedzieć. Na Zachodnim Wybrzeżu była zbyt wczesna pora, żebym mogła zadzwonić do Vivian, więc zajęłam się „Spektrum”, a kiedy punktualnie o siódmej czterdzieści pięć zadzwoniła Allegra, przekazałam jej wiadomość od Delilah.

— Karen, mam nadzieję, że nic jej nie powiedziałaś.

— Przecież nic nie wiem, więc co mogłabym powiedzieć?

— I niech tak zostanie. Zadzwon do Delilah i powiedz jej, że porozmawiam z nią później.

Przekazałam Delilah wiadomość i zabrałam się do drukowania e—maili dla Allegry. Pierwszy dzień świąt wypadł w środę, za pięć dni, więc niezbyt wiele się działo. Allegra otrzymała tylko kilka e—maili, a telefon jak dotąd nie odezwał się ani razu.

O dziewiątej zadzwoniła Vivian. Połączyłam ją z Allegra i zamieniłam się w słuch.

— No więc tak: jesteśmy w autokarze, pieniądze rozdałam, a telefony są zamknięte w sejfie w moim pokoju hotelowym — mówiła Vivian natarczywym szeptem.

— Są wściekli?

— Nie. Jak mogą być wściekli, skoro im powiedziałam, że telefony ukradł jakiś facet, przykładając mi nóż do gardła? A poza tym na przyjęciu podawano im alkohol bez ograniczeń. Nie sądzę, by ktoś z nich był w ogóle w stanie zatelefonować.

— A dzisiaj rano?

— Kiedy wczoraj wieczorem udali się na projekcję, wy mogłam na zarządcy hotelu, żeby zablokował zewnętrzne połączenia. Zamówiłam budzenie do wszystkich pięćdziesięciu pokoi i kazałam, aby rano poproszono gości o bezwzględne zejście na śniadanie. Potem zajęłam się nimi osobiście i kiedy wsiadali do autokaru wręczałam im koperty. Powiedziałam, dokąd jedziemy, kiedy byliśmy już w drodze.

— I ?

— *Todo es bueno*. Nie licząc tego, że muszę spędzić dzień w Disneylandzie w towarzystwie setki entuzjastów *Gawrona*, wszystko gra. Pięćset dolarów to więcej niż większość z nich zarabia na tydzień. Byli zachwyceni.

— Dopilnuję, żeby Tony się dowiedział, jak ważną rolę odegrałaś w całej tej operacji. Nie znam nikogo innego, kto poradziłby sobie z tym tak śpiewająco jak ty.

— On już wie. Właśnie z nim rozmawiałam.

Allegra milczała. To oznaczało, że nie będzie mogła przypisać sobie zasługi za uratowanie sytuacji. Vivian wyuczyła się i zdobyła szlify w *Glorious*; jak Allegra mogła sądzić, że uda jej się ją przechrzyć?

— Jesteś tam? — spytała Vivian.

— Tak. Tylko nie zapomnij oddać im telefonów. W naszym budżecie nie ma pieniędzy na nowe. Jesteś pewna, że są bezpieczne?

— Absolutnie.

Taką właśnie formę miała wymiana myśli i zdań między tymi dwiema.

Allegra kazała mi połączyć się z Delilah.

— Allegra, co się dzieje? Gdzie się podzieli zwycięzcy konkursu? — dopytywała się Delilah gorączkowo.

— Zdecydowaliśmy, że spędzą dzień w Disneylandzie. Jest z nimi Vivian, a poza tym daliśmy im okrągłą sumkę na drobne wydatki.

— Ale przecież mieli dzwonić do swoich stacji radiowych i opowiadać o filmie. Obiecaliśmy to didżejom w zamian za prowadzenie konkursu.

— No cóż, Delilah, w czasie projekcji, skradziono im wszystkim telefony komórkowe. Co mam powiedzieć?

— To nie do wiary. Ukradziono sto komórek?

— Tak, to bardzo niefortunne. Mamy nadzieję, że tamtejsza policja je znajdzie, bo inaczej wszystkie te osoby zażądadają od nas odszkodowań.

— Jesteś pewna, że to kradzież? Jak można zabrać telefony setce ludzi?

To nie takie trudne, jeśli znajdują się w jednym koszu, pomyślałam.

— To niefortunne — powtórzyła Allegra tonem oznaczającym koniec rozmowy. W hierarchii służbowej zdecydowanie przewyższała Delilah. Nie miała jej już nic więcej do powiedzenia.

Kiedy pół godziny później zjawił się Robert, opowiedziałam mu o wszystkim.

— Coś pięknego! — powiedział. — Porwali widzów, żeby

nie mogli powiedzieć didżejom, jaki to fatalny obraz. Zanim dostaną z powrotem swoje telefony, film będzie już szedł w całym kraju. W ten sposób nie będzie klapy w pierwszy weekend! To majstersztyk!

— Ja uważam, że to bardzo podstępne zagranie.

— Owszem, ale nie ma nic lepszego od sprytniej i bezbłędnie uknutej intrygi. Ta jest najlepsza ze wszystkich, o jakich słyszałem, odkąd tutaj pracuję. Coś pięknego! Coś pięknego! — Słyszałam, jak powtarza „coś pięknego” przez całą powrotną drogę do swojego okrojonego boks, który wszyscy zaczęliśmy nazywać „bok”.

Zdawałam sobie sprawę, że to był doskonały, gładko przeprowadzony plan. Nikomu nie zaszkodzi dzień spędzony w Disneylandzie czy dodatkowe pięćset dolarów, że już nie wspomnę o tym, że wieczorem wszyscy będą zadowoleni, kiedy dostaną z powrotem swoje komórki. Bo do tego czasu policja z Los Angeles już je odzyska. Jednak zobaczyłam jasno, że ja sama nigdy nie będę umiała wykombinować czegoś podobnego. Mój umysł nie dałby sobie z tym rady; zresztą nawet bym nie chciała. A ponieważ był to ten rodzaj myślenia, który tutaj podziwiano, ja nie miałam szans. Przynajmniej to było jasne, nawet jeśli pozostała część dnia upłynęła jak we mgle, a ja miałam dziwne wrażenie, że lunatykuję. To nie może się dziać naprawdę to nie może się dziać naprawdę — dźwięczało mi w głowie we wszystkich możliwych wariantach, ale tym razem nie działało ani trochę uspokajająco. Po południu minęłam się na korytarzu z Delilah i kiedy zauważyłam, z jaką miną na mnie spojrzała, zrobiło mi się głupio. Dotąd zawsze okazywała mi sympatię... co było w Głorious czymś niezwykłym. Chociaż nie mia—

łam nic wspólnego z tym konkursem dotyczącym *Gawrona 2*, ona nigdy by w to nie uwierzyła, więc nie próbowałam ani niczego wyjaśniać, ani przeproszać.

W nocy śniło mi się, że ściga mnie Erich, Gawron. Powtarzał w kółko, że mam dokądś iść, ale kiedy próbowałam dowiedzieć się czegoś więcej, jego akcent uniemożliwiał mi zrozumienie, co mówi. Po przebudzeniu czułam się okropnie. Bolała mnie głowa, gardło, z wielkim trudem wstałam i dowlokłam się do apteczki. Kilka minut później termometr potwierdził moje podejrzenia: miałam gorączkę.

Był to pierwszy weekend od miesiący, podczas którego nie kazano mi pracować ani przy imprezie promocyjnej dla prasy, ani przy premierze, ani przy żadnym innym przedsięwzięciu Glorious; udało mi się natomiast zachorować. Spędziłam te dwa dni, drzemiąc i snując się bez celu. Prawdę mówiąc, tego właśnie było mi trzeba... wymówki, żeby nie musieć robić niczego, co wymaga więcej wysiłku niż wciśnięcie guzika pilota. W sobotni wieczór obejrzałam *Fistaszki — Wesolych Świąt*, *Charlie Brown* i kiedy Linus otulił kocem choineczkę Charliego Browna, rozplakałam się. Była to najbardziej wzruszająca chwila, jakiej doświadczyłam od miesiący.

Zadzwoiłam do Baltimore, do Abby, ale odezwała się poczta głosowa, więc się rozłączyłam. Prawdopodobnie wkuwała do egzaminów albo kroila biednego staruszka Lloyd'a, jeśli jeszcze coś z niego zostało. Lepiej nie nagrywać jakiegś łzawo przedstawionej pod wpływem wysokiej temperatury wiadomości, bo to tylko zachęciłoby Abby do postawienia przez telefon diagnozy, która prawdopodobnie wystraszyłaby mnie na śmierć.

Wiele myślałam o ostatniej rozmowie z Robertem i o tym, jakie wrażenie wywarł na nim pokrętny plan Viv dotyczący fanów *Gawrona*, któremu wszyscy przyklasnęli, bo

przecież dobrze się przysłużył finansom wytwórni. Kiedy przyszedłam do tej firmy, wiedziałam, że ma reputację działającej bezpardonowo, ale z tym nie umiałam sobie poradzić. Radziłam sobie z bezwzględnością otoczenia i z ciężką pracą, z wrednymi uwagami i złośliwością współpracowników, i niemal ze wszystkim innym, na co byłam narażona przez ten rok. Ale „radzić sobie” a „osiągnąć sukces” to dwie zupełnie różne rzeczy i stało się dla mnie denerwująco oczywiste, że w Glorious do niczego nie dojdę. W najlepszym przypadku pozwalano mi dreptać w miejscu, w najgorszym — przytrzymywano głowę pod wodą. Nie potrafiłabym wskazać konkretnego momentu, w którym zaczęła się ta równia pochyła, ale coś mi się zdawało, że nastąpiło to już podczas rozmowy o pracę. Powzięłam z wyprzedzeniem noworoczne postanowienie, że znajdę wyjście z tego bagna.

Nazajutrz gorączka spadła i poszłam do pracy.

W większości działów panował spokój, natomiast dział public relations, mimo że od świąt dzieliły nas tylko dwa dni, prowadził nieustanne narady robocze. Na pierwszej stronie „Variety” widniał tytuł: MLECZARZ DOSTARCZA ŚWIETNEJ MUZYKI KASOM BILETOWYM. Podczas weekendu *El Lebrero* pobił wszelkie rekordy i zarobił najwięcej ze wszystkich zagranicznych filmów w historii Stanów Zjednoczonych. I chociaż nie wiedzieliśmy jeszcze, czy został nominowany do Oscara w kategorii najlepszego filmu, bo ogłaszano to dopiero w połowie lutego, to przynajmniej było oczywiste, że odnosi finansowy sukces.

Zyski z *Gawrona 2: Nigdy, przenigdy* spadły gwałtownie po pierwszym dniu rozpowszechniania. Gazety, którym chciało się o nim wspomnieć, jednomyślnie go zjechały.

Wszystkie nagłówki wykorzystwały zwrot „Nigdy, przenigdy” i od tych słów zaczynała się krytyka.

Korzystnym dla Glorious zbiegiem okoliczności sieć PBS zaplanowała na ten tydzień wyświetlanie filmu dokumentalnego o Walcie Whitmanie. Wyprodukowany kilka lat wcześniej, został teraz uaktualniony i zawierał fragmenty z *ElLechero*. Żeby wyrazić swoją wdzięczność, Glorious szczerze sypnęła pieniędzmi, zapewniając sobie wzmiankę przed każdym nadaniem dokumentu. Glorious obdarowała też sieć dużą ilością różnych towarów. PBS włączyła zarówno film dokumentalny, jak i fabularny w świąteczną akcję zbiórki pieniędzy: widzowie, którzy zadeklarowali sumę większą niż tysiąc dolarów, otrzymają najwyższej jakości plakat *El Lechero* i egzemplarz scenariusza. Allegra zamówiła taśmę wideo przedstawiającą gospodarzy programu rozprawiających z entuzjazmem o *ElLechero* i poleciła mi natychmiast dostarczyć ją Philowi do rąk własnych.

Po drodze wpadłam na Matta Vincenta, który wychodził właśnie z sali konferencyjnej. Często pisywaliśmy do siebie e—maile, ale widywałam go rzadko. Niezmiennie chwalił mnie za streszczenia filmów i wszelkie wiadomości, jakie przygotowywałam do umieszczenia na stronie internetowej, pisał pochlebne uwagi dotyczące mojej pracy. Wydrukowane, leżały w szufladzie mojego biurka i w szczególnie ciężkie dni czytałam je sobie dla przypomnienia, że nie jestem taka niekompetentna i nierozgarnięta, jak to usiłują mi wmówić Viv, Allegra i Marlene.

— Cześć, Karen, co za miłe spotkanie. Myślałem, że wyjechałaś już na święta.

— Allegra kazała mi zajmować się *£/Lechero* — odpowie—

działałam, starając się zachowywać dyplomatycznie. — Zostaję na miejscu.

Skrzywił się.

— No cóż, zamierzałem cię poprosić, żebyś przyszła pogadać ze mną po Nowym Roku, ale skoro oboje jesteśmy na miejscu, możemy zacząć wcześniej. Mam pewne pomysły dotyczące naszej strony, które chciałem poddać twojej ocenie... wszyscy jesteśmy pod wrażeniem tego, co dotąd zrobiłaś, i szczerze mówiąc, gdybyś była w stanie podołać, chcielibyśmy powierzyć ci coś więcej.

— Dzięki. Znajdziesz mnie tutaj.

— Odezwę się później i przekażę dane... jutro wieczorem wyjeżdżam na tygodniowy urlop, więc dobrze byłoby przedtem porozmawiać.

— Doskonale, Matt. Daj mi tylko znać kiedy — powiedziałam, a ta rozmowa przyprawiła mnie o lekki zawrót głowy. Chciałabym robić coś więcej dla działu marketingu... w moim własnym bowiem wszystko ciągle wyglądało tak samo. Mniej więcej za miesiąc wyłożę karty na stół, zdecyduję, co robić. Jakieś frapujące zadanie zlecone przez Matta na pewno przeważą szalę.

— Taśma z PBS. — Pomachałam kasetą do Sabriny.

— *Teatr Arcydziel?*

— Niezupełnie. Związana z *El Lechero* świąteczna akcja dotycząca deklaracji wpłat.

Wzięła ode mnie kasetę.

— Oddam Philowi do rąk własnych — oświadczyła, kładąc ją na stosie innych kaset leżących na podłodze.

Kiedy wracałam do biurka, uświadomiłam sobie, że nie mam najmniejszej możliwości spotkania się z Mattem, bo Dagnej jest na Ibizie, a Allegra ciągle się łudzi, że Oprah do niej oddzwoni. Nawet moje wycieczki do biura Phila

musiałam odbywać w błyskawicznym tempie, żeby pracownik tymczasowy nie był zbyt długo sam. Sensowniej byłoby właśnie jego posłać z tą taśmą, tyle że Geraldine wprowadziła ścisłą zasadę, że nikt, kto nie jest zatrudniony w Glorious na pełen etat, nie ma prawa znaleźć się bliżej niż w promieniu dwudziestu stóp od gabinetów braci. Edykt ten wydano jakiś miesiąc po tym, jak rozpoczęłam tu pracę, kiedy to jakiś facet z działu artystycznego, zatrudniony na umowę—zlecenie, został przyłapany na tym, że kręci się bez celu w tamtej okolicy. Tony się wściekł i kazał Geraldine natychmiast usunąć z budynku niesfornego delikwenta. Wyprowadziła go stanowczo na zewnątrz, niemalże za kołnierz. „Chciałem tylko na nich popatrzeć”, tłumaczył się, próbując bezskutecznie zachować jeszcze na trochę swoją tymczasową pracę. Związaną z tą sprawą notatkę służbową Geraldine dostarczo- no wszystkim jeszcze tego samego popołudnia, a co kwar- tał ją odnawiano.

Kiedy układałam e—maila do Matta, w którym chcia- łałam mu wyjaśnić, dlaczego się z nim nie spotkam i mogę tylko porozmawiać przez telefon, przy każdej kolejnej wersji ogarniał mnie coraz większy gniew. Przecież ja nawet nie mam okazji, żeby skorzystać z okazji. Czy NAF- TA nie gwarantowała mi czegoś takiego? Szklany sufit biura przytłaczał, jakby znajdował się na wysokości ra- mion, a mnie już zmęczyło to ciągłe przygarbienie. Moje rozważania przerwało brzęczenie, co oznaczało komuni- kat Allegry: „NATYCHMIAST do mnie”.

Weszłam do jej gabinetu, a ona wskazała mi kanapę.

— Karen, mam ci do powiedzenia coś ważnego. Może tego nie zauważyłaś, ale już od dawna potrzebuję trochę wytchnienia.

Rzeczywiście, nic podobnego nie zauważyłam, dziwnie pochłonięta własnymi problemami. Poza tym Allegra nie należała do osób, które by się komukolwiek zwierzały.

— Phil i Tony — ciągnęła — zgodzili się, żebym wzięła urlop. Vivian będzie pełniła obowiązki szefowej całego działu. Ty i Dagney jak zwykle będziecie prowadzić moje biuro i udzielać Vivian pomocy, gdy tylko będzie czegoś potrzebować. Jeśli chodzi o telefony i e—maile do mnie, wszystko pozostaje bez zmian.

— Mamy mówić ludziom, że jesteś, ale nie możesz w tej chwili rozmawiać?

— W zasadzie tak, ale spodziewam się, że teraz już rozpoznasz, kto może być na tyle ważny, żeby zawiadomić Vivian. Będziesz każdą osobę informować, że nie mogę rozmawiać, a potem Vivian oddzwoni do tych, do których będzie trzeba.

— J a k mamy się z tobą kontaktować?

— Wcale. Będę podróżowała po Europie, nieosiągalna dla nikogo. Może sama do was zadzwonię, ale to nic pewnego.

— Brzmi cudownie.

— To naprawdę nie twoja sprawa.

— Kiedy wyjeżdżasz? — spytałam, sądząc, że wszystko to znajduje się w sferze planów.

— Dzisiaj jestem ostatni dzień w biurze, a wylatuję w środę wieczorem. Ogłoszę to oficjalnie na zebraniu, które masz za zadanie zorganizować, teraz chciałam jedynie, żebyś dokładnie orientowała się w sytuacji.

Starłam się usilnie zachować kamienną twarz mimo rozsadzającej mnie radości. Allegra obróciła się z fotelem, pokazując mi plecy. Ruszyłam do swojego boksu i przeczytałam e—mail od Matta, w którym pyta, czy mogę

wpaść do nich jutro o jedenastej, więc natychmiast odpowiedziałam, że owszem. Zanosiło się na to, że przerwa w pracy Allegry może doprowadzić do przełomu w mojej karierze. Na pospiesznie zwołanym zebraniu naszego działu oświadczenie Allegry spowodowało, że zasypano ją gradem pytań ze wszystkich kątów sali.

— Jakie miasta odwiedzisz?

— Kiedy wracasz?

— Będiesz na rozdaniu Oscarów?

— A co, jeśli Vivian nie sprostą naszym potrzebom? — To pytanie padło z ust Marlene, wyraźnie rozdrażnionej faktem, że ma podlegać Vivian.

Allegra nie odpowiedziała na żadne z pytań, a na jej twarzy zagościł tajemniczy uśmiech Mony Lizy. Czy miało to znaczyć, że będzie we Francji? Włoszech? To wszystko było takie dziwaczne. Spędziła resztę dnia na porządkowaniu swojego gabinetu, przekazując mi ogromne stosy notatek służbowych i korespondencji do zniszczenia. Wkładając do niszcarki kartki zawierające całoroczną kolekcję zręczliwych uwag Marlene, obserwując, jak jej gniewne elaboraty zmieniają się w nieszkodliwe papierowe wstążeczki, przypominałam sobie, jaka byłam przygnębiona, kiedy pierwszy raz umieściła mnie w swojej notatce; teraz czułam się dotknięta, kiedy mnie pomijała. Były też listy zarejestrowanych telefonów, również tych całych setek z pierwszych kilku godzin, kiedy wyniknęła sprawa *HackSaw*; dostarczałyśmy Allegrze co godzinę nowy rejestr, a ona trzymała je wszystkie. Skrawki zadrukowanego papieru, które wpadały mi w oko, zanim zostały całkowicie unicestwione, przynosiły wspomnienia z całego minionego roku: telefony od matki Franceski Davis; szaleńcza wymiana uwag z przedstawicielką Ivan—

—Melissy na temat znaczenia łącznika między jej imionami; skarga matki Harry'ego Spindlera na mnie; rozmowa z Juliet Bartlett, a potem z jej przedstawicielem, agentem, wreszcie asystentką... to tak, *Jakby Narodziny gwiazdy* dokonały się w rozmowach telefonicznych w ciągu tych kilku tygodni; wiadomości od Marlene nie zawierające żadnych wiadomości; Clark telefonuje z lotniska JFK i prosi o pozwolenie pokrycia kosztów nowej garderoby od Barneya dla Jimmy'ego China; dziennikarze, autorzy rubryk towarzyskich i dziesiątki realizatorów telewizyjnych serwisów informacyjnych; zaskakująca wiadomość o przedwczesnym odejściu Olivera i wreszcie nieustające prośby Any Marii Verdades o pozwolenie powrotu na święta do Caracas, nadal pozostające bez odpowiedzi. Na każdej pierwszej stronie straszycie widmo George'a Hanratty'ego—go, specjalne miejsce zarezerwowane na wypadek, gdyby go ktoś zoczył. Nic nie zostało tam nigdy zapisane, ale ja byłam przekonana, że wielu moich kolegów z Glorious dobrze go zna. Spotkanie czy rozmowa z Hanrattym były wstydlwym sekretem, bez wątpienia dzielonym przez wielu z nas. I to było kolejne postanowienie, jakie zamierałam powziąć w nowym roku: nie będę się ani trochę przejmować Hanrattym czy też jego książką. Dobrze mi robiło niszczenie tego ogromnego stosu papierzysk; to zajęcie było tak odświeżające jak spokojny sen po dniu ciężkiej fizycznej pracy. Może jeszcze zawieją pomyslnie wiatry. Allegry jakiś czas nie będzie, jutro rano spotykam się z Mattem, a do Nowego Roku brakuje niewiele ponad tydzień.

Ostatnią rzeczą, jaką Allegra kazała mi zrobić, było przeniesienie jej ulubionego urzędzenia do wydawania poleceń na biurko Vivian. A potem wymaszerowała, wy—

machując wielkimi torbami i powiewając połami puchowego płaszcza. Kiedy wchodziłam do jej ogołoczonego gabinetu, moje kroki odbijały się echem. Widocznie wszystkie te papierzyska tłumiły dźwięk; teraz akustyka była tak dobra, że głos Allegry brzmiałby jak grzmot. W pokoju było niewiele mebli, wśród nich biurko, na którym leżał pozostawiony przez Allegrę telefon komórkowy... co symbolicznie nadawało jej status osoby nieosiągalnej. Allegra była całkowicie i oficjalnie wyłączona. Pokręciłam się tam jakiś czas, na wypadek gdyby wróciła po coś, czego zapomniała, ale się nie pojawiła.

Vivian też już sobie poszła, więc ruszyłam do domu, chciałam zajrzeć na strony internetowe naszych konkurentów. Musiałam mieć parę dobrych pomysłów na jutrzejsze spotkanie z Mattem. Kiedy zjeżdżałam windą, ogarnęło mnie nieznanne dotąd, ale przyjemne uczucie. Nie opuszczało mnie przez całą drogę do domu, a nasiliło się, kiedy zagłębiłam się w Internet, odkrywając sposoby, za pomocą których inne firmy wykorzystują sieć do reklamowania swoich filmów. Kiedy drukowałam to, co znalazłam, wiedziałam już, co to za uczucie. Po prostu pierwszy raz od bardzo dawna miałam poczucie celu.

Nazajutrz w długiej rozmowie udzieliłam tymczasowemu pracownikowi instrukcji, jak ma przyjmować telefony, dałam numer swojej komórki i udałam się do biura Matta. Głowę miałam pełną pomysłów, a papierową teczkę wypchaną materiałami... żebym jeszcze tylko zrobiła odpowiednie wrażenie, zaprezentowała się na tyle dobrze, żeby Matt chciał ze mną pracować. Nagle przypomniałam sobie Juliet Bartlett, w butach Timberlandu i obwieszoną ogromnymi ozdobami. Czulałam się tak, jakbym sama włożyła kostium do roli, której bardzo pragnęłam.

Spotkanie przebiegło pomyślnie. Matt powiedział, że jest zadowolony z rezultatów moich poszukiwań i że mogą mu się przydać do wyciągnięcia dodatkowych funduszy od Phila i Tony'ego. Było oczywiste, że inne wytwórnictwa zainwestowały w marketing internetowy; małymi krokami Glorious nie rozpędzi się na tyle, żeby mogła z nimi w tej dziedzinie konkurować. Matt chciał, żebym oprócz zamieszczania streszczeń mających wejść na ekrany filmów, utworzyła coś w rodzaju rubryki towarzyskiej, cotygodniowo uaktualnianej. Nie byłoby to nic nadzwyczajnego, zważywszy na to, że wszystko będzie musiało zyskiwać aprobatę Glorious i prawdopodobnie ukaże się już wcześniej w gazetach i czasopiśmie, jednak my mogliśmy całą rzecz przyprawić odpowiednimi zdjęciami z planu i „pozwoić zainteresowanym rzucić okiem” na gwiazdy w kostiumach. Matt powiedział, że to przedsięwzięcie zostawia w moich rękach, a mnie ten dowód zaufania sprawił wielką przyjemność. Na koniec spotkania poprosił, żebym wpadła do niego o tej samej porze za tydzień. Tak lekko nie czułam się od roku i miałam nadzieję, że zaczyna się bardzo wyczekiwane przyspieszenie w mojej karierze zawodowej.

Na resztę dnia utknęłam z Robertem w gabinecie Alle—gry, gdzie zajmowaliśmy się sporządzaniem rocznego ogromnego zestawienia „List pierwszych dziesięciu”. Chcieliśmy zrobić to jak najszybciej, była Wigilia Bożego Narodzenia. Rok po roku osobą odpowiedzialną za tę pracę był Robert, więc teraz pokazał mi swój system, który pozwalał, by ten rytuał dokonał się jak najszybciej i jak najbardziej precyzyjnie. Prawie wszystkie gazety oraz sta—

cje radiowe i telewizyjne publikowały własne listy najlepszych filmów. Naszym zadaniem było stwierdzenie, ile z nich umieściło w tej dziesiątce *El Lechero*, a także ile przyznało filmowi pierwsze miejsce.

Ta pracochłonna procedura rozpoczynała się tuż po Święcie Dziękczynienia, kiedy zaczynały się ukazywać pierwsze listy najlepszych filmów. Zachowywałam każdą z nich, po tym jak pojawiała się w „Spektrum”, a Marlene wymagała, by każdy reporter biorący udział w imprezie promocyjnej przysyłał jej listę swoich faworytów. Dagney odpowiadała za uzyskanie list radiowych i telewizyjnych od instytucji monitorującej rozgłośnie, a Clark przeszukiwał starannie sieć, wygrzebując z niej jakieś hiszpańskojęzyczne listy filmów, które znacząco pchały do góry *El Lechero*, nie wspominając już o domorosłych krytykach, którzy umieszczali takie listy na własnych stronach. Wszystko to stawało się naszym łupem.

Nieobecność Allegry spowodowała, że zapanowała tu zupełnie inna atmosfera — nie czuło się niepokoju, a wytężona praca zdawała się otwierać perspektywy. Rozsiadłam się na kanapie ze stosami papierów, Robert natomiast przy biurku wprowadzał informacje do komputera; ja czytałam na głos, a on pisał.

— „Orlando Sentinel”, jedna lista, piąte miejsce.

— Mam. Dalej.

— „San Jose Mercury News”, dwóch krytyków, film pojawia się tylko u jednego na drugim miejscu, ale ta lista jest alfabetyczna.

— Mam.

— Rozgłośnia KKYX—AM San Antonio, audycja *Frawwy o filmach* umieszcza go na pierwszym miejscu.

— Czekaj chwileczkę, w porządku, mam.

Zauważyłam, że Robert jest wyjątkowo cichy. Siedzieliśmy w gabinecie Allegry od kilku godzin, a on nie rzucił ani jednej cynicznej uwagi, nawet nie skomentował niespodziewanego zniknięcia naszej szefowej. Miałam wrażenie, że błądzi myślami gdzieś daleko, i kilkakrotnie musiałam parę razy wymówić jego imię, żeby przywołać go do rzeczywistości.

— Robert, nic ci nie jest?

— Nie, chcę tylko to dokończyć i wynieść się stąd, to wszystko— odpowiedział.

Nie przekonał mnie, ale nie zamierzałam wścibiać nosa w nie swoje sprawy. Ostatecznie dowiedzieliśmy się, że 659 krytyków umieściło *El Lechero* w swojej dziesiątce, a 148 spośród nich uznało go za najlepszy film roku. Minęła szósta i Robert był już spóźniony na kolację wigilijną u stryja. Nie miał ochoty zostawiać mnie samej, ale zostało już tylko wysłanie e-maili z listami do Vivian, Matta, Phila i Tony'ego, więc skłoniłam go, żeby sobie poszedł. Dziesięć minut później, kiedy wkładałam płaszcz, zadzwonił telefon.

— Gdzie jest Vivian? — odezwał się Phil.

— Poszła już do domu.

— Marlene?

— Też.

— A niech to szlag. A w ogóle ktoś tam jest?

— Mogę w czymś pomóc, Phil? Tu Karen, asystentka Allegry.

— Taa, możesz. Znajdź jeszcze dwie listy z naszym filmem na pierwszym miejscu. Bo niby co mam zrobić z pieprzonymi stu czterdziestu ośmioma?

Wiedziałam, o co mu chodzi. Chciał mieć następujące reklamy: „Stu pięćdziesięciu krytyków jest zgodnych —*El Lechero* to *Numéro Unol*”

— Poszukam.

— J a k już znajdziesz, przekazaj je Mahmoudowi. — Rozłączył się.

Włączyłam komputer i zaczęłam szukać jakiegokolwiek wzmianki, czy to na stronach, czy w pojawiających się reklamach, gdzie *ElLechero* byłby na pierwszym miejscu. Po jakimś czasie znalazłam stronę klubu Century Village Cinema w Boynton Beach. Listę zamieszczono w artykule, który zaczynał się od słów: „W najbardziej zaciętym głosowaniu, w jakim kiedykolwiek uczestniczyli kinomaniacy Century Village, *ElLechero* wygrał dosłownie o włos”. Hurra! Jeszcze tylko jeden. Korzystałam z kolejnych wyszukiwarek, Google, Nexis, Yahoo! i Alta Vista, i zanim się poddałam, ostatnią nadzieję związałam z Terra Lycos. I proszę, Cine Montevideo Online umieściło film na pierwszym miejscu.

— Dzięki ci, Urugwaju, i dobranoc! — wykrzyknęłam w stylu gwiazd rocka do otaczających mnie pustych boksów.

Po dodaniu tych dwóch nowych pozycji zadzwoniłam do Mahmouda, a uzupełnione listy wysłałam e—mailem do wszystkich zainteresowanych. Mahmoud poprosił o przesłanie faksu do samochodu Phila i zapewnił, że Phil otrzyma go przed upływem godziny. Była już ósma wieczór, a ja obiecałam Ellen, że pomogę jej podawać ajerkoniak podczas organizowanego w holu naszego domu dorocznego przyjęcia dla mieszkańców. Zaczęło się o szóstej trzydzieści.

— Dzięki, Mahmoud. I proszę, powiedz Philowi, że dobiłam do stu pięćdziesięciu.

— Z przyjemnością, Karen. Wesołych Świąt.

W środę świętowałyśmy z Ellen Boże Narodzenie typowo po nowojorsku, włącznie z chińszczyzną na wynos i całymi godzinami spędzonymi w salach kinowych Angeliki, gdzie obejrzałyśmy trzy filmy innych niż moja wytwórni... filmy, którymi mogłam się zwyczajnie cieszyć, bo nie przyprawiały mnie o ból głowy czy brzucha. Kiedy wróciłyśmy do domu, zadzwoniłam do Abby, żeby jej opowiedzieć o rubryce w sieci, bynajmniej nie towarzyskiej, jaką będę prowadziła, a także żeby uściślić nasze plany sylwestrowe. Kazała mi przysiąc, że prześlę jej e—mailem wszystko, co tam zamieszczę.

— Mam takie tyły, jeśli chodzi o filmy... nie mogę uwierzyć, że tak się opuściłam! — stwierdziła.

Zapewniłam ją, że na Nowy Rok dostanie ode mnie cały stos kaset. Zadzwoniłam do rodziców, żeby pogadać i dowiedzieć się, co u nich słychać. Kazali mi obiecać, że przyjadę do nich w Weekend Prezydencki, więc powiedziałam, że się postaram. Byli wyraźnie zaskoczeni tym, ile czasu spędzam w pracy — Ellen musiała wspomnieć o tym swojej matce, która naturalnie przekazała to dalej — ale za to ucieszyła ich wiadomość, że otwierają się przede mną nowe możliwości u Matta.

Postanowiłam zadzwonić do Roberta i złożyć mu życzenia świąteczne. Był w Glorious moim najbliższym przyjacielem, ale w sprawach prywatnych wykazywał maksymalną powściągliwość. Miałam jednak przecucie, że coś jest nie tak. Pomyślałam, że może poza biurem zechce o tym ze mną porozmawiać.

— Tu Karen. Chciałam tylko powiedzieć „cześć” i sprawdzić, jak ci mijają święta.

— Okropnie. A tobie?

— Nudnawo. Ale co się stało?

— Nie chciałem, żeby ktoś się o tym dowiedział, ale postanowiliśmy z moją narzeczoną się rozręczyć. Czy zerwać zaręczyny. Czy jakkolwiek to się nazywa, kiedy uświadamiasz sobie, że osoba, z którą chcesz spędzić resztę życia, nie czuje tego samego co ty do niej — powiedział cichym głosem.

— Tak mi przykro. Kiedy to się stało? — Polecę do Pago Pago i odnajdę tę dziewczynę, jeśli rzuciła Roberta tuż przed Bożym Narodzeniem, pomyślałam sobie, nieco zdziwiona swoją gwałtowną reakcją.

— Zaczęło się ze dwa miesiące temu. Miała wrócić i spędzić ze mną święta, po czym zadzwoniła i oświadczyła, że zostaje, bo chce uczestniczyć w tradycyjnych świętach samońskich. I może nie byłoby w tym nic złego, gdybyśmy od zeszłego roku widzieli się chociaż raz, ale ona powtarzała w kółko, że nie może się ruszyć. Roztrząsaliśmy to wielokrotnie w przeciągających się rozmowach i dopiero podczas tego weekendu uświadomiłem sobie, że to już koniec.

— Nie mógłbyś do niej polecieć?

— Spytałem, ale powiedziała, że pracuje bez przerwy i nie miałaby dla mnie czasu. Nie chciałem lecieć do Pago Pago i siedzieć tam samotnie. Przecież nic innego tutaj nie robię — powiedział lekko łamiącym się głosem.

— Robert, tak mi przykro. Dlaczego nic mi nie powiedziałeś?

— Nie chciałem o tym rozmawiać. Wszyscy uważają, że jestem takim opanowanym facetem, co to zawsze ma wszystko pod kontrolą. A ja nie mam pojęcia, jak sobie z tym poradzić.

Nie bardzo wiedziałam, co powiedzieć. Staralam się nie myśleć o poprzednich świętach z Gabe'em, kiedy to m—

malował obraz bogato, wręcz przesadnie ozdobionej świątecznej choinki i powiesił go w moim mieszkaniu. On, Ellen, Abby i ja, wszyscy wtedy świetnie się bawiliśmy.

— Nie wiem, Robercie, czy możesz cokolwiek zrobić. Wydaje mi się, że jesteś skazany na to, żeby przez jakiś czas czuć się okropnie. I rozmawiaj z przyjaciółmi, kiedy tylko poczujesz taką potrzebę — dodałam pospiesznie z obawy, że moje słowa zabrzmiały zbyt ostro.

— Pewnie masz rację. Muszę już lecieć. Dziękuję za telefon, Karen. Naprawdę jestem ci wdzięczny.

Robert był świetnym facetem i chociaż mu tego nie powiedziałam, bo zabrzmiałoby to zbyt banalnie, byłam przekonana, że minie niewiele czasu, a jego narzeczona zapragnie do niego wrócić. Ale czy on będzie tego chciał? Ciekawe.

Szczerze mówiąc, z zadowoleniem myślałam o pójściu nazajutrz do pracy: biuro będzie kompletnie puste, a ja wykorzystam czas na pisanie kolejnych streszczeń i zapoczątkowanie mojej rubryki. Dagny wracała po weekendzie i do tego czasu chciałam już na tyle zagłębić się w moje kolejne zadanie, żeby było dla niej jasne, że w żaden sposób nie może to być zajęcie dla nas obu. Bo podobnie jak ja, ona też rozglądała się za jakimiś dodatkowymi obowiązkami. Będzie musiała znaleźć sobie coś innego.

W poniedziałek rano Dagny wparowała do biura cudownie odświeżona, z włosami lekko rozjaśnionymi do odcienia, który idealnie pasował do jej cery. Wręczyła mi parę marakasów, każdy ozdobiony napisem „Potrzęsiny w Hiszpanii”. Clark, który też dzisiaj wrócił, dostał kastaniety, dla Roberta natomiast przywiozła T—shirt z napisem OLE!

Mogliśmy stworzyć własną kapelę flamenco, gdyby tylko ktoś z nas umiał grać. Oczywiście Dagney i Clark nic nie wiedzieli o urlopie Allegry. Całą czwórką zebraliśmy się w jej pustym gabinecie, a Robert i ja paplaliśmy na wyścigi, żeby jak najszybciej przekazać im wieści. Clark i Dagney nie od razu pojęli, co się wydarzyło.

— To niemożliwe — oświadczyła wreszcie Dagney.

— Właśnie że możliwe. Nie ma jej. Odleciała w czwartek wieczorem — odparłam.

— Wyszła na aut — powiedział Robert, wykonując gest sędziego bocznego podczas meczu piłki nożnej.

— To niemożliwe — powtórzyła Dagney. — Dopiero co widziałam Allegrę w cukierni.

— Gdzie? — spytałam, wpatrując się w Roberta, ratując swój świat przed zawaleniem.

— W tej cukierce przy Greenwich Street, gdzie mają owoce w cieście — odpowiedziała.

— Jesteś pewna? — dopytywał się Robert. — Co mówiła?

— No cóż, to właśnie jest najdziwniejsze. W ogóle się nie odezwała. Stała obok mnie w kolejce do kasy i wiem, że mnie widziała... musiała mnie widzieć... ale odnosiłam wrażenie, jakby patrzyła nieobecny wzrokiem — wyjaśniła Dagney.

— I co zrobiłaś? — indagował Robert.

— Zapłaciłam za kawę i udałam, że jej nie widzę. Myślałam, że przecież zobaczę ją później.

— Jesteś pewna, że to była ona? — pytał Robert.

— Włosy blond, puchowy płaszcz, ze sześć dużych toreb... coś ci to mówi?

— Może po prostu spóźniła się na samolot. Może coś ją zatrzymało — powiedziałam, czepiając się nadziei.

— Co mogłoby ją zatrzymać na pięć dni? — spytał Robert.

— Nie wiem, może sprawy rodzinne? Dagney, jesteś pewna, że to była ona? — W tym momencie włączył się mój mechanizm obronny w postaci wyparcia.

— Karen. — Dagney mówiła powoli i zawile gestykulowała, żeby podkreślić moją tępotę. — Allegra—kupowała—~~kawę w THBeCe~~—dzisiaj—rano.

— Wygląda na to, że to była ona — zgodził się Robert. — Niemniej nadal uważam, że nie pojawi się tutaj, czy leci do Europy czy nie.

Wzruszyłam ramionami, a Robert i Clark opuścili gabinet Allegrey. Poprosiłam Dagney, żeby została, bo chciałam jej powiedzieć, jak od tej chwili mamy zajmować się biurem i jak to znalazłyśmy się w pozycji nie do pozazdroszczenia, bo będziemy od czasu do czasu służyć pomocą Vivian.

— Cóż, to zupełnie do dupy — uznała moja koleżanka, przechodząc do sedna sprawy. — Skoro Allegrey nie ma, to niby dlaczego miałybyśmy się zachowywać, jakby tutaj była?

— Czy Allegra kiedykolwiek mówiła coś jasno? Dwa razy dziennie będziemy musiały przeorywać się przez rejestr telefonów i e—maili i same decydować, które z nich przekazać Vivian.

— Ja tego nie przeżyję — oznajmiła Dagney. Miała szczególnie napięte stosunki z Vivian, a fakt, że były do siebie dość podobne, jedynie je pogarszał. Obie usiłowały narzucać swoją wolę, obie były w stanie zrobić wszystko, byle uniknąć czegoś, co uważały za niegodne ich uwagi, i obie były niewiarygodnie wręcz uparte. Podleganie Vivian będzie wymagało od Dagney maksymalnej samokontroli. Spróbowałam dodać jej otuchy.

— Przecież ona nigdy nie żądała od nas zbyt wiele.

Wiesz, że lubi wszystko robić sama. Nawet ta cała sprawa związana z projekcją *Gawrona 2* zajęła jej tylko około godziny. — I uświadomiłam sobie, że Dagny nawet nie wie, co się działo z tymi kopertami, nalepkami i gotówką, które wtedy przygotowałyśmy dla Vivian.

Po wysłuchaniu szczegółowej historii, zaczynającej się od zagarnięcia telefonów komórkowych, poprzez porwanie do Disneylandu, a kończącej tym, że Delilah musiała wycofać się z obietnicy danej rozgłośniom radiowym, Dagny pokręciła z podziwem głową.

— Cholerka, to najlepszy, najbardziej porąbany numer, o jakim w życiu słyszałam. — Wyciągnęła swój zielony notes i kazała sobie powtórzyć niektóre ważniejsze punkty całej historii. — Muszę to sobie koniecznie zapamiętać.

— A tak przy okazji, Dag, nie miałam okazji cię spytać... co ci się przytrafiło tamtego wieczoru, kiedy poszłyśmy na przyjęcie Młodych Demokratów? W jednej chwili gadamy sobie z tymi ludźmi od Staną Coburna, a w następnej już cię nie ma — powiedziałam, patrząc na nią znacząco.

Pochyliła głowę w zakłopotaniu i zniżyła głos do szeptu.

— Och, Karen, myślałam, że nikt nie zauważy. Poszłam do domu z Systemy Alejandro. Nie wspomniałaś o tym nikomu, prawda?

— J a s n e, że nie. Jak było?

— Niewiarygodnie. Niewyobrażalnie. Wspaniale — odparła. — Nie muszę ci mówić, jaki on jest cudownie przystojny.

— To chyba był miły akcent rozpoczynający twoje wakacje.

Kiedy jakiś czas później w pracy pojawiła się Vivian, Dagny prawie przed nią uklękła, składając jej spóźnione życzenia świąteczne. Vivian wyglądała na zachwyconą.

— Cieszę się, że teraz, kiedy Allegra wyjechała, będziesz ze mną ściślej współpracowała.

— Och, nie słyszałaś, o czym rozmawialiśmy — powiedziała Dagney. — Ona wcale nie wyjechała. Rano widziałam ją w cukierni.

Vivian otworzyła szeroko usta.

— Jesteś pewna? Co powiedziała?

— Jestem stuprocentowo pewna. Nic nie powiedziała. Tylko spojrzała tak, jakby nigdy wcześniej mnie nie widziała.

Vivian szybko odzyskała równowagę.

— Najwyraźniej kogoś z nią pomyliłaś.

Dagney milczała, nie chcąc sprzeciwić się swojej nowej idolce.

— Słuchajcie. — Vivian wbiła w nas swoje stalowe spojrzenie, a ja poczułam, jak żołądek podchodzi mi do gardła. — Jest coś, co chciałabym natychmiast wyjaśnić. Czy zgodnie z waszą wiedzą, Allegra rozmawiała ostatnio czy kiedykolwiek z Oprah Winfrey? — Mówiła takim tonem jak członkowie Senackiej Komisji ds. Działalności Antyamerykańskiej, którą oglądałam na ziarnistych taśmach starych kronik.

Milczałyśmy obie ze wzrokiem wbitym w swoje dłonie. Nie ośmieliłyby się spytać nas o to, gdyby Allegra była w pobliżu, jednak gdybyśmy skłamały, zorientowałyby się i kazała nam za to płacić przez najbliższy miesiąc.

— Wiedziałam — oświadczyła triumfalnie i przeprowadziwszy tę jakże udaną operację zdemaskowania swojej szefowej jako rzekomej powierniczki Oprah, wróciła do własnego boksu.

Popołudnie było tak spokojne, że zupełnie nie przeszkadzało mi, kiedy Dagney poszła na papierosa i nie wracała

przez trzy godziny. Miałam przynajmniej czas i warunki, żeby popracować nad swoją rubryką. Przejrzawszy w poszukiwaniu materiałów kilka ostatnich egzemplarzy „Spektrum”, napisałam wartkie sprawozdanie na temat tego, co było w Glorious (prawie) nowe i (być może) ekscytujące. Ciekawostki te były już pewno znane od jakiegoś czasu większości miłośników kina, ale w połączeniu z nowymi fotkami mogły nabrać świeżości.

Po dokonaniu w szkicu kilku zmian i po przeczytaniu go kilkakrotnie byłam usatysfakcjonowana, uznając, że w tej formie może pójść.

— Co robisz, Karen? — usłyszałam głos Dagny, kiedy byłam w połowie ostatniego czytania.

Odwrociłam się i stwierdziłam, że czyta mi przez ramię.

— Sądzisz, że jest ktoś, kto dotąd nie słyszał, że Juliet Bartlett gra hiphopową Jane Eyre? — zapytała.

— Wszyscy o tym wiedzą, ale tutaj pierwszy raz zobaczą Juliet w kostiumie Jane.

— Tutaj?

— Na stronie.

— A co ty masz wspólnego z Internetem?

Nadszedł czas na wyjaśnienia.

— Od miesiący pomagam grupie Matta Vincenta, a teraz chcę, żebym robiła coś więcej. A skoro Allegry nie ma, będę w stanie sobie z tym poradzić.

— Dlaczego mi nie powiedziałaś? — zażądała wyjaśnień.

— Nie wiem.

— Wobec tego nie obejdzie cię fakt, że ja przeglądam taśmy dla ludzi z działu przejęć. Oni mają pełne zaufanie do moich opinii — rzuciła.

— Cieszę się ze względu na ciebie.

— No cóż, ja też się cieszę ze względu na ciebie — powie—

działa Dagney i tak po prostu całe napięcie wyparowało z okolic naszego maleńkiego biurka. Zastanawiałam się, czy podczas nieobecności Allegry nasza życzliwość mogłaby w pełni rozkwitnąć.

Zebrałam swoje rzeczy, szykując się do wyjścia na moją udawaną sesję papierosową, jednak zamiast na dymka udałam się do Belindy, żeby zanieść jej świąteczny prezent. Bo chociaż Glorious miała długą listę obdarowywanych, to Belinda się na niej nie mieściła. Listę naszego działu układała Marlene. Staralam się, żeby wpisała na nią Belindę, tłumacząc, że zrobiła dla nas o wiele więcej, niż ktokolwiek od niej oczekiwał.

— A nie płacimy za gazety i czasopisma, które od niej bierzemy? — spytała Marlene.

— Owszem, ale ona odkłada je dla nas wcześniej i daje nam znać, jeśli jest w nich coś kłopotliwego — odparłam. — Pamiętasz, jak nam pomogła z „New York Observerem”, kiedy nie zostawili suchej nitki *mHackSaw*?

— J a s n e. I kupiliśmy wtedy od niej jakieś pięćdziesiąt egzemplarzy. To już według mnie wystarczający prezent — rzuciła Marlene.

Sprawa była beznadziejna, ale okazała się nie tak istotna, szczególnie kiedy się dowiedziałam, jak w tym roku wyglądał firmowy prezent od Glorious. Belinda, która studiowała w Oksfordzie klasykę, nie ekscytowałaby się oprawnym w skórę, specjalnym wydaniem *tomikuZdźbel trawy*, okraszonym zdjęciami z *El Lechero*. Doszłam do wniosku, że prędzej w radosny nastrój wprowadzi ją kilka butelek caberneta... i przeświadczenie to okazało się całkiem słuszne. Dziękowała mi bardzo wylewnie.

— Niezła dziwaczka z tej twojej szefowej — powiedziała potem. — Była tu przed paroma godzinami i kupiła kilka

czasopism. Przychodzi do mnie, odkąd otworzyłam ten sklepik, od jakichś siedmiu lat. Tym razem jednak patrzyła na mnie tak, jakby nigdy wcześniej mnie nie widziała.

— Co kupiła? — spytałam z nadzieją, że były to jakieś miesięczniki podróżnicze.

— „Bon Apetit”, „The Washingtonian” i „Architectural Digest”.

— Ostatnio rzeczywiście zachowuje się dość dziwnie — przyznałam, składając Belindzie pospieszne życzenia noworoczne. Musiałam pędzić z powrotem do biura, żeby przekazać tę wiadomość Clarkowi i Robertowi.

— Informacja potwierdzona. Może tu jej nie ma, ale jest niedaleko. — Siedzieliśmy w boksie Clarka, bo u Roberta w trójkę w żaden sposób nie moglibyśmy się pomieścić.

— To już dzisiaj dwa razy — powiedział Clark. — Coś mi mówi, że powinienem to odnotować. — Wyszedł na chwilę, by wrócić z obszarpaną połówką tablicy suchościeralnej i kilkoma odpowiednimi pisakami. — Na ubiegłotygodniowym spotkaniu poświęconym *El Lechero* Tony oświadczył, że te „wytwornie potworne poetyckie sraty graty” stają się nie do zniesienia, i przedał tablicę na pół. Clark kaligrafował litery czerwonym pisakiem:

Doniesienia o pojawianiu się Allegry

1. Cukiernia w Greenwich (ta z owocami w cieście)
2. Salonik prasowy Belindy

Robert wziął dwustronną taśmę samoprzylepną i powiesił tablicę na zewnętrznej ścianie boksu Clarka. Akurat przechodziła tamtędy Dagney.

— Coś pięknego! To w saloniku prasowym też była?

— Dzisiaj po południu widziała ją Belinda. I nie kupowała żadnych czasopism podróżniczych.

— Więc jednak miałam rację.

Nazajutrz dodano dwa kolejne punkty:

3. Pralnia chemiczna przy Hudson Street

4. Nobu

Nie wiedzieliśmy, kto je dopisał, ale stanowiły dowód na to, że Allegra nie tylko przebywa w Nowym Jorku, ale że nawet nie próbuje się ukrywać. Zastanawiałam się, czy nie nadaje się to na materiał do Page Six albo czy nie stanowi wystarczającego pretekstu, żeby zadzwonić do Elliotta. Ciekawa byłam, co będzie robił w dzisiejszą sylwestrową noc, ale ponieważ nie figurowałam w jego planach, lepiej, żebym nie wiedziała. Lubiłam go, jednak trudno mi było zgadnąć, czy jego zainteresowanie moją osobą ma charakter osobisty czy tylko zawodowy. Co prawda udzielił mi więcej informacji niż ja jemu... wyglądało na to, że nie powiedziałam mu niczego, czego by nie wiedział wcześniej. Im dłużej jednak pracowałam w Glorious, tym potencjalnie lepszym byłam źródłem informacji. Być może Elliott po prostu trzymał mnie sobie na później, z nadzieją, że zanim poznam lepiej funkcjonowanie Glorious, będę się już czuła z nim na tyle swobodnie, żeby się wszystkim dzielić. Jednak jego nagłe pojawianie się i znikanie powodowało, że czułam się nieswojo, kiedy już dochodziło do rozmowy, co w pewnym sensie czyniło rzecz coraz bardziej ekscytującą.

Byłam zdecydowana wyjść o normalnej porze z biura i choć raz mi się to udało... zdążyłam na wieczorny pociąg do Baltimore, żeby spotkać się z Abby. Poszłyśmy na sła-

westrową zabawę, na której było bez liku przystojnych studentów medycyny. Dawki alkoholu, jakie pochłonęłyśmy, były zdecydowanie większe od leczniczych i spędziłyśmy środę na kacu, praktycznie nie ruszając się z kanapy i oglądając kolejne filmy Glorious ze stosu kaset, jakie wyniosłam z biura. W czwartek wczesnym pociągami wróciłam do Nowego Jorku. Była to krótka wizyta, ale udana, i powzięłam kolejne postanowienie, żeby niezależnie od okoliczności w tym roku częściej odwiedzać Abby.

W czwartek przed południem zadzwoniła Allegra. Dagney odebrała telefon i gestem pokazała, że mam też słuchać.

— Wszystko gra? Ktoś mnie potrzebuje? — dopytywała się nasza szefowa.

— Wszystko w porządku, Allegra. Właściwie panuje spokój — odpowiedziała Dagney. — A przy okazji, gdzie teraz jesteś?

— W Europie — rzuciła.

Wymieniłyśmy z Dagney spojrzenia.

— Powiedz Vivian, że zadzwonię do niej później — powiedziała i rozłączyła się.

Jakiś czas później Dagney, Robert, Clark i ja otrzymaliśmy e—maile od Marlene. Wysłała je także do wiadomości Vivian, Géraldine, Phila, Tony'ego, Allegry i do wszystkich innych, którzy i tak nigdy nie przywiązywali wagi do jej słów. Odnosiła się w nich do naszych „działań” jako „w najwyższym stopniu lekceważących wobec osoby, która, pozwolę sobie przypomnieć waszej czwórce, jest waszą szefową”.

Po kwadransie zjawiała się Sabrina z biura Phila.

— Po prostu muszę to zobaczyć — oświadczyła. — Ja też mam coś do dodania.

Wręczyłam jej zielony marker i poszłyśmy do Clarka, gdzie na ściance jego boksu dopisała:

5. „Imperium paznokcia”

— Widziałaś ją w „Imperium paznokcia”? — spytałam.

— Około pierwszej. W czwartki chodzę na lunch, więc postanowiłam przy okazji zrobić sobie pedicure. Siedziała w fotelu tuż obok i czytała „Architectural Digest”.

— Jesteś pewna, że to ona? — spytała Dagney. — Zadzwoiła dzisiaj rano i powiedziała, że jest w Europie.

— Na sto procent. Powiedziałam jej „cześć”, a kiedy nie zareagowała, zwróciłam się do niej po imieniu. Odwróciła głowę i popatrzyła na mnie jak na kogoś obcego. Po czym wróciła do lektury. Bardzo dziwne — powiedziała Sabrina, kręcąc głową.

— Jeśli coś takiego ją kręci, to naprawdę jej współczuję — stwierdziła Dagney.

— Kręci? — spytał Robert. — Czyżbyś została członkinią słynnej grupy raperskiej z Ibizy?

— Nie, ale przynajmniej wiem, że Ibiza nie rymuje się z pizza — odparowała Dagney.

— Błagam o wybaczenie. Hiszpański nie jest jednym z tych pięciu języków, które znam — powiedział Robert.

— Znasz pięć języków? — zainteresowała się Dagney.

— Da, ja, oui, ja i hi. Plus angielski — odparł.

— Powiedziałeś dwa razy „ja”.

— Owszem, ale to pierwsze było po niemiecku, a drugie po holendersku.

Robert, który kiedyś powiedział mi, że potrafi powie—

dzieć „tak” w trzydziestu siedmiu językach, puścił do mnie oko, a ja bardzo się starałam zachować powagę.

Kiedy wróciłam do swojego biurka, przeczytałam e—mi—la od Matta z prośbą o spotkanie jutro w południe. Miałam dziwne przeczucie, że zdarzy się coś dobrego.

Nazajutrz Matt wprowadził mnie do swojego gabinetu i zamknął drzwi.

— Karen, jesteśmy pod wrażeniem tego, co robisz dla naszej strony internetowej. Piszesz świetne teksty i szybko pracujesz.

Podziękowałam za uznanie. On tymczasem mówił dalej.

— Przez jakiś czas robiłem to wszystko tylko z Cheryl i z Kennym. Ale tutaj coraz więcej się dzieje i chciałem utworzyć dodatkowy poziom, potrzebujemy kogoś w rodzaju zastępcy szefa do spraw marketingu, kto przejąłby część zadań. Musimy po prostu scedować na kogoś część pracy i dlatego chcę zwiększyć liczbę kompetentnych ludzi w moim dziale.

— Brzmi interesująco — powiedziałam, wstrzymując oddech.

— Omówiliśmy więc tę sprawę i postanowiliśmy zaproponować ci to nowe stanowisko. Myślę, że szybko opanujesz, co trzeba, i twórczo wspomóżesz naszą grupę.

— Byłabym zachwycona, mogąc dla was pracować, to brzmi wręcz wspaniale — powiedziałam. — Tylko nie bardzo wiem, jak wyplątać się z mojego działu... szczególnie że teraz nawet nie mam jak poprosić Allegry o pozwolenie.

— Ja się tym zajmę. Powiedziałem Philowi, że muszę powiększyć dział i chcę zatrudnić kogoś z wewnątrz. Powiedział, że mam tylko kogoś wybrać, a on to przyklepie.

Odetchnęłam z ulgą.

— Jak wyglądają kolejne kroki?

— To potrwa z tydzień. Dział prawny musi przygotować umowę, żebym mógł złożyć ci formalną ofertę. Płaca będzie nieco wyższa, niezbyt wiele, a Geraldine musi wesprzeć nas logistycznie i znaleźć ci gabinet.

Nie powiedziałam nic, promieniałam tylko i usiłowałam nie robić wrażenia zbyt ogłupiałej.

— A tak przy okazji — powiedział Matt — co się dzieje z Allegra? Myślałem, że bierze urlop na podróż po Europie. A mogłbym przysiąc, że dzisiaj rano ją widziałem. Wyprowadzałem psa na spacer w pobliżu Battery Park, a ona przeszła tuż obok i nie odezwała się ani słowem.

— Pewnie rzeczywiście ją widziałeś — odparłam i opowiedziałam mu o szybko zapełniającej się tablicy.

— No cóż, dopiszcie kolejny punkt — powiedział, kręcąc głową. — Nie mam pojęcia, co ona wyprawia.

— My też nie. W każdym razie dodam do listy twój przypadek.

— Cieszę się, że mogę wnieść jakiś wkład w tę dziedzinę. Jeszcze jedno. Dopóki nasza sprawa nie zostanie zapięta na ostatni guzik, nie mów, proszę, nikomu. Jeśli dowiedzą się, że przyjmuję nowych pracowników, zaleje mnie tutaj popiół ludzki. Głównie z twojego działu, jak sądzę.

Podziękowałam mu i wstałam. Z trudem zachowywałam spokój, a kiedy znalazłam się na zewnątrz, pewnie bym zatańczyła, gdyby nie całkiem realna możliwość, że wszędyobylska obecnie Allegra dojrzy moje szaleńcze płasy.

Kiedy wróciłam do biura, panowało tam wielkie poruszenie, a Dagney wyglądała na spanikowaną.

— Nie uwierzysz, co się dzieje — rzuciła, zaciągając mnie do gabinetu Allegrzy. W ręce trzymała kserokopię „Spektrum”. Otworzyła na rubryce Cindy Adams. Przeczytałam kilka akapitów i doszłam wreszcie do tego, co ją tak poruszyło:

Słyszałam, że moim ulubionym bliźniakom ze śródmieścia pomyliły się święta. Wygląda na to, że Phil i Tony Waxmanowie odgrywają Amora, żeby pomóc jednej ze swoich dyrektorek znaleźć sobie tego jedynego. Chłopaki, jeśli się do was zgłoszą, korzystajcie z okazji i umówcie się z nią. To szykowna, bystra kobitka, która tylko utknęła w bramce startowej.

— Powiedziałaś o tym Vivian? — Z przerażeniem myślałam o powtórcie występu Yvonne.

— Nie, bo tego nie było w gazecie. — Pokazała mi prawdziwy wycinek, który w tym miejscu miał zupełnie inny tekst, przepowiadający rychły rozwód pewnej złączonej węzłami małżeńskimi i politycznymi pary, która od dawna pozostawała w separacji. O co tu chodzi?

Mrużąc oczy, mogłam na naszej kserokopii dostrzec delikatny cień biegnący wokół tej informacji.

— Staranna robota wycinania i wklejania — oświadczyłam, pokazując Dagney cieniutką jak włos linię. — Ktoś dopuścił się sabotażu na „Spektrum”.

— I w takiej formie rozeszło się to po firmie. Yvonne dosłownie odbiło. Przez całą godzinę gadała przez telefon z Marlene, próbując wymyślić, kto mógł to zrobić. Naturalnie ja byłam pierwszą podejrzaną, ale ostatecznie chyba mnie wykluczyły.

— Łatwiej by im było ustalić, kto nie miał motywu — uznałam, myśląc o naszej zapłakanej byłej stażystce. — Szkoda, że nie ma tego w prawdziwej gazecie. — Był to najbardziej pomysłowy akt zemsty, jaki dotąd widziałam, i dużo bym dała, żeby się dowiedzieć, kto go dokonał.

— A ty coś taka zadowolona? — spytała Dagney.

— Och, ktoś mi właśnie przysłał e-maila o kolejnym bli—

skim spotkaniu z Allegra do umieszczenia na naszej tablicy. Dawno się tak nie ubawiłam.

— Musisz częściej wychodzić — zauważyła Dagney.

Zignorowałam jej uwagę i poszłam do Clarka. W czasie mojej nieobecności lista się wydłużyła.

6. Przy bankomacie (róg N. Moore)

7. W sklepie ze zdrową żywnością

Dopisałam poniżej:

8. W pobliżu Battery Park

Był drugi dzień nowego roku. Przenosiłam się z działu public relations do marketingu. Allegry nie było, nieważne, czy krążyła gdzieś bliżej czy dalej, mnie wystarczało, że nie ma jej w biurze. Było piątkowe popołudnie i nie przewidziano na ten weekend żadnej imprezy dla dziennikarzy czy krytyków. Wszystko wyglądało tak dobrze, że postanowiłam zacząć kusić los.

— Cześć, Elliott — powiedziałam, kiedy podniósł słuchawkę. — Tu Karen. Szczęśliwego Nowego Roku.

Wydawało mi się, że ucieszył go mój telefon.

— Co u ciebie? Właśnie zamierzałem się odezwać.

— Nic takiego. Przynajmniej nic takiego, o czym mogłabym ci opowiedzieć przez telefon z biura. — Usiłowałam nadać głosowi tajemnicze brzmienie.

— A mogłabyś mi opowiedzieć przy drinku?

— Przypuszczalnie.

— A mogłabyś mi opowiedzieć przy drinku dziś wieczorem?

— Zapewne. — Umówiliśmy się w barze w SoHo, w ulubionym nowojorskim lokalu Ericha i jego Litwinki. Nie

widziałam Elliotta od kilku miesięcy, jednak za każdym razem, kiedy rozmawialiśmy, dawał mi całkiem jasno do zrozumienia, co też miałby ochotę robić z moimi stopami. Moje oczekiwania powiększał fakt, że tuż po tym, jak zaczęłam spotykać się z Gabe'em, ten, chcąc sprostać wyzwaniu, które mu rzuciłam, ssał palce moich stóp. Ja byłam zachwycona, on natomiast zde gustowany i żebym nie wiem, jak go błagała, nie zdobył się na powtórzenie tej operacji. Tymczasem moim stopom, podobnie jak całej reszcie, potrzebne było zainteresowanie mężczyzny... to już naprawdę trwało za długo. Poza tym przenosiłam się do marketingu... kiedy się tam znajdę, Elliott nie będzie już taki zakazany. Mogłabym wreszcie sprawdzić swoje teorie dotyczące jego osoby.

Zastanawiałam się, co powinnam włożyć, czy palce moich stóp nadają się na widok publiczny i czy mam czas na pedicure. Grzebałam właśnie w poszukiwaniu sandałów, które zostawiłam w biurze po jakiejś letniej imprezie, kiedy z rozmyślań związanych z planowaną randką wyrwał mnie nagle znajomy głos.

— Karen, Karen, Karen, Dagney, Dagney, Dagney — mówiła Vivian. — W poniedziałek musimy zacząć dzwonić do członków Akademii w sprawie *El Lechero*. Chcę, żeby teraz wszystko było zorganizowane jeszcze lepiej niż w ubiegłym roku. Nazwiska zostaną podzielone pomiędzy pracowników działu i każdy będzie odpowiedzialny za przydzielone mu rozmowy, ma zanotować uwagi rozmówców, dwa razy się upewnić, że otrzymali kasety z filmem, i koniecznie zaznaczyć, z kim nie udało się skontaktować i do kogo trzeba powtórnie zadzwonić.

To niewiarygodne, że tak szybko kompletnie zapomniałam, na czym polega praca w public relations.

— Dla każdego w dziale — ciągnęła Vivian — przygotujemy tabelę z nazwiskami i numerami telefonów członków Akademii, do których mają zadzwonić, zostawimy też miejsce na wpisanie pozostałych informacji. Wy dwie będziecie mi potrzebne jutro przez cały dzień, a może i w niedzielę, zależy, ile nam się uda zrobić — oświadczyła.

Członków Akademii było prawie sześć tysięcy. W zeszłym roku ułożyliśmy po prostu całą listę alfabetycznie, według pierwszej litery nazwiska, i każdemu przydzielono kilka liter. Jak się okazało, ten system się sprawdził, ale Vivian koniecznie chciała przeprowadzić całą operację po swojemu, szczególnie teraz, kiedy nie miała nad sobą Allegrę. Nie mogłam uwierzyć, że trzeba zajmować się tym przez cały weekend.

— Ja nie mogę — rzuciłam. W momencie, w którym te słowa zawisły w powietrzu, wiedziałam, że są jak najbardziej właściwe.

— Nie możesz?

— Nie.

— Podczas nieobecności Allegrę podlegasz mnie. I jesteś mi potrzebna do pracy nad tymi listami.

— Skoro jestem ci tak potrzebna, to należało mi o tym powiedzieć, nim upłynął cały piątek — odparłam, czując, jak rozpiera mnie potrzeba sprzeciwu.

— To zostanie odnotowane.

— Proszę bardzo.

— Ja będę, Vivian, wystarczy siódma? — zaświergotała Dagny, skwapliwie korzystając z okazji, żeby spędzić czas ze swoim nowym guru.

— Szósta trzydziści. Skoro będziemy tylko we dwie, musimy wcześniej zacząć — oświadczyła Vivian, piorunując mnie wzrokiem.

Jakiś czas później, usadowiona obok Elliotta na miękkiej skórzanej kanapie, z trzecim koktajlem w ręku, opowiadałam mu o swoim rychłym już przejściu do działu marketingu. Alkohol i przyprawiające o zawrót głowy poczucie nowych możliwości rozwiązały mi język do tego stopnia, że ni stąd, ni zowąd opowiedziałam mu wszystko — intrygę z uprowadzeniem zwycięzców konkursu w Los Angeles, zagadkową sprawę rzekomej wycieczki Allegry do Europy, pochwaliłam się odnalezieniem *El Lechero* w pierwszej dziesiątce na dwóch dodatkowych listach, przedstawiłam ulepszoną procedurę wydzwaniania do członków Akademii. A najlepsze było to, że ze wszystkimi błyskotliwymi szczegółami wyjawiałam mu dowcip, jaki zafundowano tego ranka Yvonne.

— Jesteśmy dziś wieczorem bardzo rozgadani — zauważył Elliott, kładąc dłoń na mojej kostce i zaczynając ją masować. — Tak naprawdę to pewnie nie planowałaś mi opowiadać tych wszystkich historyjek. Bo wiesz, one są wielce nęcące — dodał, wysuwając moją prawą stopę z sandałka. Elliot był tego rodzaju facetem, który pracował od łydki w dół. Odniósłszy sukces z prawą, przeniósł się szybko na lewą stopę i już po chwili byłam bosa, co wywołało u mnie falę niepewności. Czy stopy nie są aby spocone? Czy nie pachną brzydko? Czy mogą uchodzić za kształtne? Z zamkniętymi oczyma Elliott masował podbicie mojej lewej stopy. Odchyliłam się na oparcie kanapy i odważnie położyłam obie stopy na jego kolanach. Jęknął cichutko, po czym schylił się i delikatnie zaczął całować moje palce, w kolejności od małego do dużego, najpierw u prawej stopy, potem u lewej, by wreszcie przesuwać językiem przez całe podbicie, od pięty do palców. Potem zaczął ssać duży palec prawej stopy, krążąc jedno—

częście wokół niego językiem, co wyprawilo mnie niemal pod sufit. Czy to już kwalifikowało się jako „migdalenie”? Chyba nie... przypominało bardziej oddawanie czci moim stopom, ale tego wyrażenia nie widziałam nigdy w rubryce towarzyskiej. Uczucie było wspaniałe, lepsze niż byłam w stanie sobie wyobrazić, a on tymczasem obdarzył równie szczerze pozostałe dziewięć wdzięcznych paluszków. Tymczasem tak naprawdę chciałam, żeby mnie pocałował.

Podniósł nagle wzrok.

— Karen, chodźmy stąd — powiedział.

Włożyłam sandały i wyszliśmy na zewnątrz. Ruszyliśmy chodnikiem, on milczał, ja prawie biegłam, żeby dotrzymać mu kroku. Moje stopy, jeszcze tak niedawno rozpalone, teraz były całkiem zmarznięte. I wtedy Elliott wziął mnie za rękę, wciągnął do jakiejś wnęki z drzwiami i zaczął całować, tak zapamiętałe, jakby miało mu zabraknąć czasu. Otworzyłam jedno oko i zauważyłam, że nawet kiedy mnie całuje, ma lekko uniesione kąciiki ust, jakby się uśmiechał i był szalenie zadowolony z tego, że może mnie całować. A potem jedną ręką ujął delikatnie mój podbródek, drugą zaś objął mnie w pasie. Przymknęłam oko i oddawałam mu pocałunki, zerkając tylko na niego od czasu do czasu. Za każdym razem widziałam, jak się uśmiecha.

Kiedy przestał, poszliśmy kilka przecznic dalej, po czym Elliott bez słowa przywołał taksówkę i otworzył mi drzwi.

— Nie martw się, Karen. U mnie wszystkie twoje tajemnice są bezpieczne. — Pocałował mnie jeszcze raz, w policzek. — Dziękuję — szepnął mi do ucha, zatrzasnął drzwi i ruszył w przeciwnym kierunku.

Podalam kierowcy swój adres i całą drogę do domu spędziłam w stanie dziwnego zawieszenia, który pozwalał mi czuć, a nie pozwalał myśleć. Od miesięcy nie spałam tak mocnym snem.

Tydzień minął niewiarygodnie szybko. Gdyby nie liczyć kilkudziesięciu niechętnych spojrzeń rzuconych mi przez Dagney i Vivian, które przerażająco się skumulowały podczas pracowitego weekendu, oraz odkrycia, że lista członków Akademii, do których mam dzwonić, jest dwukrotnie dłuższa od list przydzielonych innym, można by rzec, że pracowało mi się całkiem przyjemnie. Tablica Clarka rozkwitła kolażem kolorów i różnych charakterów pisma, a ktoś przedsiębiorczy odnalazł drugą jej połowę i powiesił obok pierwszej. Wkrótce i ta się zappełniła. Allegra przekształciła się w postać Zelig z filmu Woody'ego Allena, pojawiając się wszędzie, wtapiając w tło i nigdy nie zwracając uwagi na nikogo. Tamtego tygodnia sama widziałam ją kilkakrotnie... raz w delikatesach, gdzie kupowałam papierosy, a innego dnia na peronie metra przy Franklin Street. Za każdym razem traktowała mnie jak powietrze.

W czwartek zadzwonił Matt i zaprosił mnie do swojego biura na spotkanie z nim oraz z Cheryl i Kennym, dwójkiem wiceszefów działu marketingu. Powiedział, że sprawa nadal jest poufna, ale że są już pewne postępy w jej załatwianiu. Już miałam poinformować Dagney, że wychodzę na papierosa, ale zmieniłam zdanie i powiedziałam, że idę się przejść.

—Przejść? — spytała, wyraźnie zdegustowana.

—Przejść.

—Rzucasz palenie?

—Taa, noszę plasterek — odparłam, wiedząc, że nie wiadać, czy mam coś na ramieniu.

— Zostały ci jakieś fajki? To znaczy, skoro rzucasz pale-
nie i w ogóle?

— J a s n e , Dag, weź sobie całą paczkę. — Wyciągnęłam
papierosy z torebki i rzuciłam na biurko.

W biurze Matta przy długim stole siedzieli Cheryl
i Kenny. Matta nie było, a tych dwoje ledwo znałam. Nie
licząc szefa, który nie mógł uniknąć kontaktów z **Allegra**,
dział marketingu trzymał się jak najdalej od public rela-
tions.

Cheryl Porter była filigranową kobietką, poniżej metra
pięćdziesięciu; miała najmniejsze dłonie i stopy, jakie kie-
dykolwiek widziałam u osoby dorosłej. Była niespokojna
jak koliberek, wymachiwała drobnymi rączkami dla pod-
kreślenia swoich słów. Mrugała z wielką częstotliwością,
co było jej charakterystycznym tikiem. Miała też zwyczaj
przechesywania dłońmi włosów, w rezultacie o tej porze
dnia połowa już stała dęba.

Kenny Delano robił wrażenie spokojniejszego. Słuszny
wzrost, ogolona głowa, spiczasty nos oraz krzaczaste brwi
nadawały mu wygląd pękatego Mr. Cleana z etykietek
środków czyszczących. Miał zwyczaj ciągle czymś postu-
kiwać i kiedy weszłam do pokoju, właśnie lewą stopą
wybijał rytm o podłogę, długopisem natomiast bębnił
w zupełnie odmiennym rytmie po leżącym przed nim
stosie papieru.

Wyciągnęłam rękę.

— Karen Jacobs, miło, że się spotykamy. — Nie byłam
pewna, czy znają moje imię i nazwisko.

— Tak, bardzo miło — odezwała się Cheryl.

Kiedy ściszałam jej dłoń, miałam obawy, czy jej nie

uszkodzę. Najwyraźniej nigdy nie wymieniła uścisku dłoni z Geraldine.

— Cieszymy się, że do nas dołączasz — oświadczył Kenny, skinąwszy ręką.

Usiadłam naprzeciwko nich.

— Matt przyjdzie za parę chwil — poinformowała mnie Cheryl. — Zadzwoił do niego Phil i wywrzaskiwał coś o telewizyjnych spotach reklamowych *El Lechero*.

— Jesteś przyzwyczajona do wrzasków, prawda? — spytał Kenny. — To znaczy, przychodzisz przecież z public relations.

— Cóż, nie przepadam za nimi, ale jakoś sobie z tym radzę, jeśli to masz na myśli.

— Kenny, nie strasz jej — powiedziała Cheryl, mrugając nieustannie. — Osobiście nie nazwałabym tego wrzaskiem. A nawet jeśli tak, to należy do kategorii wyższej od tej, do której jesteś przyzwyczajona. To rodzaj intelektualnego pokrzykiwania... burzliwego dyskursu, że się tak wyrażę.

— W tym dziale wszystko ma o wiele bardziej... — tu Kenny zrobił przerwę — ...twórczy charakter — dokończył. — Nie siedzimy i nie gadamy o tym, kto jak się ubiera, kogo nie zapraszać, czyja asystentka to jęzda. Nasze środowisko jest o wiele bardziej profesjonalne.

— Owszem — potwierdził Matt, wchodząc do pokoju. — A w profesjonalnym środowisku proponujemy pracownikom umowę, żeby każdy wiedział, na czym stoi. Oto — podał mi papierową teczkę — twój kontrakt, Karen. Witamy w dziale marketingu.

— Jesteś nam bardzo, ale to bardzo potrzebna. — Cheryl zamrugwała.

— To tak, jakbyśmy wyrwali cię z kręgu czarownic, i te—

raz musisz pracować u nas, żeby się zrewanżować za tę przysługę — powiedział Kenny, po czym obaj z Mattem wybuchnęli śmiechem. Cheryl jednym ruchem ręki postawiła włosy jeszcze bardziej na sztorc.

— Wszystko załatwione? Allegra już wie? — spytałam.

— Allegra wie — odparł Matt.

— Rozmawiałaś z nią?

— Nie, ale w aptece stałem za nią w kolejce i wtedy jej powiedziałem: „Karen Jacobs przechodzi do mojego działu”. Nie odwróciła głowy, ale na pewno mnie usłyszała. Geraldine załatwiła wszystko w waszym biurze, tak że w poniedziałek możesz zacząć u nas.

Kiedy znalazłam się na ulicy, wykonałam taniec zwycięstwa, mając nadzieję, że Allegra snuje się gdzieś w pobliżu i mnie widzi.

Pracą w public relations była trudna, ale odejście stamtąd wymagało przebiegłości i cierpliwości tajnego agenta. Zupełnie jakby moje pragnienie robienia czegoś innego wlaźło wszystkim pod skórę i wywołało powszechne swędzenie, które było można złagodzić tylko w jeden sposób — drapiąc mnie.

— Czy ty kiedykolwiek myślisz o kimś innym poza sobą? — spytała Vivian, kiedy usłyszała nowinę. — Przyszło ci do głowy, że ktoś inny będzie musiał wykonać pracę, którą ty porzucasz?

Wzruszyłam ramionami i dalej pakowałam zawartość biurka pod okiem Dagney. Przyciągnęłam z kserowni wielki karton, ale dość szybko się zorientowałam, że nie będzie mi potrzebny. Chociaż spędziłam w tym pomieszczeniu rok, niemal nic nie świadczyło o mojej obecności. W CNN mój boks ożywiały zdjęcia, gryzmoły, zabawne nagłówki i rysunki Gabe'a. Poza rysunkiem z „New Yorkera”, przedstawiającym dziewczynkę siedzącą przed telewizorem i pytającą matkę: „Dlaczego ona chce wracać do Kansas, gdzie wszystko jest czarno—białe?”, oraz zdjęciem sprzed kilku lat ukazującym Abby i mnie na Cape, nie trzymałam tu żadnych rzeczy osobistych. Nie minęło pięć minut, a wyglądało tak, jakbym nigdy nie siedziała przy tym okropnym, zawalonym papierami biurku w kształcie litery L.

— Zdajesz sobie sprawę, że będziemy musiały z Vivian przerabiać wszystkie tabele, które przygotowałyśmy w ubiegły weekend? — spytała Dagney.

— A czemu po prostu nie przydzielicie moich kartek komuś innemu?

— To nie takie proste. — Jasne, że nie było to takie proste. Każdy projekt Vivian był natychmiast wysyłany do Sztokholmu, żeby w trybie pilnym mógł się nim zająć komitet noblowski.

— Karen, jesteś mi w ten weekend potrzebna na imprezie dla prasy poświęconej *Klubowi 86* — odezwała się ze swojego boksu Marlene, nie trudząc się nawet, żeby podnieść się z fotela czy wybrać numer mojego telefonu. *Klub 86* był filmem o znanej dyskotecie z lat siedemdziesiątych, gdzie znane osobistości prowadziły nielegalny handel, wciągały kokę i pieprzyły się aż do początków lat osiemdziesiątych.

— Nie mogę, Marlene. Nie pracuję w tym dziale.

— W marketingu zaczynasz dopiero w poniedziałek, więc do tego czasu jesteś częścią tego działu.

— Nie sądzę.

Marlene zadzwoniła do Matta i mówiła na tyle głośno, żebym ją dobrze słyszała. Swoim najśłodszy, najbardziej czarującym tonem powiedziała, że brakuje jej ludzi na weekendową imprezę i że ja jestem jej tam koniecznie potrzebna.

— To naprawdę bardzo by nam pomogło. Dzięki, Matt — zakończyła rozmowę. — Matt mówi, że to zależy od ciebie — zawołała do mnie zza przepierzenia. Jednocześnie zabręczała moja poczta internetowa, jeszcze nie odłączona. „Niech się wypcha”, napisał Matt.

— Przykro mi, Marlene, nie mogę w ten weekend pracować przy *Klubie 86*.

— Obsada jest naprawdę duża i potrzebujemy cię. Henry Hauser, grający główną rolę męską, pochłonie całą moją energię i czas, bo uparł się, żeby wywiady, których udziela, były pod stałym nadzorem. Nie pozwolę, żebyś mi to rozwaliała!—wrzasnęła.

— Ja już tutaj nie pracuję. Zniosę swoje rzeczy do tamtego budynku, a potem jadę do domu. W poniedziałek rano zaczynam pracę w marketingu.

— Gdzie spędzasz weekend? — drążyła Marlene.

— Unosząc się gdzieś pomiędzy niebem i piekłem — odparłam, otwierając szafkę na akta, gdzie trzymałam szczoteczkę i pastę do zębów, dezodorant i kilka innych drobiazgów. Zadzwoił telefon, odruchowo sięgnęłam po słuchawkę. To była Geraldine. Potwierdziła zdanie Marlene, jakobym nadal była zatrudniona w tym dziale aż do dziewiątej w poniedziałek, wspomniała coś o okresach rozliczeniowych, miejscach powstawania kosztów, przejściowej efektywności i użyła kilku innych wyrażen w stylu działu personalnego, których wcześniej nigdy w jej ustach nie słyszałam.

Telefon znów zadzwonił i tym razem był to Matt.

— Przykro mi, Karen. Dzwoniła do mnie Geraldine i wygląda na to, że musisz pracować przy tej imprezie. Gdybym mógł to przewidzieć, przepchałbym całą sprawę trochę wcześniej.

— Nie szkodzi. Chyba nie sądziłeś, że uda mi się zmienić dział tak, jak to się odbywa w normalnej firmie, prawda?

— Dzięki, równa z ciebie dziewczyna.

Marlene wezwała mnie do siebie.

— Karen, oczekuję, że w ten weekend zachowasz się profesjonalnie — powiedziała.

Nie zareagowałam na jej słowa i wróciłam do swojego biurka, żeby się upewnić, że zebrałam już wszystko.

— No cóż — powiedziałam do Dagney — to miało być pożegnanie, tymczasem powiem tylko do zobaczenia, do jutra.

W poniedziałek rano, w pełni przytomna, choć znużona weekendową pracą, jechałam metrem do pracy, przeglądając bez pośpiechu „New York Timesa”. Zanim dotarłam do budynku, w którym mieścił się dział marketingu, kupiłam sobie po drodze kawę i słodką bułeczkę. W drzwiach delikatesów minęłam się z Allegra, ale nawet nie próbowałam nawiązywać z nią kontaktu wzrokowego.

Kiedy wysiadłam z windy na jedenastym piętrze, gdzie miałam pracować, na korytarzu przywitała mnie zdyszana Cheryl.

— Pokażę ci twój gabinet i możemy zaczynać. Jest tyle roboty! — Przypominała mi Białego Królika z *Alicji w Krainie Czarów*.

Zaprowadziła mnie do pokoju niedaleko jej własnego. Był to prawdziwy gabinet ze ścianami od podłogi do sufitu i z porządnymi drzwiami. Pobawiłam się gałką u drzwi, naciskając i puszczając przycisk blokujący zamek.

— Wiem, że jest tu pustawo, ale jak tylko będziesz wiedziała, co ci jest potrzebne na biurko, możesz to sobie zamówić. W schowku przy windzie jest stos plakatów filmowych, możesz wziąć, jakie chcesz, i przyozdobić ściany.

W gabinecie stało biurko, fotelik i biblioteczka. Był też telewizor i magnetowid z dwiema kieszeniami, najwyraźniej żebym mogła przeskakiwać z jednego filmu na drugi.

— Ludzie od kablówki zjawiają się pod koniec tygodnia, żeby ci to wszystko popodłączyć — dodała Cheryl. — Od czasu do czasu będziesz musiała pooglądać telewizję, że—

byśmy wiedzieli, że puszczają kiedy trzeba reklamy, za które płacimy.

Weszła Geraldine, a za nią przydreptał Harvey, który wyglądał na bardzo dumnego z siebie.

— Karen, chciałam ci tylko przypomnieć, że twój kontrakt ma być we właściwym czasie podpisany i zwrócony.

Nie miałam ochoty płacić prawnikowi, więc poprosiłam Ellen, żeby go przejrzała.

— Wkrótce go dostaniesz.

— Witamy! — Kenny zapukał do moich otwartych drzwi.

Przesunęliśmy się nieco wszyscy, żeby mógł wejść do środka, a ja niechcący nadepnęłam Harveyowi na ogon. Zaskowyczał i wbił w moją łydkę potrójny, jak mi się wydawało, rząd zębów.

— Jasna cholera! — wrzasnęłam. — Ugryzł mnie! — Nachyliłam się, żeby obejrzeć ranę. Wełniane spodnie ochroniły skórę, ale zostały udekorowane małym półksiężycem dziurek.

— Mogłabyś bardziej uważać, Karen. — Geraldine schyliła się, żeby zadbać o Harveya, który bezskutecznie usiłował się pozbyć nitek z pyska. — Pozwól, że ci pomogę, skarbie — wymamrotała, na klęczkach, ściągając mu z języka niewidoczne skrawki moich niesmacznych spodni.

— Geraldine, twój pies właśnie mnie ugryzł.

— Z Harveyem nigdy nic nie wiadomo — odparła, biorąc ulubieńca na ręce. — Nie zapomnij o kontrakcie — do-dała, wychodząc.

Mogłabym przysiąc, że to kapryśne zwierzę poszło mi uśmiech sponad jej ramienia.

— No to mamy za sobą poranne rozrywki. Wszystko w porządku, Karen? — spytała Cheryl.

Skinęłam głową.

— Harvey powinien siedzieć w domu, dopóki nie nauczy się przyzwoicie zachowywać.

— Pokazałaś już Karen, nad czym ma pracować? — spytał Kenny.

— Właśnie miałam to zrobić, kiedy przerwała nam ta chodząca parówka. — Cheryl podniosła torbę, która stała za drzwiami, i wysypała jej zawartość na biurko.

Był tam z tuzin kaset wideo, a oprócz tego zestawu materiałów prasowych i programu festiwalu. Jedna taśma, z napisem *Pomadka ochronna*, spadła z biurka na podłogę.

— To są filmy, które Glorious musi dać do rozpowszechniania, bo jest do tego zobligowana kontraktem. Będą je wyświetlali tylko w dwóch kinach, w Nowym Jorku i w Los Angeles. Nikt nie oczekuje, że będą miały powodzenie, musimy je po prostu wyciągnąć, wyświetlić i na tym koniec — oświadczyła Cheryl.

— Nazywamy je Przebojami Tony'ego — powiedział Kenny. — Po rozwodzie Tony spędził mnóstwo czasu, podróżując i odwiedzając różne pomniejszych festiwale filmowe. Kiedy spotykał filmowca kobietę, która, jak sądził, posiadała pewien — przerwał na chwilę — „potencjał” — przy tym słowie wykonał lubieżny gest — kazał działowi przejąć nabyć prawo do filmu. Naturalnie kobieta czuła się wielce zobowiązana.

— Wszystko to są filmy reżyserowane przez kobiety, z którymi Tony chciał się przespać?

— Nie, czasami była to producentka.

— Nieważne, w jaki sposób czy dlaczego je kupiono, chodzi o to, że musimy mieć to z głowy — rzuciła pośpiesznie Cheryl. — Twoim zadaniem jest stworzenie dla każdego z nich czegoś w rodzaju minikampanii. Nie będą miały zwiastunów ani reklamy telewizyjnej. Zamiast du—

kowania tysięcy plakatów, jak robiliśmy na przykład dla *Cudzoziemskiego pilota*, wydrukujemy jakieś pięć, w Kinko.

— Tylko pięć?

— Może sześć. Wystarczy na obie poczekalnie kinowe, plus dwie dla twórcy filmu i ze dwie dodatkowe na wszelki wypadek. Będiesz odpowiedzialna za pomysł i za jakiś króciutki slogan reklamowy, a dział graficzny pomoże ci przy projektowaniu.

— Potrafią robić wręcz niewiarygodne rzeczy za pomocą komputerowych programów graficznych — dodał Kenny. — Więc jeśli nawet nie ma żadnej fotografii, i tak coś wymyślą. Skoncentruj się jedynie na ogólnej idei, jaką chcesz przekazać, i na sloganie. Najistotniejsze, żebyś miała to za sobą jak najszybciej i przeszła do ważniejszych rzeczy — powiedział Kenny. — Więc zabieraj się do oglądania.

Zostawili mnie samą. Rozejrzałam się po otoczeniu. Nieźle, Karen, pomyślałam sobie. Ten pokój to kategoria luksusowa w porównaniu z tym, co miałam w public relations. Tam nawet myśl o własnym biurku należała do nieziszczalnych. Ale żeby zaraz biblioteczka? Kabłówka? Drzwi? Czułam się jak Charlie w *Wilym Wonce i fabryce czekolady*, kiedy dowiaduje się na koniec, że fabryka i wszystkie słodyczne, a nawet Umpy Lumpasy należą wyłącznie do niego.

Kasety leżały porzucane na biurku, ułożyłam je więc w dwa stosy po sześć sztuk, czytając przy okazji tytuły, żeby nabrać o nich jakiegoś wyobrażenia. Poza *Pomadką ochronną* był tam *Obrońca kieszonkowy*, *Wielka niebieskosc*, *Uroczy sep ścierwojad* i *Kichanie na zawołanie*, a także siedem innych o jeszcze mniej zachęcających tytułach. Z materiałów prasowych oraz towarzyszących im fotografii i danych biograficznych wynikało niezbicie, że stosow—

nym przyjacielem dla każdej z tych reżyserek mógł być wyłącznie szef wytwórni filmowej. Później, podczas oglądania tych dzieł, stało się dla mnie oczywiste, że jedynie opętany żądzą magnat filmowy mógł je kupić. Zdziwiająca synergia.

Jakiś czas później pojawił się Systemy Alejandro, żeby podłączyć mój komputer. Przy okazji pogratulował mi awansu. Podziwiałam jego urodę i zastanawiałam się, czy spotkali się z Dagny od czasu tamtej imprezy Młodych Demokratów. Kiedy już wszystko działało, wysłałam natychmiast e-maila do Abby, informując ją, że jeśli rzeczywiście zależy jej na poznaniu Tony'ego Waxmana, to wystarczy, że zrobi dwudziestominutowy filmik o pierwszym roku studiów medycznych i przyśle go razem ze swoją fotką. Zasugerowałam też tytuł dla jej dzieła — *Śmiertelny błąd Lloyda*.

Wsunęłam do odtwarzacza kasetę z *Pomadką ochronną*. Film opowiadał historię jednej szminki od momentu nabycia w sklepiku przy parkingu dla ciężarówek na pustyni Mojave aż do jej przedwczesnego końca na desce rozdzielczej samochodu zaparkowanego przed ekskluzywnym centrum handlowym w Houston. Opowiadany z punktu widzenia pomadki, nie pokazywał twarzy ani jednego aktora. Pomadka powędrowała z lady sklepowej do skrytki samochodowej, stamtąd do torebki od Prądy, później do kieszeni dżinsów marki Wrangler, wylądowała na podłodze toalety nocnego klubu, znalazła się w szkolnej torbie, przetrwała cały koszmarny cykl w pralce automatycznej i tak dalej, i tak dalej. Ponieważ jednak było to moje pierwsze zadanie, uparłam się, żeby odkryć jakieś zalety tego dzieła. Czy było dobitnym komentarzem społecznym na temat produktu używanego zarówno przez

milionerki, jak i mamusie na zasiłku? A może to zaduma nad kulturą rozrzutności, gdzie wartość przedmiotu określa jego cena, a nie użyteczność? Na pustyni pomadka ochronna jest warta tyle złota, ile sama waży. Czy chodzi tu o jakąś symbolikę? Może o ochronę czegoś zupełnie innego? Czy rodzice twórczyni filmu byli rozwiedzeni?

Przerzuciłam kartki pakietu informacyjnego dla mediów na temat *Pomadki ochronnej*. Filmik, którego autorką scenariusza, producentką i reżyserką była dwudziesto-czteroletnia absolwentka Uniwersytetu Kalifornii Południowej, niejaka Reba Koronis, sfinansowany został przez jej rodzinę. Rebę określano również jako „gwiazdę *Pomadki ochronnej*”, co było pewną przesadą, jako że w filmie widoczne były jedynie jej lewa ręka, buty i ramię, na którym huśtała się torebka. Wydawało się oczywiste, że jak na autorkę pierwszego filmu Reba wykazała się niezwykłą twórczą powściągliwością; zastanawiałam się, czy te chwytły reklamowe wyszły też spod jej ręki.

Właśnie zaczęłam się głowić nad tym, w jakim stylu powinien być plakat, kiedy zadzwonił Matt.

— Przykro mi, że mnie nie było i nie mogłem cię stosownie powitać, ale jestem w Los Angeles.

W czasie krótkiej pogawędki opowiedziałam mu o *Pomadce ochronnej*, co go rozśmieszyło. Poinformował mnie, że spędzi kilka tygodni w Los Angeles i że mogę kontaktować się z nim telefonicznie i pocztą elektroniczną. Poprosił, żebym przebrnęła jak najszybciej przez filmy Tony'ego i pomogła Kenny'emu i Cheryl w ich przedsięwzięciach.

Film był tak mało ważny, że jedyną jego reklamą miał być plakat, mimo to chciałam wykonać tę robotę jaknajlepiej, chociaż Cheryl dała mi wyraźnie do zrozumienia, że

mam się skoncentrować na szybkości, a nie jakości. Potrzebne mi były powiedzonka, z których dałoby się coś wybrać i dostosować do tego styl plakatu. Pomysłu jeszcze co prawda nie miałam, ale już pracowałam nad sloganami.

„Jest ósma wieczór. Czy wiesz, gdzie jest twoja pomadka ochronna?”

„Jest dużo dalej, niż myślisz”.

„Takiej jeszcze nigdy jej nie widziałś”.

„Te usta zostały stworzone do wędrownki”.

„Podróż pomazań—cza”.

Slogany były okropne i ogarnęła mnie panika. W tym momencie wpadła Cheryl i oznajmiła, że idą z Kennym do biura Phila, żeby pokazać mu, jak wygląda pierwszy plakat do *Policeville*.

— Chcesz iść z nami?

Uśmiechnęłam się, żeby nie dać po sobie poznać, jakie to dla mnie ekscytujące. *Policeville*, wstrząsający dramat o mieście, w którym wszyscy gliniarze to przestępcy, miał wejść na ekrany wiosną. Cheryl wręczyła mi kilka plakatów, podklejonych warstwą styropianu, i poszliśmy po Kenny'ego. Oniemiałam na widok regałów całkowicie zapełnionych maskotkami Beanie Babies, samymi misiami... każdy zamknięty w osobnym plastikowym pudełeczku.

— Eee, hmm, masz tyle... — Wskazałam całą ścianę pluszaków.

— To wyłącznie kolekcjonerskie okazy — oświadczył Kenny. — Szczerze mówiąc, prawdziwa inwestycja, każda sztuka w idealnym stanie, z oryginalną metką.

— No tak — powiedziałam, kiwając głową. Nie bardzo wiedząc, co mogłabym jeszcze powiedzieć, zmieniłam temat. — Co mam robić podczas tego spotkania? — spytałam.

— Kiedy przyjdziemy, przedstawimy cię Philowi jako najnowszy nabytek marketingu. Potem już nie będziesz musiała się odzywać — powiedział Kenny.

— Phil mnie zna.

— Naprawdę? Skąd?

Opowiedziałam o drukarni „New York Timesa” i o czytaniu recenzji Philowi w późne czwartkowe wieczory. Wymienili z Cheryl spojrzenia.

— Jeździłaś nocą w czwartki do „New York Timesa”? — spytał Kenny.

— Jasne, żeby wziąć stamtąd recenzje, które później czytałam Allegrze, Philowi i każdemu, kto chciał posłuchać.

— Ale przecież my dostajemy je w środy około piątej z działu reklamy „Timesa” — powiedziała Cheryl.

— Naprawdę? — Byłam tak wstrząśnięta, że stanęłam jak wryta.

— No oczywiście. Dzięki temu możemy używać cytatów z recenzji zamieszczonych w „Timesie” w naszych piątkowych reklamach — wyjaśniła Cheryl.

— Recenzje przychodzą we wtorek lub środę, tak żeby ludzie od reklamy w „Timesie” mogli dostarczyć je nam — dodał Kenny. — Naprawdę o tym nie wiedziałaś? — Pokręcił głową, a Cheryl westchnęła.

— Matt nie znosi Allegrzy i choć jest wiele dziedzin, w których mogliby połączyć wysiłki, nie robią tego. Nie masz pojęcia, ile działań jest dublowanych przez te dwa działy. Nie opłaca się jednak rozplątywać tego wszystkiego, ryzykując przy okazji, że się o czymś zapomni.

— No i trzeba by założyć, że działy będą się rzetelnie dzielić informacjami — dodał Kenny.

Nie przestawałam o tym wszystkim rozmyślać, kiedy wysiadaliśmy z windy w budynku Glorious; obliczyłam

sobie, ile godzin mojego życia zmarnowano z powodu czyichś niesnasek. Poczułam nagły przypływ gniewu, kiedy pomyślałam o moim nowym szefie, ale przecież nie mogłam mieć pretensji do Matta, bo nie miał najmniejszego pojęcia o naszej czwartkowej procedurze. Usiedliśmy we trójkę na słynnej ławeczce przed gabinetem Phila, oparliśmy plakaty o ścianę i czekaliśmy. Od strony gabinetu Tony'ego dochodziły rytmiczne trzaski.

— Tony znów ćwiczy ze skakanką — zauważył Kenny, wystukując rytm ołówkiem na kolanie. — Jeśli posiedzimy tu dłużej, może otworzy drzwi, żebyśmy zobaczyli, jak podciąga się na drążku.

— Tony jest nam teraz zupełnie niepotrzebny — stwierdziła Cheryl, mrugając z pięćdziesiąt razy. — Już i tak jest wściekły, że nie skończono jeszcze projektu plakatu dla *Klubu 86*.

— A co się stało? — spytałam. Film wchodził na ekrany za tydzień od najbliższego piątku.

— Chodziło o zatwierdzenie jego ostatecznej wersji — wyjaśnił Kenny. — Tak się jakoś złożyło, że przy podpisywaniu kontraktów czterem różnym osobom z obsady przyznano prawo do umieszczenia wizerunku na plakacie. Od tej pory mamy z tym cyrk.

Oglądałam *Klub 86* podczas imprezy promocyjnej w ostatni weekend. Film był ledwie taki sobie, ale dziennikarze wyrażali się entuzjastycznie o ścieżce muzycznej, której nagranie dostarczyliśmy każdemu chętnemu.

Sabrina wprowadziła nas do gabinetu Phila. Nie byłam w nim od tamtego niemal fatalnego w skutkach błędu, jaki popełniłam w pierwszym tygodniu pracy. Phil właśnie coś przeżuwał, wskazał nam gestem kanapę. Była tak mała, że łokieć Kenny'ego wbijał mi się w zębra.

— Phil, zanim ci pokażemy nową wersję plakatów *Po—liceville*, pozwól, że ci przedstawię Karen Jacobs. Była asystentką Alleghry, ale ściągnęliśmy ją do naszego działu.

Phil obdarzył mnie przelotnym spojrzeniem i wrócił do potrawy, którą okazała się wielka różnorodność sushi, rozłożonego na pięknych półmiskach z japońskiej porcelany. Najwyraźniej Phil otrzymywał dania na wynos z Nobu, którego to przywileju odmówiono cesarzowi Japonii podczas jego ostatniej wizyty w Nowym Jorku, co wywołało nie kończące się komentarze.

— Więc tak. W rezultacie naszej ostatniej rozmowy mamy sześć zmienionych wersji — zaczęła Cheryl, mrugając, żeby rozeznac się w sytuacji.

Pomogłam jej ustawić plakaty na półce znajdującej się na wysokości wzroku siedzącego Phila. Rzucił na nie okiem.

— Wszystkie są do dupy — oświadczył spokojnie, zanzurając kawałek sushi z węgorka w sosie sojowym i wkładając do ust.

— Żaden ci się nie podoba? — spytał Kenny.

— Nie słyszałeś? Wszystkie są do dupy. — Głos miał cichy i rzeczowy, jakby informował nas, która jest godzina.

— Czy coś szczególnego ci się w nich nie podoba?

Phil podniósł wzrok znad rolady z łososia i zielonej cebulki.

— Nie podoba mi się w nich to, że są do dupy. — Teraz już mówił głośniej i ostatnie słowo odbiło się echem od ścian. Odgryzł duży kęs ryby i popił sporym łykiem dietetycznego dr. peppera.

— Wykorzystaliśmy wszystkie twoje sugestie z poprzedniego spotkania — wydukała Cheryl. — Możesz nam powiedzieć, co jest nie tak?

— To jest nie tak, że są do dupy! — Teraz Phil już wrzesz—

czał. — Po prostu do dupy! — Chwycił z talerza garść krewetek, rzucił na kopczyk wasabi, chlapnął sosu sojowego i wpakował sobie do ust. Potem kontynuował przemowę. — Dlaczego nie mogę dostać plakatu, który nie byłby do dupy? Czy to za wielkie wymagania, kiedy proszę o plakat, który nie będzie do dupy, tak jak wszystkie inne? — Kilka ziarenek ryżu przykleiło się do okularów Kenny'ego.

Podniesiony głos Phila ściągnął Tony'ego, który równym truchtem wbiegł do pokoju. Był mokry od potu, miał na sobie podkoszulek i trykoty do biegania. Na ramionach niczym epolety sterczały mu kępki sztywnych włosów. Mieszanka zapachu jego potu i sushi mogłaby stanowić podstawowy składnik jakiejś broni chemicznej.

— O co chodzi, Phil? — Tony zdjął kawałek tuńczyka z warstwy ryżu i wrzucił sobie do ust. — Ten sos sojowy, stary... jest w nim dość sodu, żeby człowieka ukatrupić. — Odwrócił się i powiódł wzrokiem po naszej trójce, a potem spojrzął na półkę z plakatami. — O, afisze do *Policeville*. — Pokręcił głową. — Kompletnie do dupy.

Potwierdzenie przez brata pierwotnej diagnozy wywarło na Philu większe wrażenie, niż gdyby oberwał od Tony'ego pięścią w brzuch. Zerwał się z miejsca, a jego ogromna postać zdawała się wypełniać cały pokój.

— Myślisz, że nie wiem, że są do dupy? — Walnęła pięścią w biurko, wywołując tsunami w naczyniu z sosem sojowym, fala przelała się przez krawędź i chlusnęła mi na spodnie. Gapiłam się na to miejsce, zupełnie nie wiedząc, jak się zachować, podczas gdy Phil ciągnął dalej.

— Odkąd to niby potrzebuję, żebyś mi mówił, co jest, a co nie jest do dupy? — warknął przez zaciśnięte zęby.

— Od zawsze — odkrzyknął Tony. — Od pieprzonego

pierwszego dnia. — Przysunął środkowy palec tak blisko twarzy Phila, że o mało nie wcisnął mu go do nosa.

Phil wytoczył się zza biurka, wziął wszystkie sześć plakatów i na kolanie porozrywał je na pół. Jedną część przystawił Tony'emu do szyi.

— Wynocha z mojego gabinetu — zażądał, grożąc mu kawałkiem odłamanego styropianu.

Tony chwycił inny kawałek i odgonił nim brata. Po chwili pojedykowali się połamanymi plakatami. Styropian rozpadał się na miliony maleńkich białych kuleczek, które chmurą opadały na naszą trójkę. Kenny dał sygnał do odwrotu i wymknęliśmy się z gabinetu, omijając mówiących się styropianem braci.

Pomacałam się po głowie i poczułam, że mam włosy pokryte drobinami styropianu. Naprzodzie moich spodni widniała kompromitująca ogromna plama, a nogawkę zdobiły dziurki, pozostałość po porannym spotkaniu z tym bydlęciem Geraldine. Cheryl i Kenny bacznie mi się przyglądali; chyba czekali, kiedy się rozplaczę. Ja tymczasem po prostu stałam jak oniemiała.

— Witamy w marketingu, Karen! — powiedział Kenny. — Wiesz co, jedź już do domu. Do szóstej niewiele zostało, a tobie pewnie wystarczy wrażeń jak na jeden dzień.

— Karen, co ci się stało? — usłyszałam.

Odwróciłam się i ujrzałam siedzącą na ławeczce Delilah.

— Znalazłam się na drodze sosu sojowego Phila, resztek projektu plakatu do *Policeville* i zębów Harveya — odparłam i zaczęłam się śmiać. Delilah przez chwilę patrzyła na mnie pytająco, po czym też wybuchnęła śmiechem.

— A ja idę do Phila w sprawie *Klubu 86* — poinformowała. — Chodzi o współpracę z siecią sklepów Tower Records przy sprzedaży ścieżki muzycznej filmu.

— Brzmi wspaniale — powiedział Kenny.

— To był dobry tydzień — uznała z dumą Delilah. — Opracowałam też kampanię promocyjną dla *Policeville* z udziałem firmy produkującej blokadę, to zabezpieczenie przeciwko złodziejom samochodów zakładane na kierownicę. Pokazałam im scenariusz, a oni odnieśli się entuzjastycznie do pomysłu współpracy. Bo to urządzenie odgrywa istotną rolę w fabule filmu.

— Aha. No to do zobaczenia, Delilah — powiedział Kenny, gestem pokazując, że na nas już czas.

Kiedy zjeżdżaliśmy windą, Cheryl próbowała uchwycić spojrzenie Kenny'ego, ale ten patrzył uparcie przed siebie.

— Delilah musi mieć wczesną wersję scenariusza — oznajmiła w końcu nerwowo, ale jedynym komentarzem Kenny'ego było zwięzłe „Aha”.

Pożegnałam się z nimi na rogu i ruszyłam w stronę stacji metra.

— Kiepski dzień, Karen? — spytał portier, wpuszczając mnie do naszego domu.

— Właściwie nie. — Bo, uwzględnivszy wszystko, to nie był zły dzień. Pomimo tego, co się wydarzyło, nie zauważyłam w marketingu oznak wojny psychologicznej, jaka nieustannie toczyła się w moim poprzednim dziale. Kiedy weszłam do mieszkania, wrzuciłam spodnie do śmieci i wzięłam prysznic, starannie wyczesując z włosów drobiiny styropianu. Właśnie zdążyłam włożyć dzinsy i sweter, kiedy pojawiła się Ellen.

— Wcześniej dziś wróciłaś.

— Wygląda na to, że praca w dziale marketingu nie zajmie mi tyle wieczorów i weekendów co praca w public relations.

— A propos. Przejrzałam dziś twój kontrakt i nie pozwolę ci go podpisać.

— Dlaczego?

— Bo jest zupełnie szaleńczy. Odbiera ci wszelkie prawa.

— Wydaje mi się, że dali mi do podpisania taką samą umowę jak wszystkim innym.

— Bardzo możliwe, ale to nie zmienia faktu, że jest niewłaściwa. Przefaksowałam ją nawet koleżance ze studiów prawniczych, która specjalizuje się w umowach o pracę, i ona powiedziała, że ten kontrakt jest wstrząsający.

— Co w nim jest takiego wstrząsającego? — Myślałam, że prawników może przestraszyć najwyżej jakaś łacińska terminologia, ale nie zwykli ludzie.

— No cóż, wszystko sprowadza się do tego, że gdy odejdziesz z Glorious, nawet jeśli oni sami cię wyrzucą, nie będziesz mogła pracować dla konkurencji.

— Ellen, żaden z naszych konkurentów nie ma centrali w Nowym Jorku. A ja nie zamierzam przenosić się do Los Angeles, żeby pracować dla któregoś z pozostałych wytwórni. Interesuje mnie Glorious.

— Być może, ale rzecz raczej w tym, jak oni definiują konkurencję. Wymieniają bardzo długą listę obejmującą dziedziny, w których w ogóle z nikim nie konkurują, i tłumaczą to tym, że planują rozszerzyć swoją działalność również w innych kierunkach.

— Jak i te dziedziny?

— Na przykład telewizja. Nie mogłabyś wrócić do CNN, nawet gdyby chcieli cię ponownie zatrudnić. Czy pójść do jakiegokolwiek innej sieci, a to byłaby wielka szkoda, bo masz w swoim życiorysie kilka lat niezłego doświadczenia na tym polu.

— Aha. — Ellen ciągle nie wybaczyła mi odejścia z CNN.

— Nie możesz pracować w żadnych wydawnictwach... gazet, czasopism czy książek. Ani w żadnej firmie należącej do spółki konkurującej ze spółką macierzystą Glorious.

— Możesz powiedzieć po ludzku?

— Większość firm, włącznie z Glorious, jest własnością jakiegoś dużego koncernu. I nie przychodzi mi na myśl taki, którego przynajmniej jedna gałąź działalności nie konkurowałaby z czymś, co jest specjalnością koncernu, do którego należy Glorious.

To nie wyglądało dobrze. Firma, która kilka lat wcześniej nabyła od Waxmanów Glorious Pictures, była ogromna i swoimi niezliczonymi mackami sięgała na tym świecie praktycznie wszystkiego, czego się słucha, co się ogląda, je, kupuje, a nawet o czym się myśli. Stanowiła sama w sobie mały świat. Mówiło się, że większości Amerykanów, czy im się to podoba czy nie, trudno byłoby przeżyć jeden dzień, nie robiąc czegoś, od czego nie brzęknęłaby kasa tej firmy.

— Mówiąc krótko, gdybym odeszła z Glorious, to jedy-
nym, co zgodnie z prawem mogłabym robić, byłoby sma-
żenie hamburgerów?

— Nawet tego nie. Zaznaczyli w kontrakcie, że skoro
Happy Meals i im podobne produkty często pojawiają się
w filmach, to punkty gastronomiczne też są wykluczone.

To było straszne. Opadłam ciężko na kanapę.

— Więc co mogę zrobić? — jęknęłam.

— Może założyć warsztat garncarski? Zostać przedszko-
lanką? Zrobić magisterium z czegokolwiek?

Nic z tego nie brzmiało szczególnie interesująco.

— Czy ta klauzula o konkurencji jest bezterminowa?

— Nie, obowiązuje tylko dwa lata, ale w tym punkcie

kariery zawodowej, w jakim właśnie się znajdujesz, dwa lata to bardzo długo.

— Ellen, nie miałam o tym pojęcia.

— To oczywiste. Jest tutaj paragraf, w którym zabraniają każdemu, kto jest związany z Glorious kontraktem, omawiania z kimkolwiek jego zawartości.

— Myślisz, że mogłabym coś zrobić? Wy, prawnicy, lubicie negocjować.

— J e s t jedna rzecz, która może coś dać. Nie planujesz w najbliższym czasie odejść z Glorious, prawda? — spytała Ellen. Pokręciłam głową, choć ostatnio byłam tak zaafektowana przejściem do marketingu, że w ogóle nie myślałam o tym, kiedy kończy się ten narzucony przeze mnie samą roczny okres próbny. — Cóż, widywałam wcześniej takie „przeciwkonkurencyjne” klauzule, tyle że na ogół dotyczyły ludzi na dużo wyższych stanowiskach. W ten sposób firma chroni się przed kimś, kto mógłby przyjść, poznać tajniki jej funkcjonowania, a potem zbiec do konkurencji. Pierwszy raz widzę kontrakt, w którym zabrania się przejścia do konkurencji pracownikowi, którego się wywali. Podejrzewam nawet, że jest to niezgodne z prawem.

— Naprawdę? Bo ja w żadnym razie nie zamierzam odejść, szczególnie teraz, kiedy zaczęłam pracę w marketingu. — Uspokoiłam się. Jak zwykle Ellen ratowała sytuację.

— Jutro porozmawiam o tej klauzuli z kimś z waszego działu prawnego. Miejmy nadzieję, że ją po prostu usuną.

— A jeśli nie?

— To uważam, że nie powinnaś podpisywać. Bo jeśli podpiszesz i złamiesz tę klauzulę, mogą cię zaskarżyć.

— Czy przypadkiem nie powiedziałaś, że jest ona niezgodna z prawem?

— Jeśli się na nią zgodzisz, to znaczy, że przyjmujesz zawarte w niej warunki. Dlatego właśnie nazywają to kontraktem.

Wykorzystując powiedzonko Phila: to było do dupy. Wydawało mi się, że ledwie zahaczyłam się przy pracy, którą chciałam wykonywać, od razu pojawiła się groźba, że coś mi ją odbierze.

Nazajutrz siedziałam w swoim gabinecie i wpatrywałam się w okropne tekściki, jakie napisałam do *Pomadki ochronnej*. Wpadł Kenny z najnowszymi plakatami do *Klubu 86*.

— I co? — zapytałam. Plakaty, który trzymał w ręku, ukazywały twarze czterech głównych postaci filmu w metalicznej obwódce w kształcie gwiazdy.

— Za każdym razem, kiedy dokonujemy zmiany zgodnie z życzeniem kogoś z aktorów, trójka pozostałych musi tę zmianę zatwierdzić. W tej rundzie sprawa ma się następująco: Henry Hauser, najbardziej znany z całej obsady, powiedział, że w pierwszej wersji miał za dużą głowę. Pozostali nie mieli uwag. Zatem zmniejszyliśmy jego głowę o jakieś dwa milimetry na całym obwodzie. Prawdę mówiąc, osobiście nie widzę różnicy. — Kenny bębnił palcami o futrynę drzwi. — Kiedy dokonaliśmy tej drobnej zmiany, ponownie musieliśmy wysłać plakat do całej czwórki. Henry zatwierdził, podobnie jak Frankie Braden i Brie LaDoux. Natomiast Tamara Traynor orzekła, że teraz jej twarz, obok głowy Henry'ego, wygląda na zbyt puciołową.

— I co zamierzacie zrobić?

— Każemy działowi graficznemu zwęzić jej twarz, chociaż ta kobieta i tak już z natury jest dość wychudzona. A potem wykonamy kolejną rundkę, z nadzieją, że bę—

dzie ostatnia — powiedział i utkwiał wzrok w suficie, jakby stamtąd oczekiwał pomocy.

Pokiwałam ze współczuciem głową i pożałowałam się, że utknęłam przy sloganie na plakat *Pomadki ochronnej*. Zaproponował spotkanie z projektantem z działu graficznego, przypisanym do tego przedsięwzięcia.

— Ci faceci są na ogół dobrzy w szybkim ruszaniu spraw z miejsca — powiedział. Przysłał mi mailem listę mających wejść na ekrany filmów *Glorious* wraz z nazwiskami przypisanymi do każdego z nich grafików. Przy *Pomadce ochronnej* i reszcie filmów mnie przydzielonych figurował niejaki James Bartholomew.

Dział graficzny przeprowadził się niedawno do budynku odległego o kilka przecznic od głównego biura *Glorious*. Firma szybko się rozrastała, a kolejne miejsca zajmowane przez nią na terenie TriBeKa tworzyły układ przypominający szprychy odchodzące od piasty, jaką była kwatery główna. Weszłam do środka i natknęłam się na kobietę z najeżonymi, ufarbowanymi na pomarańczowo włosami.

— Cześć. Szukasz kogoś?

— Jamesa Bartholomewa.

— J a m e s ! — wrzasnęła.

Mężczyzna siedzący w wysokim fotelu na kółkach śmignął w moim kierunku i wysuwając stopę, zahamował sprawnie kilka centymetrów ode mnie. James był Afro—amerykaninem, miał jakieś dwadzieścia dwa lata i najmniejsze okulary, jakie w życiu widziałam... źrenice były większe od szkieł. Spoglądał na mnie ponad tymi okularkami, kiedy mu się przedstawiałam.

— A tak, Kenny mówił mi o tobie. Jesteś tym nowym

nabytkiem działu marketingu i masz pracować nad filmikami Tony'ego. Dlaczego on nie może sobie znaleźć kobiety, która jest nie tylko seksowna, ale jest także dobrym filmowcem? Obejrzałaś już jakieś?

— Tylko jeden. *Pomadkę ochronną* — odparłam. — Niewiele się w nim dzieje. Opowiada o pomadce i całym szeregu właścicielek, jakie miała w czasie swojego istnienia. Jedną ją gubi, inną znajduje, ktoś pożyczka i nie oddaje, takie tam.

— Jak to się kończy?

— Ktoś ją zostawia na desce rozdzielczej auta, w Houston, a ona się rozplywa w zwolnionym tempie.

— Chyba żartujesz.

— Nie sądzę, żebym umiała coś takiego wymyślić.

— No dobrze, a kto tam gra? Jest w nim coś artystycznego?

— Prawdę mówiąc, nikt nie gra. Wszystko ukazane jest z punktu widzenia pomadki.

James odrzucił głowę do tyłu i zawył.

— Proszę cię, proszę, powiedz, że to kawał — powiedział, z trudem łapiąc powietrze. — Myślisz, że to może być jakaś alegoria?

Przekazałam mu swoje teorie na temat tego filmu, dodając, że żadna nie wydaje mi się tak do końca do niego pasować.

— Czasami film o pomadce jest po prostu filmem o pomadce — oświadczył James, trochę jakby recytował jakąś formułkę zen. — A do nas należy zainteresowanie nim ludzi.

— Z tego, co wiem, nikt nie oczekuje, że ten film przyniesie jakieś zyski. Kenny i Cheryl powiedzieli, że musimy go wyświetlić tylko dlatego, że trzeba dotrzymać zobowiązań.

— Być może. Jednak dla ciebie i dla mnie ten plakat stanowi część naszej pracy — oznajmił. Nie myślałam o tym w taki sposób, ale facet miał absolutną rację. Zaproponował, żebym w czasie, kiedy będziemy szukać natchnienia, przejrzała sobie kilka albumów ze starymi plakatami filmowymi. — Wymyśliłaś jakieś haselko? — spytał.

Przekazałam mu kilka swoich żalonych tworów.

— Masz rację, te się nie nadają. Być może projekt plastyczny pomoże ci coś wymyślić.

— J a m e s, spójrz na to! — zawołałam, podsuwając mu książkę.

— Może rzeczywiście coś z tego się przyda — powiedział, przyglądając się pilnie fotografii.

Znalazłam zdjęcie pierwszego oryginalnego plakatu do *Rocky Horror Picture Show*, tego z ustami.

James zaczął szkicować.

— Ten plakat *Horroru* miał specyficzny koloryt filmu grozy... no wiesz, krwistoczerwone usta, bielutkie zęby, czarne tło. My moglibyśmy wykorzystać paletę kolorów z południowego zachodu, żeby usta nie kojarzyły się z transwestytyzmem.

Pogadaliśmy jeszcze jakiś czas, po czym James powiedział, że do popołudnia następnego dnia będzie miał gotowe projekty. Wróciłam do biura, żeby spróbować napisać jakiś przyzwoity slogan. W skrzynce głosowej czekała na mnie wiadomość od Geraldine, którą postanowiłam zignorować. Ponownie obejrzałam filmik.

„Te usta mają coś do powiedzenia”.

„Sza. Mamy dla ciebie tajemnicę”.

„Poczekaj, aż usłyszysz naszą opinię”.

Nie podobał mi się żaden z nich, chociaż miały w sobie więcej ikry niż te, które wymyśliłam wczoraj.

Zadzwoił telefon.

— Karen, musisz podpisać kontrakt i zwrócić go nam, w przeciwnym razie nie dostaniesz w piątek czeku z wyplatą — oznajmiła Geraldine.

— Moja prawniczka — podobało mi się brzmienie tych słów — miała kilka pytań. Zamierzała porozmawiać dzisiaj z działem prawnym.

Geraldine zachichotała, zupełnie jakbym użyła niewłaściwego sztucца podczas lunchu w wytwornym towarzystwie.

— Żadne kontrakty Glorious nie podlegają negocjacji, ale jeśli twoja prawniczka ma ochotę marnować swój czas i twoje pieniądze, to proszę bardzo. — Roześmiała się ponownie, tyle że tym razem przypominało to rechot, i rozłączyła się.

— Pomadka zaraz się rozmaże. — To było to! Moje fantazjowanie na temat zemsty, jaką zgotuję Geraldine, natchnęło mnie do wymyślenia najlepszego jak dotąd sloganu. Wysłałam go mailem do Jamesa, który natychmiast przysłał odpowiedź. „Świetne!”

Była już prawie czwarta, a ja dopiero przypomniałam sobie o jedzeniu. W kolejce w delikatesach stała przede mną Delilah, która, zobaczywszy mnie, poprosiła, żebym dotrzymała jej towarzystwa. Usiadłyśmy.

— I jak się przedstawia sprawa z producentem blokady? — zapytałam.

— Są gotowi do współpracy. Nie przypuszczam, żeby ktoś wcześniej zaproponował im coś takiego, ale to była wyjątkowa okazja. A teraz będziemy mieli swoje plakaty prawie w każdym sklepie z częściami samochodowymi

i artykułami żelaznymi w całym kraju. Właśnie tam zobaczy je potencjalna publiczność.

— Wygląda mi to na strzał w dziesiątkę. Gratuluję.

— Tak naprawdę gratulacje należą się tobie, Karen, za to, że wyrwałaś się z public relations.

— Dziękuję. Bardzo potrzebowałam zmiany. Każdego dnia było mi coraz trudniej zwlec się z łóżka, żeby pójść do pracy.

— Te kobiety potrafią być bardzo męczące — oświadczyła Delilah. — Wiesz, jak to bywało na letnich obozach, gdzie zawsze jeden domek kempingowy zajęty był przez wredne dziewczyska? Wracałaś tam co roku z nadzieją, że tego lata będą dla ciebie miłe. No cóż, teraz widzimy, gdzie ostatecznie wylądowały tamte dziewczuchy.

— O wilku mowa — powiedziałam, kiedy weszła Allegra, kupiła duży pojemnik sałatki z makaronem i wyszła, nie zwracając na nas najmniejszej uwagi.

— To niesamowite. Snuje się po TriBeCe jak duch. Nie żeby dawniej się do mnie odzywała, właściwie tylko podczas tego bałaganu z *Gawronem 2*, w jaki mnie wpakowała — powiedziała Delilah.

— Było mi bardzo przykro.

— Wiedziałam, że to nie twoja wina. Allegra zachowała się wyjątkowo wrednie, potraktowała mnie tak, jakby moja praca była zupełnie nieważna, a umowy, do jakich doprowadziłam, mogła sobie w każdej chwili unieważnić. Zapłacimy za to, kiedy następnym razem będziemy musieli współpracować z tymi rozgłościami i nikt nawet nie zechce ze mną rozmawiać.

Kiwałam ze współczuciem głową.

— Nie miałam pojęcia o tym, co się dzieje, ale wiem, że dla ciebie musiało to być okropne.

— Niestety, wszędzie w Glorious są żmije, nie tylko w public relations. Wiem, że Matt lubi uchodzić za sympatycznego faceta, ale miej się na baczności.

Wróciłam do biura i rozmyślałam nad naszą rozmową. Delilah była pierwszym i w swoim czasie jedynym pracownikiem działu promocji Glorious i od zera stworzyła system konkursów, współpracy z sieciami sklepów, reklam i sponsoringu na poziomie dorównującym największym wytwórniom. A mimo to większość naszych kolegów i koleżanek traktowała ją, jakby była jedynie dawną dziewczyną Tony'ego. Wielokrotnie udowodniła swoją wartość, tymczasem można było odnieść wrażenie, że personel Glorious nie pozwoli nikomu wychylić się poza wyznaczony mu boks. Widziałam już wcześniej, jak źle traktował ją dział public relations, a w krótkiej wymianie zdań z Kennym w windzie wyczułam jego chłód. Rozsądek nakazywał brać pod uwagę jej ostrzeżenie.

James zostawił mi teczkę z projektami *à la Pomadki*, które miałam pokazać Cheryl i Kenny'emu. Ponieważ film pojawi się w kinach tylko przelotnie, aprobaty Tony'ego czy Phila nie była potrzebna. Jeśli projekt spodoba się Kenny'emu i Cheryl, powędruje do Matta, który ostatecznie da mu zielone światło. Kiedy otworzyłam teczkę i zobaczyłam, co stworzył James, oniemiałam z wrażenia. Usta w intensywnym śliwkowym kolorze unosiły się nad pustynią, na której pięknie rozkwitły kaktusy, wokół wznosiły się czerwone skały o wspaniałych kształtach, a piasek o różnych odcieniach wyglądał, jakby się przesypywał z miejsca na miejsce. Błękit nieba wywołał u mnie tęsknotę za wakacjami sprzed lat. Poniżej tłustym drukiem wypisano tytuł filmu, pomadka tworzyła laseczkę na końcu litery „a”, co sprawiało wrażenie, jakby tytuł był wciąż—

gany do mieszczącej sztyft osłonki. Kolor liter mojego sloganu był taki sam jak kolor warg. Przerzuciłam pozostałe propozycje. W sumie James wykonał ich sześć, w każdym przypadku zmieniając kolor ust i liter. Plakat był surrealistyczny, nastrojowy i przykuwał wzrok. Zadzwo- niłam do Cheryl i spytałam, czy mogę jej to pokazać. Kenny pomógł mi przymocować całą szóstkę na ścianie jej gabinetu.

— Ojej, są naprawdę cudowne — zachwyciła się Cheryl.

— Pomadka zaraz się rozmaże... to twoje? — spytał Ken- ny. — Pasuje doskonale. — Wszyscy troje wpatrywaliśmy się w plakaty, Kenny zauważył, że chyba jedna z czcionek jest najwyraźniejsza, a Cheryl zasugerowała, że usta w ko- lorze bardziej malinowym niż śliwkowym „wnoszą więcej żywotności”.

— Co za marnotrawstwo — oświadczył Kenny. — Taki plakat do filmu, którego nikt nie będzie oglądał.

Wzruszyłam ramionami, nie bardzo wiedząc, co powie- dzieć.

— Posłuchaj, Karen — powiedziała Cheryl. — Wiem, że chcesz jak najlepiej i że to twoje pierwsze zadanie i w ogó- le, ale przecież nie możesz wkładać tyle energii i wysiłku w te filmiki.

— Nie sądzę, by ten zajął mi więcej czasu niż którykol- wiek inny — powiedziałam, wyjaśniając, że spotkałam się z Jamesem tylko raz poprzedniego dnia i że on przysłał te propozycje dzisiaj.

— J e s t e m pewna, że istniało prostsze rozwiązanie. — Zobaczyła na mojej twarzy rozczarowanie. — Nie zrozum mnie źle. To doskonały początek. Chodzi tylko o to, że wolałabym, abyś w tym czasie przebrnęła przez jakieś trzy filmy, a nie jeden.

Zadzwoiłam do Jamesa z wiadomością, jak przyjęto jego dzieło, wyraziłam też swój zachwyt niezwykłą urodą plakatów. Nie uważałam za konieczne opowiadać mu o całej reszcie.

Zapikała moja skrzynka odbiorcza, to Geraldine znowu dopytywała się o kontrakt. Wymazałam wiadomość i wysłałam e—maila do Ellen, pytając, czy udało jej się coś osiągnąć. Zaczęłam też pisać e—maila do Clarka o moim najnowszym spotkaniu z Allegra, ale doszłam do wniosku, że szkoda mojego czasu. Zamiast tego zaproponowałam jemu i Robertowi, żebyśmy któregoś wieczoru wyskoczyli w trójkę po pracy na drinka. Podniosłam wzrok i zobaczyłam w drzwiach Cheryl.

— Wieczorem idziemy na specjalną projekcję *Policeville*, będziemy sprawdzać reakcję publiczności. Masz ochotę się przyłączyć?

— J a s n e .

— To multikino w New Jersey. O szóstej przyjeżdża samochód po mnie i Kenny'ego, z tym że mamy mnóstwo spraw do obgadania. Zamów więc może auto dla siebie, a moja asystentka wydrukuje ci, jak tam trafić.

— W porządku. Do zobaczenia na miejscu.

Cheryl zamrugła, kiwnęła głową i poszła. Zadzwoiłam do biura wynajmu samochodów, tego samego, z którego usług korzystałam, kiedy pracowałam dla Allegry. Dyspozytorka rozpoznała mnie po głosie.

— Karen, co się z tobą działo? Martwiłam się o ciebie — zawołała. Powiedziałam jej o zmianie pracy i zamówiłam auto. — A, tak, znowu *testujecie Pohcevilik*. To już czternaście raz. Ciekawe, co jest z tym filmem nie tak?

Dyspozytorka wiedziała na ten temat więcej ode mnie. Słyszałam jednak, że *Policeville* ma potencjał. Grała w nim

cała plejada gwiazd, włącznie z Eddiem di Silva, Fly Facionem i Marvinem Fischellem, którego fascynacja biustami doprowadziła do mojego zatrudnienia w Glorious. Phil montował i przemontowywał film w nadziei poprawienia wyników testów. W pewnym momencie pozwolił nawet reżyserowi, żeby sprawdził rezultat jego montażu. Phil już dawno zasłużył na przydomek „Philminator”, ponieważ niektórzy reżyserzy twierdzili, że tnie filmy tak zamasyście, jakby używał kosy.

Zatrzymałam się u Belindy, żeby się przywitać i wziąć kilka gazet i czasopism na drogę do New Jersey. Spytała, jak mi się podoba w marketingu.

— Podoba. Zupełnie jakbym używała innej części mózgu.

— Brawo — ucieszyła się. — Dobrze, że się wyrwałaś.

W czasie jazdy do New Jersey rozłożyłam się na tylnej kanapie, przeglądałam czasopisma i zastanawiałam się nad swoją nową działalnością. Miałam nadzieję, że właściwie ją pojmuję. Matt przysłał mi e-maila z informacją, że jeszcze nieprędko wróci z Los Angeles. Nadal nie odpowiedział na moją wiadomość, a ja tymczasem koniecznie musiałam z nim porozmawiać o kontrakcie. Cheryl i Kenny byli sympatyczni, ale żyli w takim napięciu, że nie chciałam zwracać im głowy pytaniami. Tego ranka zadzwonił agent Frankiego Bradena i powiedział, że po zmniejszeniu głowy Henry'ego i wyszczupieniu twarzy Tamary Frankie uznał, że jego grdyka „zdominowała” cały plakat. „Naprawdę nie wiem, jak to możecie poprawić”, dodał bardzo pomocnie agent. Tony podsunął pomysł, żeby „poderznąć mu całe pieprzone gardło”, po czym ostatecznie jednak postanowił się dowiedzieć, „który z genialnych prawników dopuścił do tego, że trzeba pokazywać cztery cholerne beztalencia na jednym obrazku”. Miałam

nadzieję, że to ten sam prawnik, który przygotował mój kontrakt... spotkanie z Tonym na pewno by go zmięczyło.

Zanim spotkałam się z Cheryl i Kennym w holu kina, kupiłam sobie prażoną kukurydzę i dietetyczną colę. Zasiadliśmy wszyscy troje w fotelach, a przed nami usadowił się reżyser i Phil ze swoimi asystentkami po bokach. Wszyscy pracownicy Glorious mieli notatniki z przymocowanymi lampkami. Zapisałam sobie w pamięci, żeby rano zamówić coś takiego dla siebie.

— Mam nadzieję, że nie wzięłaś coli z lodem — powiedział Kenny, poklepując się rytmicznie po kolanie.

— Owszem, a dlaczego?

— Bo jak Phil usłyszy, że ci grzechocze w kubku, nie omieszka cię o tym poinformować. Głośno.

Wstałam i poszłam do bufetu, gdzie wymieniłam napój na jego cichszą odmianę. Kiedy wróciłam, Kenny wyjaśnił mi, że po seansie wszyscy widzowie wypełnią kwestionariusze z pytaniami dotyczącymi obejrzanego obrazu — zakończenia, różnych postaci i kilku kluczowych momentów. Potem jakieś dwadzieścia wcześniej wyznaczonych osób pozostanie na miejscu i zostanie poprowadzona dogłębna dyskusja. W nocy rezultaty z kwestionariuszy zostaną podliczone, a dyskusja spisana z taśmy. Rano Phil, Cheryl i Kenny spotkają się z reżyserem, żeby omówić wyniki.

Nawet po zgaszeniu świateł asystentki Phila, z telefonami komórkowymi przyciśniętymi do uszu, wychodziły z sali i wracały, ciągle kręciły się w tę i z powrotem. Trzy kwadranse po rozpoczęciu seansu w przejściu pojawił się posłaniec z Domino. Rozglądał się, dopóki nie zobaczył, że jedna z asystentek przywołuje go gestem. Wręczyła mu pieniądze, a Philowi przekazała pudełko z pizzą, którą ten

pochłonał w parę minut; potem zwinął kartonik, nadając mu kształt pałki policyjnej.

W którymś momencie filmu Marvin Fischell, grający policjanta, dopada dwóch złoczyńców zabierających się do kradzieży samochodu. Oprychy biją go bezlitośnie. Ostatnie ciosy zadają metalowym drągiem, w którym rozpoznaję... blokadę! Wargi Marvina stają się miazgą, traci większość przednich zębów, najwyraźniej ma też zgruchotaną żuchwę. Tymczasem Phil siedzi sobie przed nami i macha kartonową pałką w idealnym rytmie z każdym uderzeniem, obsypując okruchami pizzy trzy rzędy widzów, nie wyłączając Cheryl, Kenny'ego i mnie.

W drodze powrotnej myślałam o tej okrutnej scenie z udziałem blokady. Jak, na Boga, Delilah udało się uzyskać zgodę tamtej firmy na tego rodzaju reklamę? Potem przypomniałam sobie, że ona nie widziała tego filmu, co oznaczało, że oni też go nie oglądali. To chyba nie było w porządku.

Nazajutrz James dostarczył mi gotowy już plakat do *Pomadki*, który Cheryl miała zaaprobować. Cheryl i Kenny byli właśnie na spotkaniu z Philem i reżyserem *Policeville*, więc włożyłam go do jej poczty przychodzącej i zabrałam się do oglądania *Uroczego sępa ścierwojada*, żeby dość szybko stwierdzić, że jest jeszcze mniej wart od *Pomadki*. Nie mogłam się zorientować, o co w nim chodzi, dopóki nie wyczytałam w wycinkach prasowych, że Vallahalla Bounty, reżyserka i scenarzystka filmu, była Maskotką „Penthouse'a” na sierpień 1985 roku. Zatem to było osnową filmu.

Puszczanie pozostałych filmów w przyspieszonym tempie i czytanie notatek prasowych ukazało moje zajęcie we właściwych proporcjach. Każdy kolejny filmik okazywał

się mniej zajmujący od poprzedniego, kilka robiło wrażeń nie niedokończonych czy ledwie rozpoczętych. Teksty dołączone do każdej taśmy poruszały tak ambitne kwestie, jak „triumf nad przeciwnościami”, „poszukiwanie sensu życia”, a w kilku miejscach zasugerowano, że filmy są „alegorią naszych niespokojnych czasów”. Niezależnie od zamierzeń twórczyń, ich dzieła były tak beznadziejnie mętne, że trudno było przypasować teksty do konkretnych filmów. Ułożyłam kasety wideo, pakiety informacyjne i fotografie na biurku z nadzieją, że uda mi się zaprowadzić porządek w tym chaosie.

Wtedy zadzwonił telefon. Była to Ellen w bardzo bojowym nastroju.

— To niewiarygodne towarzystwo — zaczęła. — Co za tupet.

— Co się stało?

— Rozmawiałam z prawnikiem z Glorious, tym, który sporządził twój kontrakt. Powiedział, że jeśli nie podobają mi się zawarte w nim warunki, to on bez najmniejszego trudu znajdzie jakąś drugą Karen Jacobs.

— To dziwne. Nawet nikogo nie znam w dziale prawnym.

— Oświadczyłam mu, że nie jesteś towarem barterowym i w żadnym razie nie wolno cię tak traktować.

— Barterowym?

Ellen westchnęła.

— Zamienialnym, wymiennym. Czymś, czym na pewno nie jesteś.

— To zupełnie bez sensu. Myślałam, że chcę, żebym tu pracowała.

— W tym się objawia ironiczny charakter tego rodzaju umów. Oferują ci pracę, ale uniemożliwiają zgodę na warunki.

— Zapytam Matta, swojego szefa, czy nie mógłby mi jakoś pomóc.

— Zrób tak, proszę. Mnie już brakuje pomysłów — powiedziała i rozłączyła się.

Zostawiłam wiadomość u asystentki Matta z prośbą, żeby do mnie zadzwonił, zamknęłam oczy i wsunęłam rękę w sam środek stosu kaset, przyrzekając sobie pracować nad filmem, który przypadkowo wyciągnę. *Obrońca kieszonkowy*. Włożyłam taśmę do odtwarzacza i zaczęłam oglądać, robiąc notatki na temat obrazów i wątków, które mogłyby okazać się przydatne przy projektowaniu plakatu.

Wpadła Cheryl i powiedziała mi, że afisz *Pomadki* został zaaprobowany przez wszystkich, których aprobata była potrzebna. Kolejnym etapem był nadzór Jamesa nad ich „drukowaniem” w Kinko, po czym miałam wysłać twórczyni filmu należne jej egzemplarze.

Zadzwoniłam do Jamesa i przekazałam mu dobre wieści. Powiedział, że do połowy tygodnia plakaty będą gotowe, więc ustaliliśmy termin naszego następnego spotkania, podczas którego mieliśmy omówić pozostałe filmy.

Ponieważ ani Clark, ani Robert się nie odezwali, zadzwoniłam do nich i zostawiłam wiadomość w poczcie głosowej. To milczenie było zupełnie nie w ich stylu. Zadzwoniłam do Elliotta, nie zastałam go w biurze, ale nie zdecydowałam się zostawić mu wiadomości. Nie miałam z nim kontaktu od tamtej randki sprzed kilku tygodni i nie wiedziałam, jak to z nim jest, czy z nami obojgiem, czy jak to tam było. Jednak kiedy sobie przypomniałam, z jaką miną mnie całował, zupełnie się rozpraszalam i było mi trudno znów się skoncentrować.

Metodycznie przechodziłam od jednego z tych nieszczęs—

nych filmików do drugiego, przygotowując dla każdego jakiś slogan i sugestie dotyczące plakatu. Cała ta praca zajęła mi cztery dni, a kiedy już ją skończyłam, spotkałam się z Jamesem i przedyskutowaliśmy z nim pomysły na jedenaście projektów. Obiecał wykonać je szybko, po czym pokazał mi gotowe już plakaty do *Pomadki ochronnej*. Mimo że wydrukowane w Kinko, a nie w prawdziwej drukarni, były oszałamiające.

Kiedy chciałam wysłać e—maila do Matta z informacją, że plakaty są już gotowe, ze zdziwieniem odebrałam wiadomość od Vivian. Przeczytałam ją dwa razy, nie wierząc własnym oczom. Były to bowiem ni mniej, ni więcej tylko przeprosiny.

Pragnę cię przeprosić za skandaliczny sposób, w jaki czasami cię traktowałam. Fakt, że wszyscy wykonujemy niezwykle stresującą pracę, nie usprawiedliwia mojego złego zachowania. Mam jedynie nadzieję, że w przyszłości pozwolisz mi okazywać sobie szacunek i uprzejmość, na jakie zasługujesz.

Z poważaniem,
Vivian Henry

Chwyciłam słuchawkę telefonu i zadzwoniłam do Clarka.

— Co też, do diabła, wstąpiło w Vivian? Właśnie dostałam od niej przedziwne, płynące z głębi serca przeprosiny.

— Pewnie należałoby spytać, co wstąpiło w jej e—maile — odparł Clark. — Wszyscy w firmie to dostali, włącznie z Philem i Tonym, a Vivian jest jak oszalała. Mówi, że nic takiego nie wysyłała. Co gorsza, połowa firmy odpowiada na te e—maile, że z radością jej wybaczą i puszczają wszystko w niepamięć.

W tym momencie przez telefon Clarka doszedł mnie wyraźny głos Vivian.

— To beczelność sądzić, że mogłabym kogokolwiek przeproszać. Niby dlaczego? Za co? Uważają, że jestem im coś winna? Dowiem się, kto to zrobił i... — Clark znów się odezwał, zagłuszając resztę przemowy Vivian.

— Zabawne — mówił — ale i niesamowite. Bo jeśli nie ona to rozesłała, to kto?

Rozłączyłam się i próbowałam stworzyć listę ewentualnych podejrzanych, ale bez powodzenia.

Poszłam do Kenny'ego i Cheryl, żeby pokazać im plakaty do *Pomadki ochronnej*. Rozmawiali o e-mailu Vivian.

— Mogła przeżyć jakąś sytuację, w której otarła się o śmierć — mówił właśnie Kenny, kiedy wchodziłam do gabinetu. — Taki wstrząs może czasem odmienić człowieka. — Pozwoliłam mu cieszyć się tymi domysłami. Pokazałam plakaty i zapewniłam, że już za kilka dni będę miała projekty plakatów do pozostałych fdmów.

Oboje robili wrażenie czymś zaabsorbowanych, nawet nieco apatycznych. Z początku złożyłam to na karb nieobecności Matta, który często pełnił funkcję buforu pomiędzy nimi a braćmi. Bez niego narażeni byli na pełną moc wściekłości Waxmanow, nabuzowanych w tej chwili ciągle niezadowolającymi wynikami testów *Policeville* i kampanią na rzecz *El Lechero* wśród członków Akademii, która urosła do maniakalnych rozmiarów tamtej przedświątecznej akcji. Przynajmniej gotowy był wreszcie plakat do *Klubu 86*, dzięki temu, że Photoshop skrócił szyję Frankiego, umieszczając podbródek tuż nad mostkiem. Po obejrzeniu Harry'ego ze skurczoną głową, Tamary z wymizerowaną twarzą i Frankiego bez szyi Brie doszła do wniosku, że jedynie ona wygląda w tej grupie nor—

malnie, i bez zbędnych korowodów wyraziła swoją aprobatę.

Mimo to wyczuwałam, że zainteresowanie Kenny'ego i Cheryl moją osobą osłabło: teraz, kiedy kończyłam już pierwsze wyznaczone mi zadanie, wydawali się nie wiedzieć, co dalej ze mną począć. W ostatniej naszej rozmowie Cheryl powiedziała, żebym jej przypomniiała o wpisaniu mnie na listę osób informowanych o spotkaniach, po czym bezskutecznie prosiłam ją o to kilka razy.

Zostawiłam Mattowi kolejną wiadomość dotyczącą mojego kontraktu, jako że Ellen zrezygnowała z prób wprowadzenia do niego jakichkolwiek zmian. Chciałam tylko przed podpisaniem go porozmawiać z Mattem. Geraldine wydzwaniała do mnie średnio trzy razy dziennie i, tak jak zagroziła, rzeczywiście nie dostałam czeku z wypłatą. W poprzednim dziale byłam nieustannie nękana, tu czułam się, jakbym była niewidzialna. A gdybym tak zamknęła drzwi swojego gabinetu na głucho, czy Cheryl i Kenny w ogóle by to zauważyli?

Ostatni seans filmowy

Marketing ma się tak do public relations jak psychiatria do psychologii, pomyślałam, gratulując sobie takiego błyskotliwego porównania. Analizowałam wyniki testu *Policeville*, które pokazywały, że kilka dokonanych we właściwych miejscach cięć montażowych zwiększało procent widzów mówiących „poleciłbym ten film koledze” do 80 w porównaniu z 72 procentami uzyskanymi podczas seansu, na którym byłam w ubiegłym tygodniu. Wiedziałam, że na pewno ucieszy to Phila, bo dzień wcześniej zauważyłam w śmieciach notatkę, w której napisano, że te konkretne cięcia to jego pomysł. Z kolei dokument, który właśnie trzymałam w ręce, ktoś zostawił na kopiarce... moi nowi koledzy nadal niezbyt chętnie dzielili się ze mną informacjami i musiałam polegać na własnych sposobach, żeby wiedzieć, co się dzieje w naszym dziale.

Pamiętałam, jak to w public relations musieliśmy kombinować, żeby zorientować się, ile gwiazdek przyzna filmowi recenzent w swojej gazecie, jak to głowiliśmy się, czy zaproszenie na premierę „tylko wtajemniczonych” zwiększy czy zmniejszy zyski ze sprzedaży biletów, i dlatego rozumiałam, że marketing należy niemal do nauk ścisłych. Między tymi dwoma działami różnica była tak oczywista jak między moimi koleżankami z uczelni, które

ukończyły socjologię, a tymi, które wybrały matematykę stosowaną. Można wnioskować, zgadywać i teoretyzować godzinami, a można też przyjąć rzeczywiste rozwiązanie, które się samo nasuwa. Koncepcja taka mnie zadowalała, chociaż mój główny kierunek studiów, jakim były nauki polityczne, w żaden sposób nie pomógł mojej karierze w Glorious. Natomiast w mało prawdopodobnej sytuacji, gdyby Phil czy Tony chcieli znaleźć odpowiednią poprawkę do konstytucji, mogliby liczyć na to, że powiem im, jak się do tego zabrać.

Miło było stwierdzić, że *Policeville* dostaje lepsze oceny... prasa zdążyła poświęcić mu już tyle uwagi, że nikt nie mógł sobie pozwolić na porażkę. Natomiast *Pomadka ochronna* była zdecydowanie mniejszym punktem na obrazie radarowym Glorious. Plakat był gotowy, musiałam więc dowiedzieć się tylko, kiedy i w których kinach film będzie wyświetlany, żeby móc napisać stosowny list do Reby Koronis.

Była to standardowa procedura w przypadku filmu wchodzącego na ekrany. Jeśli chodzi o *Klub 86*, to zarówno filmowcy, jak i obsada oraz wszyscy ich przedstawiciele już dawno dostali plakaty, a mieli jeszcze otrzymać długą listę kin, gdzie wyświetlą ten film w wieczór premierowy, listę, która mogła zawierać tysiące pozycji. W przypadku *Pomadki ochronnej*, która miała być pokazana tylko w jednym kinie w Nowym Jorku i jednym w Los Angeles, nadal czekałam na potwierdzenie, jakie kina wybrano. Chociaż nie znałam Reby, byłam przekonana, że zechce powiedzieć przyjacielom i rodzinie, gdzie wreszcie będą mogli obejrzeć film, który nakręciła kilka lat wcześniej. Za każdym razem kiedy pytałam o to Kenny'ego, zbywał mnie.

— Czemu się tak przyczepiłaś do tego głupiego filmu? — wykrzyknął kiedyś zniecierpliwiony. — Pojawi się i zniknie w ciągu tygodnia, co za różnica, gdzie zrobi klapę?

Dwa razy wysyłałam e—maile do Matta, ale nie otrzymałam odpowiedzi. Gdzie on się po dzie w ał? Chciałam z nim porozmawiać o kontrakcie.

Kiedy plakaty i slogany do Przebojów Tony'ego były gotowe, poprosiłam Cheryl i Kenny'ego o jakąś radę odnośnie do moich dalszych zadań, ale powiedzieli mi, że są „zbyt zajęci”, żeby dać mi coś do roboty, więc spędziłam kilka ostatnich dni na oglądaniu programów świeżo zamontowanej telewizji kablowej. Przerzucałam kanały i zobaczyłam Oprah, która znów wyszczupiała. Zadzwo—niłam na wewnętrzny Dag.

— Właśnie widziałam w telewizji Oprah i pomyślałam o tobie. Dzwoniła?

— Bardzo zabawne. Oczywiście, że nie. Ale odezwała się Allegra.

— I ?

— Zadzwo—niła wczoraj, żeby mnie poinstruować, w jaki sposób można kontaktować się z nią w hotelu, w którym, jak mówi, zatrzymała się w Niemczech, i akurat wtedy ulicą przejechały z okropnym hałasem ze cztery wozy strażackie i syreny słyszałam przez okna i w słuchawce.

— Ale ubaw.

— Owszem. Nie wiedziałam, co powiedzieć, więc spytałam: „Allegra, czy to Schwarzwald się pali?” A wtedy ona się rozłączyła.

— To już przechodzi ludzkie pojęcie.

— Jesz c z e jak — przyznała Dag. — Wiesz, Karen, naprawdę mi ciebie brakuje i to nie tylko dlatego, że Gera—ldine nie znalazła jeszcze nowej asystentki i muszę wszyst—

ko robić sama. Naprawdę dobrze nam się pracowało razem.

— Wiem. Mnie też brakuje współpracy z tobą i z Robertem, i z Clarkiem, chociaż jest w public relations kilka osób, których wolałabym już nigdy nie oglądać.

— Podoba ci się to, co teraz robisz?

— Trudno powiedzieć. Chyba mogłabym to polubić, ale nigdzie nie mogę znaleźć Matta... jeszcze zanim zaczęłam tu pracować, wyjechał do Los Angeles i nie wrócił, a Cheryl i Kenny w kółko powtarzają, że są zbyt zajęci, żeby znaleźć mi coś konkretnego do roboty. Dlatego oglądam Oprah.

— No to wpadnij kiedyś. Ty przynajmniej możesz odejść od biurka — zauważyła.

Rozłączyłam się i ponownie sprawdziłam skrzynkę odbiorczą w nadziei, że znajdę jedną czy dwie wiadomości. Nieustanny zalew poczty elektronicznej z poprzedniego działu zamienił się w wąty strumyczek... poprosiłam nawet Systemy Alejandro, żeby sprawdził, czy moja poczta na pewno działa jak należy. Przyszedł, posprawdzał, co trzeba, i zapewnił mnie, że wszystko jest w porządku. Był koniec stycznia i Abby zakończyła swój projekt badawczy o drugiej nad ranem w ubiegłym tygodniu... tego samego dnia, w którym zaczynał się nowy semestr. Dzwonienie do niej, żeby powiedzieć, jak się nudzę, byłoby marnowaniem jej cennego czasu. Włożyłam płaszcz i kapelusz, szykując się na spacer po TriBeCe. Niemal brakowało mi mojego pozorowanego palenia papierosów... konieczność udawania czegokolwiek została wyeliminowana przez to, że nikt niczego ode mnie nie wymagał.

Planowałam właśnie odwiedzić Belinę i trochę pogawędzić, kiedy w windzie natknęłam się na udręczoną Delilah.

— Możemy chwilę pogadać? — spytała.

Wysłałam za nią z budynku i poszłyśmy cztery przecznice na południe, gdzie stało kilka ławek. Delilah popatrzyła na mnie.

— Wiem, że już ci to mówiłam, ale proszę, obiecaj, że będziesz ostrożna — powiedziała i wybuchnęła płaczem.

— Delilah, co się stało?

— Pamiętasz, jak przed gabinetem Phila natknęłam się na ciebie, Kenny'ego i Cheryl i on zapytał mnie, jak tam promocja firmy produkującej blokadę?

— Tak. I co się stało?

— No więc wiesz, że to wszystko powiązałam... że miała to być największa współpraca promocyjna, jaką kiedykolwiek nawiązaliśmy.

Zagryzłam wargi, przypominając sobie krwawą jatkę, jakiej w filmie dokonano za pomocą blokady.

— Wczoraj puściłam *Policeville* ich dyrektorowi i ten wpadł w furję. Było mi tak wstyd... pierwszy raz oglądałam ten film i miałam ochotę krzyknąć do operatora, żeby przerwał projekcję. Zamiast promocji będziemy mieć proces sądowy. Jeśli nie da się wyciąć tej części filmu, oskarżą Glorious o fałszowanie rzeczywistości.

Coś mi tu nie pasowało.

— Delilah, jak to się stało, że w ogóle się do nich zwróciłaś?

— Przeczytałam scenariusz wiele miesięcy temu, kiedy film skierowano do produkcji. W moim egzemplarzu złodzieje próbują ukraść samochód, ale nie mogą sobie poradzić z blokadą na kierownicy i właśnie wtedy Marvin ich zatrzymuje. Podręcznikowy przykład wykorzystania produktu.

— Więc kiedy nas tamtego dnia spotkałaś przed gabinetem Phila, Kenny już musiał wiedzieć, że to kiepski

pomysł — powiedziałam, a Delilah kiwała energicznie głową. — I nic ci nie powiedział. Co za drań.

— Phil ciągle powtarza, żebym prowadziła więcej akcji promocyjnych, wykorzystując produkty konkretnej marki w filmach, i to wydawało się doskonale pasować. Dla męskiej części widzów auta, gliny, gadzety samochodowe... myślałam, że to wręcz idealne połączenie.

— Teoretycznie tak było — powiedziałam. — I nie ma w tym ani trochę twojej winy.

— Zamierzaliśmy nawet pójść z tym do Wal—Martu — powiedziała żałośnie. — Phil wrzeszczał na mnie przez piętnaście minut i powiedział, że zastanawia się, czy nie wyrzucić mnie z pracy.

To było coś nowego. Czyż Delilah nie była jedną z tak zwanych Przymiarek Tony'ego, z posadą zagwarantowaną do końca życia?

— Och, on nigdy by tego nie zrobił — powiedziałam szybko, choć tak naprawdę wcale nie byłam tego pewna.

— Dobrze wiem, że wszyscy uważają, że skoro kiedyś byłam dziewczyną Tony'ego, to nie można mnie wyrzucić.

— No tak, tak się mówi — przyznałam z pewnym poczuciem winy.

— To nieprawda. Byliśmy jakiś czas ze sobą, może rok, ale ja już wtedy tu pracowałam. I wierz mi, musiałam wywiązywać się ze swoich obowiązków, żeby nie wylecieć.

— Przykro mi. Naprawdę nie wiem, co powiedzieć. To okropne. A ja myślałam, że przechodząc do tego działu, znajdę się w lepszym towarzystwie.

— To zależy, jak na to patrzysz. Te jędze z public relations wrzeszczą i nie owijają w bawełnę. Natomiast Ken—ny i Cheryl z uśmiechem wbijają ci nóż w plecy.

— Będę uważać — powiedziałam, podnosząc się z ławki. —

I daj mi znać, jak to się skończyło. To niedorzeczne, żebyś zbierała cięgi za coś tak głupiego.

Kiedy wróciłam do biura, czekał na mnie e-mail od Geraldine, która po raz dziewięćdziesiąty domagała się zwrócenia podpisanego kontraktu. A ja się ociągałam, bo uparłam się, żeby przedtem porozmawiać z Mattem. Kiedy zaproponował mi przejście do swojego działu, nie miałam pojęcia, że będę musiała podpisywać taki dokument. Rozmowa z nim uspokoiłaby mnie, nie mówiąc już o tym, że podpisanie kontraktu pozwoliłoby mi wreszcie odebrać należność za trzy tygodnie pracy.

Mój wzrok padł na plakaty *Pomadki ochronnej*. Żaden rozgłos nie towarzyszył temu filmowi, więc nikt z mojego dawnego działu nie miał o nim żadnej informacji. Nie pojmowałam, dlaczego Kenny nie może po prostu powiedzieć mi tego, co powinnam wiedzieć, żebym mogła wreszcie wysłać ten cholerny list do Reby, jednak teraz, po rozmowie z Delilah, nie miałam zamiaru nalegać. I gdzie, do diabła, podziewa się Matt, dlaczego nie odzwania ani nie przysyła maili?

Rozgoryczona, zadzwoniłam do Elliotta. Obecnie Page Six mogła okazać się moim najbardziej niezawodnym źródłem informacji o Glorious, a mnie zaczynała już ogarniać rozpacz.

— Karen, co za miła niespodzianka. Dawno się nie słyszeliśmy.

— Odkąd przeniosłam się do marketingu i nie ma żadnych ciekawostek, które mógłbyś ode mnie wyciągnąć — powiedziałam ze śmiechem — pewnie straciłeś zainteresowanie.

— Skądże znowu. Co masz na nogach?

— Adidasy, Elliott. A konkretnie rod laversy. I grube sportowe skarpetki.

— Ty naprawdę wiesz, jak podkręcić faceta.

— A teraz poważnie. Nie zadzwoniłam do ciebie, żeby rozmawiać o swoich stopach. Pomyślałam sobie, że być może posiadasz informację, która może mi się przydać.

— Strzelaj.

— Co wiesz o Matcie Vincencie? Ma rzekomo być moim nowym szefem, tymczasem odkąd tu jestem, przebywa w Los Angeles i nie mogę się doprosić, żeby do mnie ~~o~~ dzwonił czy choćby przysłał maila.

— Więc sądzisz, że on może być w L.A. tak samo, jak Allegra jest w Europie?

— Też już o tym wiesz?

— Wszyscy wiedzą. Nawet nie zawracamy sobie głowy umieszczaniem tej informacji w naszej rubryce.

— Nie, ja myślę, że Matt rzeczywiście jest w L.A. Tyle że to się okazało dla mnie okropnie kłopotliwe.

— No dobrze, Karen. Wygląda to tak. Od kilku dni zajmuję się tą sprawą, ale mam za mało konkretnych informacji, żeby ją potwierdzić. Więc nie dowiedziałaś się o tym ode mnie.

— W porządku.

— Matt Vincent jest w Los Angeles, ponieważ próbuje wymusić na Philu i Tonym renegotjację swojego kontraktu. Chce odejść z marketingu do produkcji i twierdzi, że tak długo będzie siedział na Zachodnim Wybrzeżu, aż zgodzą się go przenieść i zatrudnią kogoś innego jako szefa marketingu. Krótko mówiąc, sam siebie trzyma jako zakładnika, co jedynie w waszej zwariowanej firmie jest możliwe.

— To by wyjaśniało jego tajemnicze zniknięcie. Rzeczywiście, to miejsce jest niewiarygodne.

— A co dostanę za nieoficjalne dostarczenie tej informacji?

— Moją serdeczną wdzięczność.

— Bardziej by mnie zadowolili dłuższa chwila sam na sam z twoim paluszkiem u lewej stopy.

— Z przyjemnością ci to załatwię — powiedziałam, myśląc jednocześnie, o ile większą przyjemność będę czerpać z dobrego chardonnay i ciekawej rozmowy. A potem przypomniał mi się tamten pocałunek, o którym nie przestałam myśleć przez kolejne trzy dni.

Rozłączyłam się, zachodząc w głowę, co mam dalej począć. Czy ktoś mi wreszcie powie, co tu się dzieje? Czy Kenny i Cheryl są moimi nowymi szefami? W tej sytuacji byłam bardzo zadowolona, że nie podpisałam kontraktu, chociaż moja ostatnia wyprawa do bankomatu wykazała, jak bardzo potrzebne mi są pieniądze. Byłam nawet zdziwiona, że zamiast potwierdzenia transakcji nie dostałam kartki z napisem: „Zasil konto”.

Napisałam do Kenny'ego piątego z kolei maila z pytaniem o terminy projekcji filmu Reby. Wiedziałam, że to go zirytuje, ale chciałam mieć czarno na białym, że starałam się działać właściwie. Kenny mógł mieć jakieś ukryte motywy, nie dzieląc się tą informacją z Rebą czy ze mną, a ja nie zamierzałam ponosić konsekwencji jego kombinacji.

Właśnie wcisnęłam „Wyślij”, kiedy zadzwoniła Cheryl. Wybierała się na przedmieścia Filadelfii, żeby przetestować zwiastuny filmów na niczego nie podejrzewających klientach tamtejszego centrum handlowego.

— Karen, tak się cieszę, że cię złapałam — zaczęła. — Tony poprosił mnie, żebym coś dla niego skleciła, a ja byłam zbyt zajęta, żeby to zrobić. Myślałam, że o tym zapomni, ale jego asystentka właśnie mi przypomniała, że to ma być na jutro. Możesz mi pomóc?

— Jasne.

Cheryl wyjaśniła, że Tony chce mieć listę pięciuset fikcyjnych tytułów filmów, stanowiących zapas na przyszłość. Mógłby ich używać do zamiany już istniejących, dopasowywać anglojęzyczne tytuły do filmów zagranicznych, a nawet, jeśli tytuł byłby szczególnie udany, stworzyć wokół niego cały film.

— Karen, daję słowo, jeśli zrobisz to dla mnie, wszyscy się dowiedzą, że to twoje dzieło. Wyciągniesz mnie z tarapatów. Matt, Kenny, a nawet Tony naprawdę to docenią. — Miała taki żaloszny głos, a mnie zależało, żeby w dziale marketingu połączyć swoje nazwisko z czymś innym poza *Pomadką ochronną*, więc się zgodziłam, chociaż oznaczało to całą noc pracy.

— Wygląda to tak: Tony lubi patrzeć na tytuły i wyobrazać sobie, jak będą wyglądały na wielkim afiszu przed kinem — mówiła Cheryl. — Trzeba je więc wydrukować czcionką Helvetica, rozmiar 26, wszystko tłustym drukiem i wyśrodkowane. Przyślij mi plik, jak będzie gotowy — zdążyła dodać, zanim usłyszałam Kenny'ego, który ją informował, że samochód już na nich czeka.

Natychmiast zabrałam się do pracy. Nie czując w sobie iskry twórczej, gapiłam się przez chwilę na własne palce na klawiaturze. Wreszcie pojawił się pomysł.

RĘKA

POWRÓT RĘKI

RĘKA 3: ZEMSTA PALCA

Wyglądało nieźle, a poza tym wiedziałam, że Tony lubi filmy, do których łatwo nakręcić sequel, a najlepiej parę. Wyobraziłam sobie *Rękę* jako komediowy horror, w któ—

rym amputowana ręka terroryzuje piękną kobietę, dziwnym zbiegiem okoliczności zarabiającą na życie jako modelka prezentująca pierścionki i bransoletki.

Włączyłam wiadomości wieczorne w nadziei, że mnie zainspirują, ale nic z tego. Zamówiłam obiad i okazało się to dobrym posunięciem.

TO, CO ZAMÓWIŁA DODATKOWA PORCJA FRYTEK WYKREŚLONE Z MENU

Pomyślałam, że mógłby to być serial o „dziewczyni w wielkim mieście”...gdzie w każdym odcinku występuje dzielna, młoda bohaterka, która traci głowę dla faceta zupełnie nie w jej typie. A raczej tak jej się wydawało!

Trudne zadanie. Nie dziwota, że Cheryl mi je powierzyła. Rozejrzałam się po pokoju, odrzuciłam potencjalny *Komputer kieszonkowy* jako zbyt bliski *Obrońcy kieszonkowego* i uświadomiłam sobie, że nie jest to znowu taki zupełnie dziewiczy teren. *Biuro na tranzystorach*, *Akta Odessy* i *Telefon* wyczerpywały najlepsze tytuły wykorzystujące akcesoria biurowe.

Robiło się coraz później, byłam coraz bardziej zmęczona i nieco rozmarzona.

OPOWIEŚCI KOCA PODUSZKA RANEK PRYZSTOI TRIBECE

Kiedy skończyłam listę, teraz już nie zapominając o uświęconej tradycją zasadzie AS, czyli „asekuruj się”,

dodałam stopkę: „Karen Jacobs/Marketing” i datę. Była czwartą, kiedy przesałam plik e—mailem do Cheryl.

Rano fotokopia listy, bez stopki, leżała na moim krześle. Był do niej dołączony krótki list przewodni do Tony'ego. „Oto kilka tytułów, które wymyśliłyśmy z moją asystentką”.

Ruszyłam do gabinetu Cheryl.

— Słuchaj, jedynym powodem, dla którego śleczalam nad tymi tytułami, była twoja obietnica, że rezultat mojej pracy trafi bezpośrednio do Tony'ego i wszyscy będą wiedzieli, że to ja stworzyłam tę listę.

— Nigdy czegoś takiego nie powiedziałam — oświadczyła z całkowitą obojętnością, jakby zamawiała śniadanie. — A poza tym nie dostarczyłaś mi materiału, który mogłabym mu od ręki przekazać. Kilka tytułów wymagało zmian.

Zniesmaczona, wróciłam do siebie, zatrzasnęłam drzwi i zaczęłam się zastanawiać, co z tym fantem zrobić. Wysłałam maile do Matta i Kenny'ego, bardziej wiedziona odruchem, niż licząc na odpowiedź. Wymęczona całonocnym maratonem wymyślania tytułów, żeby nie wspomnieć o irytacji, zadzwoniłam do Dagney.

— Nie sądziłam, że kiedyś cię o to poproszę, ale czy mogłabym przejrzeć parę twoich czasopism? Nawet mogę ci wydierać wzmianki o Glorious.

— J a s n e , wpadnij, mam cały stos — odparła.

Kiedy wysiadłam z windy na swojej dawnej kondygnacji, zapukałam w otwarte drzwi boksu Roberta. Podniósł wzrok, a kiedy tylko mnie zobaczył, wszedł na krzesło i przemaszerował po blacie biurka, żeby się ze mną przywitać... był to zresztą jedyny sposób, w jaki mógł się poruszać w tej maleńkiej przestrzeni, którą pozostawiła mu Marlene. Uściskał mnie mocno.

— Co porabiasz? — spytałam.

— Ciężko pracuję, żeby odzyskać równowagę. — Prze-meblował swoją dziuplę w taki sposób, że wszystko wi-siało równymi rządkami na ścianach. Na biurku miał trzy pudła pełne segregatorów, które etykietował porządnie za pomocą małego elektronicznego urządzenia.

— Gdzie jest Clark?

— Robi za posłańca Glorii czy coś w tym stylu. Prawie go nie widuję.

— Nad czym pracujesz?

— Nad harmonogramem premier Glorious na następne pięć lat. Wolę być przygotowany. Nigdy nie wiadomo, co człowiekowi spadnie na łeb — oświadczył, a ja byłam nieznośnie świadoma podwójnego znaczenia tych słów.

— Spotkajmy się i pogadajmy — powiedziałam. — Nie chcę ci teraz przeszkadzać.

Miałam zamiar wślizgnąć się ukradkiem do boksu Dag-ney, ale Vivian zauważyła mnie pierwsza.

— Karen, Karen, Karen, już tutaj nie pracujesz. A wszę-dzie są poufne dokumenty. Proszę, nie przedłużaj swoich odwiedzin.

Spojrzałam na Dagney i przewróciłam oczami. Odpo-wiedziała mi tym samym.

— Vivian — powiedziałam — przysięgam, niczego nie widziałam. — Dag podała mi plik czasopism, a mnie uda-ło się zachować powagę i parsknęłam śmiechem dopiero, kiedy znalazłam się za drzwiami oddzielającymi mój dawny dział od reszty. A może chroniących tę resztę, tego nie wiedziałam. Po drodze do windy moją uwagę przykuł półmisek z piramidą kanapek, zdobiący stół w pustej sali

konferencyjnej. Chwycałam kanapkę z żytniego chleba, przełożoną plasterkami pastrami, nie pożałowałam musztardy i dorzuciłam jeszcze na talerz ogórka konserwowego i trochę sałatki ziemniaczanej. Kiedy przywoływałam windę, zdążyłam już pochłonąć trzy czwarte ogórka.

Słyszałam podniesiony głos mówiącej z czystym brytyjskim akcentem kobiety.

— Phil, nie masz najmniejszego pojęcia, jak się prowadzi pieprzone czasopismo, i byłabym wdzięczna, gdybyś zostawił to tym, którzy wiedzą, jak się to robi. W przeciwnym razie nie będę sobie w ogóle zawracała głowy...

Kto, na Boga, mógł sobie pozwolić na to, żeby tak porzycykiwać na Phila? Muszę wysłać Robertowi e—maila i spytać. Drzwi windy otworzyły się i weszłam do środka.

Kiedy wróciłam do siebie, wszystkie drzwi na piętrze były pozamykane... wyglądało tak, jakby nie było ani Ken—nyego, ani Cheryl, ani Delilah, u Matta nic się oczywiście nie działo, choć jego asystentka zerknęła na mnie, kiedy wchodziłam. Położyłam kanapkę na biurku, włączyłam peceta i zalogowałam się, wpisując LLOYDNIEZYJE i myśląc sobie, jak bardzo potrzebuję rozmowy z Abby.

Nic się nie działo, spróbowałam więc jeszcze kilkakrotnie. LLOYDNIEZYJE, LLOYDNIEZYJE. Zadzwoiłam do Systemy Alejandro i chociaż dzwoniłam do niego dziesiątki razy po komputerową pomoc, był to pierwszy przypadek, kiedy odezwała się jego poczta głosowa. A ja już zaczynałam podejrzewać, że on w ogóle nie ma poczty głosowej. Zostawiłam wiadomość i wróciłam do kanapki.

Zadzwoił telefon. Przełknęłam, zanim odebrałam. To był Matt.

— Co słyhać? — spytałam, udając, że nic nie wiem o jego patowej sytuacji z Waxmanami.

— Karen, naprawdę jest mi bardzo przykro, ale muszę z ciebie zrezygnować. Nie ma w tym twojej winy, ale sprawa nie podlega dyskusji.

— Co? — wrzasnęłam. — O czym ty mówisz? Dlaczego, na litość boską, mnie wyrzucasz? — To musiał być jakiś głupi dowcip albo okropna pomyłka.

— Przykro mi, Karen, ale już tutaj nie pracujesz.

— Matt, co się stało? Co się stało? Cokolwiek to jest, na pewno mogę to wyjaśnić! — Serce waliło mi jak młotem, zbielewały kostki zaciśniętej na słuchawce dłoni. — Jestem pewna, że mogę to naprawić. — Mój umysł przewijał wydarzenia ostatnich tygodni w rozpaczliwym poszukiwaniu popełnionego błędu.

— Nie ma co wyjaśniać czy naprawiać. Już cię tu nie ma — oświadczył zupełnie obojętnym tonem.

— Robiłam tu wszystko, o co mnie poproszono. Wszystko!

— Wiem, że tak było. Czasami jednak ponosi się odpowiedzialność za cały zespół.

— Matt, ty nic nie rozumiesz. Staralam się dołączyć do zespołu, ale nikt mnie nie dopuszcza. Wykonuję przedziwne akrobacje, żeby tylko się dowiedzieć, czym mam się zajmować, a nikt nie chce ze mną rozmawiać. Wyłączono mnie ze wszystkiego, informacje czerpię z notatek służbowych wyciągniętych z kosza, a teraz ty mi mówisz, że mam odpowiadać za cały zespół! Możesz mi to wyjaśnić?

Ręce mi się trzęsły, byłam mokra z wysiłku, żeby powstrzymać płacz.

— Chodzi o Rebę Koronis, no wiesz, tę od *Pomadki ochronnej*.

— Owszem, wiem wszystko o *Pomadce ochronnej*. Jestem jedyną osobą, która wie wszystko o *Pomadce ochronnej*.

— No cóż, jechała przez Los Angeles i mijala kino Nu—

art przy Santa Monica i prawie dostała świra, kiedy zobaczyła na afiszu swoją *Pomadkę ochronną*.

— Matt, od tygodni chciałam ją o tym zawiadomić. Mogę ci pokazać e—maile do Kennyego, w których dopytywałam się o nazwy kin, w jakich pójdzie jej film, żebym mogła poinformować Rebę i wysłać jej plakaty. Nie raczył odpowiedzieć.

— Rozumiem i już z nim rozmawiałem. Nikt nie uważa, że to twoja wina.

— To dlaczego zwalnia się mnie? — spytałam i nie potrafiłam już dłużej powstrzymać płaczu.

— Reba się wściekła. Jest teraz w P&Q z agentem, który reprezentuje też reżysera *Perp Friction*, oraz z całym mnóstwem ważnych osób. Agent domaga się, żeby spadła czyjaś głowa, bo tylko w ten sposób pokażemy, że rozumiemy powagę sytuacji. Powiedział Phdowi i Tony'emu, że jeśli tego nie zrobimy, Glorious nie będzie miała szans na to, żeby w jej filmach zagrał któryś z jego talentów.

— A tobie, w nowej roli producenta, niewątpliwie zależy na dobrych stosunkach z tym agentem — rzuciłam tonem przepełnionym goryczą.

Matt odczekał chwilę, nim odpowiedział. Przynajmniej go zaskoczyłam.

— Cóż, Karen, najwyraźniej tak właśnie jest.

— To wspaniale. Doceniam to jak jasna cholera. Wiesz, że od wielu dni usiłowałam się z tobą skontaktować. Dobrze wiesz, że właśnie ten problem usiłowałam rozwiązać. I zatrzymujesz Kenny'ego? Przecież to on uznał, że Reba nie jest na tyle ważna, żeby sobie nią zawracać głowę!

— Kenny ma więcej doświadczenia. Ja już nie będę szefował temu działowi, więc nie możemy sobie pozwolić na utratę jednego z najbardziej doświadczonych pracowników. Przykro mi, Karen, ale muszę już kończyć.

Trzasnęłam słuchawką akurat w tym momencie, w którym w drzwiach pojawiła się Geraldine.

— Zakładam, że Matt ci powiedział — zauważyła.

Skinęłam głową, nie przestając płakać.

— Och, daruj sobie, dobrze? Musisz wypełnić obiegiwkę — oznajmiła, a Harvey wskoczył na mój już były fotel, oparł krótkie łapki na biurku i obwąchał kanapkę.

— Poczekaj chwilkę, skarbie — powiedziała Geraldine, unosząc kromkę chleba i usuwając musztardę jedną z moich serwetek. Po pozbyciu się tej niechcianej przyprawy postawiła talerz przed Harveyem, który natychmiast pochłonął kanapkę. Życzyłam mu, żeby się udławił, kiedy smakołyk będzie się przemieszczać w tym wyjątkowo długim jamnikowym układzie pokarmowym.

Geraldine kazała mi spakować rzeczy osobiste i upewnić się, że nie wzięłam niczego, co do mnie nie należy... było to zresztą niemożliwe, jako że stała nade mną i obserwowwała każdy mój ruch.

— Naprawdę, Karen, nie mam pojęcia, czemu tak się zapłakujesz.

— Wiesz... — Opanowałam się na tyle, żeby móc mówić. — Po prostu podobała mi się ta praca, mimo że dość ciężka, i będzie mi brakowało współpracy z ludźmi, z którymi się tutaj zaprzyjaźniłam. — Miałam na myśli Roberta i Clarka, Dagney i Sabrinę.

— Nie masz tu tak wielu przyjaciół, jak sądzisz — oświadczyła. — Jesteś tylko przypadkiem, z którym ludzie musieli się pogodzić.

Ta uwaga błyskawicznie osuszyła moje łzy. Stałam chwilę bez słowa.

— Skoro rozmawiamy tak szczerze, Geraldine — odezwałam się w końcu — pomyślałam sobie, że ktoś musi ci

wreszcie powiedzieć, że ten rozciągnięty szczur nie zastąpi ci męża. Ostatecznie masz prawo wiedzieć, co ludzie mówią za twoimi plecami.

Byłam już spokojna i rzeczowa.

— Zajmijmy się tą papierkową robotą, która jest dla ciebie taka ważna. Naprawdę nie mam ochoty marnować tu więcej czasu. I na pewno chcesz to — powiedziałam, posyłając jej telefon komórkowy po blacie biurka. Spadł na podłogę i rozleciał się. — Ojej, za wolno myślisz — skomentowałam, zaśmiewając się.

— No cóż, nie podpisałaś kontraktu, więc nie ma rozwiązania umowy o pracę — zaczęła Geraldine. — Co nieco ułatwia mi życie.

— Zapewne — przyznałam. — Ze już nie wspomnę o moim. Nie muszę się stosować do tej kompletnie niezgodnej z prawem klauzuli o zakazie pracy u konkurencji czy tej części kontraktu, która mówi, że nie mogę wytoczyć Glorious Pictures procesu.

— No nie, pewnie nie musisz — przyznała.

— I wiesz co, zobowiązanie do poufności też mnie nie dotyczy — oświadczyłam, patrząc jej prosto w oczy, by dać do zrozumienia, że mówię jak najbardziej poważnie. — Bo, jak sama powiedziałaś, nie podpisałam kontraktu.

— Naprawdę Karen, powinnaś się nad tym dobrze zastanowić. Nie zależy ci chyba na robieniu sobie wrogów w tej branży. — Geraldine wyglądała na wstrząśniętą. Moja uwaga odniosła pożądaný skutek.

— J a ? Wrogów? — roześmiałam się. — Tym się zupełnie nie martwię. — Zabrałam niewielki karton ze swoimi rzeczami i wyszłam z pokoju. Geraldine zjechała ze mną windą i zgodnie ze zwyczajem panującym w Glorious odprowadziła mnie aż do krawężnika.

Imperium kontratakuje

Znalazłszy się na ulicy, próbowałam uspokoić skołataną nerwy, przekładając karton z jednej ręki do drugiej i ocierając oczy. Nie chciałam, żeby ktokolwiek z Glorious widział mnie w takim stanie. Obejrzałam się i zobaczyłam, jak Geraldine stoi ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma i przytupuje jedną nogą. Zatrzymałam taksówkę, posłałam uśmiech Geraldine i zatrzasnęłam drzwi, zabraniając sobie płakać, dopóki nie miniemy Czternastej Ulicy. W pewnym momencie spojrzałam przez okno, żeby sprawdzić, czy już mogę pozwolić sobie na łyzy, kiedy mój wzrok padł na znajomy puchowy płaszcz.

— Proszę się zatrzymać! — krzyknęłam do kierowcy, który zareagował z taką gorliwością, że omal nie przyprawił mnie o uraz kręgosłupa szyjnego.

Rzuciwszy mu podwójną stawkę za przejazd, wyskoczyłam z taksówki.

— Allegro! Allegro Orecchi! — zawołałam. Nie odwróciła się. — Allegro! Allegro! Ja już tam nie pracuję. Odwróć się! — Nadmuchany płaszcz sunął dalej. Zbliżyłam się do niej. — Allegro, Oprah Winfrey do ciebie — powiedziałam modelowanym głosem przemądrzałej asystentki.

Odwróciła się tak gwałtownie, że prawie zwała mnie z nóg wprawioną w ruch torbą na zakupy.

— Pewnie uważasz, że to zabawne, Karen — powiedziała głośno i wyraźnie, tak jak mówią normalni ludzie.

— Zabawne? Nie, to nie jest zabawne. To godne pożałowania. Udawanie, że się podróżuje po Europie, jest żalotne. Twój szept i twoje ukrywanie są żalotne. — Ponownie ogarnął mnie ten zdumiewający spokój, jaki poczułam, kiedy powiedziałam Géraldine, co myślę. — Jesteś po prostu beznadziejna, Allegro.

— Wydaje ci się, że tyle wiesz — rzuciła z twarzą wykrzywioną gniewem. — Wszystkim wam, asystentkom, wydaje się, że cholernie dużo wiecie. A nie wiecie absolutnie nic! — krzyknęła i odwróciła się ode mnie.

— Powiedz mi — zawołałam za nią, kiedy zaczęła się oddalać. — Powiedz mi, czego nie wiem. Już możesz to zrobić. Matt wyrzucił mnie dzisiaj bez najmniejszego powodu.

— Nie przyszło ci do głowy, że mogłam chcieć zachować jakąś część własnego życia, która nie byłaby związana z Philem, Tonym i z ich filmami? Albo z Vivian i z Marlene, i z całą waszą resztą? Ze już nie wspomnę George'a Hanratty'ego... a tak przy okazji, oczywiście, że wiem o twoim spotkaniu z nim.

Skąd mogła to wiedzieć? Albo blefowała, albo też zakładała, tak jak ja, że spotykał się z nami wszystkimi.

— Walczyłam o dziesięć minut dla siebie... dla podtrzymania związku czy na rozmowę z matką, czy na zajęcie się czymś innym, a nie tylko tą cholerną firmą. Kiedy mówiłam, że rozmawiam z Oprah, to musieli zostawić mnie w spokoju. — Niespodziewanie usadowiła się na spękanym chodniku biegnącym wzdłuż West Side Highway.

Przysiadłam naprzeciwko niej, w bezpiecznej odległości.

— Dlaczego nigdy nie poprosiłaś o chwilę spokoju?

— Tobie się wydaje, że to takie proste. Myślisz, że chciałam spędzać każdy dzień, wysłuchując nieustannych narzekania i złośliwości Vivian i Marlene, a potem zajmować

się Philem i Tonym, i tą ich kupą bzdetów? — Przerwała na chwilę i pochyliła się do przodu, podciągając kolana pod brodę.

— Miałaś kierować działem, dlatego jesteś jego szefową.

— A ja chciałam — oświadczyła — tak naprawdę chciałam wprowadzać filmy na ekrany i mieć coś wspólnego z ostatecznym rezultatem, a nie być kimś w rodzaju pośredniczki.

— To dlaczego udawałaś, że jesteś w Europie?

— Chciałam, żeby zapanowała normalna sytuacja. Jeśli wszyscy zorientują się wreszcie, że mogą sami sobie organizować pracę, to nawet jeśli się przy tym pozabijają, przynajmniej będą wiedzieć, że mogą się obejść beze mnie.

— I nic lepszego nie potrafdaś wymyślić? To znaczy, dlaczego chociaż nie pojechałaś na tę cholerną wycieczkę?

— Obawiałam się, że Phil i Tony mogą mnie potrzebować, więc trzymałam się w pobliżu.

Podniosłam się, nie miałam już ochoty jej dogryzać. Kiedy tak siedziała na krawężniku z kilkoma wielkimi torbami, wyglądała jak bezdomna. Podniosłam rękę i przywołałam kolejną taksówkę.

— Powodzenia — zawołałam, wsiadając, nie odwróciwszy nawet głowy.

Wróciłam do domu i czekałam na Ellen, a kiedy tylko pojawiła się w drzwiach, wyrzuciłam z siebie całą historię. Wysłuchiła cierpliwie do samego końca.

— Nie podpisałaś tego kontraktu, co? — spytała.

— Nie — powiedziałam, kręcąc głową. — Przynajmniej to jedno mi się udało.

— To dobrze. I sądzę, że niezależnie od wszystkiego m—

leży ci się odprawa... jutro zadzwonię do paru osób. Ludziom należy się zapłata za wykonaną pracę.

Podziękowałam jej i poszłam do swojego pokoju, żeby zadzwonić do Abby. Była wstrząśnięta i chyba jeszcze bardziej przejęta niż ja. Po spotkaniach z Geraldine i z Allegra, po wyjaśnieniu wszystkiego Ellen znalazłam się wreszcie w punkcie, w którym mogłam opowiadać całą tę historię, nie płacząc. Byłam też ogromnie zmęczona i marzyłam o pójściu spać. Pogadałam chwilę z Abby i obiecałam jej, że zadzwonię jutro.

— Znajdziesz coś nowego, lepszego — powiedziała przed odłożeniem słuchawki.

Szczerze mówiąc, nawet nie wybiegałam myślami tak daleko naprzód.

Była dopiero ósma, ale dzień był tak wyczerpujący, że zapadłam w głęboki sen, z którego wyrwał mnie dzwonek telefonu. Podnosząc słuchawkę, odruchowo spojrzałam na zegar. Była dziesiąta rano, a dzwonił Kenny. Może chce przeprosić albo zaoferować mi z powrotem pracę, pomyślałam sobie.

— Karen, masz numer domowego telefonu Reby Koronis?

—Co?

— Domowy numer Reby? Masz go, prawda? Muszę umówić ją na spotkanie... Phil chce *puścić Pomadkę ochronną* w dwudziestu pięciu miastach, na dowód, że działa w dobrej wierze.

— Kenny, dlaczego nie reagowałeś, kiedy potrzebowałam informacji dotyczących pokazania tego filmu?

— Byłem zajęty, nie wydawało mi się to istotne.

— Ale czy zwykła uprzejmość nie nakazywała odpowiedzieć i pozwolić mi wykonywać moją pracę?

— Pewnie tak, ale byłem zajęty znacznie większymi przedsięwzięciami i ten głupi filmik nie był wart mojego czasu.

— Ale teraz reżyserka tego głupiego filmiku jest go warta i nie wiesz, jak się z nią skontaktować, więc do mnie dzwonisz. Zdumiewające.

— Karen, przestań dramatyzować i daj mi po prostu ten numer.

— Przepraszam cię, Kenny, że się denerwuję, bo wyrzuciono mnie za coś, co było w stu procentach twoją winą. Wyświadczysz mi jedną przysługę? Uważam, że przynajmniej tyle jesteś mi winien.

— O co chodzi? — spytał ostrożnie.

— Pieprz się — odparłam i trzasnęłam słuchawką. Ci ludzie są niesamowici. Przez chwilę bawiłam się pomysłem zadzwonienia do Reby... numer miałam w palmtopie razem ze wszystkimi innymi numerami, pod które dzwoniłam, pracując w Glorious. Powinna chyba wiedzieć, co nowi kumple naprawdę sądzą o jej filmie, prawda? Jednak po chwili zastanowienia rozmyślałam się. Teraz, kiedy już nie pracowałam w Glorious, nie musiałam się zachowywać tak jak oni.

Rozmowa z Kennym zupełnie mnie rozbudziła. Ellen od kilku godzin siedziała w pracy. Byłam w mieszkaniu sama i nie bardzo wiedziałam, co ze sobą zrobić. Nie czułam się jeszcze na siłach, żeby zadzwonić do rodziców... na pewno wskoczyliby do auta i ruszyli tutaj, a tego naprawdę nie chciałam. Myślałam nawet o telefonie do Hliotta, ale zrezygnowałam z tego pomysłu. Tu chodziło o lizanie ran, a nie stóp.

Telefon zadzwonił ponownie. Tym razem byli to Dagney i Clark.

— Tak nam przykro — powiedział Clark. — Co możemy zrobić, żebyś poczuła się lepiej?

— Szczerze mówiąc, czuję się chyba nieźle. Muszę tylko przejść coś w rodzaju dekompresji, odprężyć się.

— A chciałabyś wrócić do naszego działu? — spytała Dagney. — Geraldine ciągle nie znalazła asystentki do współpracy ze mną.

— Nie, dzięki — powiedziałam, decydując się zachować dla siebie to, co usłyszałam od Allegrы. — Nie chcę mieć nic wspólnego z tym miejscem.

— Rozumiem — powiedziała Dagney.

— Musisz mi powiedzieć jedną rzecz — włączył się Clark. — Proszę.

— J a s n e , wszystko, co chcesz.

— Naprawdę powiedziałaś Geraldine, że jej pies jest dla niej namiastką męża? Krąży taka plotka... ja po prostu muszę wiedzieć, czy to prawda.

— Absolutna prawda — odparłam, śmiejąc się na samo wspomnienie jej miny.

— Ktoś musiał jej to powiedzieć — zauważył trzeźwo Clark.

— A gdzie się podziewa Robert? — spytałam, bo przyszło mi do głowy, że on też powinien brać udział w tej rozmowie.

— Chyba jest na projekcji — odparła Dagney. — Ale dzisiaj jeszcze go nie widziałam.

— Powiedzcie mu, żeby do mnie zadzwonił — poprosiłam, a w moim umyśle zaczął się rodzić pewien pomysł. — I do usłyszenia wkrótce.

Zadzwoniłam na komórkę Roberta.

— Możesz spotkać się ze mną w swoim mieszkaniu około trzeciej? — spytałam. — Chcę z tobą pogadać.

— Przykro mi z powodu twoich kłopotów. Będę o trzeciej i wtedy wszystko mi opowiesz.

— Dzięki — powiedziałam i odłożyłam słuchawkę.

Zadzwoiła Ellen.

— Posłuchaj, mam dobre wieści. Przeprowadziłam kilka rozmów z jednym z prawników Glorious. Dostaniesz pieniądze, które ci są winni, a także kilkutygodniową odprawę. Ponadto nie będą podważać twoich roszczeń jako osoby bezrobotnej, jeśli z nimi wystąpisz. A zresztą masz do tego prawo.

— Bardzo ci dziękuję. Jesteś moim wybawieniem. Nie mogę uwierzyć, że dokonałaś tego tak szybko i że byłaś w stanie uzyskać od tych kretynów to, czego chciałaś.

— No cóż, prawdę mówiąc — powiedziała Ellen z wahaniem — to zasługa tego faceta, z którym się spotykam. Specjalizuje się w stosunkach pracodawca—pracownik i to on się tym zajął.

— Spotykasz się z kimś? — ucieszyłam się. — Jak to możliwe, że ja nic o tym nie wiem?

— Nie za często cię widywałam, a poza tym starałam się z tym nie afiszować, dopóki nie będę wiedziała, jak cała sprawa się rozwija. A tak przy okazji, to on stawał na głowie, żeby ci pomóc, więc teraz uważam, że jest po prostu fantastyczny.

— Jestem przekonana, że on podobnie myśli o tobie — powiedziałam szczerze. Cieszyłam się ze względu na nią. — Nie mogę się doczekać, żeby go poznać — dodałam przed odłożeniem słuchawki.

Wzięłam prysznic, ubrałam się i pojechałam metrem do centrum budowlano—dekoracyjnego, Janovic Plaža, w SoHo. Kiedy patrzyłam na te wszystkie wzory barw farb i próbki tapet, przyszło mi do głowy, że wszystko

może być ciągle odnawiane i odświeżane, jakby ludzie każdego dnia, albo i co kwadrans, chcieli zaczynać od początku. Ale przede wszystkim myślałam o swoim planie. Idąc przejściem między półkami z pędzlami, usłyszałam znajomy głos.

— Powiedziałaś, że chodzi o kolor kwietniowego tunezyjskiego nieba o zmierzchu. Najwyraźniej nie masz o tym pojęcia! Taki kolor niebo w Tunezji ma w maju. — Była to Mackie Moran męcząca Bogu ducha winnego sprzedawcą farb. Nawet nie byłam ciekawa jej wyglądu.

Kupiłam płytki, klej, zaprawę do fugowania, wiaderko i specjalną gąbkę. Minęło już prawie dziesięć lat od czasu, kiedy pomagałam ojcu przy wykładaniu płytkami naszej kuchni, jednak doskonale pamiętałam, w jaki sposób to robiliśmy. Następnie udałam się do Pearl Paint przy Canal Street i kupiłam kilka paczek samoprzylepnych liter i cyfr w różnych rozmiarach. Zataszczyłam to wszystko do taksówki i pojechałam do Roberta. Czekał na mnie przed budynkiem, choć było dziewięć stopni mrozu.

Objął mnie i trzymał chwilę w mocnym uścisku.

— Tak mi przykro — powiedział. — Nie znam całej historii, ale nie potrafię sobie wyobrazić, żebyś zrobiła coś, za co mogliby cię zwolnić.

— Chodźmy do środka. — Podniósł kilka paczek i pokonaliśmy trzy piętra do jego mieszkania.

— Wiem, że zabrzmiało to idiotycznie — zaczęłam — ale czy przypominasz sobie ten układ okresowy pierwiastków, którym chciałeś przyozdobić ścianę w łazience? Ten, który zamierzałeś ułożyć, zanim Phil odwołał nam Gwiazdkę? — spytałam.

Robert skinął w milczeniu głową.

— Pozwolisz mi to zrobić? To znaczy, naprawdę wiem,

o czym mówię... jakiś czas temu pomagałam ojcu kłaść nowe płytki w kuchni, a ty byłeś takim serdecznym przyjacielem i właściwie nauczycielem, że mam ochotę coś takiego zrobić. — Plotłam trzy po trzy, Robert stał i uśmiechał się, najwyraźniej rozumiejąc, że muszę skoncentrować się na czymś jeszcze poza utratą pracy.

— Byłbym zachwycony, gdybyś to zrobiła. Jestem wzruszony, że chcesz się tym zająć.

— Popatrz, pozwól, że ci pokażę. — Wyłożyłam zawartość toreb i pudełek. — Mam tu te płytki. Pomyślałam, że ten jasny, stalowoszary kolor może być odpowiedni na metale, a ten żółtozielony na niemetale, a tu mam błado—niebieski, który wydawał się pasować do półmetali, choć tych jest niewiele — ciągnęłam. Robert kiwał głową z aprobatą. — A ta przyjemna czysta biel na tło. — Rozwinęłam tablicę Mendelejewa, którą sobie wydrukowałam przed wyjściem z domu, a potem pokazałam mu litery i cyfry zakupione w Pearl. — Na symbole, liczby i masy atomowe — wyjaśniłam.

— Jesteś pewna, że chcesz to zrobić?

— Absolutnie.

— To kawał roboty.

— Szczerze mówiąc, tego mi właśnie teraz trzeba. Wyświadczysz mi przysługę.

— Skoro tak twierdzisz, jak mogę odmówić? — Uśmiechnął się. — Teraz wracam do biura... kampania wśród członków Akademii — powiedział, krzywiąc się. — Ale zobaczymy się później. A rano mogę brać prysznic w siłowni, więc na czas twojej pracy wszystko tutaj pozostanie suche i nie-
tknięte.

Robert wyszedł i znowu zostałam sama. Włączyłam telewizor, przełączyłam na CNN i nastawiłam na tyle go—

śno, żeby słyszeć w łazience. Obejrzałam dokładnie otoczenie wanny; ściany były gładkie i klej powinien dobrze trzymać. Domyślając się, że Robert ma porządnie wyposażoną skrzynkę z narzędziami, która powinna znajdować się pod kuchennym zlewem, sięgnęłam tam i wyjęłam taśmę mierniczą. Na kartce naszkicowałam sobie z grubsza, jak tablica może wyglądać na ścianie. Potem wzięłam kilka białych płytek i przykleiłam do przeciwległej ściany, blisko podłogi, tak żebym jutro wiedziała, czy dobrze się trzymają.

Metodycznie ułożyłam materiały w takim porządku, w jakim będą mi potrzebne — najpierw płytki i klej, potem zaprawa do fug i gąbka, a wreszcie litery i cyfry, które przyjdą na końcu, już po wyschnięciu fug. Nawet się nie zorientowałam, kiedy Robert wrócił do domu.

— Jeszcze jesteś? — spytał. — Jest wpół do dziesiątej.

Pokazałam mu próbnie przyklejone płytki i powiedziałam, że wrócę rano. Dał mi zapasowe klucze, żebym mogła sobie sama otworzyć drzwi.

— Coś ci przyniosłem — oświadczył, wyciągając paczuszkę z przeciwpoślizgowymi samoprzylepnymi ozdóbkami do wanny, w kształcie gwiazdek. — Żebyś się nie przewróciła. Krew nie jest pierwiastkiem — dodał.

— Dziękuję — powiedziałam i wyszłam w noc.

Nazajutrz wstałam wcześniej, świeża i wyspana. Ubrałam się w stare dżinsy i złachmanioną bluzę od dresu z nadrukiem UMass. Kiedy wysiadłam z metra w pobliżu mieszkania Roberta, wstąpiłam do delikatesów, gdzie kupiłam sobie na lunch dwie dietetyczne cole i kanapkę. W mieszkaniu czekała na mnie kartka: „Zajrzyj do lodówki”. Okazało się, że są w niej soki, woda gazowana, świeże owoce oraz paczuszka nadziewanych herbatników.

Włączyłam CNN, jak poprzedniego dnia, i zabrałam się do pracy.

Robert umieścił gwiazdki na dnie wanny i moje stopy czuły się na nich bardzo pewnie. Płytki przyklejone poprzedniego dnia trzymały się mocno, co potraktowałam jako dobry omen dla całego przedsięwzięcia. Taśmą przyczepiłam do ściany kartkę z układem okresowym oraz swój szkic i zaczęłam kłaść płytki, rząd za rzędem, od dołu do góry. Wiadomości telewizyjne docierały do mnie, zupełnie jakby grupa poważnych osób rozmawiała w pokoju obok. Nie musiałam zbytnio się koncentrować, żeby wysłuchać fragmentów dyskusji politycznych, rozważań o polityce zagranicznej i wiadomości ekonomicznych — wszystkie te sprawy bardzo mnie zajmowały, zanim zaczęłam pracować w Glorious. Potem zaczął się blok poświęcony rozrywce i usłyszawszy wprowadzenie do wywiadu z Juliet Bartlett, uśmiechnęłam się na wspomnienie jej stroju, kiedy szykowała się do roli w *Air Jatie*. O drugiej zrobiłam przerwę na lunch, mając już jedną trzecią płytek na ścianie. Cofnęłam się i z satysfakcją oglądałam rezultat swoich wysiłków. Robertowi na pewno się spodoba.

Pojawił się około siódmej, żeby sprawdzić postępy... wtedy miałam już za sobą trzy czwarte pracy.

— Karen, zadziwiasz mnie. Tak właśnie to sobie wyobrażałem. Koniecznie trzeba to uczcić.

Kiedy wymówiłam się od wyjścia na miasto brudnym ubraniem, Robert zamówił meksykańskie jedzenie do domu.

— O co właściwie chodzi z tą tablicą Mendelejewa? — spytałam, przełknąwszy kęs pieczonego na ruszcie, faszerowanego kurczakiem burrito. — Dlaczego ci się tak podoba?

Robert, nim odpowiedział, odgryzł spory kęs steak taco.

— Zawsze ogromnie mi się podobała. Chemia była moim ulubionym przedmiotem, bo tylko tam wszystko miało sens i zachowywało się przewidywalnie.

Roześmiałam się.

— Wiem, że cieszy cię porządek.

— To coś więcej. Pierwiastki pozostają ze sobą w pewnych relacjach, których zawsze można być pewnym. Zeby nie wiem co, brom zawsze topi się przy minus 7,2°Celsjusza, a wrze przy 58,78°C. I zawsze znajduje się pomiędzy selenem i kryptonem.

Nie wszystko rozumiałam, ale chciałam usłyszeć więcej.

— I wtedy myślę sobie o naszym świecie — mówił dalej — o tym, jak to część jego urody stanowi fakt, że nie wiemy, co się za chwilę zdarzy, a zarazem jakie to dla nas ważne, żeby było coś, na czym można polegać.

Praca w Glorious rzeczywiście mogła wywołać u człowieka tęsknotę za przewidywalnością. Wyobraziłam sobie Phila i Tony'ego, Allegrę, Marlene, Vivian, Kenny'ego, Matta i Cheryl jako pierwiastki walczące ze sobą o to, co który ma robić i kiedy. Pomyślałam, że pierwiastki nie mają ego, i podzieliłam się tą myślą z Robertem.

— Właśnie — powiedział. — Nie mogą sobie na to pozwolić. Budują cegielki materii... gdyby któryś z nich zawiódł, cały świat stanąłby w miejscu... to nie żarty.

— Masz jakiegoś ulubieńca? — spytałam między kęsami burrito. — To znaczy wśród pierwiastków?

— Lubię te, których używamy na co dzień, wodór, tlen, sód, azot. I jeszcze argon, który należy do gazów szlachetnych — mówił. — Jest bezbarwny, nie ma koloru, smaku, ale potrafi zapobiec wybuchowi innych substancji chemicznych. Używają go też w licznikach Geigera.

— Więc to znaczy, że obecności argonu nie zauważamy, ale jeśli nie zauważymy jego braku, skutki mogą być katastrofalne.

— Właśnie tak — przyznał Robert. — Na tym to polega. On jest po to, żeby pomagać, a nie szkodzić.

Robiło się późno, postanowiłam więc wracać do domu. Robert odprowadził mnie na dół, pomógł wsiąść do taksówki, a potem zmusił, żebym się zgodziła, że on za nią zapłaci.

O szóstej rano zadzwonił telefon, wrywając mnie z głębokiego snu.

— Karen, to ja.

— Halo?

— Tu Elliott. Widziałaś już gazetę?

— Leżę w łóżku. Wydaje mi się, że jeszcze śpię.

— Świetnie. Chciałem ci to osobiście powiedzieć. Napisałem książkę.

— Książkę?

— Tak. Biografię Wbcmanów. Współpracowałem przy niej z George'em Hanrattym, w zeszłym tygodniu ją skończyliśmy i sprzedaliśmy wydawnictwu HarperCollins. A oni nie będą zwlekać i koniecznie chcą ją wydać na wiosnę. Zatytułowana jest *Bliźniacy z TriBeKi*.

— Ojej, to wspaniale. Tak się cieszę. Ale jak się zgadałeś z Hanrattym? Myślałam, że to pijaczyna, człowiek skończony. Nikt nie sądził, że jest do czegoś takiego zdolny.

— To długa historia, ale bardzo chciałbym ci ją osobiście opowiedzieć. Spotkajmy się wieczorem przy drinku.

Omam nie powiedziałam odruchowo „dobrze”. Poczulałam przyływ wdzięczności dla Elliotta, który potrafił mnie spać i doprowadzić do tego, że bosa, bezwolna, pozwalałam mu ssać palce moich stóp, ale nigdy nie pró—

bował mnie namówić do nielojalności wobec kogokolwiek, choć wtedy z łatwością mógł wszystko ze mnie wyciągnąć. Życzyłam mu życia pełnego pięknych kobiet z delikatnymi jak puch i pachnącymi jak róże stopami, które potrafiłyby chodzić na rękach, żeby mógł mieć z nich jeszcze więcej uciechy. Wiedziałam jednak, że ja nie mogłabym być jedną z nich.

— Szczerze mówiąc, zależy mi teraz na odrobinie spokoju. Ostatnie dni wytrąciły mnie trochę z równowagi.

— Słyszałem, co się stało... według mnie to kolejny błąd Glorious.

— Dzięki, Elliott, doceniam twoje słowa. Zadzwoń do ciebie — powiedziałam, wiedząc, że tego nie zrobię i że jeszcze nieraz w życiu pomyślę o tym, jak wyglądał, kiedy mnie całował... całował i nie przestawał się uśmiechać.

Zasnęłam jeszcze na jakieś dwie godziny, a potem wstałam i przygotowałam się do kolejnego dnia u Roberta. Przed wyjściem z domu nałożyłam na rzęsy odrobinę tuszu i musnęłam wargi pomadką. Fakt, że jestem bezrobotna, nie upoważnia mnie do niechlujnego wyglądu, przekonywałam samą siebie. Miałam ochotę porozmawiać z Robertem o Hanrattym i o tej książce, ale o tej porze on był w biurze, skąd, czego byłam pewna, nie mógłby rozmawiać swobodnie.

W jego mieszkaniu wszystko wyglądało i przebiegało podobnie jak poprzedniego dnia, z tą tylko różnicą, że herbatniki były inne, tym razem oblane czekoladą, i miałam o wiele mniej pracy. Ponieważ układanie płytek szło mi pewniej i sprawniej, mogłam poświęcać więcej uwagi nadawanym wiadomościom. Co też ja sobie myślałam, pozwalając, by *Gawron 2: Nigdy, przenigdy* czy *Wszyscy mogą śpiewać* stały się ważniejsze od najnowszej decyzji

Sądu Najwyższego czy od tego, co dzieje się w krajach, które nie mają festiwali filmowych? Tak się kiedyś pasjonowałam tymi sprawami, a pozwoliłam, żeby mnie całkowicie wchłonął sztuczny świat. A co gorsza, on mnie przeżuł i wypluł. Skoncentrowałam się na płytkach i wkrótce ostatnia znalazła się na swoim miejscu.

Właśnie podziwiałam swoje dzieło, próbując jednocześnie wyliczyć, ile powinnam wymieszać zaprawy do fug, kiedy zadzwonił trzykrotnie telefon, a potem włączyła się automatyczna sekretarka.

— Karen, odbierz! Odbierz! — mówił Robert nagłym tonem. Chwyciłam słuchawkę w salonie i usłyszałam pisk automatycznej sekretarki. — Wyłącz ją. Przycisk jest w sypialni — poinstruował.

— Teraz dobrze — powiedziałam po chwili.

— Nie uwierzysz. Dzwonię od Belindy. Musiałem wyjść z biura, żeby ci to powiedzieć.

— Co mianowicie?

— Nie widziałaś dzisiaj Page Six?

— Nie, ale słyszałam o książce napisanej przez Hanraty'ego i Elliotta Solnicka.

— Wiem, że byłaś z tym gościem na kilku randkach — powiedział Robert.

— Ale nigdy nic mu nie powiedziałam — broniłam się instynktownie.

— Pewnie, że nie. Nie było takiej potrzeby. Od tego miał Clarka.

— Clarka?

— Taa, najwyraźniej to właśnie Clark dostarczał wszystkie informacje, jakie wy dostał od Glorii, Elliottowi i Hanratty'emu. Godzinę temu wyrzucono go z hukiem... Geraldine wezwała policję, żeby go wyprowadzili z budynku.

— Do samego krawężnika, jak przypuszczam.

— Jasne.

— To straszne, że Clark mógł być taki dwulicowy. Gloria go uwielbiała.

— Och, bez przesady. To właśnie ona zastawiła pułapkę, w którą w końcu wpadł.

— J a kto?

— Opowiedziała Clarkowi historijkę o ojcu Phila i Tony'ego, jakoby uciekł z powodu długów karcianych, które wymknęły się spod kontroli. Kiedy Elliott zaczął wydzwaniać, żeby uzyskać jej potwierdzenie, wiedzieli, od kogo to wyszło.

— To przechodzi ludzkie pojęcie.

— A tu wszyscy poszaleli. Nawet Allegra wróciła z Europy, żeby pomóc zażegnać kryzys.

Wyobraziłam sobie, jak Robert, zginając palce, ujmuje Europę w cudzysłów.

— W każdym razie, Karen, muszę wracać do biura. Będziesz u mnie, kiedy przyjadę?

— Chyba tak... właśnie skończyłam układanie płytek i zabieram się do fugowania.

— Świetnie, bo przyjdę z niespodzianką.

Kręciło mi się w głowie od tych wszystkich wiadomości. Clark, Złote Dziecko, ulubieniec wszystkich, sprzedał Głorię Waxman, ukochaną matkę rodu, symbol Glorious. Hanratty'emu rzeczywiście udało się dokonać czegoś, czego nikt się po nim nie spodziewał, a Elliott prawdopodobnie był w tej chwili gdzieś na mieście i wykorzystywał swoją zaliczkę, żeby raczyć się najlepszą i najdroższą szkocką.

Przetrawiałam wszystkie nowiny, nie przerywając pracy w łazience. Teraz mnóstwo rzeczy nagle nabrało sensu.

Elliott pozbył się mnie po premierze *Wszyscy mogą śpiewać*, bo w pobliżu czaił się jego wspólnik, Hanratty. Clark wiedział, że lubię Elliotta, bo współpracowali ze sobą. Pewnie Elliott mu powiedział, że spotkaliśmy się kilka razy, i dlatego Robert też o tym wiedział.

Po jakimś czasie pojawił się właściciel mieszkania, przynosząc ze sobą pakunek o dziwnym kształcie.

— Co to takiego?

— Zobaczysz — odpowiedział tajemniczo. — Jesteś głodna?

— J a k wilk. Od rana zjadłam tylko kilka herbatników i jabłko. No pokaż, co tam jest! — zawołałam, usiłując wyrwać mu pakunek z rąk.

— Zgoda. Zamknij oczy.

Zamknęłam.

— Otwórz.

Kiedy to zrobiłam, dosłownie nie mogłam uwierzyć w to, co zobaczyłam. Otóż Robert ukradł cały mostek upieczony przez Glorię, razem z cennym półmiskiem Royal Doulton.

— J a k widzisz, jest tu dobrze wypieczona połowa dla Phila i ta niedopieczona dla Tony'ego — oświadczył, pokazując palcem. — Żeby nie wiem co się działo, czwartek to dzień mostka, a w tym całym zamieszaniu wcale nie było trudno wykraść go z recepcji. Policja zresztą zajmowała się Clarkiem — wyjaśnił Robert.

Potem wyciągnął sztucce i zasiedliśmy do dania, którym dotąd cieszyli się jedynie ludzie noszący nazwisko Waxman. Mięso było wyborne — świetnie przyprawione i znakomicie upieczone. Byłam przekonana, że gdyby u Le Bernardina podawano mostek, a nie tylko owoce morza, właśnie tak by smakował. Żałowałam jedynie, że nigdy nie będę miała okazji powiedzieć Glorii, jaka byłam zachwycona.

Nagle przemknęła mi przez głowę wariacka myśl.

— Mogę cię o coś spytać?

— Jasne.

— Wiesz coś na temat tej odwołanej rezerwacji pokoi na imprezę Marlene?

— Może — powiedział, uśmiechając się.

— O sfałszowanym felietonie Cindy Adams? E-mailo- wych przeprosinach Vivian?

Teraz już szczerzył się jak Kot z Cheshire.

— Oni myślą, że ja tam siedzę tylko po to, żeby żyły sobie dla nich wypruć, więc nigdy w życiu by mnie nie podejrzewali — powiedział. — Właściwie robiłem to na oczach wszystkich.

— Jesteś kimś w rodzaju anioła zemsty?

— Raczej mściwym Koniem Roboczym — odparł.

— Aż nie mogę uwierzyć. Te kawały były niesamowicie pomysłowe. I każdy dostał dokładnie to, na co zasługiwał.

— O to właśnie chodziło. Ludzie w Glorious są tak odezwani od rzeczywistości, że nie można z nimi normalnie pogadać i powiedzieć na przykład: „Słuchaj, nie byłem zachwycony, kiedy wydzierałeś się na mnie przy wszystkich”, albo „Wiesz, ta osoba popełniła niewinny błąd... z tą karą to troszeczkę przesadziłaś”. Ale niewątpliwie odczuwają i gniew, i wstyd, przynajmniej w elementarnym zakresie.

Za dużo tego było naraz. Robert — cichy, zorganizowany, chorobliwie wręcz pedantyczny, zadał rzeczywiście bolesne ciosy niektórym groźnym smokom. Można powiedzieć, że zjadł je na śniadanie.

— Robert, to niesamowite. Co za dzień. Zamierzają wydać książkę Hanratty'ego, a Elliott jest współautorem.

Clark tymczasem przez cały czas był kretem... nie, więcej, szcurem. A my zjedliśmy na kolację mostek Waxmanów!

— Zainteresują cię dalsze informacje?

— Jest coś więcej?

— No cóż, jest jeszcze drobna sprawa Hanratty'ego i tego, dlaczego go w ogóle wypędzono z królestwa.

— Rzeczywiście. Prawie zapomniałam. Kiedyś naprawdę go lubili, a przynajmniej tak się mówi — powiedziała, przypominając sobie, że słyszałam o tym od Clarka.

— Hanratty jest tylko o kilka lat starszy od Phila i Tony'ego.

— Wygląda, jakby ze dwadzieścia.

— Taa, za dużo alkoholu... — Zrobił przerwę. — Kiedy Gloria i jej mąż, a propos, miał na imię Irving, pobrali się, na tym samym piętrze ich domu w Bronksie mieszkało pewne małżeństwo. A z nim siostra męża... niedawno się rozwiodła i źle znosiła tę sytuację. Miała z nimi mieszkać do czasu, aż dojdzie do siebie.

— Brzmi rozsądnie.

— Było rozsądne. Siostra, Betsy Kincaid, zaprzyjaźniła się z Glorią. Betsy pracowała na pół etatu u rzeźnika i w zamian za czesanie przynosiła Glorii kotlety jagnięce. To było jeszcze przed zniknięciem Irvinga i Gloria była utalentowaną gospodynią, a nie przedsiębiorcą.

— No dobrze. I co się stało?

— Cóż, bratu i bratowej Betsy urodził się synek. A kiedy potem przyszli na świat bliźniacy, Betsy zajmowała się całą trójką maluchów, gdy tylko oba małżeństwa dokądś się wybrały. A potem, któregoś dnia, Betsy poprosiła Glorię, żeby ułożyła jej włosy w tak wysoką i nastroszoną fryzurę, jak tylko się da. Gloria tapirowała i czesała ją

przez dwie godziny, aż głowa wyglądała imponująco. Betsy dała Glorii w podzięce całe żeberka jagnięce, po czym tej samej nocy uciekła z Irvingiem.

— Biedna Gloria. To straszne.

— No cóż, Gloria, jak wiesz, całkiem szybko doszła do siebie, tyle że już nigdy nie tknęła jagnięciny. Właśnie wtedy zaczęła się ta tradycja z pieczonym mostkiem. A bratu i bratowej Betsy było tak wstyd, że się stamtąd wyprowadzili i Gloria zupełnie straciła z nimi kontakt.

— I co to wszystko ma wspólnego z Hanrattym?

Robert uniósł rękę.

— Właśnie do tego zmierzam. Gloria nigdy nie opowiedziała za dużo bliźniakom, tylko tyle, że ojciec odszedł. Oni uznali, że skoro ją zostawił, musiał być z niego okropny drań, więc nie chcieli mieć z nim nic wspólnego.

— Brzmi sensownie. Ja też wolałabym nie przeciwstawić się Glorii.

— Wyobraź więc sobie jej zdziwienie, kiedy dziesięć lat temu, na premierze, posadzono ją obok George'a Hanratty'ego. Omal nie zemdląca.

— Niby dlaczego?

— Bo George Hanratty był tym małym chłopczykiem, którego chimeryczna ciotka uciekła z Irvingiem! Z początku o tym nie wiedziała, ale potem zaczęli rozmawiać, a wiesz, jak Gloria lubi wywiedzieć się wszystkiego o wszystkich, więc w końcu się zorientowała. Najpierw nieźle to nią wstrząsnęło, ale Gloria to twarda baba. Kiedy się uspokoiła, powiedziała Philowi i Tony'emu, że nie żywi do niego urazy. „To nie jego wina, że miał ciotkę lafiryndę i że wasz ojciec z nią uciekł. Żałuję tylko, że zmarnowałam na ten jej cholerny łeb trzy puszki lakieru”, oświadczyła.

Pokładałam się ze śmiechu, kiedy Robert parodiował Glorię.

— I co było potem?

— Powiedzieli Glorii, że nie chcą mieć z tym nic wspólnego, po czym dali Hanratty'emu jednoznacznie do zrozumienia, że jest niemile widziany.

— I to złamało jego karierę, a potem on sam zniszczył siebie — powiedziałam. — Ale przynajmniej teraz się odegra!

— Właśnie. Myślę, że to będzie świetna książka — powiedział Robert. — Odkryte zostaną różne tajemnice. Wziąwszy pod uwagę to, co Gloria mogła niebacznie opowiedzieć Clarkowi, i to, co Hanratty wie od własnej rodziny, no i to, co Elliott był w stanie odkryć dzięki swoim rozlicznym koneksjom, może ona wyrządzić Waxmanom spore szkody.

— Taak. — Zawahałam się. — Ale może też okazać się nudna.

— Nudna? Nie sądzę.

— Mogę się mylić, ale nie myślę, by gdzieś tam tkwił jakiś wielki sekret. Są bliźniakami. I jeden lubuje się w filmach bardziej ambitnych, które zdobywają nagrody Akademii, a drugi w filmach grozy i komediach, które zarabiają fury pieniędzy. Ciągłe się kłóć, wywrzaskują i przeklinają, a praca dla nich jest nieznośna — powiedziałam, myśląc o roku spędzonym w Glorious. — Naprawdę nie wiem, co jeszcze może się tam znaleźć. Według mnie ich filmy są o wiele bardziej interesujące od każdego z nich.

— Może masz rację. Musimy poczekać i zobaczyć na własne oczy — powiedział Robert.

— A skoro już mowa o zobaczeniu na własne oczy — machnęłam ręką w kierunku łazienki — mogę ci już pokazać.

Wstaliśmy i poszliśmy do łazienki. Robert wciągnął powietrze.

— Karen, to jest idealne. Więcej niż idealne. Wprost nie mogę uwierzyć, że to dla mnie zrobiłaś.

— Cieszę się, że ci się podoba. Mam tylko jedno pytanie — powiedziałam. — Widzisz te miejsca u dołu, gdzie położyłam białe płytki? — Wskazałam ręką. — Pomiędzy ununbium, ununhexium i ununoctium? Nie wiem, co mam z nimi zrobić.

— To jest w tym wszystkim najlepsze. Oto cały urok układu okresowego — oświadczył i nagle ujął mnie za rękę, a ja równie nagle stwierdziłam, że bardzo mi to odpowiada. — To są miejsca zostawione na te rzeczy, o których wiemy, że zostaną odkryte, ale jeszcze nie wiemy, czym one są — powiedział, odwracając się do mnie. — To pogodzenie się z faktem, że istnieje niewiadome i że nie musimy wcześniej znać tego, co nadejdzie, wystarczy tylko wierzyć, że tak się stanie.

W tym momencie nic na całym świecie nie miało tyle sensu, co słowa Roberta.